

Elizabeth Adler

Teraz albo nigdy

(Now or never)

Przekład Małgorzata Zajtek

1.

Noc była chłodna, bezksiężycowa, lekki wiaterek poruszał długimi brązowymi włosami dziewczyny. Mężczyzna patrzył, jak idzie powoli przez uniwersytecki parking w stronę czerwonego kabrioletu. Szklą mocnej lornetki wylapywały każdy szczegół. Choć było późno, dobrze po północy, a pusty plac wypełniały cienie, dziewczyna szła wolno, powłócząc nogami, zbyt zmęczona, by w ogóle myśleć o ewentualnym niebezpieczeństwie.

Kochał to... Kochał jej zapierającą dech niewinność, kiedy tak szła ku niemu, niczego nie podejrzewając.

Wiedział o niej wszystko. Obserwował ją od tygodni, planując tę noc. Wiedział, że wraz z innymi studentkami wynajmuje dom poza miasteczkiem uniwersyteckim.

Znał adres, zwiedził nawet mieszkanie. Obejrzał bałagan w jej pokoju, wyciągnął się na jej łóżku, wdychając słabą woń młodego ciała w zmiętej pościeli. Aby zachować to wspomnienie, preludium przyjemności, jaka go czekała, chwycił parę majteczek ze stosu brudnej bielizny na podłodze i przycisnął je do twarzy w paroksyzmie pożądania.

Ale szybko się opanował, odkładając brutalną przyjemność i ból na później. Z niesmakiem omiótł wzrokiem studencki pokój: przepelnione popielniczki, puste puszki po coca-coli, zgniecione kartoniki po pizzy, stosik płyt kompaktowych.

Zastanawiał się, jak ona może tak żyć. Wcisnąwszy bawełniane majtki do kieszeni, spokojnie wyszedł przez francuskie drzwi, przez patio i alejkę, na ulicę.

Znał rozkład jej zajęć na uczelni, wiedział, że studiuje w szkole medycznej, a szkołę średnią skończyła w Baltimore. Znał jej nazwisko, wiedział, że nosi bieliznę od Calvina Kleina, bawełniane koszulki i zamszowe półbuty. Wiedział, gdzie kupuje kawę i jagodziankę na śniadanie, gdzie spędza wieczory, i o której godzinie kładzie się spać.

Wiedział, że nie ma chłopaka, na randki chodzi rzadko, całkowicie pochłonięta nauką i zbliżającymi się egzaminami. Dlatego właśnie powłóczyła nogami, idąc ku niemu przez parking. Była bardzo zmęczona.

Miał na sobie swój uniform: czarny sweter z golfem, z rodzaju tych, jakie noszą narciarze, czarne spodnie od dresu i czarną wełnianą kominarkę z wycięciem na oczy. Siedział przyczajony na podłodze jej fiata, z dziko walącym sercem.

Dziewczyna zbliżała się i poczuł gwałtowne uderzenie adrenaliny.

Znowu podniósł lornetkę do oczu. Widział jak jej piersi poruszają się pod białą koszulą, jak czarne legginsy podkreślają linię jej bioder i opinają krok; wyraz zmęczenia na jej ładnej twarzy, kiedy zaciągnęła się marlboro po raz ostatni i odrzuciła papierosa.

Niedopałek zapłonął w mroku i mężczyzna z niezadowoleniem zmarszczył brwi. Cóż na niedbalstwo i nieostrożność! Zobaczył, jak dziewczyna obrzuca obojętnym, znużonym wzrokiem jego lśniące, stalowoszare volvo combi, zaparkowane obok fiata. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że uznała wóz za wykładnię podmiejskiego życia, taki bezpieczny samochód typowej bostońskiej rodziny.

Przyciskając do piersi torbę z książkami, wybrała odpowiedni kluczyk, wsadziła go w zamek i otworzyła drzwi. Mężczyzna wstrzymał oddech i skulił się jeszcze bardziej. Czy dziewczyna zajrzy do tyłu? Był na to przygotowany.

Z jękiem ulgi rzuciła ciężką torbę na siedzenie pasażera, włożyła kluczyk w stacyjkę i sięgnęła do kieszeni po następnego papierosa.

Szczycił się tym, że nie dowiedziała się nigdy, skąd padł cios. Błyskawiczne uderzenie w tętnicę szyjną odcięło na jakiś czas dopływ krwi do mózgu. Paczka marlboro wysunęła się z jej ręki, kiedy dziewczyna opadła w przód, nieprzytomna, waląc czołem w kierownicę.

Odciągnął ją za długie, brązowe włosy, z niezadowoleniem spoglądając na czerwieniejący ślad. Lubił, kiedy jego dziewczyny były niepokalane. Wyślizgnął się z wozu, klnąc pod nosem jego nikłe rozmiary. Otworzył drzwi po stronie dziewczyny i wyciągnął ją z fotela. Przez parę sekund trzymał ją w ramionach, rozkoszując się jej bezradnością, kobiecym zapachem, mieszaniną perfum, papierosów i szminki. Była lekka jak piórko, miękka. Upchnął ją na podłodze volvo, szybko zakleił usta, okręcił przeguby grubą taśmą klejącą i przykrył ciemnym kocem.

Odrzucił się i spojrzął na żarzący się w mroku niedopałek. Podeszedł do fiata, rozgniółł papierosa butem, podniósł i wrzucił do śmietniczki.

Zatrzasnął tylne drzwi volvo i zajął miejsce za kierownicą. Ściągnął czarną kominiarkę, na szyi zawiązał dyskretną jedwabną apaszkę i założył drogą, ale przyjemnie znoszoną tweedową marynarkę. Przeciągając dłonią przez włosy, rzucił szybkie spojrzenie przez ramię, zapuścił motor i ruszył w stronę bramy. Na parkingu nadal nie było żywej duszy. Cisza, spokój. Odetchnąwszy z ulgą, mężczyzna nastawił odtwarzacz kompaktowy i samochód wypełniła kantata Bacha.

Przejażdżka była długa – przeszłogodzinna – ale przyjemna. Snuł w wyobraźni skomplikowany geometryczny wzór kantaty, kiwając głową do rytmu, uśmiechając się na myśl o „swojej dziewczynie”, która śpi z tyłu, czeka na niego. Wyciągnął z kieszeni majteczki od Calvina i przytknął do twarzy, wciągając jej zapach, mile podniecony obietnicą bliskich przyjemności. Minał Gloucester, potem Rockport, i ruszył dalej na północ, wybrzeżem oceanu. Wolno przejechał główną ulicą uśpionego miasteczka i pół mili dalej zjechał w alejkę prowadzącą na plażę. Zaparkował pod osłoną małego, drewnianego molo. Obrzucił wzrokiem trzy czy cztery łodzie, nasłuchując miękkiego szumu oceanu i pochłupywania fal pod

pomostem. Jedynym źródłem światła był fosforyzujący odblask gwiazd w tafli wody.

Zdjął marynarkę i apaszkę, wysiadł z wozu i otworzył tylne drzwi. Zerknął na świetlną tarczę zegarka. Druga trzydzieści.

Dziewczyna leżała tak, jak ją zostawił, z zamkniętymi oczami, twarzą bladą pod zasłoną ciemnych włosów. Takie miękkie włosy, pomyślał, wsuwając dłoń w połyskujące pasma. Takie piękne, nienawistne włosy.

Wyciągnął ją brutalnie z wozu i przytulił do siebie. Przyłożył dłoń do jej twarzy, przemknął palcami po gładkiej, młodej skórze. Jęknęła i uniosła powieki.

Patrzyła na niego.

Oczy miała niebieskie, ale rozszerzone źrenice sprawiły, że były niemal czarne i miała kłopoty ze skupieniem wzroku. Klnąc samego siebie za niewłożenie kominiarki – mężczyzna zarzucił jej szybko koc na twarz i zawlókł ją na plażę.

Posadził przy drewnianym palu i wymierzył ponowne uderzenie w szyję. Jej głowa opadła na bok, była nieprzytomna. Rozwiązał jej ręce i zaczął bić. Wściekłymi ciosami okładał głowę, twarz, piersi. Po chwili przerwał, zadyszany. Drżącymi palcami rozpiął jej koszulę.

Gapił się na nią, przysiadłszy na piętach. Piersi miała małe, dwie doskonałe półkule uwieńczone różowymi pączkami, teraz całe w brzydkich, czerwonych plamach po uderzeniach. Padł na nią z okrzykiem niecierpliwości, ssąc i kásając piersi.

Po chwili usiadł, wyciągnął mały, nieskazitelnie czysty nóż. Plastikową pochwę schował z powrotem do kieszeni. Z westchnieniem zadowolenia przesunął ostrzem po kciuku. Potem poderwał głowę dziewczyny i zaczął systematycznie obcinać długie brązowe włosy. Zajęło mu to trzy, może cztery minuty, ale rozkoszował się każdą sekundą. Czasem myślał, że to jest najprzyjemniejsza część jego dzieła. Spojrzał na nią. Leżała przed nim półnaga, z nierówno obciachanymi włosami, taka bezbronna. Roześmiał się radośnie.

Ściągnął z niej czarne legginsy, już z pośpiechem, ponieważ pożądanie narastało szybko, nie mógł czekać dłużej. Zsunął majteczki, identyczne jak te, które ukradł z pokoju i spojrział na ciemny trójkąt włosów, drżąc z oczekiwania. Jaka będzie w środku? Pod czarnymi narciarkami nie nosił bielizny i po chwili był już w niej, klnąc suchość jej wnętrza, pławiąc się w jej zapachu, nienawidząc jej.

Zatapiał się w nią gorączkowo, było to więcej niż mógł znieść. Dławiąc krzyk, zatrzymał się na sekundę.

Cienki nóż był przygotowany. Odwrócił jej ręce wnętrzem dłoni ku górze, po czym z zawodową precyzją przeciął najpierw prawy, potem lewy nadgarstek. Krew trysnęła gorącym strumieniem, wtedy zaczął szczytować.

Usiadł, jeszcze rozedrgany. Nic na świecie nie mogło się z tym równać. Była to

chwila władzy.

Uniósł głowę, słysząc głosy. Ktoś szedł plażą. Ujrzał błysk latarki, usłyszał męskie głosy. Odskoczył od dziewczyny.

Idący plażą rybak poderwał latarkę, kierując słup światła w stronę dźwięku. Na ułamek sekundy wyłapał w mroku twarz mężczyzny, nieruchomym wzrokiem wpatzonego w światło, niby zahipnotyzowany zając.

Potem widział, jak ten mężczyzna odwrócił się i uciekł. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi samochodu, rzucił zakrwawiony nóż na podłogę i zapalił silnik.

Zawrócił wóz i pomknął aleją na zgaszonych reflektorach.

– To dziwne, Frank, że ten facet tak zwiewa – powiedział Jess Douglas do swojego kolegi po fachu.

– Jakby diabeł deptał mu po piętach – przytaknął Frank Mitchell. Zabawiał się pewnie z jakąś cizią.

Zarechotali radośnie, aż echo poszło po wodzie, unieśli takielunek i ruszyli w stronę mola i swojej łodzi.

Promień latarki Jessa zamarł, natrafiwszy na rozciągnięte, nagie ciało dziewczyny. Jak na biało-czarnym filmie grozy, plamy na piasku wydawały się czarne przy białych dłoniach.

– Dobry Boże! – powiedział Frank drżącym głosem. Panie Wszechmogący, spójrz tylko!

Jess upuścił sprzęt i rzucił się w stronę dziewczyny. Przyłożył palce do jej szyi, wyczuł puls.

– Jeszcze żyje – szepnął. – Skurwiel podciął jej żyły. Daj mi swoją chustę, Frank, szybko, szybko!

Frank zerwał z szyi bawełnianą chustę i podał ją Jessowi.

– Wiedziałeś Panie, dlaczego uczyniłeś mnie skautem – mruknął Jess, robiąc z chusty opaskę zaciskową na lewej ręce. Jednocześnie nakazał Frankowi przyciskać puls prawej.

– Jezu! – powiedział, ocierając pot z czoła. – Nic dziwnego, że skurwiel tak zwiewał. Chciał ją zabić. Musimy sprowadzić pomoc, Frank. Trzymaj jej rękę, jakby twoje życie od tego zależało, a ja popędzę do budki telefonicznej.

– A jeżeli on wróci? – Frank z niepokojem zerknął w ciemność.

– Boisz się? – zapytał Jess wstając – Jak cholera! – mruknął Frank.

– Ja też. – Jess biegł już plażą. – Dołóż mu, jak wróci, Frank. Pamiętaj, to sprawa życia lub śmierci. Po prostu przyciskaj żyłę, tylko o to proszę.

2.

Pies, wielki, białosrebrny wilczarz o zadziwiająco niebieskich oczach, wyslizgnął się spod łóżka. Usiadł czujny, z nastawionymi uszami i wywieszonym językiem, z napięciem patrząc w zielone cyferki radiowego zegarka:

4:57 – 4:58 – 4:59 – 5:00.

Jego łapa wystrzeliła do przodu, lądując na przycisku alarmu.

Detektyw Harry Jordan z bostońskiego wydziału zabójstw przekręcił się na plecy, ale nie otworzył oczu. Pies obserwował go wyczekująco. Kiedy nic się nie wydarzyło, wskoczył na łóżko. Położył łeb na piersi Harry'ego z oczami utkwionymi w jego twarz.

Dziesięć minut później budzik uruchomił się ponownie. Tym razem pies pozwolił mu dzwonić.

Harry otworzył szare oczy i spojrzał wprost w niebieskie ślepią wilczarza. Pies machnął ogonem, ale nie podniósł łba.

Harry jęknął. W jego śnie oczy, w które patrzył, nie należały do psa.

– W porządku, obudziłem się – powiedział, targając sierść na grubym karku psa.

Wstał z łóżka i przeciągnął się z rozkoszą. Potem poczłapał po wypastowanych deskach podłogi do okna, by zbadać świt w kolorze ołowiu.

Harry Jordan nago wyglądał wspaniale. Liczył sobie czterdzieści lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i smukłe, umięśnione ciało, mimo że od lat żywił się w jadłodajni „Ruby”, o dwa kroki od posterunku. Miał niesforne, ciemne włosy, szczere oczy i jednodniowy zarost.

Koledzy nazywali go Profesorkiem, z uwagi na harwardzki dyplom, ale bardziej niż studia prawnicze imponowały im osiągnięcia Harry'ego na uniwerku Michigan, gdzie nadal z podziwem wspomniano jego wyczyny jako plotkarza biegającego na 110 metrów. Nie wiedzieli natomiast, ponieważ informację zachował dla siebie, że odziedziczył furę pieniędzy.

Dziadek zostawił mu fundusz powierniczy, który otrzymał w dniu trzydziestych urodzin, plus piękny dom z piaskowca na bostońskim Beacon Hill. Harry uważał, że cieszyłby się z pieniędzy bardziej, gdyby otrzymał je w wieku dwudziestu nie trzydziestu lat, choć był gotów przyznać dziadkowi rację.

Gdyby dostał je wcześniej, wydałby na szybkie samochody, łatwe kobiety i poszukiwanie samego siebie. A tak, musiał odbyć te poszukiwania na własny koszt.

Nigdy nie zapomniał, co powiedział mu ojciec, kiedy o mały włos nie zawałił pierwszego roku prawa.

– Może byś, do licha ciężkiego, przestał myśleć kutasem i ruszył rozumem – warknął gniewnie. – Zapnij rozparek, Harry. Oddaj mi kluczyki od porsche'a,

maszeruj na salę wykładową i zabieraj się do roboty.

W końcu wstąpił jednak na drogę poprawy. Skończył prawo i pracował w rodzinnej firmie, dopóki był to w stanie wytrzymać. Potem złożył rezygnację i zatrudnił się w bostońskim wydziale policji.

Zapytany o powód, dał tę samą odpowiedź ojcu i rekrutującemu oficerowi: „W dzisiejszych czasach prawnicy nie walczą o sprawiedliwość. Bawią się prawem, wykorzystując kruczki i zgarniając honoraria. Pracując jako policjant, będę przynajmniej łapał kryminalistów”.

I robił to. Był dobrym gliną: przeszedł całą drogę od wozu patrolowego – poprzez ekipę ratowniczą, zespół do walki z oszustwami i narkotykami aż dochrapał się starszego detektywa. Ożenił się kiedy miał dwadzieścia osiem lat, a ona dwadzieścia. Nie spodobała jej się przemiana z żony prawnika na żonę gliniarza.

Był zdruzgotany, kiedy go opuściła. Trzymał ją w ramionach i całował, ale było już za późno. Uczucie odeszło razem z nią.

Podzielił dom na Beacon Hill na mieszkania i wynajął trzy piętra. Wprowadził się na parter i kupił sobie szczeniaka. Wilczarza. Pies wyglądał naprawdę jak wilk i był stworzeniem najbardziej przypominającym dzikie zwierzę, jakie Harry’emu udało się znaleźć. Nazwał psa Squeeze i wszędzie go ze sobą zabierał.

Przeszedł przez hol i otworzył drzwi, prowadzące do sporego, otoczonego murem ogrodu. Pies śmignął mu koło nóg z radosnym warknięciem. Przez chwilę stał węsząc, potem rozpoczął poranny rytuał oblewania zaniedbanego ogrodu.

Harry podreptał do łazienki.

– Muszę zająć się tą trawą – obiecał sobie, jak co rano. Problemem był czas, a raczej jego brak. A jednak lubił swój ogród, podobnie jak lubił swoją łazienkę.

Była ogromna, kwadratowa i staroświecka, z czarno-białymi kafelkami na podłodze, kominkiem i żelazną kratą, wanną zabudowaną mahoniowymi panelami, odpowiednią rozmiarami dla olbrzyma, z wiktoriańskim sedesem z pojemnikiem w niebieskie kwiatki i ozdobną porcelanową spłuczką. W marmurowej umywalce można się było pluskać, co zdaniem Harry’ego rekompensowało mu brak blatu, na którym mógłby ustawić przybory toaletowe. Z łazienki wrócił do holu. Zerknął na Nautilusa, zupełnie nie pasującego do pianina z kości słoniowej i reszty wnętrza, które kiedyś było eleganckim salonem dziewiętnastowiecznej bostońskiej damy. Do Nautilusa wróci za chwilę, teraz potrzebował filizanki kawy.

Kuchnia Harry’ego, nie mająca w sobie nic staroświeckiego – czarny granit i metal – była doskonale wyposażona, choć Harry nie miał czasu na kucharzenie i życie towarzyskie. Ekspres do kawy był jedynym sprzętem gospodarstwa domowego, który odpracowywał swoje. Teraz bulgotał i parskął. Czerwony czasownik mrugnął w końcu, sygnalizując, że kawa gotowa. Harry pomyślał ze

zniecierpliwieniem, że jego życiem rządzą właśnie takie czasowniki, zielone lub czerwone.

Napełnił biały kubek kawą, wsypał dwie łyżeczki cukru i szedł już w stronę Nautilusa, kiedy zadzwonił telefon.

Z rezygnacją podniósł słuchawkę. O piątej dziesiątej telefon mógł oznaczać tylko kłopoty.

– Co się stało, Profesorku? Squeeze nie trafił w budzik? – zapytał Carlo Rossetti, jego partner i kumpel.

– Nie dał mi moich pięciu minut ekstra – powiedział popijając łyk gorącej kawy.

– Pewnie chciało mu się łać.

– Przykro mi, że tak wcześnie dzwonię, ale zakładam, że chciałbyś wiedzieć.

Mamy kolejną dziewczynę, zgwałcona i pocięta. Z tym że nie umarła. To znaczy – jeszcze nie umarła. Jest w Mass General, [szpital stanowy Massachusetts.] ale, moim zdaniem, to kwestia minut.

Harry rzucił okiem na czasownik, który zaledwie przed minutą tak go zirytował.

– Spotkamy się w szpitalu. Przekaż szefowi, że już jadę. Jest przytomna?

Powiedziała coś?

– Nic, o czym bym wiedział. Dopiero tu dotarłem. Chłopaki na nocnym mieli labę aż do trzeciej, kiedy przyszło zgłoszenie. Dwaj rybacy znaleźli ją na plaży w pobliżu Rockport. Ekipa ratownicza przetransportowała ją tu helikopterem. Na służbie byli McMahan i Gavel, obaj tu są, ale ta mała jest nasza, Harry.

Wiedziałem, że zechcesz przejąć sprawę.

Harry przypomniał sobie okaleczone ciała dwóch poprzednich ofiar.

– Będę tam za dziesięć minut – powiedział ponuro.

Nie miał czasu na prysznic, ani nawet na umycie zębów. Opryskał twarz zimną wodą, przepłukał usta płynem Listerine, wciągnął dżinsy, sztruksową koszulę i starą, skórzaną kurtkę. Zagwizdał na psa i po trzech minutach opuścił mieszkanie.

Jeszcze nie pozbył się namiętności do szybkich samochodów. Poobijany jaguar, rocznik 1969, stał zaparkowany na swym zwykłym miejscu po drugiej stronie ulicy.

Pies ulokował się na pięknym, skórzanym fotelu w kolorze kawy z mlekiem.

Wyprysnęli z Louisburg Square i po chwili mknęli już w stronę szpitala.

3.

Szpital miejski był masywnym szarym budynkiem, stojącym tuż przy głównej ulicy. Wokół szumiały samochody, powietrze zdawało się wibrować od nieprzerwanego zawodzenia syren pogotowia, wozów policyjnych i grzechotania śmigieł helikopterów, startujących z dachu.

Harry wjechał na parking zastrzeżony dla policji. Z uwagi na psa uchylił tylną szybę i biegiem ruszył w stronę izby przyjęć. W drzwiach zderzył się z lekarzem w białym kitlu.

– No, no, ale się panu śpieszy! – powiedział doktor łagodnie, poprawiając okulary w rogowej oprawie.

Nie zwalniając biegu, Harry rzucił mu przepaszające spojrzenie przez ramię.

– Przepraszam! O, to pan, doktorze Blake. Proszę mi wybaczyć, śpieszę się.

Doktor z uśmiechem potrząsnął głową.

– Nigdy nie widziałem, żeby się pan nie śpieszył – zawołał w ślad za Harrym.

Może w czymś pomóc?

Harry zamachał w odpowiedzi rękami.

– Nie pański departament, doktorze. Przynajmniej na razie. – Spowaźniał, uświadomiwszy sobie znaczenie tego, co powiedział. Doktor Blake był szefem patologii w szpitalu i lekarzem pracującym dla bostońskiego departamentu policji.

Również siostra dyżurna przy stanowisku pielęgniarek знаła Harry'ego.

– Pierwsze piętro, oddział intensywnej terapii, ostatni pokój na prawo – powiedziała, kiedy przed nią stanął. – Podali jej siedem litrów krwi.

Nieprzytomna, stan krytyczny. Nie, nie wydaje mi się, żeby przeżyła.

Ich oczy się spotkały.

– Jezu! – szepnęła Harry. Siostra przeżegnała się prędko.

– Będzie potrzebowała Jego pomocy – odparła.

Harry wyminął tłumek przy windzie i wbiegł na piętro, przesadzając po dwa stopnie. Przed drzwiami oddziału intensywnej terapii przystanął, wziął głęboki oddech i przesunął dłonią po nie czesanych jeszcze włosach. Przymknął na chwilę oczy, gotując się na wstrząs.

Zapach szpitala ciągle na niego działał, choć jako pacjent przebywał w nim zaledwie raz, kiedy miał pięć lat i wycięto mu migdałki, po czym karmiono lodami równo przez tydzień. Nie pamiętał, żeby doznał na tym tle urazu, ale widocznie wspomnienie pozostało.

Pneumatyczne drzwi zamknęły się z cichym sykiem.

Rossetti stał oparty o ścianę. Jego ciemne, lśniące włosy były starannie przylizane, biała koszula nieskazitelnie świeża, czarne spodnie odprasowane.

Piłował sobie paznokcie i przez idealne zęby gwizdał „Nessun Dorma”. Przyminał raczej wczesnego Travoltę w sobotni wieczór, niż detektywa wydziału zabójstw na służbie o godzinie piątej dwadzieścia pięć rano.

Mimo powagi sytuacji, Harry musiał się uśmiechnąć. Carlo Rossetti miał trzydzieści dwa lata, wydatną szczękę, ciemne oczy i powodzenie u kobiet. Zjawił się tu prawdopodobnie wprost z wczorajszej randki, ale wyglądał, jakby wyszedł z rąk swojej mamy Włoszki – odprasowany, najedzony, gotowy do działania.

– Nie wyżyje – powiedział bezbarwnym tonem. Harry sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Skąd wiesz?

– Widziałem ją. Jest już jedną nogą na tamtym świecie – wzruszył ramionami. – Sam zobacz.

Przed izolatką stał umundurowany policjant. Zasalutował i, przepuszczając Harry'ego, powiedział: „dzień dobry”.

Harry pchnął drzwi i jednym spojrzeniem ogarnął scenę: pochyloną nad aparaturą pielęgniarkę, migający monitor i młodą kobietę, leżącą bez ruchu na wąskim łóżku, podczas gdy krew i plazma płynęły w nią przez plastikową rurkę.

Zabandażowane ręce sztywno spoczywały na kocu. Młoda twarz była śmiertelnie blada pod aureolą poszarpanych włosów.

Pielęgniarka zerknęła na niego.

– Jest w szoku, może z tego, wyjdzie – powiedziała miękko. Harry dałby wiele, żeby uwierzyć jej, nie Rossettiemu.

– Istnieje szansa, że się obudzi i z nami porozmawia?

– Nawet jeżeli odzyska przytomność, nie sądzę, żeby chciała z wami rozmawiać.

– Potrzebujemy jej. Jest naszą jedyną szansą, by złapać zabójcę. Może widziała jego twarz. Może wie, kto to jest.

Pielęgniarka westchnęła. Słyszała, co zrobił dwóm poprzednim ofiarom.

– Tym razem nie odciął brodawek.

Harry patrzył na młodą kobietę podłączoną do kroplówki, na jej zabandażowane nadgarstki i twarz bez kropli krwi. Ten obraz pozostanie w nim na zawsze, a przynajmniej do czasu, gdy zrobi, co do niego należy. Odwrócił się i wyszedł.

Rossetti przestał piłować paznokcie. Trzymał teraz w dłoniach dwa papierowe kubki, z jednego popijał kawę, drugi podał Harry'emu.

– No i? Co myślisz?

– Myślę, że powinniśmy zacząć się modlić. Przez chwilę pili kawę w milczeniu.

– Co z rybakami? – zapytał w końcu Harry.

– Niewiele. Miejscowa policja spisała zeznania i przefaksowała je do centrali.

Mówią, że nie widzieli nic, co miałoby jakieś znaczenie, słyszeli tylko warkot

silnika w ciemnościach. Potem zobaczyli ciało... przepraszam, ofiarę. Parę minut wcześniej złapaliby faceta na gorącym uczynku. Dziewczyna miała pecha.

– Znamy jej nazwisko?

– Pracują nad tym. Nie miała przy sobie żadnego dowodu tożsamości, torebki, kluczyków. Nic.

Harry skinął głową. W Bostonie mieszkało tysiące młodych kobiet, ale ponieważ poprzednie ofiary były studentkami, istniało duże prawdopodobieństwo, że ta również się nią okaże. Ułatwi to im poszukiwania. Za parę godzin powinni znać jej nazwisko.

Dopił kawę i rozejrzał się za automatem.

– Przyniosę więcej kawy. Pokręć się tu, na wypadek, gdyby się nam... gdyby się jej poszczęściło. Zadzwon na posterunek, powiedz, gdzie jestem, sprawdź, jak im idzie z identyfikacją i w ogóle, co się dzieje.

– Zrobione. – Rossetti oderwał się od ściany. Spojrzał Harry'emu w oczy. – Nie przejmuj się tak, Harry. Jesteś tylko gliniarzem, który wykonuje swoją robotę – poklepał go przyjacielsko po ramieniu i ruszył połyskującym, antyseptycznym korytarzem w stronę telefonu. – Nigdy bym nie przypuszczał, że z ciebie taki uczuciowy gość. Zachowaj tę wrażliwość dla kobiet. One uwielbiają rozemocjonowanych faciów. Clint Eastwood i takie rzeczy.

Harry uśmiechnął się.

– Ciekawe, skąd ty to wiesz, Romeo?! – zawołał za nim.

– Już prędzej Casanovą. Jestem za stary na Romea – jego śmiech rozbrzmiał echem w martwym korytarzu.

Harry spędził na nim godzinę. Stał oparty o ścianę, spacerował w tę i z powrotem. Zszedł do kafeterii, zjadł kanapkę z jajkiem i bekonem, i znowu trochę pospacerował. W południe opuścił szpital, poszedł wyprowadzić psa, dał mu miskę wody i odprowadził do samochodu.

Pies usadowił się z powrotem na siedzeniu, złożył łeb na przednich łapach i spojrzał na Harry'ego z wyrzutem w jasnoniebieskich oczach.

– Takie jest życie gliniarza, Squeeze – powiedział Harry, zatrzaskując drzwiczki. Ostrzegalem cię, że tak będzie.

Słowo w słowo to samo powiedział żonie dziesięć lat temu, ale nie uratowało to ich małżeństwa.

Zmienił się policjant przy drzwiach.

– Dzień dobry, sir – powiedział, salutując. – Sierżant Rafferty, na służbie do dwudziestej. Doktor Waxman jest teraz z ofiarą.

Doktor stał w nogach łóżka, dumając nad kartą chorobową. Na odgłos otwieranych drzwi, obejrzał się przez ramię.

– Jak się masz, Harry? – uśmiechnął się. Byli starymi znajomymi, weteranami

oddziału intensywnej terapii.

– Nieźle. A ona?

– Przed dziesięcioma minutami odzyskała na chwilę przytomność – westchnął z żalem. – Biorąc pod uwagę jej stan, jestem skłonny uznać to za triumf ducha nad materią. Na razie stan stabilny – wzruszył ramionami – wszystko może się zdarzyć. Harry wpatrywał się w dziewczynę z natężeniem, jakby pragnął ją obudzić siłą wzroku. Przesunął ręką po ciągle nie czesanych włosach.

– Kiedy się ocknie, będzie mogła rozmawiać? Ich oczy się spotkały.

– To może być jedyna szansa, żeby go dopaść – powiedział Harry cicho. – Może go zna. Może uratować inne dziewczęta...

– Zobaczymy – doktor Waxman wsunął kartę z powrotem w metalową ramkę w nogach łóżka. – Potrzebują mnie w izbie przyjęć. Zostajesz?

Harry skinął głową.

– Poczekam.

– A więc, do zobaczenia.

Harry usiadł na krześle przy łóżku. Spojrzał na dziewczynę, po czym z zażenowaniem odwrócił wzrok. Czuł się jak intruz, podglądający ją we śnie. Tylko że to nie był prawdziwy sen. To była śpiączka.

Gapił się w sufit, potem na góry i doliny, które ukazywały się na ekranie, monitorującym jej funkcje życiowe. Był dobrym gliniarzem, twardym gliniarzem, ale ta bezbronna, młoda kobieta coś w nim poruszyła. Wzięło go.

Rozległo się pukanie i w szparze drzwi ukazała się głowa Rossettiego.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę – szepnął. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął złożoną kartkę papieru. – Nazywa się Summer Young. Wiek – dwadzieścia jeden lat, czwarty rok na uniwersytecie bostońskim. Pochodzi z Baltimore.

Współlokatorzy zaczęły się niepokoić, kiedy nie wróciła do domu, a rano natknęły się na jej starego fiata na parkingu przed biblioteką. Drzwiczki były otwarte, kluczyki w stacyjce, torba na siedzeniu. Zawiadomiły policję.

Harry skinął głową. Potwierdziły się jego przypuszczenia.

– Rodzice już jadą – dodał Rossetti cicho. – Będą za parę godzin. Popatrzeli na siebie bez słowa. Oboje wiedzieli, że dla dziewczyny byłoby lepiej, gdyby dotarli tu prędzej.

– Latchwell czeka na korytarzu. Na wszelki wypadek.

Harry poderwał głowę: Latchwell był policyjnym portrecistą. Potrafił odtworzyć twarz na podstawie najbardziej mglistego opisu. Czasem wydawało się, że ją wyczarowuje z niczego, wyrzeźbia, tworzy i przetwarza... „wąskie wargi, nie, kąciki ust ku dołowi, o tak; krzaczaste brwi, nie, mniej krzaczaste... czarne oczy... no, może nie czarne, ale ciemne i jakieś takie mroczne...” Policja zawdzięczała ujęcie

niejednego zbrodniarza niesamowitym zdolnościami Latchwella.

Rossetti nerwowo zerknął na dziewczynę. Powiedział: „Chyba wrócę na posterunek.

Muszę pogadać z tymi rybakami.”

Harry skinął głową. Chciał, żeby rodzice już przyjechali, chciał, żeby wzięli swoją dziewczynkę w ramiona, zapewnili ją, że wszystko będzie dobrze, że wyzdrowieje, wyjdzie z tego. Ale sam w to nie wierzył.

Kiedy parę minut później otworzyła oczy i spojrzała wprost na niego, był wstrząśnięty.

– Cześć – powiedział miękko. – Jestem detektyw Harry Jordan, napadnięto cię, ale teraz jesteś bezpieczna. Twoi rodzice już tu jadą. Nic ci nie będzie.

Wykrzywiła boleśnie wargi, próbując sformułować słowo.

– Drań – szepnęła.

– Harry przytaknął ruchem głowy.

– Powiedz, Summer, znasz go?

Próbowała potrząsnąć głową i drgnęła, kiedy ból przeszył jej ciało. Wargi ułożyły się w słowo: Nie.

Harry zżymał się na myśl, że musi naciskać.

– Widziałas go? Pamiętasz? Zmarszczyła brwi z wysiłku.

– Delikatne... – szepnęła – dłonie.

Pielęgniarka nacisnęła przycisk przy łóżku, wzywając doktora Waxmana. Przyłożyła palec do puls na szyi dziewczyny i obejrzała się na Harry'ego.

– Dość – szepnęła.

Wiedział, że nie może prowadzić dalej przesłuchania. Spojrzał jeszcze raz na dziewczynę. Zdawała się robić olbrzymi wysiłek, by przemówić. Pochylił się nad łóżkiem.

– Oczy – powiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem. – Mroczne, nieruchome... oczy...

Czekał, ale powieki jej opadły i leżała znów bez ruchu. Kiedy tak patrzył, łza spłynęła po jej bladym policzku.

– Dzielna dziewczyna – szepnął. – Dzielna Summer. Wyjdiesz z tego.

W drzwiach minął się z doktorem Waxmanem.

– No dość tego, panie detektywie – powiedział surowo. – Przywieźli helikopterem rodziców, ich córka, ich kolej.

Harry skinął głową.

– Proszę mnie zawiadomić, gdyby coś się wydarzyło. Będę na komendzie.

Latchwell wymieniał z sierżantem Raffertym opinię na temat gry koszykarskich drużyn Celtów i Kniksów. Czujnie spojrzał na wychodzącego Harry'ego.

– Mam przystąpić do akcji? Harry wzruszył ramionami.

– Nieruchome oczy. To wszystko, co mamy.

– Dobrze i to na początek.

– Może nie być dalszego ciągu. Początek bez końca. Dzięki, Latchwell.

Przepraszam, że zmarnowałem twój czas.

– Normalka – Latchwell zarzucił na ramię torbę ze sprzętem i odszedł chłodnym, sterylnym korytarzem.

Zadzwoił telefon komórkowy Harry'ego. Rossetti. I złe wiadomości. Rybacy nie okazali się pomocni, niewiele pamiętają, zajmowali się dziewczyną, nie facetem.

Harry powiedział sierżantowi przy drzwiach, że jakby co, należy go łapać na komendzie i wrócił do samochodu.

Pies poznał jego kroki. Wypchnął nos przez uchylone okno i skrobał pazurami po tapicerce, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć moment wydostania się na wolność. Harry przypiął mu smycz i zabrał go na długi spacer.

Pies obwąchiwał rogi ulic i latarnie, poszczekując radośnie, ale Harry nie zwracał na niego uwagi. Miał dwie martwe kobiety, trzecią w stanie krytycznym, i był równie daleko do odnalezienia mordercy, co przed rokiem.

Wrócił do samochodu, zawiózł psa do domu, nakarmił i zabrał na komendę. Miał przeczucie, że będzie to długa noc.

Pięć godzin później otrzymał telefon. Summer Young zmarła, nie odzyskawszy przytomności.

4.

Detektyw Rossetti prowadził swoje pięcioletnie BMW ze zbyt dużą prędkością, ciemną nadbrzeżną uliczką. Z piskiem opon skręcił na pusty plac, który służył za parking Moonlighting Club. Sprawdził godzinę. Była pierwsza trzydzieści w nocy.

Wysiadł z wozu i ruszył w stronę schodów. Światło płonęło w oknach, a kiedy otworzył drzwi, zalała go fala dźwięku.

Rap buchał z ogromnych kolumn, odbijał się echem od ścian, omal nie zrywając dachu. Miody, czarnoskóry facet obsługujący barek uśmiechnął się na powitanie, inni witali go równie przyjaźnie. Rossetti chwycił w przelocie filiżankę kawy i przeszedł do sali gimnastycznej. Nawet o tak późnej godzinie była pełna.

Młodzieżowy Moonlighting Club został ofiarowany miastu w prezencie przez anonimowego dobroczyńcę i miał służyć jako alternatywa dla narkotyków i ulicznych rozrób. Rossetti i Harry wraz z wieloma innymi gliniarzami pomagali prowadzić go w ramach pracy społecznej. W klubie obowiązywały cztery zakazy: żadnej dyskryminacji, narkotyków, broni, gangów. Cokolwiek chłopcy kombinowali w swoim naturalnym ulicznym środowisku, w Moonlighting Club i na sali gimnastycznej obowiązywała zasada neutralności.

Regulamin łamano wielokrotnie, ale klub przetrwał i to. Czasem Rossetti miał wrażenie, że wygrywają batalię, jak dzisiaj, kiedy kilkudziesięciu młodych ludzi, zamiast ładować sobie w żyłę albo faszerować się nawzajem ołowiem, ćwiczyło na siłowni i grało w kosza. Dochowali się nawet para wschodzących gwiazd koszykówki: chłopcy byli ostrzy, byli dobrzy, a pragnienie wygranej okazało się silniejsze niż pokusy ulicy.

Rossetti dostrzegł Harry'ego, który stał pod ścianą z ponurą miną i obserwował graczy, biegających tam i z powrotem po boisku. Gęste, ciemne włosy miał potargane w wyniku nieustannego przeczesywania palcami, co było u niego oznaką zdenerwowania. Ubranie wyglądało jakby w nim spał, choć Rossetti wiedział, że partner nie spał w ogóle ani w ubraniu, ani bez, a jego szczupła twarz pociemniała od zarostu i zmęczenia.

Rossetti domyślił się, że Harry spędził ostatnie godziny przy biurku, wałkując szczegóły trzech morderstw. Wiedział, że to wściekłość zapędziła go do pracy i wiedział, że tylko adrenalina trzyma go na nogach. Mógłby się również założyć, że Harry nie był ani krok bliżej rozwiązania zagadki niż przed sześcioma godzinami, kiedy umarła Summer Young.

Podszedł do niego bez pośpiechu.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę.

Harry obejrzał się i spojrzął na niego. Jak zwykle Rossetti trzymał w garści

papierowy kubek z kawą, który stawał się powoli nieodłącznym elementem jego wyglądu. Ubrany był we włoską, płócienną marynarkę, ciemne spodnie i śnieżnobiałą koszulę. Był nieskazitelny i patrząc na niego, Harry przypomniał sobie nagle, że nawet się dzisiaj nie wykąpał, nie wspominając o zmianie odzieży. Nadal ubrany był w dżinsy i koszulę, które naciągnął na siebie o piątej poprzedniego ranka.

– Obrzydliwie się czuję – powiedział, spoglądając spode łba.

– Obrzydliwie wyglądasz, Profesorku – Rossetti wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby. – Za to pies ma się wspaniale. Jak ci leci, Squeeze? Zdradzisz mi jakiś sekret twojego pana? Potrzebujemy na niego haka, chłopie. No wiesz, prawdę o jego życiu prywatnym. Co kombinuje, kiedy nie jest w pracy? Kobiety, wino i śpiew?

Harry roześmiał się.

– A kiedy ja nie jestem w pracy! Rossetti, nie chrzań!

– Prawda, to rzadki stan. I może w tym właśnie problem, Profesorku. Spójrz na mnie: wybyłem z roboty o ósmej trzydzieści, poszedłem z chłopakami na drinka, o dziewiątej trzydzieści gorąca randka, dobra kolacja, trochę miłości... Uroki kawalerskiego życia. A więc? Co ty robisz? – uniósł ostrzegawczo dłoń. – Nie mów, niech sam zgadnę! Wypiłeś piwo i zjadłeś hamburgera u „Ruby”. Potem wróciłeś do biura i próbowałeś wniknąć w psychikę masowego mordercy zupełnie sam. Strata czasu, Profesorku, strata czasu. Nie ma jak odrobina rozrywki w życiu, to cię postawi na nogi. A potem dobrze przespana noc.

Harry westchnął z zalem.

– Jak zwykle masz rację. I nie rozpracowałem tych morderstw. Ale wyrzucić ich z głowy też nie potrafię. Jej ostatnie wypowiedziane do mnie słowa... „Drań”...

Wyprostował się, potrząsając głową, jakby chciał wyrwać się z zamroczenia.

– A co tam, Rossetti! Zapomnijmy o spaniu. Co powiesz na wspólną wyprawę do „Salsa Annie”? Postawię ci bourbona i wysłucham historii twojego życia, a odrobina dobrej muzyki podniesie nam ciśnienie.

Nadstawił dłoń i Rossetti przybił piątkę. Wiedział, że „Salsa Annie” jest ulubionym lokalem Harry’ego, a dawka gorących rytmów pozwoli mu rozładować wściekłość.

– Zrobione! – powiedział Harry, idąc w stronę drzwi. – Siłownia o drugiej nad ranem i tak przekracza moje siły.

Kiedy wytoczyli się w końcu z klubu „Annie” wstawał drugi świt, który Harry oglądał w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mrucząc jakąś melodię, Harry przebył w płasach ulicę dzielącą go od parkingu.

– Wypisz wymaluj, Gloria Estefan – Rossetti wyszczerzył zęby w uśmiechu i zapalił papierosa.

– Dziękuję za komplement. I za twoje towarzystwo. Dobranoc, Rossetti.

– Pchły na noc, Profesorku – Rossetti wsiadł do swojego BMW, zapalił silnik i przyczesał włosy we wstecznym lusterku. Widział w nim Harry'ego, jak siedzi w jaguarze, z psem u boku, trzymając ręce na kierownicy i pustym wzrokiem wpatruje się w przestrzeń. Obserwował go aż do chwili, gdy Harry ponownie wysiadł z wozu.

– Rossetti! – wrzasnął. – Hej, Rossetti! Wychylił głowę przez okno.

– Czego?!

– Bierz tyłek w troki i chodź tu. Jedziemy do Rockport. Rossetti ziewnął rozdzierająco.

– Do Rockport w stanie Massachusetts?

– Nie, dupku! W stanie Illinois. Oczywiście, że w Massachusetts! Rusz swoje zgrabne, włoskie dupsko! Porozmawiamy sobie jeszcze raz z tymi rybakami. Po drodze możesz zawiadomić naszych przez radio, żeby dosłali nam Latchwella. Ci faceci go widzieli, Rossetti! Są jedynymi ludźmi, poza zmarłymi, którzy go widzieli. Musieli coś zapamiętać. O nim, o samochodzie. Musimy tylko pobudzić ich pamięć.

5.

Malory Malone krótką notatkę prasową o zgwałceniu i zamordowaniu Summer Young przeczytała w limuzynie, w drodze na lotnisko Kennedy'ego, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Harry i Rossetti jechali do Rockford w stanie Massachusetts.

Przeczytała informację po raz drugi, uważnie, zwracając uwagę na fakt, że policja wiąże morderstwo z zabójstwami dwóch innych młodych kobiet, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy.

Wydarła z gazety interesującą ją stronę, złożyła kartkę i wcisnęła do zielonej skórzanej teczki, pękającej w szwach od notatek, wizytówek, nazwisk, adresów, numerów telefonów i innych ważnych informacji. Teczkę wsunęła do torby podróżnej.

Oprócz paszportu, biletów, kalendarza i czeków podróżnych, w torbie znajdowały się również papiery, które zamierzała przeczytać w samolocie Concorda do Londynu, dwie pary okularów w złotej, wąskiej oprawce, dwie identyczne pary okularów słonecznych, kilka paczuszek chusteczek higienicznych oraz pękata kosmetyczka.

Był tam również cienkopis, kilka kolczyków nie do pary, karta wstępu na samolot z ostatniej podróży i garść drobniaków, każdy w innej walucie. Na wierzchu leżał czarny, jedwabny sweter, który od biedy mógł służyć jako strój wieczorowy, oraz zmiana bielizny.

Wiedziała z ciężkich doświadczeń, a konkretnie z ostatniego pobytu w Rzymie, kiedy jej bagaż poleciał w inną stronę świata, a we Włoszech zamknięto wszystkie sklepy z okazji święta narodowego – że kobieta musi być przygotowana na każdą ewentualność.

Mał uśmiechnęła się ze starego powiedzonka, że kobietę określa się po zawartości jej torebki. Człowiek obcy uznałby ją chyba za osobę nerwową, pesymistkę oczekującą najgorszego, bałaganiarę o nieuporządkowanym życiu rodzinnym. Za kobietę, której samochód zawałają rekwizyty z całego tygodnia: papierowe kubeczki po kawie, kartoniki po potrawach na wynos, cały asortyment ubrań przeznaczonych do czyszczenia chemicznego, wożony na wypadek, gdyby znalazła się kiedyś w pobliżu pralni. Nic bardziej mylącego.

Malory Malone miała trzydzieści siedem lat, była wysoka i szczupła, z krótką fryzurką blond, typową dla dziennikarki telewizyjnej, ubrana bez zarzutu w prostą i bardzo długą beżową garsonkę. Żadnych oczek w jedwabnych rajstopach opinających długie nogi, żadnej plamki na zamszowych pantofelkach w kolorze piasku. Makijaż miała dyskretny, lecz zrobiony ze znanostwem; beżowa szminka, podkreślająca pełne wargi o miękkim zarysie, brązowa kredka dodająca głębi wielkim

intensywnie niebieskim oczom; a nade wszystko ledwo uchwytny, dręczący zapach „Nocturnes” Caroha, który zdawał się ją spowijać.

Mal znana była jako „detektyw telewizyjny”. W swoim programie, nadawanym, nawiasem mówiąc, w godzinach największej oglądalności, drażyła sprawy brutalnych mordów, wielkich oszustw, skandali seksualnych w Waszyngtonie i narkotykowej mafii w Miami.

Zdobyła sławę dzięki programom o zapomnianych ofiarach morderstw, kiedy pierwszy gniew społeczeństwa opadł, a środki masowego przekazu podchwyciły już następną sensację. Wyciągała każdy szczegół i odtwarzała zabójstwo w telewizji, pobudzając pamięć ewentualnych świadków.

Publika była nią zafascynowana. Malone trzymała rękę na pulsie narodu, wiedziała, co go gnębi i mówiła mu, dlaczego.

Uroda Malory Malone była kwestią dyskusyjną. Czasem wyglądała jak zjawisko, innym razem jak szara myszka. Wszystko zależało od jej nastroju. Kiedy była na tropie, wydzielala fale energii, które rozświetlały jej twarz od wewnątrz, nadając skórze złotawy poblask, oczy jaśniały żywym zainteresowaniem. Krótkie, złote włosy sprawiały wrażenie naelektryzowanych, żyły własnym życiem niczym płatki żółtych chryzantem rozwiewane przez wiatr. A podczas uroczystości rozdania telewizyjnych nagród i bankietów była uwodzicielska w swych prostych wieczorowych sukniach w jej ulubionych stonowanych barwach, odsłaniających piękne ramiona i piersi.

Zdarzały się dni, choć trzeba przyznać, że coraz rzadziej, kiedy Mal Malone, sławna osobowość telewizyjna, zdawała się rozmywać w tle. Mogła wtedy przejść Piątą Aleją bez zwrócenia niczyjej uwagi, nie rozpoznana. Złote włosy zaczesane były gładko do tyłu, martwe i matowe; drogi żakiet wyglądał jak zakupiony na targu staroci, a cała jej witalność, dociekliwość i inteligencja, które wyniosły ją na szczyt, były przyćmione niby ekran telewizora, który, po wciśnięciu przycisku, zdaje się zapadać w głąb, zanim zniknie zupełnie.

Nikt, z wyjątkiem samej Mal, nie potrafił zrozumieć tego zjawiska, a ona nie kwapiła się z wyjaśnieniami. Była kobietą dobrze skrywającą swoje sekrety, nawet jeżeli czasem nie pozwalały jej spać.

Zazwyczaj jednak Mallory Malone miała świat u swych stóp. Tego ranka wyruszyła w drogę do Londynu, gdzie chciała przeprowadzić wywiad ze zmysłową amerykańską aktorką, która właśnie zaręczyła się z mężczyzną cztery razy starszym od siebie, multimilionerem z nie za piękną przeszłością, zdradzającym apetyt na więcej niż mu to jeszcze było przeznaczone.

Mal namówiła szczęśliwą parę na wywiad, wiedząc, że aktorka jest złaknięta reklamy. Czuła się mile połączona propozycją rozmowy, choć Mal ostrzegła ją, że zada jej parę „impertynenckich” pytań natury osobistej.

– Och, wiem, co masz na myśli – zawołała uszczęśliwiona aktoreczka. – Zapytasz mnie, czy poślubiam go dla jego milionów? Cóż, mogę odpowiedzieć już teraz, Mal.

Z ręką na sercu. Jestem zakochana. Zupełnie po prostu. Gdybyś go znała, zrozumiałabyś, dlaczego muszę go kochać. Jednak Mal nie miała zamiaru pytać o rzeczy aż tak oczywiste. Zamierzała zapytać o to, co ciekawiło cały świat: czy urocza, dwudziestotrzyletnia dziewczyna uprawia seks z tym nieprzyjemnym osiemdziesięcioletnim mężczyzną? A jeżeli tak, to co przy tym czuje? Czy w ogóle rozważałaby pójście z nim do łóżka, nie mówiąc o spędzeniu z nim reszty jego życia, gdyby nie był multimilionerem?

Zamierzała porozmawiać z multimilionerem oddzielnie, zabrać go na obchód jego wielkiej posiadłości wiejskiej i londyńskiego pałacu. Poprosić, by opowiedział jej o swoim prywatnym odrzutowcu, apartamentach w najwspanialszych hotelach świata, o jachcie przycumowanym w Monte Carlo i o szwajcarskiej kryjówce, z której teraz, kiedy jest już stary, korzysta prawie przez cały rok.

Rozrusza go, pozwoli mu opowiedzieć o swoich osiągnięciach, i wiedziała, że da się złapać, ponieważ był bezwzględny starym człowiekiem, który nie troszczył się o nikogo z wyjątkiem siebie. A potem spyta go, bardzo delikatnie, o pierwszą żonę. Dziewczynę z biednego londyńskiego przedmieścia, która pracowała u jego boku w czasach, kiedy dźwigali się, tak strasznie wolno, z najniższego szczebla drabiny, kiedy zmieniali robotniczą kawiarnię w londyńskim East Endzie w podwaliny imperium gastronomiczno-hotelarskiego.

– Co stało się z tą młodą kobietą? – zapyta go, choć znała przecież odpowiedź.

A kiedy opowie jej kłamliwą historyjkę, ona przedstawi mu fakty. Przypomni, że w miarę jak interes się rozrastał, przestał uznawać żonę za odpowiednią towarzyszkę dla króla wielkiego biznesu. Przypomni mu o okrutnym rozwodzie, który odarł ją? wszystkiego. I o „wypadku” w jego wiejskiej rezydencji, gdzie przyjechała, żeby z nim porozmawiać, poprosić o okruchy z jego monarszego stołu.

O wypadku, w wyniku którego żona wylądowała w stanowym zakładzie psychiatrycznym z trwałym uszkodzeniem mózgu. Przebywa tam od trzydziestu lat. Wiecznie sama, przez nikogo nie odwiedzana, bez nadziei, by ktoś ulżył jej cierpieniu.

– A ten wypadek? – zapyta słodkim głosem. – Zdaje się, że dwie osoby były świadkami upadku pana żony z zabytkowych, dębowych schodów z czasów Jakuba I.

Jak to się stało, że nigdy nie opowiedziały światu, co naprawdę widziały?

Mogła sobie wyobrazić, że odburknie coś arogancko, z twarzą poczerwieniałą z wściekłości. A ona uśmiechnie się i powie: „Cóż, ci ludzie nie chcą opowiedzieć o tym teraz. Są gotowi zeznać, że zapłacił im pan niemałą sumkę za milczenie.

Twierdzą, że zepchnął ją pan ze schodów.

A potem zobaczymy, co droga panna Mercenary ma do powiedzenia o swoim multimilionerze, pomyślała Mal ponuro. O tym jaki jest męski, uroczy i szczodry.

I jaki kochany.

Najprawdopodobniej byli sobie wari: on kupił aktorkę jak każdy inny towar, z tą tylko różnicą, że zamiast poszerzyć jego stan posiadania, nabytek miał poprawić jego wizerunek. A ona sprzedawała młodość i niekwestionowaną urodę za chwilową sławę i przywilej bycia żoną bogatego człowieka. Nie wspominając o milionach, które miała nadzieję wyszarpnąć za parę lat w sądzie rozwodowym.

Chyba że stary umrze wcześniej i pozostawi jej wszystko w testamencie, w co Mal osobiście wątpiła.

Spoglądała przez okno na sznur samochodów wolno sunący autostradą i myślała o wycinku prasowym, który spoczywał w torebce. O zgwałceniu i zamordowaniu Summer Young. Studentka była niemal rówieśniczką aktorki. Ona również miała przed sobą całe życie. Do chwili, gdy jakiś skurwiel położył mu kres.

Takie ładne nazwisko: Summer Young. Mal próbowała ją sobie wyobrazić. Jakie miała ambicje, przyjaciół, rodzinę? Może zaliczała się do samotników, do studentek całkowicie pochłoniętych nauką, zdecydowanych iść własną drogą przez świat? Mal zadrżała na myśl o tym, co przydarzyło się Summer Young.

Sięgnęła po telefon i wystukała numer redakcji.

– Beth Hardy, słucham – jej asystentka odebrała telefon po pierwszym sygnale.

– Beth, to ja. Jestem w drodze na lotnisko. Wyłapałaś może informację o gwałcie i o zabójstwie studentki Uniwersytetu Bostońskiego?

– Jasne! Przecież to moja Alma Mater, pamiętasz? Mój Boże, Mal, do czego zmierza ten świat?! Gdyby zadzwoniła po ochronę studencką! Ale znam ten parking, zaledwie pięć minut od biblioteki. Pewnie uznała, że nie warto, że nie ma niebezpieczeństwa. Biedna mała – dodała ze smutkiem.

– Istnieje możliwość, że policja wiąże śmierć Young z dwoma podobnymi gwałtami i zabójstwami w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Zrób dla mnie małe rozeznanie, dobrze Beth? Zobacz, czego uda ci się dowiedzieć.

– Zrobisz z tego program?

Mal spoglądała ponuro przed siebie. W oddali ukazały się już budynki lotniska.

– Może. Tak mi coś chodzi po głowie. Myślę, że w tym wypadku kieruje mną zwykła ciekawość. Sprawdźmy, czy policja nie zachowała czegoś dla siebie.

Masowego mordercy na wolności, na przykład.

Z niezadowoleniem zmarszczyła brwi, kiedy w aparacie odezwały się trzaski.

– Muszę kończyć, Beth. Zadzwońię z Londynu.

– Bon voyage! Zrób dobry wywiad! – zawołała Beth i odłożyła słuchawkę.

Dziesięć minut później Mallory Malone, przeprowadzona korytarzem dla

ważnych osobistości, siedziała w Concordzie, a po dalszych pięciu minutach była już w powietrzu. Podziękowała za szampana i sok pomarańczowy, wypila filiżankę herbaty, ignorując mężczyznę, który siedział obok i zdradzał wyraźną ochotę do pogawędki.

Wyrzuciwszy z pamięci Summer Young, wyjęła papiery i zajęła się opracowaniem wywiadu, punkt po punkcie.

Zanim się obejrzała, samolot zaczął schodzić do lądowania. Poszła do łazienki, przypudrowała ładny, choć trochę garbaty nos, umalowała usta beżową szminką Mocha i przyczesła krótkie włosy. Z troski o współpasażerów nie spryskała „Nocturnesem” przegubów dłoni i małego zagłębienia między piersiami.

Popatrzyła na siebie w lustrze, czując ruch samolotu pod stopami. No proszę, oto mała, nijaka Mary Mallory Malone z małego miasteczka w Oregonie, leci z prędkością światła na spotkanie z jednym z najbogatszych łajdaków na świecie!

Uśmiechnęła się. Czasami jej samej trudno było w to uwierzyć.

Chwilę później została przeprowadzona przez odprawę paszportową. Czekający rolls-royce zawiózł ją do Londynu, do luksusowego hotelu „Lanesborough”, gdzie otrzymała apartament z osobistym kamerdynerem.

– Och, Mary Mallory – powiedziała do siebie, niemal z lękiem. – Zostawiłaś daleko za sobą nocne autobusy i tego rdzewiejącego turkusowego chevroleta z chromowanymi wykończeniami.

6.

– Dzięki, za dobre chęci, Profesorku – powiedział Rossetti, sześć godzin później w drodze powrotnej do Bostonu. Siedzieli w przydrożnej kawiarni i jedli śniadanie albo lunch, Rossetti nie wiedział już co, ponieważ stracił wyczucie czasu.

– Dzięki. Nie jest to wiele, ale przynajmniej mamy punkt zaczepienia – Harry nie odrywał wzroku od portretu pamięciowego mordercy: typ kaukaski, szczupła twarz, szerokie usta o wąskich wargach, szerokie czoło, strzecha ciemnych włosów. I nieruchome oczy, które wryły się w pamięć ostatniej ofiary.

Wydobycie z rybaków tego pobieżnego opisu mężczyzny, którego widzieli zaledwie przez parę sekund w złudnym świetle latarki, zajęło Harry'emu cztery godziny. Na początku twierdzili z uporem, że w ogóle nic nie pamiętają: było za ciemno, wszystko odbyło się za szybko, facet zniknął zanim w ogóle się zorientowali, że tam jest. Ale Harry wziął ich w obroty, umiejętnie cofnął do chwili, gdy zobaczyli dziewczynę, do tej decydującej chwili, kiedy ich mózg zarejestrował obraz mordercy.

Powiedział im, co Summer mówiła o oczach mordercy, zagrał na ich wrażliwości, napomykając, że były to jej ostatnie słowa przed śmiercią. Byli z grantu porządnymi facetami, chcieli pomóc. Potem do pracy przystąpił Latchwell i w rezultacie zdobyli coś w rodzaju portretu.

– Średniej budowy, średniego wzrostu – po raz kolejny przeczytał Harry. – Twarz szczupła, gładko wygolona. Wyraziste oczy, mocno zarysowane brwi. Gęste, kędzierzawe, czarne włosy. Ubrany na czarno. Jeździ małą, ciemną ciężarówką, albo samochodem typu combi. Jutro informacja trafi na pierwsze strony „Heralda”

„Globe”, i wszystkich lokalnych dzienników, może nawet do prasy ogólnokrajowej.

Rossetti wzruszył ramionami: niewiele sobie po tym obiecywał.

– I znowu zgłosi się kupa szaleńców szukających łatwej sławy i zastęp małych staruszek, przekonanych, że ten właśnie osobnik krył się w szafie zeszłej nocy.

Głośno siorbnął kawę i Harry spojrzał na niego z dezaprobatą.

– Powinieneś przestać żłopać to paskudztwo. Kofeina zżera ci już pewnie żołądek.

– Wyobraź sobie, jakbym wyglądał, gdyby doktor Blake zatopił we mnie swój skalpel.

– Bałby się ciebie otworzyć. Zamiast krwi znalazłby w żyłach kawę – ich oczy się spotkały. – Dzisiaj o szóstej robi sekcję Summer Young.

– Idziesz?

Harry skinął głową.

– Na mnie nie licz, stary. Nie znoszę babrania się w bebechach, ważenie serca,

wątroby to nie dla mnie. Powiedz, Profesorku, co skłania faceta, żeby zostać lekarzem sądowym?

– Nauka. Bez lekarzy takich, jak Blake często nie wiedzielibyśmy, co się naprawdę wydarzyło. On też jest detektywem, tyle że zadaje pytania umarłym.

Rossetti wzdrygnął się nerwowo.

– Brrr. Zostanę przy żywych, dzięki. Harry roześmiał się.

– Nie uda ci się, jeżeli będziesz żłopał kawę.

– Przy ganiał kocioł garnkowi! Skoro mowa o zdrowiu, kiedy zjadłeś ostatni porządny posiłek? I nie chodzi mi o to, co serwują u „Ruby”.

Harry zamyślił się.

– Trzy tygodnie temu – powiedział w końcu. W „Marais”, w towarzystwie uroczej kobiety, zupełnie ci obcej, nie musisz więc znać jej nazwiska, do której miałem potem zadzwonić – pokiwał głową z ubolewaniem.

Rossetti spozrzał na niego jak na ciekawy przypadek chorobowy.

– Taki przystojny facet, jak ty, Profesorku! Z takim wykształceniem i takim fikuśnym mieszkankiem! Kobiety walą ci się pewnie do łóżka drzwiami i oknami.

Harry wstał ze śmiechem i grzmotnął Rossettiego w plecy.

– Dzięki za komplement. Ale związek z kobietą wymaga czasu. Zadzwoniłem, ona oddzwoniła... poszliśmy na drinka, na kolację, godzina tu, godzina tam. To nie wystarcza.

Poprosił o rachunek, położył pieniądze na stole wraz z pięciodolarowym napiwkim. Miał słabość do kelnerek; pracowały ciężko, wiedział, że właśnie napiwki wynagradzają im długi dzień pracy i niskie pensje.

Młoda kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością, zgarniając pieniądze.

– Piękne dzięki! – zawołała za nim. – Życzę miłego dnia! Rossetti puścił do niej oko, co skwitowała uśmiechem.

– Widzisz? – powiedział do Harry’ego. – Jedno słowo zachęty i załatwiłbyś sobie randkę.

Harry westchnął ze znużeniem.

– Rossetti, Rossetti, to ty jesteś samozwańczym Casanovą, nie ja. To do ciebie ona się uśmiechała. Poza tym, ma pewnie męża i trójkę dzieci.

– Od kiedy jest to dla ciebie problemem?

Rossetti zrobił minę niewiniątka i Harry musiał się roześmiać.

– Wstydź się! Dobry, włoski katolik! Gdyby twoja mama o tym wiedziała. I twój spowiednik!

– Wierz mi, on wie o wszystkim. Także, co sędzę o gwałcicielach i mordercach. Wie nawet, że chciałbym urwać im jaja.

Pies siedział przy drzwiach nad opróżnioną miską psiej karmy. Harry odwiązał

smycz.

- Spotkamy się przy samochodzie – powiedział do Rossettiego.
- Przepraszam, stary – mruknął, kiedy pies zaczął go ciągnąć w stronę trawnika.
- To był ciężki dzień. Pójdziemy później na długi spacer i wszystko ci

wynagrodzę.

Pies machnął ogonem, obwąchał trawę i załatwił potrzebę. Harry pomyślał, że cokolwiek zrobi, zawsze zyska aprobatę Squeeza.

Jadąc z powrotem do Bostonu, myślał o kobiecie, którą zaprosił na kolację trzy tygodnie temu. Była atrakcyjna, urocza, kulturalna i bardzo pewna siebie.

Pochodziła z dobrej bostońskiej rodziny, ich rodzice się znali. Zadzwoiła do niego i nagrała się na automatyczną sekretarkę.

– Zmówili się na nas – usłyszał, kiedy odsłuchiwał nagrania. – Przez parę lat nie było mnie w kraju, pracowałam w Paryżu, więc rodzice uznali, że zupełnie wypadłam z tak zwanego towarzyskiego nurtu. A twoja matka straciła podobno resztę nadziei. Ich zdaniem, stanowimy dla siebie ostatnią szansę, więc czemu nie mielibyśmy ich uszczęśliwić? Zapraszam cię na kolację. Może w przyszłym tygodniu?

Był zachwycony wiadomością, i oczarowany nią. Była wysoka, szczupła i zgrabna, a długie, czarne włosy wiązała z tyłu w węzeł na modłę hiszpańską. Jej brązowe oczy iskrzyły się i iskrzył się jej dowcip. Kolacja była zabawna, podobnie jak spotkanie przy drinku, parę wieczorów później, u niej w mieszkaniu. Miał dyżur od dwudziestej do czwartej i musiał wyjść. Ujrzał żal w jej oczach, usłyszał go także w swoim głosie, ale nie znalazł czasu, by kontynuować tę interesującą znajomość.

Parę dni temu zadzwoniła matka z wiadomością, że tamta kobieta spotyka się już z byłym kolegą ze studiów. Wydają się dla siebie stworzeni.

Harry wzruszył ramionami. Takie jest życie gliniarza. Zwłaszcza gliniarza bez reszty oddanego pracy.

Zerknął na zegarek w obitej drewnem tablicy rozdzielczej jaguara. Jeżeli dociśnie pedał gazu, będzie miał czas na szybki prysznic przed wizytą u doktora Blacke'a w szpitalu.

7.

Parę dni później, o siódmej trzydzieści rano, Harry siedział w swoim pokoju z rękoma założonymi na kark, nogami na biurku, zamkniętymi oczami. Myślał o Summer Young.

Przed chwilą odbyli z Rossettim wyczerpującą konferencję z wściekłym szefem policji, który oznajmił, że burmistrz traci cierpliwość, musi w końcu powiedzieć coś mieszkańcom miasta. Czy w Bostonie grasuje masowy morderca? Jeżeli tak, chce wiedzieć, co policja robi w tej sprawie?

– A myśli, że co policja robi w tej sprawie? Siedzi na dupie i pozwala facetowi wykręcić się sianem? – dopytywał się Rossetti z oburzeniem.

Harry solidaryzował się z nim. Obaj odczuwali presję śmierci Summer Young. Palił ich gniew.

– Robimy, co w naszej mocy – powiedział szefowi policji. – Robimy wszystko, co możliwe, żeby złapać drania – nie zapomniał, że Summer tak właśnie nazwała swojego oprawcę, na chwilę przed śmiercią.

– Tak, tak – szef był zdenerwowany. – Cóż, Harry, będziecie się musieli bardziej postarać. Potrzebuję wyników, natychmiast! Burmistrz chce widzieć tego mordercę za kratkami. Boston jest sławny ze swych uczelni, burmistrz nie chce, żeby gwałcono i zarzynano studentki, musi dbać o wizerunek miasta. Poza tym, on też ma córkę w Northeastern. Można powiedzieć, że jest zainteresowany osobiście.

Chce wyników, Harry. Zaraz!

Harry zdjął nogi z biurka i włączył komputer, przywołując katalog dowodów w sprawie Summer Young.

Technicy policyjni odwalili kawał dobrej roboty. Znaleźli odciski kolan w miejscu, gdzie morderca klęczał nad ofiarą. Na ich podstawie ustalono, że był niskim, krępy męczyzną, metr sześćdziesiąt osiem-siedemdziesiąt.

Znaleźli również miejsce zaparkowania samochodu, niestety na piaszczystym podłożu nie odbiły się ślady opon. W laboratorium kryminalistyki nadal badano cząsteczki gumy zdrapane z drogi, choć istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by udało się na ich podstawie określić rodzaj opon. Za to samochód Summer powiedział im o wiele więcej.

Wiedzieli, że zabójca ukrył się na podłodze fiata, ogłuszył dziewczynę ciosem karate, o czym świadczą sine ślady na jej szyi tuż powyżej tętnicy szyjnej i na czole. Musiała przechylić się w przód i uderzyć głową o kierownicę.

Medycyna sądowa nie pozostawia pytań bez odpowiedzi. Opiera się na założeniu, że kryminalista zawsze pozostawi po sobie jakiś ślad na miejscu zbrodni. I że zawsze zabierze coś ze sobą, na ubraniu lub na ciele: cząsteczki skóry, kurzu, nitkę, włos,

okruch farby. Dlatego lekarze sądowi szukają dowodów w nieprawdopodobnych miejscach.

Technicy policyjni mieli nadzieję zdjąć odcisk buta z podłogi fiata za pomocą elektronicznej maty. Umieścili arkusz folii między dwoma arkuszami włókna octanowego i puścili przez nie prąd elektryczny. Jeżeli odcisk istniał, pod wpływem prądu cząsteczki pyłu powinny przylgnąć do włókna. Tym razem go tam nie było, więc zebrali tylko kurz i odnieśli do laboratorium.

Znaleźli również czarną nitkę na tylnym siedzeniu fiata, a na ubraniu denatki kilka włosów, które nie należały do Summer Young. Laboratorium nadal przeprowadzało testy i Harry lada chwila spodziewał się wyników. Oczywiście, same w sobie nie stanowiły żadnego dowodu, ale Harry nauczył się cenić te materiały. Medycyna sądowa była współczesnym odpowiednikiem Sherlocka Holmesa.

Jeżeli zbrodni dokonał kamerdyner, lekarze sądowi mogli to potwierdzić.

Badali również ślinę zebraną z ranek na piersiach denatki, a sądowy stomatolog odtwarzał uzębienie mordercy na podstawie śladów po ugryzieniach.

Lecz najważniejszym dowodem rzeczowym była sperma znaleziona na ciele ofiary.

Mając wyniki DNA, będzie można powiązać morderstwo Summer Young z zabójstwem dwóch innych kobiet. Sperma była równie obciążająca jak odciski palców. DNA zaprowadzi mordercę za kratki.

Tymczasem minął tydzień od rozesłania portretu pamięciowego. Miejscowe stacje telewizyjne pokazywały go we wszystkich wydaniach dziennika, gazety umieszczały go na pierwszych stronach, rano i po południu. Przyjęto mnóstwo zgłoszeń: od wariatów i od odpowiedzialnych obywateli, którym wydawało się, że rozpoznali mordercę. Sprawdzano każdy ślad, każdy meldunek. I nic.

Harry zaczął powątpiewać w wiarygodność opisu, może za mocno naciskał na tych rybaków, zasugerował ich.

Myślał o tym, co dziewczyna powiedziała przed śmiercią, „nieruchome oczy... delikatne dłonie”. Tylko ona wiedziała, jak naprawdę wyglądał zabójca. Nawet doktor Blake, po przeprowadzeniu autopsji, spojrzął na niego z powątpiewaniem.

– Myśli pan, że istnieje jakieś prawdopodobieństwo? – zapytał. – Skąd ta pewność? Tylko dziewczyna mogłaby to potwierdzić, niestety nie dożyła tej chwili.

On ma rację, pomyślał Harry, znowu zakładając nogi na biurko i przeczesując palcami ciemne włosy.

Nie ulegało wątpliwości, miał problem.

Albo portret pamięciowy nie oddawał wyglądu zabójcy, albo facet nie był miejscowy. Jeżeli mają go powstrzymać, muszą uzyskać pomoc społeczeństwa, muszą nagłośnić sprawę na cały kraj.

– Potrzebna nam Mallory Malone – powiedział do Rossettiego. Rossetti uniósł ciemne brwi i patrzył na swojego partnera, jakby ten nagle postradał zmysły.

– Jasne, tylko tego nam trzeba! Niech wystrychnie nas publicznie na policyjnych dudków, wytrzeszczy te swoje niebieściutkie oczęta i powie całej Ameryce, że gdybyśmy mieli trochę oleju w głowie i wykonywali swoje obowiązki jak należy, złapalibyśmy faceta przy jego pierwszej próbie. Innymi słowy, koleś dokopie nam publicznie za trzy morderstwa. Dziennikarze opadną nas jak piranie w porze karmienia – wzruszył ramionami. – Przemysł to stary, dobrze ci radzę.

– Korona nam z głowy nie spadnie, nawet jeżeli pokaże portret w swoim programie. Może wyłowi jedną osobę, która zna faceta? W Kalifornii. Na Florydzie. W Teksasie albo w Montanie? Jezu, Rossetti! Potrzebujemy pomocy i to prędko. Zanim trop ostygnie.

– Jaki trop? – Rossetti przeszył go gniewnym spojrzeniem. – Po co szukać nowych kłopotów? Zdaje się, że tkwimy w starych po uszy. Nie wystarczy ci, że masz na głowie szefa policji, nie wspominając o burmistrzu, wszystkich rektorach uniwersytetów w całym stanie Massachusetts? Po co ci jeszcze Mallory Malone?

Przez chwilę dwaj partnerzy patrzyli sobie gniewnie w oczy, potem Rossetti się roześmiał. Wzruszył ramionami, pokonany.

– Niech to diabli, oczywiście masz rację. Cóż jest warta kariera, skoro człowiek nie potrafi wykonać roboty, za którą mu płacą. Dzwon do Malone, jeżeli musisz, ale mnie wyłącz. Idę do „Ruby” katować się jajecznicą i naleśnikami ze „specjalnym” syropem klonowym. Idziesz?

Harry pokazał mu w uśmiechu wszystkie zęby.

– Pozwolę, by „Ruby” wyświadczyła ci przysługę i wysłała cię na tamten świat.

Ja zadowolę się jeszcze, jedną filiżanką czarnej śmierci, którą tu nazywają kawą.

Harry przedarł się przez tłum do automatu z kawą w końcu sali. Cuchnęło potem, papierosowym dymem i stęchłą pizzą, i nawet o tak wczesnej porze szumiało tu jak w ulu. Cmentarna zmiana minęła pracowicie; na tapecie była rodzinna kłótnia zakończona próbą zaszlachtowania, nieudaną, choć losy ofiary jeszcze się ważyły, strzelanina na tle handlu narkotykami oraz ucieczka z miejsca wypadku. Sala pełna była pijaków, ofiar i sprawców rodzinnych waśni, chuliganów, złodziei i wykończonych policjantów, wystukujących na maszynie protokoły sprawy i odbierających telefony. Niezły połów, jak na ośmiogodzinny dyżur. Po raz setny Harry pomyślał, że ludzka głupota nie zna granic, z niewiadomych powodów człowiek nie jest w stanie pojąć, że kiedy w grę wchodzi przemoc, nie ma zwycięzców.

Z łatwością, jaką dają lata praktyki, odciął się od tumultu i pograżył w rozmyślaniach o Mal Malone.

Sądząc z tego, co robiła w telewizji, była prawdziwym tropicielem. Dwukrotnie ujawniła informacje, dzięki którym stworzono portrety pamięciowe. Dwukrotnie pokazała te portrety w swoim programie i doprowadziła do schwytania mordercy.

Malone postawiła sobie za punkt honoru wiedzieć absolutnie wszystko o ludziach, o których robi się programy, a jej zespół zdawał się być obdarzony szóstym zmysłem. Miała dojścia do bardzo ważnych osobistości i potrafiła odkryć nawet najlepiej strzeżoną tajemnicę rodzinną. Ludzie żartowali nerwowo, że jeżeli dobierze się do ciebie Malone, lepiej, żebyś był niewinny jak dziecko. Nawet gliniarze mówili, że jest twarda. Mówili, że zatapia zęby w swoje ofiary jak rottweiler i już nie puszcza.

A uchodzi jej to na sucho tylko dlatego że wygląda jak anioł.

Jej niebieskie oczy miały zawsze niewinny, lekko zdziwiony wyraz, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co robi. W swoich garsonkach od Donny Karan wyglądała jak grzeczna Amerykanka z klasy średniej, która postanowiła pójść na całość. Jej naiwny, pogodny sposób bycia skrywał nieposkromioną ambicję i żelazną wolę.

Publiczność mogła ją kochać, natomiast z gliniarzami łączył ją związek oparty w równych dawkach na miłości i nienawiści. Byli jej wdzięczni, kiedy pomagała łapać oszustów, morderców, narkotykowych bonzów, ale wieszali na niej psy, kiedy dawała im odczuć, że wykonuje tę robotę lepiej od policyjnych asów.

Harry wzruszył ramionami; znalazł się między młotem a kowadłem. Ujął słuchawkę telefonu i wykręcił numer Malmar Productions.

– Mówi Harry Jordan, detektyw wydziału zabójstw z bostońskiego departamentu policji – powiedział kobiecie, która odebrała telefon. – Chciałbym rozmawiać z panną Malone.

– Chwileczkę, przełączę pana do jej asystentki – padła odpowiedź. Po paru minutach, wypełnionych zaskakująco łagodnym utworem na fortepian, odezwał się inny głos.

– Tu Beth Hardy. W czym mogę pomóc, detektywie Jordan?

– Mam tu sprawę, którą chciałbym omówić z panną Malone. Morderstwo młodej studentki sprzed paru tygodni.

– Och, tej z Uniwersytetu Bostońskiego?

– Czytała pani o tym?

– Tak, to potworne. Ja sama skończyłam Uniwersytet Bostoński. Nie jestem wiele starsza od tamtej dziewczyny. Prawdę mówiąc, myślę często, że to mogłam być ja.

Biedna mała – dodała współczująco.

– Przydałaby nam się pomoc panny Malone. Beth Hardy westchnęła z ubolewaniem.

– Przykro mi, detektywie Jordan, ale wybrał pan złą chwilę. Właśnie wczoraj

wróciła z Londynu i postanowiła zrobić sobie małe wakacje. Zresztą programy są ustalane na sześć tygodni naprzód – zawahała się, przypomniawszy sobie telefon w drodze na lotnisko. Zespół dokumentalistów zebrał już prawdopodobnie informacje, o które prosiła.

– Wie pan co? – dodała. – Zadzwoń do niej. Może będzie zainteresowana, może nie.

Harry zmarszczył brwi. Rossetti miał rację: już czuł się jak głupiec. Sądząc po tym, co mówiła asystentka, Malone była arogancką osobistością telewizyjną.

– Serdeczne dzięki, panno Hardy – powiedział sardonicznym tonem – nie będę czekał na telefon panny Malone.

Śmiech Betty zabrzmiał prowokująco.

– Ależ niech pan nie będzie taki przewrażliwiony, detektywie Jordan! Niczego nie obiecuję, ale zobaczę, co się da zrobić.

8.

Mal nie odebrała telefonu Beth Hardy. Leżała na kanapie w salonie luksusowego apartamentu na Piątej Alei i bezmyślnym wzrokiem wpatrywała się w szare chmury zbierające się nad Central Parkiem.

Nabuzowała się energią na londyński wywiad, żyła nerwami i adrenaliną.

Multimilioner okazał się twardszy niż przypuszczała, twardszy nawet niż można się spodziewać po człowieku o takiej reputacji. Ale wsadziła kij w mrowisko i teraz pozostawało jej tylko czekać na efekty. Wiedziała, że program, który telewizja nada wieczorem, wywoła sensację.

Najzabawniejsze było to, że stary skurwiel nie mógł jej nic zrobić. Omówiła wszystko, każdy najdrobniejszy szczegół z prawnikami. Będzie jej groził, ale nie pozwie jej do sądu. Nie mógł, ponieważ odkryła prawdę. Dalszy bieg wydarzeń zależał od policji i od jego narzeczonej, choć wyglądało na to, że ona będzie trwała przy jego boku.

Mal ze zdumieniem pokręciła głową. Dowodziło to tylko potęgi pieniądza. Wszystko za cenę tuzina garsonek Chanel i kilku drogich prezencików. Ta kobieta myślała wyłącznie o tym, że złapała Pana Bogatego, nie przyszło jej jakoś do głowy, że kiedy się sprzykrzy, ją również może spotkać wypadek na schodach z epoki Jakuba I. Ponieważ staruszek nie rozstanie się ze swoimi pieniędzmi, nie zapisze nikomu ani centa. Zabierze je do grobu, albo przeznaczy w całości na budowę własnego pomnika; centrum kulturalnego albo muzeum jego imienia. Zadba o to, by go wspomniano przez następne stulecie. Miał zamiar zapewnić sobie nieśmiertelność.

Mal ziewnęła przeciągle. Była zmęczona. Nawet Concorde nie eliminował stref czasowych. Żałowała teraz, że nie zatrzymała się na parę dni w Londynie, nie zwiedziła miasta. Ale nikogo tam nie знаła, z wyjątkiem członków własnej ekipy. Oczywiście, otrzymała mnóstwo zaproszeń; na kolacje, premiery, imprezy charytatywne. Był to przecież londyński sezon towarzyski. Ale to ją nie bawiło, zaliczało się do zajęć obowiązkowych. Sale pełne obcych ludzi, którzy chcieli się z nią pokazać tylko dlatego że była sławna. Byłaby główną atrakcją wieczoru, musiałyby się uśmiechać, być uprzejma, tryskać dowcipem, prowadzić konwersacje. Odrzuciła wszystkie zaproszenia.

Wątpliwości zrodziły się dopiero później, podczas samotnej kolacji w luksusowym, pełnym kwiatów apartamencie hotelowym. W końcu, powiedziała sobie, może spotkałaby tam kogoś interesującego, kogoś, z kim wymieniłaby rozbawione spojrzenia. Może spotkałaby tam mężczyznę, który dostrzegłby w niej kobietę, a nie gwiazdę telewizyjną, kogoś, z kim mogłaby się pośmiać, z kim miło spędziłaby czas.

Chmury zakryły słońce i Mal owinęła się szczelniej miękkim szlafrokiem w kolorze kości słoniowej. Podkuliała bosc stopy pod siebie na perkalowej kanapie w róże.

Mieszkanie Mal zaskakiwało każdego, kto wchodził tu po raz pierwszy. Ludzie oczekiwali, że będzie takie, jak jego właścicielka: chłodne, proste, monochromatyczne. Czekala ich niespodzianka: staroświecki domek na wsi. Nie zabrakło nawet rodzinnych fotografii i tarasu z ogródkiem.

Dom Mal pełen był angielskich antyków, wygodnych kanap, obitych artystycznie wyblakłym materiałem w kwiaty. Na stolikach stały fotografie w srebrnych ramkach, na półkach białe kruki obok współczesnych biografii, bestsellerów i powieści kryminalnych. Na obitych drogim jedwabiem ścianach wisiały doskonale oświetlone obrazy przodków, koni i psów. Można tam było znaleźć akwarele przedstawiające wille w Toskanii i sielskie krajobrazy angielskie, a przed francuskim kominkiem, na masywnym dębowym stole, piętrzyły się książki o sztuce.

Nawet w taki parny wieczór, jak ten, Mal rozkręcała klimatyzację i rozniecała ogień za kratą, po prostu dlatego że lubiła na niego patrzeć.

Lubiła widzieć wokół siebie kwiaty, kolczaste niebieskie ostróżki pachnące białe lewkonie, lwie paszcze, ogromne stokrotki i pachnące wielkie róże, powielone na obrazie sławnego siedemnastowiecznego artysty holenderskiego nad stolikiem do kawy. Ale najbardziej lubiła zapach lilii i, kiedy przychodził ich krótki, słodki sezon, niczego nie brakowało jej do szczęścia.

Niewiele osób wiedziało o tym, że w zaciszu swojego domu, chłodna, oszczędna w gestach, skromna Mal Malone staje się osobą wygodną, niemal rozrzutną.

Wydostawszy się z miękkiej otchłani kanapy, wyszła na taras. Bliźniacze kamienne fontanny pluskały śpiewnie, kiedy obchodziła ogród. Wsadziła wymanikiurowany palec w ziemię, żeby sprawdzić jej wilgotność, wyrwała martwe łodyżki ptasiego ziela, usunęła zwiędłą azalię, podniosła gałązkę rozmarynu, by rozgnieść pachnące liście.

Usiadła na rzeźbionej drewnianej ławeczce z widokiem na szczyty manhattańskich drapaczy chmur.

Jeżeli zamknę oczy – powiedziała, zaciskając mocno powieki, wdychając zapach liści rozmarynu – znajdę się w Prowansji. Zamiast szumu aut i brzęczenia telefonu, będę słuchała śpiewu cykad, ptaków i szumu wiatru w liściach drzewach oliwnych.

Otworzyła oczy i rozejrzała się niespokojnie. Rzadko miewała wolny czas i teraz nie wiedziała, co z nim począć.

Jeszcze raz wstała i obeszła taras. Podniosła z ziemi kolejną główkę martwego kwiatu i skrzywiła się, kiedy pierwsze duże krople deszczu rozbiły się z pluskiem o płyty tarasu. Niebo rozdarła błyskawica, zagrzmiało. Po chwili lało już jak z cebra.

Otulając się szlafrokiem, Mal umknęła do mieszkania.

Znowu rozdzwonił się telefon. Ruszyła biegiem, żeby go odebrać i przystanąła, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka. Przypomniała sobie, że wzięła wolne, ponieważ uznała, że tego właśnie potrzebuje. Teraz pozostawało jej tylko cieszyć się z tego powodu.

Zawahała się, zerkając na aparat. Nie stanie się przecież nic złego, jeżeli sprawdzi, kto dzwonił, upewni się, że jeszcze o niej nie zapomnieli.

Odegrała szesnaście wiadomości i była już porządnie znudzona, kiedy zgłosiła się Beth Hardy.

„Przepraszam, że zakłócam ci wymarzony spokój – powiedziała – ale mam coś, co wydaje się pilne. Pamiętasz studentkę z Uniwersytetu Bostońskiego? No wiesz, tę, która została zgwałcona i zamordowana? Kazałaś nam zająć się tą sprawą, dowiedzieć się czegoś, na wypadek, gdybyś była zainteresowana. No więc dziś rano zadzwonił detektyw Harry Jordan z Bostonu. Chce, żebyś się tym zajęła.

Powiedziałam mu, że masz napięty program, a poza tym jesteś na wakacjach. Trochę się wkurzył, że nie jesteś na pierwsze zawołanie, ale pomyślałam, że może chciałabyś o tym wiedzieć. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, a przynajmniej, że odpoczywasz. A tak przy okazji, mam tu jego biurowy telefon. Domowy zresztą też. Zastrzeżony. Trochę dziwne, jak na gliniarza, no nie? Pomyślałam, że ci podam, tak na wszelki wypadek – dodała ze śmiechem. – Uwaga, dyktuję”.

Mal opadła na kwieciste krzeselko przy biurku. Nie zapomniała młodej dziewczyny, brutalnie zgwałconej i zamordowanej.

– Summer Young – powiedziała na głos. Tylko bardzo kochający rodzice mogli nadać dziecku takie magiczne imię. Podkułiła nogi i objęła ramionami kolana, zapatrzona w przestrzeń, zamyślona. Potem sięgnęła po telefon i wykręciła numer detektywa Jordana.

Automatyczna sekretarka włączyła się dopiero po dziesięciu sygnałach.

– Nic dziwnego, że potrzebujesz pomocy, detektywie – powiedziała Mal z irytacją. – Już miałam ochotę odłożyć słuchawkę, ta cholerna maszyna mogłaby się szybciej włączyć. Zrób mi przysługę i w przyszłości skróć czas oczekiwania do trzech sygnałów. To zaoszczędzi mi nerwów. Wiesz, gdzie mnie szukać. Ach tak! Byłabym zapomniała. Mówi Mallory Malone.

Już na niego zirytowana, rzuciła słuchawkę na widełki i pomaszerowała do kuchni.

Napełniła czajnik i postawiła na gazie. Bębniąc niecierpliwie palcami po wypolerowanym blacie, czekała aż woda się zagotuje. Wrzuciła torebkę malinowej herbaty do kubka w różowe kwiatki, zalała wrzątkiem i mieszała tak długo, aż woda osiągnęła odpowiedni odcień czerwieni. Potem chwyciła kawał niskokalorycznego

ciasta cytrynowego i wróciła do salonu.

Pochłonęła ciasto w dwóch kęsach.

– To przez ciebie detektywie Harry Jordan – powiedziała głośno, ze skruchą obliczając kalorie. Potem się roześmiała. – Niech to! przydałby mi się porządny obiad. Nawet nie pamiętam, kiedy zjadłam coś normalnie, nie w biegu. I nie w samotności, co wcale nie jest zabawne.

Znudzona, wzięła aparat ze stolika i wykręciła domowy numer Jordana.

– Telefon zadzwonił, kiedy Harry otwierał drzwi. Miał na sobie szare szorty, mokrą od potu szarą podkoszulkę i zdarte tenisówki. Wprowadzał rower górski Nishiki, a w rękę trzymał kask. Squeeze pierwszy dopadł telefonu, ale numer z przyciskiem budzika był szczytem jego technicznych umiejętności. Z przyjemnością obszcze kiwał więc aparat.

– Z drogi, psie, to zadanie dla mężczyzny – Harry rzucił się na fotel i chwycił słuchawkę.

Tak, Jordan, przy telefonie – powiedział, ciągle jeszcze zadyszany.

– Mallory Malone z tej strony.

– Panna Malone? – zdziwił się. Była ostatnią osobą, którą spodziewał się usłyszeć.

– Mam nadzieję, że to dyszenie nie oznacza, że przyłapałam pana na robieniu czegoś, czego robić pan nie powinien? – powiedziała zadziornie.

Brwi Harry'ego wystrzeliły w górę.

– Panno Malone, mam nadzieję, że nigdy nie złapie mnie pani na czymś, czego robić nie powinienem. Ale z drugiej strony, możemy mieć zupełnie odmienne poglądy na to, co powinienem, a czego nie.

– Całkowicie się z panem zgadzam.

Głos miała cierpki, żeby nie powiedzieć opryskliwy. Bardzo dobrze się z nią rozmawiało. Uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję, że pani oddzwoniła. A tak z ciekawości, skąd ma pani mój domowy numer?

– Dobra ekipa dokumentalistyczna to potęga. Potęga, proszę o tym nie zapominać.

– Innymi słowy, nie chodzi o to, co się wie, ale kogo się zna.

– Trafna uwaga. Może przybliży mi pan naturę swojego problemu.

– Trzech problemów, jeżeli chodzi o ścisłość. Trzy morderstwa, ofiary – studentki w Nowej Anglii. Schemat jest zawsze ten sam. Ogłuszone nocą na parkingu lub cichej uliczce i wywiezione w odludne miejsce. Ostrzyżono im włosy. Zostały zgwałcone, potem przecięto im żyły, bardzo fachowo, czymś bardzo ostrym, niewykluczone, że nożem chirurgicznym. Zostawiono je, by wykrwawiły się na

śmierć. Pierwszą na opuszczonej farmie, drugą na przystani wioślarskiej, trzecią na odludnej plaży. W pierwszych dwóch przypadkach zgłoszono zaginięcie, ale ciała odnaleziono przypadkiem po paru tygodniach.

Ostatnia ofiara, Summer Young, pracowała do późna w bibliotece, po czym poszła na parking po samochód. Została ogłuszona i wywieziona na plażę. Tylko że plaża nie była tak odludna, jak się zabójcy wydawało. W pobliżu znajdowali się dwaj rybacy. Morderca usłyszał ich głosy i uciekł, ale uchwycili go na sekundę w promień latarki. Z ich bardzo ogólnikowego opisu udało się nam stworzyć portret pamięciowy.

– Chce pan powiedzieć, że macie jego twarz? – zapytała ze zdziwieniem.

– Tak jest, psze pani.

– Panno Malone – poprawiła go szybko i usłyszał irytację w jej głosie.

– Nienawidzę zwrotu psze pani. Czuję się wtedy jak stuletnia staruszka.

– Ależ nikt nie dałby pani więcej niż trzydzieści pięć lat, panno Malone! – zadrwił.

– Piękne dzięki, panie detektywie – jej głos nabrał lodowatego brzmienia. – Zakładam, że pan oparł się presji czasu i prawu ciężenia. Wróćmy jednak do sprawy Summe Young. Ostatni tydzień spędziłam w Londynie. Nie zdawałam sobie sprawy, że dysponujecie portretem pamięciowym. Chcę go zobaczyć. Muszę poznać wszystkie szczegóły sprawy. Musi mi pan podać wszystkie znane panu fakty. Nie może być mowy o skrywaniu czegokolwiek.

– Więc jest pani zainteresowana? – Harry już się nie wygłupiał, był śmiertelnie poważny. Potrzebował jej pomocy.

– Jestem zainteresowana pomaganiem niewinnym ofiarom przemocy i zapobieganiem dalszym morderstwom, panie detektywie. Nie jestem natomiast zainteresowana wyręczaniem policji.

Harry przełknął gorzką pigułkę najlepiej jak potrafił.

– Tak, psze pani... to znaczy, panno Malone. Skoro przyświeca nam wspólny cel, jestem pewien, że potrafimy się dogadać – Jest pan wolny jutro wieczorem?

– Mogę być. Dla pani. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie i kiedy.

– Przylecę do Bostonu – powiedziała ku jego zdumieniu.

– Nie ma potrzeby. Ja przyjadę do pani.

Nie zareagowała na jego słowa, jakby w ogóle nie otworzył ust.

– Przylecę z La Guardii samolotem o siódmej. Czy jest tam jakaś restauracja, gdzie moglibyśmy się spotkać.

– Jasne. Niedaleko komendy głównej, na Miller Street. Nazywa się „Ruby”.

– Będę tam o ósmej trzydzieści, detektywie Jordan.

– Z niecierpliwością oczekuję naszego spotkania, panno Malone.

– Coś stuknęło mu w słuchawce i połączenie zostało przerwane.

– Oczekuję, jak cholera! – mruknął, przeczesując palcami gęste włosy. Pies przekrzywił głowę, wywalił język i spoglądał na niego czujnie. Mieli rację, Squeeze – czule potarł srebro sierść psa – panna Malone, psze pani, jest twardzielem.

9.

Deszcz bębnił o płyty chodnika, kiedy Harry skręcał w Miller Street.

Woda przykleiła mu do głowy ciemne włosy, wlewała się za kołnierz starej, skórzanej kurtki wojskowej.

Pies deptał mu po piętach, rzucając niespokojne spojrzenia na niebo, co chwila rozświetlane przez błyskawice. Kulił się przy każdym uderzeniu pioruna. Harry miał nadzieję, że Mallory Malone przebiła się przez burzę, która przez cały dzień krążyła nad miastem. Wcale nie miałby jej jednak za złe, gdyby odwołała spotkanie. Wieczór był parszywy.

Dzwonek w oszklonych drzwiach „Ruby” brzęknął, kiedy wchodził do środka. Mała knajpka była zatłoczona, ani jednego wolnego stolika. Rozpoznał paru gliniarzy, kilku stałych bywalców, trochę przybłędów. Witrażowe szybki nad zasłonami w biało-czerwona kratkę były zaparowane, odcinały wewnątrz od potwornej nocy.

Zapach gorącej kawy, hamburgerów i pieczonych kurczaków nie rozwiewał się nigdy, jak smog nad Los Angeles. Kilka wiekowych kelnerek w biało-czerwonych fartuchach i przywiedłych czepeczkach, zręcznie manewrowało między krzeselkami obitymi czerwonym winylem. Niebieskawy dym z papierosów kłębił się pod poźółkłym od nikotyny sufitem.

Pies otrząsnął się, rozpylając deszczowe krople na wytarte dzinsy Harry’ego, po czym przysiadł na zadzie, węsząc łakomie.

Harry ściągnął ze stołu papierową serwetkę, otarł nią twarz i szyję, starając się pochwycić wzrok kelnerki.

– Hej, Doris! – zawołał, kiedy minęła go, śpiesząc za kontuar. – Ile muszę czekać na stolik?

– Dziesięć, piętnaście minut – wruszyła ramionami. Przytrzymał ją za ramię.

– Muszę mieć pewność, złotko – uśmiechnął się do niej. Miała pięćdziesiąt lat, była pulchna i zabiegana. Znał ją z czasów, gdy miała czterdzieści, była pulchna i miała czas poflirtować. Czas zrobił swoje, ale nadal byli przyjaciółmi.

– Umówiłeś się na randkę u „Ruby”, koteczku? – zapytała, unosząc wyskubane brwi.

– Sprawy zawodowe, Doris. Interesy. Ale to kobieta i nie mogę pozwolić, żeby czekała.

Doris pokazała mu zęby w uśmiechu.

– Lubię, gdy facet wie, jak się należy zachować. Załatwię ci stolik w tamtym odległym kącie, choćbym miała wykopać tych facetów – pociągnęła nosem, spoglądając na mokrego psa. – Pachnie tu jak w chlewie – dodała i poszła sobie.

Wróciła po paru minutach z talerzem pełnym mięsa. Pies zatańczył niecierpliwie na tylnych łapach, kiedy przed nim stanęła.

– Każdemu psu należy się od czasu do czasu kawałek stęka – powiedziała, stawiając talerz w kacie. – Nawet takiemu smrodliwemu kundlowi.

– Rozpieszczasz go, Doris. Poza tym, zjadł już swoją kolację. Zrobi się graby.

– Aha! Zawsze lubiłam grubych mężczyzn i grube psy. Odpadasz w przedbiegach, panie detektywie. Same mięśnie, nie ma nawet za co ścisnąć! – roześmiała się z własnego dowcipu, wzięła pod pachę tacę i zdecydowanym krokiem podeszła do stolika w rogu sali.

– Hej tam, chłopaki! – dobiegł Harry’ego jej donośny głos. – Będziecie tu siedzieć całą noc, czy co? Mam klienta, który czeka na ten stolik.

Harry roześmiał się. W tym momencie zadzwonił mu w kieszeni telefon komórkowy.

Odwracając się od hałaśliwej sali, przycisnął go do ucha.

– Jordan – powiedział.

– Detektywie, gdzie jest ta „Ruby”? – w głosie Mallory Malone brzmiała nie skrywana irytacja. – Mój kierowca nigdy o niej nie słyszał.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Każdy, kto jest kimś w tym mieście wie, gdzie szukać „Ruby”, panno Malone.

Proszę dać kierowcę do aparatu, wytłumaczę mu, jak dojechać.

Nie roześmiała się, nie raczyła nawet powiedzieć „do widzenia”, „do zobaczenia za chwilę”, nie powiedziała w ogóle nic. Zgłosił się za to kierowca i Harry udzielił mu wskazówek. Kiedy skończył, mężczyźni przy narożnym stoliku odliczali pieniądze, a Doris stała nad nimi jak kat nad dobrą duszą. W chwilę później ruszyli do drzwi i Doris zabrała się za uprzątnięcie stołu.

Harry pomyślał ze zgrozą, co by było, gdyby panna „Gwiazda” Malone musiała czekać. Usadowił się tyłem do ściany, żeby obserwować drzwi. Pies wsunął się pod stół, opuścił wielki łeb na przednie łapy i szykował się do drzemki.

Harry przebiegł w myślach wszystkie informacje, które udało mu się zebrać na temat Mallory Malone. Było tego zaskakująco mało, jak na tak sławną osobistość.

Wiedział tylko, że pochodziła z Oregonu, że studiowała na Uniwersytecie Stanu Waszyngton, na wydziale dziennikarstwa. Podjęła pracę w małomiasteczkowej stacji telewizyjnej i radiowej, następnie została „chmurką” w telewizji w Seattle.

Stamtąd porwano ją do telewizji krajowej. Czytała wiadomości, potem prowadziła poranną audycję pod tytułem „Kawa czy herbata”, a teraz dochrapała się własnego programu.

Zdarzyło się również małżeństwo z bogatym maklerem z Wall Street. Ale nie trwało długo. Jej mąż zwierzył się kiedyś dziennikarzom, że pracują w różnych

godzinach, a żonę całkowicie pochłoneła kariera. „Mallory oddała swoje życie telewizji”, powiedział z goryczą przy okazji jakiegoś wywiadu. „Mam nadzieję, że telewizja ogrzeje ją w nocy”. Nie mieli dzieci.

Kiedy tak siedział i rozmyślał o Mallory Malone, drzwi się otworzyły i do restauracji wkroczyła ona we własnej osobie. Rozejrzała się ze zdumieniem, jakby miała wątpliwości czy trafiła pod właściwy adres.

Harry wyszedł pośpiesznie zza stołu i podskoczył ku niej.

– Panno Malone!

Odwróciła szybko głowę i ich oczy się spotkały. Pomyślał, że w telewizji nie widać, jak intensywnie niebieskie są jej tęczówki, niewiarygodnie długie rzęsy.

Kiedy je opuściła, spoglądając na jego wyciągniętą dłoń, sprawiała wrażenie dziwnie zawstydzonej. Była elegancko ubrana, w szary, jedwabny sweter, szarą spódnicę i czerwony żakiet, a na jej złotych włosach połyskiwały krople deszczu.

Pomyślał, że pasuje do knajpy „Rub” jak kwiatek do kozucha. I miała zimne ręce.

Potrząsając jego dłonią, pomyślała z przykrością, że jest przesadnie wystrojona, zaś Jordan wygląda zupełnie na miejscu w swoich wytartych dzinsach, niebieskiej koszuli i sfatygowanej skórzanej kurtce. Był młodszy niż się spodziewała i, cholera jasna, był atrakcyjny! Zmoczone deszczem włosy przykleiły mu się do wąskiej czaszki, szare oczy patrzyły na nią badawczo, stanowcze usta wyglądały zmysłowo. Miał co najmniej jednodniowy zarost i był stanowczo zbyt pewny siebie.

Trochę zbita z tropu, cofnęła rękę.

– Detektywie Jordan! – powiedziała chłodno. – Znalezienie tego miejsca zajęło mojemu kierowcy równo godzinę.

– Bardzo mi przykro, nie sądziłem, że to jest takie trudne.

Oboje wyczuli narastający antagonizm. Mal obrzuciła pogardliwym spojrzeniem ladę z lustrzaną wystawą ciast i czekoladowego tortu, zaparowaną kuchenkę, popękane plastikowe krzesła i kelnerki serwujące siekane kotlety, smażone jajka, hamburgery i cholesterol.

Pogardliwie uniosła brwi.

Dziadujemy, detektywie Jordan?

Harry zgrzytnął zębami; czego ona, u diabła, się spodziewała, „Le Cirque”?

– Przykro mi, jeżeli lokal nie spełnia pani oczekiwań, psze pani. Ale znajduje się blisko komendy, a ja jestem na służbie – wzruszył ramionami. – Zresztą, przy policyjnej pensji nie można być wybrednym. Wszyscy tu jemy.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Zwyczajni gliniarze, Jordan. Ale nie bogaci gliniarze.

Harry zrozumiał, że ma kłopoty: Mal nienawidziła „Ruby”, nienawidziła gliniarzy, zwłaszcza bogatych gliniarzy. Przez chwilę zastanawiał się, skąd ona to

wie, po czym doszedł do wniosku, że prawdopodobnie z tego samego źródła, które dostarczyło jej zastrzeżony numer telefonu. Była kobietą, która zawodowo zajmowała się rozpracowywaniem ludzi.

Goście „Ruby” oglądali się, kiedy prowadził ją do stolika, ale ona zdawała się zupełnie nieświadoma obecności innych ludzi. Usiadła przy stole i jej noga natrafiła na miękką, wilgotną wypukłość, która była psem. Przestraszona zerknęła pod stół i na jej ustach ukazał się niespodziewany uśmiech.

Harry gapił się na nią, oszołomiony. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozświetlił ją od wewnątrz.

– Przywitaj się z panią, Squeeze! – wydał polecenie i Squeeze, wierny swemu imieniu, przecisnął się między ich kolanami. Usiadł przy Mallory, po czym uprzejmie uniósł prawą łapę.

– Och, ślicznie! – rzuciła Harry’emu zbolale spojrzenie, ale ujęła ubłoconą łapę i poklepała psa po łbie, plotąc jakieś czułe nonsensy.

– Squeeze, pod stół! – rozkazał Harry i pies zjechał posłusznie pod stół. Oparł łeb o wytarte zamszowe buty Harry’ego, czekając na jego następny ruch.

Oczy Harry’ego i Mal spotkały się ponownie ponad plastikowym blatem z czarnymi dziurami po papierosach.

– Czy to nie dziwne imię dla psa? Czy nie powinien wabić się Rover, Fido albo jeszcze inaczej? – spytała kobieta.

– Nazywa się Squeeze, [(ang.) – przecisnąć, przepchnąć] ponieważ potrafi wyjść ze wszystkiego. Udowodnił to już w wieku szczenięcym. W cokolwiek go wsadzić, on się przecisnie na zewnątrz. Pod siatką ogrodową, przez okienko samochodowe, z mojej sypialni w nocy.

Zastanawiałem się, czy nie nazwać go Houdini, ale uznałem, że to zbyt wymyślne.

Squeeze brzmi lepiej.

Skinęła głową na znak, że się z nim zgadza i jasne włosy, upstrzone kroplami deszczu, rozsypały się na jej czole jak płatki chryzantemy.

Harry oderwał od niej wzrok i sięgnął po menu w otłuszczonej, plastikowej oprawie.

– Na co ma pani ochotę? Polecam zapiekana szynkę i domowe frytki. Szybkim spojrzeniem obrzuciła kopiaste talerze, wyjeżdżające z kuchni.

– Poproszę piwo.

Piwo nie wydawało się w jej stylu; uznał, że bardziej pasowałaby kawa – czarna, bez cukru – po czym doszedł do wniosku, że prawdopodobnie panna Malone wie, kiedy odegrać rolę równej babki.

Dał znak Doris i zamówił dwa piwa. Na widok jego towarzyszk Doris opadła

szczęka.

– Dwa piwa?! – powtórzyła ze zdumieniem. – Powinieneś postawić tej pani szampana, koteczku!

Mał roześmiała się, kiedy Doris puściła do niej oko.

– My, kobiety, powinnyśmy trzymać się razem – skonstatowała Doris, kierując się w stronę lady. W mgnieniu oka była z powrotem z dwoma kuflami i bloczkiem do zamówień.

– Mogłabyś dać mi tu swój autograf, Mał? – poprosiła ze wzruszeniem. – Inaczej dzieciaki mi nie uwierzą, jak im powiem, kto był dzisiaj w „Ruby”. Kurcze! – dodała z rezygnacją, kiedy Mał z wystudiowaną niedbałością złożyła autograf na bloczku – i tak mi nie uwierzą. Powiedzą, że zmyślam.

– Ale my obie będziemy wiedziały, że nie zmyślasz – Mał uśmiechnęła się do kelnerki.

– No tak. I to się liczy. Dzięki, Mał, jestem ci wdzięczna. A skoro już o tym mowa, nie pozwól temu facetowi, żeby cię wykorzystał. Zawsze mu powtarzam, że nie ma za grosz rozumu, same mięśnie.

Śmiech czał się w niebieskich oczach Mał, kiedy upiła pierwszy łyk lodowato zimnego Budwisera. Potem zdjęła czerwony zakiet i spojrzała Harry’emu prosto w oczy.

– No dobra, Jordan – powiedziała niespodziewanie, bardzo rzeczowym tonem. Zaczynaj.

– Czuję się jak aktor na przesłuchaniu do głównej roli – powiedział nerwowo.

– Kto wie, czy tak właśnie nie jest. Słucham.

Przytoczył jej fakty dotyczące morderstw. Powiedział, że nie istnieje żadne powiązanie między trzema ofiarami. Nie pochodziły z tego samego miasta, ani nawet z tego samego stanu. Nie znały się. Nie mieszkały blisko siebie. Nie studiowały na tej samej uczelni.

– To nie były nieplanowane morderstwa – powiedział. Facet jest pedantem. Jest profesjonalistą. Wie dokładnie, co robi. Wydaje mi się, że wie, gdzie mieszkają jego ofiary, zna ich rozkład dnia, wie, kiedy mają zajęcia, gdzie i kiedy chodzą same.

Oczy Mał rozszerzyły się i dreszcz przeleciał jej po plecach, kiedy powiedziała:

– Twierdzi pan, że je osaczał?

– Jestem o tym przekonany.

– To straszne – powiedziała spokojnie. – Maniak wśród setek dziewcząt na uczelniach. Może wybierać i przebierać. Do cholery, naprawdę nic nie macie?

– Lekarze sądowi pracują nad dowodami z miejsca zbrodni, włóknami, włosami, spermą. Za parę tygodni otrzymamy DNA i jestem pewien, że to powiąże go z dwoma poprzednimi zabójstwami. Studentki zostały ostrzeżone o niebezpieczeństwie.

Wiedzą, że nie powinny płatać się po kampusach po zmroku. Zorganizowano eskortę dla młodych kobiet, są odprowadzane do akademików. Na razie tylko tyle można zrobić – Myśli pan, że znowu uderzy?

– Jestem tego pewien. FBI opracowało portret psychologiczny. Twierdzą, że szukamy faceta z głębokim urazem do kobiet. Symptomatyczne dla tego schorzenia jest obcinanie włosów, pozbawia je w ten sposób kobiecości.

Gwałt dowodzi jego władzy nad nimi, podcięcie żył doprowadza go prawdopodobnie do orgazmu, którego inaczej nie może osiągnąć. Jest to dla niego moment absolutnej władzy. Są bezbronne, cierpią. Umierają, podczas gdy on żyje.

Wlepiała w niego przerażony wzrok.

– O, mój Boże! Skinał posepnie głowę.

– Teraz pani rozumie, dlaczego musimy go złapać zanim znowu uderzy. Sądząc z metody jego działania, nie będzie się spieszył, poczeka parę miesięcy. Zrobi rozpoznanie terenu, wybierze ofiarę, będzie ją śledził, może nawet włamie się do jej domu, żeby ją lepiej poczuć, poznać jej zapach. Jak zwierzę osaczające zdobycz. Działa metodycznie. Dlatego mu się powiodło.

– Nadal sprawiała wrażenie zszokowanej.

– Dlaczego mężczyźni robią takie rzeczy? Harry wzruszył ramionami.

– Badania wykazują, że wszyscy tego typu mordercy pochodzą z nieudanych, rozbitych rodzin: nadużycie narkotyków, alkoholu, przestępczość. Rozmaicie.

Często są obciążeni genetycznie chorobą psychiczną i często w dzieciństwie byli maltretowani emocjonalnie i fizycznie. Zazwyczaj zdominowani przez matki, które ich poniżały, systematycznie zabijały w nich męskość. Wyrastają na ludzi o poważnych zaburzeniach seksualnych, niezdolnych utrzymać dojrzałego, opartego na kompromisie związku z drugim człowiekiem.

– Myśli pan, że taki jest nasz zabójca?

– Gdybym to wiedział! – Gestem pełnym znużenia przeczesał mokre jeszcze włosy.

Stały zadziornie i Mal z zainteresowaniem pomyślała, że wygląda jakby właśnie wyszedł spod prysznic.

– Ludzie uważają, że morderca wygląda jak potwór – odezwał się. – W rzeczywistości wygląda zupełnie przeciętnie. Według portretu psychologicznego z FBI nasz morderca prowadzi zwyczajne życie. Ma obsesję, ale potrafi ją ukryć pod fasadą normalności. Mieszka sam, raczej w domu niż w mieszkaniu, ponieważ potrzebuje swobody poruszania się. W życiu codziennym jest schludny i uporządkowany. Ma dobrą pracę, raczej umysłową niż fizyczną, może nawet pochodzić z wyższej sfery społecznej. Dobrze wypełnia swoje obowiązki, nie ma przyjaciół, jest obsesyjnie czysty.

– Szukamy więc szaleńca, grasującego po ulicach Bostonu. Szukamy przeciętnego faceta, którego sąsiedzi i koledzy z pracy uważają za zupełnie normalnego. Nie różniącego się od pana i każdego mężczyzny w Bostonie.

– Igły w stogu siana – zgodził się.

– Jakie to szczęście, że udało się wam zdobyć portret pamięciowy. Harry wyjął kartkę z brązowej koperty.

– Jeszcze jedno. Ta ostatnia ofiara, Summer Young. Zanim umarła powiedziała nam dwie rzeczy. Że miał ciemne, nieruchome oczy. I delikatne dłonie.

– A więc nie może być robotnikiem.

– Mało prawdopodobne.

– Powiedziała coś jeszcze?

– Aha. Nazwała go draniem. To były jej ostatnie słowa. Wstrząśnięta Mal odwróciła wzrok. Podniosła kufel do ust i upiła łyk piwa. Przez długą chwilę przyglądała się rysunkowi, a Harry przyglądał się jej.

Podobały mu się jej rzęsy, podkreścone na końcach.

– Zrobiono to na podstawie opisu tych dwóch rybaków? – zapytała w końcu.

– Aha. Oświetlili na chwilę jego twarz, zanim zdążył uciec. Ale policyjny portrecista uwydatnił oczy, żeby upodobnić je do tych, które widziała Summer.

Głos Mal był chłodniejszy niż piwo.

– Obawiam się, że to nie wystarczy, detektywie Jordan. Portret nie jest dokładny. Z pewnością nie jest to materiał, na którym można oprzeć program telewizyjny o zasięgu ogólnokrajowym. Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

Zabrawszy marynarkę i torebkę zsunęła się ze stołka.

Gapił się na nią, osłupiały. Dałby głowę, że aż się pali, by wejść na wizję i uratować inne kobiety przed strasznym losem. A tu ni stąd, ni z owad, zatrzaskuje mu drzwi przed nosem.

– Chwileczkę! – powiedział ostro. Pod stołem pies uniósł łeb i cicho warknął.

Harry poderwał się na nogi. Zrobiła ruch do odejścia, ale chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

– Co się stało?

– O co panu chodzi? – uwolniła się jednym ruchem i włożyła z pośpiechem żakiet, unikając oczu Harry'ego.

– W jednej chwili jest pani zapalona do tematu, w następnej przestaje panią interesować. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Wzruszyła ramionami.

– Opowiedział mi pan historię, detektywie Jordan. Wysłuchałam pana. Podjęłam decyzję. Tak właśnie pracuję. Odtrącenie nie jest miłym doświadczeniem, rozumiem to.

Sięgnęła po torebkę, nadal unikając jego wzroku.

– Proszę nie brać tego do siebie – powiedziała, po czym pomaszerowała do wyjścia, minęła odrapane stoliki, pchnęła drzwi i zniknęła mu z oczu.

10.

Mal z determinacją wpatrywała się w zalane deszczem szyby samochodu, starając się w ogóle o niczym nie myśleć. W samolocie przeczytała cztery długie artykuły w „Vanity Fair”, choć gdyby ją później zapytać, o czym były, nie potrafiłaby odpowiedzieć nic rozsądnego.

Nigdy jeszcze widok własnego domu nie sprawił jej takiego zadowolenia. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, a serce waliło jej tak, jakby przebiegła pięć przecznic.

Gospodyni zostawiła zapalone światła i Mal z wdzięcznością rozejrzała się po swoim przytulnym domu. Zrzuciwszy buty, podreptała przez hol do sypialni.

– Wykrochmalona, bawełniana pościel czekała już na nią w ogromnym zabytkowym łóżku, przykrytym miękką narzutą z kaszmiru. Nie mogła się doczekać, kiedy się pod nią wsunie.

Rozpięła szarą spódnicę i pozwoliła jej opaść, ściągnęła przez głowę sweter i rzuciła go na podłogę. Jedwabne pończochy i bielizna znaczyły jej drogę z sypialni do łazienki z różowego marmuru.

Znalazła zapalki i zapaliła świece o zapachu lilii, które stały pośród paproci otaczających wannę, potem odkręciła kurki. Oparła się o chłodną, marmurową ścianę i spojrzała na siebie w lustro. Była zaszokowana odkryciem, że wygląda tak zwyczajnie. Wygląda nadal jak Mal Mallone, gwiazda telewizyjna, prowadząca własny program w godzinach największej oglądalności.

Weszła do wanny i zanurzyła się w kojące ciepło wody, czekając z przymkniętymi oczami, aż znajomy zapach lilii przywoła wspomnienie, które chowała w duszy jak skarb, wspomnienie jedynej chwili absolutnego szczęścia, jaką dane jej było zaznać. Ale dziś magia nie działała.

Znużona, wyszła z wanny i otuliła się puchatym ręcznikiem kąpielowym. Ponownie spojrzała w lustro.

Ujrzała w nim własne oczy, pociemniałe ze zgrozy. Zapomniała zmyć makijaż!

Drżącymi z pośpiechu dłońmi odprawiła codzienny rytuał: mleczko kosmetyczne do twarzy, do oczu, tonik, krem nawilżający, odrobina kremu pod oczy. Robiła to wszystko jak automat.

Rozczesała wilgotne włosy i naga podeszła do wielkiej szafy. Czując dziwny chłód, naciągnęła szary sweter i białe skarpetki. Odwróciła się i przyjrzała swojemu odbiciu w lustrzanej ścianie. Lampa, rozświetlająca ją od wewnątrz, zgasła. Znowu była panną Nikt.

Z opuszczoną głową powędrowała do kuchni. Nastawiła czajnik i nieruchomo czekała aż woda się zagotuje. Zaparzyła ulubioną herbatę malinową, ale tym razem

nawet nie pomyślała o cytrynowym cieście.

Niosąc ostrożnie kubek, wróciła do sypialni, postawiła go na srebrnej tacy na nocnym stoliku i wślizgnęła się do łóżka. Z westchnieniem ulgi opadła na białe poduszki, pilotem włączyła telewizor, wyciszając dźwięk.

Na ekranie bezgłośnie pojawiła się czołówka wieczornego dziennika. Mal łyknęła dwie tabletki przeciw bólowi głowy i, popijając herbatę, patrzyła obojętnym wzrokiem na wydarzenia na świecie.

Po chwili zgasła światła. Drżąc skuliła się pod kołdrą i czekała, aż przyjdzie sen i wymaże wspomnienia.

Wygodne łóżko zdawało się ściągać ją gdzieś w dół, miękkie poduszki dusiły, spadała, spadała w bezdenną, czarną otchłań...

Krzyknęła dziko i usiadła. Odrzuciła kołdrę i drżąc wyskoczyła z łóżka. Gardło miała jak wyschnięty wiór, ciało przeszywały krótkie dreszcze.

– O, Boże! – szepnęła. – Och nie, nie!

Od dawna już nie śnił jej się ten koszmar. Myślała, że się go w końcu pozbyła, pogrzebała wraz z wszystkim, co złe na dnie świadomości, w strefie zakazanej.

Ale był tam. Ciągle tam był...

Odnalazła przełącznik nocnej lampki. Zapaliła również lampę sufitową, światła w łazience i w garderobie. Biegała po pokojach, zapalając wszystkie lampy.

Uspokoili się dopiero, gdy mieszkanie zapłonęło jak okno wystawowe domu towarowego przed świętami Bożego Narodzenia. Rozejrzała się, nadal drżąc. Nie było już miejsca, gdzie mógłby ukryć się duch. Mal Malone była znowu panią siebie.

Wróciła do sypialni i wyjęła z garderoby walizkę. Pośpiesznie zaczęła się pakować. Tylko to, co niezbędne – dresy, swetry, adidas.

Kiedy skończyła, spojrzała na zegarek przy łóżku. Była druga trzydzieści. Wyśle faks do uzdrowiska w Tuskon z zawiadomieniem o przyjeździe. Zostało jej jeszcze trzy i pół godziny zanim będzie mogła zadzwonić do linii lotniczych i zarezerwować miejsce na pierwszy poranny lot. Trzy i pół godziny, zanim będzie mogła uciec od Harry'ego Jordana i swojej przeszłości.

O drugiej trzydzieści Harry był na sali gimnastycznej w Moonlighting Club.

Rozegrał już mecz koszykarski, a teraz kończył czterdziestopięciominutowy trening na siłowni. Wycisnął po raz ostatni osiemdziesięciokilogramową sztangę nad głowę i powoli opuścił na miejsce. Pot spływał mu po szyi na owłosioną klatkę piersiową.

Patrząc na niego, Rossetti wydał z siebie długie westchnienie. Wiedział, że go tu znajdzie.

– Zostawiłem miękkie łóżko i ciepłą kobietę, żeby tu do ciebie przyjść, detektywie. Co z tobą? Zjadłeś kolację z Mallory Malone i przestałeś z tego powodu

odbierać telefony? Jesteś teraz za dobry dla nas, zwyczajnych gliniarzy, czy co?

Harry otarł ręcznikiem pot z twarzy.

– Mam parę problemów do rozwiązania.

– Ja też, pamiętasz? Naraziłeś dzisiaj na szwank moją karierę. Nie pokazujesz się, nie dzwonisz...

Harry wyminął go i ruszył w stronę pryszniców. Rossetti poszedł za nim. Harry przebrał się, odkręcił kurki i stanął pod prysznicem, z odchyloną głową i zamkniętymi oczami.

– Co to w ogóle za usprawiedliwienie? – pożalił się Rossetti. – Myślałem, że tkwimy w tym razem; dwóch muszkietarów, i szukamy mordercy. Zdaje się, że liczba muszkietarów wzrosła do trzech odkąd Malone przejęła ster.

Harry otarł twarz z wody i spojrział na zirytowanego detektywa.

– Pomyłka – powiedział. – Panna Malone odmówiła pomocy. Rossettiemu opadła szczęka.

– Naprawdę?

– Naprawdę – Harry wyszedł z kabiny i energicznie wytarł się ręcznikiem. – Powiedziała, że mam za mało informacji, żeby zrobić z tego program telewizyjny.

I że portret jest niedokładny.

– A skąd ona to wie?

Harry wzruszył ramionami. Wciągnął granatowe spodnie bokserskie i stare dżinsy.

– Może ma szósty zmysł, nie wiem. Wiem tylko, że się zapaliła do tematu, a potem jej przeszło.

Rossetti wbił w niego podejrzliwy wzrok.

– Przystawiałeś się do niej, czy co? Harry roześmiał się, naciągając koszulę.

– Nie próbowałem jej poderwać. To panna Królowa Śniegu we własnej osobie.

Przez większą część czasu.

– A przez resztę?

Harry zapinał koszulę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Przez resztę czasu była kąśliwa, ale miła – powiedział w końcu.

– Miła?

– No wiesz, miła dziewczyna. Kobieta – poprawił się, choć kiedy teraz o niej myślał, odnajdywał coś dziewczęcego ukrytego pod pozorem kobiecego sukcesu. Może była to kwestia jej rzęs. – Spodobał jej się Squeeze – dodał.

Rossetti uśmiechnął się szeroko.

– Droga do serca mężczyzny prowadzi przez jego psa. Kochaj mnie, kochaj mojego psa.

– Sprawy nie zaszły tak daleko, Rossetti. Wkurzyła mnie do tego stopnia, że

musiałem zafundować sobie pełen trening. Inaczej chyba bym komuś przyłożył.

– Frustracja, co?

Harry zarzucił ciężkie ramię na elegancko odziane barki Rossettiego, kiedy szli z sali gimnastycznej do holu. W klubie brzęczało jak w ulu, ludzie wchodzili, wychodzili, mała kawiarnia pękała w szwach. Zgarnęli po kubku kawy i, wymieniając pozdrowienia ze znajomymi, torowali sobie drogę ku ciężkim obrotowym drzwiom. Stanęli na schodkach popijając kawę, spoglądając w rozdeszczoną noc.

– Tak stary, frustracja każdego kiedyś dopadnie – powiedział Harry.

Wycieraczki zmiatały strugi deszczu z przedniej szyby, kiedy przez opustoszałe miasto wracał na Louisburg Square. Była trzecia nad ranem i był wykończony, ale wiedział, że nie zaśnie.

Squeeze rozpoznał porykiwanie silnika jaguara i energiczne trzaśnięcie drzwiczek. Czekał w holu, machając ogonem, z wzrokiem utkwionym w drzwi wejściowe.

Harry założył mu obrozę, przypiął smycz i wyszedł z powrotem na deszcz.

– To będzie szybki spacer, stary – mruknął, brnąc przed siebie z pochyloną głową. – Przykro mi z powodu dzisiejszego wieczoru, ale musiałem być sam.

Uśmiechnął się na myśl, że usprawiedliwia się przed psem jak przed zaniechaną małżonką.

– A, co tam! Potrzebuję drinka, a ty, bracie, potrzebujesz kości – ciągnąc za smycz, zawłókł opornego psa z powrotem do domu.

Pomaszerował do kuchni, wyjął z szafki kość i nie napoczętą butelkę Jima Beama.

Nalał sobie bourbona, dodał lodu i przeszedł powoli przez mieszkanie, przygaszając lampy przyciemniaczem. Nastawił płytę Neila Younga „Harvest Moon”, po czym usadowił się w ulubionym starym fotelu ze skóry, równie sfatygowanym jak jego ulubiona skórzana kurtka.

Powolutku sączył bourbona, przetrzymując alkohol na języku, potem odchylił głowę i pozwolił, by muzyka wypełniła mu głowę. „The Unborn Legend” – Piosenka, która zawsze przypominała mu żonę, Jilly. Nie tylko przypominała, mówiła o tym, co czuł, kiedy ją poznał. I choć powtarzał sobie często, że to już minęło, zniknęło, a jeżeli miałby być ze sobą szczerzy, nigdy nie istniało, ta melodia nadal budziła w sercu zaleczony ból.

Pies upuścił kość na wspaniały, osiemnastowieczny jedwabny dywan u stóp Harry’ego. Usadowił się wygodnie, przeżuując z zadowoleniem. Harry spojrzał niepewnie. Dywan należał kiedyś do jego babki.

– A co tam! – powiedział z rezygnacją. – To tylko dywan. Jest po to, by go używać. Zanim stał się antykiem obsiusiało go pewnie z tuzin dzieciaków, a może

i obrzygało parę kotów.

Zaczął rozmyślać o Mal Malone. Odtwarzał spotkanie z nią, jakby nagrał je sobie w głowie na taśmę filmową, od samego początku, kiedy obrzuciła go prowokującym spojrzeniem. Odtworzył w pamięci jej szczere zainteresowanie sprawą, jej przerażenie, kiedy powiedział, co zrobił morderca. Odtworzył jej obraz, kiedy oglądała portret pamięciowy.

Patrzyła na portret mordercy z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu. Nie dostrzegł w niej śladu niesmaku, grozy, czy choćby zwykłej ludzkiej ciekawości.

To właśnie było nienaturalne. Przedtem okazywała żywe zainteresowanie. Był o tym przekonany. A potem, kiedy spojrzała na portret, jej twarz zmieniła się w maskę.

Twarz, ale nie oczy. Pamiętał ich wyraz, kiedy oddała mu portret. Nie pojawił się w nich błysk rozpoznania, nie było w nich nawet strachu.

Przez ułamek sekundy Mallory Malone miała oczy ściganego człowieka.

W zamyśleniu sączył bourbona. Uważał, że panna Malone coś ukrywa i zastanawiał się, co to mogło być. Coś związanego z metodą morderstwa, czy z tożsamością dwóch młodych ofiar? Prawie udało jej się ukryć reakcję, ale była przecież aktorką, kobietą o stu twarzach. Pomyślał, że Mal Malone ma w sobie wszystkie cechy, których najbardziej nie znosił; jest zgryźliwa, twarda, bez reszty oddana swojej karierze.

Potem przypomniał sobie, jak uśmiech rozjaśnił jej twarz, kiedy zobaczyła psa.

Przypomniał sobie krople deszczu, połyskujące w jej włosach jak cekiny, niespodziewany błękit oczu. Może, mimo wszystko, źle ją ocenił.

Westchnął ciężko.

– Panna Malone jest tajemniczą kobietą – powiedział psu. – Wie więcej niż mówi.

A ja zamierzam dowiedzieć się, co ukrywa.

Squeeze uniósł głowę i popatrzył na niego bacznie. Machnął ogonem i powrócił do swojej kości.

– Kochaj mnie, kochaj mojego psa – powtórzył Harry z uśmiechem. Zerknąwszy na zegarek, postanowił, że zadzwoni do niej rano, czyli już za parę godzin.

11.

Mężczyzna ostrożnie prowadził swoje volvo. Wracał do domu później niż zwykle. Nie lubił zakłóceń w rozkładzie dnia, ale musiał pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy. Pojawił się pewien problem.

Trzypasmowa ulica, którą jechał była przyjemna, a dobrze utrzymane, odsunięte od drogi domy, leżały pośród aksamitnie zielonych trawników. Drogie samochody stały na podjazdach, a ogrodnicy prześcigali się w doskonałości, zastępując martwe wiosenne kwiaty roślinami lata.

Dom mężczyzny leżał na końcu alei, naprzeciwko pustej parceli, oddzielony od sąsiednich posesji krzaczastym ekranem z leilani. Nie był to żywopłot jego marzeń, ale posiadał tę zaletę, że rósł szybko i gęsto. W tym wypadku musiał poświęcić piękno na rzecz praktyczności. Wynagrodził to sobie w pozostałej części ogrodu, który był wzorcowy, był jego dumą i radością.

Zaparkował swoje volvo w garażu. Zgasił silnik i wcisnął przycisk automatycznych drzwi, czekając aż wrota zamkną się do końca. Dopiero wtedy wysiadł z wozu.

Wziął z tylnego siedzenia czerwone pudełko przypominające segregator, zatrzaskał drzwiczki i starannie zamknął samochód.

Zamki w drzwiach prowadzących do domu należały do najdroższych i najbardziej skomplikowanych. Wyjął klucze, otworzył oba, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Zasunął obie zasuwę, z których jedna wchodziła w podłogę, druga w ścianę.

Jednym spojrzeniem objął schludną pralnię, wyłożoną białymi kafelkami. Piwnica była dokładnie w takim stanie, w jakim ją zostawił.

Przeszedł do holu i starannie obejrzał frontowe drzwi. Wszystkie zamki były zamknięte, zasuwę zasunięte.

Zadowolony z inspekcji stanu bezpieczeństwa, skierował się do wyłożonego boazerią gabinetu i postawił segregator na biurku. Zirytowany podszedł do regału z książkami i przestawił parę z nich, odłożonych do przeczytania.

Przy okazji poukładał również długopisy w plastikowym pojemniku, oddzielając czerwone od niebieskich i czarnych. Nie mógł pracować, dopóki wszystko nie było idealnie wysprzątane. Na tip top, jak mawiał jego ojciec, oficer marynarki wojennej.

Przynajmniej oficerem marynarki wojennej nazywał ojca wobec obcych, co częściowo pokrywało się z prawdą. Już jako młody porucznik jego ojciec miał problemy z piciem. Zdarzały się incydenty: barowe burdy, bójki w obcych portach, pijaństwo na służbie. Otrzymał ostrzeżenie. Zdarzył się o jeden incydent za dużo; pobił kobietę, prostytutkę w San Diego, omal jej nie zabił. Został niesławnie usunięty z marynarki.

On miał wtedy sześć lat. Matka powiedziała mu prawdę dużo później, nigdy natomiast nie zwierzyła się sąsiadom. Podtrzymywała legendę męża-oficera, podczas gdy mąż tłukł się od jednej posady komiwojażerskiej do drugiej, wiecznie w drodze i wiecznie za kierownicą.

Nie był to jedyny rodzinny sekret.

Chłopak sypiał z matką w jednym łóżku odkąd wyrósł z pieluszek. I serdecznie tego nie znosił. Była potężną kobietą o wielkich obwisłych piersiach, które podtykała mu do ssania nawet wtedy, gdy już nie chciał mleka. I, o wstydzie, przez cały okres jego dojrzewania.

– No, zrób to! – popędzała go, wpychając w jego niechętne usta gigantyczną brązową brodawkę – musisz uwolnić mnie od tego mleka. Zresztą, to wszystko twoja wina. To przez ciebie tak się roztyłam. Przez ciebie twój ojciec już mnie nie chce.

Duszny zapach kobiecego ciała zdawał się go spowijać. Wyczuwał, jak matka porusza rękami pod swoją koszulą nocną. Jęczała i drżała.

– Co robisz?! – zawołał przerażony, odrywając usta, ale ona przyciągnęła jego głowę.

– Po prostu rób, co ci każe – rozkazała, a kiedy się wyrывał, ze złością uderzyła go w twarz. – Rób, co każe albo wygarbuję ci skórę! – syknęła, drząc z podniecenia, kiedy zabrał się znów do ssania. I zaczęła go dotykać.

Ale o tym nie chciał myśleć.

Jego sypialnia była równie nieskazitelna, jak reszta domu. Gładki beżowy dywan, proste drewniane łóżko i nocny stolik ze szklanym blatem. Łóżko pojedyncze, mldiło go z obrzydzenia na myśl o tym, że ktoś mógłby leżeć obok. Pokój należał wyłącznie do niego.

Zdjął tweedową marynarkę i powiesił ją starannie w szafie. Zsunął szare flanelowe spodnie i powiesił obok marynarki. Potem przyszła kolej na koszulę i slipy, które wrzucił do kosza na brudną bieliznę. Wziął długi prysznic.

Po kąpieli wytarł się ręcznikiem i zbadał swoje nagie ciało w lustrze. Był niski i przysadzisty, ramiona miał szerokie, co było wynikiem podnoszenia ciężarów w młodości. W przeciwieństwie do gęstych włosów na głowie, co miesiąc farbowanych na ciemny brąz w zakładzie fryzjerskim w centrum Bostonu, włosy na klatce piersiowej były siwe. Zarost również. Kiedy w wieku dwudziestu sześciu lat zaczął siwieć, uważał, że wygląda atrakcyjnie. Dystyngowanie, takiego słowa używał w odniesieniu do samego siebie. Ale wkrótce był zmuszony przyznać, że przedwczesna siwizna oznacza przedwczesne starzenie i farbował włosy na brąz.

W niczym nie przypominał mężczyzny z portretu pamięciowego. Uśmiechnął się na tę myśl. No, w niczym, to zbyt wiele powiedziane. Oczy były jednak podobne. Z tym że wybierając się na polowanie zawsze zakładał kontaktówki.

Wziął z toaletki okulary w ciężkich oprawkach, włożył je na nos, potem rozdzielił grzebieniem włosy i starannie zaczesał je na lewą stronę. Naturalnie, kiedy zdjął czarną kominiarkę, grube sztywne włosy stanęły na sztorc, tak jak na portrecie. Nie leżały gładko przy czaszce jak zwykle, leciutko wypomadowane.

Poza ogólnym zarysem, twarz na portrecie w niczym nie przypominała jego własnej.

Miał wprawdzie szerokie brwi, ale usta były jedną wielką pomyłką, podobnie zresztą jak szczeka. Roześmiał się głośno na tę myśl. Był o tyle mądrzejszy od gliniarzy. Nigdy go nie złapią, nawet za milion lat.

Wolał słowo „polowanie” niż „osaczenie”, którego używała policja. Był myśliwym, szukającym cennej zdobyczy. Polowanie trochę trwało, ponieważ był wybredny, a poza tym lubił te poszukiwania. Wiedział dokładnie, czego mu trzeba. Potem była radość pościgu, perwersyjna przyjemność czerpana z faktu, że kobieta nie wiedziała, że on zna ją niemal równie intymnie jak ona sama. A potem moment uderzenia. Piękna chwila.

Naciągnął czarne bawełniane spodnie od dresu, białą koszulę polo, trampki i wyszedł do holu. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Spoglądał na nie z namysłem przez dłuższy czas, zdecydował, że dziś ich nie otworzy. Nie było potrzeby.

Wróciwszy do kuchni, zajrzał do lodówki. Zjadł już kolację w małym bistro, jednym z kilku, w których lubił bywać, gdzie go znali, ponieważ przychodził regularnie, i gdzie nikomu nie przeszkadzało, że jadał samotnie. Zawsze wypijał kieliszek czerwonego wina i zawsze zamawiał tłuczone kartofle i zostawiał wysoki napiwek, co gwarantowało, że następnym razem zostanie równie dobrze obsłużony.

Dokonał przeglądu zawartości lodówki. Była tam duża butelka smirnoffa, parę butelek wody sodowej i trzy cytryny. A także wąski, stalowy nóż w plastikowej pochwie.

Wyjął smirnoffa i nalał pełen kubek. Ukroił plasterki cytryny i wrzucił do wódki. Pociągnąwszy łyk, wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem.

Z szuflady biurka wyjął oprawioną fotografię i postawił przed sobą. Szkło było rozbite, ale na upartego można jeszcze było rozpoznać twarz kobiety: mięsistą, srogą, bez uśmiechu. Mężczyzna wznosił toast.

„Za matkę, dzięki której wszystko to stało się możliwe” – powiedział. Potem jednym haustem opróżnił kubek.

Wyjął papiery z segregatora i zatonał w nich bez reszty. Były to wycinki prasowe dotyczące zgwałcenia i zamordowania Summer Young. Przeczytał je chciwie, mnóstwo czasu poświęcając na przestudiowanie każdego szczegółu relacji.

Na widok portretu pamięciowego, ponownie się uśmiechnął.

Potem wyjął z szuflady tuzin fotografii i rozłożył je na blacie. Wstał i poszedł do kuchni ponownie napełnić kubek.

Usiadł za biurkiem i wlepił wzrok w fotografie. Wszystkie przedstawiały młode kobiety. Zerknął z ukosa na zdjęcie matki, czując na sobie jej wzrok. Wyciągnął rękę i z trzaskiem odwrócił portret twarzą do dołu. Zaklął, kiedy odłamek szkła wbił mu się w palec. Chowając twarz matki do szuflady, wsadził zakrwawiony kciuk do ust.

Fotografie kobiet znów pochłoneły całą jego uwagę. Zrobił te zdjęcia z samochodu, dziewczęta były nieświadome faktu, że są fotografowane. Na niektórych zdjęciach szły w jego stronę, na innych widać je było od tyłu.

Siedział tak bardzo długo, podnosząc zdjęcia do oczu, studiując każdy szczegół, porównując. W końcu zakreślił flamastrem wybraną dziewczynę.

Wsunął papiery i zdjęcia z powrotem do biurka i zamknął szufladę na klucz.

Następnie odniósł segregator do drewnianej szafki w kącie gabinetu, w której znajdowały się już dwa podobne segregatory.

Gwizdząc opuścił pokój, minął hol i wrócił do piwnicy. Z garażu zabrał sekator i poszedł do ogrodu na tyłach domu. Ogród był równie nieskazitelny jak dom, każdy kwiatek rósł na swoim miejscu, o chwastach nie mogło być nawet mowy. Mężczyzna pochylał się nad różami od czasu do czasu przycinając jakąś łodygę.

Jak zwyczajny mieszkaniec przedmieścia w ładny, majowy wieczór. Zwyczajny, jeżeli nie liczyć zamkniętego pokoju w jego domu. I majtek Summer Young w kieszeni spodni. Od czasu do czasu przerywał pracę i wsuwał rękę do kieszeni. To mu na razie wystarczało.

12.

Palomar Productions przy Madison Avenue tętniły – życiem o ósmej trzydzieści rano, kiedy Mal weszła tanecznym krokiem do swojego biura, ubrana w czarne kolarki, czarną czapkę baseballową i białą koszulę z napisem „Tuscon”.

Beth Hardy rozmawiała przez telefon. Odwróciła się wraz z krzesłem, obejrzała szefową od góry do dołu, unosząc brwi.

– A tobie co się stało? Promieniejesz. Mal roześmiała się.

– Tysiąc dwieście kalorii dziennie, czteromilowy spacer o szóstej rano, kwiczenia na brzuch, pośludki i uda o dziesiątej, aerobic o jedenastej, odrobina ćwiczeń rozciągających o dwunastej... Urwała i przybrała pozę atlety. – I ty również możesz tak wyglądać.

Beth westchnęła z zalem. Była mała i okrągła, miała długie czarne włosy i obfity biust.

– Nawet głódówka i dwunastomilowy marsz, połączony z wysokogórską wspinaczką, nie zlikwiduje tych cycków – powiedziała posepnie. – Do diabła z nimi, chodzi mi już tylko o to, żeby dobrze wyglądać w ciuchach.

– Większość kobiet pragnie wyglądać dobrze bez nich.

– Ale nie ja. Zadowolę się figurą modelki „Vogue”. Mal zachichotała znacząco.

– Twój mąż tęskniłby za tobą, gdybyś się zmieniła. Beth wzniosła do nieba wyraziste, brązowe oczy.

– Mężowie! – roześmiała się również. – Zdaje się, że Bóg daje, a człowiek musi się tym zadowolić.

– Wyglądasz świetnie. Kostium ekstra.

Beth ubrana była w beżowy zakiet i spódnicę, podkreślającą jej kobiece kształty.

Calvin. Zeszłoroczna przecena wiosenna – powiedziała. – Dziś jest nasza rocznica. Rob zabiera mnie do miasta, kolacja, szampan, pełen romantyczny zestaw – roześmiała się trochę kpiąco, ale Mal widziała, jaka jest szczęśliwa.

– Ile to już lat?

– Siedem, jak obszył. Pobraliśmy się zaraz po studiach. Zdaje się, że bijemy jakiś rekord.

– Szczęściarze – powiedziała Mal cicho i bardzo szczerze. Zwołałam zebranie zespołu na dziewiątą – zawiadomiła Beth. – Ale chciałabym cię najpierw wprowadzić w sprawę wtorkowego programu. Jeżeli uznasz, że jest coś nie tak, załatwimy to od razu na zebraniu. Jak wiesz, mamy materiały na sześć tygodni, możemy je przejrzeć i wprowadzić poprawki.

– W porządku – Mal skierowała się w stronę własnego gabinetu.

– A, jeszcze coś! Dzwonił detektyw Harry Jordan. Kilka razy. Nie chciał

uwierzyć, kiedy powiedziałam mu, że wyjechałaś. Jego zdaniem chyba nie przysługuje ci prawo do wakacji. Powiedziałam mu, że dzisiaj wracasz. Kazałam również chłopakom zebrać fakty z jego życiorysu. Raport jest w twoim komputerze.

Mal zatrzymała się z ręką na klamce.

– Powiedział, czego chce?

– Aha! Twój prywatny numer telefonu. – Beth spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– No więc? Powiesz mi, co się wydarzyło na spotkaniu w Bostonie?

Mal otworzyła drzwi gabinetu.

– Detektyw Jordan goni za cieniem. Beth z namysłem przyjrzała się szefowej.

– Więc to sprawa osobista? Tylko między tobą a panem detektywem? Mal, już w gabinecie, wytknęła głowę zza drzwi.

– Oczywiście, że nie – oznajmiła z oburzeniem. – Nie mam temu człowiekowi absolutnie nic do powiedzenia.

Jej biuro było duże i przestronne, z oknami od podłogi po sufit, co pozwalało podziwiać Madison z lotu ptaka. Biurko z metalu i drewna różanego było puste, ale to zmieni się w chwili, gdy na zebranie przybędą jej pracownicy, każdy z plikiem papierów w ręku. Czekał już na nich owalny stół konferencyjny z różanego drewna i metalowa konsolka z kawą i talerzem niskokalorycznych herbatników.

Mal usiadła za biurkiem, zdjęła z głowy baseballową czapkę i przeczesła palcami włosy, myśląc o Harrym Jordanie. Wiedziała, że zachowała się głupio. Musiał uznać ją za idiotkę, kiedy go tak zostawiła w środku rozmowy. Podeszła do podręcznego barku i nalała sobie szklanekę soku. Jordan wziął ją przez zaskoczenie, to wszystko.

Kiedy pracownicy zaczęli ściągać na naradę produkcyjną, powiedziała sobie, że wyrzuci z pamięci incydent z Harrym Jordanem. Zresztą, nigdy go już nie zobaczy.

Miała pracowity dzień. Najpierw przejrzelili scenariusz jutrzejszego programu i Mal naniósł parę poprawek, dodając najnowsze materiały o multimilionerze.

Zeszłotygodniowy program otrzymał fenomenalne recenzje. Mogli uzupełnić go filmem o wiejskiej rezydencji i niesławnych dębowych schodach, a także fotografiami wykonanymi przez paparazzich. Przedstawią multimilionera w chwili, gdy nago wskakuje do Morza Śródziemnego w towarzystwie trzech młodych gołych kobiet.

Mal rozbawił komentarz Beth, kiedy zobaczyła zdjęcia.

– Jak to dobrze, że ma pieniądze, ponieważ reszta atrybutów nie zaprowadziłaby go daleko – powiedziała krytycznie.

Po naradzie Mal przebrała się w jasnoszare spodnie i poszła na lunch do „Four Season”, gdzie omówiła z prezesem „Network” swoje plany na przyszłość.

– Zadowolony nas to wszystko, co zadowolony panią – powiedział prezes, ciągle pod wrażeniem recenzji z programu o multimilionerze.

Wprost z restauracji pojechała do studia na następną naradę produkcyjną, która trochę się przedłużyła. Wróciła do biura, żeby się przebrać i poszła na godzinny trening do siłowni.

O szóstej wróciła do biura. Poza Beth, nie było już w nim nikogo.

Beth kończyła właśnie malowanie ust. Wygładziła spódnicę i uśmiechnęła się do Mal.

– Jak wyglądam?

– Wspaniale. Powiedziałabym nawet, że uroczo. Szczęściarz z tego Roba.

– Mówię mu to co rano, ledwo się obudzi.

– A czy on mówi ci to wieczorem, zanim zaśniesz?

– Między innymi – Beth puściła oko do szefowej. – No, już mnie tu nie ma. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Mal potrząsnęła głową, ale wyglądała trochę smutno i Beth się zawahała.

– A jakie ty masz plany?

– Pójdę do domu i położę się wcześniej spać. Przyda mi się dobrze przespana noc.

Zgodnie odwróciły głowy, kiedy za ich plecami rozdzwonił się telefon.

– Idź – powiedziała Mal. – Już cię tu nie ma, pamiętasz?

– Nie mogę się oprzeć dzwoniącemu telefonowi. To może być coś ważnego.

Sprawa życia lub śmierci. – Podniosła słuchawkę.

– Malmar Productions.

– Cześć, Beth – powiedział Harry Jordan.

Brwi Beth powędrowały w górę, kiedy szepnęła bezgłośnie do Mal:

– „Harry Jordan”.

Mal odmownie potrząsnęła głową.

– Nie – odszepnęła.

– Należy ci się piątka za wytrwałość, detektywie – powiedziała Beth z uśmiechem.

– Dzięki, ale ja naprawdę chciałbym porozmawiać z panną Malone.

– Hmm, ona jest... jest zajęta – spojrzała na Mal, która kiwnęła głową zachęcająco – chyba... – dodała z powątpiewaniem.

Do Mal dobiegł wybuch śmiechu Harry’ego.

– Miło mi słyszeć, że już wróciła. Powiedz jej, że tęsknię za nią.

– Mówi, że za tobą tęskni – powtórzyła Beth, zakrywając dłonią słuchawkę.

Mal przewróciła oczami i westchnęła ciężko.

– Powiedz jej też, że jestem na dole, w holu i naprawdę chciałbym ją zobaczyć.

Mal ponownie potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie? – szepnęła Beth, ale Mal zmarszczyła groźnie brwi i przejechała

palcem po gardle.

– Przykro mi, detektywie Jordan, jest zbyt zmęczona. Pierwszy dzień w pracy po urlopie i w ogóle.

– Ja jednak poczekam – powiedział stanowczo i odłożył słuchawkę. Beth pytająco spojrzała na Mal.

– Dlaczego nie? Facet wykonuje tylko swoją pracę. Co by ci szkodziło poświęcić mu trochę czasu, pozwolić wyjaśnić, o co mu chodzi? Poza tym, ma cudny głos.

Bardzo seksowny.

Mal rzuciła się na krzesło i założyła nogi na biurko, ręce za głowę i popatrzyła na Beth.

– Jest stary, ułomny i brzydki. A ty się spóźnisz – powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu – no idź, nie każ mężowi czekać.

Beth westchnęła. Pomyślała, że jak na gwiazdę telewizji, Mal wygląda okropnie samotnie.

Obejrzała się, kiedy brzęknęła winda i na korytarz wyszedł mężczyzna. Beth patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Był wysoki, smukły, z ciemnymi włosami i jednodniowym zarostem, ubrany w seksowną skórzaną kurtkę i wytarte dżinsy. Wyglądał jakby w nich spał. Otaczała go aura niezbitnej pewności siebie i Beth uznała, że jest zdecydowanie pociągający.

– Detektyw Jordan – domyśliła się.

– Beth Hardy. Miło mi cię poznać. Nareszcie. Ujęła jego wyciągniętą dłoń.

– Jak się tu dostałeś?

Patrzyła, oszołomiona, na jego uśmiechniętą twarz.

– Odznaka policyjna otwiera niemal wszystkie drzwi.

– Dziwne, że nie przyprowadził pan ze sobą psa! – wypaliła Mal. Harry spojrział na nią zimno, zauważył długie nogi, opalone na arizońskim słońcu, baseballową czapkę i adidas. Pomyślał, że wygląda nieźle, niewyszukanie i naturalnie.

– Squeeze nie przepada za lataniem. Poza tym Nowy Jork chyba mu nie służy.

– Panu natomiast służy.

Beth przeniosła zaciekawiony wzrok od jednego do drugiego.

– No to lecę – mruknęła, sięgając po torebkę. – Miło było cię poznać, detektywie – za jego plecami uniosła brwi i zrobiła minę wyrażającą aprobatę.

„Pierwsza klasa”, powiedziała samymi ustami.

Śmiała się jeszcze, czekając na windę.

Mal nie poprosiła Harry’ego, żeby usiadł, więc stał niedbale oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach i patrzył na nią.

– Jest pan odrobinę zbyt nachalny nawet jak na detektywa – powiedziała lodowato. – Powinien pan umieć przyjąć „nie” za odpowiedź, zwłaszcza kiedy

odmawia kobieta.

– Nie poddam się łatwo, panno Malone! – w jego głosie zabrzmiał śmiech. –
Prawdę mówiąc, przyszedłem zaprosić panią na kolację. Zaproszenie ma charakter
osobisty, nie ma nic wspólnego z moją pracą.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Wzięły pana moje niebieskie oczy, co?

– Zgadza się oraz to, że lubi pani mojego psa. Mał roześmiała się.

– To znaczy, że proponuje mi pan powtórkę „Ruby”.

Napotkała jego wzrok. Miał ołowianoszare, głęboko osadzone, oczy. Stał tak
blisko, że widziała ciemne obwódki tęczówek. Co prędzej spuściła powieki.

– Znam francuską restaurację w Village. Myślę, że będzie pani odpowiadała. Czy
zje pani ze mną kolację? Proszę.

Pomyślała, że może właśnie to „proszę” nakłoniło ją do wyrażenia zgody. Albo
jego piękne, szare oczy. I to, że czuła się samotna, a on sprawił, że się roześmiała. Ale
musiała postawić jeden warunek.

– Nie będzie mowy o pracy?

– Obiecuję! Uroczyście podniósł dwa palce. Śmiejąc się wyraziła zgodę na
spotkanie w „Bistro Arlette” o ósmej trzydzięci.

13.

Miała żywo w pamięci skórzaną kurtkę Harry'ego, Mał ubrała się w proste, czarne spodnie i sweter. Zrozumiała, że popełniła błąd w chwili, gdy przekroczyła próg „Arlette”. Bistro było małe, ale bardzo szykowne, z wysokimi, łukowatymi oknami i paroma interesującymi obrazami na ścianach. A Harry Jordan był elegancki.

Czekał na nią w małym barze i wyglądał jak skrzyżowanie Harrisona Forda z Johnem Kennedy. Miał na sobie blezer, dałaby głowę, że od Armaniego, płócienne spodnie i miękką białą koszulę. Poza tym miał krawat.

– Cieszę się, że pani przyszła – powiedział i zabrzmiało to szczerze. – Bałem się, że się pani rozmyśli.

– Najwyraźniej nie nadajemy na tej samej częstotliwości – odparła poirytowana drugą odzieżowa pomyłką. – Gdybym wiedziała, ubrałabym się bardziej odpowiednio.

Westchnął teatralnie.

– Myślałem, że zna pani „Arlette”. To szalenie popularna knajpa.

– Jasne. Jak „Ruby”.

Uśmiechnął się prowokacyjnie, kiedy kelner prowadził ich do stolika przy oknie.

– Może uda nam się następnym razem. Uda – w sensie doboru odzieży.

– Następnym razem? – zdziwiła się zajmując miejsce. – Czy nie wybiega pan zbyt w przyszłość?

– Święcie wierzę w myślenie przyszłościowe.

Mał musiała się roześmiać. W oczach błyskał mu złośliwy chochlik, w kącikach ust czał się uśmiech.

Siedząc naprzeciwko niej, Harry pomyślał, że jest najbardziej atrakcyjną kobietą, jaką zdarzyło mu się spotkać. Mimo że jej nos miał wyraźny wznórek na samym środku, a niebieskie oczy były zbyt szeroko osadzone. No i jeszcze szczeka – odrobinę zbyt okrągła. Ale usta miała piękne, pełne i jakieś takie bezbronne.

Podobała mu się jej chłodna energia i błysk inteligencji w oczach.

I jej uszczypliwość. Prawdę mówiąc, podobało mu się w niej wszystko. Nawet uszy, a był człowiekiem przywiązującym dużą wagę do kobiecych uszu. Uszy Mał były piękne. Małe i przylegające gładko do pięknie uformowanej czaszki.

Pomyślał, jaka to szkoda, że bawi się z nim w kotka i myszkę, inaczej uległby pokusie i cieszył się jej towarzystwem.

Wezwał kelnera i, nie pytając jej o zdanie, zamówił szampana. Uniosła brwi zaskoczona.

– Jeżeli nie znosi pani bąbelków, zamówię coś innego – powiedział. – Chciałem spróbować szampana. To specjalny gatunek, który odkryłem we Francji, tak się

składa, że jeden z najlepszych.

– A jeżeli wolę martini?

– Dostanie pani martini.

– Rozumiem. Należy pan do facetów, którzy lubią się rządzić.

Oparł łokcie na stole i podbródek na dłoniach. Pochylił się i zajrzał jej w oczy.

– Tylko, jeżeli jestem pewien, że odpowiada to drugiej stronie.

Mał przybrała jego pozę, wspierając podbródek na dłoniach. Ich oczy spotkały się i znowu zobaczyła ciemne obwódki wokół stalowoszarych tęczówek. Pomyślała, że jest przystojny, jaka szkoda, że jednocześnie taki zarozumiały. Poza tym, była pewna, że nadal chodzi mu o portret pamięciowy, a z tym nie chciała mieć do czynienia. Inaczej może poszłaby mu na rękę.

– No więc, dlaczego pan mnie tu zaprosił, panie detektywie? – zapytała wyzywająco.

– Pomyślałem, że będziemy mogli lepiej się poznać. Uśmiechnęła się i był to chytry, koci uśmieszek.

– Radzę mieć się na baczności. Może się okazać, że wiem o panu więcej niż pan przypuszcza. Skoro lubi pan się szarogęścić, proszę zamówić dla nas obojga.

– Bardzo pani ufna – powiedział, nie kryjąc zdumienia.

– Ufna? Nie ma takiego wyrazu w moim słowniku.

Spojrzał na nią sceptycznie kątem oka, ale ona tylko się uśmiechnęła. Harry dał znak kelnerowi, złożył zamówienie i zwrócił się znów do swojej towarzyszki.

– „Panie detektywie” brzmi trochę zbyt oficjalnie między ludźmi dzielącymi to samo doświadczenie kulinarne. Poza tym nie zniósłbym, gdyby ktoś z obecnych podejrzewał, że jest to robocza kolacja. Czy mogłaby pani mówić do mnie po imieniu?

Kelner nalał szampana do kieliszków i Mał umoczyła w nim usta. Z aprobatą spojrzała na Harry’ego.

– Jedno można o panu powiedzieć na pewno – zna się pan na winach.

– Między innymi – przyznał.

– Hmmm, nie jest pan wybitnie skromny, detektywie.

– Nie wtedy, gdy jestem czegoś pewny. Miała mi pani mówić po imieniu.

Przekrzywiła głowę, jakby się głęboko nad czymś zastanawiała.

– Nie sądzę, żebym mogła się przyzwyczaić. Z drugiej strony, nie będę musiała, skoro jest to pierwsze i ostatnie nasze wspólne „doświadczenie kulinarne”, jak pan to ładnie ujął.

– Nie ścierpiałbym myśli, że jest to nasze ostatnie spotkanie, panno Malone.

– Panno Malone? Harry uniósł pytająco brwi.

– Wolałaby pani, żebym zwracał się do niej „psze pani”?

– Nie wiedziałam, że prowokacja wchodzi w zakres umiejętności oficera policji. Westchnął ciężko.

– Nie wchodzi, ale pani nie poprosiła mnie jeszcze, żebym mówił do niej „Mallory”, panno Malone, psze pani.

Wzniosła toast.

– Za pana, Haraldzie Peascott Jordanie Trzeci, potomku bogatej rodziny wybitnych prawników. – W jej niebieskich oczach iskrzył śmiech. – Synu jednego z największych adwokatów naszych czasów, eksperta w dziedzinie krzyżowego ognia pytań, znanego z umiejętności znalezienia kruczka prawnego, dzięki któremu klient wychodził z Sądu jako wolny człowiek. Nawet jeżeli wszyscy, łącznie z sędzią, wiedzieli, że jest winien. Jak również z umiejętności wynegocjowania najlepszego losu dla tych morderców, którym nie mógł zagwarantować bezkarności.

Harry jęknął.

– Może nie wywlekajmy na światło dzienne wszystkich rodzinnych sekretów.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Ale pan, Haraldzie Trzeci, zerwał z rodzinną tradycją. Wstąpił pan na Uniwersytet Stanu Michigan i został gwiazdą futbolu, członkiem reprezentacji akademickiej Stanów, z przeciętną ocen – 5. Zwerbowany do ligi zawodowej.

Oferta, której pan nie przyjął – spojrzała na niego z ciekawością. Dlaczego, Harry? Co się wydarzyło?

Wzruszył ramionami, popił szampana.

– To znaczy, że nie wiesz?

– Nawet ja nie mogę znać wszystkich myśli człowieka, motywów, jakimi się kieruje. Ale mogę inteligentnie zgadnąć. Ojciec?

Harry skinął głową.

– Starzał się. Był po czterdziestce, kiedy się ożenił, kiedy ja poszedłem na studia, stuknęła mu sześćdziesiątka. Chciał mieć pewność, że po jego śmierci wszystko będzie tak, jak za jego życia. Więc zrobił to, co umiał najlepiej – wytargował najlepsze warunki. „Starzeję się, powiedział, odwołując się do mojego serca i poczucia winy. W moim wieku człowiek nie wie, ile czasu mu pozostało. I pamiętaj, że musimy myśleć o twojej matce, o ciągłości jej życia. Muszę mieć pewność, że firma znajdzie się w twoich rękach, bezpieczna w rodzinie. Że nie wpadnie w ręce tych rabusi cmentarnych”. Miał na myśli swoich partnerów. Zawsze podejrzewał, że tylko czekają, żeby zająć jego miejsce, i pewnie miał rację. W każdym razie, kazał mi pójść na prawo. Jeżeli pójdziesz na prawo, powiedział, porozmawiamy o futbolu.

„Nie myśl, że nie jestem z ciebie dumny, synu”. Który ojciec nie byłby dumny, widząc, że jego syn zdobywa zwycięski punkt w meczu przeciwko Notre Dame?

Dopingowałem cię, aż zdarłem gardło. Ale fakty pozostają faktami, a ja się

starzej. Musisz stawić czoło swoim obowiązkom, Harry. Pomyśl o matce”.

– Więc, jak na grzecznego synka przystało, poszedłeś na harwardzki wydział prawa i o mały włos nie oblałeś pierwszego roku. Jak przypuszczam próbując odegrać się na ojcu.

– Litości, Malone, istnieje w tym kraju coś takiego, jak życie prywatne! – zawołał.

– Owszem – powiedziała słodko. – Ale nie wtedy, gdy zadajesz się z telewizją. Spędziłeś więcej czasu na randkach ze studentkami drugiego roku niż na sali wykładowej. Dwa razy rozbiłeś swoje porsche, odwiedzałeś zbyt wiele barów. Nie przystąpiłeś do żadnego egzaminu i zostałeś zawieszony.

Harry uniósł ręce w geście rozpaczy.

– Przegląd błędów młodości nie jest tym, czego facet oczekuje na pierwszej randce. Czy celowo próbujesz podkopać moją pewność siebie?

W jej oczach ujrzął teraz coś więcej niż ciekawość. Pojawiło się w nich serdeczne zrozumienie, zupełnie jak podczas wywiadów telewizyjnych, kiedy jej rozmówcy odnosili nagle wrażenie, że panna Malone naprawdę im współczuje i wypruwali przed nią bebechy.

– Ależ nie, Harry, wszystko w porządku, mnie możesz powiedzieć. Obiecuję, że to pozostanie między nami.

Uległ jej, oczywiście.

– Chciałem wrócić do sportu, ale było już za późno. Spaliłem za sobą mosty. W świecie futbolu byłem już reliktem. Pojawili się nowi, młodszy, gorliwsi, sprawniejsi. Lepszy ode mnie.

Ojciec powiedział, że szczerze mi współczuje, ale rodzina przede wszystkim. On sam nigdy nie uchylił się od odpowiedzialności. I spodziewał się, że jego syn również tego nie zrobi.

Ze śmiechem przytoczył Mal słowa ojca o zapinaniu rozporoka.

– Więc wróciłeś na uczelnię?

– Wiedziałem, że ojciec ma rację. W słodkim, krótkim życiu zawodowego sportowca szansa trafia się tylko raz. Musisz się zdecydować, teraz albo nigdy albo pochwycisz ją obiema rękami, albo za rok, dwa okaże się, że jesteś za stary, że zastąpili cię młodszy. Skończyłem prawo i zacząłem pracować w firmie ojca.

Zjawił się kelner i Harry zauważył, jak oczy Mal ogromnieją z zachwyty na widok wędzonego łososia, podanego na maleńkich babeczkach ziemniaczanych. Pomyślał, że wygląda jak mała dziewczynka nad urodzinowym tortem.

– Spróbuj! – zachęcił ją. – Sprawdź, czy smakują równie dobrze jak wyglądają.

– Mmm! – powiedziała z pełnymi ustami. – Lepiej.

– Co za ulga, wiedzieć, że jesteś człowiekiem mimo wszystko. Już zacząłem

podejrzewać, że jesteś dokładnie taka, jak na ekranie.

– Może jestem – nie miała zamiaru odkryć się przed detektywem Harry Jordanem.

Podjęła znowu interesujący ją temat.

– Wytrzymałeś dwa lata pracując dla ojca. Potem złożyłeś wypowiedzenie i zostałeś gliniarzem. Dlaczego?

Miał wrażenie, że jej jasne, niebieskie oczy na wylot drażą mu mózg w poszukiwaniu prawdy. Wiedział, że za tym miłym uśmiechem i łagodnym głosem kryje się osóbką o umyśle jak żyłotka. Przypuszczał, że właśnie tej kombinacji łagodności i inteligencji zawdzięcza sukces.

– Wiesz już tyle, że musisz wiedzieć również i to. Po chwili milczenia, zaczęła z innej beczki.

– A twoja żona? Kochałeś ją?

– Jezus, Malone! – wybałuszył na nią oczy, zaszokowany. – Oczywiście, że ją kochałem. I jeżeli już musisz wiedzieć, cierpiałem jak cholera, kiedy odeszła.

Jeżeli wolno zapytać, po co ci te informacje?

– Sprawdzam tylko, czy gliniarze mają jakieś ludzkie uczucia.

– A ty, Malone? – zapytał zimno. Uśmiechnęła się radośnie.

– Jesteśmy drażliwi, panie detektywie? Opowiedz mi teraz o Moonlighting Club. Musiał się roześmiać.

– Jak się, u licha, o tym dowiedziałaś? – zapytał, nie kryjąc podziwu. – To powinien być sekret! – Harry kupił i anonimowo dofinansowywał salę gimnastyczną, o czym wiedział tylko jego przełożony.

– Taką już mam pracę, że muszę wszystko wiedzieć. Wiem również, że organizujesz dragi taki klub, w innej dzielnicy, tym razem z basenem. I że ty i jeszcze paru gliniarzy prowadzicie to w czasie wolnym od pracy – popatrzyła na niego z powagą. – Zrobiłeś wspaniałą rzecz, Harry. Nie każdego stać na to, by w ten sposób pomóc dzieciakom z ulicy.

– Nie widzą tych dzieciaków nocą na ulicach tak często jak ja. Ktoś musi im pomóc, więc pomyślałem, że skoro nie zarobiłem tych pieniędzy, mogę je równie dobrze wydać na coś pożytecznego.

– To bardzo szlachetne – powiedziała bez kpiny.

– Jasne, święty Harry to ja. Czuję się jakbym występował w twoim programie – dodał zirytowany. – Chyba czas porozmawiać o tobie – ujął jej dłoń i odwrócił wnętrzem ku górze, badając linie. – Czy muszę czytać ci z ręki?

Mał popatrzyła na niego niespokojnie. Była ekspertem w zadawaniu pytań, gorzej wychodziło jej udzielanie odpowiedzi.

– Nie ma nic do opowiadania. Typowy życiorys: dziewczyna z małego

miasteczka idzie na studia, dostaje pracę w małomiasteczkowej stacji telewizyjnej, otrzymuje posadę spikerki, zostaje wyłowiona przez sieć ogólnokrajową. Reszta jest historią.

– Hej, hej, hej! – Harry uniósł dłoń, jakby chciał ją przystopować. – Zwolnij!

Jakie małe miasteczko? A twoja rodzina? Bracia i siostry? Chłopcy. Małżeństwo – tu proszę o pełny raport. Daj spokój, Malone! Szczerość za szczerość.

Przez sekundę pochwycił jej wzrok i ujrzał ten sam wyraz osaczenia, jaki pojawił się w jej oczach, gdy oglądała portret pamięciowy.

– Daj spokój – powiedziała. – To już wszystko. Jestem najmniej interesującą kobietą na świecie.

Zmieniła się w jednej chwili, wyglądała teraz na osobę bezradną i zagubioną.

Harry potrząsnął głową: nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

Uniosła podbródek i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem, który rozświetlał jej twarz i powiedziała:

– Tylko żartowałam, Harry.

Kelner zebrał puste talerze i przez jakiś czas spoglądali na siebie w milczeniu.

– Więc po co ci był portret psychologiczny mojej osoby? – zapytał w końcu Harry. – Mało prawdopodobne, bym kiedyś wystąpił w twoim programie. Nie rozumiem, ale ostrzegam cię, że będę usilnie próbował.

Przez chwilę bawiła się kieliszkiem, potem powiedziała:

– Może chciałam poznać twój słaby punkt? Jaki jest prawdziwy powód, dla którego zaprosiłeś mnie na kolację?

– Az jakiego powodu ty przyjęłaś zaproszenie? Patrzyli sobie w oczy w pełnej napięcia ciszy.

– Po prostu byłam ciekawa, jaki naprawdę jesteś – powiedziała niewinnie.

Harry przesunął dłonią po szczecinie, która już ocieniała mu dół twarzy.

– Mam rozumieć, że to była taka sobie abstrakcyjna myśl, czy może chcesz poznać mnie jeszcze lepiej, Malone?

Uśmiechnęła się chłodno.

– Żartowałam, detektywie Jordan. Nie mogłam sobie darować. Westchnął z żalem.

– A ja miałem nadzieję, że molestujesz mnie seksualnie.

Patrzył zdumiony, jak zachłannie rzuca się na danie, które postawił przed nią kelner. Wyglądała, jakby żywiła się korzonkami, a tymczasem jadła za czterech.

– Jesz, jakbyś od dawna nic nie miała w ustach. Podniosła wzrok znad talerza.

– Przez ostatni tydzień miałam prawo do tysiąca dwustu kalorii dziennie.

A w dzieciństwie nigdy nie byłam syta. Zdarzało się, że w ogóle nie jadłam.

Pewnie dlatego jedzenie sprawia mi taką przyjemność.

W końcu odsłoniła mu kawałeczek siebie, zarysowało się drobne pęknięcie w ochronnej zbroi.

– Zaskakujesz mnie – powiedział.;– Wyobrażałem sobie, że pochodzisz z takiego miłego domu, o jakim każdy marzy. No wiesz, mama w kuchni gotuje pyszne obiady, tata kosi trawę w ogródku, albo gra w kosza z młodszym bratem, zabiera rodzinę na ryby. A ty jesteś szefową drużyny kibicek i wszyscy chłopcy ubiegają się o to, by zaprosić cię na studniówkę.

– Miły obrazek? – odchyliła się na poręcz krzesła i obronnym ruchem skrzyżowała ramiona na piersiach. – Niestety, nie wszyscy jesteśmy w czepku urodzeni jak niejaki Harry Jordan.

– Prawda, ale nie musimy się niczego wstydzić. Roześmiała się sarkastycznie.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? Zanim zostałeś gliną, nie wiedziałeś pewnie jak wygląda gorsza strona miasta.

– Tam wtedy mieszkałeś? Po tej gorszej stronie miasta?

– Mówiłam teoretycznie. Moja praca wymaga, żebym wiedziała, jak żyje druga połowa ludzkości.

– Moja praca również.

Przez chwilę spoglądała na niego w zadumie.

– Co taki facet jak ty porabia w wolne wieczory?

– Ty mi to powiedz, znasz mnie przecież na wylot.

– Lubisz nocne życie – wszystkie te podrzędne kluby. Jesteś ognistym tancerzem, znawcą wina. Lubisz smaczne kolacyjki w uroczych restauracyjkach takich jak „Arlette”. Na ogół podobasz się kobietom.

– A ty znowu swoje.

– Prawda, jak ten temat często powraca? Przykro mi, detektywie Harry, że psuję nastrój, ale muszę zabawić się w Kopciuszkę. Z samego rana mam nagranie nowego programu. Odrobina snu mi nie zaszkodzi.

– Szkoda, właśnie teraz, kiedy zaczynałem cię poznawać.

– Naprawdę tak myślałeś? – rzuciła mu kpiące spojrzenie przez ramię. Szła już w stronę toalety dla pań.

Pokiwał głową, patrząc jak z wdziękiem przemyka między stolikami. Pomylił się. Prawdę mówiąc, nie wiedział o niej więcej niż w chwili, gdy tu weszła.

– Nie musisz odwozić mnie do domu – powiedziała już na ulicy, machając na taksówkę.

– Zawsze odstawiam swoje kobiety pod same drzwi.

– Świat się zmienił od czasu, gdy twoja matka biegła na randki, detektywie Harry. Kobiety są niezależne, same łapią taksówki.

Poirytowany zerknął na nią kątem oka.

- Mów, co chcesz, ale nauczono mnie dobrych manier.
- O? Syneczek mamusi?
- Jak nasz morderca, pamiętasz?
- Obiecałeś, że nie będzie mowy o pracy – upomniała go ze śmiertelną powagą.
- Zawsze dotrzymuję obietnic.

Zajechała taksówka. Otworzył drzwi przed Mal, po czym wsiadł za nią. Nie zaprotestowała. Podała kierowcy adres i siedziała w milczeniu, wyglądając przez okno. Zastanawiała się, jak to jest być kochaną przez mężczyznę takiego jak Harry Jordan. Mężczyznę o staroświeckich, dobrych manierach, mężczyznę, który zawsze dotrzymuje obietnic. Mężczyznę, którego twarde uda czuła teraz przy swoich.

Harry czuł delikatny i gęsty zapach jej perfum. Jego wzrok powędrował do zagłębienia między jej piersiami, gdzie spoczywał antyczny kamień księżycowy zawieszony na łańcuszku. Odchrząknął przerywając ciszę.

– Dziękuję za uroczy wieczór, panno Malone. Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

– Cała przyjemność po mojej stronie, detektywie Jordan.

– A więc powrót do stopy oficjalnej – pokiwał smętnie głową. – Ale przecież nigdy nie poprosiłaś mnie, żebym mówił do ciebie „Mallory”.

– Faktycznie nie poprosiłam – spojrzała mu prosto w oczy. Taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Harry wysiadł i przytrzymał drzwi.

– Będziesz musiała przyzwycząić się do moich dobrych manier, jeżeli jeszcze kiedyś powtórzymy dzisiejszy wieczór – powiedział.

Popatrzyła na niego sceptycznie, ale nie odezwała się, kiedy wchodzili na schody prowadzące do bramy budynku.

– Nie mogę chyba liczyć na drinka – powiedział z żalem – nagrywasz rano ten program.

– Zgadza się.

– A więc dobranoc?

– Dobranoc, detektywie Jordan.

Harry stał ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc jak Mal wchodzi do holu.

Zatrzymała się w drzwiach, zawahała przez moment, potem odwróciła się i podeszła do niego szybkim krokiem.

– Powiedz mi coś, Harry. Wtedy, gdy zadzwoniłam do ciebie? Dlaczego właściwie dyszałeś?

Przesunął palcami przez włosy.

– Mam powiedzieć prawdę, czy mogę skłamać?

– Prawdę.

– Szkoda. Mógłbym podać tyle interesujących odpowiedzi. Prawda wygląda tak,

że jeździłem na rowerze. Zabieram ze sobą psa, bo to dobre ćwiczenie dla nas obu.

Mał odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem.

– Byłam po prostu ciekawa. Dobranoc, Harry – weszła z powrotem na schody.

– Wiesz co, Malone? – zawołał za nią. Odwróciła się.

– Gdybyś musiała określić mnie jednym słowem, co byś powiedziała?

– Co to jest? – zmarszczyła brwi. – Test?

– Sama zaczęłaś tę zabawę. Namysłąła się przez chwilę – Zarozumiały – powiedziała. – Tak, zarozumiały. To słowo znakomicie cię charakteryzuje.

– Dobra. Teraz ty powinnaś zapytać mnie.

Wsparła się rękoma pod boki, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

– No więc, pytam.

– Enigmatyczna – powiedział Harry. – Jesteś zagadką, Malone. Mał myślała nad tym przez chwilę.

– Uznam to za komplement, Harry – powiedziała wchodząc do holu. – Dobranoc tym razem nieodwołalnie.

Nie odwracając się pomachała mu na pożegnanie.

14.

O siódmej rano Mal była w studio. Nagrania rozpoczynały się dopiero o dziesiątej, ale zawsze przychodziła wcześniej, razem z całym zespołem. Chciała się upewnić, że wszystko jest dokładnie tak, jak sobie zaplanowała.

– Robiliśmy to setki razy – pożałowała się Beth Hardy. – Po trzech latach mogłabyś nam chyba zaufać.

– Muszę być pewna, że wszystko gra – nalegała Mal.

– Okay! Skoro chcesz się zrywać skoro świt, to nie moja sprawa. Co powiesz na kawę i pączka?

Mal zrobiła zgorzowaną minę.

– Kofeina i cukier? Po tygodniu diety jestem tak niewinna, że mogłabym zemdleć na sam ich widok. – Tęsknie zerknęła na filiżankę Beth. – No, może pół filiżanki. Bezkofeinowej – dodała ze skruchą.

– A może ugryziesz kawałek? – Beth pomachała jej pączkiem przed nosem.

Mal zamknęła oczy, chcąc uniknąć pokusy.

– Zgiń, przepadnij, maro przekłeta! – zawołała, zasłaniając się rękoma.

Przejrzała scenariusz, popijając kawę. Potem sprawdziła, co się dzieje w studio. Wszystko toczyło się zgodnie z planem, więc poszła do charakteryzatorni.

– Przyszłam po swoją drugą twarz – powiedziała do Helen Ross, z którą pracowała od czasu pamiętnego pierwszego programu przed trzema laty.

Helen przekrzywiła głowę, przyglądając się nie umalowanej twarzy Mal.

– Zawsze to mówisz, ale makijaż nie zmienia cię tak bardzo. Tylko odrobinę wyostrza ci rysy.

– Wolę myśleć, że wyglądam jak ktoś inny – Mal opadła na krzesło i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. – Kobieta, która pojawia się na ekranie, to nie jestem ja.

Helen z powątpiewaniem potrząsnęła głową. Przetarła twarz Mal tonikiem, potem nałożyła krem nawilżający.

– Helen?

Helen spojrzała pytająco na Mal w lustrze.

– No?

– Myślisz, że odbiło mi na punkcie programu? Helen roześmiała się.

– Ja tak nie uważam, ale znam parę osób, które tak właśnie myślą. Mal siedziała z nachmurzoną miną.

– Przypuszczam, że mają rację – przyznała niechętnie. – Ale to mój program. I gdybym nie trzymała ręki na pulsie, nie byłby najlepszy.

– Chyba nie – zgodziła się Helen.

Po skończeniu makijażu w przyjaznym milczeniu, Mal jeszcze raz przeczytała scenariusz, podczas gdy Helen suszyła jej włosy. Ale jakoś nie mogła skoncentrować się na tekście.

Po raz czwarty czy piąty tego ranka zastanawiała się, co robi Harry Jordan.

Wyobrażała go sobie jadącego na rowerze, oczami wyobraźni widziała pracę tych silnych mięśni, które czuła przy sobie wczoraj. Ogromny, srebrno-szary wilczarz biegnie obok. Potem zobaczyła Harry'ego w „Ruby”, jak pochłania talerz sadzonych jajek z domowymi frytkami, nie poświęcając ani jednej myśli swojej talii. Co prawda, wcale nie musiał się o nią troszczyć, pomyślała, przypomniawszy sobie, jak wyglądał w dzinsach.

Ale Harry wziął wczoraj wolny dzień, żeby pójść z nią na kolację, więc najprawdopodobniej dzisiaj pracuje. Wyobraziła go sobie na posterunku, w starej skórzanej kurtce, ze zmierzwionymi włosami, żartującego z kumplami.

Potem skarciła się ostro. Była śmieszna. Nie miała pojęcia, jak wygląda jego życie. Tak naprawdę знаła tylko kilka faktów z jego życiorysu. Nie знаła prawdziwego Harry'ego Jordana. Nie wiedziała, czy kochał ojca, choć ten zniszczył jego karierę sportową. Nie wiedziała nic o jego żonie, jak się poznali i jak bardzo ją kochał. Nic nie wiedziała o jego pracy, poza tym, że był dobrym policjantem, człowiekiem oddanym temu, co robił, który poświęcał czas i energię na poszukiwanie morderców; zabójcy Summer Young, na przykład.

Przewróciła stronę maszynopisu, zmuszając oporny umysł do koncentracji.

Powiedziała sobie, że nie powinna myśleć o Harrym Jordanie ani o kimkolwiek.

Musi zrobić program. Tylko to było ważne.

Pod koniec długiego dnia poszła z całą ekipą do chińskiej restauracji w pobliżu studia, piła jaśminową herbatę i śmiała się wraz z innymi, rozładowując napięcie.

Wróciła do domu po dziewiątej. Ledwo otworzyła drzwi, ogarnął ją zapach lilii.

Zamknęła oczy, pewna że śni. Kiedy je znów otworzyła, ujrzała wielki kryształowy wazon przy stoliku w holu, pełen pachnących białych lilii i kremowych róż.

Zauroczona wyciągnęła dłoń i dotknęła kwiatów.

Koperta z kartką leżała na stole, ale wiedziała, że kwiaty przysłał Harry Jordan. Przeszył ją krótki dreszcz lęku. Skąd wiedział o liliach? Potem uświadomiła sobie, że prawdopodobnie zadzwonił do Beth i zapytał o jej ulubione kwiaty.

Ku swojemu zdziwieniu zauważyła również małą paczuszkę. Zrzuciwszy pantofle, pobiegła do salonu, usadowiła się w wielkim fotelu, przewieszając nogi przez poręcz. Uśmiechnęła się, czytając liścik.

„Enigma. Osoba z zagadkowym, lub sprzecznym charakterem. Tajemnicza, intrygująca. Od greckiego ainigma, od aninisesthai – mówić zagadkami. (Słownik

wyrazów obcych, definicja enigmy)”.
– Bardzo dowcipne, Harry – powiedziała rozbawiona.

Obejrzała paczuszkę. Opakowana była w papier ze świętymi Mikołajami i życzeniami świątecznymi. Pomyślała, że detektywowi Jordanowi najwyraźniej pomyliły się pory roku, potem doszła do wniosku, że był to jedyny papier ozdobny, jaki miał pod ręką. Rozdarła go niecierpliwie, jak dziecko w wigilijny wieczór.

W środku była płyta kompaktowa, „Enigam Variations” Edwarda Elgara. Z uśmiechem wsunęła ją w odtwarzacz.

Siedziała po turecku na dywanie, patrząc w płomienie, podczas gdy pokój wypełniła romantyczna muzyka. Zapach lilii rozchodził się po całym domu, polana radośnie trzaskała w kominku. Dzisiaj, dzięki Harry’emu Jordanowi, czuła się mniej samotna.

Nie zawsze tak było. Kiedyś, dawno, dawno temu była Mary Mallory Malone, szarą myszką z Golden High. Najbardziej samotną dziewczyną na świecie.

Mary Mallory nie urodziła się w Golden. Sprowadziły się tu, kiedy miała dwanaście lat, po tym, jak zostawił je ojciec. Nigdy go już nie zobaczyła, ale dobrze pamiętała, jak wyglądał. Wysoki i żylasty, z tatuażem syreny na muskularnym ramieniu i głęboką blizną przecinającą lewy policzek. Napinał mięśnie ramienia, tak żeby piersi syreny podskakiwały i kątem oka spoglądał na Mary Mallory i jej matkę, wiedząc, że czują się zawstydzone.

Był marynarzem, w pewnym sensie. Pracował jako palacz na statkach handlowych pływających między Seattle a Azją, ale ocean widywał jedynie w tych rzadkich chwilach wytechnienia, kiedy wychodził z palarni na pokład, żeby zapalić papierosa. Patrzył wtedy zmęczonymi, brązowymi oczami na rozfalowany bezmiar wody. Potem umykał pod pokład, do swojej koi albo szedł z powrotem na stanowisko przed wielkim piecem.

Kiedy dobijał do portu, sprawy miały się zgoła inaczej. Przez cienką ścianę dzielącą ją od sypialni rodziców Mary Mallory słyszała, jak opowiada o tym matce. Jak ją torturuje plastycznymi opisami swoich podbojów.

Mary Mallory zakrywała uszy i chowała głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć tych sprośnych historyjek o kobietach, które kupował w Macau, Tajpej, czy Honolulu. Ale matka musiała słuchać, kiedy tłumaczył jej drobiazgowo, dlaczego nie może się równać z prostytutkami.

Wiesz, co one robią? – mówił groźnym, ochrypłym od papierosów głosem. – Chwytają mięśniami. No, właśnie tymi – wciskał w nią brutalnie palce, a ona dławiała w poduszce krzyk, żeby nie przestraszyć swojej młodej córki w sąsiednim pokoju.

– Jesteś beznadziejna – burczał, daremnie się w niej zatapiał, obarczając żonę winą za własne niedostatki. Kompletnie zero, słyszysz mnie? Zero! Jesteś obłąkana.

Potem rozlegał się dźwięk, jaki wydaje otwarta dłoń, spadająca na nagie ciało. Mary Mallory słyszała okrzyki bólu, choć wpychała palce do uszu.

Och, Boże, Boże, proszę, nie pozwól jej skrzywdzić! – modliła się, siadając wyprostowana na łóżku. – Nie pozwól, by ją bił. Każ mu przestać!...

Bóg czasem wysłuchiwał jej próśb. Słyszała skrzypnięcia łóżka, szelest ubrania, pbrzękiwanie klamry u paska, potem grzmotnięcie butów o podłogę i drugie skrzypnięcie, kiedy ojciec siadał na łóżku, by je założyć.

Potem następowała długa cisza. Mary Mallone wiedziała, że ojciec stoi wtedy, spoglądając z góry na matkę. Krzyżowała ramiona i nogi, i zaciskała z całej siły powieki.

– Nie bij jej – modliła się. Tylko jej nie bij...

Czasem bił, czasem nie. Potem słyszała dudnienie butów na schodach i huk zatraskiwanych drzwi, od którego lichy dom drżał w posadach.

Mary Mallory zamierała, nasłuchując aż do bólu powracających kroków ojca.

Dopiero usłyszawszy warkot samochodu, pozwalała sobie na ulgę, pewna, że tej nocy ojciec nie wróci.

Gapiała się w ścianę, słysząc tłumiony płacz matki, cierpiała razem z nią, ale nie wiedziała, jak jej pomóc. Nie mogła tam pójść, zarzucić jej rąk na szyję i pocieszyć. W rodzinie Malone nie robiono takich rzeczy.

Nikt nigdy nie mówił o swoich uczuciach i Mary Mallory doszła do wniosku, że widocznie nie powinno się ich mieć. Zresztą, w jej rodzinie w ogóle nie rozmawiano, jeżeli nie liczyć próśby o podanie soli przy obiedzie.

Matka wydawała się zamknięta we własnym świecie rozpacz. Jak lunatyczka snuła się po małym domu w wyblakłej, różowej podomce. Godzinami siedziała przy kuchennym stole nad filiżanką kawy i gapiała się w przestrzeń pałac papierosa za papierosem.

– Mamo – zagadnęła ją któregoś dnia, kiedy ojciec był na jednym z dłuższych rejsów i życie wydawało się prostsze. – Może poszłybyśmy do kina? W Rialto grają podobno dobry film.

Mętne oczy matki spoczęły na niej przez sekundę. Uniosła brwi, jakby zdziwiona widokiem córki.

Idź sama, pieniądze są w mojej torebce.

Więc poszła do kina sama, zapamiętała się w kolorowej wspaniałości najnowszego hollywoodzkiego musicalu. Chłoneła muzykę, śmiech i piękne suknie aż zatraciła poczucie miejsca i czasu. Żyła wraz z tymi ludźmi na ekranie. Dopiero, kiedy pojawiły się napisy, zapalono światła, powróciła do strasznej rzeczywistości bycia Mary Mallory Malone.

Oglądała wszystkie filmy wyświetlana w Rialto, czasem dwa, trzy razy. Kiedy

nie miała pieniędzy, czyli prawie zawsze, wślizgiwała się do kina tylnymi drzwiami, prowadziła swoje zastępcze, celuloidowe życie, gromadząc obrazy w pamięci, by odtworzyć je potem nocą, w łóżku. Aż do dwunastego roku życia wierzyła, że życie jest takie jak w kinie. Że tylko jej życie jest inne.

Jedynym nieprawdziwym zgrzytem były historie miłosne. Nie wierzyła, że ludzie naprawdę patrzą na siebie tak tkliwie, że tulą się, całują, i mówią: „kocham cię”. Wiedziała, że rodzice jej nie kochają i uznała, że winę za to ponosi ona sama, ponieważ jest brzydka. Była nieśmiałym, bezbarwnym dzieckiem, chuda, ze słabymi jasnymi włoskami i krótkowzrocznymi, niebieskimi oczami, ukrytymi za brzydkimi, grubymi szklami w plastikowej oprawce. Nie pamiętała, by w całym jej dziesięcioletnim życiu ktoś z rodziców wzięło ją w ramiona. Nigdy nie nazywali jej pieczołtliwie i nigdy nie sprawili, by poczuła się kimś wyjątkowym.

Miała jedenaście lat, kiedy ojciec nie wrócił z rejsu. Minał rok i pewnego ranka Mary Mallory, zszedłszy na dół, znalazła matkę przy kuchennym stole, jak zwykle z papierosem. Ścisnęła w rękę list. Podtykała go do oczu, ciągle od nowa przebiegając treść z wyrazem niedowierzania.

– Mary Mallory – powiedziała, dziwnym, nieswoim głosem. Tu jest napisane, że nie uiściliśmy rat hipotecznych. Tu jest napisane – odnalazła drżącą ręką odpowiedni fragment – że zignorowałyśmy wszystkie poprzednie ostrzeżenia i jeżeli nie opuścimy lokalu do soboty rano, pomocnik szeryfa usunie nas stąd siłą.

Podniosła oczy i zdumiona spojrzała na swoją bladą córkę stojącą w drzwiach.

Jakby nagle ujrzała światelko w tunelu, szczęśliwe zakończenie, na które zawsze czekała. Wyrwana ze swego letargu, poderwała się zza stołu.

– Pomóż mi! – powiedziała, rozglądając się dziko po obskurnej kuchence. Musimy się spakować! Naczynia, rzeczy. Ubrania.

Zastanowiła się.

– Wiesz, co to oznacza, prawda? – zapytała, a jej mętne zazwyczaj oczy płonęły triumfem. – Już nigdy nie będziemy musiały oglądać twojego ojca.

To smutne, że dopiero utrata własnego domu uwolniła matkę od tyranii sadystycznego męża, ale Mary Mallory nie pomyślała o tym wtedy. Najpierw poczuła ulgę, potem lęk.

Ale z czego będziemy żyły, mamó? – zapytała, przestraszona.

– Znajdę pracę – powiedziała matka beztrąsko, otwierając szufladę i wrzucając tani komplet wysłużonych sztućców do plastikowego worka. – Będę pracować jako ekspedientka w sklepie, albo kelnerka. To obojętne.

Mary Mallory tak nie uważała, ale zdając sobie sprawę, że zostać nie mogą, znalazła duży karton i zaczęła napełniać go naczyniami, układając je starannie.

Przerwała na chwilę pracę i spojrzała na matkę niepewnie. Matka nuciła jakąś nie

istniejącą melodię i Mary Mallory uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie widziała jej ożywionej. Miała jeszcze tylko jedno pytanie.

– Ale mam, gdzie my pojedziemy?

Matka przestała nucić, namyślając się nad odpowiedzią.

– Wiesz co? Zawsze chciałam mieszkać nad morzem – roześmiała się i ten obcy dźwięk przemknął przez stary, ponury dom, jak ta morską bryza, o której marzyła.

– Tak, tam właśnie pojedziemy! – zawołała ekstatycznie. Nad morze!

Był to jedyny moment w jej życiu, kiedy Mary Mallory na ułamek sekundy uchwyciła obraz ładnej dziewczyny, którą była kiedyś jej matka. Zanim wyszła za mąż, zanim pochwyciła ją w swe szpony depresja.

Poczuła, jak udziela jej się euforia matki, prawie uwierzyła, że istnieje szczęście, tam, nad morzem, gdzie kończy się tęcza. I śmiała się również, wrzucając z brzękiem garnki i patelnie do kartonu.

– Jedziemy nad morze! – krzyknęła uszczęśliwiona. Zamknąwszy oczy, wciągnęła w płuca powietrze, jakby już czuła słony powiew oceanu, ostry wiatr we włosach.

Jakby już smakowała ich nowe, szczęśliwe życie.

Parę godzin później wpakowały cały swój skromny dobytek do starego turkusowego chevroleta z chromowanymi wykończeniami. Matka usiadła za kierownicą, a Mary Mallory przypomniała jej, że lepiej zaopatrzyć się w benzynę, skoro udają się w podróż.

Na stacji benzynowej matka starannie odliczyła pieniądze i mrugnawszy do córki okiem, poszła do sklepiku i kupiła jej coca-colę i czekoladowy batonik.

– Lunch – powiedziała tajemniczo, zapalając papierosa z nowej paczki marlboro.

O szkole Mary Mallory przypomniała sobie dopiero, gdy koło niej przejeżdżały.

– Mam, co ze szkołą?! – zawołała, sprowadzona nagle na ziemię.

– Będzie nowa szkoła – odparła matka, nie obdarzając starej nawet przelotnym spojrzeniem.

– Czy nie powinniśmy ich jakoś powiadomić?

– Po co? – matka potrząsnęła głową. – Nie ma potrzeby. Wierz mi, nawet nie zauważą, że już cię tam nie ma.

Mary Mallory odwróciła głowę, żeby popatrzeć na brzydki budynek z czerwonej cegły, do którego wchodziła co rano przez ostatnie cztery lata. Nie miała tam przyjaciół, nawet nauczyciele ją ignorowali.

Wiedziała, że jest inna niż dzieci w szkole. Widywała ich rodziców, kiedy przychodzili na wywiadówki albo na przedstawienie z okazji świąt Bożego Narodzenia. Widziała jacy są. Mili, zwyczajni, uśmiechnięci ludzie, którzy śmiali się, rozmawiali ze sobą, żartowali ze swoimi dziećmi i z nauczycielami.

Ludzie, którzy, idąc przez szkolny dziedziniec, trzymali się za ręce albo obejmowali w pół, a ich głowy pochylały się ku sobie, kiedy rozmawiali. W domu Mary Mallory nikt nie rozmawiał.

Matka i ojciec w ciągu czterech lat ani razu nie przyszli do szkoły. Nauczyciele nigdy o nich nie pytali, tylko spoglądali na siebie znacząco, widząc samotną figurkę Mary Mallory na przedstawieniach teatralnych i w dniu sportu.

Dzieci jej nie ignorowały, one jej po prostu nie zauważały. Mary Mallory pozostawiono własnemu losowi, by ginęła, lub walczyła o przetrwanie najlepiej jak potrafi.

Wiedziała, że matka powiedziała prawdę, nikomu nie będzie jej brakowało.

Miała nadzieję, że w nowej szkole nad morzem będzie inaczej.

Jechały przez malownicze okolice i Mary Mallory obserwowała przez okno łaciate krowy, kury siedzące na żywopłotach, a raz zobaczyła nawet stadko różowych prosiąt biegnące truchtem za ogromną, toczącą się z wolna matką.

Zjadła batonik, dzieląc go na małe kawałeczki, co zapewniło jej pożywienie na parę godzin. Ale kiedy o zmroku wydostały się w końcu na drogę ku morzu, umierała z głodu.

– Jestem głodna, mamo – powiedziała. Będzie coś na kolację?

Matka zerknęła na zegar na tablicy rozdzielczej.

– Dobry Boże, już tak późno? – powiedziała zdziwiona. Gwałtownie skrzyła kierownicą w lewo, samochód przemknął przez drogę tuż przed maską wielkiej ciężarówki i wjechała na wyźwirowany parking.

Szesnastokółowa ciężarówka, wioząca pnie do tartaku, zahamowała z piskiem opon.

Baba za kierownicą! – wrzasnął kierowca, ocierając pot z czoła. – Naucz się pani włączać kierunkowskaz, jak pani w tyłek wjadą!

Zdenerwowana Mary Mallory zagryzła wargę, matka jakby nie usłyszała.

– Przepraszam – wyszeptała bezgłośnie Mary Mallory, ale kierowca tylko potrząsnął głową i spoglądał niezyczliwie.

— Chodź – powiedziała matka, wysiadając z wozu i idąc w stronę jasno oświetlonej kawiarni.

Pośpieszyła za nią.

– Mamo, nie uważasz, że powinniśmy zamknąć samochód?

– Zamknąć? Dlaczego? – zerknęła za siebie bezradnie, a Mary Mallory wyjęła jej kluczyki z ręki i pobiegła z powrotem do chevroleta.

Kawiarnia przy postoju ciężarówek była jasno oświetlona, zadymiona i pełna ludzi. Pachniało bekonem, hamburgerami i kawą. Muzyka z szafy grającej zlewała się z szumem rozmów i podzwaniem garnków w kuchni.

Zignorowawszy czekających mężczyzn, matka przepchnęła się na początek kolejki.

Może być hamburger? – odwróciła się do Mary Mallory, kulącej się nerwowo z tyłu.

Nie czekając na odpowiedź, zamówiła dwa hamburgery i dwie coca-cole.

Zabrała tacę i nie zważając na złośliwe komentarze zirytowanych kierowców, pomaszerowała do stolika przy oknie. Mary Mallory szła za nią ze spuszczoną głową. Miała tylko nadzieję, że nikt nie podejdzie i nie dogada im za to, że bezczelnie wepchnęły się w kolejkę.

Siedziała w milczeniu naprzeciwko matki, jedząc hamburgera. Nie pamiętała, kiedy ostatnio gdzieś się wspólnie wybrały i humor jej się poprawił. Zaczynała wierzyć że nad morzem naprawdę czeka na nie nowe życie. Matka zupełnie się zmieniła: wydawała się taka silna, energiczna, jakby wraz z mężem pozbyła się strasznej przeszłości, smutnej, wiecznie przestraszonej kobiety, którą niegdyś była. Mary Mallory uwierzyła, że matka znajdzie pracę. Będą miały prawdziwy dom, przyjaciół, szczęście.

W samochodzie usnęła i spała do chwili, gdy matka trąciła ją łokciem i powiedziała:

– Obudź się, Mary Mallory. Znalazłam morze.

Były gdzieś wysoko, nad urwiskiem. Za sobą miały las tak wysoki, że drzewa zdawały się dotykać pogodnego nocnego nieba. A przed nimi leżał ocean, upiornie czarny, z wyjątkiem srebrnego pasma księżycowego światła.

Mary Mallory opuściła szybę i wychyliła się z wozu, wdychając chłodne, świeże powietrze. Wytknęła język, smakując słonawy wiatr. Ocean dyszał niespokojnie, pomrukiwał, jęczał i syczał, kiedy fale rozbijały się o skały poniżej, zupełnie jak gigantyczne prehistoryczne zwierzę.

– Morze, mamó – powiedziała. Matka ziewnęła.

– Chyba możemy zostać tu na noc – powiedziała, po czym skuliła się na fotelu i zamknęła oczy.

Mary Mallory obejrzała się przez ramię. Na tylnym siedzeniu piętrzył się stos pudeł, plastikowych toreb, ubrań. Nie było tam dla niej miejsca. Podniosła szybę i, idąc za przykładem matki, skuliła się na fotelu.

Przez sen czuła słonawy zapach oceanu, a kiedy się obudziła, słońce znaczyło drżący ocean plamkami złota. A matka spała twardo z głową na jej ramieniu.

Nie pamiętała, by matka była kiedyś tak blisko. Siedziała zupełnie nieruchomo, bojąc się utracić kontakt, czując ciepło policzka matki na swojej skórze.

Patrzyła, jak chmury zasnuwają niebo, a woda zmienia kolor, przechodzi od niewinnego błękitu do stalowej szarości. Para wiewiórek przemknęła obok

samochodu, kiedy pierwsze krople zabębniły o dach. Deszcz zmienił się w ulewę, a morze w gniewny, huczący żywioł, toczący się ku urwisku.

– Dobry Boże, pada! – zawołała matka, siadając i trąc oczy. – Komu w drogę temu czas, Mary Mallory. Jedziemy!

Zjechały z powrotem na błotnistą dróżkę, prowadzącą przez las do autostrady.

Wycieraczki bezskutecznie walczyły z potokami deszczu, kiedy jej matka skierowała turkusowego chevroleta na południe, starając się przebić wzrokiem nawałnicę.

Deszcz padał jeszcze, kiedy pół godziny później zjechały na stację benzynową.

Opróżniły dwie plastikowe torby i zarzuciły je sobie na głowy, żeby nie zmoczyć włosów i pobiegły do łazienki, chichocząc jak wariatki. Umyły ręce i twarz, ale nie miały szczoteczek do zębów, kupiły więc w automacie miętową gumę do żucia i ruszyły w dalszą drogę.

Cholera! – zawołała matka, kiedy znów znalazły się na autostradzie.

Zapomniałam zatankować Mary Mallory sprawdziła wskaźnik paliwa, zostało im jeszcze pół baku. Patrzyła przez okno na kaskady wody, wzbijane przez mijające je ciężarówki, które pędziły po szosie, jakby do nich należała.

– Mamo, jestem głodna! – powiedziała godzinę później, przekrzykując jakiś popularny przebój, który ryczał z odbiornika.

– Głodna? Znowu? – Matka rzuciła jej pełne niedowierzania spojrzenie i zapaliła następnego papierosa. – Ostatnio cały czas jesteś głodna. To pewnie przez to morskie powietrze – zaśmiała się.

Mary Mallory, która przez ostatnią godzinę wdychała jedynie dym z papierosów, pomyślała, że morskie powietrze nie jest takie złe. Opuściła szybę, ale tym razem do wnętrza wpadł tylko lodowaty wiatr i strumień wody.

– Zamknij to cholerne okno, Mary Mallory! – krzyknęła matka. – Zaziębnię się na śmierć – drżała w swojej skąpej, bawełnianej sukience.

Mary Mallory zamknęła okno, ściągnęła z tylnego siedzenia puchaty, wełniany sweter.

Proszę – powiedziała, podając go matce. Matka zdawała się nie słyszeć, ale Mary Mallory zarzuciła go jej na ramiona.

Jechały tak przez deszcz godzinami, Mary Mallory miała wrażenie, że bez końca.

Potem silnik zaczął prychać i charczeć. Matka zmarszczyła brwi i docisnęła pedał gazu. Mary Mallory spojrzała na nią z niepokojem.

Zjechały na pobocze, gdzie stary, wielki samochód zacharczał po raz ostatni i umilkł. Matka założyła ręce za głowę i przeciągnęła się z rozkoszą.

– No to jesteśmy na miejscu – ziewnęła. Skończyła się benzyna. Koniec drogi, Mary Mallory. Tutaj zostajemy.

– Mary Mallory spuściła szybę. Wystawiła głowę na zewnątrz i przeczytała tablicę tuż przed maską samochodu.

„Witajcie w Golden, w stanie Oregon. Liczba mieszkańców: 906”.

15.

Tydzień był długi, męczący i jeszcze się nie skończył.

Poza zabójstwem Summer Young Harry prowadził parę innych spraw. Czekala go jeszcze jedna wizyta w szpitalu Mass General, zanim będzie mógł pójść do domu, nalać bourbona, wziąć długi prysznic, włączyć jakąś płytę i pomyśleć o reakcji Mallory Malone na jego enigmatyczny liścik.

Nie podpisał się celowo, a teraz przyszło mu nagle do głowy, że panna Malone może w ogóle nie wiedzieć, od kogo pochodzą kwiaty.

Nieeee! – powiedział sobie z uśmiechem. Oczywiście, że będzie wiedziała. Mądra z niej kobieta – chciał powiedzieć „babeczka”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Panna Malone, psze pani, nie byłaby zachwycona, gdyby określił ją mianem „babeczki”.

Wcisnął jaguara między czerwonego forda, a szare volvo combi, odruchowo sprawdzając tablice rejestracyjne. Był to zawodowy odruch z czasów, gdy jeździł na patrolach, szukając skradzionych samochodów i zbiegłych złoczyńców.

Powtarzając w myślach numery, szedł przez parking w stronę izby przyjęć.

Przed paroma godzinami dostali wezwanie do wypadku drogowego, który po bliższych oględzinach okazał się pojedynkiem gangów. Ofiara nie była gotowa zeznawać. Nie mając zwłok, gliniarz z wydziału zabójstw jest w zasadzie bezrobotny, ale Harry wiedział, że lepiej sprawdzić, czy sytuacja się nie zmieniła.

Poczekalnia pachniała środkami dezynfekcyjnymi i krwią. Jak zwykle dawało się tu wyczuć napięcie i lęk. Ranni i chorzy cierpliwie czekali na swoją kolejkę.

Dzieci płakały, zrozpaczeni rodzice spacerowali, pobledli krewni czekali w milczeniu na wiadomości – dobre lub złe – o swoich ukochanych.

– Dobry wieczór, Suzie – powiedział do młodej pielęgniarki przy stanowisku. – Pracowita noc?

– Jak zwykle – Suzie Walker obdarzyła go uśmiechem, który powiedział mu, że nie miałyby nic przeciwko, gdyby poprosił o jej numer telefonu. Dziesiątki razy widywała Harry’ego w szpitalu, ale on nigdy nie wykazał inicjatywy.

– Pewnie przyszedłeś do tego wypadku samochodowego? Został przeniesiony na oddział, trzecie piętro na lewo. Detektyw Rossetti cię uprzedził.

– Historia mojego życia – Harry uśmiechnął się szeroko i wbiegł na trzecie piętro, przesadzając po dwa schodki, tylko po to, by udowodnić, że wcale nie jest taki zmęczony. Wszedł na korytarz, gdzie stał Rossetti, oparty o ścianę, z papierowym kubkiem w ręku.

– Jak tam nasz pacjent? – zapytał Harry, mijając go w drodze do automatu z kawą.

Rossetti pochłonał ostatni kęs kanapki z tuńczykiem.

– Nieźle – wymamrotał z pełnymi ustami. Jak na faceta z połamanymi nogami i rozbitą czaszką. Przekoziółkował przez dach tego samochodu. Porządnie rąbnął głową w asfalt. Na szczęście dla niego, nie skręcił karku. Na nieszczęście dla nas, ponieważ nadal twierdzi, że nic nie pamięta. Tylko kolor furgonetki – biały.

Harry wrócił z kawą.

– Nie ma potrzeby tu tkwić.

– Gaylord i Franz są teraz na służbie – Rossetti dopił kawę i westchnął ze znużeniem. Jutro jest nowy dzień, Profesorku. Nie wiem jak ty, ale ja wysiadam.

Idę do łóżka. – niepewnie zerknął na zegarek. – Co prawda jest dopiero dziesiąta, może to odrobinę za wcześnie.

– Tylko wtedy, gdy śpisz sam, a jeśli wierzyć twoim słowom, to ci się nigdy nie zdarza.

Rossetti ponownie napełnił kubek i ruszył korytarzem w stronę schodów.

– Jakoś ostatnio nie dopisuje nam szczęście, Rossetti – ciągnął Harry w zadumie.
– Jedna czarna furgonetka, a może combi, w sprawie Summer Young, jedna biała furgonetka w sprawie tego przejechanego. Myślisz, że los nam nie sprzyja?

A może to my jesteśmy za głupi, by odnaleźć ślady, które mamy pod samym nosem?

– Jakie ślady? – zapytał Rossetti pochmurnie. – Wiemy tylko, że nie zrobił tego kamerdyner.

– Och, mamy mnóstwo śladów, Sherlocku. Technik twierdzi, że włókna znalezione w samochodzie Summer pochodzą z kaszmirowego swetra. Czarnego.

Rossetti gwizdnął z podziwem.

Wygląda na to, że nasz ulubieniec gustuje w drogich ciuchach. A może kupuje na przecenie? Bo jeżeli nie, to ma pieniądze. Rozesłałeś chłopaków po sklepach?

Harry skinął głową.

– Sprawdzam też producentów i importerów. Ci z laboratorium mówią, że włókno nie należy do najtańszych. Jest to wełna pierwszego gatunku, rodem z najlepszej mongolskiej owcy. Producentem jest Europejczyk, najprawdopodobniej Szkot. To zawęży teren poszukiwań do najdroższych sklepów i butików.

– Co jeszcze? – zapytał Rossetti.

– Włosy znalezione na jej ubraniu są farbowane. W rzeczywistości są siwe.

– Myślisz, że specjalnie ufarbował się na tę okazję? A może jest to starszy facet, który chce uchodzić za młodego?

Harry wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że jest starszy niż zakładaliśmy.

Mijając stanowisko pielęgniarek, pomachali na dobranoc Suzie Walker.

Rossetti odwrócił się i spojrzął na nią z podziwem. Była młoda i ładna, ze swoimi płomiennorudymi włosami i przepastnymi, zielonymi oczami. Od miesiący próbował się z nią umówić.

– Kiedy ulegniesz, Suzie, i umówisz się ze mną? – zawołał.

– Kiedy dorośniesz, detektywie Rossetti – odparła, nie podnosząc głowy znad notatek, które czytała.

Harry roześmiał się.

– Wspaniała metoda, Rossetti! Gwarantowany rezultat za każdym razem.

– Trzeba trochę stracić, by dużo zyskać, Profesorku. Grunt, żeby w ogóle obstawiać numery.

Wyszli na zewnątrz i przez chwilę stali na schodkach prowadzących na szpitalny parking. Omawiali postępy patologa w sprawie Summer Young.

– Jeszcze jedno – powiedział Harry. – W kurzu zebrany z fiata znaleźli cząsteczki nitrogeneru. Prawdopodobnie nawóz sztuczny, z tych, które można kupić w każdej kwiaciarni i podsypywać nim róże.

Rossetti wyglądał na zniechęconego.

– Będziemy sprawdzać każdego ogrodnika hobbystę w Bostonie?

– Nie – Harry uśmiechnął się od ucha do ucha. W Massachusetts. Wszystko wskazuje na to, że jest ojcem licznej rodziny, który lubi w weekendy pogrzebać w ziemi.

– W przerwach między dokonywaniem zabójstw.

– Zgadza się – Harry westchnął ciężko.

Mężczyzna w stalowoszarym volvo obserwował ich przez lornetkę. Wiedział, kim są.

Widział ich tak dokładnie, że gdyby umiał czytać z ust, wiedziałby, o czym mówią. Gotów był założyć się o sto dolców, że mówią o nim.

Ta myśl sprawiła mu przyjemność, podobnie jak fakt, że nic na niego nie mają.

Nie wiedzieli nawet, jak wygląda, a on nie pozostawił śladów. Poza tym, nadal tkwili w przeszłości, podczas gdy on już spoglądał w przyszłość.

Czule poklepał aparat fotograficzny, leżący na siedzeniu pasażera. Był jak stary przyjaciel, zawsze pod ręką. Mężczyzna wiedział, że Suzie Walker kończy dyżur za piętnaście minut i niecierpliwie spoglądał na dwóch detektywów, rozmawiających na schodach. Jeżeli sobie zaraz nie pójda, straci okazję zrobienia zdjęcia.

Odetchnął z ulgą, kiedy Harry Jordan klepnął w końcu swojego partnera po ramieniu. Wymienili głośnie: „No to cześć”.

Jordan szedł przez parking w jego kierunku. Volvo miało przyciemnione szyby, ale nie chciał ryzykować. Zsunął się na podłogę i nakrył czarnym kocem.

Leżał równie nieruchomo, jak jego ofiary. Oddychał cicho i miarowo. Nie bał się,

wiedział, że jest sprytniejszy od policji, udowodnił to już wielokrotnie.

Policja nie знаła nawet prawdziwej liczby jego ofiar.

Usłyszał kroki detektywa, potem dźwięk otwieranych drzwi. Nagle rozległo się zajadłe szczekanie. Pies całym ciałem rzucił się na drzwi volvo. Mężczyzna wstrzymał oddech, odrobinę zaniepokojony.

– Squeeze, co w ciebie wstąpiło?! – krzyknął Harry gniewnie. Chwycił psa za obroź i odciągnął, sprawdzając dłonią lakier.

Pies wyrwał się i przywarł do samochodu; wsunął nos w uchylone okno, węsząc i warcząc.

Harry zawahał się. Takie zachowanie nie leżało w charakterze Squeeze'a. Zerknął w okno volvo, ale niewiele zobaczył przez przydymione szkło. Zauważył tylko, że wóz jest zamknięty, alarm prawdopodobnie włączony. Sprawdził tablicę rejestracyjną; cyfry zostały niedawno odnowione. Żadnych obić i zadrapań.

Samochód wyglądał jak typowy, dobrze utrzymany wóz, należący do rodziny obciążonej dziećmi i psami. Psy jeździły zapewne z tyłu, gdzie uchylono okno.

Squeeze wyczuł je i zapach mu się nie spodobał.

– Ty zwariowany kundlu! – Harry odciągał psa. Mogłeś mnie kosztować lakiernika.

Nadal warcząc, pies z ociąganiem wszedł do jaguara.

Trzasnęły drzwiczki, rozległ się szum zapalnego silnika i pisk opon, kiedy Jordan wystartował z parkingu.

Mężczyzna zaczął się śmiać. Ryczał ze śmiechu na myśl o psie detektywa Harry'ego Jordana, który potrafił rozpoznać mordercę, kiedy podetknięto mu go pod nos.

Squeeze był o wiele mądrzejszy od swojego pana.

Zerknął na zegarek. Już prawie czas. Usiadł, przygotował aparat. Już wkrótce zrobi z panny Suzie Walker gwiazdę.

W drodze do domu Harry przypomniał sobie, że nie miał nic w ustach od siódmej rano, kiedy zjadł jagodziankę u „Ruby”. Zatrzymał się przy pizzerii, kupił pizzę z kielbasą i zjadł kawałek, nie czekając, aż dojedzie do domu. Pies ślinił mu się na kark i Harry roześmiał się w głos.

– Nie stary – powiedział. – Zniosę kość na antycznym dywanie babki, ale nie pozwolę ci wysmarować pizzą całego samochodu.

W domu mrugało czerwone światelko na automatycznej sekretarce w kuchni. Otworzył puszkę Alpo dla psa, nadgryzł dragi kawałek pizzy i wcisnął guzik „play”.

Rozległy się odległe tony muzyki. Przekrzywił głowę nasłuchując. Bez wątpienia był to Elgar. Potem odezwał się głos.

– Dziękuję, Harry – powiedział miękko.

Wpatrywał się w maszynę, czekając na dalszy ciąg. Ale to było wszystko. Cofnął taśmę i odegrał fragment jeszcze raz. Potem odrzucił głowę i zaśmiał się radośnie. Malone wiedziała, jak wyrażać się krótko i treściwie. Mógłby przysiąc, że wypowiedziała jego imię na przydechu.

Nadal uśmiechnięty nalał sobie Jima Beama, wrzucił parę kostek lodu, zabrał karton z pizzą i poszedł do salonu.

Rzucił się w ulubiony, stary fotel i włączył wideo. Twarz Mallory Malone nagle pojawiła się w jego salonie. Ten sam promienny uśmiech, wczoraj skierowany wyłącznie do niego, teraz rozjaśnił ekran dla milionów widzów. Jej oczy migotały jak wilgotne szafiry, kiedy ze wzruszeniem mówiła o upośledzonej żonie angielskiego multimilionera, zamkniętej w zakładzie psychiatrycznym. Potem pokazała zdjęcia starego kozła, dokazującego w wodzie z trzema młodymi pięknościami.

– Ten mężczyzna zapomniał – powiedziała niskim, miękkim głosem. – Ale czy my powinniśmy? Zadajcie sobie to pytanie, kiedy będziecie dzisiaj leżeli bezsennie w łóżkach, myśląc o tej kobiecie. Zapytajcie samych siebie, czy nie ma sprawiedliwości dla maltretowanych kobiet? Przecież to mogła być każda z nas.

Spojrzała prosto w kamerę, by po chwili opuścić cudowne rzęsy i zakryć oczy, pełne nie wypłakanych łez. W tej sekundzie przeniosła widzów w swój świat, zaangażowała ich w walkę o prawa maltretowanych żon.

Harry pomyślał, że albo jest świetną aktorką, albo naprawdę wierzy w to, co robi. Potem przypomniał sobie tę chwilę podczas kolacji, kiedy wydała mu się taka bezbronna i zagubiona. „Najmniej interesująca kobieta na świecie”, powiedziała o sobie. I w tym momencie na pewno tak uważała.

Pomyślał, że Mallory jest nie tylko zagadkowa, jest kobietą, która coś przed nim ukrywa.

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił jej domowy numer.

– Słucham? – odezwał się zaspany głos.

Harry zerknął na zegarek. Była jedenasta trzydzieści wieczorem.

– Panna Malone? – zapytał i usłyszał jej westchnienie.

– Mów mi „Mallory”.

– Mallory – wymówił jej imię z przyjemnością.

– Tak, Harry?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno, przykro mi – powiedział, choć nie odczuwał najmniejszej skruchy.

– Nie jest późno. Po prostu poszłam wcześniej spać – usiadła wsparta o poduszki.

– Dostałem twoją wiadomość.

– Ach tak?

Czy mu się zdawało, czy mówiła bez tchu?

– Nie była długa.

– Zawarłam w niej wszystko, co chciałam powiedzieć – uśmiechnęła się, wbrew sobie, bawiąc się sytuacją.

– Jesteś bardzo zwięzła.

– Nic dodać, nic ująć.

W jej głosie usłyszał śmiech.

– Jak czuje się człowiek, który jest enigmą?

– Och, trochę enigmatycznie – roześmiała się. Kwiaty są piękne. Skąd wiedziałeś, że najbardziej lubię lilie?

– Nie wiedziałem. Pomyślałem tylko, że do ciebie pasują. Świeże i pachnące, jak wiosna.

– Chyba nie wpadnie pan w poetyczny nastrój, detektywie?

– Harry. Nie przyszło ci do głowy, że możesz doprowadzić mężczyznę do poezji?

– Albo muzyki. Podoba mi się Elgar.

– Szalenie romantyczny.

– Podejrzewam, Harry Jordan, że nie mniej niż ty. Uśmiechnął się, wyobrażając ją sobie w łóżku.

– Chciałbym pokazać ci, jak daleko sięga mój romantyzm. Mógłbym jutro wykroić wolny wieczór.

Zawahała się. Prawie słyszał, jak pracują trybiki w jej mózgu.

– Z przyjemnością – powiedziała w końcu. – Tylko, że tym razem ja stawiam.

U mnie o ósmej?

– O ósmej u ciebie – powtórzył. – Dziękuję za zaproszenie.

– Chyba cieszę się na nasze spotkanie – powiedziała ostrożnie.

– Ja też.

– Więc dobranoc?

– Na to wychodzi. W końcu ja jestem w Bostonie, a ty w Nowym Jorku.

– Trudna sprawa, detektywie – powiedziała ze śmiechem – do jutra, Harry – odwiesiła słuchawkę.

Harry uśmiechał się jeszcze, kiedy odkładał swoją. Zapomniał, że miał się dowiedzieć, co Mal Malone wie o mężczyźnie z portretu. Czuł się jak chłopak, który umówił się na randkę z królową studniówki.

Gwizdnął na psa, założył mu smycz i zabrał na długi spacer. Zastanawiał się, co Mallory Malone ma na sobie w łóżku.

Mal siedziała oparta o poduszki i myślała z niepokojem, że nie powinna ulec urokowi Harry'ego Jordana. Stanowił zagrożenie, mógł zrujnować całe jej życie, zbudowane z takim trudem. Ale nie potrafiła mu się oprzeć. Powiedziała sobie, że

zrobi to tylko ten jeden raz. Będzie musiała się bardzo pilnować, to wszystko.

Potem przewróciła się na brzuch i zagrzebała twarz w poduszce. Po minucie spała.

16.

Harry czuł się najlepiej w swoich wygodnych, dobrze znoszonych dżinsach, ale dla Mal zrobił wyjątek i nałożył jedyne porządne spodnie, marynarkę, białą płócienną koszulę i jaskrawy, jedwabny krawat, który kupił na ulicznym targowisku podczas jakiejś podróży. Kiedy wiązał go przed lustrem, pomyślał z uśmiechem, że już dragi raz stroi się dla panny Malone. Miał nadzieję, że ona doceni tak daleko idące poświęcenie.

Postanowił spędzić noc w „Mark Hotel” na Madison i złapać ranny samolot do Bostonu. Czuł się jak uczeń na wagarach i miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Jakby chcąc zaakcentować, że nie jest tu tylko dla przyjemności, wziął ze stolika brązową kopertę z portretem pamięciowym mordercy, złożył na pół i wsadził do kieszeni marynarki.

Dozorca zadzwonił z recepcji z informacją, że kwiaty czekają. Harry po raz ostatni zerknął w lustro, wyprostował krawat, przesunął dłonią po starannie uczesanych włosach i wyszedł z pokoju.

Kwiaciarka stworzyła arcydzieło, wypełniając ogromny wiklinowy kosz parmeńskimi fiołkami. Trzymając go ostrożnie, bokiem wsunął się do taksówki.

– Na pogrzeb, bracie? – zgryźliwie zapytał kierowca.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Harry. – Choć te kwiaty pachną o wiele lepiej niż ta taksówka.

W budynku Malony podał portierowi swoje nazwisko.

– Ostatnie piętro, sir – powiedział portier. – Panna Malone oczekuje pana.

W windzie Harry spojrzał na zegarek. Był punktualnie. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak ona go powita; co powie; jak to jest – być z nią sam na sam.

Niosąc w ramionach wielki kosz fiołków, wyszedł z windy na marmurowy hol. Ujrzał antyczne, weneckie lustra na ścianach, miękkie, francuski dywan na podłodze i atrakcyjną kobietę w jedwabnej, czerwonej sukni, która się do niego uśmiechała.

Nie była to Mallory.

– Chyba pomyliłem piętra – powiedział niepewnie.

Kobieta miała długie, czarne włosy, roześmiane oczy i seksowny uśmiech. Nie śpiesząc się, obejrzała go od stóp do głowy, po czym potrząsnęła głową.

– Mam nadzieję, że nie. A kogo pan szuka?

– Mallory Malone.

Podeszła bliżej i przyjrzała się fiołkom. Ostra woń jej perfum dotarła do niego ponad zapachem kwiatów.

– A więc cieszę się, że pan dotarł pod właściwy adres – obdarzyła go jeszcze jednym seksownym uśmiechem i poprowadziła do drzwi.

– Mal! – zawołała, przekrzykując gwar panujący w mieszkaniu. – Przyszedł posłaniec z kwiatami. Wyjdź do niego.

W drzwiach ukazała się Mal. Ubrana była w obcisłą, koronkową suknię na złotej podszewce. Złoty spód zaczynał się tuż nad linią piersi, czarna koronka przylegała do nich jak druga skóra. Krótka spódniczka i czarne pantofle na wysokich obcasach sprawiły, że jej nogi wydawały się niemożliwie długie i smukłe.

– O, to ty, Harry! – podniosła rękę do ust, żeby ukryć uśmiech na widok Harry’ego Jordana z bukietem fiołków w ramionach i Lary, która wzięła go za chłopca na posyłki.

Mieszkanie pełne było ludzi, kelnerzy krzatali się, roznosząc kanapki i drinki.

Harry poszukał oczu Mal.

– Nie wspominałaś o przyjęciu – powiedział zaskoczony. Uniosła niedbale jedno opalone ramię.

– Dowiedzieliśmy się, że ostatni program pobił nasz własny rekord oglądalności i postanowiliśmy to uczcić.

Kobieta w czerwieni obserwowała ich z zainteresowaniem.

– Więc nie jesteś dostawcą kwiatów – stwierdziła. Harry wręczył Mallory kosz fiołków.

– To dla ciebie. Zanurzyła w nich twarz.

– Cudowne! Pachną jak las wiosną – uśmiechnęła się do niego zachwycona. I tyle ich! Harry, musiałeś ograbić wszystkie kwaciarnie na Manhattanie! Dziękuję ci.

Z jakiegoś nie wyjaśnionego, powodu topniał, kiedy tak się do niego uśmiechała.

Jakby podarował jej świat na talerzu, a nie garść fiołków. Jednak przyjęcie niemile go zaskoczyło, choć musiał przyznać, że nie miał żadnych praw do Mallory Malone, a ona nie miała żadnych praw do niego.

– Chodź, Harry – powiedziała radośnie kobieta w czerwieni, biorąc go pod ramię.

– Wyglądasz jak rozrywkowe zwierzę. Osobiście wystarczy mi samo zwierzę. Jestem Lara Havers. Kiedy przysunęła się bliżej, poczuł przy sobie jej ciepłe ciało. – A kim ty właściwie jesteś? – zapytała na wpół ze śmiechem.

– Detektyw Harry Jordan z wydziału zabójstw w bostońskim departamencie policji – przedstawiła go Mal chłodno.

– Gliniarz? To ekscytujące! Powiedz mi, Harry... – Lara pociągnęła go za sobą w rozbrzęczony tłum. – Jesteś tu służbowo czy dla przyjemności?

Mal stała w drzwiach z koszem fiołków w ramionach i patrzyła za nimi z zazdrością. Poczula nagle skurcz serca, taki sam jak w dzieciństwie, kiedy była jedyną osobą, której nie zaproszono na przyjęcie, na chwilę stała się znów Mary Mallory, najbardziej samotna wśród odludków.

Otrząsnęła się ze złych myśli. To było jej przyjęcie, jej dom, jej goście. To jej

sukces przywiódł tu wszystkich tych ludzi. Co z tego, że Harry poszedł sobie z Lara Havers. Nic ją to nie obchodziło. Nic dla niej nie znaczył. Przelotny flirt, nic więcej.

Więc dlaczego obudziła się rano z myślą o Harrym? Dlaczego pobiegła do garderoby, pękającej w szwach od pięknych strojów, by stwierdzić, że nie ma co na siebie włożyć? Dlaczego poszła do sklepu „Dean and DeLucca” i nakupowała frykasów na kolację, którą zamierzała dla niego ugotować? Zadzwoiła nawet do handlarza win, żeby dostarczył ulubionego szampana Harry’ego.

I dlaczego pognęła do „Barneya” i wahała się, niby nastolatka, między seksowną koronkową sukienką a kremową jedwabną bluzką i czarnymi skórzanymi spodniami?

Postanowiła, że tym razem nie da się zaskoczyć, więc kupiła i jedno, i drugie.

A potem powiedziała sobie, że jest obłąkana. Mogła się umówić u tuzinem mężczyzn, nie potrzebowała Harry’ego Jordana i jego masowego mordercy, o którym, czuła to przez skórę, będzie chciał rozmawiać.

Dlatego przyjęła niemal z ulgą propozycję producenta, żeby uczcić pobicie rekordu oglądalności.

– Urządzimy to u mnie! – zawołała entuzjastycznie. – Wszyscy są zaproszeni.

Beth zadzwoniła do zaopatrzeniowców, do przyjaciół i znajomych Mal, i ani się obejrzała, jak chowała frykasy „Deana and DeLucca” do lodówki, a w mieszkaniu odbywało się przyjęcie.

Z końca pokoju obserwowała Harry’ego. Był otoczony wianuszkami kobiet, wśród których prym wiodły Beth i Lara. Harry coś im opowiadał, a one śmiały się i rzucały mu uwodzicielskie spojrzenia. Harry wyglądał, jakby się świetnie bawił.

Poszła do sypialni i postawiła kosz fiołków na stoliku pod oknem. Osunęła się na fotel, nie odrywając od nich wzroku. Nie był to tylko śliczny bukiet kwiatów, lecz uroczy, starannie obmyślany prezent dla niej. Po chwili zastanowienia uznała, że pod powłoką twardego gliniarza, Harry Jordan jest, mimo wszystko, bardzo miły. Wstała, wygładziła spódnice, wzięła głęboki oddech i wróciła na swoje przyjęcie.

O jedenastej goście zaczęli się rozchodzić, a ona nie zamieniła z Harrym nawet dwóch słów. Był gwiazdą wieczora, zabawiał jej gości historyjkami pełnymi krwi i grozy. Nauczył Larę i Beth, jak tańczyć „Si Señor” Glorii Estefan i obiecał pokazać im świetne ćwiczenie na klatkę piersiową. Rozprawiał z jej kolegami o koszykówce, opowiadał o Moolighting Club, o tym, jak się rozwija, że niedługo będą mogli zbudować sztuczne lodowisko do gry w hokeja i zebrać drużynę. Ze wszystkimi był za pan brat, a ona była bardzo zajęta panią domu.

Mal patrzyła kpiąco, jak wszystkie panie po kolei całują Harry’ego na dobranoc i roześmiała się, kiedy Lara szepnęła: „To najseksowniejszy gliniarz, jakiego widziałam poza ekranem telewizora. I o wiele łatwiej dostępny, moja droga. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeżeli do niego zadzwonię, prawda? Powiedział, że

łączą was jedynie interesy”.

– Proszę bardzo – powiedziała Mal lekko. Jesteśmy dalekimi znajomymi.

Lara skierowała się ku drzwiom, z niedowierzaniem kiwając głową.

– Chyba postradałaś zmysły, moja droga – powiedziała już w progu. – Tym lepiej dla mnie.

Mal pożegnała reżysera i jego żonę, producenta, Beth i Roba.

– Och, poczekajcie chwilę! – zawołała i pobiegła do sypialni. Po paru sekundach wróciła z paczką.

– Prezent rocznicowy – powiedziała, wręczając paczkę Beth. – Przepraszam, że zapomniałam. Londyn zupełnie mnie ogłupił.

Machając im na pożegnanie, czuła na sobie wzrok Harry’ego. Odwróciła się i popatrzyła na niego.

Stał przy kominku z rękami w kieszeniach, niedbale oparty o marmurowe obramowanie. Włosy miał potargane, rosła mu broda i wyglądał jak mężczyzna, który marzy o zdjęciu marynarki.

– Co trzeba zrobić, żeby dostać tu coś do jedzenia? – zapytał radośnie, szczerząc do niej zęby.

Wzruszyła ramionami.

– Było jedzenie. Mnóstwo dobrego jedzenia.

– Przekąski – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku. – Pamiętasz mnie? Tego faceta, którego zaprosiłaś na kolację?

Gdybyś, zamiast nauczać tańca, rozejrzał się wokół siebie, zauważyłbyś zapewne potrawy od najlepszych dostawców w tym kraju. Innym gościom bardzo smakowały.

– Kolacja jest wtedy, gdy siadasz za stołem, żeby ją zjeść. Najlepiej naprzeciwko osoby, która cię zaprosiła.

– Co nasunęło ci myśl, że zaprosiłam cię na kolację? – zapytała zdziwiona. – O ile pamiętam, w naszej rozmowie w ogóle nie padło słowo „kolacja”. Czy zawiodła cię dzisiaj doskonała pamięć supergliniarza?

– Na to wygląda. Tak jak twoja pamięć zawiodła cię w sprawie portretu pamięciowego. O co chodzi z tym portretem, Malone? Rozpoznałaś gościa, czy co?

Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

– Nie bądź niemądry, oczywiście, że nie. Skąd mogłabym go znać?

– Chociażby z racji twojej pracy. Spotykasz mnóstwo kryminalistów.

Pomyślałem, że mógł to być ktoś, z kim się zetknęłaś. No bo kto? Chyba nie brat?

– Postradałeś rozum?

– W porządku, nie brat. Więc, kto, do cholery?!

– Skąd mam wiedzieć?!

Patrzyli na siebie w gniewnym milczeniu.

– Czy my się kłócimy? – zapytał w końcu z uśmiechem szczęścia.

– To zdarza się tylko ludziom, którzy się dobrze znają. Przypominam, detektywie, że nas to nie dotyczy.

Myślałem, że zaprosiłaś mnie tu dzisiaj, żebyśmy się mogli lepiej poznać.

Roześmiała się.

– Gdyby nie fiołki, pomyślałabym, że zjawileś się tylko po to, by mnie wypytać o zabójcę.

– Uznałem, że piękna kobieta, z którą jem kolację, przyjmie ten drobny upominek z przyjemnością.

– Naprawdę uważasz, że jestem piękna?

– Połowa Ameryki tak uważa.

– A draga połowa uważa, że nie – zagryzła wargę, żałując, że to powiedziała, odsłoniła się przed nim.

Patrzył na nią zdumiony.

– Obchodzi cię, co myślą inni? Wiesz, jak wyglądasz. Jesteś wspaniała w tym, co robisz, odniosłaś sukces. Naprawdę jesteś aż tak zakompleksiona, Malone?

Wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku.

– Tylko żartowałam. Przyglądał jej się, zaintrygowany.

– Wcale nie żartowałaś – powiedział łagodnie. – Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie ma o czym.

– Wręcz przeciwnie – ujął jej podbródek, zmuszając, by na niego spojrzała. – Mnie możesz powiedzieć, Mal. Zachowam to dla siebie.

– Och, Harry! – zawołała ze śmiechem. – Zupełnie jakbym słyszała samą siebie.

– Czasem wcale nie wydajesz się być sobą. Jesteś dla mnie zagadką – przesunął dłonią po jej karku, po miękkich włosach.

Czuła opuszki jego palców na swojej skórze, ciepło, którym emanował.

Leciutki dreszczyk przyjemności przeleciał jej po krzyżu. Wsparła się o Harry’ego ramieniem. Przytulił ją delikatnie, masując kark. Mal czuła, jak miękła jej kolana.

– Dobrze? – szepnął.

– Mmmm, minąłeś się z powołaniem, detektywie. Powinieneś zostać masażystą – topniała mu w ramionach i wiedziała o tym.

Uniosła ku niemu twarz. Ich oczy zwały się w długim spojrzeniu. Musnął wargami jej usta i Mal westchnęła cicho. Potem wzięła się w garść i odsunęła.

Obciągnęła sukienkę, przyglądziła ręką włosy.

Wiem, że w głębi duszy jesteś po prostu staroświeckim facetem i nie wykorzystasz mojej słabości – powiedziała, rzucając mu kokietyjne spojrzenie spod rzęs, po czym odmaszerowała do kuchni.

Harry poszedł za nią. Zdjął marynarkę i stanął z założonymi rękoma, oparty o kuchenną futrynę.

– To prawda – powiedział. – Tylko że... I nie wiem, czy ktoś już ci to mówił, ale...

Urwał, a ona spojrzała na niego wyczekująco.

– Twoje usta są aksamitne jak płatki fiołków.

– Hmm. Doprawdy, detektywie? – wyjęła z lodówki butelkę szampana i podsunęła mu ją do inspekcji. Twój ulubiony. Nie zapomniałam.

Skinął głową, wyraźnie pod wrażeniem.

– Nie zapomniałaś – wziął od niej butelkę, otworzył, nie roniąc ani kropli, po czym rozlał do dwóch kryształowych kieliszków na cienkich nóżkach.

– Piję za uroczy wieczór, detektywie Harry – wróciła już do dawnej Mallory Malone, traktującej życie z przymrużeniem oka.

– To znaczy, że ten wieczór jeszcze się nie skończył? Roześmiała się.

– Nie mogę odesłać cię głodnego do hotelu. W tej lodówce prócz alkoholu jest również jedzenie.

Otworzył drzwiczki i przestudiował zawartość.

– Wygląda na to, że planowałaś uraczyć kogoś kolacją.

– Planowałam, dopóki nie stchórzyłam. Wyjął surową przepiórkę.

– Chciałaś to ugotować? Dla mnie?

– Aha. A także faszerowaną paprykę i kus-kus z cebulką, szpinakiem i cytryną.

Harry wznosił oczy ku niebu.

– Boże, ona potrafi gotować! – powiedział z nabożnym podziwem.

– Co powiesz na kanapkę? Będzie prędzej. Musztarda czy majonez? – postawiła przed nim słoiki.

– Jedno i drugie – patrzył, jak przyrządza kanapki i układa je na dwóch niebiesko-żółtych talerzach.

– Dokładnie tak namalowałyby je Matisse – powiedział z zachwytem. – Martwa natura pod tytułem „Dwie kanapki z indykiem i musztardą na Manhattanie”.

– Nie zapomnij o butelce szampana – chwyciła kieliszki i zaprowadziła go do salonu. Ustawiła szampana na stoliku do kawy, zrzuciła pantofle i usiadła na dywanie przed kominkiem. Wcisnęła odpowiedni guzik w odtwarzaczu kompaktowym i pokój wypełniły „Wariacje Enigmy” Elgara.

Zerknęła spod oka na siedzącego naprzeciwko niej Harry’ego i powiedziała:

– Zastanawiam się, jak to się stało, że mężczyzna, który porównuje kanapki z indykiem do obrazów Matisse’a, został detektywem policyjnym?

– Wiesz jak. Omówiliśmy to na ostatniej randce, pamiętasz?

– Randce?

– Jak byś to inaczej nazwała?

Nadgryzła kanapkę, starając się wymyśleć inne określenie.

– Spotkanie. To było spotkanie.

– Może dla ciebie.

– No i mamy jeszcze „aksamitne płatki fiołków”. To zupełnie nie w stylu gliniarza.

– A co twoim zdaniem jest w stylu gliniarza?

– No wiesz, wszystko co męskie, przyziemne, twarde. Czarne, białe i żadnych niuansów.

– Jestem znany ze swoich niuansów. Uśmiechnęła się.

– Widzę, że smakuje ci kanapka.

– Trochę brakuje mi „Ruby”, powiedział z pełnymi ustami. – Ale zważywszy na wszystkie okoliczności – luksusowe wnętrze, wysoką jakość kanapki z indykiem, żółto-niebieskie talerze Matisse’a, aksamitne usta i całą resztę – wolę być tutaj.

Nie powiedział – „z tobą”, ale Mal wiedziała, że właśnie to miał na myśli.

Zadowolona przysiadła na piętach, sącząc wino, patrząc jak Harry zajada kanapkę.

Rozejrzał się po pokoju.

– Wygląda, jakbyś mieszkała tu od zawsze. Dom przodków: portrety na ścianach, rodzinne fotografie w srebrnych ramach.

Wziął fotografie z bocznego stoliczka i przyjrzał się jej uważnie. Było to zdjęcie pary. Wysoki, krzepki, zdrowo wyglądający mężczyzna obejmował ramieniem drobną, roześmianą blondynkę. Stali na drewnianej werandzie wychodzącej na jezioro i wydawali się szczęśliwi.

– Twoi rodzice – domyślił się. Wzruszyła ramionami.

– Jestem do nich podobna? Jeszcze raz przyjrzał się fotografii.

– Trochę.

– Dlatego ich wybrałam.

Harry podniósł głowę znad fotografii.

– Wybrałaś ich? – powiedział z lekkim przestradchem.

– Jasne. W sklepie ze starzyzną. Wybrałam wszystkich ludzi, których tu widzisz na obrazach i zdjęciach. Zrobiłam to, kiedy tworzyłam swoją przeszłość.

Harry ostrożnie odłożył fotografię na miejsce.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć, Malone?

– Nie.

Usta miała zaciśnięte, na twarzy wyraz cierpienia, który zauważył już wcześniej.

– Chyba nie chcę wiedzieć, co miałaś na myśli – podszedł do niej i wziął ją za rękę. Ale uważam, że powinnaś o tym komuś powiedzieć. Dlaczego nie mnie?

– Och, nie wiem! – zawołała niecierpliwie. – To dość banalna historia. Ale tak się namęczyłam, żeby zostawić to wszystko za sobą. Stać się zupełnie kimś innym.

Zmarszczył brwi, starając się zrozumieć, a ona powiedziała:

– Chodzi o to, że praktycznie nie istniałam, dopóki nie stworzyłam Mallory Malone – i nagle zaczęła mu opowiadać o swoim dzieciństwie, o ojcu brutalu, matce melancholiczce, o tym, jak uciekły nad morze i znalazły się w Golden.

„Kurewska dziura”, takim mianem jej matka określiła Golden, kiedy po raz pierwszy wjechały do miasteczka, z całym dobytkiem upchniętym w turkusowym chevrolecie z chromowanymi wykończeniami. Matka miała rację.

Zwichrowane, drewniane domy Golden z nieskończoną wytrwałością czepiały się smaganego wiatrem wybrzeża. Był tam „Hotel Kiwanis”, klub „Elks”, pomnik weteranów wojennych, supermarket „W pół drogi”, jadłodajnia o pretensjonalnej nazwie „Lido Cafe”, oraz starzejąca się ludność. Miasteczko przelotnie flirtowało z letnikami, usiłując kryć swoją siermiężną nijakość pod przykrywką wyblakłych, zachęcających rekwizytów. Ale przyjezdni szybko się stąd wynosili.

Jechali dalej w poszukiwaniu bardziej zielonych pastwisk.

Wszyscy mieszkańcy urodzili się w Golden, podobnie jak ich ojcowie i dziadowie.

Szybko zaliczyli Malonów do miejskiej hołoty i wykluczyli ze swej zamkniętej, klanowej społeczności.

Mal brakowało słów, by opisać straszną samotność tamtych lat. Wiele pustych dni, składających się w nieskończoność. Matka była jedyną bliską jej osobą, choć ta bliskość wynikała wyłącznie z faktu, że razem mieszkały. Matka nigdy się o nią nie troszczyła, nie troszczyła się o nic. Czasem, kiedy Mal leżała nocą na pomarańczowej, plastikowej kanapie, ogarniała ją tępa groza.

Wiedziała, że jeżeli umrze, nikogo na całym bożym świecie to nie obejdzie. Była naprawdę niczyja.

Jeszcze teraz wystarczyło jej zamknąć oczy, by zobaczyć starą, odrapaną przyczepę, poczuć zapach morza, gnijących śmieci, kwaśny odór biedy. Przenosiła się do nich w jednej chwili – mieszkała tam, wdychała tamto powietrze, nienawidziła takiego życia.

Teoretycznie wynajęły przyczepę na lato. Była mała i gorzej niż obskurna, bo brzydka. Wszystko w niej było zniszczone i poszarzałe, z wyjątkiem plastikowej kanapy, choć można było podejrzewać, że i ona straciła czerwony odcień i stała się krwistopomarańczowa. Matka zajmowała sypialnię na tyłach przyczepy, z małym, szczelnie zamkniętym oknem. Nie można go było otworzyć nawet w najgorętsze dni.

Mary Mallory próbowała podważyć je śrubokrętem, wypchnąć, wyrwać z zawiasów.

Ponieważ na okno nie było mocnych, w upalne noce matka po prostu przenosiła się do salonu, szeroko otwierała drzwi i przez całą noc oglądała telewizję, podczas gdy Mary Mallory próbowała zwabić sen.

Matka była uzależniona od telewizji. Oglądała wszystko, jak leci, wszystkie powtórki i wznowienia, choć Mary Mallory mogłaby przysiąc, że matka nie słyszała ani słowa. Obrazy po prostu przepływały przed jej oczami: ludzie, miejsca, wydarzenia, podczas gdy dym z papierosa snuł się wieczną stróżką ku sufitowi.

Mary Mallory nie sądziła, by matka żyła poprzez telewizję, tak jak ona żyła swego czasu poprzez kino, telewizor był matce potrzebny po to, by przypomnieć jej, że w ogóle żyje. Nawet nie zmieniała kanałów, oglądała ciurkiem to, co się pojawiło na ekranie po włączeniu telewizora.

Mary Mallory próbowała namówić matkę na pójście spać.

– Chodź, mamó – mówiła, ustawiając się przed telewizorem. – Jest strasznie późno, a ja muszę się trochę przespać.

Matka spoglądała na nią przelotnie i zapalała następnego papierosa.

– Oglądam telewizję – odpowiadała łagodnie. Ale patrząc w nieobecne oczy, Mary Mallory wiedziała, że matka ma własną ścieżkę dźwiękową w głowie.

Matka nigdy nie znalazła pracy. Żyły z zasiłków rządowych i do obowiązków Mary Mallory należało pójść co poniedziałek do biura opieki społecznej i odebrać kupony żywnościowe.

– To znowu ty! – mówiła panna Aurora Peterson, spoglądając na nią z nad długiego nosa. Poprawiała sznur drobnych perełek na kościstej, ale bardzo szacownej piersi i sięgała po teczkę z napisem: „Malone”. Choć Mary Mallory była pewna, że panna Peterson zna na pamięć każdy szczegół ich nędzy, nadal robiła wielkie przedstawienie z przewracaniem papierów, podnoszeniem wzroku i mówieniem: „hm...hmmm... No tak...”

Mary Mallory myślała często, że byłoby lepiej, gdyby w biurze pomocy społecznej pracowali ludzie, którzy naprawdę potrzebowali pomocy. Z pewnością odnosiliby się z większą uprzejmością i współczuciem do towarzyszy niedoli.

Ale panna Aurora Peterson mieszkała po właściwej stronie torów, w ładnym białym domu, ocienionym przez stare dęby. W tym samym domu, w którym się urodziła, i który otrzymała w spadku po ojcu. Nosiła bladoniebieskie garsonki i trzy razy do roku robiła trwałą w salonie fryzjerskim „U Jody”, gdzie malowała sobie również paznokcie na bladoróżowy kolor. Jeździła prawie nowym, białym buickiem, spędzała dwutygodniowy urlop w tym samym ośrodku wczasowym w górach i co niedziela uczęszczała do prezbiteriańskiego kościoła w Golden, choć w sercu nie żywiła miłości dla nikogo – Mary Mallory podejrzewała, że nie miała jej nawet dla Jezusa – ale dawało jej to okazję zaprezentowania nowego kapelusza.

Mary Mallory wbijała wzrok w porysowane linoleum i zniszczone buty ludzi stojących za nią w kolejce, podczas gdy panna Petersom czytała jej akta tak wnikliwie, jakby łamała tajemniczy szyfr. Po pięciu minutach podnosiła wzrok i mówiła ze znużeniem: Malone, Malone, kiedy twoja matka weźmie się w końcu za jakąś pracę, zamiast kazać za siebie płacić nam, podatnikom?

Brała wielką, gumową pieczęć i odciskała ją w stosownym miejscu, potem odliczała kupony żywnościowe i przepychała je przez mały otwór w szybie, która chroniła ją przed szorstkością manier i niewyparzonymi językami tych, którym noga się powinęła. I ani razu nie spojrzała na Mary Mallory.

Z twarzą płonąca z wstydu, Mary Mallory jechała na dragi koniec miasta do supermarketu. Brała wózek i szybko szła między półkami, wybierając artykuły spożywcze: pudełko płatków kukurydzianych, mleko, margarynę, żółty ser, mortadellę i krojony salceson. Potem wybierała puszkę fasoli, pół funta najtańszego mięsa mielonego i puszkę najtańszej kawy. Przechodziła do działu warzyw po dwa słodkie ziemniaki i dwa zielone jabłka. Szła do kasy, gotując się na drugie upokorzenie tego dnia.

Fala krwi podchodziła jej do twarzy, kiedy kasjerka odliczała kupony. Bała się, że nakupowała za dużo i kierowniczka sklepu każe jej odstawić coś na półkę.

Przyciskając do siebie brązową, papierową torbę, szła potem na małą stację benzynową, której właściciel sprzedawał jej papierosy, mimo że była nieletnia.

Uważała, że jest to humanitarny akt z jego strony. W rzeczywistości robił to, ponieważ nie potrafił wyrzec się najdrobniejszego zysku, a nie dlatego, że było mu jej żal. Tak czy inaczej, oszczędzał jej kłopotów. Po roku pobytu w Golden matka przestała wychodzić z przyczepy, a Mary Mallory była pewna, że bez papierosów matka naprawdę oszaleje.

Wychodziła z domu tylko wtedy, gdy ogarniała ją czarna depresja. Po powrocie ze szkoły, Mary Mallory zastawała wtedy pustą przyczepę. Wyruszała na poszukiwanie matki i znajdowała ją na urwisku, wpatrzoną w morze, albo powoli spacerującą po plaży, zupełnie obojętną na wiatr i deszcz, na gigantyczne fale, walące z hukiem, od którego ziemia drżała pod stopami.

Ostatecznie matka wracała do domu. Suszyła przemoczone ubranie i mokre włosy, robiła sobie kawę i włączała telewizor, jakby nawałnica uciszyła burzę, szalejącą w jej mózgu.

W drodze z supermarketu Mary Mallory mijała często dziewczęta ze szkoły. Były ubrane w śliczne, nowe swetry i jeździły na czerwonych rowerach o metalicznym połysku, a usta miały pomalowane różową, błyszczącą szminką. Zazwyczaj jej nie zauważały, a kiedy już natknęły się na nią wzrokiem, szybko spoglądały w inną stronę. Rozmawiając z przejęciem o chłopcach, jechały wolniutko w chmurze perfum,

które właśnie zakupiły w drogerii na Main Street.

Mary Mallory przerzucała torbę z zakupami na drugie ramię, poprawiała sobie okulary w plastikowych oprawkach i z zazdrością zerkała na dziewczęta. Była ślepa jak nietoperz, a szkła były tak grube, że przypominały dno butelki coca-coli. Miała wrażenie, że się za nimi chowa, że nikt jej nie widzi. Chyba rzeczywiście była niewidoczna, bo inaczej dziewczęta powiedziałyby przynajmniej „cześć”. Z drugiej strony, nikt nigdy nie mówił jej „cześć”.

Doskonale pamiętała pierwszy straszny dzień w szkole. Sekretarka zaprowadziła ją do klasy i wypchnęła na środek. Wwierciło się w nią trzydzieści par oczu.

Przywitajcie się z Mary Mallory – zarządziła nauczycielka. Ze zniecierpliwieniem spoglądała na dziewczynkę, bezradnie stojącą przed klasą.

– Dzień dobry, Mary Mallory! – powiedziały dzieci chórem i znów rozległy się chichoty.

Mary Mallory bąknęła: „Dzień dobry” i chyłkiem przemknęła do ławki, którą wskazała jej nauczycielka.

Obawiała się odrzucenia, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ i tak nikt z nią nie rozmawiał. Nikt nie zaproponował, że oprowadzi ją po szkole, że zostanie jej przyjacielem. Nikt nawet nie wytykał jej palcem ani się z niej nie wyśmiewał.

Jeżeli chodzi o siódmą klasę szkoły podstawowej w Golden High, Mary Mallory mogłaby w ogóle nie istnieć.

Najbardziej dokuczała jej panująca wokół niej cisza. W domu matka rzadko się odzywała, zagubiona we własnym świecie. A w szkole, jeżeli nie liczyć pytań ze strony nauczycielki, nikt się z nią nie witał. Zawsze była nieśmiała, a teraz zupełnie zamknęła się w sobie. Uznała, że dzieje się tak dlatego, ponieważ jest brzydka, biedna, ponieważ wszyscy uważają jej matkę za wariatkę, ponieważ w każdy poniedziałek musiała ustawiać się w kolejce do okienka protekcyjnej panny Aurory Peterson w biurze opieki społecznej i wręczać hańbiące kupony żywnościowe w „Golden Supermarket”. Ponieważ jej ubranie było tanie i kupowane w sklepach z używaną odzieżą; ponieważ kupować „Glamour”, coca-coli, szminek i perfum w drogerii nie mogła ponieważ była nikiem. Niewidzialną dziewczyną z Golden High. Przynosiła zakupy do domu i wkładała je do szafek. Wręczała matce papierosy. Nieraz dostrzegała błysk przyjemności w jej pustych oczach. – Dziękuję Mary Mallory – mówiła głosem, który skrzypiał jak nieposmarowane drzwi. I już się więcej tego dnia nie odzywała. Nierzadko Mallory wkładała sweter i szła na spacer wzdłuż urwiska, wpatrywała się w wzburzony ocean i trudno jej było uwierzyć, że tak się kiedyś cieszyła na wieść że jedzie nad morze, do Golden High, 906 mieszkańców. Mogła się założyć, że przyjaźnie zmienili liczbę ludności na 908 odkąd zamieszkały tu z mamą.

Zostały prawdziwymi obywatelkami miasta, jak panna Aurora Peterson. Nie były darmozjadami żerującymi na uczciwych podatnikach.

Nagle zobaczyła dwóch chłopców biegających z psem. Tak dobrze się bawili, rzucając psu patyki, że zapragnęła się do nich przyłączyć.

„Jestem tutaj! Nie widzicie mnie?! Chcę się nauczyć, tak jak wy chcę się śmiać, bawić się, mieć przyjaciół.” Wyobrażała sobie, co by powiedzieli, gdyby to zrobiła, wiedząc, że nigdy się na to nie zdobędzie. Nieśmiałość była jak kalectwo. Była poza nawiasem i musiała tam zawsze pozostać.

Ale nie w marzeniach. Kiedy matka szła w końcu spać, Mary Mallory leżąc łóżku, marząc o bezpieczeństwie. Żyła w białym domu panny Aurory Peterson, po brzegi wypełnionym i dębowymi meblami. Marzyła, że zamiast starym, turkusowym Seatem, jedzie białym cadillakiem z opuszczonym dachem, a wiatr rozwiewa jej faliste, jasne włosy.

Marzyła, że w niedzielę na ich stole pojawia pieczone kurczę i świeżutka szarlotka, że matka ma nowy kapelusz, a ona nową sukienkę i idą razem do kościoła, a w drodze powrotnej przystają, by porozmawiać z przyjaciółmi, a potem zachodzą do drogerii na lody z wodą sodową. Kiedy dorastała, rosły jej marzenia. Marzyła o sukcesie. Wiedziała, że istnieją miejsca, inne światy, gdzie ludzie nie żyją tak jak ona, a nawet panna Aurora Peterson. Wyobrażała sobie, że pewnego dnia stanie się częścią tego świata. Wtedy kupi matce nowy dom z widokiem na ocean, gdziekolwiek sobie zażyczy, tylko nie w Golden. Wydadzą fortunę na ubrania, brylantowe kolczyki, sprawi, że matka znów się uśmiechnie, jak wtedy, gdy uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie się bała męża-sadysty. Mary Mallory chciała urzeczywistnić marzenia matki i swoje własne i rano była znów dziewczyną, która nie istnieje.

Mallory z wysiłkiem oderwała myśli od bolesnego dzieciństwa. Uniosła i spojrzała na Harry'ego. Ujrzała współczucie w jego szarych oczach, kiedy siedziała ze smutkiem:

– Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam. Bałam się pójść do psychiatry, nie chciałam tego przyznać, ująć w słowa. Bałam się, że wtedy stanę się znów Mary Mallory i zniknie wszystko, o co walczyłam, co zdobyłam.

Harry ujął jej dłonie; wydały się zimne jak lód, a jej śliczna twarz była blada i wymęczona. Odwrócił jej dłonie wnętrzem ku górze i ucałował.

– Jesteś dzielna, Mal. Wygrałaś – powiedział z podziwem. – Jak tego dokonałaś? Wzruszyła ramionami.

– Normalnie. Byłam uparta i pracowita. Uczylałam się, dostałam stypendium do collegu. Przez wiele lat moje życie sprowadzało się do nauki i ciężkiej pracy.

Westchnęła, wspominając te długie, głodne lata. – Potem zrobiłam dyplom i...

resztę znasz.

Wstała z kanapy, obciągnęła koronkową spódniczkę, poprawiła ramiączka, nagle pełna obaw, że wprowadziła go w zakłopotanie.

– Żałujesz pewnie, że zapytałeś? – uśmiechnęła się z wysiłkiem. Potrząsnęła głową.

– Wcale nie żałuję.

Był tak blisko, że mieszały się ich oddechy.

– Nie odchodź, Harry – powiedziała nagle, opierając mu głowę na ramieniu. – Boję się.

Przyciagnął ją do siebie, pogłaskał po włosach. Pomyślał, że wygląda na zupełnie rozbitą, jakby przeszła od nowa tamtą ciężką próbę;

– Nie ma się czego bać – powiedział uspokajająco. – To wszystko już minęło. Na tym polega dobrodziejstwo przeszłości. Czasem żałujemy, że coś nie wróci, a czasem dziękujemy Bogu, że mamy to za sobą. Wierz mi, wiem coś o tym.

Spojrzała na niego wielkimi oczami, próbując zrozumieć, co miał na myśli.

– Nie powinienem zostawać, Mal – dodał po chwili. – To nie jest właściwa chwila.

Przyłgnęła do jego ręki; nie mogła znieść myśli, że odejdzie.

– Wiem. Ale ja boję się zostać sama. Obrysował palcami kontur jej twarzy.

– Nie ma się czego bać, Mary Mallory, przysięgam. Odwróciła twarz. Duża, krystaliczna łza stoczyła się po jej policzku. Przygarnął ją, wstrząśnięty.

Żelazna dama telewizji płakała! Tulił ją, powiedział, że wszystko będzie dobrze, zostanie z nią, oczywiście, że zostanie.

Pogłaskał ją po głowie, otarł łzy, podał chusteczkę, żeby mogła wydmuchać nos.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie. Oczy miała podpuchnięte, nos czerwony.

Pomyślał, że nie powinien jej całować, po czym natychmiast to zrobił. Rozchyliła wargi pod dotknięciem jego ust. Pierwsze wrażenie go nie zmyliło; jej usta przypominały w dotyku płatki kwiatu. Odsunął się i uśmiechnął do niej ciepło.

– Prześpię się na kanapie.

– Mam pokój gościnny, ale łóżko jest nie posłane.

– Daj mi tylko poduszkę i koc, a z miejsca odpłynę w krainę snów. Puścił jej dłoń. Zawahała się na ułamek sekundy, po czym poszła do swojej sypialni. Poszedł za nią.

– Mmmm, przytulnie tu – powiedział. Leżąc w swoim wąskim łóżku, będzie mógł sobie teraz wyobrażać, jak wyglądasz w swoim wielkim.

Zręcznie złapał poduszkę, którą w niego rzuciła.

– Lepiej trzymaj wyobraźnię na wodzy, Jordan.

– Spróbuję, choć może się to okazać ponad moje siły – zamiast niej przytulił do

piersi poduszkę.– Śpij dobrze, Mary Mallory Malone. I obiecaj mi – żadnych złych snów!

– Obiecuję – uniosła w górę dwa palce, jak do przysięgi.

– A więc dobranoc – pocałował ją w czubek nosa.

– Dobranoc, Harry.

Stał, patrzył na zamknięte drzwi jej sypialni i zastanawiał się, czy naprawdę wypowiedziała jego imię na lekkim przydechu. Ale później, kiedy przewracał się bezsennie na łóżku, ogarnęło go paskudne uczucie, że nie powiedziała mu wszystkiego. Nadal była kobietą pełną tajemnic, którymi najwyraźniej nie chciała się z nim podzielić.

Mał usiadła, przestraszona. Spojrzała na zegarek – piąta rano. Ponownie usłyszała dźwięk, który wyrwał ją ze snu. Szum wody płynącej z kranu.

Uśmiechnęła się, opierając o poduszki i naciągając kołdrę pod brodę. Detektyw był rannym ptaszkiem.

Wyślizgnęła się z łóżka, narzuciła krótki różowy szlafroczek i bosy podreptała do kuchni. Stała w drzwiach, obserwując go. Miał na sobie granatowe spodenki bokserskie i nic poza tym, jego ciało było smukłe i twarde. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, próbował dojść do ładu z jej maszynką do kawy.

– Twoje włosy wyglądają jakbyś w nich spał – powiedziała. Odwrócił się, zaskoczony.

– Przepraszam, nie wziąłem grzebienia. Ani szczoteczki do zębów.

– Mogę dostarczyć jedno i drugie.

– Taka operatywność o piątej rano! Nie chciałem cię obudzić.

– Nie ma sprawy. Za skarby świata nie zrezygnowałabym z szansy zobaczenia cię w tych szortach.

Uśmiechała się szeroko. Przeszłość pozostała za nią. Czowała się znów Mał Malone. Lepiej! Czowała się szczęśliwa, pełna wiary w siebie. Wyjęła mu z ręki paczkę kawy i odmierzyła stosowną ilość.

– Kupiłabym bagietkę, gdybym wiedziała.

– Gdybym wiedział, sam bym ją przyniósł.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Otoczył ją po przyjacielsku ramieniem.

– Czy jest to właściwa chwila, by poprosić panią Malone, psze pani, na randkę? Prawdziwą randkę tym razem. Żadnego kręcenia.

Przyłożyła palec do warg, jakby w głębokim namyśle.

– Myślę, że znamy się już dość dobrze. Dlaczego nie?

– U ciebie, czy u mnie?

– U ciebie. Moja kolej, by dowiedzieć się, jak żyje druga połowa.

– Z przyjemnością to pani zademonstruję, pani Malone, psze pani. Niestety, najpierw muszę zapoznać się z rozkładem swoich zajęć.

– Ja też.

– Wobec tego zadzwonię do ciebie w ciągu dnia.

Maszynka do kawy zaczęła parskać i gulgotać. Mal wywinęła się z jego objęć i zaczęła wyjmować z szafek kubki, cukier, mleko.

– Niestety, tylko chude – powiedziała, nalewając kawę.

– Piję czarną.

Ich oczy się spotkały.

– Ciągłe dowiaduję się o tobie czegoś nowego.

– To prawda. – Przysunął się i wziął od niej kubek. Był tak blisko, że mogła wyczuć zapach jego skóry, zobaczyć kędzierzawe włosy na piersiach. Był zdecydowanie niebezpieczny.

– Zarost ci widać – powiedziała, nalewając mleka do swojego kubka. Harry przesunął dłonią po ciemnej szczecinie na policzkach.

– To mnie zawsze wyda – powiedział ze smutkiem. – Co sobie pomyśli portier?

– Niech sobie portier myśli, co chce – roześmiała się.

– A więc nie obawiasz się, że sprzeda swoje informacje reporterom z „Enquirer”?

– Jestem nowoczesną kobietą – wzruszyła ramionami. Nigdzie nie jest powiedziane, że mam żyć w celibacie.

Popił kawy i powiedział:

– Muszę zabrać rzeczy z hotelu i złapać samolot o szóstej.

– Chyba powinieneś się pośpieszyć.

– Chyba tak. Ociągał się jednak, sącząc kawę. – Dziękuję za zaufanie, Mal.

Skinęła głową.

– Nie zdążysz na samolot – zmieniła co prędzej temat, żeby nie myśleć o tym, jak wiele mu powierzyła.

Wrócił do pokoju gościnnego i szybko się ubrał. Czekala na niego w holu.

– Czuję się, jak „ten drugi”, wymykający się cichcem o świcie.

– Dzięki Bogu, nie ma żadnego męża.

– Bardzo się? tego cieszę. Lubię, kiedy moje kobiety nie mają zobowiązań.

– Na wypadek, gdybyś się chciał zaangażować? – zadrwiła ze śmiechem.

– No właśnie – otoczył ją ramionami.

Czuła przy sobie twarde, męskie ciało, w nozdrzach zapach skóry. Wsparła się o niego, z niechęcią myśląc o samolocie o szóstej. Pocałował ją. Był to ten sam, długi, łagodny pocałunek, co poprzedniej nocy. Puścił ją i podszedł do drzwi prywatnej windy.

– Zadzwoń do ciebie Lara Havers – powiedziała z przekąsem.

– Jaka szkoda, że mam zastrzeżony numer! – z uśmiechem nacisnął guzik i drzwi windy się otworzyły. – Odezwę się – powiedział.

Uśmiechała się jeszcze, kiedy drzwi się zasunęły i Harry Jordan zniknął z jej pola widzenia. Wróciła do sypialni, żeby przygotować się na czekający ją pracowity dzień. Ubierała się, zerkając na kosz fiołków na stoliku pod oknem.

Obok leżała sfatygowana brązowa koperta, której nie dostrzegła wcześniej.

Zaintrygowana, otworzyła ją i zajrzała do środka. Spojrzała w ciemne, groźne oczy seryjnego mordercy na portrecie pamięciowym.

– Och, Harry! – szepnęła, wstrząśnięta. – Jednak mi to zrobiłeś. Ty parszywy, podstępny draniu!

17.

Burza, oberwanie chmury i huragan sprawiły, że lot Harry'ego do Bostonu został opóźniony. Z dziennika telewizyjnego dowiedział się, że nad Nowym Jorkiem szaleje tropikalna burza, snuł się więc po hali odlotów na La Guardii, popijając darmową kawę i rozmyślał o Mallory Malone. Nadal uważał, że jest zagadkowa, choć teraz rozumiał ją lepiej. Nie rozumiał tylko jej niechęci do współpracy w sprawie morderstwa Summer Young, ponieważ Mal starannie unikała tematu portretu pamięciowego.

Zastanawiał się, co zrobi, kiedy znajdzie kopertę z portretem zabójcy. Miał nadzieję, że pobudzi to jej pamięć. A jeżeli nie, to przynajmniej powie mu, dlaczego ten wizerunek mężczyzny porusza ją tak głęboko.

Po raz pierwszy w życiu spóźnił się do pracy. Nie miał nawet czasu, by pojechać do Squeeze'a, który od wczoraj przebywał pod czułym dozorem Myry, opiekunki psów. Myra miała sześćdziesiąt lat, figurę trzydziestolatki, chmurę miedzianych włosów spływających poniżej pasa, na nogach grube białe skarpety, a na szyi paciorki miłości. Wyglądała jak ludzka wersja setera, którego wyprowadzała zawodowo na spacer.

– Wybrałeś sobie idealną porę na spóźnienie – powiedział Rossetti, kiedy Harry dotarł w końcu na posterunek. O ósmej szef zwołał naradę. Nieźle się wkurzył, kiedy się nie zjawiłeś. Wyładował się więc na mnie. „Czyż mogę oczekiwać, że złapiecie pirata drogowego, a co dopiero mordercę!”, taki był ogólny sens jego wypowiedzi.

Harry uśmiechnął się szeroko. Szef znał wyniki jego pracy. Jasne, w jego karierze znajdowały się przypadki nie rozwiązanych spraw, ale stanowiły drobny ułamek. Szef wiedział, że jest gliniarzem z krwi i kości, pracoholikiem. I nigdy nie odpuścił sprawy morderstwa: pracował nad nią jak Squeeze nad kością, którą zakopał w ogródku – ostrożnie, systematycznie, krok po kroku. Morderca Summer Young nie uderzy ponownie, dopóki on będzie miał tu coś do powiedzenia.

– Zrobiłeś sobie wakacje, Profesorku? – Rossetti odchylił się razem z krzesłem.

Skrzyżował ramiona i uśmiechał się radośnie, z jedną krzaczastą brwią uniesioną kpiąco.

– Masz, być może, doskonale zęby, ale sparszywiały umysł. Jedna noc poza domem nie oznacza jeszcze wakacji.

– W twoim świecie, owszem. Ona musi być kimś wyjątkowym, skoro wyjechałeś z miasta.

Harry spojrzał mu prosto w oczy.

– Zgadza się, jest wyjątkowa.

– Znamy jej nazwisko? – Rossetti huśtał się na żałośnie poskrzypującym krześle.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Ty nie. Ja tak.

– I tak już zostanie?

– Aha! – Harry metodycznie przeglądał stertę dokumentów na swoim biurku.

– A czy nie jest to przypadkiem niejaka Malone? – Rossetti pchnął krzesło odrobinę za daleko. Rozległ się łoskot i Harry zajrzał pod biurko na leżącego partnera. Roześmiał się, kiedy Rossetti usiadł, rozcierając sobie łokcie.

– Nie robią już takich krzesel, jak wtedy, gdy byłem dzieckiem – powiedział z pretensją.

– Detektywów też nie. Po zrobieniu ciebie, stłukła się forma, Rossetti. Zamiast węszyć w moim życiu prywatnym, wprowadziłbyś mnie lepiej w sytuację.

Zajęło to Rossettiemu dobrych parę minut. Potem przyszła wiadomość o strzelaninie w „7 Eleven” i rozpętało się piekło. Wymiotło ich z posterunku w ciągu sekund i nikt nie miał czasu, by pomyśleć o panie Malone.

Kordon umundurowanych policjantów otaczał parking sklepu „7 Eleven”, kiedy dotarli tam z wyciem syreny. Wyskoczyli z wozu, jednym spojrzeniem ogarniając scenę.

Ambulans zahamował tuż za wozem policyjnym i sanitariusze minęli ich biegiem, niosąc sprzęt. Za nimi pojawili się reporterzy z „Heralda” i ekipy telewizyjne z lokalnych stacji. W mgnieniu oka ustawili kamery i zaczęły filmować. Rossetti poszedł porozmawiać z policjantami z patrolu, który pierwszy znalazł się na miejscu przestępstwa. Harry torował sobie drogę przez tłum w stronę wejścia do sklepu.

– Detektywie Jordan! – była to reporterka z telewizji. – Ile ofiar? Co wiecie o zabójcy?

Uniósł dłoń.

– Zlituj się, Lucia! – zawołał, przyspieszając kroku. – Powiem ci, co się stało, jak tylko sam się czegoś dowiem.

Dźwiękowiec podsunął jej mikrofon. Lucia odwróciła się w stronę kamer i rozpoczęła relację ze sklepu.

– Przed paroma minutami miała miejsce strzelanina w supermarkecie „7 Eleven” – powiedziała z zawodową rutyną. – Nie znamy jeszcze liczby ofiar, ale z pierwszych doniesień wynika, że może być ich kilka. Nic jeszcze nie wiadomo o napastniku, choć lada chwila spodziewamy się informacji w tej sprawie.

Na razie wiadomo tylko, że był to napad rabunkowy, oraz że oddano kilka strzałów. O dalszym rozwoju wypadków będziemy informowali na bieżąco. W sklepie Harry patrzył na ofiary. Jedna z całą pewnością była martwa – odstrzelono jej czubek głowy. Sanitariusze pochylali się nad drugą, młodym Murzynem. Na

pierwszy rzut oka nie wydawał się szczególnie poszkodowany, miał tylko parę dziurek w klatce piersiowej, lecz kiedy go unieśli, po podłodze rozlała się krew. Był nieprzytomny.

– Ten drugi jest cały pana, Profesorku – powiedział jeden z sanitariuszy, kiedy nieśli rannego do ambulansu.

Wszedł Rossetti. Stał obok Harry'ego i spojrzął na martwego mężczyznę.

– Profesorku, nigdy nie przyszło ci do głowy, że wybrałaś zły zawód? Trzeba było trzymać się adwokatury. Łatwe, czyste i przyjemne zajęcie. Z pewnością lepiej płatne.

Na miejsce przybył lekarz sądowy, następnie technicy policyjni i rozpoczął się, aż nazbyt dobrze znany, rytuał zabezpieczania miejsca zbrodni.

Na parkingu policja zatrzymała dwóch świadków, którzy widzieli napastnika wybiegającego ze sklepu. Twierdzili, że wymachiwał bronią i wskoczył do czekającego samochodu. Wiedzieli już, że zranił młodego mężczyznę pracującego w sklepie, starszy, ten, który zmarł, musiał być klientem.

– Znalazł się w złym miejscu, w niewłaściwej chwili – powiedział Harry z goryczą, kiedy lekarz skończył oględziny. Technicy obrysowali ciało białą kredą. Zwłoki zapakowano do czarnego worka i zapięto na suwak. Harry ze smutkiem pomyślał, że zamordowanego człowieka pozbawia się nie tylko życia, ale i dostojności śmierci.

– Jakiś karabin maszynowy – powiedział technik energicznie. – Prawdopodobnie Uzi, albo coś w tym rodzaju. Technicy powiedzą ci dokładnie, który model.

Policjanci dysponowali już opisem samochodu napastnika – była to biała furgonetka. Harry nastawił uszu. Uważnie przesłuchał dwoje świadków. Jednym z nich była kobieta w średnim wieku; szła właśnie do sklepu, kiedy zobaczyła wybiegającego mężczyznę.

Była blada i roztrzęsiona, ale potrafiła przedstawić w miarę dokładny opis wydarzeń.

– To mogłam być ja – powtarzała raz po raz. – Dwie minuty wcześniej i trafiłyby we mnie.

Drugim świadkiem był bezdomny, który kręcił się koło sklepu, zbierając puszki po napojach, żeby potem sprzedać je za parę centów, a pod wieczór kupić butelkę najtańszej wódki. Było jeszcze za wcześnie, nie zdołał uzbierać na wieczorną dawkę bimbru, opowiedział więc w miarę dokładnie, co widział.

– Biała furgonetka, ford – powiedział stanowczo. – Stary i mocno zajeżdżony.

Trochę zardzewiała. Taki wóz nie powinien jeździć po naszych ulicach, panie władzo. Bieda z nędzą na czterech kołach.

– Masz rację, stary – kiedy nikt nie patrzył, Harry wsunął mu w rękę parę

dolarów.

Prawdę mówiąc, zamiast zardzewiałym fordem wolałby się zająć losem tego starego.

Świadkowie z zapalem opisywali samochód, ale Harry wiedział, że wóz był najprawdopodobniej kradziony, a zabójca porzuci go przy pierwszej okazji. Dałby głowę, że było to zabójstwo na tle narkotyków. I że było powiązane z zabójstwem sprzed paru tygodni – domniemanym przejechaniem. Postanowił, że wybierze się wieczorem do Moonlighting Club, popyta ludzi. Nie, żeby byli informatorami, ale kiedy ofiarą padał ktoś spośród nich, dzielili się czasem swoją wiedzą.

Technicy policyjni nadal pracowali na miejscu, a Rossetti i Harry pojechali na komendę.

W połowie drogi otrzymali drugi meldunek: zabójstwo w starym magazynie przy Atlantic Avenue. Azjata z uciętą głową. Harry pomyślał, że znowu kłaniają im się narkotyki.

– Prochy, seks i pieniądze – zawtórował jego myślom Rossetti.

– Niepotrzebne skreślić i motyw gotowy.

Był to długi, ciężki dzień, jeden z tych, które pozostawiają bolesne ślady w mózgu, jeżeli nie w sercu, jak morderstwo Summer Young.

Odwrócił się do następnych noszy, na których leżał chłopiec. Miał najwyżej sześć lat i patrzył na niego z przerażeniem.

– Mamusia – szepnął chłopiec, odprowadzając wzrokiem nosze, popychane przez pielęgniarkę.

Doktor Blake potrząsnął głową. Według wszelkiego prawdopodobieństwa do rana chłopiec nie będzie miał już matki.

– Wszystko dobrze, mały – powiedziała Suzie Walker, uspokajająco.

– Pan doktor zajmie się twoją mamą. Teraz musi sprawdzić, czy tobie coś się nie stało. Powiedz mu tylko, gdzie cię boli.

Doktor Blake westchnął i zabrał się do pracy. Sceny takie jak ta tylko potwierdzały słuszność jego decyzji, by specjalizować się w patologii. Pacjenci, z którymi miał do czynienia byli już *fait accompli*. [(franc.) – rzecz dokonana] Dzieci tych pacjentów wiedziały, że ich matki nie żyją, on musiał im powiedzieć, jak umarły.

Rossetti przebił się przez tłum przy drzwiach i jednym spojrzeniem ogarnął salę.

Izba przyjęć przypominała krajobraz po bitwie. Jak dotąd w mieście zdarzył się karambol czterdziestu samochodów, niezliczona ilość kraks, dwa auta zostały zmiżdżone przez szesnastokołową ciężarówkę, parę innych przez padające drzewa.

– Można by pomyśleć, że ludzie nie widzieli deszczu – powiedział ze zdumieniem do dyżurnej pielęgniarki. – Ja w drobnej sprawie. Chodzi o ofiarę strzelaniny w „7 Eleven”.

Pielęgniarka sprawdziła w komputerze.

– Oddział intensywnej terapii, jak zwykle – powiedziała.

– Wyżyje?

Ponownie spojrzała na ekran.

– Wyjęli mu z klatki piersiowej trzy kule. Dwie inne przeszły na wylot. Nie, detektywie, nie wydaje mi się, by wyżył.

Rossetti z zaskokiem pokiwał głową. Ranny mężczyzna był afro-Amerykanem, miał dwadzieścia pięć lat, żonę i małego synka. Gorycz zalała mu serce, kiedy pomyślał o własnej rodzinie, ojcu, który prowadził małą pizzerię na North End.

Tego typu restauracyjki i bary były najczęstszym obiektem rabunku i przemocy, a to mu się wcale nie podobało. Działo się na jego własnym podwórku.

Przeszedł przez poczekalnię w stronę schodów w końcu holu. Wszystkie krzesła były zajęte przez roztrzęsionych ludzi, którzy zbiegli się tu w poszukiwaniu krewnych i przyjaciół. Na ich bladych twarzach malował się strach.

Minęła go Suzie Walker. Miała krew na białym fartuchu i była krańcowo wyczerpana. Skinęła mu głową bez uśmiechu. Obejrzał się za nią, ale dziś nie próbował jej zaczepić. Kiedy otworzyła drzwi, ujrzał dziecko na noszach i pochylonego nad nim doktora Blake'a w cywilnym ubraniu.

– Jedna z tych nocy – pomyślał pośpiesznie. – Jedna z tych potwornych nocy, które zdarzają się raz na parę lat.

Kiedy pół godziny później zszedł na dół, poczekalnia znów była pusta i spokojna. Zakrawało to na cud.

– Cisza przed burzą? – zapytał dyżurną pielęgniarkę.

– Mam nadzieję, że na dzisiaj koniec – powiedziała. – Większość personelu pracuje od rana.

Rossetti zerknął na zegarek. Było po dwunastej w nocy.

– Życzę szczęścia – powiedział na odchodnym. Szczęście nie dopisało postrzelonemu z „7 Eleven” i teraz on, Rossetti musiał zawiadomić młodą żonę, że została wdową. Wolałby drwa rąbać.

Harry właśnie dotarł do domu, kiedy zadzwonił Rossetti i potwierdził jego najgorsze obawy. Myśląc o zabójcy, użył wielu mocniejszych określeń niż „drań”.

I był bardzo zadowolony, że to nie on musiał zanieść wiadomość wdowie.

Rzucił torbę na podłogę w holu, wziął rozradowanego psa na mokry spacer, a po powrocie stwierdził obojętnie, że Squeeze w całym domu zostawił błotniste ślady.

Nic go to nie obchodziło. Cieszył się, że żyje.

Pomyślał z żalem, że jest za późno, by zadzwonić do Mallory. Postanowił, że zrobi to rano, natychmiast po przebudzeniu. Wyobraził ją sobie w antycznym francuskim łóżku. Uśmiechnął się na tę myśl. Uśmiech nie schodził mu z ust, kiedy

się rozbierał, brał prysznic i zakładał dresowe spodnie i białą koszulkę z napisem „Fuzz-Buster”. Z nadzieją zajrzał do lodówki. Znajdował się w niej karton przeterminowanego mleka, resztkę trzydniowej pizzy i parę puszek Heinekena.

Włożył pizzę do kuchenki mikrofalowej, otworzył puszkę piwa i zaniósł kolację do salonu. Odłamał kawałek pizzy i dał psu. Przypominało to karmienie słonia tiktakami. Pizza zniknęła w ułamku sekundy, jakby nigdy nie istniała.

Postawił piwo na stoliku do kawy i włączył telewizor. W dzienniku mówiono wyłącznie o huraganie, który posuwał się wschodnim wybrzeżem, powodując liczne wypadki i ogromne straty. Harry miał nadzieję, że Mallory nie ucierpiała.

Odchylił się na oparcie wygodnego fotela, powieki mu opadły. Po minucie już spał.

Squeeze siedział, nie spuszczać z niego wzroku. Przekrzywił łeb i czekał.

Harry się nie poruszył i pies przeniósł uwagę ze swego pana na stolik do kawy.

Otwarta puszkę piwa pacnęła na podłogę, kiedy ściągał pizzę z talerza. Pożarł ją błyskawicznie, rozmazując roztopiony ser. Piwo wsiąknęło w dywan.

Dokonawszy dzieła zniszczenia, z powrotem przeniósł wzrok na Harry’ego. Jego pan spał mocno. Z pełnym zadowolenia westchnieniem pies opadł na podłogę i złożył łeb na nogach Harry’ego. On też miał za sobą ciężki dzień.

Volvo stało na końcu ulicy, na wpół ukryte pod zwijającymi gałęziami czerwonego kanadyjskiego klonu.

Ostatnio spędzał tu większość nocy. Czekał na nią. Musiał prześledzić każdy jej krok, rozpracować rozkład dnia tak dokładnie jak kontroler ruchu na lotnisku rozpracowuje rozkład przylotów i odlotów. Musiał poznać jej zwyczaje, plan dyżurów w szpitalu. Musiał wiedzieć, w które noce pracuje, a kiedy jest sama.

Różniła się od poprzednich dziewcząt tym, że prowadziła bujne życie towarzyskie i pracowała zawodowo. Wolałby studentkę. Studentki były młodsze, były łatwiejszym łupem, ale polowanie w miasteczku uniwersyteckim stało się zbyt niebezpieczne. Studentki zostały ostrzeżone, miały się na baczności.

Rzecz jasna, wiedział już, że mieszka sama. Na parterze. Był to niezbędny warunek, bez spełnienia którego w ogóle nie zostałaby zakwalifikowana. Wspinanie się po ścianie na pierwsze piętro było zbyt kłopotliwe i zbyt niebezpieczne, podobnie jak wchodzenie i wychodzenie z wielorodzinnych bloków i akademików.

Kręciło się tam zawsze za dużo ludzi. Nigdy nie wiadomo, komu i kiedy człowiek wpadnie w oko. Wprawdzie miał typową twarz porządnego faceta, która zdawała się wtapiać w tło codzienności, ale wolał nie ryzykować.

Był tam dzisiaj, w szpitalnej poczekalni, wraz z setką innych ludzi. Niczym się nie wyróżniał, ot, kolejna, pełna niepokoju twarz w tłumie zaniepokojonych ludzi. Widział ją, zaaferowaną, pełną napięcia. Kiedy odwołano pielęgniarkę, wślizgnął się

do dyżurki. Wiedział, że trzyma torebkę w szafce pod pulpitem.

Wyciągnięcie kluczy było kwestią sekund. Roześmiał się na to wspomnienie. Mógłby zrobić karierę jako włamywacz wykradający biżuterię z sypialni pięknych kobiet. Był w tym świetny. Zdaje się jednak, że w dawnych, dobrych czasach działalności owych złodziei nazywano ich „dachowcami”.

Czyli odpada. Nie lubił dużych wysokości i zbędnego ryzyka. Mógłby zostać złapany. Już sam pomysł wywołał uśmiech na jego twarzy. Był przecież nieuchwytny. Wiedział o tym.

Wyjął chusteczkę higieniczną ze schowka i przetarł zaparowaną szybę. Nie mógł włączyć klimatyzacji, ponieważ wymagało to uruchomienia silnika, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę. Uchylił okno i wpuścił strumień wilgotnego powietrza.

Reflektory błysnęły w deszczu i mężczyzna podniósł do oczu lornetkę. Tak jak przewidywał, był to niebieski neon.

Suzie Walker wjechała na wybetonowany podjazd, zbudowany w miejscu ogródka, który przylegał kiedyś do drewnianego domu. Zgasła silnik i odetchnęła z ulgą.

Była pierwsza w nocy, a ona pracowała od dwunastej w południe. Nie narzekała, wybrała sobie taki zawód i wiedziała, że musi być dyspozycyjna w razie nagłych przypadków. Ale była potwornie zmęczona. Po prostu leciała z nóg. Marzyła tylko o tym, by dostać się do łóżka.

Wysiadła i zamknęła samochód. Idąc do drzwi, szukała w torebce kluczy. Nie nosiła ich na jednym kółku z kluczami od samochodu, ponieważ było tego za dużo.

Klucz od drzwi frontowych, tylnych, od szafki w sali gimnastycznej, od sejfu bankowego, gdzie przechowywała jedyną cenną rzecz, jaką posiadała – złoty zegarek, prezent od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

Zazwyczaj odnajdywała klucze bez trudu, właśnie dlatego że były pękate.

Zmarszczyła brwi, zaglądając w otchłań dużej, skórzanej torby, przesunęła palcami po dnie. Kluczy nie było.

Nerwowo obejrzała się przez ramię. Była pierwsza w nocy, dokoła żywego ducha.

Panowała cisza, jeżeli nie liczyć bębnienia deszczu o płyty chodnika. Omiotła wzrokiem sąsiednie domy, ale w żadnym nie paliło się światło. Zawahała się, niepewna, co robić. Gdzie mogła zgubić te klucze? Wiatr targał gałęziami starego klonu po drugiej stronie ulicy. Nagle ogarnął ją strach. Rozejrzała się nerwowo.

Potem przypomniała sobie ostatnie morderstwo i dreszcz przeleciał jej po plecach. Nigdy nie wiadomo, kto czai się w ciemnościach, patrzy, czeka.

Ręce jej się trzęsły, kiedy otwierała drzwi samochodu. Rzuciła się na siedzenie kierowcy, nacisnęła przycisk automatycznie zamykający wszystkie zamki i dopiero

wtedy odetchnęła. Po raz pierwszy pożałowała, że nie posłuchała ojca i nie sprawiła sobie telefonu komórkowego, na wszelki wypadek. Włączyła silnik, wycofała się tyłem z podjazdu i wyprysnęła na mokrą, śliską jezdnię. Jadąc o wiele za szybko, wymięła zaparkowane samochody i zniknęła mężczyźnie z pola widzenia.

Patrzył za nią z uśmiechem. Potem odłożył lornetkę i sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy. Mógłby ją wziąć tej nocy. Sama pchała się w ręce, dojrzała jak śliwka w sierpniu. Ale tego rodzaju zbiory nie leżały w jego charakterze. Musiał wiedzieć o niej więcej, żeby w pełni się nią rozkoszować.

Tego właśnie ludzie nie rozumieją, pomyślał, idąc szybko w stronę jej domu.

Przyjemnością był nie tylko akt końcowy, lecz wszystkie poprzedzające go przygotowania, sprytnie zdobywanie dojścia do ich domów, wejrzenie w ich życie, rzeczy osobiste, w ich płytkie, kobiece dusze.

Uśmiechnął się z radością, wsuwając klucz w zamek i wszedł do domu. Przez chwilę stał w mroku, nasłuchując. Żadnego dźwięku. Wyjął z kieszeni miniaturową latarkę i omiótł światłem wnętrze. Kocie oczy błysnęły ku niemu czerwono, rozległo się tupanie kocich łapek i znów zapadła cisza.

Mężczyzna rozpiął płaszcz przeciwdeszczowy i wciągnął cienkie, gumowe rękawiczki. Był idealnie spokojny. Nie widział potrzeby, żeby się spieszyć, miał mnóstwo czasu i mógł wszystko dokładnie obejrzeć. Jutro z samego rana dorobi klucze, wróci do szpitala i podrzuci je na parkingu, w miejscu, gdzie Suzie Walker zostawiała zwykle samochód. Ktoś je odnajdzie, odniesie do dyżurki.

Dziewczyna pomyśli, że wypadły jej z torebki, kiedy szukała kluczyków od auta.

A on będzie miał nieskrępowany dostęp do jej domu. Będzie przychodził i wychodził, kiedy mu się spodoba. Oczywiście, do chwili gdy zdecyduje, że na niego już czas.

18.

Tego ranka, kiedy Harry wrócił do Bostonu, zostawiając jej portret pamięciowy, Mallory pojechała na siłownię i próbowała wyzwolić trochę tych zdrowych, kojących androgenów, które podobno szalenie poprawiają samopoczucie – jeżeli człowiek się do tego przyłoży. Mal nie udało się i pomaszerowała do biura sfrustrowana, nadal gotując się ze złości.

Aromat świeżo parzonej kawy kazał jej zwolnić kroku. Zawahała się, po czym z buntowniczym wzruszeniem ramion weszła do małych delikatesów. Zamówiła sezamową bagietkę z kremowym serem i szynką oraz dużą kawę. Potem czekała, niecierpliwie bębniąc palcami w ladę. Ależ była głupia powierzając Harry’emu Jordanowi swoje tajemnice, zdradzając mu tajniki życia osobistego, bolesne wspomnienia i najgłębsze obawy.

Pochłonęła bagietkę bez skrupułów i kontynuowała spacer, z każdym krokiem coraz bardziej przekonana, że winę za tę kulinarną rozpustę ponosi Harry Jordan.

Przez cały dzień odczuwała na przemian smutek i złość. Z dwójga złego wolała już gniew, było to przynajmniej doznanie jasno sprecyzowane, choć członkowie jej ekipy prawdopodobnie mieli na ten temat inne zdanie. To na nich odbijał się humor szefowej.

– Tu nie chodzi o was – przeproszała raz po raz. – Mam zły dzień.

– Ranek po upojnej nocy – powiedziała Beth, żartobliwie grożąc jej palcem. Mal, ubrana była w ciemnozielony sweter, długą spódnicę, wysokie czarne kozaczki i wyglądała świetnie, jeżeli nie brać pod uwagę sińców pod oczyma i niewyszukanego słownictwa. – No więc? O której poszedł do domu?

– Kto? – zapytała Mal, zbyt niewinnie i Beth się roześmiała.

– Zazwyczaj grasz lepiej. Ale dobrze, jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, nie mów. Mogę poczekać.

Zgarnęła papiery na swoim biurku.

Ale to nie może czekać, skarbie. Mamy mnóstwo pracy i bardzo bym prosiła, żebyś oderwała myśli od tego, co się stało – czy też nie stało się – wczoraj wieczorem i skupiła się na czwartkowym nagraniu. Gotowa? Mal skinęła głową, po czym powiedziała z zazdrością w głosie:

– Masz szczęście. Z Robem. Jesteście tacy dobrani, tak miło się do siebie odnosicie.

Ha! Nie widziałaś jak się kłócimy. Na przykład o to, kto obiecał kupić coś na kolację w powrotnej drodze, kiedy nikt z nas tego nie zrobił, w domu nie ma nic do jedzenia, a ja jestem zbyt zmęczona, żeby powlec się do delikatesów i coś kupić, a potem jeszcze zjeść to ze smakiem. Taka rzecz może rozbić małżeństwo, wierz mi.

Mal musiała się roześmiać – To chyba dobrze, że was wtedy nie widuję.

– Pewnie! To nie jest ładny widok – Beth spojrzała na nią badawczo, potem poklepała szefową po ręce. – Na pewno nie chcesz mi o tym powiedzieć?

Mal potrząsnęła głową.

– Wiem, że Harry był jeszcze, kiedy wychodziliśmy z Robem – nalegała Beth. – A wychodziliśmy prawie ostatni.

– Został – przyznała Mal.

– Rany! – oczy Beth zognomniały. – Było aż tak źle?!

– Oczywiście, że nie. Nic się nie wydarzyło. Po prostu nie chciałam być sama. Nie, wcale nie było źle. Przyniósł mi fiołki.

– Widziałam je. Możesz otworzyć kwiaciarnię.

– Skąpy nie jest, fakt.

– No dobrze. Teraz ta gorsza część.

– On nie jest zainteresowany mną, Beth, lecz tym, co ja mogę dla niego zrobić. Więc kiedy dzisiaj zadzwoni, powiedz mu, proszę, że mnie nie ma. Albo że jestem zbyt zajęta, by podejść do telefonu. Coś w tym rodzaju.

– Daj spokój, Mal! Rozstrzygnij wątpliwości na korzyść oskarżonego... chciałam powiedzieć: gość, który przynosi cały kosz fiołków nie może być całkiem zły.

– A jeżeli przy tym koszu zostawia portret seryjnego mordercy? Żeby go znalazła, kiedy on już sobie pójdzie?

– Zrobił to? Biedaczyna – powiedziała Beth ze współczuciem. – Trochę sknocił sprawę. Taki uroczy mężczyzna.

Mal rzuciła jej kosę spojrzenie.

– Na litość boską! Facet nauczył cię tańczyć salsę i już cię kupił, zupełnie jak Larę i inne.

Beth wstała i pozbierała papiery.

– Jak na kobietę, która nie chce oglądać faceta, robisz strasznie dużo szumu. I czy mi się wydaje, czy naprawdę oczy ci zzieleniały? – drzwi zatrzęsły się za nią z hukiem.

Starając się trzymać nerwy na wodzy, Mal dotrwała do końca dnia.

O szóstej umalowała usta, włożyła żakiet i weszła do swojego sekretariatu. Beth nie wspominała nawet imienia Jordana.

– Jakieś wiadomości? Bo idę do domu – powiedziała Mal, trochę zbyt obojętnie.

– Nie dzwonił, jeżeli o to pytasz.

– To dobrze – powiedziała Mal, ale po błysku w brązowych oczach Beth poznała, że asystentka jej nie wierzy.

– Nadal ci na nim zależy. Może powinnaś odebrać jego telefon, mimo wszystko.

– Jaki telefon? Sama widzisz, że nie można facetowi ufać. Beth wpatrywała się

w nią ciekawie.

Zdaje mi się, że przede wszystkim sama sobie nie możesz ufać. O co chodzi, Mal?

Pytam poważnie.

Nerwowym gestem Mal poprawiła na ramieniu pasek małej, czarnej torebki.

– Było tak dobrze... wczoraj. No wiesz, miło, przyjacielsko. A potem znalazłam portret. Nie wspomniał, że go przyniósł, nie powiedział, że przyszedł, żeby o tym rozmawiać. Zostawił go, żebym go sama znalazła. Potem.

– Powiedz mi, co jest takiego złego w rozmowie o portrecie? W końcu było to straszne morderstwo, mamy w mieście seryjnego mordercę. Może powinnaś spróbować mu pomóc?

– Ale ten portret jest do niczego. Beth zmarszczyła brwi, zdumiona.

– Powiedz mi, Mal, skąd wiesz, że jest do niczego?

– Ja... Och, nie wiem – Mal ciężko opadła na krzesło. Oparła łokcie na biurku i objęła dłońmi głowę. – Nie wiem, czy ten portret jest dobry, oczywiście, że nie wiem – powtórzyła. – Ale jest w nim coś, co mnie niepokoi. Wyraz tych oczu. Taki niesamowity, złowrogi – wzruszyła ramionami. – Beth, nie jestem pewna, czy chcę wdać się w walkę z seryjnym mordercą.

– Rozumiem cię. Ale dlaczego nie powiesz tego Harry'emu? Jestem pewna, że on też zrozumie.

Mal miała co do tego poważne wątpliwości.

– Harry Jordan – powiedziała z przekonaniem – jest przede wszystkim policjantem, dopiero potem człowiekiem. Tylko jedno mu w głowie – złapać zbrodniarza.

Mal była pewna, że Harry zadzwoni wieczorem, postarała się więc, aby nie było jej domu. Wybrała się w odwiedziny do znajomych; spikera telewizyjnego, jego żony i nowo narodzonego dziecka.

Kupiła kwiaty i wielkiego pluszowego tygrysa. Zachwycała się dzieckiem. Było urocze, z czubem ciemnych włosów i oczami jak czarne guziczki, leżało spokojnie w pleconym wózku, podczas gdy oni jedli kolację. Wypili butelkę dobrego wina, wspominając ciężkie czasy, kiedy wspinali się po szczeblach telewizyjnej drabiny ku sławie i fortunie.

– Czasem wydaje mi się – powiedział Josh w zamyśleniu – że to były moje najlepsze lata.

– Tylko w retrospektywie – przywołała go do porządku Jane. – Jasne, dobrze się bawiliśmy, ale czy to nie miłe, że dotarliśmy na szczyt? Ty, Mal, powinnaś wiedzieć najlepiej, osiągnęłaś największy sukces.

– Niespecjalnie bawiła mnie ta droga – powiedziała Mal porywczo. – Prawdę

mówiąc, była to droga przez mękę – roześmiała się z zawstydzeniem. – Wiecie jak to jest, kiedy jest się kobietą: dyskryminacja, napastowanie.

– Tak się cieszę, że mnie przypadło w udziale co innego – Jane ziewnęła. Ledwo trzymała się na nogach z niedospania. – Człowiek uczy się całe życie, ale mówię ci Mal, nie ma jak dziecko.

Późnym wieczorem Mal wróciła do domu, zabierając wspomnienie tego spotkania. W jej nierealnym świecie było okrucieństwem rzeczywistości. Kobieta jako matka, dziecko, o które trzeba się troszczyć, ciepło między kobietą a mężczyzną. Ich mieszkanie, kiedyś takie chłodne i prowizoryczne, zmieniło się w prawdziwy dom, równie solidny jak każda siedziba na przedmieściu. W porównaniu z ich życiem, jej własne wydawało się puste i bezcelowe. Pozazdrościła im szczęścia i dziecka.

W domu znalazła przesłaną pocztą elektroniczną wiadomość, sprawa czysto zawodowa. Nie było natomiast czerwonego, przyjaznego światełka automatycznej sekretarki. Harry nawet nie zadzwonił.

Portret pamięciowy mordercy ciągle leżał na stoliku, tam, gdzie go rzuciła.

Wzięła go ponownie do ręki i przyjrzała się twarzy mężczyzny. Nagle zadrżała, podarła kartkę na drobne kawałeczki i wrzuciła do ognia. Buchnął z nich czarny dym, kończąc coś, co nigdy się na dobre nie rozpoczęło.

Wzięła prysznic, założyła T-shirt i różowe szorty, wyszczotkowała włosy i nakremowała twarz. Dziennik telewizyjny migał w tle codziennymi obrazami grozy, ale nie słuchała. Aż do chwili, gdy spiker powiedział:

„W Bostonie poszukuje się seryjnego mordercy, po tym, jak próbki DNA zebrane z ciał trzech młodych ofiar okazały się identyczne.

Na ekranie ukazała się fotografia ładnej, młodej kobiety.

Ostatnia ofiara, Summer Young, miała dwadzieścia jeden lat, była absolwentką filadelfijskiego liceum i studentką szkoły medycznej na Uniwersytecie Bostońskim. Podobnie jak Mary Jane Latimer i Rachel Kleinfeld, została ogłuszona, a następnie zgwałcona. Wykrwawiła się na odludnej plaży, gdzie zostawił ją morderca.

Bostoński departament policji sporządził portret pamięciowy zabójcy. Jeżeli ktoś znał lub widział tego mężczyznę, proszę skontaktować się z policją pod numerem telefonu widocznym w dole ekranu. Gwarantuje się pełną anonimowość.

Nagle ekran wypełniła twarz mordercy, podczas gdy spiker podawał jego domniemany wzrost i budowę ciała, oraz opis samochodu, który prowadził.

Twarz domniemanego zabójcy Summer Young, Mary Jane Latimer i Rachel Kleinfeld – zakończył spiker. – Każdy, kto może pomóc w ujęciu mordercy proszony jest o natychmiastowe skontaktowanie się z bostońskim wydziałem policji.

Mal zrozumiała, dlaczego detektyw Harry Jordan do niej nie zadzwonił. Umieścił portret mordercy w telewizji krajowej bez niczyjej pomocy. Już jej nie potrzebował.

19.

Nazajutrz o siódmej rano Harry przeprowadził rower przez Louisberg Square. Zadyszany Squeeze dreptał mu po piętach. Zrobili ośmiomilową rundę od Boston Commo do ogrodu zoologicznego w parku Franklina. Jak zwykle miał ochotę na więcej, i, jak zwykle, nie miał już na to czasu.

Zostawił rower w holu, podał psu wodę, którą Squeeze wychleptał hałaśliwie, potem ujął słuchawkę telefonu i zadzwonił do Mal. Nie mógł się doczekać, kiedy powie jej o tym, że telewizja poszła na współpracę. Zmarszczył czoło, kiedy odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

Dzwonię – powiedział szybko. – Złapię cię później.

Wskoczył pod prysznic, przejechał elektryczną maszynką do golenia po brodzie, ubrał się pośpiesznie i gwizdnął na psa. Był już w drzwiach, kiedy coś sobie przypomniał. Wrócił do sypialni, przesunął szybko szczotką po włosach i wybiegł z domu.

W „Ruby” dzisiejsze kłęby nikotyny mieszały się z wczorajszymi. Zajął miejsce przy barze i zamówił kawę, dwa jajka sadzone na szynce i frytki. Zaciekawilo go, ile dymu z drugorzędnych papierosów wdycha tu codziennie przy śniadaniu. A także przy obiadach w ciągu dnia, piwie po pracy, a czasem przy kolacji. Potem powiedział sobie, że to bez znaczenia, skoro i tak z tego nie zrezygnuje.

Przynajmniej na razie. Nie pamiętał, żeby wczoraj coś jadł i umierał z głodu.

Doris nie pracowała tego ranka i psa ominęła smaczna przekąska. Wcisnął się między barowy stołek a kontuar i uzbroił w cierpliwość.

Harry jednym haustem wypił kawę, poprosił o dolewkę i poszedł do budki telefonicznej przy wejściu. Ponownie wykręcił numer Mal i znowu zgłosił się automat.

– Jest siódma trzydzieści, ranny ptaszku – powiedział. – Już w pracy? Mam nadzieję, że uszłaś cała z wczorajszego huraganu. Złapię cię w biurze.

Uśmiechnął się; jej głos na taśmie zawsze brzmiał tak, jakby naprawdę miała nadzieję, że ktoś zadzwoni – proszę zostawić wiadomość, choćby parę słów.

Pomyślał, że strasznie brak jej poczucia bezpieczeństwa, choć patrząc na nią, nikt by się tego nie domyślił. Była to jej dobrze strzeżona tajemnica, którą podzieliła się z nim i z nikim więcej.

Pochłaniając jajka i frytki, pomyślał, że gdyby podzieliła się z nim również resztą swoich tajemnic, byłaby szczęśliwszą kobietą. A on byłby szczęśliwszym mężczyzną.

Dzwonił do niej kilkanaście razy w ciągu dnia. Nie złapał jej w biurze, asystentka powiedziała, że wyszła. Nie, nie jest osiągalna pod żadnym numerem telefonu. Wieczorem zadzwonił do domu i znowu trafił na automat.

– Słuchaj – powiedział, zirytowany. – Jesteś cholernie nieuchwytna, a mnie kończą się dziesięciocentówki. Chciałem porozmawiać o tej randce. Pamiętasz chyba, że umówiliśmy się na randkę? Wiem, że to nagła propozycja, ale moja matka ma w piątek urodziny i urządza przyjęcie. Oczywiście, muszę pójść i pomyślałem sobie, że może poszłabyś ze mną? Tak, to trochę za wcześnie, zwałać ci na głowę całą rodzinę, ale poznałaś już mojego psa, możesz więc poznać resztę, a wtedy będziesz wiedziała o mnie wszystko.

Pomyślałem, że potem moglibyśmy wpaść do mojego ulubionego klubu i jeszcze w parę miejsc. A następnego dnia wybrać się do Vermontu. Mam tam domek.

Pochodzilibyśmy po górach, zostali na noc. Bez zobowiązań. Przysięgam – dodał z szerokim uśmiechem. – Zadzwoń do mnie, panno Malone, psze pani. Proszę! Przy odrobinie szczęścia będę w domu po dziesiątej.

A tak na marginesie, widziałaś portret w dzienniku? Drań okazał się jednak seryjnym mordercą.

Tego dnia nadeszły z laboratorium nowe informacje. Sweter był produkcji szkockiej, firmy Prigle, taki, jakie sprzedawano w sklepie „Neiman Marcus” w Bostonie. Niestety, od dobrych paru lat nie mieli tego modelu na składzie i nie wiedzieli, kto go kupił. Mogli mu natomiast powiedzieć, że był to czarny, kaszmirowy półgolf w cenie trzystu sześćdziesięciu pięciu dolarów. Sprzedawał się dobrze i nigdy nie był na przecenie.

– Nasz człowiek siedzi na forsie, Rossetti – powiedział Harry tego wieczoru, nad kuflem piwa w pubie przy Charles Street. Piwo pił tylko on, Rossetti zamówił martini z wódką i z cebulą zamiast oliwki.

Harry spojrzał na niego z ukosa.

– Wydaje ci się, że jesteś James Bond, czy co?

– Jesteś zacofany, Profesorku. W dzisiejszych czasach w eleganckim świecie pije się wyłącznie martini. Kobiety to uwielbiają. Uważają, że to szykowne.

– Kieliszek białego wina już nie wystarcza? Rossetti roześmiał się.

– No widzisz? Mówiłem, że jesteś zacofany. Nie dotarłeś nawet do etapu margarity. Co zaproponujesz Malone, jeżeli w ogóle uda ci się z nią umówić?

– Szampana – odparł Harry. – Oboje go lubimy – zastanawiał się czy oddzwoniła, czy będą się tak mijali do końca życia i już nigdy nie usłyszy jej głosu. Zamierzał pójść prosto z pracy do domu, ale Rossetti chciał przedstawić go swojej nowej dziewczynie.

– Nowej kobiecie – sprostował Rossetti. – A oto i ona! – poprawił węzeł żółtego, jedwabnego krawata i obiema rękami przygładził włosy.

Kobieta, przebijająca się przez tłum w stronę baru, była drobna, bardzo młoda i bardzo ładna. Rossetti zaborczo pochwycił jej rękę, cmoknął w usta i objął

ramieniem, leciutko popychając naprzód.

– Vanessa – powiedział z dumą – chciałbym ci przedstawić mojego kumpla z policji. Ma na imię Harry i zazwyczaj paraduje z kundlem o imieniu Squeeze. Dziś jest wyjątek, ponieważ nie wpuszczają tu psów. Zresztą ten lokal jest niegodny Squeeze’a.

Roześmiała się.

Co wobec tego powiesz o mnie?

– Ciebie niegodne jest wszystko z wyjątkiem nieba – odparł zaglądając jej czule w oczy.

– Miło cię poznać, Harry – powiedziała Vanessa, wyciągając rękę.

– Przykro mi z powodu Squeeze’a.

Harry pomyślał, że jest nie tylko ładna, ale i miła.

– Pieski świat – powiedział, podnosząc jej dłoń do ust. Rossetti aż gwizdnął z podziwu.

– Zaraz, zaraz, to ja miałem być latynoskim kochankiem, pamiętasz? Okay, Vanessa, czego się napijesz?

– Wodę Perrier z cytryną.

Harry uniósł pytająco brwi, zerkając na martini.

– Jakby to wyglądało, gdyby policjant kupował alkohol nieletniej? – zapytała Vanessa.

Rossetti klepnął się w czoło.

Zapomniałem! Nie, nie zapomniałem. W ogóle nie wiedziałem. Jak długo się spotykamy? Dwa tygodnie.

– A ile ty masz właściwie lat?

– W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia jeden.

– Wspaniale! – zawołał z ulgą. – Urządzimy przyjęcie. Możesz zaprosić Harry’ego. Trochę życia towarzyskiego mu nie zaszkodzi.

Zmierzyła Harry’ego jednym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, że Harry potrafi zorganizować sobie własne życie towarzyskie.

Ale jeżeli urządzimy imprezę, będzie na niej mile widziany.

Harry opróżnił kufel.

– Dzięki za uznanie, Vanesso. Zostawiam was samych, żebyście mogli zaplanować wszystko ze szczegółami. Miło było cię poznać.

Powiedział im „dobranoc” i ruszył ulicą do miejsca, gdzie stał jaguar. Squeeze wysunął nos przez uchylone okno, pełen nadziei, zabrał go więc na szybki spacer.

Za rogiem natknął się na stalowoszare volvo. Błyskawicznie przypomniał sobie numery rejestracyjne wozu ze szpitalnego parkingu. Jaki ten Boston jest jednak mały, pomyślał i przeczytał nazwę restauracji, przed którą stało volvo. Na każdym rogu

człowiek wpada na kogoś znajomego.

W drodze do domu zatrzymał się jeszcze w „Au Bon Pain” i, mając w pamięci kanapkę, którą Mal przyrządziła mu poprzedniego wieczoru, kupił indyka i majonez. Potem szybko pojechał do domu i sprawdził automatyczną sekretarkę.

Mrugała zachęcająco więc niecierpliwie wcisnął „play”.

Uśmiechnął się, usłyszawszy głos Mal.

„Dziękuję za zaproszenie – powiedziała tonem, który oszroniłby okna.

– Niestety, weekend mam bardzo zajęty. I jeszcze jedno – portret pamięciowy, który u mnie zostawiłeś? Miał utorować ci drogę do mojego programu? Zdaje się, że poradziłeś sobie bez pomocy. Dobra robota, detektywie! Jak widać, opłaca się obstawiać wszystkie konie.”

Jęknął głośno.

Kurwa, Harry, zobacz coś narobił – mruknął pod nosem i cofnął taśmę, żeby się upewnić, czy dobrze słyszał. Za drugim razem brzmiało to jeszcze bardziej ostatecznie niż za pierwszym.

Powlókł się do kuchni i chlusnął do szklanki Jima Beama. Wrzucił parę kostek lodu i rozpoczął spacer po mieszkaniu, pytając sam siebie, jak się z tego wykaraskać.

Squeeze, o co tej babie chodzi? – stanął przed Squeezem, domagając się odpowiedzi. Pies spojrzał na niego z napięciem w jasnoniebieskich oczach.

– Jest nienormalna – powiedział Harry, podejmując spacer. – Ma źle w głowie.

Poprosiłem ją o pomoc, a ona wstała i wyszła, nie udzielając wyjaśnień. Potem umówiłem się z nią na randkę, a ona zachowuje się tak, jakbym ją śmiertelnie obraził.

Gotując się z gniewu, chwycił za telefon i wykręcił domowy numer Mal.

– Słucham? – powiedziała.

Po dwóch dniach rozmów z automatem usłyszał jej głos i odebrało mu mowę.

– Słucham! – powtórzyła.

– Do ciężkiej cholery, co to ma znaczyć?! Ta wiadomość?! – wrzasnął.

– Niestety, mam już inne plany na weekend? – powiedział przedrzeźniając ją. – Co to znaczy, panno Gwiazdo Malone, psze pani?! Jeżeli jesteś wkurwiona na mnie za ten portret pamięciowy, czemu, do kurwy nędzy, nie powiesz mi tego wprost?

– W porządku! – odwrzasnęła. – Mówię ci to teraz.

– Co jest z tym cholernym mordercą? Wyrzuć to z siebie. Zacisnęła palce na słuchawce.

Nic – wycodziła przez zęby. – W każdym razie, ciebie to nie dotyczy. Biegał po kuchni ze słuchawką przyciśniętą do ucha.

– A więc robimy wiele hałasu o nic, tak? Posłuchaj, Malone, mam dość twoich „nic”. Poprosiłem cię o spotkanie, a ty przyjąłeś zaproszenie. Zadzwoiłem – trochę późno, przyznaję, ale tak się ułożyły okoliczności. Ale zadzwoniłem. I zaprosiłem cię

na weekend. Pytam teraz czy pojedziesz, czy nie?

Mal siedziała skulona w ulubionym fotelu przed kominkiem. Spojrzała na miejsce przy stoliku do kawy, gdzie przedwczoraj siedział Harry. Przypomniała sobie, jak było przyjemnie.

– Tak – powiedziała cicho.

– Tak... co? – Harry przesunął dłonią przez włosy. Nie mógł zrozumieć czy ona przyjmuje jego zaproszenie czy odrzuca.

– Pojadę z przyjemnością, Harry.

Odsunął słuchawkę od ucha, spojrzał najpierw na nią, potem na Squeeze'a. Nie wierzył własnym uszom. Powiedział zdumiony: Miałem rację, ona ma niedobrze w głowie.

– Mówisz poważnie? – Znowu przyłożył słuchawkę do ucha. – Pojedziesz ze mną? W piątek?

– Z przyjemnością – powiedziała cichutko. – Uważasz mnie pewnie za pomyloną, ale jest w tym portrecie coś, co mnie przeraża. Może świadomość, że to masowy morderca. Nie mogłam ci pomóc. Zresztą, już mnie nie potrzebujesz.

– Uważałaś, że cię wykorzystuję?

– A czy tak nie było?

– Może na początku. Ale nie teraz.

– Wierzę ci – powiedziała Mal. I tym razem naprawdę uwierzyła. Harry przestał miotać się po mieszkaniu. Opadł na fotel i Squeeze z wdzięcznością osunął się na podłogę. W głosie jego pana brzmiał śmiech, kiedy powiedział:

– Malone, dlaczego zawsze się kłócimy?

– To twoja wina. Zawsze pogłaszciesz mnie pod włos.

– Zabawne, ja myślałem, że to ty.

Mal odchyliła się na oparcie fotela w różyczki i poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

– Myślisz, że będziemy się kłócili w ten weekend?

– Nie dopuszczę do tego. Akceptujesz program?

– Przyjęcie, kluby nocne, domek w górach? – wyliczyła z namysłem. – Może to być najbardziej burzliwy weekend w moim życiu – podkulila pod siebie nagie stopy, wsuwając się głębiej w fotel.

– No wiesz, nie obiecuj sobie za wiele. Przyjęcia mojej matki są nieco sztywne – zlot „starej, ale jarej” gwardii dobrze urodzonych Nowoanglików. Nocne kluby przypominają raczej dzielnicowe meliny, a domek w górach jest po prostu domkiem w górach. Weź ciepłą piżamę i buty do wspinaczki.

– Zapamiętam.

Harry zawahał się. Musiał jej coś powiedzieć, a nie bardzo wiedział, jak to ująć. Nie chciał, by czuła się do czegoś zobowiązana, tylko dlatego że wyjadą razem na

weekend. Nadal jej nie rozumiał i bał się spłoszyć – Mal, wspomniałem o „braku zobowiązań”. Mówiłem poważnie. Możemy pojechać jako para przyjaciół.

– Okay – powiedziała, ale w jej głosie usłyszał śmiech. – O której jest to przyjęcie?

– O ósmej. Kolacja o ósmej trzydzieści. Punktualnie o ósmej i punktualnie o ósmej trzydzieści, jak poinformowała mnie z naciskiem matka. Ma bzika na punkcie punktualności.

– Czyli jesteśmy ulepione z tej samej gliny.

– Przerazające!

– Umówmy się w „Ritz-Carltonie” – zaproponowała. – W barze. Powiedz tylko o której.

Jeżeli miał jakąś nadzieję, że zechce spędzić z nim noc, prysła jak przekłuty balonik.

– O siódmej – powiedział z nutką żalu w głosie.

– Harry...? – powiedziała znanym mu już, głębokim głosem.

– Tak, Malone?

– Nie mogę się doczekać?

Odłożyła słuchawkę. Czuła się jakby zdjęto z niej ogromny ciężar. Wydarzenia potoczyły się trochę inaczej niż planowała. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zamierzała odpowiadać na jego telefon. Ale jej ręka sięgnęła po słuchawkę. Nie miała z tym nic wspólnego. A potem wyrzuciła z siebie cały gniew w dobrym, słownym pojedynku.

Roześmiała się na to wspomnienie. Była znana ze swego opanowania, ale Harry Jordan zdawał się mieć wyjątkową zdolność wyprowadzania jej z równowagi.

Naprawdę nie mogła się już doczekać weekendu.

20.

Miffy Jordan nie należała do kobiet przeciętnych, w niczym też nie przypominała typowej matki, która mogłaby już być babką. Była wysoka, miała zgrabne, długie nogi i smukłe ciało, które niewiele się zmieniło od czasu, gdy jako wysportowana dwudziestolatka poślubiła ojca Harry'ego. Z łatwością utrzymywała je w pierwotnym stanie, robiąc tylko to, co zawsze: żeglowała, grała w tenisa, spacerowała, pracowała w ogrodzie.

– Jestem po prostu w dobrym gatunku – odpowiadała krótko przyjaciółkom, kiedy z zazdrością dopytywały się, jak utrzymuje kondycję. – Moja matka była taka sama, babka też. To jest w genach Peascottów.

Geny Peascottów zasiliły parę generacji założycieli Bostonu, ale pani Jordan nigdy się tym nie pyszniła. Był to po prostu fakt. Ale, patrząc co rano w lustro, dziękowała Bogu, że dał jej dobry, peascottowski kościec.

Skończyła sześćdziesiąt pięć lat i jej twarz nie wymagała operacji plastycznej.

Żeglowała od dziecka – sztuki tej nauczył ją ojciec, a zmarszczki od patrzenia pod słońce traktowała jako pamiątki szczęśliwego życia. Jej kości policzkowe nadal utrzymywały niewielki ciężar gładkiego ciała.

Miała gęste, proste włosy w odcieniu stonowanej platyny, za który kobiety płacą majątek w zakładach fryzjerskich.

Ubierała się schludnie i konwencjonalnie, „szacownie”, jak mawiała, a garderobę kupowała w drogich sklepach i butikach, gdzie dobrze ją znano i rozumiano jej potrzeby. Jediną biżuterią, jaką nosiła na co dzień – poza obrączką ślubną i złotym zegarkiem Cartiera, który mąż sprezentował jej przed trzydziestu laty – był sznur mlecznych pereł i perłowe kolczyki.

Prawdę mówiąc, Miffy Jordan wyglądała tak mieszczańsko, jak to tylko możliwe, ale w rzeczywistości była równie niekonwencjonalna jak jej syn.

Podróżowała po świecie samotnie; chodziła po Himalajach, wybrała się czterotonową ciężarówką w podróż po Saharze i beznadziejnie zmyliła drogę, uczestniczyła w wyścigach ferrari w Monte Carlo, spędziła miesiąc w buddyjskim klasztorze, przepłynęła Amazonkę od Brazylii do Kolumbii, cudem unikając najpierw zatrutych strzał Indian, potem bomby, przeznaczonej dla członka narkotykowego kartelu w Bogocie.

– Nie jestem typem mieszcзки. Nie mogę spędzać całych dni, grając w brydża i popijając herbatkę – oświadczyła Harry'emu, kiedy powiedział, że powinna trochę przystopować, w końcu nie robi się ani trochę młodsza. – I tak nie umrę w łóżku.

Żaden Peascott tego nie zrobił.

Harry przypomniał sobie wszystkich przodków wielorybników, odkrywców

i żeglarzy, jak również bankierów i filarów społeczeństwa i przyznał jej rację.

– Rób to, na co masz ochotę – powiedział. – Tylko, na litość boską, bądź ostrożna.

Jej szare oczy, takie same jak oczy syna, popatrzyły na niego trochę kpiąco.

– Oddaj mi sprawiedliwość, Harry. Dobrzełam przecież bez większych potknięć do sędziwego wieku, zresztą łatwiej wpaść pod samochód w Bostonie niż na Saharze.

Nie można jednak było ukryć faktu, że ma już sześćdziesiąt pięć lat i odczuwa pragnienie typowe dla swego wieku. Wszystkie jej rówieśnice od dawna były babciami. Chciała, żeby Harry ponownie się ożenił i dał jej wnuka.

Lubiła pierwszą żonę Harry'ego, chociaż, gdyby to od niej zależało, wybrałaby mu inną towarzyszkę życia. Ale Harry zawsze był niezależny, zawsze był, zawsze będzie. Toteż ucieszyła się szczerze, kiedy zapowiedział, że na przyjęciu zjawi się z kobietą.

– Znam ją? – pobiegła myślą do uroczej córki przyjaciółki, z którą Harry umówił się parokrotnie, zanim w paradę weszła jego praca. Jak zawsze.

– Całkiem możliwe, choć wątpię, czy osobiście – brzmiała zagadkowa odpowiedź, która kazała jej zrobić przegląd wszystkich córek znajomych pań. Przygotowując przyjęcie urodzinowe była więc odrobinę bardziej podekscytowana, niż wynikałoby to z faktu spotkania starych przyjaciół, zdmuchnięcia świeczek i otwarcia prezentów.

Przyjęcie miało się odbyć w jej weekendowym domu, godzinę drogi za miastem. Był to rozległy, żeby nie powiedzieć rozlazły, stary dom – Jordanów, nie Peascottów – i zawsze budził w niej wspomnienia o mężu. Jak co roku o tej porze, pomyślała z zalem, że Harald nie doczekał tej chwili. Ale przecież pobierając się, zdawali sobie sprawę, że on ma czterdzieści lat, a ona dwadzieścia i najprawdopodobniej nie dożyją razem jej sędziwego wieku. Małżeństwo z Jordanem warte było jednak samotnej starości. Zresztą wiedziała, że Harry będzie przy niej, duchem, jeśli już nie ciałem, by życzyć jej wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Sercem domu Jordanów była biała, drewniana chata z początku osiemnastego wieku. Przez lata bez ładu i składu dobudowywano do niej skrzydła i w rezultacie powstał galimatias pokojów o dziwacznych kształtach, labirynt korytarzy i schodów, czasami prowadzących jedynie na podest z widokiem.

Dom rozłożył się na małym wzgórzu. Z długiej, drewnianej werandy rozciągał się widok na okoliczne pastwiska, nakrapiane koźmi i stadami owiec. Przez łąkę biegł strumień, w którym dzieci, odwiedzające Farmę Jordanów, starały się złowić na miniaturową wędkę brązowego, połyskliwego pstrąga.

Ze wszystkich swoich domów – a prócz farmy posiadała jeszcze stary pałac Peascottów na Mount Vernon Street w Bostonie i nadmorską willę w Cape Cod –

Miffy Jordan najbardziej lubiła Farmę Jordanów.

Na trawniku, na tyłach domu wzniesiono olbrzymią markizę, obszytą żółtą taftą.

Stały pod nią okrągłe stoliki, nakryte żółtymi obrusami w ciemno-kremowe róże, na których Miffy kazała ustawić srebrne świeczniki z czasów Jakuba I, kryształ Lennox i talerze Heredona, choć mistrz ceremonii uprzedził ją, że coś z pewnością się stłucze.

– To się stłucze – potraktowała antyczną zastawę równie beztrosko jak jej syn antyczny dywan babki. – To przecież tylko talerze, są po to, by się nimi cieszyć. Proszę tylko, żeby miał pan pod ręką zapas na wymianę.

Zastęp najlepszych w mieście kamerdynerów i kelnerów dwoił się i troił. Szampan chłodził się w starych drewnianych cebrach. Pokoje pełne już były weekendowych gości, a następni jechali autobusami, które Miffy wynajęła z firmy transportowej.

Kwartet smyczkowy z bostońskiej szkoły muzycznej ćwiczył w głównym holu.

Orkiestra, grająca muzykę taneczną, miała przybyć nieco później. Zapowiadał się interesujący wieczór i Miffy nie mogła się już doczekać jego rozpoczęcia.

Pozostało jej tylko przywdziać niebiesko-zieloną suknię od Valentino, którą parę miesięcy temu kupiła w Rzymie, w drodze powrotnej z Turcji. I czekać na niespodziankę Harry'ego.

Harry stawił się w barze Ritza dziesięć minut przed siódmą. Usiadł w rogu, by móc obserwować drzwi. Przypomnił sobie ich pierwsze spotkanie u „Ruby”, kiedy Mallory przysła z deszczu i wyglądała niby tropikalny kwiat pośród chwastów.

Poprawił węzeł czarnego krawata, przeciągnął dłonią przez włosy. Były jeszcze wilgotne po kąpieli i zastanowił się przelotnie, czy je cesał. Pamiętał natomiast, że się ogolił.

Mając na uwadze nauki Rossetti'ego, wezwał kelnera i zamówił dwa martini z oliwkami, nie z cebulą, którą preferował jego kumpel.

Kelner postawił na stole martini wraz z talerzykiem orzeszków, i kiedy Harry podniósł wzrok, Mał stała w drzwiach.

Miała na sobie długą, granatową sukienkę z jakiegoś lekkiego materiału wyszytego maleńkimi, złotymi paciorkami, wyciętą głęboko z przodu. Suknia przylegała idealnie we właściwych miejscach, jakby została zaprojektowana specjalnie po to, by ukazać jej smukłe ciało. To krawieckie arcydzieło trzymało się na dwóch, ledwo widocznych ramiączkach. Harry mógłby przysiąc, że sprzedają je na miligramy.

Podsłoczył do niej przez salę, ujął za rękę i złożył dworski ukłon.

– Wyglądasz olśniewająco – powiedział, trochę oszołomiony. – Co się nosi pod taką sukienką?

Rzuciła mu roześmiane spojrzenie i ruszyła w stronę stolika.

– Lepiej nie pytaj – powiedziała.

Tył sukienki wycięty był głębiej nawet niż przód i kiedy szła, materiał spływał po jej ślicznej pupie jak śmietanka po brzoskwiniach. Harry wziął głęboki oddech i ledwo usiedli, przesunął ręką przez włosy.

Spojrzała na niego surowo.

– Nie powinieneś tego robić. Teraz wyglądasz, jakbyś się zapomniał uczesać – roześmiała się. – Kiedy się nad tym zastanowić, nigdy nie widziałam cię uczesanego.

– Oszacowała go powolnym spojrzeniem. Wyglądał pięknie i zupełnie swobodnie w doskonale skrojonym smokingu. Prawdę mówiąc, wyglądał jak facet z reklam Ralphi Laurena.

– Myślałam, że urodziłeś się w dżinsach i czarnej, skórzanej kurtce. Cieszę się, że się pomyliłam.

– Szykowna rzecz, co? – przesunął palcami po jedwabnych klapach, uśmiechając się do niej porozumiewawczo. – Zamówiłem drinki.

Widząc, że z uniesionymi brwiami przygląda się swojemu martini, pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Wiem z wiarygodnego źródła, że przy takiej okazji należy pić właśnie martini. Kobiety uważają je za wytworny napitek.

Spróbowała ostrożnie.

– Nigdy jeszcze nie piłam martini.

– Ja nie doszedłem nawet do etapu margarity. Ich oczy się spotkały i wybuchnęli śmiechem.

– Nie wolałbyś piwa? – zapytała. Zaprzeczył ruchem głowy.

– Okazja wymaga szampana, a ty, jak zauważyła Doris przy naszym pierwszym spotkaniu w „Ruby”, jesteś kobietą, którą należy poić szampanem. Zamówiłem martini tylko po to, żebyś wiedziała jaki jestem „au courant” w eleganckim świecie.

– Więc to naprawdę randka?

– Jeżeli nie randka, to nie wiem, co nią jest.

– Wobec tego mam zamiar dobrze się bawić.

– Okay. Ja również – wziął ją za rękę i wymienili radosne uśmiechy. – Już od pięciu minut jesteśmy razem i nie padło ani jedno ostre słowo.

To jakiś rekord.

– Masz zamiar pić tę ciecz? Potrząsnęła głową.

– Oszczędzam siły na coś lepszego.

– Bardzo mądrze. – Gestem poprosił barmana o rachunek. – Musimy już jechać. Wydawała się zaskoczona.

– Powiedziałeś, że przyjęcie rozpoczyna się o ósmej.

– Zapomniałem dodać, że godzinę drogi stąd. Mama zawsze urządza przyjęcia urodzinowe na farmie.

Mal z przerażeniem zerknęła na swoją suknię. Akurat odpowiedni strój na barbecue!

– Nie jestem odpowiednio ubrana na farmę.

– Nie martw się, fartuch i gumki dostaniesz na miejscu. Zapłacił rachunek, po czym wyprowadził ją z baru.

Mal zatrzymała się przy recepcji i odebrała paczkę opakowaną w złoty papier.

– Prezent urodzinowy – powiedziała w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie.

Harry jęknął.

– Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

Olbrzymia, biała limuzyna czekała na nich przed drzwiami hotelu. Na jej widok Mal wybuchnęła śmiechem.

– Nieźle, panie detektywie! – powiedziała. – Czuję się jak hollywoodzka gwiazdeczka.

– Detektywi i gwiazdeczki nigdy nie prowadzą po alkoholu. Musisz wiedzieć, że nie robiłem tego od czasu studniówki. Z Jessicą Brotherton w różowej taftowej sukni bez ramiączek, która wywarła na mnie piorunujące wrażenie. Nigdy przedtem nie widziałem tyle nagiej skóry na raz. Obejmowaliśmy się przez całą drogę do domu i ona pozwoliła mi włożyć rękę pod spódnicę.

Radośnie wyszczerzył do niej zęby.

– Nie liczyłabym na ponowny uśmiech losu, detektywie – powiedziała cierpko.

Przycisnął rękę do serca i spojrzał w niebo.

– Och, Malone, wiesz jak te słowa mnie ranią. Rzuciła mu jadowite spojrzenie.

– To przesądza sprawę – jesteś pomylony.

– Ja?! Myślałem, że to ty. Rozejrzała się za psem.

– Nie ma Squeeze’e?

– Nie przepada za przyjęciami. Został na noc z Myrą. Mal uniosła brwi.

– Myra jest tą drugą kobietą w moim życiu – wyjaśnił.

– Powinnaś wiedzieć, że jest jakaś druga – powiedziała z rezygnacją. Limuzyna wydostała się z miasta i pomknęła w mrok.

Harry wyjął z kubelka z lodem butelkę ulubionego szampana i wręczył Mal kieliszek.

– Witaj na Farmie Jordana, Mal Malone – powiedział ciepło.

Była to wspaniała noc: balsamiczna, bezchmurna, księżycowa. W holu młodzi ludzie z kwartetu smyczkowego grali Haydna, kelnerzy kręcili się po ukwieconej werandzie, roznosząc kanapki i szampana. Goście rozłożyli się na trawnikach i przy strumieniu, a Miffy Jordan krążyła między nimi z wdziękiem, witając nowo

przybyłych cichymi okrzykami radości i głośnym cmoknięciem w policzek.

– Nie znoszę całowania powietrza – mówiła, wręczając im chusteczki higieniczne.

Możecie wytrzeć szminkę, albo nosić ją jako odznakę honorową.

Długa, biała limuzyna wydawała się zupełnie nie na miejscu, kiedy wtoczyła się na podjazd za wynajętym autobusem.

– No, teraz już naprawdę czuję się jak gwiazda – powiedziała Mal, niepewnie zerkając na czarne mercedesy i saaby zaparkowane w podwórku.

– Stara gwardia nie hołduje zasadzie „zastaw się, a postaw się” – wyjaśnił Harry. – Z wyjątkiem mojej matki. Sama zobaczysz.

Miffy namawiała muzyków z kwartetu, żeby zagraли „Smoke Gets In Your Eyes”.

– To moja ulubiona piosenka – tłumaczyła, kiedy spoglądali na nią z niedowierzaniem.

Mal pomyślała, że jest ucieleśnieniem holywoodzkiego wizerunku doskonale wychowanej, bogatej kobiety w pewnym wieku: suknia Valentino, każdy niefarbowany włos na swoim miejscu, kości policzkowe jak brzytwy, twarde, smukłe ciało.

Harry uściśnął matkę, potem ujął rękę Mal i przedstawił ją Miffy.

– Mamo, to jest...

– Mallory Malone! – zawołała, zaskoczona. – Nigdy bym nie... Co za miła niespodzianka. Moja droga, jesteś jeszcze bardziej urocza niż w telewizji.

Witaj! Witaj na Farmie Jordana.

Dała Mal kleistego całusa, po czym wręczyła chusteczkę.

W tym domu nic nie jest pocałunkoodporne – powiedziała, biorąc Mal za ramię i prowadząc w tłum. – Chcę, żebyś poznała moich gości, sama rodzina i przyjaciele.

Zerknęła chytrze na Mal. – Nie martw się, nie pozwolę, żeby cię zagadali na śmierć. Nikt tu nie będzie bombardował cię pytaniami.

Poza tym, to mama jest gwiazdą tego przedstawienia – powiedział Harry. – Nie dopuści, żebyś ją przyćmiła.

– Czy to prezent, kochanie? – zapytała Miffy, ignorując syna. Jak miło z twojej strony. Harry znowu zapomniał. Zawsze zapomina. Harry, połóż to na stole z innymi prezentami. Otworzę je później.

– Po północy – powiedział Harry, znając urodzinowy rytuał jeszcze z czasów dzieciństwa. Matka przyszła na świat o północy, świętowała więc przez dwa dni. Z wybiciem dwunastej zdmuchiwała świece i otwierała prezenty.

Obejmując Mal, przedstawiała ją swoim przyjaciołom. W pewnym momencie obejrzała się przez ramię na syna. Uśmiechnęła się promiennie i z aprobatą skinęła głową.

Harry jęknął. Miał tylko nadzieję, że matka nie przypisze faktom większego znaczenia niż miały w rzeczywistości. Obiecał Mał randkę bez zobowiązań i tym razem miał zamiar dotrzymać słowa.

21.

W chwili, gdy goście Miffy Jordan zasiadali do kolacji, mężczyzna zaparkował stalowoszare volvo na obskurnej uliczce w Południowym Bostonie. Pielęgniarka Suzie Walker mieszkała tu w domu z przełomu wieków, który podzielił los swych braci i stał się kamienicą czynszową.

Piętro już od kilku miesięcy stało puste, co było dla Suzie pomyślną okolicznością. Często pracowała nocami, musiała się wysypiać za dnia, a poprzedni lokator puszczał na okrągło piosenkę Whitney Houston „I Will Always Love You”.

Rozkoszowała się ciszą i spokojem. Brak lokatora na górze oznaczał, że może urządzić przyjęcie i puszczać własną muzykę tak głośno, jak jej się spodoba, nie troszcząc się o spokój mieszkańców.

W tym tygodniu pracowała na nocną zmianę i spędziła przyjemne popołudnie u fryzjera i na zakupach. Udało jej się nabyć na przecenie parę ładnych ciuszków, w tym zupełnie niezwykłą jedwabną suknię wieczorową. Jej siostra, Terry, zamierzała w przyszłym tygodniu wyprawić przyjęcie. Suknia będzie jak znalazł.

Suzie krzątała się po domu, starannie wieszając w szafie zakupy, robiąc drobne porządki. Woląла mieszkać sama w taniej dzielnicy niż z koleżankami gdzieś bliżej szpitala, dzielić łazienkę, działać sobie na nerwy.

Noc była parna, otworzyła więc wszystkie okna, próbując zrobić przewiew.

Przyrządziła sobie ziołową herbatkę i łyknęła trzy tabletki przeciw bólowi głowy, który nękał ją przez cały dzień. Podgrzała gotowe, niskokaloryczne danie z kurczaka i makaronu. Jadła, stojąc przy kuchennej ladzie i odczytując ponownie list od siostry. Terry pisała, że zaręczyła się z młodym człowiekiem, którego zna ze szkolnych czasów, że ślub odbędzie się w lipcu, i że ona, Suzie, będzie druhną.

Po obiedzie zadzwoniła do matki. Telefonowała do niej co piątek o tej samej porze, chyba że wypadł jej akurat dyżur. Zawsze ucinały sobie miłą pogawędkę o zdarzeniach minionego tygodnia. Tym razem rozmawiały o ślubie Terry.

– Przyjdiesz na przyjęcie, Suzie? – zapytała matka z nadzieją.

– Oczywiście, kupiłam już nawet sukienkę – obiecała. – Umówiłam się z Terry na jutro, ale zadzwonię do niej jeszcze dzisiaj.

Terry nie było w domu, nagrała się więc na automatyczną sekretarkę. Potem pobiegła do łazienki wziąć prysznic. Zrobiło się nagle bardzo późno, musiała się pośpieszyć.

Łazienka znajdowała się w bocznym skrzydle domu, w zasięgu wzroku mężczyzny.

Podniósł lornetkę do oczu w chwili, gdy okno zapłonęło światłem. Szyba była matowa, ale z powodu gorąca Suzie uchyliła okno. Ale trafiła mu się gratka!

Potok obelg bluznął mu z ust, kiedy ujrzał, jak się rozbiera. Stanęła tylko w staniku i majtkach, z namysłem patrząc na uchylone okno. Potem podeszła i je zamknęła.

– Cipa – mruknął. – Kurwa, dziwka, cipa... – złe słowa goniły jedno drugie w litanii nienawiści.

Suzie szybko założyła biały uniform. Zabrała torebkę, sprawdziła klucze, szczęśliwa, że je odniesiono.

Ból nadal pulsował w jej skroniach, z wdzięcznością pomyślała o bliskim weekendzie. W szpitalu miała ostatnio urwanie głowy, pracowała po godzinach, z pewnością przyda jej się krótki odpoczynek. Sporą część tego weekendu planowała spędzić w łóżku. Odeśpi zaległości, a potem się pouczy. Zbliżały się egzaminy. W sobotę po południu wybierze się do Terry porozmawiać o sukniach i ślubie. W niedzielę miała randkę z młodym internistą z Beth Israel Hospital, ale podejrzewała, że będzie wykończony – interniści zawsze są na ostatnich nogach – więc w niedzielę pójdzie wcześniej spać.

Przed wyjściem sprawdziła swój wygląd w lustrze. Wygładziła spódnicę, wyprostowała kołnierzyk, upięła luźny kosmyk włosów. Widząc sińce pod oczami, z tęsknotą pomyślała o sobocie. Uśmiechnęła się do swojego odbicia.

– Jutro o tej porze będziesz inną kobietą, Suzie Walker – pocieszyła się. Już w progu przypomniała sobie, że nie zamknęła okien, obeszła więc dom, zatraskując je w pośpiechu. Potem sprawdziła jeszcze tylne drzwi, założyła łańcuch. Dokładnie zamknęła drzwi frontowe.

Sąsiad Alex Kłosowski, który pracował w barze na Newbury Street i również wychodził do pracy, pomachał jej ręką.

– Ostrożności nigdy za wiele – powiedział, widząc jej zabiegi. – Tyle się tu kręci świrów, że strach zostawiać otwarte drzwi, Spojrzała na niego niepewnie.

– Przedwczoraj zgubiłam klucze. Upuściłam je na parkingu. Ktoś je znalazł i zwrócił, ale zastanawiam się, kto je trzymał przez noc.

– Powinnaś zmienić zamki, Suzie. Nigdy nic nie wiadomo.

– Chyba tak.

Pomachali sobie na pożegnanie. Suzie wsiadła do swojego małego neona, rzuciła torbę na siedzenie pasażera. Wycofała się z podjazdu, ciągle rozmyślając o słowach sąsiada. W końcu jednak uznała, że człowiek, który znalazł klucze, nie wiedział nawet, do kogo należą. Poza tym wymiana zamków była taka kosztowna!

Żyjąc z pielęgniarskiej pensji, ledwo wiązała koniec z końcem, jej budżet nie przewidywał żadnych dodatkowych wydatków.

Zresztą, miała większe problemy. Zmęczonym ruchem przetarła oczy; bolała ją głowa, musiała zdać egzaminy i jakimś cudem zdobyć forszę na suknię drużyny oraz

prezent ślubny.

Patrzył jak odjeżdża. Mignęła mu jej twarz i płomiennorude włosy, kiedy minęła go, jadąc zbyt szybko, jak zwykle spóźniona. Z dezaprobatą pokiwał głową. On się nigdy nie spóźniał. Harmonogram jego codziennych zajęć był ustalony z dokładnością co do sekundy. Mógłby powiedzieć, co będzie robił o dowolnej porze dnia i nocy. Z wyjątkiem nocy takich jak ta, rzecz jasna. To były wyjątkowe noce. Inni chodzili do kina, on wolał rzeczywistość.

Zerknął na drogi, złoty zegarek. Zamiast cyferek, na tarczy widniały emaliowane flagi. Było to cacuszko, jakie mógłby nosić właściciel jachtu. Nie był żeglarzem, ale lubił sprawiać wrażenie sportowca. Na pytanie, co będzie robił w weekend, odpowiadał zazwyczaj: „Och, popływam żaglówką w Cape, jeżeli wiatr dopisze. A może wybiorę się na mały spływ kajakiem, jeszcze się nie zdecydowałem.”

Było to wierutne kłamstwo. W Cape Cod bywał tylko na polowaniach, kiedy wybierał przyszłe kandydatki na gwiazdy mediów. Doszedł do wniosku, że powinny mu podziękować. Prowadziły takie jałowe życie, on dawał im chwilę prawdziwej sławy.

Było za wcześnie na działanie: świeciło się jeszcze w sąsiednich domach, ktoś szedł ulicą. Bezpieczny za przydymionymi szybami, wyjął z kieszeni srebrną piersiówkę brandy i nalał do małego kubeczka. Usadowił się wygodnie, powoli sącząc alkohol, rozmyślając o zbliżających się przyjemnościach.

22.

Kiedy Harry widział ostatnio Mal, wuj Jack Jordan otaczał ją w pasie ramieniem i szeptał do ucha. A Mal się śmiała. Było to pół godziny temu.

Jack Jordan był notorycznym kobieciarzem. Miał za sobą cztery małżeństwa i zastęp kochanek na potwierdzenie tego faktu. Nie wypadł jeszcze z obiegu, a na dodatek był wysoki, srebrnowłosy i uroczy ze swym małym wąsikiem, i umiejętnością pochlebstwa, która zaprowadziła go w życiu daleko.

– Staruszek umknął z moja damą – pożalił się Harry matce.

Stali pod markizą, sprawdzając, czy wszystko jest dokładnie tak, jak Miffy sobie wymarzyła.

– Nie martw się Harry. Przy kolacji będzie ją musiał zwrócić, posadzę ją koło ciebie – chwyciła karteczkę z nazwiskiem Jacka i przełożyła na sąsiedni stół. – Teraz Jack siedzi przy starej Bidy Belmont, która jest jeszcze starsza niż on, a do tego głucha. Będzie musiał dwukrotnie powtórzyć każde słowo. To go powinno ostudzić.

Roześmieli się i Harry uściskał matkę.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś wyjątkową kobietą? – zapytał, nie wypuszczając jej z ramion.

– Twój ojciec, w dniu, kiedy poprosił mnie o rękę. Nie przypominam sobie, żeby to kiedyś jeszcze powtórzył, po tym jak powiedziałam „tak”. Tkwi w tym zapewne jakiś morał – dodała.

Kamerdyner uderzył w miedziany gong, obwieszczając, że podano do stołu i goście gromadą nadciągnęli pod markizę, zwabieni zapachem róż i dobrego jedzenia.

– Tu jesteś! – zawołał Harry na widok Mal, idącej pod rękę z wujem Jackiem. Staruszek uniósł brew w niewinnym zdziwieniu.

– Zadbałem tylko o to, żeby pani dobrze się bawiła, Harry. Nie mogłem jej przecież zostawić na pastwę Peascottów i Jordanów.

Z miną posiadacza ujął dłoń Mal, a ona uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Mam nadzieję, że siedzimy razem, moja droga – powiedział.

– Nie siedzicie – oznajmił Harry stanowczo. – Siedzisz koło Bidy Belmont.

Jack jęknął.

– To sprawka twojej matki.

– Oczekuje, że mężczyzna wypełni swoją powinność. W końcu to jej przyjęcie.

– Do zobaczenia, Jack – zawołała Mal za wujem, kiedy, pogrążony w żalu, odchodził do innego stolika.

– Jestem zazdrosny – powiedział Harry. Roześmiała się.

– On wygląda jak hollywoodzkie wcielenie dobrodusznego, bogatego wujaszka.

– Mogę cię zapewnić, że z powodzeniem odegrał tę rolę wobec całej gromady siostrzenic.

– Tym lepiej dla niego. Jest uroczy.

– Pamiętasz mnie? Faceta, z którym tu przyszedłeś?

– Ach, więc to ty?

– We własnej osobie – zajęli miejsca przy stole i Harry szepnął jej do ucha: – Poza tym, stęskniłem się za tobą.

Rzuciła mu ukośne spojrzenie. W jej oczach ujrział rozbawienie.

– Nigdy nie sądziłam, że jesteś w stanie przyznać coś podobnego, detektywie.

– Jestem tylko człowiekiem.

Spojrzała na niego kpiąco, potem odwróciła się i wszczęła rozmowę z drugim sąsiadem. Podano kawior, trzy gatunki na lekko ściętych jajkach i rozpoczęła się uroczysta kolacja.

Mał dobrze się bawiła, nawet o tym nie myśląc. Nie pytała samą siebie, jak to bywało na tylu innych przyjęciach: Co ja tu, u licha, robię? To ma być dobra zabawa?

Nigdy przedtem nie uczestniczyła w zjeździe rodzinnym, gdzie wszyscy znają się od urodzenia, widują się z okazji narodzin, ślubów i pogrzebów, stawiają lojalnie na cmentarzach i salach balowych. Wiedziała, że najprawdopodobniej nigdy się nad tym nie zastanawiali; w ich świecie rodzina była czymś oczywistym, istniała i już. Ona oddałaby wszystkie swoje sukcesy za prawo przynależenia do jednej z nich.

Spojrzała na Harry'ego, który z zainteresowaniem słuchał dyskusji o wadach i zaletach wyżłów i pointerów jako psów myśliwskich. Odwrócił głowę, czując na sobie jej spojrzenie i uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Wszystko w porządku? – zapytał szeptem.

– Nie mogłoby być lepiej.

Rzucił okiem na niedrogi, ale praktyczny zegarek cyfrowy.

– Lada chwila rozpoczną się tańce. Gdybyś miała karnecik, jak za dawnych czasów, zapisałbym się na wszystkie tańce.

– Nawet walce?

– Myślisz, że nie potrafię tańczyć walca?

– Nie jest to chyba umiejętność wymagana od detektywa z wydziału zabójstw?

– Pamiętaj, że zanim zostałem policjantem, byłem prawnikiem. A jeszcze wcześniej mamusia posyłała mnie na lekcje tańca, żebym mógł poprowadzić młode znajome damy do kotyliona.

Z podziwem pokręciła głową.

– Czy istnieje koniec listy twoich umiejętności?

– Praktycznie nie. Ciągnie się i ciągnie – przyznał z całkowitym brakiem skromności. Zabrzmiała muzyka taneczna.

Jego matka pierwsza zajęła miejsce na parkiecie, krążąc w ramionach brata.

Tańczyli przy dźwiękach „Smoke Gets In Your Eyes”, przy aplauzie całej sali.

– To ich piosenka – powiedział Harry, biorąc Mal za rękę i prowadząc na parkiet.
– Mamy i ojca. Zawsze tańczy ją pierwszą. Dla niego.

Jakie to piękne, pomyślała Mal z zazdrością. A potem znalazła się w ramionach Harry’ego, jego dłoń spoczęła mocno na jej nagich plecach, druga zdecydowanie objęła palce. Tańczyli w milczeniu. Mal przymknęła oczy, a na jej twarzy malowało się rozmarzenie.

– Dobrze tańczysz – szepnął.

– Nie nauczyłam się tego w szkole.

– Więc gdzie?

– Brałam lekcje. Później. Brałam lekcje wszystkiego.

– Lekcje życia? Skinęła głową.

– Nikt mnie niczego nie nauczył, kiedy byłam dzieckiem. Równie dobrze mogłam być wychowana przez wilki w kniei.

Przytulił ją mocniej, włosy Mal połaskotały go w nos. Pomyślał, że są jak złotawy jedwab. Skóra miała ulotny zapach kwiatów i woń ta drażniła go niemiłosiernie. Muzyka umilkła, ale on nadal trzymał jej dłoń w swojej.

– Miałabyś ochotę przejść się po ogrodzie, Malone?

Skinęła głową i wyszli spod markizy, trzymając się za ręce. Miffy i wuj Jack odprowadzili ich wzrokiem.

– Co o tym myślisz? – zapytała Miffy. Odwrócił ku niej głowę.

– Urocza młoda kobieta. Pierwsza klasa. To zawsze można poznać.

– Trzymaj się od niej z daleka, stary zbereźniku – ostrzegła. – Ona jest moją ostatnią nadzieją, o ile Harry zdoła się na minutę oderwać od swojej pracy..

– Byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił – stwierdził Jack. – Powiedziałbym nawet, że cholernym głupcem.

Harry prowadził Mal przez ogrody, które jego matka pielęgnowała z taką troską.

Na drzewach zawieszono kolorowe lampki, a chińskie lampiony znaczyły bieg strumienia. Przeszli przez ogród różany i Mal przeczytała każdą nazwę na tabliczkach, choć były zaledwie pąkami.

– Lubię róże – powiedziała. – Sama je hoduję na tarasie, ale wiatr i spaliny nie służą im.

– Muszę powiedzieć o tym matce. Będzie zachwycona, że jesteś również ogrodniczką.

Ciepły wiatr niósł dźwięki „Moon River”. Harry przyglądał się Mal, kiedy oglądała róże. Ogarnęło go przemożne pragnienie, by wziąć ją w ramiona.

Odchrząknął i powiedział:

– Może to sprawka tego romantycznego oświelenia, może muzyki, ale zastanawiam się czy klauzula „bez zobowiązań” obejmuje również pocałunek. Jak to między starymi przyjaciółmi.

Postąpiła krok w jego stronę.

– Z technicznego punktu widzenia, nie jesteśmy starymi przyjaciółmi. A kontrakt ustny jest równie wiążący jak pisemny.

– Najwyraźniej nie przeczytałaś tego, co było napisane drobnym druczkiem – objął ją w pasie, przyciągając delikatnie. – Powiedz, całowałem cię już kiedyś?

Ich oczy się spotkały i poczuła interesujące ciepło wokół serca.

– Chyba tak. Naturalnie był to przyjacielski pocałunek. Jeszcze przed umową ustną i klauzulą o braku zobowiązań.

– Zdaje się, że trafiłem na godnego siebie przeciwnika – mruknął Harry, pochylając ku niej twarz.

Objęła go za szyję, chcąc, żeby przytulił ją mocniej, czując ciepło jego dłoni na nagich plecach.

Usłyszeli głosy, dobiegające ponad muzyką i odsunęli się od siebie pospiesznie.

Minęła ich grupka gości.

– Dzisiejsza wieś to już nie to samo, co kiedyś. Odrobiny prywatności! – szepnął Harry z niezadowoleniem. – Wracając jednak do naszej umowy; zdajesz sobie sprawę, że nie wytrzymałaby konfrontacji w sądzie?

– Dlaczego nie? – zauważyła, że Harry się uśmiecha.

– Ponieważ jestem synem swojego ojca. Znalazłbym lukę prawną i poszedł na ugodę.

– Jaką ugodę?

– Ekstra pocałunki na żądanie.

Odrzuciła głowę i roześmiała się, a on zamknął jej usta długim pocałunkiem, który przyprawił ją o jedwabiste motylki w żołądku. Pomyślała, że na szczęście, chroni ją klauzula o braku zobowiązań, ponieważ bardzo lubiła kiedy Harry ją tak całował. Nadchodziło coraz więcej ludzi, ujął ją więc za rękę i poszli z powrotem.

– Wyrosłem w tym domu – powiedział, prowadząc ją z salonu o belkowanym suficie do biblioteki wyłożonej sosnowymi panelami. Mal rozejrzała się z zainteresowaniem. Półki ugięły się pod kolekcją klasyków i bestsellerów; lampy o pergaminowych abażurach rzucały przyjemne światło, a wygodne kanapy otaczały kominek, gdzie zamiast ognia płonął kolorami olbrzymi bukiet kwiatów. Nad kominkiem wisiał portret wielkiej, gniadej kobyły. Inne obrazy, przedstawiające na ogół psy i konie, upchnięto między półki z książkami.

Mal z ukłuciem zazdrości w sercu pomyślała, że jest to prawdziwa wersja świata, który ona stworzyła w apartamencie na najwyższym piętrze wieżowca.

– Tego wielkiego konia ojciec lubił najbardziej. I psa, tego tam wyżła. Uniosła dłoń w geście protestu.

– Koń, pies? Te zwierzęta miały chyba jakieś imiona? Harry wzruszył ramionami.

– Ojciec mawiał, że nie ma sensu wymyślać imion dla zwierząt, bo i tak przychodzą, kiedy je woła. Dziwię się, że ja nie skończyłem jako Chłopiec. Choć, jeśli nad tym dobrze się zastanowić, ojciec bardzo często mówił do mnie „synu”.

– Błysnął zębami w uśmiechu. – A myślałaś, że to ty masz problemy.

– Zgodziłabym się na Dziewczyne, gdyby to oznaczało, że wychowam się w tym domu – powiedziała z zalem. – No więc jak było: nienawidziłeś go?

– Oczywiście, że nie! – wydawał się zdumiony jej pytaniem. – Był moim ojcem, był, jaki był. Może nie miał czasu wymyślać imion dla zwierząt, ale troszczył się o nie. I troszczył się o mnie.

– A więc kochałeś go? Nawet jeżeli kosztowało cię to karierę sportową?

– Daj spokój, Malone! – powiedział, rozbawiony. – Nie zbierasz chyba materiału do swojego programu?

Podał jej fotografię w srebrnej ramce.

– To on – powiedział. – Jedyne w swoim rodzaju. Nagle w drzwiach stanęła Miffy.

– O, Harry, oprowadzasz Mallory po domu, jak to miło – podeszła do nich z uśmiechem. – Harry spędził tu pierwsze lata życia, a ja swój miesiąc miodowy.

Wtedy nie chciałam się stąd ruszać. Teraz nadrabiam zaległości. Gna mnie po świecie.

Zauważyła fotografię w ręku Mal i powiedziała:

– To Harald. Moja jedyna, prawdziwa miłość. Tęsknię za nim „jak billyo” – dodała żałośnie.

Mal pytająco popatrzyła na Harry’ego.

– „Jak billyo” – starożytne angielskie wyrażenie, używane przez moją matkę. W wolnym tłumaczeniu oznacza „jak wariatka” – wyjaśnił.

– Powinni napisać piosenkę – powiedziała Miffy z namysłem. – „J’m billyo over you”.

Mal roześmiała się i spojrzała na fotografię. Ujrzała na niej starszą wersję Harry’ego.

Miffy zdawała się czytać w jej myślach.

– Nie ma wątpliwości, czym jest synem, prawda? – powiedziała. – Jego ojciec zawsze mawiał, że zdarł z niego skórę.

Wzięła jeszcze parę fotografii ze stolików i półek, i objaśniała Mal, kogo z rodziny przedstawiają.

– Wszystko to jest trochę skomplikowane, ponieważ ród Peascottów jest dosyć

stary i ma wiele rozgałęzień. Jordanowie są niemal równie poplątani. A twoja rodzina, kochanie? – zapytała, odkładając pięknie oprawione fotografie na miejsce. – Mam nadzieję, że nie jest tak wielka jak nasza. Wyobraźcie sobie... – urwała w pół słowa, pochwycając ostrzegawcze spojrzenie Harry’ego. Troszeczkę się zagalopowała, miała zamiar powiedzieć: wyobraźcie sobie przyjęcie weselne!”

Roześmiała się radośnie.

– Wybacz, kochanie! Harry zawsze powtarza, że ze mnie straszna pleciuga.

A przecież wy się dopiero co poznaliście, prawda?

Miffy ujęła ją pod ramię i pociągnęła za sobą na werandę. Mal zdążyła jeszcze rzucić rozbawione spojrzenie?

Wzruszył ramionami i boleśnie wykrzywił usta, jakby on również nie wiedział, o co chodziło jego matce. Wiedział, aż nazbyt dobrze. Pomyślał, że lepiej zabierze stąd Mal, zanim jego matka zapędzi się za daleko.

– Już czas na tort, mamo! – zawołał.

Zerknęła na swój piękny, wysadzany brylantami zegareczek – jeden z wielu urodzinowych prezentów od męża. – Prawda, prawda. Ale zabawa!

Harry pokiwał z podziwem głową, kiedy pobiegła dopilnować, by tort pojawił się pod markizą dokładnie o czasie.

– Pomyśleć, że co roku odprawia ten sam rytuał. Mógłbym przysiąc, że z każdym rokiem sprawia jej to więcej przyjemności.

– Jest wspaniała – powiedziała Mal. – Taka... witalna. – Pomyślała, że Miffy Jordan ma wszystko to, czego brakowało jej matce.

Goście, zaznajomieni z programem wieczoru, wracali gromadnie do domu. Pod markizą zrobiło się tłoczno, przygaszono światła. Kamerdyner dwanaście razy uderzył w gong. Dźwięk wibrował jeszcze, kiedy wjechał tort, żółty naturalnie, udekorowany żółtymi różami. Wszyscy odśpiewali „Happy Birthday Dear Miffie”, Miffy zdmuchnęła świece i odkroiła pierwszy kawałek tortu.

– Jak wszyscy wiecie, ten pierwszy kawałek jest dla Haralda, tam w niebiosach – powiedziała. – Ciesz się nim tak, jak potrafisz, kochany. A dragi dla mojego kochanego syna, Harry’ego.

Dzieliła dalej tort, wymieniając imiona, dodając anegdoty i czułości.

Patrząc na nią, Mal poczuła się nagle jak mała dziewczynka w kinie. Znalazła się w zaklętym świecie, gdzie ludzie są pięknie ubrani, noszą klejnoty, życie jest cudowne i wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Tylko że tym razem to była rzeczywistość i ona stała się jej częścią.

23.

O północy we wszystkich domach pogasły światła. Mężczyzna wysiadł z volvo, z ulgą przeciągnął ramiona. Zrobiło się późno, ale tym się nie martwił. Wiedział, że Suzie ma nocny dyżur. Zostało mu jeszcze mnóstwo czasu.

Trzymając się linii cienia, pomaszerował w dół ulicy. Nie nosił dziś „uniformu”, tamten strój był przeznaczony na wyjątkowe okazje. Dziś miał na sobie zwykłe, czarne spodnie i czarną koszulę. Wyglądał jak pierwszy lepszy przechodzień.

Przemknął przez jezdnię na mały podjazd, gdzie zazwyczaj parkowała samochód.

Rozejrzał się szybko. Żywej duszy. Obrócił klucz w zamku i wślizgnął się do domu, cicho zamykając za sobą drzwi. Poczuł przyływ radosnego uniesienia – czekało go nieznanne.

Stał przez chwilę w ciemnym holu, wsłuchując się w ciszę. Oddychał ciężko, podniecony własną odwagą, własnym sprytem.

Wyjął z kieszeni miniaturową latarkę i zapalił. Tym razem wyczuł raczej, niż zobaczył, uciekającego w panice kota. Uśmiechnął się: lubił zwierzęta. Jako dziecko często na nich eksperymentował. Rozcinał im brzuchy, żeby usłyszeć ich krzyk i sprawdzić, co mają w środku. Matka śmiała się wtedy i mówiła, że powinien zostać chirurgiem.

Wszedł do kuchni i, trzymając strumień światła ku dołowi, ściągnął rolety. Nie zapalił lampy. Ktoś mógł przecież zauważyć, że nie świeciła się w chwili, gdy Suzie wychodziła do pracy. Założył swoje gumowe rękawiczki i omiół światłem kuchnię. Skrzywił się na widok nie dojedzonego kurczaka na blacie i stosu brudnych naczyń w zlewie. Miała zmywarkę do naczyń, dlaczego, u licha, jej nie używała?

Zauważył list napisany na bladuróżowym papierze z wianuszkami róż i przeczytał go z zainteresowaniem. A więc Suzie zostanie druhną. Uśmiechnął się na myśl, że trzyma jej los w swoim ręku. Jeszcze nie zdecydował, czy Suzie dożyje ślubu siostry. Wszystko zależało od niego.

Mały salon znajdował się po drugiej stronie kuchni, oddzielony od niej tylko barkiem. Nie zabawił tam długo, szybko przeszedł do sypialni.

Stanął w drzwiach, głęboko wciągając powietrze, wężąc jak pies.

Każda kobieta była inna, miała swój własny zapach. Summer Young pachniała perfumami, szminką i papierosami. Zapach Suzie był ostrzejszy, czystszy.

Składała się na niego woń szpitala i płynu do kąpieli o zapachu leśnym.

Pachniała jak pielęgniarka i jak kobieta, która spędza weekendy, spacerując po lesie. Ale, pod wszystkimi naleciałościami, zawsze odnajdywał ten sam ohydny, dławiący zapach kobiety. Swojej matki.

Łóżko było nie posłane. Żadna nowość. Zastanawiał się czasem, czy jest

w Stanach Zjednoczonych kobieta poniżej dwudziestego piątego roku życia, która ściele rano swoje łóżko. Usiadł na jego brzegu, przesunął dłonią po ciemnozielonej pościeli w jaskrawożółty wzór. Przynajmniej była czysta, choć kolorytem nadawała się do burdelu.

Kręcił się po sypialni, grzebiąc w jej rzeczach. Obejrzał podręcznik medyczny na nocnym stoliku, fotografię rodziców. Patrzyli prosto w obiektyw, trzymając się za ręce. Trochę dalej stało zdjęcie rudego chłopca, prawdopodobnie młodszego brata, i siostry – zapewne tej, która miała wkrótce wyjść za mąż. Była podobna do Suzie, tyle że szatynka i nie taka ładna.

Przeszukał szuflady komody, dotykając bielizny. Lubiła koronkowe majtki i staniki typu „bardotka”. Podzielał jej gust. Sznurki szklanych koralików i sztucznych perełek zwisały z kolumn podtrzymujących lustro nad toaletką.

Szkatułka z różowym i niebieskim króliczkiem na wieczku skrywała kolekcję mocno podniszczonych kolczyków i klipsów.

Wszedł do garderoby, żeby pobuszować w sukniach, obwąchać je, zanurzyć w nich twarz. Buty stały nieporządnie w kącie, choć miała na nie specjalną szafkę.

Podobał mu się kontrast między białymi, pielęgniarzkimi półbutami na gumowej podeszwie i kolorowymi lakierkami na szpilkach. Wybrał czarny pantofelek i pieszcząc wysoki obcas, przeszedł się do łazienki.

Łazienki dostarczały mu zwykle najwięcej przyjemności. Suzie Walker trzymała swoją kolekcję kremów i pudrów na zakurzonej tacce, na popękany obramowaniu umywalki. Świeża kostka przeciwbakteryjnego mydła leżała w drewnianej mydelniczce, która zawierała prawdopodobnie więcej bakterii niż mogło zwalczyć jakiegokolwiek mydło.

Otwierał szufladki i szafki, szukając tamponów i podpasek. Wilgotny, zielony ręcznik wisiał przerzucony przez osłonę prysznicy. Odsunął go i zajrzał do brodzika. Tuż przy odpływie cienki snop latarki wyłowił jeden ciemnorudy włos pubiczny. Mężczyzna podniósł go i zbadał uważnie, trzymając w dwóch palcach.

Potem wyjął z pudełka na umywalce chusteczkę, owinał pieczołowicie włos i schował do kieszeni.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kosza na brudną bieliznę. Stał pod oknem. Czarny kot siedział na wieku, nie spuszczać wzroku z intruza. Tym razem się nie poruszył.

– Przyzwyczajają się do mnie – powiedział mężczyzna z uśmiechem.

Nie musiał niepokoić zwierzęcia. Idąc pod prysznic, Suzie rzuciła bieliznę na podłogę. Leżała tam nadal.

Zdjął rękawiczki i, drżąc z rozkoszy, podniósł czarne, koronkowe majtki i stanik. Przez dłuższą chwilę obracał je w palcach, potem spojrzął na etykietkę:

„Victoria’s Secret”. Przytknął je do twarzy, wdychając okropny kobiecy zapach.

Jęknął głośno.

Kot czmychnął, bębniąc pazurkami po kafelkach. Mężczyzna nawet tego nie zauważył.

Ciągle przyciskając majtki do twarzy, szybko wrócił do sypialni i rzucił się na łóżko. Położył się na plecach i rozpiął spodnie, przyciskając czarną, koronkową bieliznę do krocza. Jęknął ponownie, zatracił w samotnym seksualnym szale, wijąc się i jęcząc, choć tak naprawdę chciało mu się wyć.

Wszystko na nic. Jak zwykle. Tego rozkosznego bólu spełnienia mógł zaznać jedynie zabijając. Podrygiwał jak w ataku epilepsji. Znowu stracił nad sobą kontrolę, dostał się w macki przeszłości. Myślał o matce, która dominowała nad nim jeszcze teraz, po tylu latach.

Znowu był chłopcem, uwięzionym w jej łóżku. Biła go pantoflem, ponieważ nie chciał jej dotykać. Wysoki obcas zatapiał się w jego posiniaczonym ciele, w genitaliach, a ona mówiła syczącym szeptem, co mu robi, jeżeli komuś powie...

Suzie powoli jechała ulicą. Zaparkowała neona, szczęśliwa, że jest z powrotem w domu. Wysiadła i stała przez chwilę, wdychając balsamiczne, nocne powietrze.

Zdawało się otaczać ją jak mgiełka, podczas gdy migrena rozdzierała jej umysł błyskami ostrego światła. Gestem rozpaczy przycisnęła dłonie do skroni.

Przełożona dała jej jakieś proszki i kazała iść do domu. Powiedziała, że w tym stanie i tak na nic się nie przyda. Suzie musiała przyznać jej rację. Wiedziała, że będzie czuła się jeszcze gorzej, zanim poczuje się odrobinę lepiej. Zawsze tak było, gdy dopadła ją migrena.

Z westchnieniem przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Przynajmniej dobrze, że nie zgubiła dzisiaj kluczy, pomyślała z ulgą. Zapaliła światło w holu, co zwabiło kota. Był przybłądą i ich stosunki układały się poprawnie, choć chłodno. Kot nie zgłaszał uwag, dopóki karmiła go regularnie i pozwalała spać w swoim łóżku. Toteż zdziwiła się bardzo, kiedy zaczął ocierać się o jej nogi, miaucząc.

– Wybrałeś sobie złą chwilę na czułości – powiedziała znużona.

Zapaliła w kuchni górne światło i zmrużyła oczy z bólu. Podeszła do okna, żeby spuścić żaluzje i stanęła zaskoczona, z wyciągniętą ręką. Były opuszczone.

Pamiętała, że wróciła do domu pozamykać okna, ale nie przypominała sobie momentu spuszczenia żaluzji. Pokiwała głową i odwróciła się. Widocznie zrobiła to odruchowo.

Kot wskoczył na ladę i przyglądał się, jak wyjmuje butelkę wody z lodówki, nalewa do szklanki i łyka tabletki. Oparła się ciężko o ladę i opuściła głowę na piersi. Czuła się strasznie.

Nie powinna wrócić do domu! – Siedział na brzeжку łóżka, nasłuchując. – Dławił go strach na samą myśl, że ona wejdzie do sypialni. Nigdy jeszcze nie znalazł się

w podobnej sytuacji, jego plan nie uwzględniał takiego wariantu. Taka rzecz nie miała się prawa wydarzyć!

Słyszał, jak dziewczyna krząta się po kuchni. Przez szparę w drzwiach wpadała do sypialni smuga światła z holu. Zerknął na okno, było okratowane. Bezszelestnie przebiegł do łazienki. Okno było za małe. Znalazł się w pułapce.

Usłyszał ją w holu. Wrócił pośpiesznie do sypialni i schował się w garderobie.

Serce waliło mu w piersiach, puls tętnił w skroniach. Czuł strużki potu na plecach. Pocił się ze strachu. Nigdy dotąd nie zetknął się twarzą w twarz z żadną ze swych dziewcząt. Dotąd działał bezbłędnie. Był panem sytuacji.

Wsunął rękę do kieszeni, wyjął z plastikowej pochwy mały nóż. Stał zupełnie nieruchomo za drzwiami garderoby, z nożem w ręku. Czekał.

24.

Mal i Harry wracali limuzyną do Bostonu. On trzymał ją za rękę i śpiewał w duecie z Santaną, uzupełniając wokalizę pełnymi ekspresyjnymi ruchami ramion i bioder.

Mal patrzyła na niego z uśmiechem. Był mężczyzną pełnym niespodzianek.

– Czy jest to przedsmak tego, co mnie czeka w „Annie’s Club”?

– To jest nic, przyszcz, dno! Poczekaj tylko, aż porwę cię na parkiet. Jest on, nawiasem mówiąc, wielkości stołu, przy którym jadłaś dziś kolację. Biodro w biodro, Malone. Spodoba ci się.

– Zaczynam mieć wątpliwości.

– Ubawisz się z pewnością lepiej niż w samotnym łóżku w „Ritz Carltonie”.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Faktycznie, nie mogę. Nigdy nie spałem u „Ritza” ani sam, ani w towarzystwie.

– Teraz, kiedy rozproszyłeś już moje obawy w tej kwestii, mógłbyś trochę przyciszyć?

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wolisz coś łagodniejszego? Może „Moon River”?

Roześmiała się. Zachowywał się tak niemądrze, że mogłaby go za to uściskać.

– Nie jestem pewna, czy „Salsa Annie” zrekompensuje mi fakt opuszczenia Farmy Jordana.

– Zauważyłem, że musiałem cię stamtąd wyciągać. Podobało ci się, prawda?

– To było wspaniałe przyjęcie.

– Umówmy się od razu na sześćdziesiąte szóste urodziny mojej matki – zaproponował. – Tak na marginesie, mamie naprawdę podobał się prezent. I mówiła poważnie o jego przeznaczeniu.

Mal podarowała pani Jordan piękny album fotograficzny oprawiony w granatowy zamsz. Miffy podziękowała jej pocałunkiem i powiedziała: „Moja droga, zachowam go na zdjęcia moich wnuków. Oczywiście, jeżeli się ich szczęśliwie doczekam – popatrzyła na nich znacząco.

– Próbowałem ją przystopować – powiedział Harry przepraszająco. – Ale nie sposób odciągnąć ją od tematu, jeżeli już postanowiła go poruszyć. Matki takie są.

– Nie moja.

Mocniej zacisnął palce wokół jej dłoni, ale tym razem o nic nie zapytał. Nie chciał psuć nastroju.

Dojeżdżali już do klubu, kiedy Harry kazał kierowcy zatrzymać samochód.

– Jako pracownik wydziału zabójstw wolałbym nie zajeżdżać białą limuzyną przed mocno szemranym klubem – wyjaśnił, widząc jej pytające spojrzenie.

– Zupełnie jak gwiazda filmowa – dodała z afektacją i Harry się roześmiał.

Sfatygowane, żelazne drzwi w kolorze czerwonego chili osadzono wprost w ścianie starego magazynu. Paru pederastów kręciło się przy wejściu, paląc papierosy. Niektórzy przywitali Harry'ego klepieniem dłoni, inni przeciwnie, cofnęli się w cień. Harry odprowadził ich uważnym spojrzeniem, ale w porę przypomniał sobie, że dziś ma wolne. Zbyt dobrze się bawił, żeby zaprzętać sobie głowę garstką drobnych handlarzy narkotyków. Tym razem pozostawi ich chłopakom z nocnej zmiany.

Otworzył drzwi i zalała ich fala dźwięku. Harry głęboko nabrał powietrza i chłonał muzykę z przymkniętymi oczami.

– Wspaniale, prawda? – krzyknął do ucha Mal. Popatrzyła na niego bez słowa.

Co najmniej dwunastoosobowa orkiestra, złożona z gitary elektrycznej, bębna, fletu, skrzypiec i pianina, grała jakąś rytmiczną, latynoamerykańską melodię.

Długonoga Kubanka, ubrana w jedwabną, zieloną spódniczkę, ledwo okrywającą krągłe biodra i miniaturową bluzeczkę, śpiewała po hiszpańsku, podrygując w szalonym rytmie bębna. Lokal aż wibrował żywiołowością. Harry objął Mal ramieniem i pociągnął na parkiet.

– Ale ja nie umiem tego tańczyć! – zaprotestowała.

– Trzymaj się blisko mnie, Malone, pokażę ci – powiedział, przyciągając ją bliżej.

Rossetti obserwował ich z balkonu w końcu sali.

– Widziałas to, co ja, Vanesso? – zapytał. – Czy to nie nasz Profesor? W dodatku z dziewczyną. Rany koguta! – wykrztusił. – Profesor jest w smokingu. A dama wygląda jak reklamówka Armaniego – stali przechyleni przez barierkę, spoglądając w dół. Niech mnie gęś kopnie, jeżeli to nie panna Mallory Malone we własnej osobie – dodał z szerokim uśmiechem. – Cicha woda z tego Profesorka.

Przyłapaliśmy naszego zapracowanego, nie mającego czasu na randki, Jordana na gorącym uczynku.

– Zupełnie jak Sherlock Holmes Moriorty'ego – powiedziała Vanessa z szerokim uśmiechem.

Rossetti popatrzył na nią z irytacją.

– Nigdy nie słyszałaś starego powiedzenia, że nadmierna mądrość szkodzi? – Chwył ją za rękę i zbiegł ze schodów.

– Dokąd idziemy? – czepiała się metalowej barierki, próbując nadażyć za nim w butach na wysokich obcasach.

– Przywitamy się z detektywem i jego przyjaciółką – wepchnął ją na parkiet i zgrabnym manewrem zbliżył się do Harry'ego.

Harry uśmiechał się do oczu Mal, trzymając ją na wyciągnięcie ramion.

– Popatrz! – zawołał, demonstrując figurę taneczną. Zagryzła wargę, próbując go naśladować.

– Na to trzeba mieć w sobie latynoską krew – mruknęła, odrzucając głowę i poddając się muzyce.

– Dobrze, Malone! – wrzasnął Harry, przekrzykując muzykę. – Jeszcze tylko jedno: powinnaś to robić bliżej mnie.

– Ha, wracamy do ulubionego tematu – była w jego ramionach, czuła twarde męskie ciało tuż przy swoim. – Czy tak lepiej? – wyszeptwała, przytulając się mocniej.

– Dużo lepiej – lubił czuć ją przy sobie, lubił ruch jej bioder pod tym strzępkiem materiału, który miała na sobie. Prawdę mówiąc, lubił w niej wszystko.

– Co słysząc, Profesorku? Dobrze się bawisz?

Harry jęknął. Odsunął policzek od skroni Mal i zajął jej w oczy. – Detektyw Rossetti – powiedział z irytacją.

– On uważa się za Sherlocka Holmesa – sprostowała Vanessa.

– Cześć, Vanessa – Harry obrócił się ku nim niechętnie, choć nie cofnął ramienia obejmującego Mal.

– Przeszkadzamy? – Rossetti spojrzał na nich wzrokiem niewiniątka. Sprawiali wrażenie z lekka nieprzytomnych, ona miała rozrzucone włosy.

– Mallory Malone, przedstawiam ci detektywa Carlo Rossetti’ego. A to jest Vanessa. Za parę tygodni skończy dwadzieścia jeden lat.

– Zapraszam na przyjęcie – powiedziała, po czym wykrzyknęła: – To ty jesteś tą Mallory Malone. Hej, jesteś super!

– Dzięki. Miło cię poznać.

– Uciekliście z „Ritza”, czy co? – zapytał Rossetti, przyglądając się ich strojom. Mal roześmiała się.

– Zostawiliśmy limuzynę za rogiem, żeby nie wyglądać na gwiazdy filmowe.

– Nie ma obawy – powiedział Rossetti z galanterią. – Ty jesteś prawdziwą gwiazdą. Niestety, nie mogę powiedzieć tego o Profesorku.

– Dlaczego on nazywa cię Profesorkiem? – zwróciła się Mal do Harry’ego.

– Tak go nazywają kumple w pracy – wyjaśnił Rossetti. – Z powodu Harvardu. Kapujesz? Ze śmiechem skinęła głową.

– Jeżeli już musisz wiedzieć, Rossetti, wracamy właśnie z urodzinowej fiesty mojej matki – powiedział Harry, coraz bardziej zirytowany.

– Zabrałeś ją do mamusi? Niezła robota, Profesorku.

Harry jęknął. Przyciągnął do siebie Mal, zasłaniając ją przed ich wzrokiem.

– Dobranoc, detektywie Rossetti.

– Dobranoc, Profesorku – Rossetti śmiał się, porywając Vanessę do tańca.

– Do zobaczenia na przyjęciu! – zawołała jeszcze Vanessa przez ramię.

– Chodź! – Harry pociągnął Mal w stronę drzwi.

– Dokąd?

– W jakieś inne miejsce. Nie zapomniałaś chyba programu wieczoru? Wrócili do limuzyny i Harry podał kierowcy adres.

– Kolejny klub? – zapytała Mal, wyjmując puderniczkę i pudrując nos.

– Sama zobaczysz – patrzył zafascynowany, jak nakłada szminkę. Jej usta wyglądały tak smakowicie, zapraszająco... Westchnął żałośnie. Na razie musiał zadowolić się trzymaniem jej za rękę, co czynił z zapałem aż do chwili, gdy znaleźli się przed drzwiami następnego, bardziej dyskretnie usytuowanego, klubu w Brooklynie.

– Umiesz grać w bilard? – Spytał Harry, otwierając przed nią drzwi.

– Trochę.

– A więc jest to dla ciebie noc nowych doświadczeń. Chodź, nauczę cię. Klub umeblowany był jak typowa angielska biblioteka, wyposażony w bar i palarnię. Nisko zawieszona lampy rzucały ostre światło na stoły bilardowe. Podobnie jak u „Annie” kręciło się tu mnóstwo ludzi.

Harry musiał być stałym bywalcem; dostał stół i potarł kredą czubek kija.

– A teraz patrz! – powiedział, demonstrując, jak trzymać kij, jak przesuwając go między palcami, mierzyć.

– W porządku – powiedziała. Ustawił kule, pokazał jej, gdzie ma stanąć.

– Do dzieła! – powiedział, odsuwając się.

Mal pochylała się nad stołem i starannie wymierzyła. Harry ujrzał jej pośladki, opięte cienkim materiałem, i z wysiłkiem odwrócił wzrok.

Czerwona kula odbiła się od białej, przetoczyła wolno przez stół i wpadła do bocznej luzy. Mal podniosła wzrok i zamruwała powiekami.

– To takie łatwe, Profesorku!

Westchnął ciężko.

– W czasach mojej matki pozwoliłabyś wygrać dzentelmenowi. Zadbabyś o to, by się dobrze poczuł, podbudowała jego męskie ego.

– Jestem raczej zwolenniczką sypania soli na otwarte rany. Ustaw kule, Profesorku.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Dlaczego mam takie dziwne uczucie, że już w to kiedyś grałaś?

– Może dlatego, że pracowałam w takim klubie. Dawno temu. Przed wiekami. No i tamten klub wyglądał trochę inaczej?– wzdrygnęła się ze wstrętem na wspomnienie obskurnej sali z jarzeniówkami i mężczyzn, dmuchających sobie dymem papierosowym do kufli z piwem.

Uniosła jedną brew i spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach.

– Stawiam pięćdziesiąt dolców, że cię pobiję.
– Przyjmuję. Ale mam przeczucie, że tego pożałuję.
Okazało się, że przeczucie go nie myliło. Pół godziny później wręczył jej pięćdziesiąt dolarów.
– Gdyby to było w kinie, wsunęłabym szmal za dekolt, ale, jak zapewne zauważyłeś, wycięcie jest na to zbyt głębokie.
– Zauważyłem i mógłbym dodać, że sam widok, jak pochylasz się nad stołem w tej sukni, wart był pięćdziesięciu dolców.
– Erotoman – powiedziała, wsuwając mu dłoń pod pachę. – Co dalej, Profesorku?
– Co powiesz na drinka przed snem?
Limuzyna zawiozła ich na Lousiberg Square. Mal ze zdumieniem patrzyła na wspaniały, stary dom.
– Tu mieszkasz?
– Na parterze. Piętra odnajmuję.
Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Rower górski stał oparty o ścianę w holu, kask leżał na pięknym, osiemnastowiecznym stoliku, a na środku jedwabnego, perskiego dywanu spoczywała obgryziona wołowa kość.
– Prawdziwy dom – powiedziała Mal z aprobatą, kiedy zaprowadził ją do salonu.
– Mówię poważnie, Harry, tu jest pięknie. Nawet z tym Nautilusem pokój zachował wdzięk innej ery.
– Dziękuję, Malone. Rozgość się. Czego się napijesz?
– Poproszę o kawę.
Zerknęła ciekawie do sypialni. Nie było w niej wiele: twarde łóżce z czasów Jakuba I, dwa nocne stoliki, stary fotel i dywan, który wyglądał jak przeżuty.
– Squeeze próbował go zjeść, kiedy był szczeniakiem – zawołał Harry z kuchni. – Chorował potem przez tydzień. Już nigdy nie zjadł nic, czego nie powinien.
Łazienka była nie z tego świata.
– Jak ty tu funkcjonujesz? – zdziwiła się brakiem blatów.
– Radzę sobie – włączył ekspres do kawy. – Dla mnie wystarczy.
– Mmmm – zajrzała do kuchni. – Coś takiego! – zawołała na widok granitu i metalu. – Nie wspomniałeś, że umiesz gotować.
– Nie umiem, to tylko atrapa. Ale zawsze chciałem się nauczyć. Pewnego dnia wybiorę się do szkoły kucharskiej w Toskanii i zobaczę, jaki ze mnie kucharz.
– Mogę ci to powiedzieć już teraz. Marny.
Oparła się o granitową ladę i przyglądała mu się badawczo.
– Spędziłam uroczy wieczór, Harry. Dziękuję.
– Cała przyjemność po mojej stronie, psze pani – złożył jej kurtuazyjny ukłon.
– Mal – poprawiła. – Ile ty masz właściwie lat? – spytała.

– Trzydzieści pięć i ani dnia więcej. Śmiejąc się uderzyła go w pierś.

– Jesteś niemożliwy, Harry Jordan. Mówiłam poważnie.

– Wiem – przyciągnął ją do siebie, ujął w dłonie jej twarz. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

– A co z naszym kontraktem? – szepnęła.

– Istnieje klauzula uzupełniająca – pocałował ją.

Był to czuły pocałunek, słodki i trochę drżący. Jego usta były ciepłe, jej miękkie, rozchylone w gotowości.

Zapomniała o oddychaniu, to nie miało znaczenia, ważne były tylko jego usta.

Zanurzyła palce w ciemnych, kędzierzawych włosach Harry’ego, odchyliła głowę, czując na nagiej skórze jego palce.

Harry oderwał usta i Mal łapczywie zaczerpnęła powietrza.

– Przysięgam, nie miałem zamiaru tego robić – powiedział łamiącym się głosem, nie wypuszczając jej z ramion.

– Ja również – pomyślała, że jeżeli ją teraz puści, zwyczajnie klapnie na podłogę.

– Kawy?

Skinęła głową, zadyszana, jeszcze trochę oszołomiona. Pomógł jej wdrapać się na stół przy kuchennym barku, nalał kawy do białych kubków.

– A co powiesz na kanapkę? Zaczęła się śmiać, zupełnie rozbrojona.

– Och, detektywie. Skąd wiedziałeś, że właśnie mam na to ochotę?

– Szósty zmysł, droga pani – wyjął z lodówki dwa słoiki – Życzy pani do indyczki musztardę czy majonez?

– Jedno i drugie!

25.

Suzie zrzuciła buty i boso poszła do łazienki. Umyła zęby, wypłukała usta, przemyła twarz. Przyłożyła chłodny ręcznik do bolącej głowy. Sprawilo jej to ulgę, postanowiła więc, że zrobi sobie woreczek z lodem.

Podreptała z powrotem do kuchni i otworzyła lodówkę. Tacka na lód była pusta.

Suzie westchnęła ciężko. Widocznie zużyła kiedyś lód i nie napełniła pojemnika wodą.

Potem przypomniała sobie kilogramową paczkę mrożonego groszku, którą kupiła przed paroma miesiącami, kiedy miała skreconą kostkę. Groszek działał nie gorzej od drogiego woreczka z lodem, ponieważ był elastyczny. Owinie paczkę w poszewkę na poduszkę i przyłoży do głowy.

Z paczką mrożonego groszku w ręku poszła powoli do sypialni. Czuła się coraz bardziej otumaniona. Przypomniała sobie, co mówiła siostra przełożona, że po zażyciu tabletek będzie spała. „Prześpisz pół dnia”, powiedziała. Suzie myślała o tym z ulgą. We śnie nie będzie przynajmniej widziała tych błyskawic przed oczami. Może kiedy się obudzi, ból minie.

Ale jeśli zaśnie, przegapi spotkanie z siostrą. Niepewnie zerknęła na zegarek.

Było bardzo późno, ale wiedziała, że Terry nie wróciła jeszcze z randki z narzeczonym. Postanowiła, że zadzwoni i nagra się na automat.

Odłożyła paczkę z groszkiem i zaczęła rozpinać pielęgniarzski fartuch.

Kot przybiegł za nią do sypialni. Skoczył na łóżko i patrzył na nią, nerwowo machając ogonem.

– O co chodzi, Quentin? – kot zachowywał się dziwnie. – Uspokój się, dobrze?

Zrzuciła fartuch, zdjęła stanik i ostrożnie położyła się na łóżku, wykonując okrężne ruchy głową, co powinno zmniejszyć ból. Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer Terry, czekając cierpliwie aż włączy się automatyczna sekretarka.

Mężczyzna wyszedł z garderoby. Była odwrócona do niego plecami. Zbliżył się na palcach.

– Cześć, Terry, to ja – powiedziała Suzie do automatu. – Nie czuję się najlepiej. Znowu migrena. Dali mi w szpitalu jakieś proszki. Działają nasennie, więc nie wiem, czy jutro przyjdę... Właściwie, to już dzisiaj...

Kot zeszytniał, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w coś za jej plecami. Wygiął grzbiet i syknął. Oczy płonęły mu jak dwa węgielki w świetle bocznej lampki.

– Quentin, co w ciebie... – Suzie odwróciła się, żeby zobaczyć, na co patrzy kot. Koty zachowują się czasem tak dziwnie...

– Och, Boże! – powiedziała zduszonym szeptem. – Och, mój Boże, mój Boże... – Przycisnęła słuchawkę do serca. – Co pan tu robi? – powiedziała. – Co...?

Stracił telefon i wyciągnął po nią rękę. Z okrzykiem przerażenia, odskoczyła w tył, do drzwi. Rzucił się na nią całym ciałem, pochwycił za kostkę. Suzie zwała się na podłogę.

Krzyczała, krzyczała i krzyczała...

Siedział na podłodze. Chwycił jej gęste, rude włosy w garść i ciągnął ku sobie, dopóki jej głowa nie spoczęła na jego kroczu. Leżała bezbronna na plecach, między jego nogami. Twarz miała śmiertelnie bladą, oczy czarne z przerażenia.

Owijął sobie jej włosy dookoła dłoni, coraz ciasniej, aż jęknęła z bólu. Nagle znów zaczęła krzyczeć wysokim, zawodzącym głosem.

Przytknął jej nóż do gardła.

– Cicho, albo cię zabiję!

Przestała krzyczeć i leżała spokojnie. Ulga przyprawiła go o drżenie. Znowu był panem sytuacji.

Alex Kłowski wracał do domu z pracy. Właśnie wkładał klucz w zamek, kiedy usłyszał dziwny dźwięk. Odwrócił się błyskawicznie, nasłuchując. Mógłby przysiąc, że usłyszał krzyk. I że ten krzyk dochodził z sąsiedniego domu.

Ze zdziwieniem stwierdził, że samochód Suzie stoi na podjeździe. Widział przecież, jak wychodziła, ubrana w strój pielęgniarki. Zresztą powiedziała mu, że idzie na nocy dyżur. A w kuchni paliło się światło. Pewnie wróciła wcześniej, a on słyszał krzyk jakiegoś kota. W okolicy kręciło się mnóstwo dachowców, często podnosiły raban po nocy. Suzie przygarnęła nawet jednego z nich, choć twierdziła, że nadal zachowuje się jak dzikus.

Otworzył drzwi i wszedł do domu. Miał za sobą ciężki wieczór.

Kilogramowa paczka groszku, na którą upadła Suzie, ziębła ją w plecy. Poruszyła się. Mężczyzna leciutko przesunął nożem po jej szyi i poczuła stróżki krwi ściekające po piersi.

Patrzyła na niego, oniemiała ze zgrozy. Był szalony, poznała po oczach.

Wiedziała, że musi coś zrobić, żeby się uratować, ale bała się krzyczeć. Drżenia przebiegły jej ciało i zrozumiała, że jest w szoku, że zaczyna tracić przytomność. To była jej ostatnia szansa. Wsunęła prawą rękę pod siebie.

Leciutko wygięła plecy, zacisnęła palce na paczce mrożonego groszku. To była jej broń.

Mężczyzna siedział z zamkniętymi oczami, rozmyślając o tym, co zaraz zrobi, rozkoszując się chwilą najwyższej władzy. Choć nie odbyło się to tak, jak sobie zaplanował, Suzie Walker należała do niego.

Suzie zebrała się w sobie. Gdyby ją puścił, spróbowałaby wybiec na ulicę, wołać o pomoc. Ktoś by jej przecież pomógł.

Teraz lub nigdy! Skręciła ciało i cisnęła mu paczkę w twarz. Folia pękła pod

wpływem uderzenia i groszek posypał się na podłogę.

Mężczyzna zawył, odruchowo poderwał ręce do twarzy. Była już na nogach, depcząc groszek biegła do drzwi. Nigdy nie wydawały się tak daleko...

Usłyszała za sobą krzyk. Jeszcze trzy kroki! O Boże, Boże, nie mogła zdjąć łańcucha...

Chwycił ją od tyłu, odwrócił ku sobie za włosy. Pociemniałymi ze zgrozy oczami spojrzała na twarz swojego mordercy.

– Nie! Proszę nie...

Uniósł ramię i jednym płynnym ruchem poderżnął jej gardło.

Suzie wydała chrapliwy krzyk. Odskoczył, kiedy trysnęła krew. Ciągłe z tym strasznym, bulgoczącym dźwiękiem, zatoczyła się w stronę sypialni. Oparła się o drzwi, jej zakrwawione dłonie znaczyły na drewnie czerwony ślad, kiedy osuwała się na kolana. Obserwował ją przez chwilę, potem stanął nad nią.

Nie mogła już unieść głowy. Klęczała na podłodze, tępo patrząc na jego buty.

Klęczała we własnej krwi i nigdy już nie miała się podnieść. Osuwała się coraz niżej i niżej, aż jej głowa spoczęła na czarnych półbutach od Gucciego.

Patrzył na nią chłodno. Uciszyła się w końcu. Ale widziała go. Musiał mieć pewność.

Chwycił ją za włosy, uniósł głowę i przeciął tętnicę szyjną. Na wszelki wypadek.

Pozwolił Suzie opaść na podłogę i patrzył na nią, dysząc ciężko. Miała na sobie tylko majtki, ale nie wzbudzała jego pożądania. Już nie. To nie była jego metoda działania.

Spojrzał na siebie; ujrzał krew na koszuli, na spodniach, na butach. Był ubabrany w jej krwi!

Panika opadła go jak atak malarii, zaczął się pocić, trząść z wściekłości. To wszystko jej wina. Jak śmiała wrócić wcześniej niż powinna! Byłoby tak wspaniale, tak czysto, później, gdyby ona zachowała się zgodnie z planem.

Oszalały z gniewu rzucił się na nią z nożem. Ciął na oślep jej ciało, wyjmował i zatapiał nóż. Łzy spływały mu po twarzy.

– Dziwka – zaszlochał. – Parszywa dziwka.

Atak minął równie nagle, jak się zaczął. Mężczyzna opanował się, wstał. Odsunął się o krok, spoglądając na swoje dzieło. Potem spojrzał na zakrwawione ręce. Nadal miał na nich gumowe rękawiczki. No proszę, jednak był sprytny.

Poszedł do łazienki i zmył krew z rękawiczek. Potrząsał nimi dopóki nie wyschły, wilgotnym ręcznikiem starł z ubrania jej krew, wytarł nóż i wsunął go do kieszeni.

Zgasił światło w łazience, potem lampkę w sypialni. Ostatnim spojrzeniem obrzucił Suzie, leżącą w progu. Przekroczył jej ciało, poszedł do kuchni i zgasił światło. Niespokojnie wyjrzał na ulicę. Była pusta. Mrożony groszek chrzęścił mu

pod nogami, kiedy szedł przez ciemny korytarz w stronę drzwi.

Przerażony kot wyprysnął spod stolika w holu. Mężczyzna potknął się o niego i zaklął. Mały nóż wysunął się z kieszeni i upadł na podłogę, niezauważony.

Mężczyzna zdjął łańcuch z drzwi.

Cicho zamknął je za sobą. Usłyszał trzask zasuwki. Spojrzał w prawo, w lewo, szybko przeszedł ulicę i zniknął wśród zaparkowanych samochodów.

Alex Kłosowski zobaczył go, otwierając okno w sypialni. Uśmiechnął się. Więc dlatego Suzie wróciła do domu wcześniej, pomyślał. Ziewnął i poszedł do łóżka.

Usłyszał warkot zapuszczanego silnika, samochód przejechał koło jego domu i warkot zaczął się oddalać. Ale Alex już prawie spał.

– Brakowało mi dzisiaj Squeeze’a – powiedziała Mal, moszcząc się na siedzeniu starego jaguara. Harry wiózł ją przez prawie pustą Charles Street w stronę „Ritza”.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Malone, prawie go nie znasz.

– Ciebie też prawie nie znam.

– Z pewnością lepiej niż ja ciebie. Spojrzała na niego ze znużeniem.

– Nie będziemy chyba do tego wracać?

– Dlaczego nie?

– Okay, obiecuję, że opowiem ci o sobie podczas weekendu. Nie jest to fascynująca opowieść, ale przypuszczam, że w górach nie ma nic lepszego do roboty.

– Idealne miejsce, żeby oczyścić duszę – ponieważ milczała, powiedział: – W rewanżu za twoje zwierzenia pozwolę ci wziąć Squeeze’a na długi spacer.

– Dzięki.

– Jesteśmy na miejscu, Kopciuszkę – zatrzymał się przed drzwiami hotelu. Uparła się, żeby wrócić przed świtem. Powiedziała, że nie może wejść do hotelu w wieczorowej sukni w porze śniadania. Nawet jeżeli ich randka była zupełnie niewinna.

Uśmiechnęła się do niego, potem przechyliła na siedzeniu i pocałowała w usta.

– Do zobaczenia jutro. Nie, dzisiaj.

– O siódmej – powiedział. – Raniutko.

– W zasadzie nie warto kłaść się spać.

– Zwłaszcza samej – i w „Ritzie”.

Odeszła, śmiejąc się, z druzgocącym kremowo-brzoskwiniowym kołysaniem bioder.

Patrzył na nią. Zabierze to wspomnienie do swoich snów.

Mężczyzna zmusił się, by jechać wolno. Nie mógł pozwolić, by zatrzymała go policja, nie w takim stanie.

Droga do domu zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nie włączył nawet

kompaktu z muzyką klasyczną, co zwykle robił po zabójstwie, kiedy był nasycony i szczęśliwy. Nigdy nie było tak, jak teraz – absolutnie poza kontrolą. Mógł się skoncentrować tylko na jeździe. Byle bezpiecznie dobrnąć do domu! Wiedział, że jeżeli go zatrzymają, będzie zgubiony.

Odetchnął z ulgą, kiedy w końcu skręcił w swoją ulicę, a w chwilę później na własny podjazd. Drzwi garażu zamknęły się za nim, wyłączył silnik i opadł bezwładnie na kierownicę. Drżał na całym ciele.

Wysiadł z wozu i pośpieszył do drzwi. Odrętwiałymi dłońmi otworzył baterię zamków i łańcuchów. W końcu znalazł się w środku. Oparł się o ścianę, łapczywie łapiąc powietrze otwartymi ustami, jak człowiek, któremu grozi atak serca. Potem wdrapał się na schody prowadzące do zamkniętego pokoju.

Klucz nosił na srebrnym łańcuszku, nisko na piersiach, ukryty przed ludzkim wzrokiem. Szukał go teraz nieporadnie. Palce natrafiły na coś gęstego i lepkiego. Krew Suzie. Jęknął i rzucił się na drzwi, waląc w nie pięściami.

– Wpuść mnie. Proszę, wpuść mnie... Zaczął płakać.

Zdarł z siebie koszulę, ukląkł i drżącymi rękoma wsunął klucz w zamek. Drzwi otworzyły się na oścież. Jęcząc głośno, dźwignął się na nogi. Potem przekroczył próg i zatrzaskał za sobą drzwi.

26.

Harry doszedł do wniosku, że życie nie jest złe. Był ranek, jechał swoim jeepem, Squeeze siedział na tylnym siedzeniu, Mallory Malone na przednim, obok niego. Pomyślał, że wygląda tak, jakby tu przynależała.

Spała twardo i od czasu do czasu zerkała na nią spod oka, podziwiając długą linię rzęs na policzkach. Brakowało mu jej ukośnych, kpiących spojrzeń, które zmuszały go do wyostrenia dowcipu.

Squeeze wytknął łeb za okno, wdychając zapach sosen, kiedy wspinali się szosą po zboczach góry. Harry skręcił w boczną drogę przez las, pełną dziur i wybojów.

Minęli mały pensjonat nad brzegiem spokojnego jeziora słynącego z pstrągów, potem miniaturową wioskę z czerwoną stodołą, adaptowaną na sklep wielobranżowy.

Sprzedawano tam wszystko od mleka i chleba po gwoździe i knoty do lamp. Przed stodołą stała samotna pompa benzynowa. Domy tuliły się do siebie jak owce na pastwisku, białe o czarnych, drewnianych okiennicach i szerokich werandach.

Kilka psów wylegiwało się na słońcu, jeden z nich pobiegł nawet za samochodem, naszczekując bez przekonania za Squeezem.

– Gdzie jesteście? – Mallory usiadła wyprostowana, rozglądając się.

– Na miejscu – obwieścił i nadepnął pedał gazu. Samochód pokonał ostatni stromy odcinek drogi jednym skokiem i wypadł na żwirowy podjazd. Harry nacisnął hamulec i jeepem obróciło w miejscu.

– Jedyne sposoby, by się tu dostać. I zawrócić – poinformował niedbale, kiedy Mal pisnęła, chwytając się fotela. – Tyłem nie da się zjechać.

– Ten manewr wymaga chyba sporo praktyki – powiedziała. – Myślałam, że nadszedł mój koniec.

Uśmiechnął się szeroko i otworzył przed nią drzwi.

– To dopiero początek, madame – pochylił się w ukłonie, wyciągając rękę.

Zignorowała go i wyskoczyła sama.

– Och! – zawołała. – Och!

– Czy mam to rozumieć jako aprobatę?

– Zdecydowanie tak.

Zbudowany z cedrowych bali dom wznosił się nad urwiskiem. Był kwadratowy, surowy i masywny, o wysokich oknach i spadzistym dachu. Okalała go szeroka weranda, a z dachu wyrastał wielki kamienny komin. W wiklinowych koszach na werandzie rosły kwiaty, wysokie, podwójne drzwi wyglądały tak, jakby mogły wytrzymać obciążenie.

Mal westchnęła z zazdrością.

– Jakże jeszcze niespodzianki budowlane chowają w zanadrzu Jordanowie?

Zamek w Hiszpanii? Willę w Toskanii?

– Obawiam się, że to już wszystko. Żeby zakwalifikować się na posiadacza zamku, trzeba, moim zdaniem, być co najmniej markizem, a Jordanowie mieli w swej genealogii zwykłych „panów”.

– I jednego detektywa – zauważyła.

– Zapomnijmy na ten weekend o detektywie. Squeeze zapisał i Mal powiedziała:

– Och, biedactwo, zapomnieliśmy o nim.

Harry otworzył drzwi samochodu i pies zaczął ich obskakiwać w ekstazie szczęścia.

– Widzę, że nie tylko mnie się tu podoba – zauważyła Mal. Harry roześmiał się, kiedy pies pognął do lasu.

– Myślę, że tutaj czuje się bliższy swoim wilczym przodkom. Znów staje się dzikim stworzeniem.

Wyjął torby z bagażnika i wniósł je na werandę. Mal poszła za nim z koszykiem piknikowym, który przygotował dla niej kucharz z „Ritza”. Harry otworzył drzwi i Mal ujrzała kolejne arcydzieło Jordanów.

Dom wyglądał jakby urządzał go Ralph Lauren, z tym że wyglądał tak na długo, zanim Lauren przyszedł na świat. Cedrowe belki pociemniały, podłogi z szerokich desek połyskiwały w słońcu. Na ścianach wisiały derki Nawajów, pod ścianami, na masywnych ławach stały rzeźby koni i jeźdźców Charlesa Remingtona, a na sześciocalowej, cedrowej belce, tworzącej obramowanie kominka, rozpiekał się portret założyciela rodziny. Ogromny kominek, zbudowany z kamienia, był dość obszerny, by upiec w nim wołu, gdyby kogoś naszła ochota. W kanapach przed kominkiem można się było utopić.

– Och! – powtórzyła Mal. – Och, Harry!

Przeciagnał dłonią po szczeciniastej brodzie. Wydawał się rozbawiony.

– Jak na reporterkę, nie grzeszysz wymownością.

– W tym okrzyku zawarłam przecież wszystko. Ale skoro pragniesz słów: Harry, tu jest cudownie! Zdajesz sobie sprawę, że kobieta mogłaby wyjść za ciebie tylko dla twoich posiadłości? Dokądkolwiek mnie zabierasz, nie chce mi się stamtąd wyjeżdżać – opadła na pierwszą z brzegu kanapę.

– Zapamiętam to, Malone. Chodź, pokażę ci resztę.

Podeszli do rzędu okien na tyłach domu i Mal jęknęła z zachwytu. Zbocze góry opadało stromo, przez koronkę zieleni prześwitywały tafla jeziora i odległe szczyty gór. Harry otworzył szklane drzwi i wyszli na tras. Stanęli przy balustradzie, chłonąc ciszę i piękno. Wysoko ponad ich głowami dzieciół wybijał radosny rytm, wiatr szumiał w koronach drzew, w dole szurały jakieś małe stworzonka. Nawet światło

słoneczne, wyzłacające cały krajobraz wydawało się namacalne.

– Szkoda słów – powiedziała Mal słabo.

– Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam, zadaję sobie pytanie, co robię na ulicach miasta, ścigając morderców – odezwał się Harry. – Codziennie oglądam potworności, jakie człowiek wyrządza drugiemu człowiekowi. W zbliżeniu i kolorze. A potem mam to – ruchem ręki ogarnął krajobraz. – Przyjazd tutaj to dla mnie odrodzenie.

– „Uzdrowia moją duszę” – zacytowała.

– Ktokolwiek napisał ten psalm, miał świętą rację. Choć był ktoś, kto by się z tobą nie zgodził.

Wiedziała, o kim myśli.

– Twoja żona?

– Jilly nie znosiła tego miejsca. Przyjechała tu tylko raz i uznała, że w zupełności wystarczy. Powiedziała, że właśnie przed czymś takim całe życie uciekała – skrzywił się. – Miała wtedy dwadzieścia jeden lat.

– I była miłą, dobrze wychowaną panią, którą prowadziłeś do kotyliona.

I która pozwoliła ci włożyć rękę pod spódnicę w drodze do domu.

– Naprawdę tak myślisz?

– Z kim innym mógłbyś się ożenić? – Mal wzruszyła ramionami. Stał oparty o balustradę, zapatrzonej przed siebie, ale Mal wiedziała, że nie dostrzega krajobrazu.

– Jilly miała dziewiętnaście lat, kiedy ją poznałem – powiedział cicho. – Była kelnerką w przydrożnym motelu. Nazywał się „Country Cousins”.

Pochodziła z małego miasteczka z Alabamy i mówiła miękkim, południowym akcentem.

Uginały mi się kolana od samego słuchania. Miała długie, jasne włosy i oczy w kolorze whisky, a kiedy szła przez salę, patrzyli na nią wszyscy mężczyźni. Była dzika i nieokiełznana. Jeździła na starym buicku, a ja czekałam aż skończy pracę, po to tylko, by zobaczyć, jak z rozwianymi włosami wyjeżdża na szosę.

Z miejsca dała mi kosza. „Wracaj do tatusia, synku”, powiedziała z wyższością dojrzałej, doświadczonej przez życie kobiety, przemawiającej do studencika. Nie skusił jej nawet porsche. „Przyjeżdżają tu faceci w ferrari, nic mi po tobie”, powiedziała.

Uganiałem się za nią miesiącami, bezskutecznie. Twierdziła, że nie nadajemy na tej samej częstotliwości.

Wiedziałem, że bierze prochy, znałem nawet faceta, który ją zaopatrywał – spojrział na Mal. – Musisz wiedzieć, że Jilly wyglądała jak Panna Zdrowie i Niewinność we własnej osobie – wysoka, na wskroś amerykańska dziewczyna o blond włosach. To, że bierze, wkurwiało mnie maksymalnie, ale byłem bezradny.

Potem zaprosiłem ją na uroczystość wręczenia dyplomów na Harvardzie. Byłem zdumiony, kiedy zgodziła się przyjść. „Co się nosi na tych fikuśnych uroczystościach?”, zapytała i po raz pierwszy zauważyłem, że jest zdenerwowana.

„Cokolwiek – powiedziałem. – Coś niewyszukanego.”

Wystąpiła w białej bluzeczce, spódnicy do kolan, z włosami przewiązanymi wstążką. Uważałem, że wygląda cudownie. Przypominała raczej dziewczynę z lat pięćdziesiątych niż motocyklistkę w czarnej skórze.

Ta uroczystość odmieniła jej życie. Siedziała obok mojej matki, zachowywała się jak młoda dama, mówiła co należy tym swoim południowym akcentem i wiedziałem, że pochłania to życie.

Poszliśmy na kolację do „Lockobers”. Domagała się, żeby opowiedzieć jej historię obrazu nagiej piękności nad barem, którą okrywa się czarną krepą za każdym razem, gdy Harvard przegra z Yale. Zafascynowała ją tradycja, która wiąże się ze studiami i posiadaniem pieniędzy.

– Dobra, Harry – powiedziała później. – Rzucam kelnerstwo, rzucam prochy i rzucam wodę. Zostanę damą.

I została. Nie było to trudne. Odpowiednia fryzura, odpowiednie ubranie, odpowiednie maniery. Kiedy się pobraliśmy, była już dziewczęciem z wyższych sfer. A potem ja odebrałem jej ten wizerunek niby dziecku zabawkę.

– Wysłałam za prawnika, nie za policjanta – powiedziała, kiedy wstąpiłem do policji. Byliśmy dwa lata po ślubie, ale przez ostatni rok czuła się samotna.

Trzymała już kogoś w odwodzie.

Harry oderwał wzrok od widoku gór i jeziora. Wzruszył ramionami.

– No i tyle. Dałem jej wszystko, czego chciała, a potem jej to odebrałem.

Lubiła życie towarzyskie wyższych sfer, przyjęcia, bankiety i stroje. Ma to wszystko teraz, w Greenwich, Connecticut. Urodziła dwoje dzieci i bardzo dużo czasu poświęca działalności charytatywnej.

Mał ujrzała bolesny wyraz w jego oczach.

– Przykro mi, Harry.

– Niepotrzebnie. To przeszłość. Dziś mogę jej nawet dobrze życzyć.

Rozmawiamy od czasu do czasu. Jest miłą, pospolitą kobietą – uśmiechnął się cierpko. – Ona chciała prawnika, a ja chciałem motocyklistkę na Harley’u z rozwianymi blond włosami. Pozostała mi po tym słabość do kelnerek.

Objął ją za ramiona i przyciągnął lekko.

– Mówiłem ci, że tutaj oczyszcza się duszę.

Poprowadził ją na górę po szerokich schodach. Stare, sosnowe stopnie skrzypiały pod ich stopami. Harry otworzył wielkie drzwi na piętrze i powiedział:

– Twoje lokum.

Jednym spojrzeniem ogarnęła strzelisty sufit, ścianę okien wychodzących na tą samą stronę domu, co weranda, proste sosnowe łóżko zasłane puchową pierzyną, wyfroterowane podłogi ze starymi, jedwabnymi dywanikami. W kącie stała wielgachna szafa, którą stolarz musiał zrobić na miejscu, ponieważ w żadnym razie nie dałoby się jej wnieść. Przed kamiennym kominkiem stały dwa wygodne fotele w biało-czerwona kratę, lampki wyposażono w różowe abażury, żeby rzucały ciepłą poświatę w zimowe wieczory, a na półkach stała bogata kolekcja książek dla gości cierpiących na bezsenność.

– Prawie żałuję, że nie pada śnieg – powiedziała Mal. – Moglibyśmy wrzucić polano do ognia, zapalić lampki i...

– I? – z nadzieją uniósł brwi.

– I... zrobić sobie piknik – dokończyła stanowczo. – Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

Zeszli do wielkiej, kwadratowej kuchni. Była zaskakująco staroświecka, z ladą wyłożoną kafelkami, prostymi sosnowymi szafkami i antycznym, żelaznym piecem, który zajmował pół ściany. W kącie stał kamienny kominek, a stary, sosnowy stół zbielał od częstego szorowania. Okalało go dwanaście krzeseł, każde z innej parafii.

– Za życia taty dom wypełniali ludzie – powiedział Harry. – Tu zawsze pełno było ciotek, wujów, kuzynów, dziadków, przyjaciół. I, oczywiście, psów. Ten stary piec przeżył niejedną bankiet. Pamiętam, kiedy byłem chłopcem, chowałem się pod stołem, choć od dawna powinienem spać, podczas gdy oni jedli kolację.

Oczywiście, wiedzieli, że tam jestem, ale pozwalali mi trwać w przekonaniu, że ich przechytrzyłem. Nie było końca anegdotom, wspomnieniom, historiom o rybach, które złowili, trasach narciarskich, które przebyli, zależnie od pory roku.

Najbardziej lubiłem, kiedy za oknami prószył śnieg, ogień huczał za kratą, a w powietrzu unosił się zapach gulaszu, gotowanego przez matkę. Albo chleba, który był specjalnością taty. Jego „odprężeniem”, jak mawiał. Stał przy blacie, po łokcie w mące, wściekle ugniatając ciasto. Zdaniem mamy, wyobrażał sobie, że są to jego klienci.

Na twarzy Harry’ego malowała się radość tamtych czasów i Mal pozazdrościła mu wspomnień. Ona odnajdywała jedynie białe plamy tam, gdzie powinna być rodzina, przyjaciele, miłość.

Z uśmiechem przejechał dłonią po szorstkiej brodzie.

– W tamtych czasach ludzie umieli cieszyć się życiem. Obowiązywał zakaz radia i telewizji, choć, w drodze wyjątku, pozwolono matce przywieźć adapter. Wciąż stoi na półce przy kominku w dużym pokoju, razem z jej kolekcją płyt. Znajdziesz wśród nich „Smoke Gets In Your Eyes”. Oprócz adaptera było jeszcze stare pianino, do którego zasiadali wszyscy po kolei, choć nikt nie był wirtuozem. Graliśmy w gry

planszowe, w pokera, a popołudniami, kiedy padał śnieg i nie można było wyjść na dwór, bawiliśmy się w szarady. Po kolacji ktoś zaczynał brzdąkać na pianinie, albo mama nastawiała płytę. Wysączały kieliszeczek brandy przed snem, a psy drzemały przed kominkiem.

Ciągle ich widzę, w świetle lamp, takich jak wówczas, choć wielu powędrowało już do krainy cieni. Czasem, kiedy jestem tu sam, wyobrażam sobie, że czuję ich wokół siebie. To jest miłe uczucie, jakby otaczali mnie starzy przyjaciele.

Mał wpatrywała się w niego jak dziecko, słuchające pasjonującej bajki.

– Teraz rozumiesz, dlaczego tak kocham to miejsce – powiedział Harry. – Za poczucie trwałości, za dobre wspomnienia. Takie wspomnienia chciałbym przekazać swoim dzieciom.

Podszedł do stołu, otworzył koszyk piknikowy.

– Myślałem, że umierasz z głodu? – wpadł w swój zwykły, żartobliwy ton, ale Mał myślała ciągle o uroczym obrazku nieznanego świata, jaki przed nią namalował.

Łaknęła jego życia, nie jedzenia.

Harry przełożył zawartość psiej puszkę do metalowej miski i Squeeze wyprysnął spod tarasu, gdzie węszył za potencjalnymi królikami.

Mał rozłożyła zapasy na stole na tarasie, Harry przyniósł talerze i sztuce.

Zdumiał się na widok pieczonego kurczaka, młodych ziemniaczków w sosie winnym, szparagów. Na stole znalazł się również francuski ser, bochenek chrupkiego chleba i gruszki w polewie winnej.

– Myślałem o czymś w rodzaju kanapki z indykiem – powiedział, nie mogąc ochłonąć ze zdziwienia.

Mał jęknęła.

– Przynoszę ci pożywienie bogów, a ty chcesz kanapkę z indykiem!

– Żartowałem. Ta uczta wymaga dodatku w postaci dobrego, czerwonego wina.

Podszedł do domu, ale go odwołała.

– Woda wystarczy. Muszę być w formie na tę wspinaczkę, na którą zabierzesz mnie zaraz potem.

– Potem? Potem będę musiał odpocząć. Roześmiała się.

– Posłuchaj, Harry Jordan. Kupiłam strój specjalnie na tę okazję i mam zamiar go wykorzystać.

Squeeze tęsknym wzrokiem wodził za jedzeniem i Harry rzucił mu kawałek kurczaka.

– Musi nabrać sił przed tym wspinaczkowym maratonem, na jaki go zabierasz.

Uśmiechnęła się, pogryzając z zadowoleniem szparagi, popijając źródlaną wodę.

Pomyślała, że szczęście jest jak pieniądze; nie masz go – nie wiesz co tracisz, masz – nawet o nim nie myślisz.

Długo marudzili przy jedzeniu, potem Harry powiedział, bardzo oficjalnym tonem:

– No dobra! Masz pięć minut, żeby się przebrać i ruszamy. Zanim popsuje się pogoda.

Zerknęła na bezchmurne niebo i rzuciła Harry'emu pełne politowania spojrzenie.

– A tak na marginesie – zawołała, już ze szczytu schodów. – Gdzie ty śpisz?

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Już się bałem, że nie zapytasz. Pokażę ci, kiedy wrócimy. Nie martw się.

Tutejsze sypialnie pomieszczą nie tylko mnie i Squeeze'a, ale jeszcze parę osób, które zechciałyby wpaść w odwiedziny. Co jest nader mało prawdopodobne, Malone.

– Mallory – rzuciła przez ramię, wchodząc do pięknego pokoju, który na jedną, cudowną noc pozwolono jej uważać za własny.

Szybko przebrała się w grube szorty z szorstkiego płótna, zaopatrzone w niezliczoną ilość kieszeni, białą koszulkę polo, grube, szare skarpety i ciężkie buty na grubej podeszwie, których sznurowanie trwało całe wieki. Umalowała usta, włożyła baseballową czapkę i zesłała hałaśliwie ze schodów.

Harry czekał na nią na dole, ze Squeezem przy nodze. Ubrany był w szerokie, żeglarskie szorty w kolorze brudnego różu, biało-czarną koszulkę rugbisty, znoszone buty i wędkarską czapkę. Kiedy tak na nią patrzył, nie dostrzegła w jego twarzy cienia drwiny, ale wiedziała, że z pewnością gdzieś się czai.

– Mam wrażenie, że znowu popełniłam odzieżową gafę – powiedziała niepewnie.

– Powiedzmy po prostu, że twój styl jest zbyt „serio” na taką okazję. W sklepie powiedziano jej coś wręcz przeciwnego. Marszcząc czoło, zmierzyła Harry'ego wzrokiem od stóp do głowy.

– Wygląda na to, że powinnam założyć coś różowego – powiedziała sardonicznie.

– Przyjmę ten cios jak mężczyzna, Malone. Choć na swoją obronę powiem tylko, że ten odcień różu znany jest powszechnie pod nazwą koralowego. Wszyscy to noszą na wypach, żeglują w tym, jedzą kolacje...

– Chodzą w góry?

– Cóż, może rzeczywiście jestem pod tym względem wyjątkiem. A teraz, kiedy już wszystko sobie wyjaśniliśmy, w drogę!

Squeeze podchwycił znane słowo i ruszył do drzwi w radosnych podskokach. Mal patrzyła na niego ze szczytu schodów. Pies biegał w kółko, poszczekiwał, zachłystując się wolnością. Pomyślała, że chętnie poszłaby w jego ślady.

27.

Harry wybrał górski szlak przez las. Squeeze prowadził, co kilka minut wracając, by sprawdzić, czy idą za nim. Powietrze przesycone było zapachem wilgotnej ziemi, nad głowami ptaki wyfruwały z gniazd, zaalarmowane hałasem.

Po pół godzinie Mal oddychała z otwartymi ustami, ale ponieważ Harry maszerował nieprzerwanie, postanowiła, że się nie podda.

Kiedy po kolejnej pół godzinie dotarli na trawiasty płaskowyż, jej buty zmieniły się w żelazne imadła, ciężkie szorty ocierały uda, była zlana potem. Rzuciła się z ulgą na trawę, zbyt zdyszana, by mówić.

– Przyjemnie było, prawda? – zapytał Harry. Otworzyła oczy i wbiła w niego płonący wzrok.

– Sadysta!

Przykucnął przy niej, ostrożnie przeciągnął palcem po czerwonych otarciach na udach.

– Co masz pod spodem? – zapytał. Spojrzała na niego z przerażeniem.

– Wybrałeś sobie zupełnie niestosowną chwilę na zaloty, detektywie! Jęknął.

– Oddaj mi sprawiedliwość, Malone! Naprawdę nie próbuję cię uwieść. Chcę wiedzieć, co masz pod spodem, ponieważ nie możesz iść dalej w tych idiotycznych portkach. Chyba że lubisz, jak ci się ciało odrywa od kości.

– A! – powiedziała zbита z tropu. – W porządku. Mam na sobie bokserki.

– No to ściągnaj spodnie. Natomiast pod żadnym pozorem nie wolno ci ściągnąć butów. Już ich nie założysz. Poczekaj chwilę! – przyklęknął przed nią i poluzował sznurowadła. Krew zaczęła krążyć swobodnie i Mal wydała westchnienie ulgi.

Odwrócił głowę, kiedy ściągała spodnie.

– Możesz już patrzeć – powiedziała, mocno zawstydzona. Spojrzał na nią i wybuchnął śmiechem.

– Patrzcie państwo! Różowe! – chichotał jak opętany.

– Harry Jordan, masz natychmiast przestać! – zawołała ze złością. – Nic ci do mojej bielizny.

– Ależ owszem, Malone. To za twoim różowym tyłeczkiem będę szedł całą długą drogę do domu – wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. – Trzymaj się mnie. Może być ślisko.

Byli w połowie drogi, kiedy zauważyła, że niebo się zachmurzyło. W ciągu paru minut przeszło wszystkie odcienie szarości, aż po barwę granitu. Deszcz załomotał w dach z liści jak seria z karabinu maszynowego, duże pojedyncze krople spadły im na głowy, zmieniając się szybko w potok.

Mal została w tyle. Harry szedł miarowym krokiem, obojętny na ulewę, a za nim

biegł Squeeze powiewając ogonem jak flagą. Wlokła się za nim, zdecydowana nie narzekać. Ubranie przylgnęło jej do ciała, jakby wyjęła je z pralki. Nogi ją bolały, a szlak zmienił się w bagnisko. Poślizgnęła się i upadła. Poderwała się na nogi, zaciskając zęby.

– Nie będziesz narzekać – powiedziała sobie. – I z całą pewnością nie powiesz: po jaką cholere zabrałeś mnie na tę idiotyczną wycieczkę. A już na pewno nie zaczniesz płakać...

– Spójrz! – Harry zatrzymał się tak nagle, że wpadła mu na plecy. Podtrzymał ją i przytknął usta do jej ucha.

– Tam, pod drzewem – szepnął.

Ujrzała rodzinę szopów przycupniętą pod gałęzią. Mama, tata i dwoje maleństw spoglądało na nich poważnie, okrągłymi oczami w biało-czarnych obwódkach. Mal nigdy nie widziała nic równie zachwycającego, a srebrna zasłona deszczu nadawała tej scenie jakiś magiczny charakter.

Harry ujrzał, jak uśmiech znów rozjaśnia jej twarz. Zgubiła swoją baseballową czapkę, mokre włosy oblepiały głowę. Bluzka i różowe spodenki pieścotliwie przylgnęły do ciała, obryzgane błotem. Widocznie upadła, bo miała zdartą skórę na kolanach. Jednak się nie skarżyła.

– Chodźmy! – powiedział.

– Daleko jeszcze? – najchętniej odgryzłaby sobie język. Nie chciała tego powiedzieć. Wypnęło się jej.

Rzucił jej kpiące spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Chyba się nie poddajesz?

– Skąd!

– To dobrze. Byłoby przykro, gdybym musiał cię nieść.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie i powlokła się za nim, noga za nogą, wpatrzona w błotnistą ścieżkę. Po bardzo długim, mokrym, bolesnym czasie, Harry zawołał:

– Dom!

Znajdowali się u podnóża wzniesienia, na którym stała chata. Mal wydało się Mont Everestem. Gapiła się na stromą ścieżkę i po raz pierwszy opadło ją z wątpliwość czy dojdzie. Bolały ją uda, kolana miała starte, stopy wydawały się dwukrotnie większe niż normalnie.

– Chyba nie zrezygnujesz teraz, Malone?

Zajrzał jej w twarz. Usta jej drżały, ale nie miała zamiaru się poddać.

– Wejść tam, choćby na czworaka – burknęła. Potrząsnął głową, nie mogąc się nadziwić jej uporowi.

– Nikt nie wymaga od ciebie podobnego aktu skruchy.

– Jesteś łajdakiem Harry Jordan! – zawołała i rzuciła się z determinacją w stronę

urwiska.

Chwycił ją wpół. Okładała go pięściami, ale on tylko się roześmiał.

– Daj spokój, Malone, wiesz, że nie dojdiesz o własnych siłach. Wiedziała, że mówi prawdę, choć nienawidziła go za to.

Wniósł ją aż na piętro, do jej pokoju. Posadził w fotelu, podłożył ogień pod stosik drewna, już przygotowany w kominku i pomaszerował do łazienki.

Drań, nie jest nawet zdyszany, pomyślała Mal z goryczą. Słyszała, jak puszcza wodę do wanny, potem zapach lilii wypełnił pokój.

Kiedy wrócił, ogień już trzaskał na kominku.

– Kąpiel gotowa, madame – powiedział. Jak przewidywał, siedziała dokładnie w takiej pozycji, w jakiej ją zostawił.

Ukląkł i rozsznurował jej buty, zsunął je najostrożniej jak potrafił. Jęknęła, kiedy ściągnął grube skarpety. Szlak bąbli znaczył duże palce u nóg, pięty miała starte. Harry westchnął i znowu poszedł do łazienki. Po chwili wrócił z wodą utlenioną i watą.

Tkwiała w fotelu z odrzuconą do tyłu głową i nogami sterczącymi sztywno, jak u zepsutej lalki.

– Będzie trochę piekło – ostrzegł. Oczyszczył jej otarte kolana i stopy.

– Auuu! – syknęła, nie otwierając oczu. – Au, au...

– W porządku, już po bólu. Czas na kąpiel.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego z niechęcią, ale wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki.

– Zakładam, że sama potrafisz się rozebrać?

– Zakładasz słusznie! – spiorunowała go wzrokiem. Uśmiechnął się promiennie i zamknął drzwi.

– Aha, Malone? – wsunął głowę do łazienki i usłyszał jej jęk. – Chciałem zabrać cię na kolację do miejscowego pensjonatu, ale myślę, że potrzebujesz trochę czasu na lizanie ran. Co powiesz na to, żebyśmy coś ugotowali?

– Ty? Ugotował? – roześmiała się sceptycznie.

– Spróbuj, zanim zaczniesz krytykować, Malone – powiedział z wyższością i zniknął.

Leżąc w gorącej wodzie w wielkiej starej wannie na wygiętych nóżkach, Mal pomyślała, że jest to najprzyjemniejszy moment tego koszmarnego dnia.

Koszmarnego, jeżeli nie liczyć pikniku. I spotkania z rodziną szopów, zerkających na nią poprzez deszcz. I widoku Squeeze'a, którego rozsadzała zwyczajna radość życia.

Pławiła się w wodzie niby foka, czując jak ból ulatuje, a cudowne ciepło przenika ją na wskroś. Woda pachniała liliami. Na wiktoriańskiej umywalce zauważyła ledwo

napoczęty flakon wonnego olejku. Nie mógł należeć do matki Harry'ego. Po prostu nie był w jej stylu. Harry musiał to kupić specjalnie dla niej.

Pomyślała z rozbawieniem, że nie wkupi się w jej łaski butelką płynu do kąpieli. Nie po tym, co jej zrobił!

Wyszła z wanny, otuliła się ogromnym ręcznikiem kąpielowym i szybko przebiegła do sypialni. Przycupnęła przed kominkiem, rozkoszując się ciepłem. Był taki moment, tam na szlaku, kiedy myślała, że nigdy się już nie rozgrzeje.

Rozczesała włosy, natarła kremem nawilżającym osmaganą wiatrem twarz, wklepała balsam w rany. Zawahała się na sekundę, po czym, nie dając sobie czasu do namysłu, obficie skropiła się „Nocturenes”.

Założyła męską, flanelową koszulę, o parę numerów za dużą, grube wełniane białe skarpety i przetrząsnęła walizkę w poszukiwaniu szlafroka. Widocznie zapomniała go zapakować. Zła, naciągnęła na pizamę niebieski sweter.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Twarz miała zaróżowioną po kąpieli, nie umalowaną, włosy gładko przyczesane. Zdjęła kontaktówki i założyła małe okulary w złotej oprawce. Pomyślała, że jeżeli Harry Jordan miał wobec niej jakieś miłosne plany, zrezygnuje z nich w chwili, gdy ją zobaczy. Wyglądała jak chłopczyca. Nie mówiąc o tym, że nadal mogłaby go udusić gołymi rękami.

Kuśtykając sztywno po schodach, czuła aromatyczne zapachy z kuchni. Lampy płonęły, w wielkim kominku paliło się olbrzymie polano. Jedna ze starych płyt Miffy potrzaskiwała cicho, ale muzyka była dobra: Nat King Cole śpiewał „When I Fali In Love”. A na stoliku do kawy stała otwarta butelka wina i dwa proste, lecz piękne kieliszki.

Mał ulokowała się na kanapie najbliższej kominka. Wysoko oparła stopy i westchnęła z ulgą, zastanawiając się, ile upłynie czasu nim zagoją się bąble i znów będzie mogła założyć buty. Deszcz nadal bębnił o ścianę okien, widziała wierzchołki drzew targane wiatrem.

Głębiej wtuliła się w kanapę, czując przyływ dobrego samopoczucia. Obserwowanie burzy z zacisznego pokoju dawało dziwne poczucie bezpieczeństwa.

– Tutaj jesteś! – Harry stanął w drzwiach. Ubrany był w ukochane džinsy, białą koszulę i kucharski fartuch w biało-niebieskie pasy. Przez ramię miał przerzucony idealnie czysty ręcznik do naczyń. Wypisz wymaluj – francuski kelner. Nalał wino do kieliszków, zerkając na nią z ukosa. Zauważył flanelową pizamę, sweter, nie umalowaną twarz i małe, złote okulary.

– Lepiej się czujesz?

– Dziękuję, tak. Ale nadal jestem na ciebie wściekła za tę wyprawę. Bolesny grymas wykrzywił mu twarz. Podał jej kieliszek i przesunął dłonią po zmierzwionych włosach.

– To przez te twoje idiotyczne buty. W dobrym obuwiu przeszłabyś jeszcze z dziesięć mil.

– A tak, ile mil przeszłam? – Zabrzmiało to zgryźliwie. Wzruszył ramionami.

– Pięć. Może sześć.

– Pionowo w górę.

– Daj spokój, stopień nachylenia był niewielki.

– Niewielki!

Złowrogo błysnęła ku niemu oczami.

– Mogłaś dać sobie spokój w każdej chwili, gdy szliśmy pod górę – powiedział rozsądnie. – Skąd mogłem wiedzieć, że cierpisz? Jesteś męczennicą, czy co?

Wiedziała, że ma rację. W kłopoty wpędził ją własny upór. I nowe, drogie buty.

– Znowu się kłócimy – zauważyła pojednawczo.

Ich oczy się spotkały i poczuła w powietrzu dziwne napięcie.

– Wino jest zbyt dobre, żeby się przy nim kłócić. Mał podniosła kieliszek do ust i upiła łyczek.

– Czy jedzenie będzie równie dobre?

– Jedzenie! – pobiegł do kuchni, a ona uśmiechnęła się, odprężona. Harry miał rację; takim wieczorem można się tylko delektować. Burza za oknem, trzaskający ogień w kominku, światło lamp, słodka muzyka, dobre wino. Westchnęła z zadowoleniem. Wszystko to było warte niemal katorżniczego marszu po górach.

– Podano do stołu! – Harry wrócił z tacą. – Pomyślałem, że zjemy przed kominkiem. Omlet frittata – mój jedyny powód do kulinarnej chwały.

Postawił tacę i odkroił kawałek grubego, lekko przypalonego omleta. Ułożył go na zielonym talerzu w kształcie liścia sałaty i wręczył Mał.

– Omlet van Gogha – powiedziała z podziwem. Zapatrzony w nią nie słuchał. – Pamiętasz kanapkę Matisse’a?

– Myślałem właśnie jak ładnie dziś wyglądasz. Sweter harmonizuje z kolorem twoich oczu. I podobają mi się okulary.

– Teraz wiesz już najgorsze. Oto prawdziwa ja – nie mogła znieść, kiedy tak na nią patrzył. Jakby wiedział o niej więcej niż ona sama.

Harry obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem, ale powiedział tylko:

– Jedz omlet, Malone, zanim ostygnie. Ugryzła kawałek.

– Jest doskonały – powiedziała ze zdziwieniem. – Co w niego włożyłeś?

– Szparagi, ziemniaki, kurczaka... Prawdę mówiąc – piknik. Poza tym jajka, trochę cebuli, szczyptę czosnku.

– A twierdziłeś, że nie umiesz gotować.

– Bo na tym kończą się moje umiejętności. Zazwyczaj zadowalałam się pizzą z kuchenki mikrofalowej.

Roześmiała się.

– Ja płatkami kukurydzianymi. Główne danie mojego dzieciństwa.

– Opowiedz mi o tym dzieciństwie.

Podniosła kieliszek do ust, umykając wzrokiem w stronę płomieni.

– Szkoda psuć taki piękny wieczór rozmową o mnie. Potrząsnął głową z irytacją.

– Znowu zaczynasz! Wszystko jedno, taka była umowa, pamiętasz? Ja

opowiadam swoją historię, ty swoją. Jak dotąd tylko ja dopełniłem warunków.

Mal przeredagowała swoje życie tak, że niewiele zostało z oryginału. Prawie uwierzyła, że fikcja jest prawdą. Wymazała najbardziej bolesne fragmenty, pozbyła się ich wraz z osobą Mary Mallory Malone.

Poczuła jak policzki jej płoną i ściągnęła sweter. Powachlowała twarz dłonią, udając że rozgrzewa ją ogień, a nie spojrzenie szarych oczu.

Płyta Nat King Cole'a z cichym zgrzytem dobiegła końca. Harry stanął przy półce, w zamyśleniu przesuując palcem po grzbietach płyt. W końcu wybrał krążek, nastawił adapter i wrócił do Mal, przygaszając po drodze światła.

Polano przewróciło się, posyłając w górę komina fontannę iskier, deszcz bębnił w szyby, Sinatra śpiewał miękko „*fly with me fly, Let's fly away...*”

Mal czuła się trochę tak, jakby frunęła, zawieszona w przestrzeni i czasie.

Istniał tylko ten dom uczepiony urwiska, z dala od świata. Wszystko to razem było niebezpiecznie uwodzicielskie.

– Przyjeżdżam tu często sam – odezwał się Harry. – Po dniu wspinaczki albo jeździe na rowerze, zapalam ogień, otwieram butelkę, nastawiam płytę...

– Przygaszam światła...

– Jasne, że przygaszam światła. Dzięki temu widzę drzewa i księżyc.

– Na wypadek, gdybyś nie zauważył, dzisiaj nie ma księżyca.

– Mówiłem ogólnie.

Spoglądała na niego znad brzegu kieliszka, myśląc o kobietach, które tu przywoził. Trudno oczekiwać, żeby mężczyzna taki jak Harry był zawsze sam.

Poczuła ukłucie zazdrości i powiedziała sobie, że życie płciowe Harry'ego Jordana nie powinno ją w ogóle interesować. „Doprawdy?”, szyderczo podszepnął jakiś głos. „Więc dlaczego chcesz wyciągnąć rękę i dotykać go? Dlaczego nie możesz oderwać od niego oczu?”

Harry nie mógł oderwać oczu od niej. Twarz miała zarumienioną, jasne włosy wyschły i gładko okalały jej głowę, niebieskie oczy wydawały się wielkie za szklami okularów. Mógł się założyć, że bez nich nie widzi na dwa kroki przed sobą.

Mal podniosła się z kanapy, zahipnotyzowana. Stała o krok od Harry'ego i ich oczy spotkały się ponownie wywołując uczucie naelektryzowania. Mal dreszcz przeleciał po plecach.

– Harry, dlaczego właściwie zawarliśmy tę umowę o braku zobowiązań? – zapytała cicho.

– Polityka niezaangażowania – mruknął trochę bez związku. Położył dłonie na jej ramionach i Mal pomyślała, że stopi się pod jego dotknięciem.

– Zawsze możemy umieścić zastrzeżenie: „z wyjątkiem dnia dzisiejszego”.

Zdjął jej okulary i ostrożnie odłożył na stolik. Patrzyła na niego oczami krótkowidza, serce biło jej gdzieś w przełyku. Uniósł dłoń i przesunął palcem po jej wargach. Mal zadrżała. Zamknęła oczy, kiedy całował jej brwi, powieki i przesunął językiem po rzęsach.

– Słodko – powiedział niewyraźnie. – Bardzo słodko. Zastanawiałem się, jak smakujesz.

Polizał kącik jej ust, ucałował czubek nosa, wtulił twarz w jej szyję.

Westchnęła głęboko.

Przyciągnął ją, a ona objęła go za szyję, odchylając głowę, pragnąc, żeby ją tulił, żeby ją całował. Kiedy musnął wargami jej usta, zamruczała jak kot.

Zatraciła się w doznaniach, chcąc tylko, by ta chwila trwała i trwała.

Kiedy w końcu podniósł głowę, przyłgnęła do niego instynktownie, nie otwierając nawet oczu. Harry spojrział na nią z czułością, wziął na ręce i zaniósł na kanapę przed kominkiem.

– Mogę chodzić – zaprotestowała rozmarzona.

– A twoje bąble?

Ułożył ją na poduszkach. Wyglądała jak nastolatka w tej idiotycznej flanelowej piżamie i skarpetach, z potarganymi włosami, cała zarumieniona z emocji. Ale kiedy otworzyła oczy i rzuciła mu zagadkowe, na wpół błagające, na wpół odpychające spojrzenie, wiedział, że nie patrzy na zwyczajną dziewczynę.

– Jesteś zdenerwowana, Malone? – zapytał, ujmując jej lewą stopę i zdejmując skarpetę.

– Mallory – poprawiła. Zdjął drugą skarpetę.

– Nie odpowiedziałas – zaczął masować stopę, łagodnie, rytmicznie.

– Oczywiście, że nie jestem zdenerwowana – patrzyła na niego oczami rozszerzonymi z przestachu.

Przesunął dłonią wzdłuż gładkiej łydki, masując obolałe mięśnie. Było to cudowne uczucie i Mal odprężyła się.

– Mmmm, jak dobrze – zamruczała. – Cudownie... Kiedy mnie znów pocałujesz?

– Skoro o to prosisz... – wciągnął ją sobie na kolana, ujął w dłonie twarz.

Płyły minuty, a oni się całowali. Chciała być bliżej niego, więc ściągnęła mu koszulę, gładząc nagie plecy o smukłej linii mięśni.

Jego dłonie znalazły się pod górą od niebieskiej piżamy, przemykały po jej

skórze, zataczały kręgi wokół piersi. Mal jęknęła z rozkoszy, odchyliła się w jego ramionach, poddając pieszczocie.

Drżącymi palcami rozpiął jej piżamę. Spojrzał na Mal, ozłoconą arizońskim słońcem. Krągłe piersi, uwieńczone koralowymi brodawkami, dopraszały się dotyku.

Pochylił głowę, przemknął po nich językiem, smakując jej ciało, sunąc ustami coraz niżej i niżej.

Rozwiązał pasek piżamy i odsłonił ją całą. Obrysował palcami linię jej brzucha i Mal zdrząła. Wygięła plecy w łuk, kiedy nakrył dłonią wzgórek włosów i delikatnie przesunął palcem po najczulszym miejscu. Mal krzyknęła cicho, napierając na jego dłoń. Przywarł wargami do jej ust, kęsając, całując, podczas gdy jego palce wznosiły ją na szczyt. Z okrzykiem, będącym w połowie jękiem, pozwoliła mu zabrać się poza granicę samokontroli.

– Och, Harry! Harry! – jęknęła.

Była piękna w tym momencie poddania. Patrzyła jak zahipnotyzowana, kiedy się rozbierał. Przesunęła językiem po suchych wargach, pragnąc go, pragnąc mu się oddać.

Zrobiła mu miejsce obok siebie na kanapie.

– Harry – powtórzyła głębokim, miękkim głosem. – Harry...

Leżał już przy niej, chłonąc jej rozpalone ciało, smakując jej skórę, podczas gdy ona drżała pod dotykiem jego rąk. Potem miękko osunęli się z kanapy na dywan.

Miał ją pod sobą, rozświetloną płomieniem ognia. Zatonęła w jego oczach, czekała. Była wilgotna, piękna, zmysłowa, głęboko podniecająca i Harry poczuł, jak pożądanie zalewa go żarem. Ogarnął ją ramionami, znowu szukając jej ust.

Wczepiła mu dłonie we włosy, kiedy w nią wszedł, objęła go nogami, wybiegając mu na spotkanie.

Pragnął jej, teraz, natychmiast, drżał z pożądania, ale chciał zabrać ją ze sobą, chciał dać jej rozkosz.

– Poczekaj – szepnął. – Mal poczekaj... – wziął głęboki oddech, jak po długim biegu, próbując zapanować nad sobą, potem ona wymówiła jego imię cichym, łamiącym się głosem i był stracony.

Jej jęki narastały z każdym jego ruchem. Wsparł się na dłoniach, spoglądając na nią. Poszukał oczu Mal i ponownie wznosił ją wysoko, by razem przetoczyć się przez krawędź i osunąć w otchłań, ciało przy ciele, usta przy ustach. Potem znieruchomieli.

Mal leżała pod nim, ciągle go sobą otaczając, dryfując gdzieś w przestrzeni, nie chcąc go wypuścić. Rozkoszowała się jego ciężarem, gładką, wilgotną skórą, ostrym zapachem mężczyzny.

– Mallory – jęknął, a ona uśmiechnęła się, powoli wracając na ziemię.

– Przygniatam cię – odsunął się od niej i Mal westchnęła z żalem. Seks nie był

dla niej jedynie zaspokojeniem zmysłów. Oznaczał więcej niż przyjemność, oznaczał, że w momencie zjednoczenia jest kochana. Chciała, by to trwało jak najdłużej. Kiedy uwolnił ją od swojego ciężaru, była znowu sama.

Usiadła, obejmując kolana ramionami. Harry patrzył na nią przez długą chwilę, a ona próbowała odczytać jego myśli. Pochylił głowę i delikatnie ucałował zabąblowane palce, jeden po drugim.

Łzy wezbrały jej pod powiekami: twardy gliniarz był czułym kochankiem, uważającym i szczodrym.

Podniósł sweter, otulił jej ramiona, przygładził roztrzepane włosy. Ręce mu drżały tak samo, jak jej, kiedy go dotykała, w zdumieniu przesuwając palcami po jego policzku, po ostrym zaroście, który poranił jej delikatną skórę, choć ona nawet tego nie zauważyła.

Zdała sobie sprawę, że płyta Sinatry nadal kręci się na talerzu adaptera, mimo że muzyka dawno umilkła. Przyłożyła dłoń do piersi Harry'ego, poczuła jak wali mu serce i uśmiechnęła się.

Harry pomyślał, że ona jest jak świeca płonąca w mroku, rozświetlająca jego życie. Wziął kieliszek z winem i przytknął do jej ust. A kiedy się napiła, pochylił głowę i zlizął kropelki z jej ust.

– Nie potrzebuję wina – szepnął zdławionym głosem. – Mam ciebie. Uniosła ramiona nad głową i przeciągnęła się jak kot, zaspokojona. Aż do chwili, gdy Harry znów nakrył dłonią jej pierś, przesuując kciukiem po brodawce. Wszystko zaczynało się od nowa.

Polano się przepaliło i osunęło w palenisko. Kiedy w końcu powrócili do rzeczywistości, na kominku pozostał tylko żar. Płyta nadal kręciła się bezgłośnie, butelka wina pozostała pełna.

Harry wysunął ramiona spod jej pleców. Zamruczała coś z niezadowoleniem.

Powiodła za nim wzrokiem, kiedy szedł przez pokój, pomyślała, że jest piękny.

Wyłączył adapter, wyjął z kanapy kordonkowy pled i parę poduszek. Uniósł jej głowę, wsunął poduszkę i nakrył Mal pledem. Potem położył się przy niej.

– Wygodnie?

– Mmmm – oczy miała na wpół przymknięte, powoli ogarniało ją przyjemne zmęczenie. Harry pocałował ją łagodnie, układając jej głowę w zagłębieniu swojego ramienia.

Miejsce jakby wymarzone dla ciebie, Malone – powiedział, zamykając oczy.

– Mallory – poprawiła go. I powiedziawszy to, zasnęła.

Squeeze obudził ich wczesnym rankiem, popiskując pod drzwiami. Harry powolutku wysunął zdrętwiałe ramię spod głowy Mal i wstał.

– Nie odchodź – powiedziała głosem zduszonym przez koc.

– Pies – wyjaśnił – zaraz wrócę.

Wypuścił psa i wrzucił nowe polano do kominka, podsycając żar antyczną, skórzaną dmuchawką.

Spojrzał na przykryty kocem wzgórek, nieruchomo spoczywający na dywanie. Spod pledu widać było tylko jej stopy, całe w bąblach. Pomyślał, że nawet stopy ma ładne. Naciągnął szorty i bosy poszedł do kuchni.

– Cholernie jesteś pracowity, detektywie – pobiegł za nim rozżalony głos Mal.
Uśmiechnął się szeroko.

– Ktoś musi pracować, Malone! – odkrzyknął z kuchni.

Mal opadła z powrotem na dywan, nasłuchując dźwięków poranka, śpiewu ptaków, poszczekiwania psa i brzęku naczyń w kuchni. Wkrótce dotarł do niej zapach świeżo mielonej kawy, a Harry śpiewał w kuchni po hiszpańsku.

Była ciekawa, czy tańczy.

– Obsługa hotelowa.

Usiadła, naciągając wstydliwie koc na piersi. Oczy jej się rozszerzyły.

– Kawa. I bułeczki! Podsunął jej koszyk.

– Z jagodami na lewo, soczewica na prawo.

– Z soczewicą? Wyglądał na skruszonego.

– Obawiam się, że to moja jedyna słabość.

O! Wydawało mi się, że wczorajszej nocy naliczyłam ich więcej. Uniósł brwi.

– Zauważyłaś?

Zaśmiała się. Pochylił się, żeby ją pocałować.

– Jesteś okropnie potargana – powiedział, chwytając wargami jej ucho.

– Bardziej niż ty? Rozwichrzył jej włosy.

– Jedz swoją bułeczkę i przestań narzekać, Malone... Mallory.

– W końcu załapałeś – nagryzła jagodziankę. – Smakuje bosko.

– Niskokaloryczny raj dla podniebienia.

– Wcale nie są niskokaloryczne! – musiał się roześmiać, widząc jej oburzoną minę.

– Jasne, że nie. Chciałem tylko, żebyś zjadła je z czystym sumieniem. A jak kawa?

– Rozkosz.

– Czego więcej może pragnąć kobieta?

– Niewiele – przyznała, opierając się o niego wygodnie, zjadając jagodziankę i przyciskając koc do piersi.

– Za późno na koce – powiedział, popijając kawę. – Wszystko już widziałem – ku jego zdumieniu, oblała się rumieńcem. – Malone, nie musisz się wstydzić.

Pamiętasz mnie? Faceta z wczorajszej nocy?

Skinęła głową, zaczerwieniona po nasadę włosów.

– Umówiłam się z nim na randkę.

– A on zabrał cię na przyjęcie – szepnął, całując ją w kark. – Pozwoliłaś mu wsunąć rękę pod sukienkę.

– Jesteśmy odrobinę za starzy na pieszczoty na tylnym siedzeniu limuzyny.

– Wtulila szyję w jego dłoń. Delikatnie masował jej kark.

– Och, Malone – westchnął tęsknie. – Nie były to niewinne pieszczoty.

Roześmiała się, dopiła kawę, przełknęła ostami kęs jagodzianki i wsunęła na nos okulary. Potem wstała, szczelnie otulona kocem.

– Idę pod prysznic – oznajmiła.

Harry siedział na kanapie i patrzył na nią. Ogarnęła wzrokiem jego szerokie ramiona, ciemne włosy na piersi, niebieskawy zarost, dopraszający się żyłki, mięśnie przylegające ciasno do żeber. Tak jak wczoraj lgnęła ona, ciało do ciała. Na samo wspomnienie zrobiło jej się gorąco.

Rzuciła mu rozradowany uśmiech i odeszła, uwodzicielsko kołysząc biodrami. Nie odrywał od niej wzroku. Była już w połowie pokoju, kiedy kordonkowy pled zaczął się zsuwać. Odwróciła się, rzuciła Harry'emu zmysłowe spojrzenie znad oprawki okularów, pozwalając, by pled zsunął się jeszcze niżej. Ciągnąc go za sobą, szła w stronę schodów.

– Jak śmietanka na brzoskwiinach – powiedział z podziwem Harry. Śmiała się, niespiesznie wchodząc na schody.

28.

Kiedy wróciła na dół, Harry leżał na kanapie, wyciągnięty na całą swą długość.

Najwyraźniej zdążył wziąć prysznic, ponieważ włosy miał wilgotne. Ubrany był w dżinsy, białą, bawełnianą koszulkę i spał twardo.

Patrzyła na niego z uśmiechem pełnym czułości. Pomyślała, że jest stworzony do dżinsów i bawełnianych koszulek. I że wygląda na wyczerpanego.

Otworzył oczy i spojrzał wprost na nią. Spojrzenie było tak głębokie, tak intymne, że odczuła je jak dotyk. Wziął ją za rękę, pociągnął na kanapę i objął w pasie.

– Cudownie pachniesz – wymruczał. – Jak wszystko, co dobre na świecie: świeżo skoszona trawa... A może chodzi mi o nagrzone słońcem siano? Ogród po deszczu, bryza od oceanu na tropikalnej wyspie...

– To jodyna – przyznała uczciwie. – Na bąble. Roześmiał się.

– Ilu znasz mężczyzn, którzy wzięliby jodynę za wiatr od morza?

– Bardzo niewielu. Prawdę mówiąc, tylko ciebie, Harry Jordan. Przyciągnął ją i mocno pocałował w usta.

– Teraz jesteś cały uszminkowany – przesunęła palcem po jego wargach.

Ucałował jej palce, potem wewnątrz dłoni, znowu usta. Stary zegar dziadka w holu nagłąco wybił dwunastą. On miał nocny dyżur, ona musiała złapać samolot do Nowego Jorku, oboje czekała długa jazda do Bostonu.

– Dlaczego to się musi skończyć – wymruczał – akurat w chwili, gdy się zaczęło?

– Stara bajka o Kopciuszku – szepnęła z zalem. Wtulił twarz w jej szyję.

– Czy ktoś mówił ci, że jesteś cudowna? To znaczy, kiedy jesteś grzeczna.

Westchnęła.

– Nie mogłeś poprzestać na „cudowna”? Ale skoro pytasz... Nie, nikt mi tego nie powiedział.

Unióśł głowę i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Tylko ja?

– Tylko ty.

Jego oczy złagodniały. Ujął ją za podbródek i unióśł twarz, szukając jej spojrzenia.

– Biedna Mary Mallory Malone – powiedział cicho. – Nie powiedziała jej tego nawet matka.

– Nawet matka – przyznała ze smutkiem.

Wyczuł nagłą zmianę jej nastroju i chciał powiedzieć: „nie martw się, teraz wszystko będzie dobrze.” Ale czuł, że nie będzie dobrze. Wiedział, że Mal musi z kimś porozmawiać o tym, co się wydarzyło, podzielić się uczuciami, albo

przeszłość okaleczy ją na resztę życia.

– Nigdy nie dokończyłaś opowieści o latach spędzonych w Golden – powiedział.

Wzruszyła ramionami, nagle zupełnie mu obca.

– Mieszkałam tam. Potem wyjechałam.

Podszedł do okna i stanął odwrócony plecami, spoglądając na drzewa.

– A twoja matka? Co się z nią stało, Mal? Czuł jak tężeje z napięcia.

– Co to cię może obchodzić?

Podszedł do niej szybko, chwycił za ramiona, ale wyrwała mu się jednym ruchem, odskoczyła w tył.

– Musisz mi o tym opowiedzieć – nalegał. – To jedyny sposób, żebyś poczuła się lepiej.

Mal popatrzyła na niego zmrużonymi oczami. Nienawidziła go za to, że zmusza ją do powrotu do tamtych dni, nienawidziła wspomnień, które pogrzebała w ciemnych zakamarkach umysłu.

– Za kogo ty się właściwie uważasz?! – zawołała z gniewem. Harry popatrzył na nią spokojnie.

– Za przyjaciela.

Jej oczy pociemniały z bólu. Spuściła głowę, zagubiona, nieszczęśliwa. Harry zrozumiał, że przeniósł ją w przeszłość, że patrzy teraz na dziewczynę, którą była niegdyś.

Mal czuła, jak na samą myśl o powrocie strach pełźnie jej po krzyżu, namacalny niby liszka. Pamiętała tamten dzień z najdrobniejszymi szczegółami. Słyszała niemal zawodzenie wiatru, ryk oceanu, widziała całą scenę tak wyraźnie, jakby zdarzyła się wczoraj.

Podróż z Seattle do małego nadmorskiego miasteczka w Oregonie była długa i męcząca. Ostatni etap Mal przebyła lokalnym autobusem, słynącym z tego, że potrafi wytrząść życie z pasażerów. Sama już nie wiedziała czy czuje ulgą czy strach, kiedy, podskakując na wybojach, wtoczył się na parking i stanął z dziwnym zgrzytem w silniku.

– Końcowy przystanek – powiedział kierowca, zdejmując czapkę i ocierając spocone czoło. Nie patrząc na nią, wygramolił się z zapadniętego krzeselka i wyszedł na zewnątrz.

Jej oczy, ukryte za grubymi szklami w plastikowych oprawkach, pobiegły za nim.

Zataczając się na wietrze, szedł w stronę baraku, który służył jako kasa biletowa, kawiarnia i centrum informacji turystycznej. Mieszkała w Golden od sześciu lat. Jeździła autobusem Chucka Montgomery’ego setki razy, a on nigdy nie odnotował jej obecności. Takie to było miasto.

„Kurewska dziura”, jak nazwała je matka, kiedy wjechały do Golden po raz

pierwszy, z dobytkiem upchniętym na tylnym siedzeniu turkusowego chevroleta z chromowanymi wykończeniami. Od tamtego czasu nic się nie zmieniło.

Zarzuciwszy na ramię mały, czarny plecak, wysiadła z autobusu. Wiatr uderzył ją w twarz pozbawiając na chwilę tchu, owijając tanią bawełnianą spódnicę wokół nóg, tłocząc sweter do piersi.

Rozejrzała się wyczekująco, ale parking był pusty. Z oddali dobiegał nigdy nie milknący ryk oceanu.

Odczekała parę minut, ale wysłużony chevrolet nie pojawił się. Nie pojawiła się również matka, choć Mał napisała do niej z uczelni, zawiadamiając, że przyjedzie autobusem o drugiej. Niepotrzebnie się fatygowała. Na matce nigdy nie mogła polegać.

– Dlaczego cię tu nie ma, mamó? Tylko ten jeden raz, kiedy naprawdę cię potrzebuję? – wyszeptwała, czując wzbierające łzy.

Nie było sensu czekać. Wzięła plecak i ruszyła z dworca piechotą. Z opuszczoną głową brnęła pod wiatr znajomą drogą do miasta. Przypomniała sobie, że dziś jest Święto Dziękczynienia.

Miasteczko przyczep kempingowych leżało na wzgórzu, po gorszej stronie Golden.

Na szczycie odwróciła się i spojrzała na morze. Ogromne fale rozbijały się o brzeg z taką siłą, że czuła niemal drzenie nękaney ziemi. Słyszała ich odległe, głuche echo. Wiatr gwizdał jej w uszach.

Wolno poszła w stronę przyczepy. „Dom na kółkach”, nazywała ją matka, jakby takie czy inne określenie mogło podnieść ich status społeczny.

Wiele lat temu wiatr pourywał skrzynki na kwiatki, w pierwszym, optymistycznym roku w Golden, wypełnione czerwonymi gardeniami. Teraz zwisały z parapetów, ociekając wodą. Podarte koronkowe firanki powiewały w brudnych oknach. O zapachu pieczonego indyka nie było nawet mowy.

Drzwi były otwarte. Mary weszła i rozejrzała się.

– Mamó? – weszła do kuchni.

– Mamó? – zawołała ponownie, upuszczając plecak na podłogę. Jej list z zawiadomieniem o przyjeździe leżał na stole obok pustej filiżanki po kawie.

Sprawdziła wąski salonik i sypialnię na tyłach. Zajrzała do łazienki. Matki nie było.

Wróciła szybko do kuchni, dotknęła dzbanka z kawą. Był jeszcze ciepły.

W jednej chwili zrozumiała, gdzie poszła matka. Gdzie zawsze szła, ilekroć depresja spowiła ją niby czarna chmura.

Deszcz strumieniami płynął po szybach. Założyła pospiesznie jaskrawo-żółty sztormiak i wybiegła z przyczepy. Zbiegła z urwiska, zataczając się w podmuchach

wiatru, aż dojrzała do miejsca, gdzie droga zmieniała się w ścieżkę, prowadzącą na plażę.

Była przyzwyczajona do zimowych sztormów w Oregonie, kiedy potworne fale, narastające przez cztery tysiące mil swego biegu, zmieniały się w spienione potwory. Spadały na skały, wdzierały się na wydmy, miażdżąc wszystko na swej drodze.

Ocierając twarz z deszczu, stała zgięta w pół i osłaniała dłońmi oczy.

Dostrzegła ją, drobną figurkę na skałach, zapatrzoną w morze.

Nagle matka postąpiła krok, przechodząc na kamień położony bliżej fal.

Zatrzymała się na chwilę, po czym zrobiła następny krok. Znow się zatrzymała i Mary Mallory pomyślała, że wygląda to jak zabawa w klasy.

Za późno zrozumiała, co naprawdę robi jej matka.

– Mamusiu! – krzyknęła. – Mamusiu, nie!

Kolejny krok. Wielka fala sunęła ku brzegowi, z każdym metrem nabierając wysokości i siły. Matka uniosła oczy ku niebu, ekstatycznym ruchem wyrzuciła ramiona nad głowę. Fala porwała ją i w jednej sekundzie wchłonęła w siebie.

Mary Mallory tępo patrzyła na miejsce, gdzie przed chwilą stała jej matka. Nagle dostrzegła jej smukłe ciało na grzbiecie fal, wynoszone coraz wyżej i wyżej.

Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści stóp, aż wydawało się, że dotknęło szarych chmur. Potem fala załamała się, wzbijając obłok rozpylonej wody, rzucając ciało matki na skały.

Mary Mallory krzyknęła, kiedy cofająca się fala wyłuskała ciało i zabrała je ze sobą w szarozieloną kipieli.

Nigdy go nie odnaleziono.

Harry delikatnie pogłaskał jej pochyloną głowę. Litość wezbrała mu w sercu, kiedy przypomniał sobie własne idylliczne dzieciństwo na Farmie Jordana.

Popatrzyła na niego oczami zamglonymi od nie wypłakanych łez. Dostrzegła w nich dziwny wyraz: wahania, tęsknoty... ale trwało to ułamek sekundy.

Wyciągnął ramiona, a ona schroniła się w nich jak zbłąkany kociak, który szuka ciepła i ochrony. Miała wrażenie, że matka umarła wczoraj. Wspomnienia rozdarły zasklepioną ranę.

– Zawsze myślałam, że to przeze mnie – szepnęła. – List leżał na stole.

Napisałam, że wracam do domu, że jej potrzebuję. Ona tego nie chciała. Nie potrzebowała mnie.

– To nie była twoja wina – przekonywał łagodnie. – Nie mogłaś jej uratować – ale ona ukryła tylko twarz na jego piersi. – To wszystko minęło, Mal – powiedział stanowczo. – Należy do przeszłości, musisz o tym zapomnieć.

– Wiem – ale w jej głosie brakowało przekonania.

Harry miał wrażenie, że coś przed nim zataiła, chciał poprosić, żeby powiedziała

wszystko do końca, uwolniła się ostatecznie od przeszłości. Ale uznał, że miała dosyć przeżyć jak na jeden dzień.

Pies wpadł do domu, wnosząc świeży zapach lasu i wiatru. Zatrzymał się i spojrzał na nich, przekrzywiając łeb. Potem szczerknął krótko, podbiegł i trącił nosem rękę Mal.

Podniosła głowę i popatrzyła na Squeeze'a.

– Och, Harry – powiedziała zdławionym głosem. – Jesteś człowiekiem, który ma wszystko.

Ale uśmiechała się, tarmosząc uszy Squeeze'a. Harry zrozumiał, że najgorsze minęło. Na razie.

29.

Mal Malone jeszcze zaprzętała mu myśli, kiedy stawiał się wieczorem na cmentarną zmianę. Odwiózł ją na lotnisko, zaprowadził do wejścia do samolotu, pocałował dyskretnie w policzek, kiedy się żegnali pod obstrzałem ciekawskich spojrzeń. Prawie zapomniał, że Mal jest gwiazdą telewizyjną, że większość ludzi, przechodzących przez punkt odprawy, zna jej twarz równie dobrze jak własną. Po tym weekendzie stała się dla niego po prostu Mal: fascynującą kobietą, która weszła mu w krew, i która nieustannie się z nim kłóciła; piękną kobietą, która kochała się z nim tak, jakby robiła to z całego serca; kobietą z tajemniczą, tragiczną przeszłością.

– Zobaczą cię w przyszłym tygodniu? – zapytał, kiedy szli do wyjścia dla odlatujących.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

– Chcesz się ze mną zadawać mimo wszystko?

– Kto wie? Może – uśmiechnął się szeroko, pocałował ją w policzek. Wciągnął głęboko powietrze, jakby chciał zabrać ze sobą jej zapach. – Tym razem to nie jodyna – szepnął. – Mógłbym przysiąc.

Pomachała mu ze śmiechem na pożegnanie.

– Zadzwoń do mnie – zawołała, wchodząc do rękawa samolotu. Odwróciła się na chwilę – Harry.

– Tak, psze pani, Malone... Mal.

– Dzięki.

Podniósł dłoń do czoła, jakby chciał zaszutować.

Patrząc na puste miejsce, gdzie przed chwilą stała, zastanawiał się, dlaczego ma takie nieprzyjemne uczucie, że nie powiedziała mu wszystkiego.

Odwiózł psa do domu i zostawił, zwiniętego rozkosznie pod łóżkiem, śniącego bez wątplenia o królikach, wiewiórkach i szopach.

Na komendzie zapowiadała się spokojna noc. Niedziele często były spokojne, ludzie woleli mordować się w piątki i soboty, dając mu wytchnąć w dzień Boży.

O dziesiątej przyszło pierwsze zgłoszenie. Zadzwoiła kobieta, zaniepokojona nieobecnością siostry. Miały się spotkać, siostra nie zjawiała się, rozmowa, którą nagrała na automatyczną sekretarkę, została w dziwny sposób przerwana, a teraz nie podnosi słuchawki. Radiowóz pojechał pod wskazany adres, zabierając po drodze siostrę. Nikt nie odpowiadał na pukanie, ale siostra miała klucze. Tego, co znaleźli za drzwiami, nie można było nazwać ładnym widokiem.

– Ruszamy – powiedział Harry do Rossetti'ego, wstając z biurka. Rossetti chwycił kubek z kawą i pobiegł za nim do samochodu. Harry usiadł za kierownicą i pomknęli na sygnale cichymi ulicami miasta.

– Paskudne zakończenie cudownego weekendu – powiedział Harry ponuro.

– Był aż taki cudowny?

– Dobrze się bawiłem, Rossetti – rozpedzony samochód pokonał zakręt na dwóch kołach, przeskoczył przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

– Vanessa kazała ci przekazać, żebyś nie zapomniał o przyjęciu. Mówi, że dwadzieścia jeden lat kończy się tylko raz.

– Nie zapomnę.

Fragment ulicy przed małym, drewnianym domem odgradzony był pasmem żółtej taśmy, sygnalizującej miejsce przestępstwa. Trzy radiowozy błyskały czerwonym światłem.

Mały, niebieski neon, zaparkowany na niedużym podjeździe, wydawał się przy nich martwy. Tłumek ciekawskich sąsiadów tkwił za barierką z taśmy, dwaj umundurowani policjanci strzegli wejścia do domu.

Harry spostrzegł młodą kobietę, skuloną na tylnym siedzeniu radiowozu. Ze smutkiem pokiwał głową. Domyślił się, że to siostra zamordowanej. Będzie musiał z nią później porozmawiać.

Przywitał się z policjantami, zadał im parę pytań, otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Rossetti deptał mu po piętach.

Zapach krwi i martwego, dwudniowego ciała odrzucił ich do tyłu. Zapalili latarki. Policjanci niczego nie tknęli, nie włączyli nawet światła, na wypadek, gdyby morderca zostawił odciski palców na kontaktach. Coś zachrząściło pod nogami Harry'ego. Skierował latarkę w dół.

– Groszek – stwierdził Rossetti ze zdumieniem. – Może dopadł jej, kiedy gotowała obiad.?

Dwa kroki za drzwiami natknęli się na kałużę krwi, zmieszanej z groszkiem. Krew była również na ścianie, na płaszczu przerzuconym przez krzesło, na drzwiach.

– Jezu! – mruknął Rossetti. – Jatka.

Harry przesunął snop światła wzdłuż ścieżki krwi, która prowadziła do ciała skulonego w drzwiach pokoju. Kobieta klęczała z twarzą wciśniętą w zakrwawiony dywan. Miała na sobie jedynie majtki. Długie, płomiennorude włosy załśniły w świetle. Czarny kot siedział przy niej i patrzył na nich, nerwowo poruszając ogonem.

– To nie będzie miłe, Rossetti – powiedział cicho Harry. – I gdzie, do cholery, jest patolog?

– Już idzie, detektywie – policjant stanął w drzwiach, rozejrzał się i gwizdnął przeciągle.

– Nic dodać, nic ująć – powiedział z drżeniem. Lekarz policyjny precyzyjnie przycisnął się obok niego. Był to doktor Blake, jeden z kilku patologów zatrudnionych przez

wydział zabójstw.

– Uważam, że to przesada, detektywie Jordan, jest środek nocy – powiedział z rozdrażnieniem.

– Niech pan patrzy pod nogi! – zawołał Harry. – Nic tu jeszcze nie było robione.

– Wiem, wiem – powiedział lekarz. – Do licha, grzebię się w tym od dwudziestu lat, nie musi mi pan mówić, co mam robić. Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, po co ludzie mordują się w niedzielny wieczór i wrywają człowieka z rozkosznej drzemki przy wieczornym wydaniu dziennika?

– Cholerny świat – powiedział Rossetti, przepuszczając fotografa. W minutę ustawił światła i sfotografował scenę zbrodni.

Doktor Blake przykucnął przy ciele.

– Nie ma wątpliwości jak umarła – powiedział energicznie. – Poderżnięte gardło, przecięta tętnica szyjna. Dwa odrębne cięcia. Do tego kilkanaście ran po nożu – robił starannie notatki, wskazując fotografowi rany do zbliżeń.

Harry stał w drzwiach, ze skrzyżowanymi ramionami i twarzą pozbawioną wyrazu.

– Kiedy to się stało, doktorze?

Blake zerknął ku niemu, poprawiając okulary.

– Co jest teraz? Jeszcze niedziela? – spojrzał na zielonkawe plamy na brzuchu ofiary, które wskazywały na rozpoczęcie procesu rozkładu. Ujął kobietę za nadgarstek, ciało było jeszcze sztywne. – Ślady zeszywnienia pośmiertnego.

Powiedziałbym sobota, wcześniej rano. Około trzydziestu paru godzin temu. Powiem wam więcej po zbadaniu vitreous humor.

Harry wiedział z doświadczenia, że doktor mówił o galaretowatej cieczy w oku, którą wydobędzie za pomocą strzykawki i która, z racji swojej odporności na zmiany pośmiertne, pozwoli określić z większą dokładnością czas zgonu.

Blake naciągnął na ręce i nogi ofiary plastikowe woreczki, by zabezpieczyć ewentualne ślady.

– Gwałtu nie było, detektywie – zauważył. – A przynajmniej nie widać śladów. Choć mogę się mylić. Sekcja wykaże.

Doktor Blake spojrzał na zmaltretowaną, zakrwawioną twarz, po raz pierwszy dostrzegając w ofercie kobietę. Przyglądał się jej przez długą chwilę.

– Wiecie już, kto to jest? Harry potrząsnął głową.

– Na zewnątrz jest siostra. Zidentyfikuje ją.

– Trudno mieć pewność przy takich obrażeniach i przy takiej ilości krwi, ale wydaje się znajoma – zapakował instrumenty do czarnej torby, wstał. – No, ja swoje zrobiłem. Na razie. Teraz wasza kolej, panowie. Do zobaczenia w kostnicy.

– Dzięki, doktorze.

Wycofując się ostrożnie, doktor trącił coś nogą. Nie zwrócił na to uwagi, natomiast Harry usłyszał cichy brzęk. Powoli omiół podłogę strumieniem światła.

– Detektywie! – powiedział z triumfem do Rossettiego. – Myślę, że znaleźliśmy narzędzie zbrodni.

Był to mały nóż, mający nie więcej niż czternaście centymetrów długości.

Plastikowa pochwa skrywała wąskie ostrze. Nie było widocznych plam krwi.

Morderca musiał umyć go przed wyjściem.

Harry przywołał fotografa, który zrobił zdjęcia i pobrał wymiary. Potem zjawił się ktoś z laboratorium, pieczołowicie zapakował nóż i zabrał go ze sobą.

Tuż obok noża leżała na podłodze rozerwana foliowa torebka. „Mrożony groszek, 1 kg”, przeczytał Harry na etykietce. Stąpając ostrożnie między kałużami krwi, podszedł do ciała w progu sypialni.

Była to jedna z najgorszych scen, jakie oglądał w swojej karierze policyjnej.

Dłonie dziewczyny pozostawiły krwawe ślady na drzwiach, wokół jej kolan stała kałuża zakrzepłej krwi. Pomyślał, z mdlącym uczuciem w żołądku, że wygląda to tak, jakby cała jej zawartość wypłynęła na dywan.

Technicy zabezpieczyli kontakty i w korytarzu zapłonęło światło. Harry usłyszał zawodzenie ambulansu. Przyklęknął przy ciele.

W miejscu, gdzie kiedyś było gardło, widniała rozwarta rana. Dziewczyna miała twarz pociętą nożem, oczy uciekły jej w tył głowy, ale nie było wątpliwości, kim jest.

Rossetti stanął nad nim.

– O mój Boże! – powiedział zduszonym szeptem. – O mój Boże, to Suzie Walker!

Harry’emu dreszcz przeleciał po plecach, poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

Nigdy nie miał do czynienia z zamordowanym przed jego śmiercią, nigdy nie znał osobiście nikogo, kto zmienił się z energicznej, młodej kobiety w umęczone ciało.

Podniósł się szybko, patrząc na nią w osłupieniu. Ogarnęła go nagle dzika wściekłość.

– Chryste! – ryknął, uderzając pięściami w ścianę. – Dlaczego? Kurwa! Dlaczego wybrał ją?! – gniew w ogóle pozbawił go czucia. Walił pięściami w ścianę i nie czuł bólu.

Rossetti stał jak wrośnięty w ziemię.

– Przepraszam – powiedział nagle i ruszył pośpiesznie w stronę drzwi. Poszedł kawałek ulicą, skręcił pod stary klon i zwymiotował.

Harry stał ze skamieniałą twarzą, kiedy sanitariusze pakowali do worka to, co zostało z Suzie Walker, ułożyli worek na noszach i zanieśli go do ambulansu. Nie było potrzeby włączać syreny.

Wepchnął piekące pięści do kieszeni. Pomyślał, że gdyby dopadł teraz mordercę, zabiłby drania. Udusiłby go gołymi rękami. Skopał skurwiela na śmierć. Potem przypomniał sobie, że jest gliniarzem, a więc musi zachować dystans, zimną krew i obiektywizm. Koniec kropka. Ale oczami wyobraźni nadal widział pielęgniarkę Suzie Walker, jak uśmiecha się do niego pięknymi, zielonymi oczami. Słyszał jak odpowiada Rossettiemu, kiedy ten poprosił ją o randkę...

– Dlaczego to musiała być Suzie, Profesorku? – Rossetti stanął przy nim. W ostrym świetle jego twarz była szara, pusty wyraz oczu. – Była miła – powiedział posepnie. – Była dobrą pielęgniarką, była ładną, dobrą kobietą.

Harry wiedział, co powinien teraz powiedzieć. Powinien powiedzieć, że przydybą drania, że wsadzą go za kratki za to, co zrobił Suzie, że zasługiwała na lepszy los. Ale nie mógł. Pomyślał z goryczą, że te słowa nie przyniosą ulgi jej rodzinie. Poza tym, mówił to już po śmierci Summer Young. Z trudem oderwał myśli od ofiary i skupił się na tym, co pozostało do zrobienia.

Poklepał Rossettiego pocieszająco po ramieniu i rozpoczął systematyczne przeszukiwanie sypialni.

30.

Kiedy godzinę później opuścili mieszkanie Suzie, czekał na nich Alex Kłosowski. Powiedział już policjantowi z patrolu, co słyszał i teraz to samo powtórzył Harry'emu.

Był sympatycznym facetem, z ciemnymi włosami, związanymi w kucyk i brązowymi oczami o łagodnym spojrzeniu.

– To było w piątek wieczorem. Około ósmej. Suzie wychodziła do pracy. Oboje zamykaliśmy drzwi i ona powiedziała, że poprzedniego dnia zgubiła klucze, ale ktoś je zwrócił. Zastanawiała się, kto to mógł być. Powiedziałem, że powinna zmienić zamki, ostrożności nigdy za wiele – odwrócił głowę. – Jezu! – wykrztusił przez ściśnięte gardło. – Nie myślałem o czymś takim.

– Nie mógł pan wiedzieć, panie Kłosowski – zapewnił go Harry spokojnie.

– Zakładałem, że idzie na nocny dyżur. Jest... Była pielęgniarką, wie pan, w szpitalu miejskim. Byłem zdziwiony, kiedy wróciłem do domu i zobaczyłem jej samochód. Potem zauważyłem światło w kuchni. Pomyślałem, że musiałem się pomylić, albo wróciła do domu wcześniej.

– Która to była godzina?

– Coś koło drugiej. Tak, parę minut po drugiej. Skończyłem pracę u Danielsa na Newbury Street. Wkładałem klucz w zamek, kiedy usłyszałem krzyk.

Spojrzał na Harry'ego wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– To znaczy, z początku wziąłem to za krzyk. Nasłuchiwałem, ale panowała cisza, więc powiedziałem sobie, że to pewnie kot. Pełno tu dzikich kotów i czasem tak właśnie krzyczą – zwiesił głowę, bliski łez. – Boże, żeby to był kot! Tylko kot.

Gdybym to sprawdził...

Twarz miał znękaną, kiedy znowu spojrzał na Harry'ego.

– Czuję się za to odpowiedzialny. Gdybym coś zrobił, zapukał, zapytał, czy nic jej nie jest, zadzwonił na policję...

– Wątpię, czy to by się na coś zdało – powiedział Harry ze współczuciem. – Nie ma sensu się obwiniać. Próbuje nam pan pomóc.

– To nie wszystko – powiedział Kłosowski. – Widziałem go.

– Jezu! – szepnął Rossetti. – Naoczny świadek.

– Szykowałem się do łóżka. Podszedłem do okna, żeby je otworzyć. Zobaczyłem, jak wychodzi z jej domu i idzie przez ulicę. Bardzo się spieszył. Wszedł między zaparkowane samochody i zniknął mi z oczu. Nie, żeby specjalnie patrzył.

Pomyślałem tylko, że to dlatego Suzie wróciła wcześniej z pracy...

Uśmiechnąłem się, na litość Boską!

– Może go pan opisać? – modlił się, żeby mógł.

- Mogę tylko powiedzieć, że to był niski, krępy facet. Ciemne włosy, zdaje się.
- Jak był ubrany?

Kłosowski spojrzał na niego, zbity z tropu.

– Nie zauważyłem, ale musiało to być coś ciemnego, bo wtapiał się tak jakoś w noc.

- Widział pan, jak wsiadał do samochodu?

– Nie... tak... To znaczy, widziałem, a potem ten samochód przejechał koło mojego domu...

- Jaki to był samochód, panie Kłosowski?

– Nie jestem pewien. Duże kombi. Coś jak jeep Cherokee, ale głowy nie dam. Ciemny.

Harry westchnął, rozczerowany.

- Czy zechciałby pan pojechać z nami na posterunek i złożyć oficjalne zeznanie?
- Jasne, że tak!

Harry pomyślał, że Alex Kłosowski zrobi absolutnie wszystko, by uwolnić się od strasznego poczucia winy. Mimo przeżytego szoku, był dobrym świadkiem.

- Detektyw Rossetti zawiezie pana. Rossetti spojrzał na niego pytająco.

– Ja pojedę do szpitala przesłuchać siostrę. Zabrali ją, bo jest w szoku.

Sprawdzą czy może mówić. Rozumiem, że rodzice też tam są.

Harry jechał cichymi ulicami, starając się uporządkować w głowie informacje, jakie zebrał o zabójcy Suzie. Mieli broń, zeznanie naocznego świadka, ogólny opis samochodu zabójcy i przybliżony czas zgonu. Policjanci nadal przeszukiwali mieszkanie Suzie i był pewien, że dostarczą mu nowych poszlak.

Nie było to zaplanowane morderstwo. Dałby głowę, że zabójca był włamywaczem.

Suzie wróciła do domu niespodziewanie, przyłapała go na gorącym uczynku. Więc ją zabił.

Była to teoria robocza, ale postanowił się jej trzymać, dopóki nie wypłyną nowe okoliczności. Był przyzwyczajony do niespodziewanych zwrotów w śledztwie.

Doświadczenie nauczyło go, że w przypadku zabójstwa, nie istnieje coś takiego jak pewnik.

Zaparkował samochód przed izbą przyjęć. Z ciężkim sercem podszedł do stanowiska pielęgniarek, przy którym tyle razy widywał Suzie. Dwie pielęgniarki popatrzyły na niego oczami rozszerzonymi przerażeniem.

- Więc to prawda – odezwała się jedna z nich. – O Suzie?

– Przykro mi.

– Była wspaniałą dziewczyną – powiedziała pielęgniarka i łzy popłynęły po jej policzkach. – Zawsze miła, nawet kiedy byliśmy przepracowane. I taka ładna...

– I była dobrą pielęgniarką – powiedziała druga, zaciskając pięści w bezsilnym gniewie. – Cholera! Parszywy drań! Takich morderców powinno się tępić jak szkodniki. Jak szczury.

Harry przyznał jej w duchu rację.

– Przykro mi – powtórzył. Poszedł wolno korytarzem do sali, gdzie czekała na niego rodzina Walkerów.

– Terry Walker leżała na łóżku całkowicie ubrana. Zdjęli jej tylko buty.

Otrzymała silne środki uspokajające, oczy miała otwarte, lecz widać było, że nie może skupić wzroku. Mimo to, kiedy wszedł do pokoju, usiadła. Trochę przypominała Suzie, tylko włosy miała ciemniejsze.

Pani Walker siedziała na krześle przy łóżku i Harry pomyślał, że nie ma wątpliwości, po kim jej córki odziedziczyły wygląd. Miała rude włosy i zielone oczy, jasną cerę, upstrzoną piegami i wystające kości policzkowe. Płakała bezgłośnie, nie ocierając łez. Mąż stał nad nią, mocno trzymając ją za rękę. Był wysoki i masywny, a na jego twarzy malował się wyraz tępej rozpacz.

Harry dałby wiele, żeby oszczędzić im śledztwa, ale musiał robić, co do niego należało. Przedstawił się, wymienił uścisk dłoni z ojcem Suzie. Ręka Walkera była lodowato zimna. Harry przywołał pielęgniarkę i poprosił o dzbanek gorącej herbaty.

– Znałem Suzie – powiedział. – Widywałem ją często w szpitalu. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro. Przykro mi również, że muszę narzucać się w takiej chwili z pytaniami, ale, jeżeli mamy złapać tego... sprawcę przestępstwa, muszę dowiedzieć się od państwa pewnych rzeczy.

– Tato, powiedz mi o taśmie – głos Terry drżał. Znowu zamknęła oczy, jakby nie mogła znieść widoku, ludzi.

– Wszystko jest na taśmie – Ed Walker wręczył Harry'emu małe urządzenie do nagrywania rozmów. Widać było, że ogromnym wysiłkiem woli stara się wyrażać zwięźle i jasno, ale głos mu drżał. Z trudem dobierał właściwe słowa.

– Suzie... zadzwoniła do Terry, zostawiła wiadomość... urwała w pół zdania... powiedziała: „Och, Boże, Boże... co pan tu robi?... a potem był ten straszny dźwięk i... potem już nic...”

Harry nie wierzył własnym uszom. Jeżeli to, co mówił Walker okaże się prawdą, mieli zbrodnię na taśmie. Widział już pętlę zaciskającą się na szyi mordercy Suzie.

– Miałyśmy się spotkać – powiedziała Terry matowym głosem. Poszukała wzrokiem jego oczu. – Wiem, że była umówiona tego wieczoru z facetem z Beth Israel.

Nazywa się Karl Hagen, jest tam internistą.

– Od dawna go znała?

– Nie wiem. Ale może on to zrobił?

– Masz jakieś podstawy, by tak twierdzić, Terry? Potrząsnęła głową.
– Suzie nieczęsto chodziła na randki, a w takich razach chodzi zwykle o seks, prawda?

Harry usłyszał jęk pani Walker i powiedział szybko:

– Nie w przypadku Suzie. Zakładamy, że przeszkodziła włamywaczowi.
– Przecież Suzie nie miała nic, co warto ukraść! – wybuchnął Ed Walker. – Była młodą kobietą, pielęgniarką, jeszcze na studiach. Nie miała nic: żadnej biżuterii, żadnych pieniędzy. Nic z wyjątkiem telewizora.

– Człowiek, który potrzebuje pieniędzy na narkotyki, panie Walker, ukradnie wszystko.

Ed Walker wpatrywał się w podłogę, niezdolny wykrztusić słowa. Harry dotknął ze współczuciem jego ramienia.

– Dziękuję panu – powiedział cicho. – Nie będę już państwa niepokoił. Kiedy będziecie gotowi do wyjścia, radiowóz odwiezie was do domu. Skontaktuję się z państwem później.

Harry odszukał siostrę przełożoną. Podobnie jak Kłosowski, czuła się winna.

– Powiedziałam jej, że nie nadaje się do pracy i żeby poszła do domu – wyznała pielęgniarka głuchym głosem. – To moja wina. Wysłałam ją na śmierć.

– Wypadki i zabójstwa są najczęściej wynikiem zbiegu okoliczności – powiedział Harry. – Suzie miała migrenę i nie była w stanie pracować. Tak czy inaczej musiałaby wrócić do domu.

– Tak pan myśli?

Harry widział, jak bardzo kobieta pragnie w to uwierzyć.

– Oczywiście. Tak to najczęściej bywa. Niefortunny splot wydarzeń. To smutne, ale prawdziwe.

– Była dobrą pielęgniarką, miłą dziewczyną. Chryste, była jeszcze taka młoda, że trudno ją nawet nazwać kobietą... Za młoda, żeby... Nie zasługiwała na to.

– Nikt na to nie zasługuje – powiedział Harry. Spisał zeznanie, chwycił papierowy kubek z kawą i pojechał do kostnicy.

Klimatyzacja szumiała głośno, kiedy wszedł przez metalowe drzwi do zimnej, wykafelkowanej sali autopsyjnej. Ponad szumem klimatyzatora dobiegł go głos doktora Blacke'a. Analizując ciało Suzie, Walker nucił przy pracy.

Leżała na metalowym stole w powodzi światła jarzeniówek. Blake skończył już wstępne badanie i dyktował spostrzeżenia do mikrofonu wiszącego nad stołem.

Każdy paznokieć Suzie został już oskrobany w poszukiwaniu cząsteczek skóry lub włókna, każdy włos na ciele przeczesany. Torba, w której ją tu przywieziono powędrowała wraz z jej bielizną do laboratorium kryminalistycznego.

Obecny na sali autopsyjnej fotograf utrwał na taśmie wideo każdy ruch doktora

Blacke'a.

W chwili, gdy Harry wszedł na salę, lekarz oczyścił ciało i przystępował do dalszego badania.

– Najprawdopodobniej umarła w pozycji klęczącej, tak jak ją znaleziono – powiedział z werwą do mikrofonu. Nucił, nanosząc na wykres dokładne umiejscowienie ran i ich głębokość. Zrobił wymaz, by stwierdzić, czy ofiara została zgwałcona, po czym oznajmił, że nie.

Zerknął na Harry'ego, stojącego ciągle w drzwiach.

– Proszę dalej, detektywie – powiedział łagodnie. – Widzę, że obaj zrobiliśmy sobie nocny dyżur.

Harry pozostał na swoim miejscu. To, co przydarzyło się Suzie, było wystarczająco obsceniczne. Nie chciał patrzeć, jak doktor Blake pastwi się nad jej ciałem, nawet jeżeli należało to do jego obowiązków.

– Wiecie już, kto to jest, prawda? – stwierdził rzeczowo Blake. – Nie znałem dobrze siostry Walker, nie mój wydział. Ale pracowaliśmy razem w zeszłym tygodniu, podczas tropikalnej burzy, która spowodowała to pandemonium na drogach. Była dobrą pielęgniarką, bystrą, mądrą. To wielka strata. Tak, wielka strata.

Nucił ujmując skalpel. Harry pomyślał z irytacją, że, jeżeli już musi nucić, mogłaby to być konkretna melodia. Bulgotał jak filtr do wody.

Blake wzniosł nóż nad ciałem Suzie i zrobił cięcie od szyi po krocze, omijając twardsze połącze skóry.

– Hmmm – powiedział, zaglądając do wnętrza. – Hmmm – wyjął organy wewnętrzne, odłożył na bok żołądek, rozciął go nożyczkami i przelał zawartość do wielkiego słoja.

– Niewiele tego – zwrócił się do Harry'ego. – Prawie nie jadła ostatniego dnia. Piła też mało.

Harry był obecny przy wielu autopsjach, ale patrząc na sekcję Suzie, miał wrażenie, że jest zabijana po raz drugi. Odwrócił się, chory z żalu.

– Proszę przesłać mi wyniki najszybciej jak to możliwe, doktorze – zawołał, pchnąwszy ciężkie drzwi. Chłód przeniknął go do szpiku kości.

Powiedział sobie, że to przez tę lodową salę.

Powoli jechał na posterunek, z głową pełną dźwięków i obrazów strasznej nocy.

Rossetti czekał na niego przed komputerem, do którego wprowadzał dane o śmierci Suzie Walker.

– Co myślisz, Harry? – zapytał posepnie.

Harry rzucił się na twarde krzesło. Odchylił się na oparciu i zagapił w sufit.

– Myślę, że życie jest kurewskie – powiedział.

31.

Mał nie mogła spać – Ugniatała poduszkę, strzepywała koc, przewracała się z boku na bok tak długo, aż zmięte prześcieradła spowiły ją niby mumię. Z westchnieniem wydobyła się z pościeli i wstała.

Podeszła do okna, osłaniając się ramionami. Noc była pogodna i gwiazdzista, wypełniona różową poświatą Manhattanu. Pomyślała o detektywie Harrym, który pracuje na posterunku i pije za dużo czarnej kawy. Powiedział, że zawsze to robi na „cementarnej zmianie”.

„Na cementarnej zmianie”. Słowa natrętnie rozbrzmiewały w jej głowie. Zadrzała, wracając myślą do matki i tego, co się z nią stało.

Pamiętała, co czuła w dniu, kiedy nadszedł list z uczelni; kręciło jej się w głowie z podniecenia i strachu. Biała koperta z nadrukiem uniwersytetu stanowego leżała na szarym plastikowym stole o wygiętych metalowych nogach, o które zawsze obijała sobie golenie. Nie miała odwagi otworzyć listu. Matka paliła papierosa, gapiąc się tępo w przestrzeń. Marszczyła czoło, jakby z bólu, ale Mallory wiedziała, że matkę nękają zmyślnie.

– To list z uczelni, mamó – powiedziała. Matka przeniosła wzrok ze ściany na córkę.

– O! – powiedziała i to było wszystko.

– Boję się go otworzyć, mamó – odezwała się znowu Mary Mallory. – Nie zrobiłabyś tego za mnie? – Koniuszkami placów przesunęła kopertę po stole.

Wiązała z nią wszystkie swoje nadzieje. Był w niej wyrok na nią. Życie lub śmierć. Jeżeli dostała się na studia, będzie żyła, będzie się uczyła, dochrapie się przyszłości. Jeżeli oblała, będzie pracowała w „Lido Cafe” albo w „Golden Superman”, dopóki nie umrze z nudów i samotności. Wstrzymała oddech, kiedy matka wyciągnęła rękę i z wolna ujęła kopertę.

Obejrzała ją, przeczytała nazwisko i adres, bez końca obracała w swych chudych, nerwowych palcach. Westchnęła i odgarnęła z twarzy rzadkie, siwiejące włosy, upiła łyk kawy z filiżanki, która stała przed nią od para godzin. Zapaliła następnego papierosa od niedopałka, tłącego się jeszcze w metalowej popielniczce.

Mary Mallory myślała, że umrze z napięcia.

– Otwórz, mamó! – ponagliła matkę, głosem, który zabrzmiał obco nawet w jej uszach.

Matka zatknęła papierosa w kącik warg. Mrużąc bladoniebieskie oczy przed dymem, rozdarła kopertę. Mary Mallory zacisnęła mocno dłonie na krawędzi stołu. Nie mogła patrzeć, jak matka wolno rozpościera kartkę.

Matka przebiegła wzrokiem kilka linijek tekstu. Potem położyła list na stole

i znowu zapatrzyła się w przestrzeń.

– Mamo? – Mary Mallory udało się zapanować nad sobą. W jej głosie słychać było tylko leciutkie drżenie.

Matka zaciągnęła się papierosem, odganiając dym ruchem wychudłej dłoni.

– Mamo... – zawołała w męce. – Co tam jest napisane? Matka potrząsnęła głową, wyrwana z letargu.

– A, tak... Och, że dostałaś stypendium, czy coś takiego.

Mary Mallory głęboko zaczerpnęła powietrza, pochwyciła list, przeczytała...

Wydała okrzyk radości. Poderwała się na nogi, ucałowała list, krzyknęła ponownie, skacząc, oszalała ze szczęścia. Stara przyczepa zakolebała się na cedrowych podkładach.

– Dostałam się! – krzyczała Mary Mallory. – Mamo, dostałam się! Matka spojrzała w okno.

– Spójrz, Mary Mallory, znowu pada – stwierdziła beznamiętnie. Wtedy Mary Mallory zrobiła coś niesłychanego. Podbiegła do matki i pocałowała ją w policzek. Matka skrzywiła się, przyłożyła dłoń do twarzy, wstrząśnięta.

– Załóż poncho, kiedy będziesz wychodziła – upomniała córkę. Chłodna reakcja matki nie ostudziła jej radości. Nic nie miało znaczenia, prócz zachwycającego faktu, że dostała się na studia. Nie umrze samotnie w Golden.

Ostatnie tygodnie szkoły i uroczystość rozdania dyplomów przebyła jak we mgle.

Odczytano jej nazwisko, wyszła, zarumieniona, by odebrać dyplom. Ale matki przy tym nie było.

Nie poszła na bal, który przez ostatnie tygodnie był głównym tematem rozmów w szkole. Koleżanki mówiły wyłącznie o sukniach i chłopcach. Zastanawiały się, czy dostaną staniki i z kim będą się całowały po balu, w Alei Zakochanych na drodze ku urwisku, w cieniu sekwoi, madronów i sosen ponderosa.

Mary Mallory schodziła im z drogi, żałując, że nie może zatkać sobie uszu i nie słyszeć ich szczebiotu. Dziewczęta były wszędzie: w łazienkach czesały i przeczesywały włosy, spacerowały parami na szkolnym dziedzińcu, w kafeterii, gdzie Mary Mallory jadła swoje kanapki z masłem orzechowym, z nosem w książce, jak zawsze sama.

Tylko jedna nauczycielka zdobyła się na to, by pogratulować jej zdobycia stypendium.

– Jesteś pracowita, Mary Mallory – powiedziała z aprobatą. – Wyższe wykształcenie pozwoli ci znaleźć przyzwoitą pracę, wyjdiesz na ludzi – nie powiedziała: w przeciwieństwie do swojej matki, ale Mary Mallory wiedziała, że to właśnie nauczycielka miała na myśli.

Już od dawna pracowała wieczorami i w weekendy w „Lido Diner”, krojąc

cebule, zmywając naczynia i nalewając kawę. Teraz zaczęła odkładać pieniądze na wyjazd na studia.

Zatrudniła się na lato w „Bartletts’s Brugs”. Rozpakowywała towary, ustawiała je na półkach, przenosiła w inne miejsca, słowem, pracowała jako pomoc do wszystkiego. Kupiła sobie parę swetrów, bluzek, jedną parę dżinsów i tanią torbę podróżną. Myślała, że długie letnie tygodnie nigdy się nie skończą. Nie mogła się już doczekać wyjazdu i nowego życia. Martwiła się tylko, że zostawia matkę samą.

W końcu nadszedł dzień, kiedy zapakowała torbę, kupiła bilet na autobus, starannie wykaligrafowała adres akademika i przyczepiła kartkę do drzwi lodówki.

Nie było ich stać na telefon i Mary Mallory powiedziała matce, że w razie potrzeby, musi skorzystać z budki telefonicznej. Umyła i wypolerowała chevroleta. Pozostało tylko przekonać matkę, żeby jeździła nim po kupony żywnościowe i na zakupy.

– Chodź, mamó – powiedziała, biorąc ją za rękę i wyciągając z fotela, gdzie oglądała telewizję. – Wybierzemy się na przejażdżkę.

– Jedź sama, Mary Mallory – matka próbowała wyrwać rękę, ale tym razem Mary Mallory była stanowcza. Mocno otoczyła matkę ramieniem i wyprowadziła z przyczepy na słoneczne popołudnie.

– Taki ładny dzień, mamó. Pomyślałam, że pojedziemy kupić ci papierosy i wstąpimy do supermarketu po coś dobrego na kolację. Będziemy świętować.

Matka pozwoliła posadzić się za kierownicą. Mary Mallory wsunęła kluczyk w stacyjkę.

– Pamiętasz, jak tu przyjechałaś, mamó? Taki kawał drogi z Seattle do Golden High? Teraz musisz dojechać tylko do sklepu i stacji benzynowej.

Matka ujęła kierownicę, docisnęła pedał gazu i samochód pomknął w dół zbocza.

Głowy odwracały się w ich kierunku, kiedy weszły do sklepu i Mary Mallory zarumieniła się, czując na sobie ciekawskie spojrzenia. Wiedziała, że tworzą dziwną parę: ona w swoich butelkowych okularach, spranej kwiecistej sukience, z kończynami jak patyki, i jej matka z rozwianymi, siwymi włosami, pustym wyrazem oczu i wyniszczoną twarzą, w niegdyś białej koszuli i niebieskiej, przykrótkiej spódnicy, odsłaniającej chude nogi. „Wyglądamy biednie”, pomyślała gniewnie. Bo były biedne. Tak biedne, że biedniejsze już być nie mogły. Ile można stracić, kiedy się nie ma nic?

Potem przypomniała sobie, że coś jednak ma. Zdobędzie wyższe wykształcenie.

Ogarnęło ją takie samo uniesienie jak wtedy, gdy matka powiedziała, że zamieszkają nad morzem. Z wyższym wykształceniem nareszcie stanie się „kims”.

Szły wolno wzdłuż półek. Pokazywała matce, co kupić, co zrobić z kuponami przy kasie. Matka poruszała się jak lunatyczka i Mary Mallory mogła tylko mieć

nadzieję, że głód przygna ją do sklepu.

W domu upiekła świąteczne steki na zdezelowanym grillu. Otworzyła puszkę fasolki po bretońsku i usiadły naprzeciwko siebie przy stole. Matka dziobała stek widelcem i Mary Mallory pomyślała ze smutkiem, że może to i lepiej. Mięso było zylaste. Ogarnęła ją rozpacz. Tak bardzo pragnęła podzielić się z matką swoim drobnym zwycięstwem, radością i podnieceniem, ale było to niemożliwe. Nawet świąteczna kolacja okazała się niewypałem.

Następnego ranka, kiedy Mal przyszła się pożegnać, matka siedziała na pomarańczowej, plastikowej kanapie i oglądała „The Today Show”.

– Wyjeżdżam, mamó – powiedziała ze smutkiem patrząc na chudą, żalną postać skuloną w rogu kanapy. Matka obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem, po czym wróciła wzrokiem do ekranu telewizora.

– Jadę na studia, mamó.

– Wiem – odparła matka tym samym spokojnym tonem, jakim kwitowała wszystkie wiadomości, dobre i złe. – Baw się dobrze, Mary Mallory – i zapaliła kolejnego papierosa od niedopałka w popielniczce.

Mary Mallory położyła na chwilę rękę na głowie matki. Przepelniały ją ciepłe uczucia. Tak bardzo pragnęła uściskać ją, pocałować, wiedzieć, że matka się o nią troszczy.

– Do widzenia, mamó – powiedziała.

Matka wstała, żeby nalać sobie następną filiżankę kawy.

– Do widzenia – powiedziała z roztargnieniem.

Miasteczko uniwersyteckie było większe i bardziej rozległe niż sobie wyobrażała.

Nie zdawała sobie również sprawy, że będzie miała w pokoju współlokatorkę.

Zapukała nerwowo do drzwi, czekając aż ktoś powie „proszę”.

Junie Bennett z niezadowoleniem zmarszczyła brwi, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanęła Mary Mallory.

– O mój Boże, mysz przywleczona przez kota! – mruknęła pod nosem. – Cześć, jestem Junie Bennett – powiedziała głośno. – Łóżko przy oknie jest moje. Twoje jest pod ścianą. Kto pierwszy ten lepszy – dodała, obrzucając współlokatorkę krytycznym spojrzeniem zielonych oczu.

– Nazywam się Mary Mallory Malone – wyciągnęła rękę, pełna nadziei.

– Mary Mallory! – June uniosła brwi. – Jakieś zdrobnienia?

– Och... po prostu Mary. – Zaskoczona, błyskawicznie zmieniła swoje imię.

– Wychodzę na spotkanie z przyjaciółmi – June sięgnęła po sweter i torebkę. –

Trzymaj rzeczy po swojej stronie pokoju, dobra?

Mary popatrzyła na nią ze smutkiem. Junie Bennett miała wszystko to, czego jej brakowało: gęste blond włosy, dobrą figurę, urodę, zadarty nos, uszminowane na

czerwono wargi, pewność siebie i złotą bransoletkę na opalonym przegubie. Miała nawet zdrobniałe imię – Junie. Mary mogła się założyć, że w liceum była szefową drużyny dziewcząt kibicujących szkolnej drużynie. I była tak ładnie ubrana. Jej czerwona spódniczka i biała bluzka wyglądały na drogie i zupełnie nowe.

Junie nie była przyjacielska. Miała własne grono znajomych, do którego Mary nie została dopuszczona. Junie narzekała przed przyjaciółmi, że musi dzielić pokój z taką nieudacznicą. Kiedy tylko mogła, ignorowała Mary Mallory.

Mary wystarczyło jedno spojrzenie w lustro, by zrozumieć, dlaczego. Miała siedemnaście lat i zerowe doświadczenie życiowe. Była bezbarwna, nijaka, obciążona kompleksami, zbyt biedna, by kupić sobie filiżankę kawy. Trzymała więc nos w książkach i uczyła się jak szalona. W ciągu tego pierwszego roku nie ominęła ani jednego wykładu, ani jednych ćwiczeń. Uczelnia znalazła jej pracę w kafeterii, a po paru tygodniach zatrudniła się również na obiadową zmianę w pobliskim barze szybkiej obsługi.

Przetrwiała jakoś pierwsze samotne tygodnie. Z początku miała nadzieję nawiązać przyjaźnię. Uśmiechała się, witając kolegów z roku, ale wszyscy prowadzili ożywione życie towarzyskie, trzymali się w grupach, dla niej najwyraźniej zamkniętych. Ludzi, którzy, tak jak ona, odstawali od reszty, unikała, nie chcąc przyznać się do klęski. Okrzepla, myśląc wyłącznie o przyszłości i ucząc się zawzięcie.

Postanowiła, że zostanie dziennikarką. Pisanie słów przychodziło jej o wiele łatwiej niż ich wypowiedzianie. Ubogie dzieciństwo rozwinęło w niej nieposkromioną ciekawość świata. Poza tym, dziennikarze nie muszą odpowiadać na pytania, oni je tylko zadają. Będzie mogła zachować swoje milczenie i swoją prywatność.

Snuła się po uniwersytecie jak szary duch, zamknięta w sobie, odzywała się tylko wtedy, gdy ją o coś pytano.

Pierwszy rok dłużył jej się niemiłosiernie. Nie nawiązała żadnych znajomości, miała za to znakomite stopnie. Pracując na dwie zmiany, wiązała jakoś koniec z końcem. Wróciła do domu, by przepracować całe lato w „Lido Cafe” na posadzie kelnerki.

Właścicielka, Dolores Power, pulchna kobieta o okrągłej twarzy i twardych oczach, której mąż był prezesem izby handlowej i Klubu Elks, wyraziła zdziwienie profesjonalizmem Mary.

– Wieczorami pracuję w barze w pobliżu uniwersytetu – wyjaśniła Mary. Była to jedyna wymiana zdań, jaka miała miejsce między Mary a jej pracodawczynią, jeśli nie liczyć uwag natury zawodowej oraz podziękowań przy wręczaniu cotygodniowej wypłaty.

Mary nie wiedziała, czy matka cieszy się z jej powrotu. Z pewnością ucieszyła

się, że nie musi przez jakiś czas jeździć po kupony żywnościowe i na zakupy.

Była jeszcze chudsza niż przed rokiem i Mary podejrzewała, że matka nie je.

Przeznaczała więc sporą część zarobków na dobre jedzenie, próbując zachęcić ją przysmakami, pieczonym kurczakiem na niedzielny obiad i szarlotką na deser. Kupowała dużo świeżych owoców i pełnotłustego mleka, ale matka rozgrzebywała widelcem jedzenie i widać było, że zasiada do stołu tylko po to, żeby zadowolić córkę.

Mary z ulgą przyjęła powrót na uczelnię i przez jakiś czas jej życie toczyło się utartym torem. Potem nagle wszystko się zmieniło.

Właśnie wtedy pojechała do domu na Święto Dziękczynienia i zobaczyła, jak matka wchodzi do morza..

Z ciężkim westchnieniem Mal odwróciła się od okna i pięknego widoku Manhattanu.

Od lat nie myślała o matce, praktycznie od wyjazdu z Golden. Nie było pogrzebu; nikt przecież nie znał matki za życia, kto chciałby przyjść ją pożegnać, kiedy była martwa?

Mary Mallory również nie pożegnała się z matką, nie miała czasu na rozpacz i żalobę. Musiała usunąć matkę ze swego umysłu równie definitywnie, jak matka usunęła się ze świata.

Musiała, żeby przeżyć. Miała dopiero osiemnaście lat i była sama na świecie.

Studia niczego nie zmieniły – pozostała niewidzialna. Nie miała pieniędzy i nie miała przyjaciół, ponieważ nigdy nie posiadała sztuki ich zdobywania. Jej poziom wiary w siebie równał się zera.

Droga, jaką przebyła od tamtego, osiemnastoletniego stworzenia do kobiety, którą była dzisiaj, okazała się długa i ciężka. Cięższa niż ktokolwiek mógł przypuszczać. I dlatego Mal nie pozwalała sobie o tym myśleć. Tylko wobec koszmarów była bezradna.

Na początku nawiedzały ją często, wkradały się, nieproszone, w sny: czarne demony wspomnień za dnia chowające się w zakamarkach podświadomości. Potem, stopniowo się ich pozbyła. Teraz przychodziły rzadko.

Mal krążyła po ciemnym mieszkaniu, myśląc o Harrym. Dziś się nie bała, nie musiała zapalać lamp, by odegnać czarne wspomnienia. Wiedziała, że to zasługa Harry'ego.

Weszła na taras i stanęła przy balustradzie, patrząc na miasto. Chłodny wiatr owiewał jej nagie ramiona, głaskał po włosach.

Potrafiła przywołać obraz matki na zawołanie, tak wyrazisty, jakby widziały się wczoraj. Chuda, krucha postać, zapadnięte policzki, jakby zaciągnęła się papierosem i tak zastygła, wypłowiałe włosy o nieokreślonej barwie ni to szarości, ni beżu.

Pamiętała list na kuchennym stole, w którym zawiadamiała o swoim przyjeździe na weekend.

Pamiętała nie kończącą się podróż trzema różnymi autobusami. „Wszystko będzie dobrze”, powtarzała sobie. „Już niedługo będę w domu”.

Ale dom nie istniał, nie było też matki, która mogłaby ją pocieszyć. Nie pozostało jej nic, z wyjątkiem własnej determinacji.

Wróciła na uniwersytet, uczyła się i pracowała na dwóch posadach jednocześnie; w kafeterii uniwersyteckiej i w barze w śródmieściu. Mieszkała w małym, ubożuchnym pokoiku w starym domu.

Udało jej się ukończyć studia i zrobić dyplom. Znalazła pracę maszynistki zestawiającej rachunki w lokalnej stacji radiowej. Pensja, skromna, bo skromna, pozwoliła jej jednak na zakup paru przyzwoitych garsonek. Potem dostała pracę w telewizji lokalnej.

Oficjalnie pracowała w charakterze asystentki do zbierania informacji, ale w rzeczywistości pełniła obowiązki sekretarki, gońca, maszynistki i herbaciarki.

Była nieśmiała, bezbarwna i niepozorna, bez poczucia własnej tożsamości, ponieważ, na dobrą sprawę, nie wiedziała jeszcze, kim jest. Drzemała w niej jednak ambicja. Marzyła, że zostanie reporterem telewizyjnym, donoszącym o wydarzeniach lokalnych.

Wtedy przyjęto do pracy nową dziewczynę; obrotną, świeżo po studiach, z włosami fruującymi koło ramion, całą w szmince i uśmiechach. Po paru tygodniach nowa dziewczyna została wysłana z kamerą w teren, donosiła o karambolu na autostradzie, napadzie na bank, zerwaniu mostu przez wezbraną rzekę.

Mał czuła się poniżona, czuła się kompletnym zerem. Pracowała ciężko, uczyła się. Marzyła, że to ona zostanie dziewczyną z kamerą.

Potem spojrzała w lustro i zobaczyła swoje rzadkie włosy, brzydkie okulary, zobaczyła, jaka jest bezbarwna, nieśmiała, nieelegancka. Niewidzialna dziewczyna o szemrzącym głosie. Zadała sobie pytanie: kto chciałby oglądać ją na ekranie telewizora?

Siedząc teraz na trasie apartamentu na Manhattanie, Mał przypomniała sobie tamtą straszną chwilę prawdy. Stała twarzą w twarz z potworną rzeczywistością: oto kim jest i kim pozostanie. Nie przybędzie dobra wróżka, by odmienić jej życie.

Trzymała swój los we własnych rękach.

Ogarnęła ją wściekłość; na rodziców, którzy nie dali jej poczucia tożsamości, na śliczną dziewczynę, która dostała jej wymarzoną pracę, na własną bezradność.

Zrozumiała, że stoi na rozdrożu.

W jednej chwili postanowiła, że odmieni swoje życie. Wydostanie się z marazmu.

Dokona tego siłą woli. Musi osiągnąć sukces. Teraz lub nigdy.

Wycofała oszczędności z banku i rozpoczęła przeobrażanie Mary Mallory Malone.

Ścięła włosy i ufarbowała je na złoty blond, zainwestowała w szkła kontaktowe, kupiła parę prostych, lecz eleganckich strojów w jasnych kolorach. Poprosiła telewizyjną charakteryzatorkę, by doradziła jej, jakich używać kosmetyków i jak je stosować. Studiowała metody pracy reporterów, nie tylko w macierzystej stacji, ale w sieci krajowej. Wpatrywała się w Barbarę Walters i prezenterów porannych programów, jak jastrząb w upatrzoną ofiarę, tak długo, aż poznała każdy ich gest, każdy wyraz twarzy, każdą intonację głosu.

Kiedy uznała, że jest gotowa, poprosiła kierownika miejscowej stacji, by pozwolił jej spróbować sił jako reporter. Jeszcze po latach wrzała z gniewu na wspomnienie jego pogardliwego wzroku, niedowierzającego tonu, jakim odrzucił jej prośbę. Z miejsca złożyła wymówienie i przeniosła się do innego miasta.

Z nowym wyglądem i starannie przygotowanym życiorysem, otrzymała pracę w jednej ze stacji telewizyjnych jako asystentka reżysera. Płaca była wyższa i traktowano ją jak koleżankę po fachu. Współpracownicy uśmiechali się do niej, byli przyjacielscy, a ona pławiła się w ciepłe, ostrożnie odwzajemniając uśmiech, bojąc się odrzucenia, nadal pełna niewiary w siebie. Ale została zaakceptowana. Koledzy z pracy uznali, że niczym się od nich nie różni. Chodziła z nimi na drinka, czasem na kolację.

Zapisała się na salę gimnastyczną, popracowała nad figurą. Zaczęła nawet chodzić na randki, nic wielkiego, kolacja, kino, ale jednak! Nie straciła swojej rezerwy wobec ludzi. „Kobieta-sfinks”, nazywali ją żartobliwie. Ale, ku własnemu zdumieniu, żyło jej się całkiem przyjemnie.

Kiedy dziewczyna, zapowiadająca pogodę, poszła na urlop macierzyński, Mallory Malone tymczasowo otrzymała jej pracę. Teraz była w swoim żywiole, wiedziała dokładnie, jak wyglądać, jak się uśmiechać, jak się zachowywać. Teraz ona była ostra jak brzytwa. Blond włosy fruwały wokół ramion, niebieskie oczy błyszczały, uszmkowane usta śmiały się chętnie, zachwycona własną witalnością, nauczyła się być zabawna.

Potem zgłosił się po nią producent sieci krajowej: wpadła mu w oko. Poprosił, by przyjechała do Nowego Jorku na rozmowę.

Siedząc na tarasie, Mal przypomniała sobie, jaka była podekscytowana, niemal chora ze zdenerwowania. Odepchnęła od siebie wszystkie zadawnione kompleksy i urazy, powiedziała sobie, że teraz jest kimś innym, osobą, którą zainteresowała się telewizja krajowa. Stworzyła więc Mallory Malone.

Kupiła „małą czarną” Donny Karan, która opinała jej smukłe ciało niby druga

skóra. Poszła do najlepszego fryzjera w mieście i ścięła włosy na chryzantemę, następnie ufarbowała je tak, żeby wyglądały na rozjaśnione słońcem.

Charakteryzator-artysta zrobił jej twarz i kiedy spojrzała na siebie w lustro, ledwo poznała śliczną młodą kobietę, patrzącą na nią ze zdumieniem w niebieskich oczach.

Kosztowało ją to wszystkie oszczędności, co do centa, i wyruszając do Nowego Jorku na rozmowę i próby zdjęciowe, miała nadzieję, że rzecz jest tego warta.

Taksówka wyrzuciła ją przed budynkiem telewizji. Mary Mallory spojrzała w górę na imponujący wieżowiec, strzeżone drzwi i zaaferowanych ludzi, biegających tam i z powrotem. Zrozumiała, że wszystko zależy od niej. Jeżeli ma w sobie to, czego potrzeba, by zwyciężyć, zrobi to. Wysoko uniosła głowę i ruszyła w stronę drzwi, wysoka i energiczna. Teraz albo nigdy. Znowu.

Parę lat później ta nowa wersja Mary Mallory Malone poślubiła maklera giełdowego.

Matt Clemens był od niej sporo starszy, przystojny, siwiejący na skroniach, bywalec świata. Polubiła go z miejsca, z początku widząc w nim raczej ojca niż mężczyznę, człowieka, który, podobnie jak ona, stworzył się sam od podstaw.

Wykorzystał swój spryt dziecka ulicy i wnikliwy umysł finansisty, żeby wywindować się z Brooklynu na szczyt świata, w tym wypadku na jeden z najwspanialszych manhattańskich drapaczy chmur.

W tym mieście wszystko możesz kupić za pieniądze – powiedział, oprowadzając ją po luksusowym mieszkaniu pełnym antyków. Nawet styl. Nie zapominaj, że w mieście takim jak Nowy Jork, styl jest twoim listem uwierzytelniającym. Pieniądze plus styl równa się klasa, a to oznacza, że masz wszystko.

Podziwiała go za szczerość, za to, że uwolnił się od bagażu przeszłości. Nie krył swojego pochodzenia i trudnych początków, ale również się nim i nie szczyił. Traktował to jak fakt z życiorysu.

W tym okresie pracowała jako spikerka w telewizji krajowej i miała szansę otrzymać prowadzenie programu porannego. Była rozdarta między wymogami kariery a pragnieniem jak najczęstszego przebywania w towarzystwie Matta Clementsa.

Dbał o nią, opiekował się nią, sprawił, że poczuła się piękna i pożądana. Po raz pierwszy uznała, że może opuścić trochę gardę. On rozumiał jej ambicje, przyklaskiwał im, rozumiał ją bez słów. Nigdy nie musiała wyjaśniać mu motywów swojego postępowania.

Kiedy w miesiąc później poprosił, by za niego wyszła, zgodziła się bez chwili wahania. Powiedziała sobie, że to miłość i w jakimś sensie kochała go. Z całą pewnością pociągał ją fizycznie. Ale tak naprawdę, chciała stać się częścią jego pracowitego życia.

I to okazało się źródłem problemów. On był zajęty mężczyzną, ona zajęta kobietą. Coś musiało się popsuć i tym czymś było ich małżeństwo.

– Zrezygnuj dla mnie z pracy, Mal – poprosił.

Siedział naprzeciwko niej na wielkiej, obitej złotym brokatem kanapie, w mniejszym salonie ich ogromnego apartamentu. Miał na sobie ciemnozielony jedwabny szlafrok, ona biały aksamitny. Właśnie skończyli się kochać. Było jej dobrze, przy nim zawsze było jej dobrze. Ale często wyjeżdżał, a bez swojej pracy nadal czuła się nikim.

– Znienawidziłbyś mnie po dwóch miesiącach, gdybym to zrobiła – powiedziała ze smutkiem.

– Moglibyśmy kupić dom na wsi. Mieć dziecko?

Spojrzała na niego z przerażeniem. Już jakiś czas temu postanowiła, że nie będzie mieć dziecka. Sama nigdy nie była dzieckiem. Bała się, że nie potrafi go pokochać, jej matka nie stanowiła przecież dobrego wzorca.

– Chyba bym nie mogła – powiedziała posępnie.

– W każdym razie, oferta cały czas jest aktualna – pocałował ją i poszedł się ubrać. Pół godziny później odleciał do Zurychu. Miał wrócić dopiero za dwa tygodnie.

Parę miesięcy po tej rozmowie zrozumiała, że jej małżeństwo musi ponieść fiasko.

Potrzebowała swojej pracy, on żył dla swojej kariery. Nie poczuła się urażona, kiedy publicznie ją za to obwinił. Dał jej przecież wszystko, czego mogła pragnąć kobieta. Była inna, to wszystko.

Mal podeszła do krawędzi tarasu i wsparłszy się łokciami o balustradę, spojrzała w dół na ulice wspaniałego, bezwzględного miasta, które przygarnęło ją do serca.

Aż do dzisiaj nigdy nie oglądała się wstecz. Nigdy nie wracała do przeszłości, dopóki Harry jej do tego nie zmusił.

Nadal istniały sprawy, o których nigdy nikomu nie powie, sekrety, które nigdy nie wyjdą na jaw. Ale pochodziły z innego czasu, z innego miejsca. Od dawna wiedziała, że aby przeżyć, trzeba brnąć naprzód.

Harry miał, oczywiście, rację. Obrala metodę tchórzów, odmawiając konfrontacji z tragedią, poczuciem opuszczenia i alienacji, będącym wynikiem samobójstwa matki.

– Dziękuję ci, Harry – powiedziała w ciemność. Potem wróciła do domu, wykręciła jego numer i nagrała się na automatyczną sekretarkę.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak Harry odbiera jej wiadomość wczesnym rankiem, po powrocie z pracy. Poszła do pokoju gościnnego i zapaliła światło.

Spojrzała na łóżko, na którym w zeszłym tygodniu spał Harry. Pokój został

wysprzątany, pościel zmieniona, ale jego poduszka ciągle tam była, ta sama, na której opierał głowę.

Położyła się na łóżku, przytulając poduszkę do piersi i podkuliła kolana.

Myślała o Harrym, o tym, że pragnie być znowu w jego ramionach, kochać się z nim. Ponieważ, kiedy Harry Jordan się z nią kochał, czuła się bezpieczna. A to było coś wyjątkowego.

32.

Na wydziale zabójstw praca wrzała jeszcze w najlepsze o świcie, kiedy Harry zdecydował się pójść do domu. W ciągu paru godzin przejrzał zeznania świadków i wykaz dowodów z miejsca zbrodni. Nieskończoną ilość razy przesłuchał taśmę z nagraniem głosu Suzie. Za każdym razem słowa godziły prosto w jego serce.

Rossetti nie był w stanie tego słuchać, więc Harry sam szukał dźwięków w de, czegoś, co mogło zdradzić mordercę. Odesłał w końcu taśmę do laboratorium w nadziei, że odkryją coś elektronicznie.

Nie potrzebował raportu doktora Blacke'a z sekcji: była to straszna krzywda dla Suzie, że musiała zostać pokrojona po raz drugi po to, by on mógł się dowiedzieć, z czego składał się jej ostatni posiłek, czy zażyła narkotyki, i które ze strasznych ran ciętych okazały się śmiertelne.

Oboje z Rossettim zaczęli określać Suzie mianem „ofiary”, starając się za wszelką cenę stworzyć dystans między dziewczyną, którą znali a ciałem w kostnicy.

– Dostaniemy sukinsyna, Profesorku – powiedział Rossetti ponuro. W niczym nie przypominał już wytwornego, wiecznie uśmiechniętego Casanovy. Wzrok miał posepny, zżerał go gniew. Harry dobrze go rozumiał; czuł dokładnie to samo.

– Jesteśmy policjantami, Rossetti – przypominał, próbując uświadomić sobie i partnerowi ich rzeczywistą sytuację.

– Aha! Prócz tego jesteśmy również ludźmi – odparował Rossetti. Wyszli razem na parking, przez chwilę stali przy samochodach, nie mówiąc nic. Rossetti kopnął kamień; uderzył w błotnik jaguara.

– Przepraszam – powiedział chmurnie.

Harry wzruszył ramionami, nie miało to żadnego znaczenia. Ze współczuciem poklepał Rossettiego po ramieniu.

Skierowali się do swoich wozów i po paru krokach zawrócili.

– Dokąd się wybierasz, Profesorku?

– Myślałem, żeby wpaść do klubu, zobaczyć, co i jak – Harry wiedział, że w tym stanie nie zaśnie. Wołał pojechać na siłownię, wyładować sztuczną energię, która go napędzała. – A ty?

– Pomyślałem, że wdepnę do kościoła. A nuż mi to coś pomoże? Harry miał nadzieję, że Bóg osiąga lepsze wyniki pracy niż oni. Wsiadł do jaguara i pojechał wolno przez szary, chłodny świat do Moonlighting Club.

W klubie było spokojnie, tylko para młodocianych pederastów kręciło się przy barze, popijając coca-cole. Nawet muzyka była stonowana. Zamiast zwykłego rapu, z głośników płynął głos Whitney Houston.

Powiedział w przelocie „cześć”, poszedł do szatni i odłożył broń do szafki.

Zamknął starannie drzwiczki, choć wątpił, by ktoś połakomił się na jego pistolet. Założyłby się, że większość klubowych bywalców posiadała broń o wiele bardziej wyszukaną i siejącą spustoszenie szybciej niż policyjny pistolet.

Wziął prysznic, naciągnął dres i pobiegł na salę. Pierwsze pół godziny spędził na deptaku mechanicznym, potem zabrał się za podnoszenie sztang. Potrzebny mu był namacalny dowód, że panuje nad własnym ciałem.

Po kolejnych trzydziestu minutach, mokry i wykończony, wrócił do szatni, wziął drugi prysznic, otworzył szafkę, wyjął ubranie. Sięgał po broń, kiedy zobaczył kawałek papieru wepchnięty pod pistolet. Wiedział, że nie było go tam, kiedy odkładał pistolet.

Ostrożnie wysunął kartkę spod kabury. Wiadomość nagryzmołono czarnym cienkopisem.

Facet, który strzelał w „7 Eleven” nazywa się Isiah Tulone alias Gregory Tallman alias Ike the Man. Teraz przycupnął na 9 West Street. Zabity był przyjacielem.

Oczywiście autor notatki się nie podpisał, ale Harry nie wątpił, że wiadomość była prawdziwa. Stracił dziesięć sekund, zastanawiając się, jak otworzyli szafkę, potem przypomniał sobie, że nie jest to obóz harcerski. Większość chłopaków, uczęszczających do klubu, miała kryminalną przeszłość, prawie wszyscy, w taki czy inny sposób, byli powiązani z narkotykami. Otwarcie szafki to dla nich małe piwo. Zawiedli wprawdzie jego zaufanie, ale po to, by powiadomić go o mordercy, który zastrzelił jednego z nich.

Tak czy inaczej, wykazał karygodną lekkomyślność – nie spodziewał się czegoś podobnego. Był nieostrożny i miał dużo szczęścia, że tak się to skończyło.

Nikt na niego nie spojrział, kiedy szedł przez bar w stronę drzwi; chłopcy zajmowali się własnymi sprawami, jakby go tam w ogóle nie było. Harry uśmiechał się szeroko, wzywając radiowozy. Czasem jednak opłacało się żyć.

Zadzwoił do Rossetti’ego.

– Jak twoje modły? – zapytał, ciągle z uśmiechem.

– Nie spodziewasz się chyba natychmiastowych rezultatów? – odparował Rossetti.

– Ale już czuję się lepiej.

– To, co teraz usłyszysz wybitnie zwiększy twoją wiarę w Opatrzność – Harry opowiedział mu w skrócie o zabójcy z „7 Eleven”. – Właśnie jadę po nakaz aresztowania – powiedział, mile podekscytowany. – Zobaczymy się na West Street, stary.

Aresztowanie zabójcy sprawiło mu jednak zawód. Facet był w łóżku, odsypiając heroinowy haj i nie stawiał opora. Potem zrobił się wojowniczy, ale prędko podał im nazwisko swojego współnika.

– To on go zastrzelił, nie ja – wybełkotał, kiedy Harry krążył wokół niego w pokoju przesłuchań.

Rossetti sączył spokojnie swoją kawę, świadomy faktu, że Tulane dałby się za nią porąbać. Za kawę i fajkę. Wyjął paczkę cameli, ostentacyjnie wytrząsnął papierosa, zrolował w palcach i wsadził w usta.

Tulane nie odrywał od niego wzroku. Oblizwał wargi. Jego twarz była popielatoszara, usta spękane. Kokaina przestała działać i trząśł się jak galareta.

– Muszę zapalić, człowieku! – powiedział z gniewem. – Zdaje się, że macie obowiązek zaproponować podejrzanemu papierosa? I kawę?

– Jasne – Rossetti zapalił i wydmuchał dym w stronę Tulane zaciągnął się nim, jakby to była koka.

– Jezu! – jęknął. – Ale z was dranie.

– Detektywie Jordan, czy możemy oskarżyć pana Tulane o obrazę funkcjonariusza policji?

– Dostaniesz tyle papierosów i kawy, ile zechcesz, Isiah – powiedział Harry łagodnie. – Kiedy się przyznasz.

Wiedział, że jest to tylko kwestia czasu. Rossetti rozdrażnił faceta. Jego współnik był poddawany tym samym zabiegom w sąsiednim pokoju. Mieli narzędzie zbrodni i zardzewiałego białego Forda. Przygwoździli tych facetów. Przyznają się za godzinę, dwie. Przyjechali adwokaci, zręcząc na wczesną porę. Harry ziewnął.

Wydawało mu się, że ta noc nigdy się nie skończy.

Była dziesiąta rano, kiedy uzyskał przyznanie się do winy i pojechał do domu, zaniepokojony o psa. Nie musiał się martwić; Squeeze był przyzwyczajony do nienormowanego czasu pracy gliniarza. Powitał go leniwym machnięciem ogona.

Harry przypiął mu smycz i zabrał na energiczny spacer w górę i w dół Beacon Hill. Zatrzymał się w „Strabucks”, napił porządnej kawy i podzielił się z psem cynamonową bułeczką.

W domu przesłuchał taśmę z nagranyimi wiadomościami. Pierwsza pochodziła od matki.

– Harry, dziękuję, że przyszedłeś na przyjęcie – powiedziała Miffy radośnie.

Harry jęknął. Matka była cała w skowronkach, on ledwo trzymał się na nogach.

Poza tym, miał wrażenie, że przyjęcie urodzinowe odbyło się przed wiekami.

– Czyż nie było udane?! Czasem wydaje mi się, że przechodzę samą siebie.

I dziękuję za przeprowadzenie Mallory. Taka miła niespodzianka.

Uroczą kobietą. Twój wuj Jack mówi, że byłbyś szalony, gdybyś przegapił taką okazję, tylko dlatego że poślubiłeś wydział zabójstw. Muszę przyznać, że się z nim zgadzam. – Roześmiała się. – Mam nadzieję, że umówimy się wkrótce na lunch, chłopcze.

Tu nastąpiła krótka pauza, po czym matka odezwała się z lekkim zdziwieniem, jakby właśnie coś sobie uświadomiła: „Nie sądzisz, że to trochę śmieszne umawiać się z tobą oficjalnie na lunch, skoro mieszkamy tak blisko siebie? Po prostu wpadnij, kiedy będziesz miał ochotę. Och, zapomniałam. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam z Julią do Pragi. Wiem, zadajesz sobie w tej chwili pytanie: po co ona jedzie do Pragi? Odpowiedź brzmi: ponieważ nigdy tam nie byłam. Au revoir! – dodała, po czym rozległ się trzask słuchawki.

Harry uśmiechnął się szeroko. Nie znał osoby bardziej nieprzewidywalnej niż matka. Czekał przy aparacie na drugą wiadomość.

Była od Mal.

– Myślałam o tobie – powiedziała miękkim, głębokim głosem. – Chcę ci jeszcze raz podziękować. Za wszystko. Dobranoc, Harry.

Chciał ją przytulić, mocno przycisnąć do piersi, całować. Zamiast tego, uśmiechnął się czule i poklepał urządzenie do nagrywania rozmów. Miał nadzieję, że będzie śnił o Mal, kiedy dostanie się w końcu do łóżka. Ale nie śnił o niczym.

33.

Obudził się z myślą o Mal. Zsunął łeb Squeeze'a ze swojej piersi, usiadł, przeciągnął dłonią przez włosy i wykręcił jej domowy numer. Zgłosiła się automatyczna sekretarka i Harry westchnął ciężko. Jasne, o drugiej trzydzieści po południu Mal musiała być w biurze. Zadzwoił do Malmar Productions, gdzie powiedziano mu, że panna Malone jest na lunchu, wróci koło trzeciej.

O trzeciej był u „Ruby” i jadł przy barze śniadanie, ze Squeezem wciśniętym między stołek? kontuar.

– Całe szczęście, że to pies policyjny – powiedziała Doris donośnie. – Inaczej klienci mogliby protestować ze względów higienicznych.

Harry obrzucił wzrokiem klientów. Jeden złopał budwisera, drągi krztusił się dymem marlboro, trzeci maczał chleb w sosjerce.

– Nie ci klienci, Doris – rzucił przez ramię, idąc do telefonu przy drzwiach.

Squeeze odprowadził go wzrokiem, ale nawet nie podniósł łba. Wiedział, kiedy Harry domaga się od niego działania.

– Panna Malone ma spotkanie w studio – dowiedział się Harry od sekretarki.

– W porządku – powiedział z rezygnacją. – Proszę jej przekazać, że dzwoniłem. Skontaktuję się z nią później.

Zirytowany wrócił do kontuaru i zabrał się za jajka na szynce.

– Wiesz co, Profesorku, nie odżywasz się właściwie – stwierdziła Doris, opierając się na łokciu o ladę naprzeciwko niego. – Jesz coś w ogóle poza tym śmieciem?

Obrzucił ją chmurnym spojrzeniem.

– Jasne, że jem. Bułeczki cynamonowe, pizzę z kielbasą i kanapki Matisse'a.

– Nigdy nie słyszałam o kanapkach Matisse'a, ale wiem jedno; potrzeba ci kobiety, która by dla ciebie gotowała. Właściwe jedzenie, no wiesz, to, co każą jeść w czasopismach.

– Kobiety, które znam, nie gotują – powiedział ze smutkiem. Potem przypomniał sobie lodówkę Mal, przepiórkę i faszzerowaną paprykę. – No, może z wyjątkiem jednej – dodał.

– To ją łap, Profesorku, póki czas, bo jak tego nie zrobisz, sam wylądujesz w Mass General. Na kardiologii. Pożałujesz, że kiedykolwiek usłyszałeś o słynnych frytkach „Ruby”.

Czy to przez gadaninę Doris, czy z jakiegoś innego powodu, śniadanie nie smakowało mu tak, jak zwykle. Wypił coca-colę, zapłacił rachunek, pomachał Doris na pożegnanie i ruszył ku drzwiom. Tym razem Squeeze poszedł za nim.

Po wejściu do wydziału zabójstw poczuł się tak, jakby w ogóle z niego nie

wychodził. Usiadł przed komputerem, przejrzał fakty dotyczące śmierci Suzie.

Dreńczyły go wątpliwości. Po pierwsze, włamywacz niczego nie ukradł: telewizor i wieża stereo stały nietknięte. A jednak wszystko wskazywało na to, że Suzie przeszkodziła mu, zanim zdążył przenieść łup do samochodu.

Przestudiował zdjęcia ciała. Twarz Suzie pokrywała zakrzepła krew. Przyjrzał się uważnie jej czołu. Wyjął z szuflady szkło powiększające i spojrzął ponownie.

Sięgnął po telefon, zadzwonił do laboratorium kryminalistycznego i poprosił o powiększenie środkowego fragmentu czoła Suzie Walker. Trudno mu było uwierzyć w to, co właśnie zobaczył, nie wątpił jednak, że się nie myli.

Wziął do ręki fotografię czarnych koronkowych majtek leżących na łóżku. Suzie nie została jednak zgwałcona. Majtki przebywały obecnie w laboratorium, razem z prześcieradłami, torebką po groszku, nożem, próbkami krwi i tego, co miała za paznokciami. Rekwizyty zmarnowanego ludzkiego życia.

Przyjrzał się zdjęciu noża: był mały, o cienkim, wąskim ostrzu. Podobny do tego, jakim zamordowano Summer Young. Harry wywołał na ekranie zeznania Kłosowskiego. Opis napastnika i samochodu również się zgadzała.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową. Suzie padła przecież ofiarą zbrodni w afekcie, a zabójstwa trzech młodych studentek zostały starannie zaplanowane.

Dziewczęta były śledzone, ogłuszane i gwałcone, a następnie zabijane w starannie przemyślanym akcie seksualnej przemocy.

Ponownie zadzwonił do laboratorium, zapytał, czy mają coś dla niego, cokolwiek, z czym mógłby zacząć.

– Daj nam jeszcze parę godzin – powiedział szef laboratorium. Zabrał więc Squeeze'a na długi spacer brzegiem rzeki Charles.

Wlókł się bulwarem, spoglądając na płyty chodnika, zamiast na rzeczną scenerię.

Pies dreptał za nim posępnie, wyczuwając, że pan nie jest w nastroju na zabawę z kijem. Potem, skuszony widokiem stadka mew, rozpląszczył się na ziemi i precyzyjnie pod płotem oddzielającym bulwar od nadbrzeża.

– Wracaj, idioto! – wrzasnął Harry, kiedy pies dopadł mew. Poderwały się w powietrze, pokrzykując gniewnie. Squeeze obszczekał je z zadowoleniem i wrócił triumfalnym krokiem. Tym razem przeskoczył płot i, jakby nigdy nic, zajął poprzednią pozycję przy nodze Harry'ego.

– Wariat! – powiedział Harry, z czułością targając go za uszy, po czym powrócił do swoich myśli.

A jeżeli faktycznie istniało powiązanie między zabójstwami studentek a śmiercią Suzie Walker? Morderca znał rozkład dnia Suzie, wiedział, że dziewczyna ma nocny dyżur i dom będzie pusty. Zaskoczyła go wcześniejszym powrotem z pracy. Harry przeciągnął palcami przez włosy. Niepokoiły go te podobieństwa.

Teoretycznie jego zmiana zaczynała się o ósmej wieczorem. Zdażył odwalić dzienną porcję roboty, zanim nadeszły powiększenia twarzy Suzie.

– Co o tym sądzisz, Rossetti? – zapytał, wskazując ślad w zakrzepłej krwi.

Rossetti pochylił się nad zdjęciem.

– Wygląda jak odcisk czegoś. Jakby pieczęć na czole.

– Właśnie. Tylko, że to nie jest pieczęć. Ona w to upadła. Przyjrzyj się, Rossetti.

Widzisz te dwie pętelki połączone czymś prostym z garbkiem pośrodku?

Czy nie przypomina ci to sławnego znaku firmowego Gucciego? Rossetti, ten ptaszek ma wyrafinowany gust.

– Zupełnie jak masowy morderca – Rossetti spojrział na niego ze zdumieniem. – Ale to jest inny rodzaj przestępstwa! – zaprotestował. – Bez premedytacji, bez ogłuszenia, bez gwałtu. Mamy za to wielokrotne rany cięte...

– Rossetti, pomyśl o jego metodzie działania. Załóżmy, że wybrał Suzie na następną ofiarę. Osaczał ją. Wiedział, że ma nocny dyżur. Pamiętasz, zgubiła klucze. On się nie włamał do mieszkania, miał dorobione klucze. Wróciła do domu niespodziewanie, przyłapała go, wpadł w panikę. Planował ogłuszyć ją i zabić, ale później. Zrobił to wtedy, ponieważ nie miał wyboru. Walczyła, cisnęła w niego ciężką paczkę mrożonego groszku. Nie był przyzwyczajony do oporu i dlatego tak ją poranił. To jest masowy morderca, Rossetti. Jestem o tym przekonany.

Czuję to przez skórę.

– Myślisz, że szef to kupi?

– Z wyjątkiem metody zabójstwa, wszystko się zgadza – od noża po drogie buty.

On uderzył ponownie, Rossetti, trochę wcześniej niż zaplanował, to wszystko.

Poczekamy na resztę dowodów z laboratorium, a potem pójdziemy z tym do szefa, ale dam głowę, że się nie mylę.

Nie zadzwonił tego wieczoru do Mal. W domu czekała na niego wiadomość. Mal ubolewała przez telefon, że jakoś nie mogą na siebie trafić. Bardzo jej z tego powodu przykro.

Harry pomyślał, że trudno jest prowadzić romans przez telefon. Zwłaszcza, kiedy strony nie mogą się do siebie dodzwonić.

Pogrzeb Suzie Walker odbył się nazajutrz o trzeciej po południu. Skromny kościółek baptystów, do którego chodziła od dziecka, wypełniony był ludźmi.

Harry zauważył doktora Waxmana pośród pielęgniarek i lekarzy, którzy nie mieli akurat dyżurów i mogli pożegnać Suzie. Stawili się również przedstawiciele władz szpitala.

Ubrana na czarno rodzina stała przed kaplicą. Matka, ojciec, siostra i rudowłosy brat, dziadkowie, wujowie i ciotki, kuzyni i przyjaciele z dzieciństwa. Trumna przed prostym ołtarzem tonała w kwiatkach, po obu jej stronach płonęły wysokie świece.

Harry i Rossetti stanęli w odległym kącie, a potem, na cmentarzu, dyskretnie trzymali się z tyłu. Na miejscu był również policyjny fotograf i ekipy telewizyjne. Pani Walker krzyknęła, kiedy opuszczano prostą trumnę do grobu.

Harry zobaczył, jak mąż chwyta ją za ramiona, jak Igną do siebie, szukając wsparcia.

Zamknął oczy, nie mógł na to patrzeć. Przypomniał sobie, że jest tu służbowo.

Już nie raz zdarzyło się, że morderca przyszedł na pogrzeb ofiary. Będzie musiał popytać rodziny, czy nie widzieli kogoś obcego. Osobiście w to wątpił, uważał, że morderca jest zbyt wstrząśnięty przebiegiem wydarzeń, za bardzo wytrącony z równowagi fiaskiem swojej bezbłędnej metody, by ryzykować.

Po pogrzebie wrócili z Rossettim na posterunek. Czekali już na nich nowe materiały z laboratorium. Na koronkowych majtkach technicy znaleźli włos publiczny, nie należący do ofiary, włos z głowy odkryto w prześcieradle. Typ kaukaski, siwy, farbowany na brąz. Przy odrobinie szczęścia uda się zrobić odczyt DNA z cząsteczek komórki na korzeniu. Ale to będzie wymagało czasu.

– Chyba miałeś rację, Profesorku – powiedział Rossetti, kiedy szli na rozmowę z szefem.

Potem wybrali się do pubu, żeby w milczeniu posiedzieć nad kuflem piwa. O piątej mieli spotkanie z szefem policji i burmistrzem w studio telewizyjnym.

Wystąpienie szefa nadano w wiadomościach o szóstej. Poinformował bostończyków o następnym uderzeniu seryjnego mordercy.

Ekran wypełniła uśmiechnięta twarz Suzie, potem pokazano migawki z jej pogrzebu.

Burmistrz wygłosił krótkie przemówienie o stanie bezpieczeństwa w mieście, zapewnił słuchaczy, że policja dysponuje niezbitymi dowodami. Wkrótce morderca zostanie aresztowany.

Natychmiast po wyjściu ze studia, Harry zadzwonił do Myry, opiekunki psów, żeby zajęła się Squeezem. Wsiadł w samochód, pojechał na lotnisko i kupił bilet na pierwszy samolot do La Gardii.

Tuż przed startem zadzwonił do Mal i nagrał się na taśmę: Jest szósta trzydzieści, za chwilę wsiadam do samolotu. Będę u ciebie około ósmej piętnaście. Wiem, że się na dzisiaj nie umawialiśmy, ale mam nadzieję, że będziesz w domu. – Po chwili wahania dodał: – Potrzebuję cię, Mal.

Kiedy Harry dzwonił do Mal, mężczyzna wracał z pracy do domu. Pozdrowił z samochodu sąsiada, skręcił na podjazd i zjechał wprost do garażu. Zrobił rutynowy przegląd zamków i zasuw, po czym ruszył przez dom, sprawdzając kolejno każde pomieszczenie. W oczach miał niepokój, zupełnie jakby spodziewał się nie milej niespodzianki, na przykład paru gliniarzy, przewracających dom do góry nogami

w poszukiwaniu dowodów.

Źródłem jego niepokoju był nóż. Mógłby przysiąc, że przed opuszczeniem mieszkania Suzie, wsunął go do kieszeni. Denerwowała go świadomość, że nie wie, gdzie go zgubił. Przeszukał samochód, garaż i cały dom. Mógł upuścić go w mieszkaniu Suzie, na ulicy, wszędzie. Policja już go prawdopodobnie znalazła.

Zdenerwowany poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i przez chwilę gapił się na skromną zawartość, jakby się spodziewał ujrzeć nóż na jego zwykłym miejscu.

Nalał wódki do wysokiej szklanki, tym razem rezygnując z lodu. Wrócił do salonu i włączył telewizor.

Stał przed odbiornikiem, czekając na wiadomości lokalne, dużymi haustami popijając czystą wódkę. Dokuczał mu głód, ale był zbyt podniecony, by pójść na kolację do ulubionego bistro. Przypomniawszy sobie, że kupił sandwicha. Poszedł do kuchni, po czym szybko wrócił z kanapką przed telewizor.

Jest! Suzie Walker spojrzała mu prosto w oczy. Z trudem przełknął kawałek sera, który utkwiał mu w gardle.

– Cipa – jęknął. – Tania dziwka! Zobacz, co przez ciebie zrobiłem.

Bluzgał jeszcze przekleństwami, kiedy pokazywano migawki z pogrzebu. Potem wystąpił szef policji i burmistrz. Mężczyzna słuchał z rozdziawionymi ustami.

Powiedzieli, że policja ma powody przypuszczać, iż mężczyzna, który zabił pielęgniarkę Walker jest również zabójcą trzech młodych studentek.

„Zwracam się do wszystkich kobiet w tym mieście z apelem o zachowanie ostrożności” – powiedział burmistrz. – „Według wszelkich danych, morderca nie pozostanie na wolności długo. Wkrótce nastąpi aresztowanie.”

Kolana się pod nim ugięły, osunął się na fotel. Kanapka pacnęła na niepokalany dywan.

Oblizawszy suche wargi, powiedział sobie, że kłamie. Nawet jeżeli znaleźli nóż, nie było na nim odcisków palców. Wymyślił go przecież i wysuszył bardzo starannie. I cały czas nosił gumowe rękawiczki. Nigdy tego nie zaniedbał. Nic innego nie zostawił. Tego był pewien.

Próbują po prostu uspokoić mieszkańców, łudzą ich szybkim aresztowaniem. Tamtej nocy nikt prócz Suzie go nie widział. Mieli tylko nóż, a nóż był czysty.

Odetchnął z ulgą. Blefowali. Był bezwzględnie pewny, że nie znają jego nazwiska.

Wyłączył telewizor, potem zauważył kanapkę i plamę po musztardzie na dywanie.

Cmoknął z niezadowoleniem i pobiegł do kuchni po odplamiacz. Nie znosił nieporządku.

34.

Mal chciało się skakać z radości, kiedy otrzymała wiadomość Harry'ego. Zadzwoiła do znajomych, odwołując wyjście do teatru, po czym wyprysnęła z domu kupić coś do jedzenia.

Robiła sos do sałaty, kiedy zjawił się Harry. Wyszedł z windy na hol pełen weneckich lusterek, a ona wybiegła mu na spotkanie.

Ubrany był w skórzaną kurtkę, dzinsy i niebieską koszulę. Był nie ogolony, ciemne włosy miał potargane, twarz wymizerowaną. Uderzyło ją, że jest najbardziej seksownym facetem, jakiego zdarzyło jej się spotkać. Ale nie powiedziała mu tego.

- Cieszę się, że jesteś tak stosownie ubrany – stwierdziła tylko. Jęknął.
- Zlituj się, Malone! Jadę prosto z pracy, przebyłem sto mil, żeby cię zobaczyć.
- Więc mam nadzieję, że podoba ci się to, co widzisz.

Obejrzał ją od stóp do głowy, kiedy określiła się przed nim, uśmiechnięta swoim najpiękniejszym uśmiechem. Ubrana była w długą, jedwabną spódnicę w malutkie niebieskie kwiatki i obcisłą czarną bluzkę z dużym wycięciem. Stopy miała białe, a na każdym różowym palcu widniał plaster. Wielki, biały fartuch kucharski zakrywał większą część jej osoby. Tryskała radością życia.

- Podoba mi się fartuch – przyznał ostrożnie. – Czy to oznacza, że coś gotujesz?
- Gotuję.

Miał większą ochotę na nią niż na kolację. Nadal mu się przyglądała.

– Doris powiedziała mi, że się niewłaściwie odżywiam, że potrzebuję kobiety, która by dla mnie gotowała.

– Doris to powiedziała?

– Aha! Odparłem, że to byłoby źle dla „Ruby”, a ona na to, że dobrze dla mojego cholesterolu.

Rzuciła mu kpiące spojrzenie.

W – Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. Może wejdiesz? – odsunęła się i gestem zaprosiła go do środka. – Mój dom jest twoim domem, detektywie.

Stanął tuż przed nią.

– Wyglądasz... cudownie, w sensie odzieżowym i każdym innym – szepnął, ujmując jej twarz i całując w nos. – Zdecydowanie cudownie, choć pachniesz czosnkiem.

– Dobrze, że nie jodyną.

– To nigdy nie była jodyna – powiedział. Przytulił ją mocno i pocałował w usta.

Znów doznała tego cudownego wrażenia, że się w nim zatracza, nie wie o Bożym świecie, chce tylko, by nadal ją całował, chce czuć przy sobie jego mocne ciało, mięśnie twarde jak stal.

– Och, Mal! – powiedział odrywając w końcu wargi i obsypując pocałunkami jej włosy, czoło, zamknięte powieki. – Potrzebuję cię.

Gwałtownie otworzyła oczy. Odchyliła się w jego ramionach, zaglądając mu w twarz.

– To tak, jak z „cudowną” – powiedziała wzruszona. – Nikt mi tego wcześniej nie mówił.

Potrząsnął smutno głową.

– Ja ci to mówię. To były ciężkie dwa dni.

Zaprowadziła go do salonu, pomogła zdjąć kurtkę, podsadziła w wygodnym fotelu, zaproponowała szampana.

– A masz bourbona?

Skinęła głową. Harry wyglądał na znużonego, śmiertelnie znużonego faceta.

Zastanawiała się, co takiego mogło się wydarzyć między niedzielą wieczór, kiedy go pożegnała a dzisiaj wieczorem. Podeszła do barku na kółkach, wrzuciła kilka kostek lodu do szklanki, zalała bourbonem.

– Dzięki – powiedział cicho, kiedy podała mu drinka. Spojrzała na niego z powątpiewaniem, przekrzywiając głowę.

– Czytałam gdzieś – pewnie w „Cosmo”, oni wiedzą najrozmaitsze rzeczy – że kiedy mężczyzna wraca zmęczony do domu, najłatwiej trafić do jego serca przez żołądek. Choć przyznaję, że nie oczekiwałam wyczerpanego mężczyzny, mogę go chyba uleczyć. Zajmę się gotowaniem, a ty połóż wysoko nogi i posłuchaj kojącej muzyki.

Zmieniła płytę z Santany na Mozarta, przyciszyła, rzuciła mu uśmiech przez ramię i zniknęła w kuchni.

Harry nie był nawet głodny, choć przez cały dzień nic nie jadł. Był po prostu zadowolony, że jest z nią. To prawda, że jej potrzebował. Potrzebował na więcej sposobów, niż mogła przypuszczać.

Popijał bourbona, rozkoszując się jego słodkawym smakiem. Z kuchni doleciał jakiś smakowity zapach, a cicha muzyka sączyła mu się w umysł, kojąc nerwy, jak to przewidziała Mal. Zrobiło mu się bardzo przyjemnie, i gdyby nie to, że była blisko, i że o niej myślał, pewnie by zasnął.

Wróciła do pokoju, podeszła do niego bezszelestnie.

– Przepraszam, Mal – powiedział ze znużeniem. – Nie powinienem tu dzisiaj przychodzić. Ale tak bardzo chciałem być z tobą.

Usiadła na dywanie u jego stóp, wsparła głowę na jego kolanach, szczęśliwa, że jest przy nim.

– Wpadaj jak najczęściej.

Z trudem otrząsnął się z wydarzeń ostatnich dni, wracając do miłej, bądź co bądź,

rzeczywistości.

– Jeden przyzwoity posiłek i stanę na nogi – powiedział z uśmiechem.

– Ciekaw jestem, co szefowa kuchni tego luksusowego lokalu ma do zaproponowania.

– Pan pozwoli za mną – odparła, biorąc go za rękę.

Okrągły stół w kuchni był pięknie zastawiony podstawkami z reprodukcją obrazów Matisse’a i żółtoniebieskimi talerzami. Sałata zieleniła się w szklanej misie.

Był również chleb orzechowy, kostka słodkiego francuskiego masła i spaghetti ze świeżym pomidorowym sosem i małutkimi warzywami. Płonęły świece, butelka białego wina chłodziła się w wiaderku.

Harry spojrzał najpierw na zastawiony stół, potem na Mal.

– Ty to wszystko przygotowałaś? – zapytał ze zdumieniem. Skinęła głową.

– Lepiej spróbuj, zanim zaczniesz chwalić.

Wyjął butelkę, nalał wino do kieliszków, przysunął jej krzesło.

– Madame le Chef! – pocałował ją, kiedy usiadła, a ona przylgnęła ustami do jego warg.

– Nigdy w ten sposób nie zaczniemy jeść – powiedziała bez tchu.

– Ależ zaczniemy! To wygląda wspaniale, Mal. Nigdy bym się nie domyślił, ale właśnie na coś takiego mam ochotę.

Nałożyła sałatę, podsunęła mu chleb i masło, patrzyła niespokojnie, jak próbuje sosu.

– Bardzo dobre – powiedział. – Więcej niż dobre. Wspaniale! Najlepsza rzecz, jaką jadłem od wielu dni.

– Cóż, wszystko wydaje się lepsze od tego, co serwuje „Ruby” – mruknęła, ale widać było, że jest zadowolona.

Harry rozgrzebywał jedzenie widelcem, a ona obserwowała go z niepokojem. Nie jadł, nie rozumiała, co się stało. Co miał na myśli, mówiąc, że jej potrzebuje?

Wtedy uznała, że jej pragnie, że chce z nią być. Pomyślała nawet, bardzo, bardzo nieśmiało, że ją kocha.

– To na nic, Mal – powiedział, odchylając się na oparcie krzesła.

– Nie to, żebym był tu pod fałszywym pozorem, ale przyszedłem nie tylko dlatego, że pragnę być z tobą.

Serce zaciążyło jej jak kamień. Czy przez cały czas udawał, że mu na niej zależy i teraz zdecydował się powiedzieć prawdę? Nagle zrozumiała, co jest tą prawdą.

Wstała, zebrała talerze ze stołu, unikając jego oczu. Czowała na plecach jego wzrok, kiedy przechodziła z oświetlonej świecami kuchni do salonu. Opadła na fotel, podkuliła nogi pod siebie.

Usiadł naprzeciwko niej, dokładnie w miejscu, gdzie zajadał śmieszna kanapkę

Mattise'a. To nie było tak dawno temu, pomyślała, szukając uspokojenia. Znali się dopiero od paru tygodni. Najwyraźniej nie tak dobrze, jak się jej wydawało.

Inaczej nie dałaby się przecież tak oszukać.

– Mal – odezwał się, jakby czytając w jej myślach. – To nie tak. Wpatrzyła się w jakieś miejsce ponad jego głową.

– Doprawdy? – zapytała chłodno.

– Między nami nic się nie zmieniło, Mal, nie zmieniły się uczucia, jakie do siebie żywimy.

Wzruszyła ramionami.

– Może masz rację. Cofnęliśmy się po prostu do punktu wyjścia.

– Jestem tutaj, ponieważ chciałem cię zobaczyć – powtórzył z uporem.

– Ale nie tylko. Chodzi o moją pracę.

Wiedziała! Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Kochałeś się ze mną, żeby mnie wykorzystać! – zawołała z gniewem.

– Prawda, że tylko o to chodziło, detektywie Harry? W porządku, nie jestem pierwszą kobietą, której się to przytrafiło. I przypuszczam, że ja również ponoszę winę. W końcu, żeby się kochać, trzeba dwóch osób.

– Mal, przysięgam, że to nie tak.

– Chcesz powiedzieć, że to ci sprawiło przyjemność? Cóż, przyznaję, że mnie także. Zapomnijmy o wszystkim, Harry. Ty pójdziesz swoją drogą, ja swoją – odwróciła się i utkwiała w nim płonący wzrok. – Nie potrzebuje ciebie.

Wstał, chwycił ją za ramiona.

– Cholera, ale ja potrzebuję ciebie! Co się z tobą dzieje?! Wydajesz wyrok, nawet nie wysłuchawszy, co mam do powiedzenia. Dlaczego zawsze zakładasz najgorsze?

Szarpnęła się i Harry puścił ją.

– Ostatnie pytanie jest zbędne, skoro znam odpowiedź – powiedział, ponieważ milczała. – Jesteś tak zakompleksiona, że nie możesz dorosnąć.

– Co masz na myśli? – rzuciła mu złe spojrzenie.

– Powiedz mi, Mal, jakie to ma znaczenie, że zbliżył nas do siebie portret pamięciowy? Dzięki niemu cię poznałem i jestem za to wdzięczny.

– Doprawdy? – odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła złym śmiechem.

– Teraz wiem, dlaczego.

Harry zgrzytnął zębami. Wziął głęboki oddech.

– Dobra, więc między nami wszystko skończone – powiedział chłodno.

– Ale skoro już tu jestem, powiem ci dlaczego, cię potrzebuję.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

– Na litość Boską, Mal! – zawołał ze zniecierpliwieniem. – Usiądź! Wyglądasz jak źle ostrzyżony hart afgański, który chce kogoś dziabnąć.

– Och! – opadła na kanapę, z wściekłością bijąc w poduszkę obiema rękami.
– Bądź cicho i słuchaj! – warknął. – Mam jeszcze inne życie, poza tym
zmysłowym, jakie prowadzę z tobą.
– Prowadzisz ze mną?! Ha! Parę przyjęć, weekend... Nazywać to życiem?
Uśmiechnął się niespodziewanie.
– Musisz przyznać, że było zmysłowe.
Chwyliła poduszkę w różyczki i przycisnęła ją do twarzy.
– Jesteś draniem, Harry Jordan – wymruczała w poduszkę. – Lepiej idź sobie.
– Och nie! Nie pozbędziesz się mnie równie łatwo, jak pozbyłaś się wszystkich
nieprzyjemnych spraw w życiu. Wysłuchasz, co mam do powiedzenia, panno Malone.
A kiedy skończę, dobrze się zastanowisz nad odpowiedzią. Zapytasz samą siebie, czy
potrafisz znieść konsekwencje. Od razu ci mówię, że ja nie.

Odsunęła poduszkę od twarzy.
– Co takiego strasznie ważnego masz mi do powiedzenia?
– Oglądałaś dzisiaj wiadomości? Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.
– Widzę, że nie. Więc zacznę od początku. Okay, Malone, w niedzielę wieczorem
poszedłem do pracy.
– Tak, wiem – powiedziała znużona. – Cmentarna zmiana.
– Dokładnie! Okazała się cmentarna. Dla kogoś, kogo znałem.
– Chcesz powiedzieć, że ktoś umarł?
– Młoda kobieta została zamordowana. Była pielęgniarką w Massachusetts
General.

Nie znałem jej dobrze, właściwie tylko z widzenia, czasem zamieniliśmy parę
słów. Była bardzo ładna. Miała wspaniałe rude włosy. Rossetti wiele razy próbował
się z nią umówić, ale zawsze odmawiała.

W niedzielę zostaliśmy wezwani do jej mieszkania. Zadźgano ją nożem,
poderżnięto gardło, zmasakrowano twarz. Kiedy ją znaleźliśmy, klęczała, z twarzą
w kałuży własnej krwi. Jej kot jeszcze przy niej siedział.

Mal wcisnęła twarz w poduszkę. Cała scena stała jej w oczach.
– Nie! – zawołała, przerażona. – Proszę, nie! Nie chcę tego słuchać.
– Była martwa od trzydziestu sześciu godzin – ciągnął Harry bezlitośnie. –
Umarła w czasie, gdy tańczyliśmy na przyjęciu urodzinowym mojej matki.

– Nie! – Mal zasłoniła sobie uszy.
Harry podszedł i odsunął jej dłonie od głowy.
– Zabił ją ten sam facet, Mal – powiedział. – Ten z portretu. Opadła na poduszki.
Wbiła w niego przerażony wzrok i Harry'ego zaląła fala czułości. Zapragnął
pochwycić ją w ramiona i zapomnieć o wszystkim. Ale tym razem nie mógł.
Zabił cztery młode kobiety, Mal. Zniszczył cztery rodziny. Te kobiety były

czyimiś córkami, przyjaciółkami, może kochankami. Były bezcenne dla tych, którzy je kochali. Nie znaczyły nic, prócz źródła chwilowej, perwersyjnej przyjemności dla mężczyzny, który je zabił.

Zwiesiła głowę, w milczeniu gapiąc się na swoje nogi. Widział jej rzęsy, tak słodko podkrecone na koniuszkach. Zdawał sobie sprawę, że to śmieszne poddawać się wzruszeniu z tak drobnej przyczyny. Mal myślała o Summer Young i ślicznej Suzie.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytała szeptem.

– Chcę, żebyś mi powiedziała, co wiesz o mężczyźnie na portrecie. Poderwała głowę.

– Już ci powiedziałam. Nie znam go. Przysięgam, że to prawda.

– Więc dlaczego robi na tobie takie wrażenie? Odwróciła głowę.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Harry jęknął, wznosząc oczy do nieba, jakby brał je na świadka swojej męki.

Jednym susem znalazł się przy niej, chwycił ją za ramiona, postawił na nogi.

– Dlaczego nie możesz mi powiedzieć, do ciężkiej cholery?! Patrzyła na niego, oniemiała z przerażenia. Harry puścił ją, odsunął się.

– Już dobrze, Mal, już dobrze. Przepraszam. Nie powinienem cię o to pytać. Masz prawo do prywatności. Zapomnij o tym.

Odwrócił się i podszedł do krzesła, na które rzucił kurtkę, kiedy tu wszedł, tysiąc lat temu.

– Przepraszam – powiedział szczerze – za to, że wyładowałem na tobie swoje frustracje, swoje własne braki. Zawiodłem te kobiety. Powinienem złapać mordercę zanim dopadł Summer Young. Zanim zabił Suzie.

– Czy to miałeś na myśli, mówiąc, że mnie potrzebujesz? – Głos jej się załamał, przelknęła głośnie ślinę.

– Nie myślałem o twoim wpływowym programie – powiedział, patrząc jej w oczy. – Potrzebowałem cię, jak mężczyzna potrzebuje czasem kobiety. Jako podpory, przyjaciela, kochanki. To jest ten dragi powód, dlaczego tu dzisiaj przyszedłem, Mal.

Czuła w gardle kłęb waty. Długa, jedwabna spódnica zaszeleściła, kiedy do niego podeszła. Powiedziała:

– Przeraziły mnie jego oczy... Znałam kiedyś mężczyznę o takich oczach.

Właśnie te oczy wryły jej się najbardziej w pamięć, choć były ukryte za grubymi szklami okularów. Szklami, które je wyolbrzymiały. Były ciemne, hipnotyczne, przenikające do wnętrza...

– Czy to był ten sam facet? Potrząsnęła głową.

– Tamten nosił okulary. On... przestraszył mnie. To wszystko.

– Przestraszył cię tak bardzo, że nie mogłaś pokazać w swoim programie portretu mężczyzny o podobnych oczach?

– To było głupie, wiem. Ale taka jest prawda. Harry widział, że jest wytrącona z równowagi.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Naprawdę nie ma o czym.

Wyciągnęła rękę i dotknęła lekko jego policzka.

– Przykro mi, Harry. Z powodu Suzie. I przepraszam za to, co powiedziałam – głęboko zaczerpnęła powietrza. Podjęła decyzję. – Moim obowiązkiem jest pokazać ten portret w programie. Rozumiem to teraz.

A więc nie dowiedział się, dlaczego tak żywo zareagowała na portret, i pewnie nigdy się nie dowie. Mal uznała widocznie, że jest to zbyt osobiste, by o tym mówić.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Tak. Jutro zacznę nad tym pracować. Zrobimy nagranie w czwartek. To nie daje nam dużo czasu.

– Proszę tylko o pięć minut. Potrząsnęła głową.

– Przesunę program, który miałam w planie. Chcę poświęcić temu cały czas antenowy.

– Och, Mal! – Ze smutkiem potrząsnął głową.

– Wiem, wiem. – Spojrzała na niego błagalnie. – I dlaczego nie mogłam zrobić tego od razu i zaoszczędzić nam wielu kłopotów? Nigdy nie nauczę się, prawda?

– Nauczysz – powiedział, przyciągając ją do siebie i tuląc, jakby nigdy nie chciał jej wypuścić z ramion.

35.

Następnego ranka Mal obudziła się pierwsza. Było bardzo wcześnie, zaledwie piąta. Dopiero świtało. Harry leżał wyciągnięty na plecach, z jedną ręką zarzuconą nad głowę, dragą owiniętą wokół jej ramion. Mal wtuliła się w niego. W bladej poświacie widziała zarys jego smukłego ciała, uśpioną twarz. Usta miał rozchylone, oddychał miarowo, mocno zaciśnięte powieki nadawały mu chłopięcy wygląd.

Przyłgnęła do niego całym ciałem, przesunęła opuszkami palców po jego piersi i płaskim brzuchu. Drzenie przebiegło jego ciało. Uśmiechnęła się, czując jak twardnieje pod jej dłonią. Przesunęła językiem po jego wargach, pocałowała rozchylone usta, najpierw leciutko, potem pożądliwie, kiedy zamknął ją w ramionach.

Po chwili uniosła głowę i spojrzała mu w twarz; oczy nadal miał zamknięte.

Wyślizgnęła się z objęć Harry'ego, wędrując ustami w dół jego ciała.

Zacisnął dłonie na jej włosach, kiedy wzięła w usta penisa, pobudzając go do miłości.

Jęknął.

– Czekał, Mal... kochana, proszę...

Odsunął się od niej, zanim było za późno, usiadł i przyciągnął Mal do siebie.

Ujął w dłonie jej twarz, zaglądając głęboko w oczy.

– Chcę się z tobą kochać – szepnęła. Posadził ją sobie na kolanach, pochylił głowę, by ucałować jej piersi. Obrysował językiem brodawki, aż zaczęła drżeć z rozkoszy. Wtedy otoczył ją ramieniem i kochał się z nią powoli i pięknie.

Potem czuła przy sobie bicie jego serca, czuła jak pot chłodzi ich ciała, czuła zapach miłości, jej smak w ustach. Miała wrażenie, że wchłonęła Harry'ego wszystkimi porami skóry i teraz płynie w srebrzystej przestrzeni, która należy tylko do nich dwojga.

Harry przesunął dłonią po jej plecach, wzdłuż linii kręgosłupa, dziwiąc się delikatności jej ciała, rozkosznym wżgórkom i dołeczkom, jej słodkiemu zapachowi.

– Powiedz, trafiliśmy do nieba, Malone? – wyszeptał, skubiąc wargami jej ucho.

Objęła go za szyję, wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia.

– Nigdy nie byłam go tak blisko, detektywie – wymamrotała radośnie, zawieszona ciągle w tej opalizującej poświacie, gdzie powietrze zdawało się naelektryzowane.

Światło dnia sączyło się już przez jedwabne, kremowe zasłony.

– A może świat zmienił się w srebro, kiedy spaliśmy – powiedział Harry w zdumieniu.

Mal otworzyła oczy, rozejrzała się z uśmiechem.

– A ja myślałam, że to ty – szepnęła, składając głowę na jego piersi. – Wiesz, że

spaliśmy ze sobą? W prawdziwym łóżku, nie na poduszkach na dywanie?

– Co do łóżka zgoda, ale nie pamiętam, żebym spał.

Położył się na plecach, a ona przesunęła się z nim razem, jedwabista, pachnąca i bardzo kobieca. Harry zerknął na zegarek. Wskazówki były niemiłosierne.

Wiedział, że musi zacząć działać, jeżeli chce złapać poranny samolot. Spojrzał na Mal, wtuloną w niego.

– Wiem, wiem – westchnęła. – Musisz iść – usiadła, spuszczać z łóżka długie nogi. Obejrzała się przez ramię, uśmiechnięta. – Pamiętałam o bagietkach.

– Skąd wiedziałas, że zostanę?

– Nazwij to intuicją.

Wstała, uniosła ramiona nad głowę i przeciągnęła się ruchem tak zmysłowym, że zapragnął jej znowu.

Patrzył, jak naga podchodzi do szafy. Poruszała się jak tancerka. Do chwili, gdy obejrzała się na niego i palcem u nogi uderzyła w krzesło. Chwyła się za stopę, podskakując i jęcząc. Roześmiał się.

– Doprawdy nie wiem, Malone! Moim zdaniem przyciągasz nieszczęśliwe wypadki – wstał z łóżka i w drodze do łazienki poczochnął jej włosy.

Rzuciła mu złe spojrzenie.

– Gruboskórny drań! – zawołała za nim, po czym zaczęła się śmiać. Słyszac wodę w łazience, naciągnęła białe szorty i szary sweter, i poszła do kuchni.

Wczorajsza kolacja stała nietknięta na stole, z wyjątkiem chleba i masła, które zjedli w przerwach między kochaniem się. I wina, którym podtrzymywali siły w ciągu nocy.

Nastawiła kawę, pokroiła bagietki i wsunęła je do opiekacza, wyjęła z szafki masło i dżem truskawkowy. Ustawiła wszystko na sosnowym blacie razem z talerzykami w różowe kwiatki, odtłuszczonym mlekiem i miseczką z brązowym cukrem.

Nasłuchiwała; woda przestała lecieć. Wyłączyła opiekacz, roztrzepała dłonią włosy, przesunęła językiem po wargach i czekała na niego z uśmiechem. Wszedł do kuchni, całkowicie już ubrany.

Spojrzał najpierw na nią, potem na wypalone świece i resztki kolacji. Przeniósł wzrok na idealnie upieczone bagietki.

– Jesteś cudotwórczynią – powiedział z niedowierzaniem, potrząsając głową. – Wychodzę spod prysznica i „voilà”, śniadanie gotowe.

– Nie przyzwyczajaj się, detektywie. Staram się zaprezentować z jak najlepszej strony – błysnęła zębami w uśmiechu. – Czy zauważyłeś, że zawsze mamy mnóstwo żywności, ale nigdy nie dochodzi do jedzenia?

– Zauważyłem. Umieram z głodu.

– Jest mnóstwo zimnego makaronu. I sałaty.

– Przykro mi, Mal – powiedział ze skruchą. – To była wspaniała kolacja. Dawno takiej nie jadłem. Inne sprawy okazały się jednak pilniejsze.

– Nie zapomniałam o nich – powiedziała cicho. Wzięła bagietkę, posmarowała masłem. – Z dżemem truskawkowym...? – zapytała.

Harry zrobił wielkie oczy.

– Bagietkę?

Spojrzała na niego zmieszana.

– Az czym zwykle jesz?

– Z szynką, salami, tuńczykiem...

– Dżem nie zawiera tłuszczu – powiedziała stanowczo, wręczając mu bagietkę.

– Tak, psze pani, panno Malone – ugryzł kawałek, zrobił wniebowziętą minę i Mal się roześmiała.

– Niestety, zjadam i pędzę – pił pośpiesznie kawę, czarną, tak jak lubił.

Skrzyżowała ramiona na piersi i wsparła się o kontuar.

– Będę potrzebowała każdej informacji, jaką możesz mi przekazać, powiedziała, poważniejąc.

– Jak tylko wyląduję w Bostonie – obiecał.

– Szczegóły wszystkich morderstw, ale nie tylko. Wszystko, co wiesz, o samych kobietach. Kim były i jakie były. O ich rodzinach. Na nich chcę się skoncentrować. Chcę uświadomić widzom, wygodnie siedzącym w domach przy kolacji, że to mogły być ich własne córki. Ich własne tragedie.

Zaczęła spacerować po kuchni, pochłonięta już wizją programu. Harry był jej za to wdzięczny.

Duszką dopił kawę, sięgnął po kurtkę.

– Przepraszam, Mal, ale muszę lecieć.

Wróciła do rzeczywistości, spojrzała na niego, westchnęła.

– W porządku.

– Wcale nie w porządku, ale muszę to zrobić – narzucił kurtkę, ujął Mal za rękę i przyciągnął do siebie łagodnie. Z uśmiechem dotknął jej policzka. – Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś cudowna?

Skinęła głową.

– Owszem.

– Nawet, kiedy jesteś zła – dodał, śmiejąc się. Potem pocałował ją w usta i szybko wyszedł.

Usłyszała łagodny dźwięk gongu, kiedy przyjechała winda, drzwi otworzyły się i zamknęły. Odszedł. Przyłożyła palec do ust, ciągle czując na nich jego wargi. On wróci, wiedziała o tym.

Bostoński morderca robił się sławny. Po czwartym morderstwie środki masowego przekazu poświęcały mu dużo uwagi. Przemówienie szefa policji i burmistrza nadano na wszystkich stacjach, razem z relacją z pogrzebu Suzie Walker.

Popołudniówki podchwyciły temat, publikując rysunki, przedstawiające sceny zbrodni.

Od czasu dusiciela z Bostonu, kobiety nie żyły w takim strachu. W mieście uniwersyteckim, gdzie młode kobiety stanowią duży procent ludności, znów zapanował lęk, mówiono w wiadomościach.

Do czwartku Mal zebrała wszystkie informacje i była gotowa do nagrania. Jej asystenci pracowali w nadgodzinach, bostoński departament policji służył wszelką pomocą, burmistrz zadzwonił z podziękowaniem.

– Niech mi pan nie dziękuje – powiedziała. – Proszę poczekać na emisję programu. A zresztą wszystkie podziękowania należą się detektywowi Harry’emu Jordanowi. Gdyby nie jego upór, nigdy nie zgodziłabym się zająć tą sprawą.

Nie chciała myśleć o sobie i własnych obawach. Przygotowując się do nagrania, była skupiona, skoncentrowana na jednym tylko celu.

Siedziała cichutko, zagubiona we własnych myślach, kiedy Helen robiła jej twarz.

Potem, jak zwykle, po raz ostatni przejrzała notatki.

Kiedy weszła do studia nagraniowego, wszystko było już gotowe. Zobaczyła Harry’ego w cieniu za kamerami, ale nie myślała o nim. Cała jej energia, cała siła osobowości była skierowana na to, co powie ludziom przed telewizorami.

Zajęła miejsce na wąskiej kanapce, która nie była przeznaczona do wypoczynku, położyła notatki na niskim stoliku obok wazonu z kremowymi różami. Dziś, wyjątkowo, ubrana była na czarno: prosta sukienka, pończochy, czarne zamszowe pantofle. Z wyjątkiem perełek w uszach nie miała żadnej biżuterii. Wyglądała jak kobieta w żałobie.

– Gotowa, Mal? – zapytał reżyser. Skinęła głową i dał znak kamerzyście.

Przeprowadzili już próbę, ale wtedy Mal wyłączyła emocje. Teraz była ich pełna, wyzierały z jej oczu, z całego ciała, każdego gestu, słyhać je było w głosie, kiedy powiedziała:

„Poproszę was dzisiaj, żebyście płakali ze mną i z czterema rodzinami, które utraciły swoje dzieci. Wiem, że jest wśród was wielu, którzy doświadczyli tej samej straty. Zdajecie więc sobie sprawę, co to znaczy. I są tacy, których córki śpią teraz bezpiecznie w swoich łóżkach. A może odrabiają lekcje albo marudzą, dopytując, dlaczego muszą już iść spać.

Wy, ojcowie, pamiętacie zapewne tę chwilę, gdy były niemowlętami, kiedy po raz pierwszy trzymaliście je w ramionach. Pamiętacie, co wtedy czuliście. Czy nie

przysięgaliście sobie zawsze je kochać, dbać o nie? Chronić przed wszelkim złem?

Obiecywał to sobie również ojciec małej Suzie Walker. I Summer Young, i Rachel Klienfeld, i Mary Jane Latimer.

Przyjrzyjmy się tym rodzinom. Zaczniemy od Suzie.

Puszczono taśmę wideo z pierwszych urodzin Suzie Walker. Jej trzyletnia siostrzyczka Terry zdmuchnęła za nią świece. Mała Suzie spojrzała na nią wielkimi oczami, wygięła usteczka w podkówkę i wybuchnęła płaczem. „Widocznie sama chciała zdmuchnąć świece” – rozległ się w tle głos pani Walker.

Potem były migawki Suzie stawiającej pierwsze kroczki, idącej do zoo za rękę z ojcem. Suzie bez przedniego zęba, Suzie jako chuda, rudowłosa nastolatka, śliczna i zuchwała, w zwiewnej, niebieskiej sukience, pod rękę ze swoim partnerem na studniówce. Uśpiona Suzie na kanapie, z otwartym podręcznikiem medycznym.

– Chcę podziękować państwu Walker za to, że podzielili się z nami wspomnieniami o swojej uroczej córce – powiedziała Mal miękko. – A także za to, że wyrazili zgodę na udostępnienie państwu tych zdjęć.

Operator puścił fotomontaż przedstawiający dom Suzie w dniu morderstwa, ulicę otoczoną żółtą taśmą, policjantów w drzwiach, radiowozy na podjeździe, nosze z ciałem w czarnym worku, szybko wiezione do ambulansu. I w końcu, pogrzeb, zrozpaczeni rodzice, brat i siostra. Trumna spuszczana do grobu.

– Prosta amerykańska rodzina, sympatyczna i zwyczajna, jak wasza, jak większość rodzin w waszym mieście. Ale państwo Walker nie mają już córki.

Powodem, dla którego nie mają już młodszej córki i nie będą śledzili jej kariery jako pielęgniarce – a była dobrą pielęgniarką, oddaną, troskliwą; powodem, dla którego nie zobaczą nigdy jej ślubu, nie zobaczą jej dzieci – swoich wnuków; powodem, dla którego radość zniknęła z ich życia – jest ten mężczyzna. Panie i panowie, rodzice, przyjrzyjcie mu się dobrze.

Na ekranie ukazał się portret pamięciowy i przez parę sekund panowała cisza.

Przerwał ją głos Mal.

– Rysopis tego człowieka, tego mordercy, sporządzono na podstawie zeznań trzech świadków. Ich opisy były zgodne. Biały mężczyzna, wiek około pięćdziesięciu lat, niski, krępy, wzrost – sto sześćdziesiąt osiem, sto siedemdziesiąt centymetrów.

Bujne, ciemne włosy, w rzeczywistości siwe. Jeździ ciemną półciężarówką, samochodem combi lub jeepem cherokee.

Głos Mal drżał lekko, kiedy opisywała mordercę. Spojrzała prosto w kamerę, myśląc tylko o ofiarach i mężczyźnie, który musiał zostać schwytany.

– Zwracam się do was z prośbą. Rodzina Walkerów zwraca się do was z prośbą!

Jeżeli znacie tego mężczyznę, jeżeli wydaje się wam, że go widzieliście, skontaktujcie się z bostońskim wydziałem policji pod tym numerem. Połączenie jest

bezpłatne, linie czynne od tej chwili.

– A teraz chciałabym wam przedstawić Gemmę i Garetha Youngów, rodziców Summer Young.

Kamera odjechała w bok, ukazując Gemmę i Garetha Youngów, siedzących obok na kanapce, trzymających się za ręce. Byli śmiertelnie bladzi, ale spokojni, kiedy Mal dziękowała im za wzięcie udziału w programie. Powiedziała, że zdaje sobie sprawę, jakie to musi być dla nich trudne, powiedziała, jak bardzo podziwia ich odwagę. Potem poprosiła, by opowiedzieli o córce.

Stojąc w cieniu za kamerami, Harry zastanawiał się, jak udało jej się namówić Youngów na udział w programie. Obserwując ją, zrozumiał, że musiała osobiście poprosić ich o pomoc, obiecać, że zrobi wszystko, by przyspieszyć ujęcie człowieka, który zamordował ich córkę.

Podziwiał ją za sposób, w jaki kierowała rozmową.

– Nasze jedyne dziecko, urodzone w lecie naszego życia – powiedzieli z uśmiechem. – Miało umilić naszą starość.

Mal wyciągnęła rękę, nakryła dłonią ich splecione palce. Jej oczy lśniły od niewypłakanych łez, kiedy wyrażała im swoje podziękowanie.

Na ekranie znów ukazała się twarz mordercy, a Mal opowiadała, cichym, wstrząśniętym głosem, co morderca zrobił Summer Young. Powtórzyła ostatnie słowa Summer wypowiedziane do detektywa Harry'ego Jordana.

Mężczyzna siedział przed telewizorem, popijając czystą wódkę, ze wzrokiem wlepionym w twarz Mallory Malone. Mocno ścisnął kryształową szklankę, kiedy opowiadała o krótkim życiu Summer Young i Rachel Klienfeld. Rozmawiała z bliźniaczką Rachel.

A potem znów pokazała jego portret. I znów mówiła o nim. I powiedziała wszystkim, co on zrobił.

Potem Mary Jane Latimer, najładniejsze dziecko z nich wszystkich: pluszcze się w morzu podczas wakacji, zdmuchuje świeczki. Rodzice nie byli w stanie przybyć do studia, by opowiedzieć o swej córce, ale przyszli dziadkowie, łagodni, spokojni ludzie, którzy mówili z godnością, jakim skarbem była dla nich wnuczka, jaką radością.

– Ale przecież wszyscy mówimy tak o swoich dzieciach – zauważyła babcia Mary Jane ze smutkiem.

– Nie! – wrzasnął mężczyzna. – Wcale nie mówimy, ty stara krowo! – Chlusnął jej wódką w twarz.

Ale w tym momencie na ekranie ukazała się jego twarz. Wódka spływała po jego włosach, po jego oczach. Zacisnął palce na szklance, nie zauważył nawet, kiedy ją zmiążdżył.

Jeszcze raz podano opis mordercy, policyjne numery telefonów.

– Jeżeli znacie tego człowieka, lub jeżeli posiadacie jakiegokolwiek informacje na jego temat, proszę, zadzwońcie pod ten numer, lub na najbliższy posterunek policji.

Podziękowała rodzinom za ich pomoc, za to, że mimo cierpienia przyszli tu, by pomóc innym, wyraziła w ich imieniu głębokie pragnienie, by mordercę ujęto, zanim uderzy ponownie.

– Rodzice pragną, by ich córki pozostały w pamięci jako kobiety, nie jako ofiary. Ponieważ jako ofiary pozostają związane z mordercą. To on uczynił je ofiarami, a przecież były młodymi, uroczymi kobietami u progu życia. Nie zapomnijmy o tym, kiedy nadejdzie czas sądenia tego okrutnego człowieka.

Pamiętajmy, one nie są ofiarami, są naszymi dziećmi.

Mał spojrzała w kamerę, w twarze swoich widzów. W jej oczach była cała dusza, kiedy głęboko poruszona, powiedziała cicho: – Rodzice, strzeżcie swoje dzieci.

Dziewczęta, bądźcie ostrożne. Nie będziecie bezpieczne, dopóki ten człowiek nie znajdzie się za kratkami.

Kamera zjechała z jej twarzy na splecione ręce Gemmy i Garetha Youngów. Potem one zniknęły również i ukazały się napisy.

– Kłamliwa dziwka! – ryknął, zrywając się na nogi. – Ty śmieciu! Ty suko! To ja decyduję, kto będzie żył, a kto umrze!

Stał, drżąc z gniewu, z pocentkowaną, purpurową twarzą. Postąpił krok w stronę telewizora i szkło chrupnęło mu pod nogami. Spojrzał w dół. Zobaczył krew na dywanie. Cofnął się przerażony. Gapił się na zakrwawioną rękę, na pozostałości szklanki. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że ją zgniótł. Odskoczył w tył z okrzykiem grozy. Na dywanie była krew, jego krew...

Pobiegł do kuchni, odkręcił kran i wsadził zakrwawioną rękę pod strumień zimnej wody. Zbadał ranę, trzęsąc się jak osika. Z szuflady wyjął pensetę i usunął z ranki okruch szkła. Skaleczenie nie było głębokie, nie wymagało nawet założenia szwów. Owinał palce gazą opatrunkową. Nie zastosował wody utlenionej. Wiedział, że wódka podziała jako środek odkażający.

Wrócił do salonu z butelką odplamiacza. Ukłął na podłodze i zaczął trzeć plamę, ale im bardziej tarł, tym stawała się wyraźniejsza. Pokonany podniósł się na nogi. Jeżeli nie uda mu się jej usunąć, będzie musiał wymienić dywan.

Stał, chwiejąc się lekko, patrząc w telewizor. Nadawano wiadomości i znów spojrzał w swoje oczy. Znowu o nim mówili. Mówili o tym, co zrobił. Znowu.

Patrzył w milczeniu. Oczywiście, portret pamięciowy w ogóle go nie przypominał.

Zgadzał się tylko wzrost, waga, kolor włosów.

A jednak uczynił z Suzie Walker gwiazdę. Wszystkie jego dziewczęta otrzymały

swoje pięć minut sławy. Media tracą zainteresowanie, jeżeli nie nastąpi aresztowanie i nie będzie kolejnych ofiar. Zawsze tak było.

Sprawa miała się inaczej z Mallory Malone. Nigdy nie porzuciła tropu, nie zrezygnowała. Wiedział, że będzie musiał coś z nią zrobić.

Wyłączył telewizor, pogasił światła i ciężkim krokiem wszedł na schody. Musiał to przemyśleć. Musiał zasięgnąć porady.

Na górze wyjął zza koszuli klucz na srebrnym łańcuszku, otworzył drzwi pokoju i wszedł do środka.

36.

Atmosfera w studio była napięta, wszyscy mieli łzy w oczach, nawet członkowie ekipy, starzy wyjadacze, którzy niejedno już widzieli, wszyscy, z wyjątkiem Mal i rodziny zamordowanych.

Mal pomyślała, że nigdy nie zapomni złączonych dłoni rodziców Summer Young. Te splecione palce, jakby chcieli się upewnić, że mają jeszcze siebie, mają po co żyć, choć to życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem, były symbolem męstwa. Rozpacz wycierała z ich oczu, ale w głosie brzmiała determinacja schwywania gwałciciela i mordercy, który nazywał sam siebie człowiekiem.

Mal miała nadzieję, że ludzie oglądający program będą o tym pamiętali.

Choć drżała wewnątrz z napięcia i wyczerpania, nie poddała się zmęczeniu i całą uwagę poświęciła rodzinom. Rozmawiała z nimi, pogratulowała im ponownie odwagi, podziękowała za pomoc.

– Tobie powinniśmy podziękować, Mallory – powiedziała pani Walker i jej mizerna twarz rozjaśniła się chochlikowatym uśmiechem Suzie Walker. – Bez pani, my rodzice nie moglibyśmy się wypowiedzieć. Teraz wszyscy ci ludzie będą wiedzieli, jak to jest, kiedy córkę spotyka taki los. Może dzięki temu, kiedy złapią mordercę i postawią go przed sądem, nasze dziewczęta nie zostaną zagubione w prawniczych bataliach. Pozostaną ludźmi, zniszczonymi przez zabójcę dla jego potwornej przyjemności.

– Nie zostaną zapomniane – powiedziała Mal z powagą. – To mogę pani obiecać.

Przywołała Harry'ego, żeby porozmawiał z Youngami. Nie wspomniał już o mordercy.

Uznał, że byłoby to ponad ludzką wytrzymałość. Widać było, że rodzice Summer chcą już tylko się pożegnać i dostać do hotelu.

– Myśleliśmy o założeniu klubu, czy stowarzyszenia – powiedział Harry'emu ojciec Summer Young. – Wie pan, dla ludzi, którzy stracili córki w taki sposób.

Moglibyśmy się spotykać, rozmawiać o tym. Byłaby to swego rodzaju terapia grupowa.

Kiedy odjechali, Mal osunęła się na twardą kanapkę na planie. Pogaszono światła i znalazła się w półcieniu. Pochyliła się i wsadziła głowę między kolana, bliska omdlenia. Zmęczenie spowiło ją, niby gruby koc, członki wydawały się jak z ołowiu. Nie mogłyby wstać, nawet gdyby chciała.

Harry zobaczył ją samotnie siedzącą w półmroku. Usiadł obok, położył dłoń na jej miękkich włosach. Przesunął palcami po szyi, delikatnie ujął kark.

– Udało ci się, Mal – powiedział cicho. – Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Telefony się urywają. Na policji też. Byłaś wspiana.

Potrząsnęła wolno głową.

– Rodzice byli wspaniali, nie ja. Mieści ci się to w głowie, Harry? Byli tacy silni, mieli tyle odwagi – łzy zabrzmiały w jej głosie, przełknęła głośno ślinę.

– Modłę się, żebyście go schwytali.

– Schwytamy.

Wsparła się o niego, zupełnie rozbita. Przebyła ten dzień na kofeinie, coca-coli i snickersach, i teraz za to płaciła. Szumiało jej w głowie, nastrój wahał się między depresją a histerią.

– Chcę ci coś zaproponować – powiedział Harry. – Miałaś ciężki dzień i nic nie jadłaś. Zarezerwowałem stolik w malutkiej restauracji w Village. Jedzenie jest niewyszukane, ale dobre, nikt nas tam nie będzie niepokoił.

Podniosła na niego wzrok: w jego szarych oczach ujrzała czułość, współczucie, troskę. I coś jeszcze. Coś o wiele głębszego.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? – szepnęła.

Wziął ją za rękę, pomógł wstać z kanapki, otoczył silnym ramieniem i wyprowadził ze studia.

Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał odpowiedzieć na to pytanie.

Już wcześniej zadzwonił do restauracji, prosząc właściciela, żeby nie wspominał o programie, po prostu dał im najbardziej odosobniony stolik i dopilnował, żeby im nie przeszkadzano. Jego życzeniu stało się zadość.

Niska sala, urządzona w stylu francuskiego wiejskiego domu, miała swoisty charakter. Stoły nakryto prostymi obrusami w kolorze starych terakotowych fresków, w niebieskich misach stały bukietki białych stokrotek.

Właściciel, monsieur Michel, przyjął szybko zamówienie, nalał wina, przyniósł wodę Evian i zostawił ich samych. Mał pomyślała, że wszystko to jest takie zwyczajne, takie proste, tak inne od tego, co przed chwilą przeżyła, że ogarnęło ją wrażenie nierealności.

Było późno i w restauracji siedziało zaledwie kilka par. Małe lampki rzucały intymne kręgi światła i wydawało się, że są na sali sami. Mał spróbowała wina i uśmiechnęła się do Harry'ego.

– Smakuje jak aksamit – powiedziała. Skinął głową.

– Niektóre roczniki przypominają starą flanelę, ale to jest dobre. Czują, jak opuszcza ją napięcie, członki straciły ciężar ołowiu, mięśnie wokół karku zaczęły się rozluźniać. Odchyliła się na krześle. Powiedziała sobie, że program ma już za sobą.

Siedzieli w przyjaznym milczeniu, nie odczuwając potrzeby wypełniania przestrzeni słowami. Sączyli wino, od czasu do czasu wymienili jakąś uwagę, uśmiechali się do siebie ciepło.

Monsieur Michel przyniósł jedzenie, Mał spróbowała wszystkiego, choć niewiele

zjadła, popijała wino i uspokajała się powoli. Potem Harry zapłacił rachunek, przywołał czekający samochód i zabrał ją do domu.

Obejmując się ramionami, poszli do sypialni i Mal osunęła się na łóżko. Dopadło ją w końcu zmęczenie, oczy same się zamykały. Harry zdjął jej pantofle, rozpiął czarną suknię. Uniósł Mal lekko, przeciągnął suknię przez biodra, przez głowę.

Wsunął palce pod gumkę czarnych rajstop i zdjął je również.

Mal z ulgą poruszyła nagimi plecami, bezwładna jak lalka, kiedy rozpiął jej stanik. Potem wyciągnął spod niej narzutę, ułożył jej głowę na poduszce i nakrył chłodnym prześcieradłem.

Mal zdawało się, że omdlewa, sen podchodził szybko, ściągał ją gdzieś w dół, łóżko zdawało się ją przygniatać. Wtedy Harry położył się przy niej, jego ciało było jak kotwica bezpieczeństwa w oszalałym świecie. To była jej ostatnia myśl.

Obudził ją zapach kawy i słońce sączące się przez otwarte okno. Deszcze padały tak długo, że powitała jasne niebo jak dobrą wróżbę.

Słyszała Harry'ego, podśpiewującego w kuchni. Obecność bliskiego jej mężczyzny zmieniła nagle mieszkanie w prawdziwy dom.

Zmyła wczorajszy makijaż z twarzy, wzięła szybki prysznic, rozczesała włosy i założyła aksamitny szlafrok.

Harry był w kuchni. Stał oparty o barek, ze skrzyżowanymi ramionami i czekał na nią. Włosy miał mokre i, o cudzie! starannie uczesane.

Stanęła w drzwiach. Przez dłuższą chwilę obejmowali się czułym spojrzeniem.

Harry pomyślał, że wygląda jak uczennica, zaróżowiona i starannie wymyta. Mal pomyślała, że on wygląda na twardego faceta z charakterem.

– Dziękuję za wczorajszy wieczór – powiedziała, trochę zawstydzona.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Malone.

– Za wszystko. Za to, że mnie nakarmiłeś, przywiozłeś do domu i położyłeś do łóżka. Że ze mną zostałeś.

– Nie mówiłem ci, że jestem dobrze wychowanym facetem? Że zawsze odstawiam swoje panie bezpiecznie do domu? – uśmiechnął się szeroko, a ona odwzajemniła uśmiech.

– Mam nadzieję, że nie z wszystkimi zostajesz – powiedziała, czując znajome ukłucie zazdrości.

– Nie z wszystkimi. W tej chwili, tylko z tobą, Malone. Wyciągnął ku niej ramiona, a ona podeszła i przytuliła się do jego piersi.

– Telefon się urywa – powiedział. Podniosła głowę i spojrzała na niego zdziwiona.

– Nic nie słyszałam.

– Ponieważ go wyciszyłem. Masz pewnie z tuzin różnych informacji, a jest

dopiero siódma trzydzieści.

– A ty?

– Dzwoniłem do pracy. Po programie zablokowały się linie, mamy setki doniesień.

Sprawdzimy każde zgłoszenie, które zrobiono nie dla kawału. Wszystkie telefony do twojego studia zostały nagrane.

Wyglądała na zdumioną, więc wyjaśnił:

– Program był w zapowiedziach telewizyjnych; zabójca najprawdopodobniej go obejrzał. Istnieje szansa, że zadzwoni, że spodoba mu się rola gwiazdy telewizyjnej, będzie chciał się popisać, pochwalić. Kto wie, czy nie wpadnie w pułapkę, którą tak sprytnie zastawiłaś, Mal. Jeżeli zadzwoni, po dziesięciu minutach będziemy wiedzieli, skąd.

– I wtedy go złapiecie.

– Przy odrobinie szczęścia. To tylko możliwość, ale lepsza mała szansa niż żadna.

Westchnął i cofnął obejmujące ją ramię.

– Tak, wiem. Samolot – powiedziała z rezygnacją.

– Niestety – założył marynarkę. – Zastanawiam się, co robili kochankowie przed wynalezieniem samolotu.

– Siedzieli w domu i żenili się z sąsiadkami. Podszedł, żeby ją pocałować.

– Pomyśl, ile pięknych romansów zaprzepaszczone. W tej chwili bardzo bym pragnął być twoim sąsiadem.

– Ale nie jesteś. Potrzęsął głową ze smutkiem.

– Bardzo żałuję. Przyjadę, gdy tylko będę mógł. Obawiam się jednak, że w najbliższym czasie będę zavalony pracą.

– Więc ja przyjadę do ciebie – postanowiła błyskawicznie, nie mogąc znieść myśli o rozstaniu.

Zawahał się.

– Mogę nie mieć dla ciebie czasu.

Otoczyła mu szyję ramionami, nie chcąc go od siebie puścić.

– Nie szkodzi. Będę czekała, póki nie wrócisz. Mogę opiekować się Squeezem, wyprowadzać go na spacer, gotować...

– A jeżeli nie wrócę na kolację?

– Wtedy zjem ją ze Squeezem,? tobie odgrzeję w mikrofalówce, kiedy w końcu uznasz, że dom jest tam, gdzie twoje serce.

Roześmiał się.

– Umowa stoi. – Wyjął klucze z kieszeni i wręczył je Mal.

– Squeeze?

– Nie martw się, gryzie tylko obcych i tych, których nie lubi. Pocałowała go na

pożegnanie. Z trudem się od siebie oderwali.

– Mmmm – mruknął. – Lilie...

– Zgadza się, detektywie.

– Zadzwon i zostaw wiadomość, o której masz samolot – powiedział już w drzwiach. – Postaram się odebrać cię z lotniska.

37.

Mal poszła do gabinetu, żeby przesłuchać wiadomości telefoniczne. Większość pochodziła od znajomych i współpracowników, gratulujących jej wspaniałego programu. Były również dwa głuche telefony, który ją zdziwiły. Po chwili namysłu uznała, że ponieważ było bardzo wcześnie, ktoś wolał przerwać połączenie niż ją obudzić.

Zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy, dorzuciła parę książek, które od dawna chciała przeczytać, notatki do następnych dwóch programów. Założyła białą, lnianą koszulę, dżinsy i wygodny tweedowy żakiet.

Wzięła torbę i właśnie rozglądała się po pokoju, sprawdzając, czy niczego nie zapomniała, kiedy zadzwonił telefon. Sądząc, że to Harry, natychmiast podniosła słuchawkę.

– Halo! – powiedziała ze śmiechem w głosie. Czekala niecierpliwie, żeby powiedział: „Już za tobą tęsknię”. Ale nikt się nie odezwał.

– Halo! – powiedziała ostrzejszym tonem. Żadnego dźwięku. Odsunęła słuchawkę od ucha, zdziwiona. Wyczuwała, że ktoś jest po drugiej stronie linii, dlaczego się nie odzywa? Uznawszy, że to pewnie pomyłka, chwyciła torbę i zjechała windą na dół.

Portier zatrzymał ją w drzwiach.

– Chcę pani powiedzieć, panno Malone, że nic, co widziałem w telewizji nie wzruszyło mnie tak, jak to wczoraj – powiedział ze łzami w oczach. – Ci biedni rodzice! Wielkie nieszczęście. Mam nadzieję, że pomoże go pani złapać. Sam mam parę córek i wnuczki. Współczuję tym ludziom, panno Malone.

– Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby uczulić ludzi, Vladimir. Teraz możemy tylko czekać.

Przez cały dzień spotykała się z tą samą reakcją ludzi: słowa Vladimira powtórzył kierowca, właścicielka pralni chemicznej, ekspedientka w sklepie dla zwierząt, gdzie Mal kupiła zabawkę dla Squeeze’a, w delikatesach, gdzie zrobiła zakupy na weekend.

Kiedy w końcu dotarła do studia, panowała w nim Sodomia i Gomora.

– Większe tu zamieszanie niż podczas wizyty królowej – powitała ją Beth Hardy.

– Dobrze się czujesz? – zapytała z niepokojem. – Marnie wyglądałaś, kiedy stąd wczoraj wychodziłaś. Przeżyłaś to razem z tymi ludźmi. Człowiek miał wrażenie, że mówisz o własnej córce. Przynajmniej tak to wyglądało. A rezultaty przekraczają najśmielsze oczekiwania.

– Nic mi nie jest, Beth. Współczuć trzeba rodzinom. To oni obudzili się dzisiaj z myślą, że nie mają już dzieci.

– Dzwoniło chyba z milion osób, lista leży na twoim biurku – Beth znów

podniosła słuchawkę.

Mał poszła do swojego gabinetu, rzuciła torbę na krzesło i przemknęła wzrokiem przez długą listę nazwisk, dziękując Bogu, że nie musiała odbierać telefonu osobiście. Dzwonili politycy, gwiazdy filmowe, piosenkarze rockowi, osobistości świata biznesu i przemysłu. Wszyscy mieli dzieci, wszyscy odczuli ból i potrzebę działania.

Podeszła do okna, spojrzała w dół na strumień aut i śpieszących dokądś przechodniów. Pomyślała, że tam w dole, w tym mieście, w Bostonie, czy w Chicago jest potwór, który czeka, by znów uderzyć. Zadrzała.

Próbując oderwać myśli od mordercy, zadzwoniła do biura linii lotniczych, zamówiła miejsce na samolot o drugiej, potem zadzwoniła na posterunek, żeby przekazać Harry'emu godzinę swojego przyjazdu. Uśmiechnęła się, mile zaskoczona, kiedy sam odebrał telefon.

– Obijamy się, detektywie? – zsunęła się na krzesło i oparła nogi na biurku. Zachichotał.

– O, to znowu ty, Malone!

– Spodziewałeś się kogoś innego?

– Mniej więcej tysiąca osób, dzięki tobie. Zmieniliśmy się w centralkę telefoniczną, dostaliśmy dodatkowe linie, dodatkowy personel, a mimo to jesteśmy zatkani.

– Zgłosił się ktoś, kogo bierzecie pod uwagę?

– Na razie nie. Ale jest jeszcze czas – miał nadzieję, że się nie myli. Prawdę mówiąc, liczył na to, że morderca się zgłosi. – Dzwonisz, żeby powiedzieć, że się rozmyśliłaś, Malone? – zapytał, ale wiedziała, że się uśmiecha.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Harry Jordan. Wylatuję o drugiej.

– Nie będę mógł cię odebrać. Przepraszam, Mał, ale szef i burmistrz zwołali konferencję prasową. Mam się na nią stawić mniej więcej w chwili, gdy ty będziesz lądować – westchnął. – Ostrzegałem cię, że tu będzie piekło.

– Wezmę taksówkę.

– Wyślę po ciebie limuzynę. Na mój rachunek.

– Znowu bawisz się w gwiazdora filmowego?

– Nie. W bezpieczeństwo. Nie chcę, żeby odbierał cię ktoś, kogo nie znam osobiście.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

Harry nie chciał jej straszyć, ale musiała zrozumieć, że się naraża. Mieli do czynienia z brutalnym mordercą, a ona nadepnęła mu na odcisk. – Jesteś na jego terytorium, Mał. To jego miasto, jego teren działania. Proszę tylko, żebyś na siebie uważała. A przynajmniej pozwól, bym ja na ciebie uważał.

– Przystaję na tę drugą propozycję – powiedziała wstrząśnięta. Wyszczrzył zęby

w uśmiechu.

– Hej, czy to ta sama panna Malone, którą znam i podziwiam? Panna Malone, twardej, rotweiler, który zatapia zęby w ofierze i nie puszcza? Malone, niezależna facetka, która zawsze musi mieć ostatnie słowo?

– Ja muszę mieć ostatnie słowo?! Ja?! A co z tobą?

– Myślałem, że to ty.

– Ja myślałam, że ty. Westchnął teatralnie.

– Widzisz, znowu chcesz mieć ostatnie słowo. Roześmiała się.

– Zobaczymy się później, idioto.

– Masz to jak w banku. Mal, uważaj na siebie.

Na obu lotniskach, bostońskim i nowojorskim, na słupach ogłoszeniowych przy kioskach z gazetami, widniały podobizny Mal i ofiar mordercy. Spuściła głowę, chcąc umknąć reporterom telewizyjnym, którzy przybyli powitać jakiegoś polityka.

Na widok bohaterki dnia nie mogli uwierzyć swemu szczęściu. Posypały się pytania.

– Mal, co robisz w Bostonie? Wypłynęły nowe okoliczności? Przyjechałaś, żeby pomóc go schwytać?

– Przyjechałam w sprawach osobistych – odparła, przyspieszając kroku. Ale była zadowolona, że jej program pobudził świadomość społeczną, na czym tak zależało Harry'emu.

Samochód powoli przebijał się przez zatłoczone ulice, by w końcu zajechać pod piękny dom na Louisberg Square.

Przez chwilę stała na zewnątrz, podziwiając strome ulice, ogród na środku placu i dziewiętnastowieczną architekturę Bulfincha. Potem weszła na ocienione schody i otworzyła drzwi domu Harry'ego.

Squeeze leżał na środku przestronnego holu. Mogłaby przysiąc, że na jej widok oczy rozbliły mu radością. Podbiegł do niej, machając ogonem, popiskując ze szczęścia.

Przykucnęła, żeby go przytulić, poklepać po grubym, srebrzystym futrze.

– Cześć, Squeeze, dobry pies, taki dobry pies... – wymamrotała z czułością.

Pies poszedł za nią do kuchni, gdzie zaniósł kosz z prowiantem.

Uśmiechając się leciutko, ruszyła na obchód domu Harry'ego. Kuchnia była niepokalana, założyłaby się, że noga gospodarza nie postąpiła tu od tygodnia.

Dała psu zabawkę do żucia i otworzyła lodówkę. Roześmiała się na widok zawartości. Składały się na nią: kawałek nie dojedzonej, uschniętej pizzy, karton przeterminowanego mleka, resztki chińskiej potrawy na wynos, pół tuzina butelek wody sodowej, dwie butelki szampana. Dokładnie to spodziewała się znaleźć w lodówce Harry'ego.

Wyrzuciła zapleśniałe jedzenie i wypełniła lodówkę frykasami, które kupiła w Nowym Jorku.

Squeeze towarzyszył jej do sypialni. Zerknęła na książkę na nocnym stoliku – nie otwarty egzemplarz „Elmore Leonarda”. Ubawiła ją myśl, że prawdziwy detektyw czyta o poczynaniach detektywa fikcyjnego. Potem pomyślała, że Harry ma niewiele czasu na czytanie w łóżku, nie starcza mu go nawet, by w nim spać. Mogła się założyć, że odpływa w chwili, gdy głowa opada mu na poduszkę. Wypróbowała łóżko.

Twarde, tak jak się spodziewała.

Rozpakowała torbę, ułożyła swoje rzeczy na półkach w szafie, powiesiła czarne skórzane spodnie i tweedową spódnicę obok jego prehistorycznych dżinsów i dwóch par płóciennych spodni. Sprawdziła etykiety. Armani i Gap.

Przesunęła w łazience parę drobiazgów, robiąc miejsce dla swoich płynów i kremów. Wrzuciła szczoteczkę do zębów do jego kubka.

Z zadowoleniem pomyślała, że bawi się w dom. Harry i Mal, małżeństwo.

Kiedy szła do salonu, zadzwonił telefon i Squeeze minął ją w pędzie, poszczekując. Szybko podniosła słuchawkę.

– On tak zawsze szczeka – powiedział Harry. – Zdaje mu się, że w ten sposób odbiera telefon. Czasem żałuję, że nie może tego zrobić.

– Cześć, detektywie – powiedziała ze śmiechem. – Muszę się do czegoś przyznać. Zrobiłam dokładną inspekcję. Zajrzałam do lodówki, szafy i do łazienki.

– Odkryłaś wszystkie tajemnice?

– Co do jednej.

– Wnosząc z tego, że jeszcze tam jesteś, musiałem zdać ten egzamin?

– Śpiewająco – przytuliła słuchawkę do policzka. – Gdzie jesteś?

– W City Hall i zaczynam marzyć, by znaleźć się gdziekolwiek indziej. Dasz sobie radę sama?

– Oczywiście! Poza tym mam Squeeze'a. Wprawdzie nie zastąpi mi ciebie, ale jest cudowny sam w sobie.

– Jak ty, Malone. A propos, dzwoniła Miffie. Ma zamiar zaprosić cię na herbatę.

– Twoja matka chce zaprosić mnie na herbatę? Detektywie, sprawa robi się poważna!

Roześmiał się.

– Strzeż się, Malone! Miffie rzadko bywa poważna. Słuchaj, muszę lecieć.

Zobaczmy się, jak tylko uda mi się stąd wyrwać. Nie wiem, kiedy to nastąpi. O, wzywają mnie. Odezwę się, Mary Mallory Malone.

Telefon zadzwonił ponownie, ledwo odłożyła słuchawkę.

– Jesteś, moja droga! – powiedziała Miffie, i Mal prawie zobaczyła jej promienny

uśmiech, jakby matka Harry'ego stała dwa kroki od niej.

– Harry zdradził mi, że przyjeżdżasz na weekend i że będziesz sama, więc powiedziałam sobie: Miffy, musisz ściągnąć Mallory na herbatę.

Miffy zrobiła przerwę na oddech i rzuciła wzrokiem na zegareczek Cartiera.

– Boże, to już ta godzina? Moja droga, już prawie pora kolacji! Wiesz co?

Zrobimy sobie podwieczorko-kolację. Wpadnij zaraz. Jestem tuż za rogiem, na Mount Vernon Street.

Podawała Mal dokładny adres, po czym powiedziała:

– Cieszę się na nasze ponowne spotkanie.

– Ja też – rozbawiła ją myśl, że były to jedyne słowa, jakie zdołała wtrącić.

Malując usta, pomyślała, że w rozmowie z Miffy Jordan można się nie lękać kłopotliwej ciszy.

Dżinsy i adidasy nie wydawały się właściwym strojem na podwieczorek na Baeacon Hill. Przebrała się szybko w krótką tweedową spódnicę, zmieniła skarpety na pończochy, adidasy na zamszowe czółenka. Przygładziła włosy, spryskała się dyskretnie „Nocturnes” i gwizdnęła na Squeeze'a.

Z psem na smyczy przecięła plac, Charles Street i wydostała się na Mount Vernon, zadowolona z przechadzki. Historyczna dzielnica pełna była zielonych uliczek i domów, porośniętych bluszczem. Wabiły ją sklepy z antykami, nęciły zapachami kawiarenki. Obiecała sobie, że jutro zwiedzi dzielnicę dokładniej.

38.

Stary dom Miffie Jordan w stylu neogotyckim zbudowany był z wyblakłej, czerwonej cegły, miał biały portyk, wysokie okna o czarnych okiennicach i balkony z żelaznymi balustradkami. Od ulicy odgradzał go ogród i rozległy trawnik, gładki i zielony niby stół do bilarda. Dom sprawiał wrażenie, jakby stał tam od zawsze, jakby był częścią historii Ameryki, nie tylko rodu Jordanów.

Squeeze samorzutnie skręcił w bramę i Mał pomyślała, że musi tu często przychodzić z Harrym.

– Twój drugi dom, co Squeeze? – powiedziała, wchodząc na białą werandę i naciskając dzwonek.

Miffie otworzyła drzwi natychmiast i Mał pomyślała, że musiała chyba za nimi stać.

– Moja droga Mallory! – Miffie obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

– Jak miło cię widzieć – pocałowała gościa serdecznie w oba policzki, podała chusteczkę higieniczną.

Ubrana była w niebieską, jedwabną spódnicę, plisowaną, szarą bluzkę i czółenka na płaskim obcasie. Mał pogratulowała sobie zmiany stroju, choć nie sądziła, by Miffie zwracała uwagę na takie drobiazgi.

Dwa identyczne pekińczyki podbiegły do niej w podskokach, uszczęśliwione widokiem Squeeze'a. Łasiły się do niego, trącały go nosami i piszczały z uciechy, ale Squeeze siedział na zadzie, dumny jak udzielny książę, od czasu do czasu darząc je tylko przelotnym spojrzeniem.

– Widziałś coś podobnego?! – zawołała Miffie z irytacją. – Powinny się już nauczyć, że zadawanie się z psimi miniaturowkami jest poniżej godności Squeeze'a.

Ale łasz się mimo to, dopraszając uwagi. – Roześmiała się.

– Czasami doskonale je rozumiem.

Poprowadziła Mallory przez elegancki hol, w górę kręconych schodów do, jak to nazwała, prywatnego saloniku.

– Jest o wiele przytulniejszy niż ten na dole – wyjaśniła, zapraszając Mał do uroczego pokoju z wysokimi oknami i żelazną balustradką, którą widziała z zewnątrz.

Pokój utrzymany był w żółtej tonacji. Ściany miały kremowożółty odcień, a białe, dekoracyjne gzymsy przywodziły na myśl polukrowany tort. Ciemnozłote zasłony z tafty opadały w gęstych fałdach na podłogę, bladezielony dziergany dywan w małe kwiatki rozpościerał się od ściany do ściany, antyki – niezwykle cenne i wspaniale utrzymane – zapierały dech w piersiach. Ozdobna rama przymglonego starego lustra, wiszącego nad marmurowym kominkiem, została wykuta w Anglii w siedemnastym wieku, a obrazy i portrety na ścianach liczyły ponad sto lat.

Miffy wskazała gościowi fotel. Na stoliku stał już srebrny dzbanek do herbaty, śliczne filiżaneczki Limoges, a także taca z kanapkami i ciasteczkami. Na bocznym, osiemnastowiecznym niezbędniku czekały szklanki i kubek z lodem.

– Herbata czy dzin? – Miffie spojrzała na nią wyczekująco.

Mal zdecydowała się na herbatę z cytryną. Squeeze usiadł przy jej nogach z dwoma pekińczykami czule przytulonymi do swych boków.

– Zupełnie jak podpórki na książki, nieprawdaż? – powiedziała Miffie, z ubolewaniem kiwając głową.

Mal przyglądała się obrazom na ścianach, a Miffy przyglądała się jej. Pomyślała, że Mal jest urocza. Po obejrzeniu programu nabrała pewności, że Jack Jordan się nie myli. Harry byłby szalony, gdyby wypuścił ją z rąk. Miffie zdawała sobie sprawę, ile serca, ile taktu wymagało stworzenie wczorajszego programu. Było to niezwykle trudne, przekazać wszystkie okropne szczegóły morderstw w taki sposób, by ocalić godność rodzin i ofiar. Ale Harry ostrzegł ją, by o tym nie mówiła.

Spróbuj się powstrzymać.

– To portrety kobiet z rodu Peascottów – powiedziała do Mal. – Jesteś w domu Peascottów, moja droga. Moja pra-prababka urodziła się w sypialni, którą teraz zajmuję. Reszta pań miała dość oleju w głowie, by rodzić w bardziej higienicznych warunkach.

Portret pędzla Tissota, po twojej lewej ręce, przedstawia moją prababcie, Hannah Letitię Peascott, podczas podróży poślubnej do Paryża. Objechali całą Europę, ona i pradziadek. Była bardzo ładna, nie uważasz? I dożyła stu dwu lat. Dobrze, peascottowskie geny – dodała z aprobatą.

– A ta dama, tutaj, to moja babka, Felicja Alice Peascott. Dargent, oczywiście.

Biedna kobieta, utonęła wraz z Titanikiem. Podróżowała samotnie, co wydało się wszystkim trochę dziwne. W rodzinie nigdy nie mówiło się o tym głośno, ale podobno uciekła z przyjacielem rodziny, który również znajdował się na pokładzie i również podróżował samotnie. Bardzo romantyczna historia, nie uważasz?

– A to jest portret mojej drogiej matki, pędzla Johna Warda. Wygląda zupełnie jak księżna Windsoru, tylko o wiele mniej pałukowato. I miała o wiele więcej wdzięku. Za jej życia mówiono, że Marietta Peascott jest najbardziej uroczą kobietą, jaką nosiła ziemia.

Miffie westchnęła ze smutkiem.

– Umarła młodo, kiedy byłam dzieckiem. Wypadek na polowaniu. Uparła się gonić lisa za ogarami. Głupia, nigdy nie chciała przyznać, że kiepska z niej amazonka.

Ojciec mawiał, że duma ją zgubi. No i zgubiła. Ale kochaliśmy ją bardzo.

Miffie zaczerpnęła powietrza, przelknęła łyżeczek herbaty i uśmiechnęła się do

Mal.

– Oto w skrócie najnowsza historia rodu Peascottów.

– To musi być wspaniałe, naprawdę znać dzieje rodziny. Ja nigdy nie poznałam dziadków, nie wiedziałam nawet, czy ich mam. Prawie nie znałam ojca. A co do matki... Cóż, nigdy nie wspominała o swojej rodzinie. Obawiam się, że Malone'owie nie posiadają dziedzictwa Peascottów i Jordanów – powiedziała Mal.

– W dzisiejszych czasach dziedzictwa niewiele znaczą – Miffie podsunęła Mal talerz z wybornymi babeczkami owocowymi. Wyglądały jak miniaturowe arcydzieła. – Liczy się co innego – dodała. – Energia, talent, pracowitość, odwaga – zawahała się. Wiedziała, że nie powinna tego mówić, ale nie mogła się powstrzymać.

– Podziwiałam cię wczoraj – odezwała się cicho. – Harry znienawidzi mnie za to, że poruszam ten temat. Nie chciał, żeby cię denerwować, powiedział, że i bez tego wiele przesłaś. Widzę, że miał rację.

Pochyliła się i poklepała Mal po ręce.

– Zrobiłaś wspaniałą rzecz. Te młode kobiety nigdy nie zostaną zapomnianymi ofiarami. A kiedy go złapią, nikt nie pozwoli, by stał się gwiazdą mass mediów.

A złapią go, moja droga. Dzięki tobie.

– Ależ ja byłam tylko narzędziem, środkiem prowadzącym do celu. Złapią go ludzie, którzy pracują za kulisami, ludzie, o których opowiadał mi Harry. Wszyscy ci cierpliwi policjanci, którzy sprawdzają teraz każdego ogrodnika w Bostonie, technicy badający najmniejsze poszlaki. I detektywi, tacy jak Harry i Carlo Rossetti, i inni, którzy myślą tylko o tym, jak zapobiec morderstwu. To będzie ich zasługa. Ja tylko przedstawiłam sytuację.

Miffie popatrzyła na nią z podziwem, ale nie drążyła tematu, wiedząc, że Harry i tak zmyje jej głowę.

– Jeszcze herbaty, kochanie? – zapytała. – Opowiesz mi teraz, co planujecie z Harrym na weekend? Jeżeli nie macie nic do roboty, możecie wybrać się na Farmę Jordanów. Stoi teraz zupełnie pusta. Och, zapomniałam powiedzieć, że jutro wyjeżdżam do Pragi z przyjaciółką, Julią Harrod. To fascynujące miasto, przynajmniej tak mi mówiono – roześmiała się pogodnie. – Nie mogę się go doczekać. Znowu dostałam gorączki podróżniczej. Nie mogę się oprzeć żadnej pokusie. Tak więc, zapraszam was na farmę. Widziałam, jak ci się spodobała. A kiedy już tam będziesz, możesz wyrwać parę chwastów z ogródka różanego. Jak to się dzieje, że wyrastają wszędzie?

Zaczerpnęła powietrza.

– Skoro już wypijaś herbatę, pozwól, że oprowadzę cię po domu i opowiem jeszcze co nieco o Peascottach. W końcu teraz, kiedy po – urwała w pół słowa. – O rany! – powiedziała ze śmiechem. – Harry nigdy by mi nie wybaczył, że paplę, jak

on to nieelegancko nazywa.

Squeeze i pekińczyki towarzyszyły paniom w przechadzce po pięknym, starym pałacu Peascottów.

Kiedy, godzinę później, Mał opuściła już jego progi, kręciło jej się w głowie od wypraw Peascottów, bitew, w których uczestniczyli, statków wielorybnych, którymi dowodzili, a także kasyn gry w Monte Carlo i paryskich mansard, gdzie jedna z czarnych owiec spędziła kilka lat, próbując zostać artystą.

– Nie miał za grosz talentu – powiedziała Miffie – za to mnóstwo uroku. Ożenił się ze swoją kochanką i modelką, dziewczyną z Korsyki. Arystokratyczny ród Peascottów zawdzięcza jej mnóstwo świeżej latynoskiej krwi.

Mał uśmiechnęła się jeszcze, wchodząc do domu Harry'ego. Zamknęła za sobą drzwi, myśląc o tym, jak miłe są takie stare domy, wypełnione historią i charakterem.

Jakby ich mury nasiąknęły osobowością i szczęściem ludzi, którzy zamieszkiwali je przez dwa stulecia.

Nakarmiła Squeeze'a, przejrzała kolekcję płyt kompaktowych i nastawiła album Sade. Ułożyła stosik drewna w pustym kominku, podpaliła, a kiedy buchnął ogień, dorzuciła parę mniejszych polan. Usiadła na dywanie, podziwiając ciepły poblask, jakim ogień wypełnił pokój. Wtedy zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę i powiedziała śpiewnie:

– Halo, Harry!

Czekała z uśmiechem na jego odpowiedź, ale nikt się nie odezwał.

– Halo! – powtórzyła zdziwiona. Cisza. A jednak ktoś był po drugiej stronie linii.

Poczuła nieprzyjemny dreszcz. Szybko odłożyła słuchawkę, obejrzała się niespokojnie przez ramię, nagle uświadamiając sobie, że jest sama. Squeeze stał w drzwiach, nie spuszczać z niej wzroku. Wydał jej się ogromny, silny i bardzo wilkowaty. Jego widok podziałał na nią tak krzepiąco, że miała ochotę go uściskać. Ktoś wykręcił zły numer. Przestraszyła się, ponieważ nerwy miała w strzępach.

Parę minut później telefon zadzwonił ponownie.

– Kto dzwoni? – zapytała głosem pełnym napięcia.

– To ja, oczywiście! Kogo się spodziewałaś? – zapytał Harry.

– Ach, to ty! – westchnęła z ulgą. – Dzwoniłeś przed paroma minutami?

– Nie, dlaczego?

– Ktoś dzwonił, tylko że się nie odezwał. Jestem pewna, że ktoś był po drugiej stronie linii. To już dzisiaj drugi raz. To samo było rano, w domu.

– Zbieg okoliczności – powiedział, ale czoło przecięła mu zmarszczka niepokoju.

– Mój numer jest zastrzeżony.

– Mój też.

– No widzisz. To niemożliwe, żeby ktoś zdobył dwa zastrzeżone numery

telefonu, mój i twój. Nie sądzę, żeby udało się zdobyć nawet jeden. To była pomyłka, Mal.

– Pewnie tak – powiedziała bez przekonania. Wyczuł jej zdenerwowanie.

– Posłuchaj – powiedział szybko. – Jadę do domu. Za pół godziny będę z tobą.

O nic się nie martw, dobrze?

– Dobrze – powiedziała, ale w jej głosie zabrzmiała ulga. Harry rozłączył się i zwrócił do Rossettiego.

– Tak, jestem detektywem i powinienem to wiedzieć, ale w jaki sposób zwyczajny gość może zdobyć zastrzeżony numer telefonu?

– Łatwo – odparł Rossetti między jednym kęsem pączka z marmoladą a drugim. – Może go dostać od przyjaciela.

– Jaki przyjaciel zdradzi zastrzeżony numer?

Rossetti siedział rozwalony za biurkiem. Jego niepokalany wygląd diabli wzięli: był zarośnięty, spodnie miał wygniecione, podwinięte rękawy koszuli, a rozwiązany krawat smętnie zwisał z szyi. Rzucił Harry'emu złe spojrzenie. – Chcesz zdobyć zastrzeżony numer, błysnij odznaką. O co ci chodzi, do cholery?

– Nie mnie, Rossetti. Zabójcy.

Rossetti wyprostował się za biurkiem. Chcąc nie chcąc wysłuchał rozmowy Harry'ego z Mal i nagle zrozumiał, o czym mówili.

– Ma numer Mal?

– Ktoś go ma. Mój również – Harry wzruszył ramionami. – Oczywiście, może to być zbieg okoliczności, dwa głuche telefony, dwa różne numery. Niepokoi mnie tylko fakt, że te dwa telefony odebrała ta sama kobieta.

Zadzwoił do telekomunikacji, zapytał w jakich okolicznościach podają zastrzeżony numer telefonu. Powiedziano mu, że tylko w przypadku nagłej choroby, a i wtedy wymagane jest potwierdzenie lekarza. Nikomu nie podali jego numeru ani numeru Mal.

– Masz rację, Rossetti – powiedział. – Pozostają tylko znajomi.

– A propos znajomych, za parę tygodni są urodziny Vanessy. Oboje jesteście zaproszeni.

– Możesz na nas liczyć – rzucił Harry już od drzwi.

– Spieszno ci, co? – zawołał za nim Rossetti, ale Harry tylko się roześmiał.

Kiedy dwadzieścia minut później wszedł do holu własnego domu, pomyślał, że pomylił adres. Zazwyczaj witała go cisza, martwota, pustka rzadko zamieszkiwanego domu. Dziś wypełniał go zapach drewna płonącego w kominku, dobrego jedzenia, głos Sade śpiewającej o miłości. Poczł się jak mąż wracający do domu po długim dniu pracy w biurze.

– Jestem, złotko! – zawołał żartobliwie. Mal wytknęła głowę z kuchni..

– Widzę, kotku – odparowała. Pies stał przy jej nodze. Przeciągnął się leniwie, najpierw przednie łapy, później tylne, po czym poczłapał wolno do Harry'ego.

– Coś podobnego! – zawołał Harry, nie mogąc wyjść z podziwu. – Jesteś tu zaledwie od para godzin, a on już zmienił pana.

– Nieprawda – wróciła do kuchni. – Był na długim spacerze, zjadł dobry obiad i trochę go rozebrało, to wszystko. Nie martw się, Harry, on nadal cię kocha.

Stała przy kuchence, mieszając coś w nieskazitelnie czystym rondlu. Podeszedł do niej od tyłu, otoczył ramionami, całując w kark.

– A ty?

– Nie byłem na długim spacerze i nie zjadłem dobrego obiadu – powiedział wymijająco.

Zajrzał do garnka.

– Hmm. Ty to ugotowałaś?

– Nie. „Zabars” to ugotował, podobnie jak resztę twojej kolacji. Roześmiał się i przekreślił ją w ramionach, twarzą do siebie.

– Dlaczego nie jadłaś? Jest po dziewiątej.

– Bez ciebie nie byłam głodna.

– Czy napomknąłem już, że miło mieć cię w domu? I że wyglądasz wspaniale w dzinsach?

Roześmiała się.

– Teraz tworzymy dobraną parę.

– Mam dla ciebie niespodziankę, przypomnij mi o niej później – powiedział, idąc już w stronę łazienki.

Po kolacji zabrali Squeeze'a na spacer. Harry chciwie wdychał balsamiczne powietrze.

– Pachnie latem – powiedział.

– A jak właściwie pachnie lato?

– Och, czymś liściastym, parnym...

– Świeżo skoszona trawa, sianko? – przypomniała mu.

– Właśnie! – i – uśmiechnął się szeroko. – A! Prawie bym zapomniał.

Niespodzianka!

Zwolniła kroku, spoglądając na niego wyczekująco.

– Mamy wolny weekend. Rossetti mnie zastąpi.

Twarz Mal rozjaśnił uśmiech, który przeszył mu serce jak promień światła.

– Chcesz powiedzieć, że jestem na ciebie skazana?

Wsunął jej rękę pod ramię. Szli wolno stromą, wybrakowaną uliczką. Pies biegł przed nimi, zataczając małe koła.

– Pomyślałem, że wpadniemy na Farmę Jordana, ukradniemy dwa dni ciszy

i spokoju. Potrzebujesz tego, Mal, i Bóg mi świadkiem, ja też.

Zeszli aż na nadrzeczny bulwar, po czym wrócili Chesnut Street na Louisberg Square, robiąc plany na następne dwa dni. Wyjadą wczesnym rankiem, żeby w pełni je wykorzystać. Kątem oka Harry dostrzegł stalowoszare volvo zaparkowane na rogu. Stwierdził w duchu, że firma Volvo przejmuje powoli miasto.

Potem wrócił myślami do Mal i do faktu, że dziś w nocy będzie spała w jego łóżku.

– Jak trzy niedźwiadki – powiedział z szerokim uśmiechem. – Jeżeli wliczymy w to Squeeze’a.

39.

Volvo stało tam jeszcze o szóstej rano, kiedy ładowali w się do jaguara i ruszali na farmę. Harry uznał, że samochód należy do sąsiada. Świat jest jednak mały.

Na autostradzie zauważył czarne infiniti z przyciemnionymi szybami. Wytrwale trzymało się jaguara. Niezależnie z jaką prędkością jechał, widział je ciągle we wstecznym lusterku.

Zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział Mal, która drzemała beztrusko na przednim siedzeniu. Wrócił myślą do głuchych telefonów i doszedł do wniosku, że były wynikiem pomyłki. Morderca nie miał dość sprytu, żeby zdobyć zastrzeżone numery. Był pracowity, ale niespecjalnie błyskotliwy. Niespodziewany powrót Suzie sprawił, że wpadł w panikę i postąpił niezgodnie ze swą naturą. W rzeczywistości jest człowiekiem, który starannie planuje swoje poczynania, nigdy nie działa pod wpływem impulsu. I właśnie dlatego go złapią. Już wkrótce.

Zbliżał się zjazd z autostrady. Włączył kierunkowskaz i nie odrywając oczu od wstecznego lusterka, ostro skręcił na rampę. Infiniti pojechało prosto i Harry odetchnął. Pomyślał, że to paranoja i wymazał incydent z pamięci.

Stalowszarsze volvo trzymało się bardziej z tyłu, poza zasięgiem wzroku Harry'ego. Mężczyzna zobaczył Mallory w wiadomościach telewizyjnych. Wiedział, że wylądowała w Bostonie. I wiedział wszystko, co należało wiedzieć o detektywie Harrym Jordanie. Poznanie wroga leżało w jego interesie, w ten sposób zdobywał nad nim przewagę. Wiedział, kiedy Harry zjedzie z autostrady, ponieważ znał drogę na Farmę Jordana.

Mal pomyślała, że Harry miał rację; nadeszło lato. Słońce przypiekało mocno, kiedy wysiedli z jaguara. Powietrze było pachnące, niemal soczyste, jak dojrzały owoc lub rozkwitające pąki róż.

Squeeze pobiegł w rundę dookoła domu, Harry wyladowywał bagaże z samochodu, a Mal stała, rozkoszując się spokojem wsi. Dzieciółka załomotała w pobliskie drzewo i Mal odwróciła się w stronę Harry'ego.

– Czuję się jak postać z filmów rysunkowych Woody Woodpeckera – powiedziała ze śmiechem.

– Wręcz przeciwnie, wyglądasz bardzo realnie i bardzo pięknie. Świeże powietrze ci służy.

– Coś podobnego! – zdziwiła się. – Naprawdę powiedziałaś mi komplement, nie wbijając przy tym szpilki.

– Myślałem, że od szpilek jesteś ty.

– Znowu zaczynasz? – zaprotestowała, wchodząc na werandę. Wzniósł oczy do nieba, po czym poszedł za nią, dźwigając torby.

- Zabiorę cię na ryby. To cię powinno uspokoić.
- Nigdy nie byłam na rybach – wątpiła, czy jej się to spodoba.
- Trochę to nudne.
- Daje człowiekowi czas na myślenie.

Mal stanęła na werandzie. Farma Jordana była tak piękna, jak ją zapamiętała. Zdawała się spowijać domownika, otaczać go spokojem i ciszą. Czowała niemal ciągłość życia, jaką reprezentował sobą dom. Mówił wyraźnie, że cokolwiek się stanie, on zawsze będzie na Ciebie czekał.

Harry patrzył, jak przesuwa dłonią po jedwabistej powierzchni starego stołu, dotyka wyblakłej aksamitnej poduszki, bierze do ręki fotografię, pochyla się, by powąchać kwiaty w glinianej doniczce na parapecie. Wiedział, co czuje.

– Nazywam to duchem miejsca – powiedział cicho. – Uczucia, doznania, jakim stare domy zdają się być przesiąknięte. Niby kapsułka skondensowanych wspomnień.

Mal przypomniała sobie bezduszny „dom”, jaki zamieszkiwała z matką w Golden High. Wiedziała, że nie trzeba bogactwa, by dom miał duszę, ale niezbędna jest miłość.

– Zrobię kawy – powiedział żywo Harry, wyrywając ją z zamyślenia.

– Potem wybierzemy się na długi spacer. Potem będę musiał wyrwać parę chwastów dla uspokojenia sumienia, a jeszcze potem pójdziemy na ryby.

Parę godzin później siedzieli nad brzegiem strumienia, machając nogami i zarzucając dziecinne wędki w wartkie wody. Opierali się wygodnie o pień wierzby, patrzyli, jak strumień rozbija się o kamienie i zastanawiali się, czy w spokojnej wodzie przy drugim brzegu kryją się pstrągi.

– Złapałeś kiedyś pstrąga? – zapytała Mal podejrzliwie.

– Jasne. Miałem wtedy dwanaście lat. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i Mal westchnęła.

– Jakim sposobem będziemy mieli pstrąga na obiad, jeżeli go nie złapiemy?

– To proste. Niedaleko stąd wuj Jack ma stawy rybne. Przy każdej okazji przywozi pstrąga w darze. Miffy nie śmie mu powiedzieć, że nie cierpi ryb i chowa je wszystkie w zamrażarce.

– Rozumiem, choć nie tego się spodziewałam – oparła się wygodnie o pień. – Wszystko jedno, miło się łowi.

– Mówiłem ci, że to dobre na myślenie – spojrzał na nią kątem oka.

– Opowiesz mi coś więcej o Golden?

– To naprawdę nie jest interesujące.

– Dla mnie jest.

Mówienie o czasach, kiedy była młoda i naiwna, wydało jej się nagle całkiem proste w ten rozsloneczniony, letni dzień, nad brzegiem strumienia.

Opowiedziała mu więc o swojej walce o przetrwanie, o potrzebie stania się kimś.

Opowiedziała mu o mężu, o tym jak go podziwiała i starała się naśladować, choć nie mogła z nim zostać, ponieważ chciał, by rzuciła pracę, przestała być Mallory Malone i znów stała się nikim.

– To nie tak, Mal – powiedział, kiedy skończyła. – Zawsze będziesz Mallory Malone, osobą, którą się stałeś. I zawsze będziesz Mary Mallory, ofiarą sytuacji rodzinnej, która była poza twoją kontrolą. Nasi rodzice są tylko częściowo odpowiedzialni za to, jacy jesteśmy. Resztę tworzymy sami, poprzez to, co robimy w życiu, poprzez decyzje, jakie podejmujemy, drogi jakie obieramy. Miffie Jordan jest taka, a nie inna, dzięki sobie, nie dzięki swojej matce. Tak samo jest ze mną, z tobą.

Nie była do końca przekonana, choć bardzo pragnęła, by Harry miał rację.

Drgnęła, kiedy wędka skoczyła jej w rękę. Chwyliła ją mocno, gapiąc się w wodę.

– Harry! – krzyknęła. – Ryba!

Squeeze poderwał się z ziemi. Biegał w podnieceniu w górę i w dół strumienia, potem wykonał zamaszysty skok do wody, ochlapując ich wodą. Piszcząc z uciechy, Mal upadła na plecy. Harry pochwycił wędkę, ale było już za późno. Ryba umknęła.

– I bardzo dobrze – wykrztusiła Mal, ciągle zanosząc się śmiechem. – I tak nie pozwoliłabym jej zabić.

Podsłoczyła nerwowo, kiedy w kieszeni Harry’ego zabrzączał telefon. Spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Przepraszam – powiedział i wyjął aparat. Słuchał przez chwilę, powiedział „nie”, potem „tak, zaraz będę”. Spojrzał na Mal.

– Nic nie mów – powiedziała, zmarkotniała. – Musisz jechać.

– Dzwonił Rossetti. Odebrali parę podejrzanych telefonów z okolic Bostonu.

Wysłali już ludzi. Istnieje pewna szansa, że mógł to być morderca. Muszę jechać, Mal.

Podniosła się na nogi, strzepnęła żdźbła trawy ze spódnicy.

– Zbiorę rzeczy.

– Nie ma potrzeby. Wrócę za parę godzin. Nie pozwolę, by jakiś żartowniś popsuł nam weekend.

– A jeżeli to nie żartowniś?

– Jeżeli będę miał tyle szczęścia, wyślę po ciebie samochód. Ale mam przeczucie, że to nie on.

Odprowadziła go do auta.

– Przeszykuję obiad, na wszelki wypadek – powiedziała. – Obiecuję, że nie będzie to psstrąg.

Harry z uśmiechem pomachał jej na pożegnanie. Jadąc aleją w stronę bramy, widział ją we wstecznym lusterku. Stała na werandzie ze Squeezem przy nodze.

Pomyślał, że wygląda tak, jakby przynależała do tego domu.

– Mamy dwie taśmy, Profesorku – powiedział Rossetti.

Z trądem przebijali się przez zatłoczone ulice centrum, zmierzając do Cambridge, gdzie mieszkał pierwszy rozmówca.

– Ochrzcił się Bostońskim Mordercą, ale, tak naprawdę, nazywa się Alfred Trafillo. Zadzwoił trzykrotnie z tej samej budki, dwie ulice od własnego domu.

Nie wygląda na spryciarza, ale warto sprawdzić. Używa również nazwiska Alfred Rubirosa – ładnie, co? Uważa się pewnie za playboya. Powiedział parę rzeczy, od których włos mi się zjeżył. Jakby wiedział o zamordowanych więcej niż my.

Harry wysłuchał taśmy. Rossetti miał rację.

– Albo facet był na miejscu, albo genialnie zgadł. Mówił o Rachel Klienfeld, tak? Rossetti skinął głową.

– Posłuchaj tego drugiego gościa – przewinał taśmę. Głos mężczyzny był melodyjny, zdradzał osobę z pewnym wykształceniem. – Mówi trochę jak ksiądz – skomentował Rossetti. – Nie wiem o nim nic, z wyjątkiem tego, że grozi pannie Malone.

Harry poczuł gęsią skórę, słuchając głosu mężczyzny, który opowiadał ze wszystkimi plastycznymi szczegółami, co zrobi Mallory Malone. Głos był miękki i łagodny. Mężczyzna najwyraźniej znał anatomię kobiety i używał terminów medycznych.

– Telefon komórkowy – powiedział Rossetti. – Wystawiony na firmę o nazwie „Grays Anatomical Supplies”, Boston Południowy. Kłopot w tym, że taka firma nie istnieje. Zamiast adresu – numer skrzynki pocztowej, zlikwidowany przed tygodniem, ale zlokalizowaliśmy gościa.

– Anatomia Graya jest biblią medyczną. Rossetti wzruszył ramionami.

– Puściłem nagranie patologowi. Powiedział, że facet używa właściwej terminologii medycznej, ale jego opis ciał nie zgadza się z rzeczywistym stanem rzeczy. Powiedział, że jest to prawdopodobnie amator, którego podnieca terminologia i sprzęt medyczny. Patolog powiedział, że sporo jest takich świrów.

Zdarzało się nawet, że wchodzili do szpitali, leczyli pacjentów i nikt nie zauważył różnicy.

Rossetti zdjął ręce z kierownicy i niedbałym gestem poprawił krawat we wstecznym lusterku. Harry rzucił mu złe spojrzenie i Rossetti się roześmiał.

– Chyba nie boisz się ze mną jeździć, Prof?

– Podasz mi jeden powód, dla którego nie powinienem się bać?

– Ze mną jesteś bezpieczny. I obawiam się, że z naszymi podejrzanymi również.

Nie liczę na żadnego z nich.

Harry pomyślał z zalem o uroczym, zniweczonym popołudniu z Mal. Miał nadzieję, że uda mu się wrócić na kolację. Zastanawiał się, co ona robi.

Późnym popołudniem Mal przyrządziła sobie filiżankę herbaty Earl Graya. Usiadła na zielonej, wiklinowej kanapce na werandzie i spoglądała na ocieniony wierzbami strumień. Squeeze trącał ją nosem, domagając się herbatnika, którego mu pochopnie dała, ponieważ, podobnie jak jego właścicielowi, nie sposób mu się było oprzeć. Potem patrzyła, jak słońce zachodzi powoli w pomarańczowej poświacie, aż pochłonęło je czarniejące niebo.

Wtedy zebrała akcesoria po herbacie, zawołała psa i wróciła do domu. Zapaliła lampy i przez chwilę wahała się, czy nie rozniecić ognia na kominku, ale uznała, że będzie za ciepło, poza tym nie chciała uruchamiać klimatyzacji; szkoda jej było powiewu, wpadającego przez otwarte okna.

Poszła na górę, wzięła prysznic, przebrała się w długą, zieloną spódnicę i miękką jedwabną koszulę w kolorze ciepłego beżu. Przczerzyła odrobinę rzęsy, przesunęła pomadką po wargach, prysnęła „Nocturnes” na szyję i przeguby.

Przez chwilę siedziała na kanapce w oknie wykuszowym, patrząc na zapadający zmierzch. Kiedy przeszedł w granatową czerń nocy, zapaliły się światła na werandzie.

Noc wydawała się cicha w porównaniu z nieustannym pomrukiem miasta, ale wystarczyło się wsłuchać, by pochwyć szelest drobnych stworzeń w trawie, łopot skrzydeł, szmer strumienia.

Uznała właśnie, że pora zejść na dół i zabrać się za przygotowanie kolacji, kiedy usłyszała inny dźwięk.

Wyprostowała się gwałtownie, nasłuchując. Rozległ się suchy trzask, jakby ktoś nastąpił na gałązkę. Potem przypomniała sobie, co Harry opowiadał o jeleniach żyjących w pobliskim lesie.

Kędy zeszła na dół, Squeeze siedział w holu wpatrując się we frontowe drzwi.

Odrzucił ku niej łeb, zapiszczał cichutko, i przybrał poprzednią pozę.

Uświadomiła sobie nagle swoją samotność, na przestrzeni mil nie było żywego ducha. Zaniepokojona zamknęła frontowe drzwi na klucz. Potem obeszła cały dom, zamykając wszystkie inne drzwi – tylne, te prowadzące do kuchni, na taras, i małe drewniane do piwnicy.

Kiedy wróciła, Squeeze ciągle siedział w holu. Na jej widok machnął ogonem i poszedł do kuchni.

– To nie było nic groźnego, prawda, piesku? – powiedziała, próbując przekonać samą siebie. – Tylko jelen.

Kuchnia stanowiła oryginalną część dawnego budynku, reszta domu wyrosła wokół niej. Miała białe drewniane szafki, stare drewniane podłogi i czarne belki na

suficie. Przestrzeń między belkami pomalowana była na żółto i Mal pomyślała, że taki sufit musi rozświetlać całe pomieszczenie, nawet w najbardziej ponure, zimowe dni.

Przejrzała kolekcję kaset magnetofonowych i nastawiła symfonię pastorałną Beethovena, ponieważ zdawała się najlepiej pasować do miejsca i czasu. Potem wróciła do kuchni, by pobuszować w świetnie zaopatrzonej spiżarni Miffie.

Kroiła pomidory na sos, kiedy ponownie usłyszała dźwięk. Tym razem były to kroki. I tym razem Squeeze rzucił się ku drzwiom, warcząc.

Serce podeszło jej do gardła. Według tego, co mówił Harry, pies atakował tylko obcych. Być może Harry żartował, ale teraz wcale jej się to nie wydało zabawne.

Okna nadal były otwarte, weranda oświetlona, ale kiedy wyjrzała przez siatkę, nikogo na niej nie było.

Squeeze przycisnął się na podłodze, popiskując, nie spuszczać oczu z drzwi. Mal ogarnęła panika, w ustach jej zaschło. Przypomniała sobie, co mówił Harry, że jest teraz na terenie mordercy, że on może szukać zemsty. Potem pomyślała o zamordowanych dziewczętach, o ich rodzinach, i ogarnął ją nagły gniew. Jeżeli to naprawdę morderca, ona nie pójdzie jak owca na rzeź.

– Ty draniu! – krzyknęła, nieświadomie powtarzając ostatnie słowa Summer Young.

– Ty pieprzony draniu, nie dostaniesz mnie! – biegała od okna do okna, zamykając je, czyniąc z domu fortecę.

Dyszcząc z gniewu i strachu, wycofała się do kuchni, rozejrzała dziko, zaciągnęła zasłony, chwyciła za telefon i wykręciła numer Harry'ego. Telefon dzwonił i dzwonił, w końcu włączył się automat. Rzuciła słuchawkę, wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, co dalej robić.

Pierwszą jej myślą było zadzwonić pod 911. Sięgnęła już po telefon, kiedy naszły ją wątpliwości. Powiedziała sobie, że musi się uspokoić, działać racjonalnie.

Wokół domu kręciło się zapewne jakieś zwierzę. Oczami wyobraźni ujrzała nagłówki w jutrzejszej prasie: „Mallory Malone dzwoni po policję, by uratowała ją przed jeleniem”. Poza tym wiedziała, w jaki sposób brukowce wykorzystają fakt, że nocowała w domu detektywa Harry'ego Jordana. Nie zależało jej na tym, by omawiano publicznie jej życie osobiste, zwłaszcza teraz, kiedy mogło to poważnie osłabić siłę oddziaływania programu i podkopać jej wiarygodność.

Drżącymi rękoma otworzyła butelkę i nalała wina do kieliszka. Sącząc je wolniutko, powiedziała sobie, że zachowuje się jak idiotka. Potem zobaczyła Squeeze'a, siedzącego na zadzie, nieruchomym wzrokiem wpatrzonemu w tylne drzwi.

Włosy zjeżyły jej się na karku. Pociągnęła łyk wina, przenosząc wzrok z psa na

drzwi. Powinna zadzwonić na policję, ale było już za późno, znajdowała się z dala od jakiegokolwiek osady.

– Cholera, Harry, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?! – szepnęła. Przypomniała sobie nagle, że kiedy oprowadzał ją po domu, zahaczyli o „komórkę”. Zawierała kolekcję starych butów i kurtek, a także oszkloną szafę z całym asortymentem strzelb do polowania na dzikie kaczki.

Zawoławszy na psa, szybko przeszła przez hol. Obcasy jej pantofli dudniły głucho o deski podłogi, zrzuciła więc zdradzieckie buty i dalej poszła boso.

Otworzyła komórkę. Była niewiele większa od dużej szafy, tyle że z małym okienkiem pod samym sufitem. Wyblakłe, zielone kurtki wisiały na metalowych kołkach, stare gumowe wellingtony tkwiły obok skórzanych butów do końskiej jazdy, w różnych rozmiarach i w różnym stadium zniszczenia. Kolekcja wiklinowych koszyków wypełniała półki, zaś na drewnianym stole poniżej stała łubianka i rydel ogrodniczy. Ścianę naprzeciwko drzwi zajmowała oszklona szafka z pół tuzinem strzelb.

Okazała się zamknięta. Przepraszając w myślach Miffie, Mał ujęła rydel i wybiła szybę.

Nigdy nie trzymała w ręku strzelby, a ta należała do wyjątkowo pięknych okazów.

Był to purdey z rzeźbioną rękojeścią i wygrawerowanym napisem: Harald Jordan, 1903. Mał miała nadzieję, że jeszcze działa. Potem przypomniała sobie, że potrzebuje amunicji.

Dłonie jej drżały, kiedy w pośpiechu przeglądała szuflady szafki w poszukiwaniu nabojów, śrutu, czy tego czegoś, czym należało nabić strzelbę. Niczego nie znalazła.

– O, Boże – szepnęła. – Co mi po nie nabitej strzelbie? – spojrzała bezradnie na broń, przynajmniej wyglądała groźnie.

Pobiegła do kuchni, gasząc po drodze światła.

W kuchni opuściła ją nagle odwaga. Zgasiła lampę, kolana się pod nią ugięły i osunęła się na krzesło, z wzrokiem wbitym w drzwi do holu. Squeeze przysiadł obok niej i z nadzieją pomyślała, że będzie jej bronił. Nie wiedziała, gdzie jest Harry. Mogła tylko grać na zwłokę i modlić się.

Mężczyzna stał w cieniu wierzby nad strumieniem. Patrzył, zdumiony, jak niewyraźna postać podkrada się na werandę i zagląda w oświetlone okno. Był to wysoki, chudy człowiek w dżinsach i adidasach. Jego towarzysz trzymał się dwa kroki za nim.

Mężczyzna miał doskonały słuch, usłyszał warkot samochodu dużo wcześniej, niż ludzie na werandzie. Bezszelestnie przebiegł przez trawnik i znalazł się w alejce przed domem. Widać już było światła reflektorów auta podskakującego na wybojach.

Wszystko wskazywało na to, że Harry Jordan wraca do domu.

Mężczyzna rzucił się biegiem w stronę bramy, starając się dopaść jej przed jaguarem. W ostatniej chwili uskoczył za drzewa i padł twarzą na ziemię. Gdzieś z tyłu słyszał czarne infiniti, na zgaszonych światłach pędzące na spotkanie jaguara. Wstrzymał oddech, czekając na zderzenie.

Harry nie zobaczył samochodu, ale usłyszał go. Gwałtownie skręcił kierownicę w prawo. Jaguar zareagował jak czuły koń, ale nie mógł poradzić sobie z drzewem.

Rozległ się potworny chrzęst gniecionej metalu, brzęk szkła.

– Skurwiel! – wrzasnął Harry, ocierając krew z oczu, oglądając się na pędzący samochód. Czarne infiniti!

– Och, Boże! – wyszeptał ochryple. – Boże! Mallory!

Rozpiął pas bezpieczeństwa, ale nie mógł otworzyć drzwi. Uderzał w nie całym ciałem, ale nawet nie drgnęły. Spróbował z drugiej strony. To samo. Spojrzał w górę i ujrzał gwiazdy, te na niebie i te w swojej głowie. Potem przypomniał sobie, że jechał z rozsuniętym dachem.

Samochód stał przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni, z dwoma kołami w rowie. Harry wspiął się na dach i zsunął na ziemię po masce. Zaczął biec.

Mężczyzna podniósł się z ziemi. Spojrzał na Harry'ego, biegnącego w stronę farmy, i roześmiał się gorzko. Ktokolwiek siedział za kierownicą czarnego infiniti uratował dzisiaj życie Mallory Malone i o mały włos nie zabił detektywa. Mężczyzna ruszył miarowym truchtem do miejsca, gdzie ukrył volvo, w cieniu drzew bocznej drogi, pół kilometra za Farmą Jordana.

Wsiadł do wozu, przygładził włosy, założył tweedową marynarkę, zawiązał jedwabną apaszkę. Skierował samochód w stronę autostrady, choć nie miał zamiaru z niej korzystać. Pojedzie bocznymi drogami, przez wsie i małe miasteczka. Powrót do Bostonu zajmie więcej czasu, ale, jeżeli policja zacznie szukać czarnego infiniti, nikt nie zwróci uwagi na elegancko ubranego mężczyznę w volvo. W końcu, na prowincji wszyscy jeżdżą volvo.

Mał zamarła, słysząc szybkie kroki na schodach werandy.

– Nie! – jęknęła cicho, zdretniała ze zgrozy. – Och, nie...

Ktoś próbował otworzyć frontowe drzwi. Squeeze skoczył w stronę holu czekając jak opętany.

Mał przycisnęła strzelbę do piersi. Zimny pot spływał jej po plecach, gardło wyschło na wiór. Nie mogłaby krzyknąć, nawet gdyby spróbowała.

Usłyszała kroki za sobą, pod kuchennymi drzwiami. Squeeze przybiegł pędem z holu w chwili, gdy ktoś poruszył klamką.

Mał zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Teraz lub nigdy! A ona nie miała amunicji...

Harry uderzył ramieniem w drzwi, raz, drugi. Podały się w końcu. Kuchnia pogrążona była w ciemnościach. Namacał dłonią kontakt i ujrzał Mal mierzącą do niego ze strzelby. Powieki miała mocno zaciśnięte.

– Odejdź albo cię zabiję – powiedziała przez zęby. Zaczął się śmiać.

– Nie strzelaj, błagam, Malone, nie strzelaj! – rechotał, chwiejąc się na nogach. – O, Boże, gdybyś siebie widziała – nie mógł przestać się śmiać.

Mal otworzyła oczy. Błysnęły złowrogo.

– Wspaniale, Harry! – powiedziała lodowatym tonem. – W sam czas na kolację.

Krew spływała mu na oczy z długiej rany na czole.

– Boże! – zawołała. – Postrzelił cię!

Harry przyłożył rękę do czoła, nadal radośnie uśmiechnięty.

– Nie, ale przez chwilę myślałem, że ty to zrobisz.

Wyjął jej strzelbę z odrętwiałych dłoni, sprawdził magazynek.

– Jest pusty – stwierdził ze zdumieniem. Skinęła głowa, czując się jak idiotka.

– Nie mogłam znaleźć żadnych nabojęw.

– Śrutu, nie nabojęw – poprawił ją, a ona rzuciła się ku niemu, bijąc go pięściami.

Chwył jej rękę, założył sobie na szyję, przytulił ją do siebie tak mocno, że prawie straciła oddech.

Zanurzył twarz w jej włosach, całując gdzie popadnie: we włosy, szyję, w ucho.

– Myślałem, że cię straciłem – powiedział łamiącym się głosem. – Myślałem, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo, zostawiłem samą, a ten maniak cię znalazł...

– Przysięgam, że tam był – szepnęła, lgnąc do niego.

– Ktoś rzeczywiście był – powiedział ponuro. – Spotkałem go w drodze.

Odsunęła się, spoglądając na niego.

– Widziałeś go?! – Uświadomiła sobie, że morderca naprawdę tu był i przeszył ją dreszcz zgrozy.

Potrząsnął głową. Krew płynęła stróżkami po jego twarzy i otarł ją niecierpliwym gestem, idąc do telefonu.

– Nie wiem, kto to był, ale rozpoznałem samochód. Śledził nas rano. Wpadł na mnie, jadąc bez świateł aleją.

Wykręcił numer najbliższego posterunku policji, streścił przebieg wydarzeń, po czym zadzwonił do Rossettiego. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania czarnego infiniti noszącego ślady zderzenia z jaguarem.

Mał usiadła na tym samym krześle, na którym przed paroma minutami zęgnęła się z życiem. Nogi jej drżały, serce łomotało głucho. Spojrzawszy na Harry'ego, uświadomiła sobie nagle, że to on jest poszkodowany. Ona, z wyjątkiem wstrząsu nerwowego, nie doznała żadnego uszczerbku.

– Omal cię nie zabił – powiedziała zdumiona.

Harry odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Zabił mojego jaguara. W tej chwili jest kupą powyginanego metalu w rowie – powiedział ze smutkiem.

Wstała, zbadala ostrożnie jego ranę, poszła po ręcznik i wodę.

– Trzeba będzie szyć – powiedziała zmartwiona. Harry chwycił jej rękę, przyłożył ją do policzka, do warg.

– Słuchaj, tobie się nic nie stało, mnie się nic nie stało. Ucierpiał wyłącznie samochód. Ale dopadnę drania, który to zrobił.

– Uważasz, że to nie on?

– To nie w jego stylu. On jest myśliwym, planistą – spojrzał jej w oczy i powiedział prawdę: – Mal, gdyby chciał cię dostać, zrobiłby to. Wierz mi, jest aż taki sprytny. Poza tym, samochód nie ten. Czarne infiniti. Nie pasuje do opisu świadków. Istnieje wprawdzie możliwość, że ma dwa samochody, ale infiniti jakoś do niego nie pasuje.

W nocną ciszę wdarło się zawodzenie policyjnej syreny. Farma Jordana zaludniła się nagle policjantami.

Po godzinie, kiedy poddano już oględzinom dom i jego okolice, jak również wrak jaguara w rowie, odstawiono ich do miejscowego szpitala. Podczas gdy Harry'emu zakładano szwy, Mal nerwowo popijała kawę z automatu.

Wyszedł w końcu, z ogoloną głową i szwami biegnącymi od prawego łuku brwiowego do połowy czaszki. Ciemny zarost sprawiał, że wydawał się jeszcze bledszy niż był w rzeczywistości, w szarych oczach malował się wyraz znużenia.

W radiowozie, który odstawił ich do domu, siedział z przymkniętymi oczami. Mal widziała, że cierpi i trzymała go za rękę, spoglądając na niego z niepokojem.

Kiedy dotarli w końcu na Farmę Jordana, Harry nalał sobie czystej whisky; wołał alkohol od środków przeciwbólowych, które proponowano mu w szpitalu. Miał za sobą długi dzień. Głowa pulsowała mu z bólu, reszta poobijanego ciała również dawała o sobie znać. Ale najgorsza była świadomość, że wystawił Mal na niebezpieczeństwo. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że Farma Jordana nie jest azylem, którym była zawsze. Z drugiej strony, miał niezbitą pewność, że nie był to seryjny morderca. Więc kto, do cholery?!

Zadał sobie to pytanie następnego ranka, kiedy obudził się w starym, podwójnym łóżu, w pokoju, który należał do niego odkąd skończył dziesięć lat. Mal leżała przytulona ciasno. Czuł jej piersi na swoich plecach, jej delikatny oddech na skórze. Jedną nogę przerzuciła mu przez biodro i kurczowo trzymała go za rękę.

Pomyślał, że warto było rozwalić sobie łeb, by mieć ją tutaj, cackając się z nim jak kwoka z kurczęciem.

Odwrócił się, wsunął ramię pod jej plecy i Mal otworzyła oczy. Ich błękit zadziwiał go ciągle od nowa. Rzęsy, podkreścone na końcach, nadawały jej niewinny wygląd dziewczynki. Ale uśmiech w jej oczach zgasł, kiedy troskliwie zbadała jego głowę.

– To się nazywa zamiana ról – powiedział Harry, całując ją. – Mała Kobiętka opiekuje się Dużym Mężczyzną. Uważaj, bo może mi się to spodobać.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że w rzeczywistości kobiety opiekują się

mężczyznami? To tylko wam się wydaje, że jest na odwrót. Więc lepiej zachowaj czujność, panie detektywie, bo stracisz swoją męską zarozumiałość i będziesz zmuszony przyznać, że kobiety są silniejsze.

Roześmiał się, ale potem Mal go pocałowała i zapomniał natychmiast o jej słowach. Przesunął dłońmi po jej gładkim ciele.

– Jedwab i aksamit – wymruczał w jej szyję.

Wyślizgnęła się z jego ramion, wstała, przeciągając się leniwie, patrząc na Harry'ego z góry.

– Rannym nie wolno się kochać. Dostają natomiast śniadanie do łóżka. Nie odrywał od niej oczu, nago wyglądała wspaniale.

– Nie podoba mi się ta zamiana. A w ogóle, kto ci nagadał takich głupstw?

– Lekarka w szpitalu – włożyła szlafrok i ruszyła ku drzwiom. – A właściwie lekarka – rzuciła już od progu.

– Jakie znaczenie ma ból, skoro trzymam w ramionach taką kobietę jak ty? – zapytał wojowniczo, kiedy wyszła z łazienki.

Wzniosła oczy do nieba, niewzruszona i pomaszerowała do drzwi. Zadzwoił telefon. Mal drgnęła nerwowo i poczekała, aż Harry go odbierze.

– Dzień dobry, Profesorku – powiedział Rossetti. – Jak tam twoja głowa?

– Rossetti – zwrócił się Harry do Mal. Skinęła głową uspokojona i zeszła na dół zrobić śniadanie.

– Nie najlepiej, Rossetti – wyjęczał do słuchawki.

– Przykro mi to słyszeć, bo to, co zaraz powiem wcale nie poprawi ci samopoczucia. Miałeś dzisiaj w ręku jakąś gazetę?

– Nie, dlaczego? – zapytał, choć wcale nie chciał poznać odpowiedzi.

– Brukowce mają parę waszych zdjęć. Całkiem ładnych. Nagłówki mniej więcej w jednym tonie: Gorący romans Mallory Mallone z policjantem, prowadzącym sprawę seryjnego mordercy. Na zdjęciach spacerujecie objęci po Farmie Jordana. Którą, nawiasem mówiąc, ochrzczono „gniazdkiem miłości”.

Harry jęknął.

– Tego tylko jej potrzeba.

– Tobie też, detektywie. Przyszło mi do głowy, że ktoś, kto zrobił te zdjęcia jeździ czarnym infiniti. Wykręciłem ramię komu trzeba, w sensie metaforycznym, oczywiście, i uzyskałem parę nazwisk i adresów. Ucieszy cię zapewne wiadomość, że facet, który rozbił twój samochód, jest teraz w areszcie pod tyłoma zarzutami, ile udało mi się wymyśleć: spowodowanie wypadku, ucieczka z miejsca wypadku, wkroczenia na teren prywatny i tak dalej.

– Więc to nie był morderca – powiedział Harry z ulgą.

– Nie, zwykły wścibski paparazzi. Oto, co może się przytrafić facetowi, który

spotyka się z gwiazdą telewizyjną – dodał. – I tak miałeś dużo szczęścia, że nie wycelowali obiektywów w okno twojej sypialni.

Harry spojrział na okno, które w swej naiwności pozostawili odsłonięte.

– Będę musiał być bardziej ostrożny.

– Słusznie, Profesorku. Pilnuj głowy. I panny Malone. Odwaliła kawał dobrej roboty. Telefonów coraz mniej, od wczorajszych fałszywych alarmów nic ciekawego.

Harry nawet nie myślał o dwóch mężczyznach, których zabrali wczoraj na przesłuchanie. Już w chwili, gdy ich zobaczył, zrozumiał, że żaden z nich nie jest mordercą. Pierwszy pragnął jedynie chwili telewizyjnej sławy, drugi był zbrojnym z ginekologiczną manią. Można go było zamknąć najwyżej u czubków.

Morderca Suzie Walker był ciągle na wolności.

Powiedział Rossetti’emu, że dołączy do niego za parę godzin i zszedł na dół, podzielić się wiadomościami z Mal.

Stała przy piecu, smażąc jajecznicę. Podniosła głowę, zmarszczyła groźnie brwi.

– Miałeś być w łóżku.

– Przynoszę wieści.

Przestała mieszać jajka, odłożyła drewnianą łyżkę. W jej oczach lęk walczył z nadzieją.

– Nie – powiedział szybko. – Nie złapaliśmy go, ale wiemy, że to nie on był tu wczoraj. To był paparazzi.

– Brukowce?

– Niestety. Rossetti widział zdjęcia w prasie, mówi, że to nic strasznego.

Obejmuję cię ramieniem. No i nazwali Farmę Jordana „gniazdkiem miłości”.

– Chcesz powiedzieć, że przestraszył mnie fotograf? – zawołała radośnie.

– Zgadza się.

– Ale omal cię nie zabił? Jak mogli? Jak śmieli? – rzuciła łyżkę na stół z zaciśniętymi wargami i zaczęła spacerować po kuchni. – Upadli tak nisko, że gotowi są zabić za parę zdjęć? Boże!

– Nie był to seryjny morderca – przypomniał jej Harry. Przestała się miotać i spojrzała na niego.

– Prawda! – zadrżała na wspomnienie ostatniego wieczoru.

– Tym nie musisz się już martwić. Pozostały jedynie relacje prasowe o twoim życiu osobistym.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem, osłabła z ulgi.

– Do diabła z osobistym życiem. Rzecz była tego warta, detektywie.

– Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania, kiedy powiem, że musimy wracać do miasta.

– Teraz, zaraz?

– No, może po jajecznicę...

– Jajecznicę! – chwyciła patelnię z ognia i spojrzała ze zgrozą na zbitą, ciemnobrązową masę.

– Dobrze, że pamiętałem o bagietkach – powiedział Harry. – I jagodziankach. Teraz musisz już tylko nastawić wodę na kawę, Malone.

– I wyjeżdżamy – dodała pośpiesznie.

– Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem Squeeze’owi: takie jest życie gliniarza – pocałował ją, zanim poszedł do łazienki.

Dwie godziny później żegnał się z nią na lotnisku Logan. Rozejrzał się po hali odlotów i wgapionych w nich ludzi, powiedział sobie „a co mi tam” i pocałował Mal w usta.

– Czytali o tym w gazetach, teraz przekonali się, że to prawda – szepnął jej do ucha. – Zadzwoń do ciebie wieczorem.

– Nie będę narzekać – powiedziała. – Wiem, że takie jest życie gliniarza.

– Nie zawsze.

Mal patrzyła, jak odchodzi od niej szybkim krokiem. Wiedziała, że myślami jest już przy seryjnym mordercy. Serce skoczyło jej w piersi, kiedy się odwrócił i poszukał jej oczu. Potem uniósł rękę, pomachał jej na pożegnanie i zniknął za rogiem.

Uśmiechnęła się, wchodząc na pokład samolotu do Nowego Jorku. Uśmiechnęła się, wysłuchując, już w domu, wiadomości, jaką nagrał na automatyczną sekretarkę.

– To ja, twój ranny, sprawdzam czy bezpiecznie dotarłaś do domu. Przepraszam za weekend, za brukowce – choć całkiem niezłe wyszłaś na tych zdjęciach. Postaram się, żeby następnym razem było lepiej. Zadzwoń później.

Zrzuciła pantofle i szła już w stronę łazienki, kiedy telefon zadzwonił ponownie. Tym razem była to Beth Hardy.

– A więc dostaliście się z przystojniakiem na pierwsze strony gazet! – powiedziała.

– Będzie jeszcze gorzej – Mal opowiedziała jej w skrócie o wydarzeniach poprzedniego dnia. – Możesz więc oczekiwać dalszych nagłówek i dalszych zdjęć.

Choć już nie z „gniazdka miłości”, ponieważ przystojniak, jak go nazywasz, wrócił do pracy. A znasz stare przysłowie...

– Co z oczu, to z myśli? Wątpię. Detektyw był niezwykle troskliwy w czwartek, po programie. Radzę iść za ciosem. Każdy, kto powie o was coś złego, jest po prostu zazdrosny. Do jutra, kochanie.

Mal zdejmowała pończochy, kiedy telefon odezwał się po raz drugi.

– Chciałbym, żebyśmy byli z powrotem w gniazdku miłości – powiedział Harry. Mal poczuła radosny skurcz serca. Z uśmiechem osunęła się na łóżko.

– Jasne – powiedziała. – Moglibyśmy zaprosić paparazzich i zrobić na ich użytek powtórkę.

Usłyszała jego westchnienie.

– Prawie było warto – powiedział z żalem. – Parę szwów, rozbity jaguar, strzelby na dzikie kaczki... Czego jeszcze może oczekiwać mężczyzna po miłym weekendzie ze swoją kobietą na łonie natury?

– Ze swoją kobietą? Czy nie jest pan odrobinę zbyt pewny siebie, panie detektywie? Parę kolacyjek, przyjęcie, kilka pocałunków, odrobina pieśczoł...?

– Faktycznie niewiele tego – powiedział posepnie. Potem się roześmiał. – Malone, nie wiem doprawdy, po co do ciebie dzwonię. Widzę, że wróciłaś do normy.

– Mimo to cieszę się, że to zrobiłaś – jej głos zabrzmiał jak pieśczołota.

– Ja też – powiedział miękko. – Uważaj na siebie, Malone. Zadzwoń jutro.

Połączenie zostało przerwane. Siedziała jeszcze przez chwilę ze słuchawką w dłoniach, jakby chciała go przy sobie zatrzymać. Mogli się kłócić i dogadywać sobie, ale życie bez niego wydawało się puste.

Wzięła prysznic i otuliła się szlafrokiem. Ogarnęło ją nagle ogromne zmęczenie.

Pomyślała, że to nic dziwnego, poprzedniej nocy spała zaledwie parę godzin.

Ziewając przyrządziła sobie malinową herbatę i zajrzała jeszcze do gabinetu, żeby sprawdzić, czy nie nadeszły jakieś wiadomości. Była jedna, przesłana pocztą elektroniczną.

Przycisnęła odpowiedni klawisz i popijając herbatę, czekała, aż wiadomość ukaże się na ekranie komputera.

Witaj w domu, Mary Mallory, przeczytała.

Osunęła się na krzesło, jak zahipnotyzowana wpatrując się w ekran. Dreszcz przeleciał jej po plecach, poczuła gęsią skórę. Wiedziała, że wiadomość nie pochodzi od Harry'ego. Tym razem nie był to również paparazzi.

Tylko jeden człowiek wiedział, jak brzmi jej prawdziwe nazwisko.

41.

Mężczyzna pielęgnował róże w ogrodzie. Rozkwitały mu już, w każdym calu doskonale. Uważał, że są przepiękne, takie chłodne, szlachetne, w przeciwieństwie do róż kapuścianych, których nie znosił. Obejrzał starannie każdy nowy pąk. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka, kiedy dostrzegł mszyce.

Pośpieszył do garażu, gdzie przechowywał akcesoria ogrodnicze, przyrządził mieszanekę chemikaliów i spryskał każdy listek, każdą łodygę, kwiatek po kwiatku.

Kiedy upewnił się, że wytruł wszystkie pasożyty, wrócił do domu, zamknął drzwi i dokładnie umył ręce.

Zerknął na zegarek. Była siódma wieczorem. Ciekawe, czy Mary Mallory Mallone dotarła już do domu. Uśmiechnął się na myśl o powitalnej notatce, jaką jej wysłał. Zdobycie jej numeru telefonu i kodu poczty elektronicznej było mistrzowskim posunięciem. Choć zdumiewająco prostym. Czasem zaskakiwał samego siebie.

Założył świeżą koszulę, elegancką marynarkę, przycesał włosy i obejrzał się w lustrze. Starannie oczyścił ściereczką czarne półbuty od Gucciego. Zadowolony ze swego wyglądu, pojechał do bistro, gdzie bywał w niedzielne wieczory.

Salka była prawie pusta. Dostał ulubiony stolik przy oknie, zamówił to, co zwykle; pieczonego kurczaka i tłuczone ziemniaki. Tym razem zamiast o kieliszek wina poprosił o pół butelki. Miał co świętować. Rozwinął gazetę i utkwiał wzrok w zdjęciu Mary Mallory Malone i detektywa Harry'ego Jordana w ich gniazdku miłości. Nie wiedzieli, kim jest, nigdy się tego nie dowiedzą. Znów trzymał w ręku wszystkie karty, tylko że tym razem miał zamiar rozegrać partię ku swemu zadowoleniu.

Na razie pobawi się z Mal Malone w kotka i myszkę, zanim wypowie jej otwartą wojnę. Zaaplikuje jej parę wstrząsów nerwowych, takich jak w sobotni wieczór, na przykład. Cholerni fotografowie zachowali się jak amatorzy. Wyprysnęli stamtąd bez świateł, niby para radzieckich szpiegów. A wystarczyło włączyć długie światła, oślepić Jordana. Przez minutę nie widziałby końca własnej ręki.

Sączył z uznaniem wino. Wyjątkowo mu dziś smakowało. Potem poszedł do telefonu przy drzwiach i wykręcił jej numer. Uśmiechnął się, kiedy natychmiast podniosła słuchawkę. Potrafił rozpoznać strach w głosie kobiety, w końcu nieraz go słyszał.

Przerwał połączenie i wrócił do stolika, pogawędził chwilę z kelnerem, zjadł ze smakiem posiłek. Na deser zamówił szarlotkę z lodami waniliowymi i rozkoszował się każdą łyżką przysmaku. Zapłacił rachunek, przejechał wolniutko przez miasto do swojej kawalerki w Cambridge. Posiadanie dwóch miejsc zamieszkania było bardzo wygodne, choć w jego dokumentach figurował tylko adres w Cambridge.

Korzystał z mieszkanka, kiedy zaczynał pracę wcześniej niż zwykle. Poza tym, nigdy nie wiadomo, kiedy takie lokum przyda się do innych celów.

Harry siedział w pokoju przesłuchując taśmę Terry Walker. Znał na pamięć każdy dźwięk, ale za każdym razem, gdy słuchał ostatnich słów Suzie, zastanawiał się nad ich intonacją.

Puścił nagranie od początku. Może Suzie wcale nie powiedziała: „co pan tu robi?”

Może powiedziała: „co pan tu robi...?”

Nacisk położony na to jedno słowo był tak nieznaczny, że prawie niewyczuwalny.

Harry ciągle miał wątpliwości. To mogło nie oznaczać nic, jak zakładali na początku, a mogło oznaczać, że Suzie rozpoznała swojego mordercę.

Myślał o tym, co powiedziała Terry: że mógł to zrobić jej chłopak. Przesłuchali młodego internistę. Z wyglądu nawet pasował: niski, krępy, ciemny. Ale był za młody, żeby mieć siwe włosy. I miał niewzruszone alibi – dyżur w szpitalu Beth Israel. Lekarze mogli zaświadczyć o każdym jego kroku tej nocy. Jako podejrzany, internista odpadał.

Zresztą, zbyt wiele poszlak wskazywało na seryjnego mordercę. Jeżeli Suzie go znała, pole poszukiwań zawęzi się znacznie: do jej rodziny, przyjaciół, współpracowników. Może to być facet z obsługi stacji benzynowej, ktoś z kafeterii, gdzie jadała śniadania, z pubu, który odwiedzała, z klubu, ze sklepu.

Westchnął, myśląc o ogromnej pracy, jaka ich czekała. Przedyskutował sprawę z Rossettim, zadzwonił do szefa do domu, żeby uzyskać zgodę na zaangażowanie ludzi do przeniechania każdego przyjaciela, znajomego i współpracownika, jakiego Suzie Walker kiedykolwiek miała.

Wyciągnął portret pamięciowy. Dwoma kartkami papieru zakrył górną i dolną część twarzy mordercy, pozostawiając tylko oczy. Artysta znakomicie uchwycił groźne, złowróżbne spojrzenie. Harry mógł sobie tylko wyobrazić lęk dziewcząt, które widziały te oczy tuż przed sobą.

Spojrzał na zegarek, zastanawiając się czy zadzwonić do Mal, ale była jedenasta trzydzieści, uznał, że już śpi. Wywołał natomiast na ekranie jej akta.

Przeczytał jej życiorys, data urodzenia, miejsca zamieszkania, szkoły, posady.

Puste nazwy i daty miały teraz dla niego inne znaczenie, wiedział, jakie tragiczne wydarzenia się za nimi kryły. Gapił się w ekran, zaskoczony.

Mal powiedziała mu, że studiowała na Uniwersytecie Stanu Waszyngton w Seattle i taką samą informację podał mu komputer. Ale coś się nie zgadzało – daty. Zanotował w pamięci, żeby zadzwonić następnego dnia na uniwersytet, dowiedzieć się, dlaczego Mal studiowała pięć lat, zamiast czterech. Gdzie się mogła podziewać

przez ten rok?

Mal nie spała. Spacerowała tam i z powrotem po mieszkaniu, próbując zrozumieć, co się właściwie dzieje. Powiedziała sobie, że wpada w obsesję, ktoś zrobił jej po prostu głupi kawał, jej kod wpadł jakimś cudem w ręce dziennikarzy z brukowców.

Mimo to nie mogła spać.

Ranek wstał upalny i parny. Zbyt zmęczona, żeby pójść na salę gimnastyczną, założyła lekką, płócienną koszulę, zakiet i ruszyła pieszo do studia. Pozałowała tego już na pierwszym skrzyżowaniu, kiedy stała na światłach, przestępując z nogi na nogę, odgarniając włosy z czoła. Było zbyt gorąco i parno na spacer.

Nagle odniosła nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowana. Zimny dreszcz przeleciał jej po plecach. Obróciła się gniewnie. Stało za nią z pół tuzina niewinnie wyglądających osób. Tkwili na chodniku z wzrokiem wbitym w sygnalizator świetlny, czekając, równie niecierpliwie jak ona, żeby przebiec na drugą stronę jezdni.

– Idiotka – skarciła się z gniewem. – To nie Farma Jordana, nie jesteś tu sama i nikt cię nie śledzi.

Mimo to, idąc Madison, oglądała się przez ramię i poczuła ulgę, kiedy znalazła schronienie za drzwiami studia telewizyjnego.

– Widziałś poranne gazety? – Beth powitała ją szerokim uśmiechem.

– Detektyw Przystojniak i Mallory Malone są wszędzie, ci paparazzi odkryli kopalnię złota. Całe szczęście, że pan detektyw musiał wrócić do Bostonu, zanim te zdjęcia zrobiły się bardziej kompromitujące.

Mal chwyciła gazetę, jednym spojrzeniem ogarniając zdjęcie i podpis pod nim. „Wiejska sielanka. Mallory Malone i bostoński gliniarz z wydziału zabójstw”.

Zdjęcie ukazywało ich dwoje, łowiących ryby nad strumieniem. Oburzona odrzuciła gazetę, wyobrażając sobie paparazzich z ich obiektywami. Podglądacze!

– Oni wylądowali w więzieniu – powiedziała ze złością. – Ale Harry ma dziesięćnaście szwów na głowie.

– Trochę go oszpeciło? Neeee, nic nie byłoby w stanie tego zrobić. Właściwie, na jakiej jesteście stopie? – Beth okręcała na palcu kosmyk czarnych włosów i patrzyła na Mal wyczekująco.

Mal namyślała się chmurnie nad odpowiedzią.

– Powiedziałabym, że wojennej. Poza tym, sama przyjemność.

– I seks – uzupełniła Beth.

Mal rzuciła jej przestraszone spojrzenie i Beth wybuchnęła śmiechem.

– Złotko, masz to wypisane na czole. Zdecydowanie promieniejesz. I wyglądasz na kompletnie wykończoną.

– Bo całą noc nie spałam – wyznała Mal. I powiedziała Beth o wiadomości, jaką przesłano jej pocztą elektroniczną.

– To musiał być jakiś żartowniś – powiedziała Beth spokojnie. – Ci z brukowców są jeszcze lepsi od nas w zdobywaniu adresów i numerów telefonów. Założę się, że grzebią w twojej przeszłości, nawet teraz, gdy tu ze mną rozmawiasz.

Mal spojrzała na nią z niepokojem.

– Myślisz, że naprawdę to robią? Grzebią w mojej przeszłości?

– Twojej i Harry’ego Jordana – powiedziała Beth z niezłomnym przekonaniem. – Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Ta wiadomość w komputerze była tylko sygnałem ostrzegawczym.

Mal miała nadzieję, że Beth się myli. Poszła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi, potem zadzwoniła do Harry’ego na posterunek. Nie było go, oczywiście, ale zostawiła wiadomość z prośbą, by oddzwonił. Następnie spróbowała skupić się na najbliższym programie.

Harry zaparkował jeepa przed Mass General. Wbiegł na schody i pchnął szklane drzwi.

Doktor Waxman właśnie wychodził. Rzucił Harry’emu przestraszone spojrzenie i zawrócił od drzwi.

– Co się stało, detektywie? – przyjrzał się głowie Harry’ego. – Jesteś tu służbowo? Czy może potrzebujesz moich usług w izbie przyjęć?

– Nie tym razem, doktorze, dzięki. To była tylko drobna kolizja z samochodem. Kości całe, mózg nienaruszony.

– Nie martw się o włosy, odrosną – powiedział Waxman z szerokim uśmiechem, przyglądając własną bujną, czarną czuprynę. – A propos, widziałem twoje zdjęcie w porannej gazecie.

– Pewnie, że widziałeś – odburknął Harry, co Waxman skwitował śmiechem.

„Harry spojrzał w dół na stopy Waxmana: obute były w pantofle Gucciego.

W głowie Harry’ego rozległ się dzwonek alarmowy.

– Ładne buty, doktorze – stwierdził uprzejmie.

– Drogie, ale wygodne – przyznał Waxman. – Kiedy jest się na nogach tyle godzin, co ja, człowiek zaczyna doceniać wygodę.

– Spadłeś mi jak z nieba – Harry chwycił go pod ramię, jakby się bał, że doktor mu ucieknie. – Chodzi o Suzie Walker. Chcę wiedzieć, z kim pracowała, z kim się przyjaźniła, kogo znała.

Waxman uniósł brwi.

– Myślicie, że to ktoś z nas? Ze szpitala? – zapytał przerażony.

– Powiedzmy, że sprawdzamy każdego, z kim miała jakikolwiek kontakt.

Rutynowe czynności, nie ma powodu do niepokoju.

Oczy Waxmana spochmurniały.

– Jezus, Harry, jeżeli zaczniesz tu przesłuchania, rozpęta się piekło.

– Dlatego ciebie pytam pierwszego. Pracowała z tobą. Znałeś ją lepiej niż inni lekarze.

«– No, chyba tak. Chociaż doktor Andrews też ją znał; miała staż na położnictwie. I Starewski, z neurologii. Prawdę mówiąc, Harry, prawie wszyscy ją znali. Zadałeś mi cholernie trudne pytanie. Szpital jest takim małym światkiem, nawet taki wielki szpital.

Harry westchnął ciężko, wiedział, że doktor ma rację.

– Cóż, gdyby ktoś taki przyszedł ci do głowy... Doktor Waxman skinął głową.

– Jasne – powiedział i odszedł szybko.

Przy stanowisku pielęgniarek panowała ciężka cisza, nikt nie żartował jak zwykle. Siostry były przygnębione, nie otrząsnęły się jeszcze po strasznej śmierci Suzie, martwiły się o własne bezpieczeństwo. Harry zadał im to samo pytanie, co doktorowi Waxmanowi i otrzymał podobną odpowiedź.

– Mam nadzieję, że rana na głowie nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała siostra.

– Nie, to sprawa osobista – odparł Harry, świadomy faktu, że z linią szwów, przecinającą na wpół ogoloną czaszkę, wygląda jak coś, co wylęzło się w laboratorium Frankensteina.

– Ładna mi sprawa osobista! – mruknęła siostra. W holu spotkał Rossetti'ego.

– Czasem wydaje mi się, że tu mieszkam – powiedział Rossetti pośpiesznie. Zerknął na Harry'ego i pokazał w uśmiechu zęby. – Ale ty wyglądasz, jakbyś tu przynależał, Profesorku.

Minął ich w pośpiechu doktor Blake.

– Dzień dobry, panowie! – zawołał, unosząc dłoń w geście powitania. Zatrzymał się gwałtownie, odwrócił, poprawił okulary w rogowej oprawie i wlepił wzrok w Harry'ego.

– A panu co się stało, detektywie? – zapytał łagodnie.

– Drobne zderzenie z paparazzim. Można o tym przeczytać w brukowcach.

Blake podszedł bliżej, przyglądając się ranie.

– Nigdy nie czytam brukowców. W ogóle nie znam ludzi, o których się w nich pisze. To znaczy, nie znałem ich do tej pory. Tutaj pana zszywali?

– Nie, w szpitalu rejonowym.

– Sam nie zrobiłbym tego lepiej, co nie zmienia faktu, że wygląda pan na kogoś, komu przydałby się urlop. Gdybym był pana lekarzem doradziłbym parę dni odpoczynku.

– Nie ma szans. Do czasu rozwiązania tej sprawy przykuli mnie łańcuchem do

komendy. Wolno mi wyprowadzić psa i pójść do „Ruby” na lunch.

– Wielka szkoda – powiedział Blake z uśmiechem i poszedł w swoją stronę.

– Profesorku, zauważyłeś, że Blake nosi buty Gucciego?

– Aha. Podobnie jak Waxman i z tuzin innych lekarzy. Twierdzą, że lubią wygodę.

To eliminuje internistów. Ich na to nie stać.

– Chyba, że to sprawa prestiżu – powiedział Rossetti z namysłem. – No wiesz, zabójca tak naprawdę chce ferrari, ale ostatecznie zadowala się drogimi włoskimi butami.

– Może masz rację – przyznał Harry. – Sprawdź wszystkich lekarzy w tym szpitalu. Chcę wiedzieć, kim są, skąd pochodzą, gdzie pracowali przedtem. Czy są żonaci i jak im się układa w małżeństwie.

Na komendzie czekała na niego wiadomość od Mal. Po chwili namysłu uznał, że notatkę przesłali jej dziennikarze z brukowców, byli ekspertami w dziedzinie zdobywania zastrzeżonych informacji. Najprawdopodobniej oni również byli autorami głuchych telefonów. Jedno pasowało do drugiego.

Zadzwoił do Mal. Podniosła słuchawkę natychmiast, jakby czekała przy telefonie.

– Cześć, Scarface – zażartowała, ale w jej głosie wyczuł napięcie.

– Zawsze mogę powiedzieć, że dorobiłem się blizny w pojedynku.

– Jak Errol Flynn? Harry westchnął.

– Najpierw był Bogart, potem Scarface, a teraz Flynn. Bez połowy włosów na głowie przypominam raczej Willisa.

– To jeszcze nie tak źle – zauważyła.

– Squeeze ledwo mnie poznał.

– Ja ciebie ledwo poznałam.

– Matka ostrzegała mnie, że policyjna robota doprowadzi mnie do zguby.

– Twoja matka miała rację. Poza tym, wydaje mi się, że za tobą tęsknię.

– Tęsknisz za mną, Malone?! Brakuje ci mojej silnej, męskiej osobowości?

– Aha.

Czekał, żeby dodała coś więcej, ale milczała.

– A w kwestii tej poczty elektronicznej – powiedział. – To musiały być brukowce.

– Naprawdę uważasz, że po tym, co się stało na Farmie Jordana, zrobiliby głupi kawał?

Harry wcale nie był tego pewien, ale chciał ją uspokoić, chciał wymazać nutkę zdenerwowania z jej głosu.

– Wiedzą, jak zdobyć zastrzeżony numer, adres, potrafią grzebać w przeszłości...

Nagle podjęła decyzję. Zrozumiała, że to nie może dłużej trwać. Musiała mu powiedzieć.

– Harry – przerwała mu. – Muszę się z tobą zobaczyć. Naprawdę cię potrzebuję. Wiedział, że Mal nie żartuje. Nie pytał o nic, po prostu powiedział: „Dobrze. Przylecę, jak tylko będę mógł.”

– Mój rycerz w srebrnej zbroi – powiedziała miękko.

– Mam nadzieję, że stanę na wysokości zadania. Będę około siódmej, dobrze?

– Będę czekała – powiedziała cicho.

Siedziała na swoim pięknym tarasie, czekając na niego. Spoglądała na wieże i wieżyczki Manhattanu, który podbiła jako Mal Malone. Ale nie rozliczyła się jeszcze z Mary Mallory i z przeszłością. Ponieważ w głębi serca wierzyła, że zna prawdę, musi opowiedzieć o niej Harry’emu.

Wszedł do jej mieszkania z wybiciem siódmej. Przez chwilę stali, patrząc na siebie przez szerokość pokoju.

Harry smętnym wzrokiem obrzucił swoją skórzaną kurtkę, dzinsy.

– Przybył, o pani, twój rycerz w nieco sfatygowanej zbroi.

– Och, Harry! – zawołała, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Uwielbiała go, kiedy się wygłupiał, ale teraz śmiech uwiązał jej w gardle.

Widząc jej zdenerwowanie, objął ją mocno ramieniem.

– O co chodzi, Mal? Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko. Z trudem opanowała narastającą panikę.

– To ważne, Harry. Widzisz, wydaje mi się, że wiem, kim on jest. Harry głęboko zaczerpnął powietrza. To był szok, choć czegoś takiego się spodziewał. Zobaczył błysk paniki w oczach Mal i objął ją mocniej.

– Spokojnie – powiedział cicho. – Odetchnij głęboko, Malone i zacznij od początku.

Mal zastanowiła się, dlaczego życie poddaje ją takim ciężkim próbom. W tej chwili oddałaby wszystko, by oszczędzić sobie tych zwierzeń.

– Nie chciałam ci powiedzieć. To stara historia, nie sądziłam, że ma związek z morderstwami. Teraz wiem, że tak. Czuję to.

Wziął ją za rękę, zaprowadził na kanapę, nalał bourbona do dwóch szklanek.

Patrzył, jak z trudem przełyka alkohol.

– Okay, Mal, słucham – powiedział, siadając przy niej i biorąc ją za rękę.

42.

Mary Mallory miała osiemnaście lat, kiedy go poznała. Nigdy dotąd nie chodziła z chłopakiem, nie flirtowała, nie całowała się i nie pieściła. Była dziewczyną.

Restauracja, w której pracowała wieczorami pięć razy w tygodniu, była właściwie stołówką, do której przychodzili lekarze i urzędnicy z pobliskiego szpitala.

Mężczyzna należał do starych bywalców. Starał się usiąść przy stoliku obsługiwanym przez Mary Mallory i po pewnym czasie zaczęli wymieniać uśmiechy i pozdrowienia. Lubiła go, ponieważ patrzył na nią, nie przez nią. Zdawał się dostrzegać w niej człowieka, nie tylko zapracowaną kelnerkę.

– Na początku myślała, że jest w wojsku, włosy miał tak krótko ostrzyżone, potem uznała, że to niemożliwe, skoro nosi małą, starannie utrzymaną bródkę.

Poza tym, był krótkowidzem, tak jak ona. Nosił grube okulary w czarnych oprawkach.

Najczęściej zamawiał kurczaka z tłuczonymi ziemniakami i sosem. Zauważyła, że wyjada wszystko do czysta. Pewnie mama mówiła mu, że nie dostanie deseru, jeżeli nie zje brukselki. Ta myśl wywołała u niej dziwne rozczulenie.

Zagadnął ją któregoś wieczora. Podeszła przyjąć zamówienie, on odłożył książkę, którą czytał i zapytał jak jej na imię. Zauważyła, że ma równe, białe zęby i przyjazny wyraz twarzy. Była” tak zaskoczona, że odpowiedziała bez namysłu:

„Mary Mallory Malone”.

– Ale teraz wszyscy mówią do mnie Mary – dodała, zawstydzona pompatycznością imienia.

– Podoba mi się Mary Mallory – powiedział mężczyzna. – Jest takie inne.

A potem zapytał, czy pracuje w stołówce na pełen etat.

– Och, nie, jestem studentką – odparła z nieśmiałym uśmiechem.

– Pracujesz do późna? – Wydawał się zdziwiony. – Kędy znajdujesz czas na naukę?

– W nocy – wyznała. – Tak wolę. Nikt wtedy mi nie przeszkadza. – Zacerwieniła się na myśl, że tak czy inaczej nikt jej nie przeszkadza. Mówiła jakby była normalną dziewczyną.

– Wiem, jak to jest – powiedział z powagą. – Mam za sobą parę ciężkich lat w szkole medycznej, a teraz, kiedy pracuję na internie w szpitalu, wcale nie jest źle – wskazał na podręcznik medyczny, który czytał, kiedy podeszła. – Nie wolno mi przestać pracować nad sobą, dopóki nie osiągnę celu.

Zastanawiała się, jaki to może być cel, ale nie ośmieliła się zapytać. Przyjęła zamówienie na kurczaka z ziemniakami, a on wrócił do swojej lektury.

Tego dnia pomachał jej na pożegnanie, a na stoliku znalazła okazały napiwek.

Mary uśmiechała się, sprzątając ze stołu. Uświadomiła sobie ze zdumieniem, że rozmawiała. W dodatku z mężczyzną.

Następnego dnia umyła swoje długie, cienkie włosy i związała je z tyłu wstążką.

Ubrała się w nowy, niebieski T-shirt i kolorową, cygańską spódnicę, którą kupiła za parę dolarów w sklepie z używaną odzieżą. Podnosiła wzrok za każdym razem, gdy dzwoneczek u drzwi obwieszczał nowego klienta, ale mężczyzna nie przyszedł.

Ani tego wieczora, ani następnego. Nie pokazał się przez cały tydzień i Mary pogodziła się w końcu z myślą, że znalazł inną jadłodajnię, gdzie podają lepszego kurczaka z tłuczonymi ziemniakami.

Przyszedł dopiero w sobotę. Stołówka była zatłoczona, ale obiecała mu mały stolik w rogu, gdy tylko się zwolni. Czekając, pił w barze czerwone wino.

– Jak się masz, Mary Mallory? – zapytał, kiedy go w końcu posadziła. Stała z bloczkiem do zamówień w ręku.

– Dobrze, dziękuję – uśmiechnęła się. – Nie zaglądał pan do nas przez jakiś czas.

– Kłopoty rodzinne – wzruszył ramionami. – Musiałem pojechać do domu na parę dni.

Nie powiedział, gdzie znajduje się ten dom, a ona nie zapytała.

– Nie znoszę jedzenia w szpitalnej stołówce – powiedział. – Brakuje mi obiadów mamy. Kurczak z tłuczonymi ziemniakami najbardziej mi je przypomina.

– To pewnie cieszył się pan z powrotu do domu – powiedziała. – Ze względu na te obiady – dodała, kiedy spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– A, tak, oczywiście. Wiesz już, co chcę zamówić?

Napisała „kurczak z tłuczonymi ziemniakami” i pokazała mu bloczek.

– Zgadza się – powiedział.

Kiedy skończył drugie danie i przyniosła mu szarlotkę domowego wypieku, zapytał, co studiuje.

– Dziennikarstwo – powiedziała. – Żebym mogła zadawać pytania, zamiast na nie odpowiadać.

– Mądra odpowiedź, Mary Mallory – odparł z aprobatą.

Tym razem, zamiast zwykłego „do widzenia”, powiedział na odchodnym: „do zobaczenia, Mary Mallory”.

Odkryła, że na niego czeka, śpieszy, by go obsłużyć. Nawet trochę z nim gawędziła. Nie jest to wcale takie trudne, powiedziała sobie, uszczęśliwiona.

Pewnego wieczora przyszedł późno. Był ostatnim klientem. Płacąc rachunek powiedział, że dziś mu się nigdzie nie śpieszy, odwiezie ją więc do domu.

Pobiegła do damskiej toalety, żeby przejrzeć się w lustrze. Uczesała włosy, wygładziła cygańską spódnicę, przesunęła różową pomadką Maybelline po wargach.

Żałowała, że nie ma perfum, które zabiłyby kuchenne zapachy. Miała nadzieję, że

nie jest nimi przesiąknięta. Wzięła głęboki oddech i wyszła na ulicę. Mężczyzna czekał na nią w nowiuteńkim BMW z opuszczanym dachem.

Otworzył drzwiczki i Mary Mallory wsiadła, czując się jak księżniczka.

Przycisnął jakiś guzik i dach rozsunął się z cichym szmerem. Potem włączył radio. Było trochę zimno, ale bawiło ją, że wiatr rozwiewa jej włosy, kiedy jechali w stronę zagrzybionego domu, który wynajmowała do spółki z innymi studentkami. Łagodna muzyka przenosiła ich we własny, intymny mały świat i Mary Mallory oparła głowę o oparcie wygodnego fotela, rozmarzona. Pragnęła, by ta jazda nigdy się nie skończyła.

– To pewnie tutaj – powiedział mężczyzna, zerkając na barakowaty budynek, który ona nazywała domem. Nieprzytulne światło ulicznej latarni wyławiało z mroku śmietnik i zardzewiałe rowery. Jakiś pies zatrzymał się, uniósł nogę i obsikał przednie opony BMW.

– Cholera! – wrzasnął mężczyzna. – Wynocha stąd! – rzucił Mary wściekle spojrzenie. – Takie zwierzęta powinno się wytępić, roznoszą tylko choroby.

Była zdziwiona wybuchem, może dlatego że знаła psa. Należał do sąsiada i był przyjacielskim stworzeniem. Przychodził czasem, posiedzieć na jej werandzie.

Mimo to uznała, że mógłby załatwiać potrzeby fizjologiczne gdzie indziej.

– Przykro mi – powiedziała. – To tutaj normalne. Wzruszył ramionami.

– Zajadę do myjni – powiedział i objął ją ramieniem.

Mary Mallory spojrzała na niego oczami wielkimi ze zdumienia. Wstrzymała oddech, kiedy przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Był to jej pierwszy pocałunek i zrobiło jej się słabo. Trzęsła się jak osika.

Przez tyle lat tłumiała wszelkie doznania, teraz była jak wulkan bliski wybuchu.

Mężczyzna przechylił się i otworzył drzwi po stronie pasażera.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedział. Wyślizgnęła się z samochodu, powiedziała „do widzenia”. Stała na chodniku przed swoim domem, machając na pożegnanie. Podniosła dłoń do ust, nie wiedząc czy cieszy się, czy martwi, że nie pocałował jej po raz drugi.

Najważniejsze było jednak to, że w ogóle pocałował ją mężczyzna. Teraz nie różniła się niczym od koleżanek, wiedziała już, jak to jest. Dopiero później, leżąc w łóżku, analizując każdą sekundę zdarzenia, uświadomiła sobie, że nie poprosił ją o spotkanie. Powiedział tylko „do widzenia w przyszłym tygodniu”. Rozczarowana uznała, że nie był to, mimo wszystko, prawdziwy pocałunek.

Kiedy parę dni później przyszedł do stołówki, spojrzała na niego z nadzieją przez grube szkła okularów. Rozpromieniła się w odpowiedzi na jego uśmiech.

– Jak się masz, Mary Mallory?

To właśnie te dwa słowa na końcu zdania nadawały mu taki osobisty wydźwięk.

Przyjemnie poruszona, pobiegła przyjąć zamówienie. Po kolacji marudził nad kieliszkiem wina tak długo, póki nie była gotowa do wyjścia. Wtedy popatrzył na nią i zapytał:

– Podwieźć cię?

Skinęła głową i pobiegła przyczesać włosy i umalować usta. Padało, nie rozsunęli więc dachu, ale mężczyzna włączył radio i mknęli przez noc przy dźwiękach jakiejś symfonii. Mary Mallory pomyślała rozradowana, że zapewne tak czuje się człowiek bogaty. I szczęśliwy.

Pocałował ją na dobranoc, jego wargi były twarde, ale nie wsunął jej języka w usta, co, jak słyszała, robią często chłopcy. Przylgnęła do niego całym ciałem.

Nikt jej dotąd nie tulił. Ani matka, ani ojciec. Łaknęła uczucia, aprobaty, tożsamości i nagle ten mężczyzna ofiarował jej wszystko za jednym zamachem.

Obejmując ją i całując, mówił: „jesteś kimś, Mary Mallory, jesteś ładną dziewczyną, jesteś miła i mądra i naprawdę cię lubię”. Otaczające ją ramiona oznaczały, że jest kochana.

Pomachała mu ręką, kiedy odjeżdżał, ale nie odmachął, może nie zauważył jej pośród deszczu. Następnego dnia przyszedł do stołówki. I znów czekał, by odwieźć ją do domu.

Była to chłodna, mglista noc. Mary Mallory drżała w swojej powiewnej spódnicy, biegnąc przez parking do samochodu. Ale w środku było ciepło i grała już muzyka.

– Zamknij drzwi – powiedział z odcieniem zniecierpliwienia.

– Przepraszam.

Mężczyzna rozejrzał się po parkingu. Stało na nim parę samochodów, ale nie było widać żywej duszy. Zawrócił BMW i wyprysnął na ulicę.

Dopiero po piętnastu minutach Mary Mallory zorientowała się, że nie jadą znajomymi ulicami. Było jej tak dobrze z tym mężczyzną, w ciepłe samochodu wypełnionym łagodną muzyką! Zamknęła oczy i odpłynęła w marzenia. Wyobrażała sobie, że jest jego żoną i wracają z przyjęcia.

Uśmiechnęła się.

– Dokąd jedziemy? Wzruszył ramionami.

– Gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać. Gdzie nie będziemy musieli patrzeć na śmietnik i wachać psich szcyn.

– Rzeczywiście, tam nie jest przyjemnie – powiedziała zawstydzona. Wzruszył tylko ramionami, patrząc w skupieniu przed siebie.

Jechali boczną drogą, wysadzaną drzewami. Mgła snuła się nad ziemią jak szary dym, kłębiła się między gałęziami i Mary Mallory pomyślała z drżeniem, że przypomina to scenę z horroru.

Mężczyzna zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Zaciągnął ręczny hamulec

i odchylił głowę na siedzenie, patrząc prosto przed siebie. Nie było tam nic, z wyjątkiem pustej drogi. Żadnych domów, świateł, samochodów. Sprawdził we wstecznym lusterku. Ta sama sceneria.

Odwrócił głowę i spojrzał na dziewczynę. Mary Mallory uśmiechnęła się słodko.

Pochylił się, zdjął jej okulary i otoczył ramieniem. Westchnęła, Ignąc do niego, podsuwając usta do pocałunku.

Oczy miała zamknięte, czuła jego rękę na swoich długich włosach. Owinął je dookoła dłoni i szarpnął wściekle. Głowa odskoczyła jej w tył, ostry ból przeszył mózg. Pomyślała, że złamał jej kark. Gapiła się na niego, otepiała ze strachu. W jego lewej ręce błysnął nóż.

– Nie krzycz – powiedział zimno, przykładając ostrze do jej gardła. Mary Mallory poczuła, że ogarnia ją ślepa groza – Nie – szepnęła. – Nie...

Odłożył nóż na deskę rozdzielczą i Mary osłabła z ulgi. Głowa odskoczyła jej ponownie w tył, kiedy uderzył ją w twarz rozwartą dłonią, najpierw w jeden policzek, potem w drugi.

– Nie! – krzyknęła. Spojrzał jej w oczy. Łapała powietrze otwartymi ustami.

Zaczął okładać ją pięściami, bił tak długo, aż ból przyćmił wszystkie inne doznania.

Mary Mallory wiedziała, że umrze, po to ją tu przywiózł. Poczwała jego rękę pod spódnicą. Kopnęła dziko, ale znowu chwycił ją za włosy. Krzyknęła. Sięgnął po nóż i przyłożył go do jej szyi.

– Zamknij się! – powiedział dziwnym, bezbarwnym tonem.

Spadła w czarną otchłań, z której nie było ucieczki. Mgła zasnuwała jej oczy, mózg... Musiała wziąć się w garść, musiała walczyć. Próbowwała kopnąć go kolanem w krocze, ale był szybszy. Jeden cios w szyję pozbawił ją przytomności.

Jeszcze na niej leżał, kiedy mgła w jej mózgu zaczęła się rozpraszać. Poczwała coś lepkiego między udami i pomyślała, że zranił ją nożem. Potem spojrzała na niego i zrozumiała, co zrobił.

Pomyślała, że to koniec. Teraz ją zabije. Patrzyła, jak podnosi nóż. A więc nie myliła się. Przybliżył twarz, wpatrując się w nią z napięciem, jakby chciał zapamiętać rysy. W „bladym świetle tablicy rozdzielczej jego oczy przypominały ciemne, płonące kule. Wpijały się w nią, jakby chciał zrobić z jej duszą to, co zrobił z ciałem. Przesunął leciutko ostrzem po jej szyi, wypróbując ostrość noża.

Nie mogła krzyczeć, głos uwiązał jej w gardle. Gdzieś z oddali dobiegło zawodzenie syreny, ale wiedziała, że nawet jeżeli to policja, przybędzie za późno.

– Sukinsyny! – warknął, odsuwając się od niej. Niebieskie światło błyskało w oddali i mężczyzna zapalił silnik. Samochód wystrzelił na szosę, pomknął w stronę przeciwną niż światła.

Mallory została sam na sam z szaleńcem. Zapięła bluzkę na obolałych piersiach, obciągnęła spódnicę, nie śmiać spojrzeć na kierowcę. Patrzyła w okno, czekając na dogodną chwilę, by wyskoczyć. Położyła rękę na klamce. Wiedziała, że się zabije, ale było jej wszystko jedno.

Niespodziewanie znaleźli się na znajomych ulicach, jechali w stronę domu.

Zaświtała jej nadzieja.

Zatrzymał samochód na rogu. Odwrócił się do niej, chwycił za włosy i odchylił jej głowę.

– Jeżeli piśniesz słowo, zabiję cię – jego głos przeniknął Mary Mallory chłodem.

Puścił włosy, otworzył drzwi i wypchnął ją z samochodu.

– Pamiętaj! Zabiję cię – ostrzegł jeszcze raz, zatraskując drzwiczki. Samochód zawrócił i po chwili zniknął w ciemności.

Patrzyła za nim tępo. Nogi jej drżały, czuła strużki krwi na udach.

Przytrzymując rozdartą spódnicę, poszła w stronę domu. Modliła się, żeby nikogo nie spotkać. Miała szczęście, był piątek, dom świecił pustkami. Koleżanki wybrały się na przyjęcie.

Mary Mallory dowlokła się do swojego pokoju, jak zbity pies szukając schronienia. Spojrzała na siebie w lustrze. Miała podbite oko, sine pręgi na twarzy. Zdjęła bluzkę i spojrzała na posiniaczone piersi, ślady po ugryzieniach wokół brodawek. Potem zsunęła cygańską spódnicę, podarte majtki i zobaczyła krew na udach oraz lepka ciecz, która była sperma. Wtedy uniosła obolałą głowę i zawyla jak ranne zwierzę. Żałowała, że jej nie zabił.

Mijały godziny, a ona leżała na podłodze, płacząc. Nie mogła się poruszyć, sparaliżowana bólem. Świtało, kiedy się w końcu podniosła. Powlokła się do łazienki, napeściła wody do wanny. Wzięła żyletkę i weszła do wanny, krzywiąc się z bólu, gdy gorąca woda podrażniła skaleczenia. Zanurzała się powoli.

To będzie łatwe, pomyślała beznamiętnie. Prawie ją wyręczył, jeszcze parę minut i byłaby martwa. Podobno to nie boli. Nie, żeby ból cokolwiek znaczył, ale nęciła ją myśl o łagodnym zanurzeniu się w niebyt.

Poderwała się na odgłos zatrzymującego się pod domem samochodu. A więc jednak po nią wrócił. Potem dobiegł ją śmiech, głosy. Zrozumiała, że koleżanki wracają z zabawy. Wygramoliła się z wanny, otuliła starym flanelowym szlafrokiem i przemknęła jak cień do swojego pokoiku.

Wyszła po dwóch dniach. Osłabła z głodu i wyczerpania, ubrała się w sweter z długimi rękawami i dzinsy. Zsunęła baseballową czapkę nisko na oczy i, choć padało, założyła okulary słoneczne. Pojechała rowerem do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do stołówki i złożyć wymówienie. Powiedziała, że otrzymała złe wiadomości z domu i musi wracać do Oregonu. Potem poszła do sklepu spożywczego

po mleko i płatki kukurydziane i znowu zaszyła się w swoim pokoju.

Jedząc płatki, zastanawiała się, co robić. Nie miała przyjaciółki, której mogłaby się zwierzyć, nie mogła powiedzieć opiekunowi na uczelni. Pomyślałby, że to jej wina, może nawet zadzwonił na policję. Nie powie nikomu, co się stało, co on jej zrobił. Dobrze pamiętała nóż i groźby. Dłonie jej się trzęsły i musiała odłożyć łyżkę, płatki zdawały się ją dławić. Postanowiła, że zignoruje to, co się stało, zamknie wspomnienie w swoim umyśle, dołączy je do innych zmór. Nie miała wyboru.

Po paru tygodniach, kiedy siniaki przybladły i mogła znów stawić życiu czoło, wróciła na uczelnię. Wkrótce potem wpadła na jedną z kelnerek ze stołówki.

– Cześć, Mary! – zawołała pogodnie. – W domu wszystko w porządku?

Mary skinęła głową i powiedziała: tak, w porządku, dzięki.

– Wiesz, ten młody facet, z którym tak często rozmawiałaś? Też wyjechał.

Powiedział, że dostał przeniesienie do innego szpitala, w innym stanie.

Mary Mallory poczuła jak w jej serce wkrada się nadzieja.

– Szkoda – powiedziała, a w duchu odmówiła modlitwę dziękczynną.

43.

Podniósł jej dłoń do ust i ucałował każdy palec z osobna. Podziwiał jej szczerość, opanowanie i rzeczowy ton, jakim opowiadała o swojej tragedii.

Zdawał sobie jednak sprawę, ile ją to kosztuje.

– Mal – powiedział cicho. – Zrobiłbym wszystko, by wymazać to straszne wspomnienie z twojej pamięci.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała cicho. Harry wstał, dolał sobie bourbona, pociągnął łyk.

– Nie musisz tego robić, Mal. Nie ma żadnej pewności, że to ten sam mężczyzna. Nie chcę, żebyś cierpiała. Zapomnij o wszystkim, to przeszłość.

Potrząsnęła stanowczo głową.

– To mój obowiązek. Muszę ci powiedzieć. Usiadł przy niej, ujął mocno jej dłoń.

Mary Mallory czekała w przyczepie, aż przyjdzie ktoś ze straży przybrzeżnej i powie jej to, o czym już wiedziała. Ze zaprzestano poszukiwań ciała matki.

Siedziała na winylowej kanapie i patrzyła na pokój. Wyczuwała w nim obecność matki silniej niż kiedy tu mieszkała. Ostry zapach papierosów, woń kawy, kwaśny odór biedy.

Wróciła do sypialni i spojrzała na ubrania matki, wiszące na metalowym pręcie.

Było ich niewiele, stare i zużyte. Wyglądały nieskończenie żałośnie i Mary Mallory zapragnęła zapłakać.

Na półce leżała torebka matki, czerwona ze złotym zapięciem, popękana ze starości i słonego wiatru. Pamiętała, kiedy ją kupiły. Była wtedy dzieckiem.

Pamiętała, jakim przeżyciem był dla niej widok matki, idącej ulicą z nową torebką dyndającą na pasku. Ale to zdarzyło się dawno temu. Czerwona torebka leżała na półce od dnia przybycia do Golden High.

Na podłodze poniewierały się buty: przydeptane kapcie, tanie czarne czółenka, kupione przed dziesięcioma laty na przecenie, i nigdy nie noszone, i stare, białe sandały. Mary Mallory podniosła jeden, wsunęła w niego dłoń. Nigdy przedtem nie uświadamiała sobie, jaką drobną stopę miała jej matka.

Zmechacony niebieski sweter leżał na nie poślany łóżku. Matka rzuciła go tam, zanim wyszła po raz ostatni popatrzeć na sztorm. Mary Mallory przyłożyła go do twarzy, wciągnęła w nozdrza zapach matki. Łzy polały się z jej oczu. Rzuciła się na łóżko, ogarnięta nagle rozpaczą, przyciskając sweter do piersi jakby tuliła matkę.

– Och, mamó, potrzebuję cię, potrzebuję cię! – zawodziła. – Mamó, chciałam, żebyś ty mnie potrzebowała. Chciałam powiedzieć, że cię kocham, ale nie zaczekałaś na mnie. Teraz już za późno. Wszystko się zawaliło. Chciałam, żebyś mi pomogła,

tylko ciebie miałam – wyplakiwała swój żal w miękki, niebieski sweter.

Następnego dnia przyszedł mężczyzna ze straży przybrzeżnej i powiedział, że istnieje nikła szansa, by morze kiedykolwiek zwróciło ciało jej matki. Mary Mallory skinęła głową; powiedziała: „dziękuję panu za pomoc” i dodała: „trudno”.

Potem zamknęła drzwi i została sama.

Wróciła do sypialni i starła kurz z dużego lustra opartego o ścianę. Cofnęła się o krok i przyjrzała swojemu odbiciu. Przyłożyła dłonie do brzucha, stanęła bokiem do lustra i spojrzała ponownie. Jęknęła z rozpacz. Rosło w niej dziecko poczęte z nasienia gwałciciela, szaleńca, który chciał ją zabić.

Wiedziała, że dziecko okaże się potworem. Miało przecież szaleńca za ojca. A matka nienawidziła go każdą cząstką swojej istoty. Dziecko musiało przecież wyczuć jej nienawiść, nawet w macicy.

Opanowała się, zdjęta strachem, że skończy tak jak matka. Założyła niebieski moherowy sweter i poszła na długi spacer, zastanawiając się, co począć.

Usiadła nad urwiskiem, patrząc na szary ocean. Dyszał ciężko pod chmurnym niebem. Wyobraziła sobie matkę, pływającą gdzieś w dole, ze smutkiem pomyślała, że otoczenie matki po śmierci jest równie szare i nędzne jak za jej życia.

Bardzo długo siedziała, próbując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Pragnęła, by nienawistny embrion zniknął z jej ciała. Modliła się, by Bóg go usunął, ale wiedziała, że nie może polegać jedynie na modlitwie. Usunęłaby płód sama, gdyby wiedziała, dokąd pójść, do kogo się zwrócić. Nie miała nikogo. Pozostawało jej tylko jedno.

Rzuci studia, urodzi dziecko i odda je do adopcji. Czekają ją siedem nieskończenie długich miesięcy. Z czego będzie żyła?

Mary Mallory podniosła się z ziemi. Obrzuciła posępny ocean ostatnim spojrzeniem. Wyprostowała się, wciągając w płuca ostre, słonawe powietrze.

Będzie odważna, będzie silna.

– W końcu zwyciężysz – powiedziała sobie. Pożegnała matkę, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała ścieżką nad urwiskiem w stronę przyczepy.

Spakowała szybko rzeczy swoje i matki do czarnych, plastikowych toreb. Zebrała naczynia i garnki, pamiętając, kiedy robiły to po raz ostatni, spragnione nowego życia. Dorzuciła pół paczki papierosów, prawie pustą puszkę z kawą i resztki jedzenia z lodówki.

Stała, spoglądając na sześć plastikowych toreb na podłodze. To wszystko, co jej pozostało po matce. Zaczęła żałośnie płakać. Po chwili gniew wziął górę nad smutkiem. Ona, Mary Mallory Malone, nie pójdzie w ślady matki. Jakoś przez to przebrnie, zostanie „kims”, choćby miała to przyplacić życiem.

Załadowała torby do bagażnika i usiadła za kierownicą. Obrzuciła długim spojrzeniem miejsce, które długo nazywała domem. Zajechała na wysypisko śmieci

i zostawiła na nim żalosne pozostałości po życiu matki.

Wyjechała z Golden, by nigdy nie wrócić.

Jechała na północny wschód, jak przyciągana magnesem. Miała niewiele pieniędzy, nie mogła sobie pozwolić na noclegi w motelach, spała więc w samochodzie, jadła w przydrożnych barach, dopóki żołądek się nie zbuntował. Wtedy przerzuciła się na salceson i ser Krafta, i ta stara, wypróbowana dieta z dzieciństwa postawiła ją na nogi.

Golden pozostało daleko za nią. Przed sobą miała miasto. Zerknęła na drogowskaz:

Tacoma 10 mil. Przeniosła wzrok na wskaźnik paliwa. Miała już tylko ćwierć baku.

Zostanie więc tam, gdzie skończy się benzyna.

Wjechała od gorszej strony miasta, ale nie mogła narzekać, tu właśnie było jej miejsce. Dzielnica oferowała tanie kwatery i Mary Mallone chodziła tak długo, aż znalazła dom schludniejszy od innych. Zapukała do drzwi.

Otworzył młody mężczyzna. Miał końską twarz, długie zęby i spoglądał na nią przyjaźnie.

.– Przyszłaś w sprawie pokoju? – zapytał.

Mary Mallory skinęła głową.

– Ile wynosi czynsz? Nie chciałabym marnować twojego czasu, jeżeli okaże się zbyt wysoki.

Przyjrzał się z namysłem najpierw jej, potem staremu samochodowi przy krawężniku.

– Masz pracę? – zapytał łagodnie.

Uniosła wysoko głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

– Jeszcze nie – powiedziała nowym, stanowczym głosem. – Ale będę miała.

Ich oczy się spotkały i mężczyzna się roześmiał.

– Na to wygląda. Dobra, są dwa pokoje. Jeden jest maleńki, na strychu, bardzo tani. Drugi na pierwszym piętrze, większy, z oknem wykuszowym od ulicy, droższy – powiedział cenę. – Chcesz obejrzeć?

– Wezmę ten tańszy – powiedziała, idąc już do samochodu po rzeczy.

– Ale nawet go nie obejrzałaś! – zaprotestował.

– Nie muszę. Twój dom jest czysty, a cena mi odpowiada. Nędzarze nie mają prawa przebierać – dodała, wyjmując plecak z bagażnika.

Zbiegł za nią ze schodków.

– Pomogę ci – podniósł plecak z łatwością. – A propos, nazywam się Jim Fiddler.

– Mary Malone – powiedziała, ujmując jego wyciągniętą dłoń.

– To wszystko, co masz? – rzucił okiem w czeluść pustego bagażnika.
– Wszystko – zatrzasnęła maskę i poszła za nim do drzwi. – A w kwestii pracy – powiedziała z nadzieją. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogłabym się zaczepić?
– Spróbuj w supermarkecie – rzucił przez ramię, prowadząc ją na trzecie piętro.
– Zawsze szukają pomocnic. Nie można tam nie trafić, to dwie ulice stąd. A jak już tam będziesz, możesz zajrzeć do drogerii i Burger Kinga.

Pomyślała z sarkazmem, że faktycznie przeszła długą drogę; od jednego supermarketu do drugiego. Potem przestąpiła próg małej facjaty, która miała stać się jej nowym domem i decyzja, by pisać się w górę, zostać kimś, zmieniła się w żelazne postanowienie.

Pokój był naprawdę mały. Mieściło się w nim wąskie łóżko, odrapana komoda z szufladami, służąca jednocześnie za nocny stolik. Kołki wbite w ścianę i smętna, różowa zasłona imitowały szafę na rzeczy. Na drewnianej podłodze leżał różowy dywan; a przy malutkim okienku stał różowy, stary fotel. Pomyślała, że choć taki stary, fotel wygląda przytulnie.

– Niewiele tego, ale przynajmniej w jednej tonacji – powiedział Jim z radosnym uśmiechem. – Odpowiada, panno Malone?

– Oczywiście – odparła szczerze. Marzyła tylko o tym, by zrzucić buty i usiąść w różowym fotelu, nie prowadzić samochodu, i nie myśleć.

– Czynsz płatny za tydzień z góry – powiedział Jim. – W porządku, uregulujesz przy okazji – dodał, widząc, że rozgląda się za torebką. Przyjrzał się dziewczynie uważnie. Miała ciemne sińce pod oczyma, wyglądała na znerwicowaną i kompletnie wykończoną.

– Napijesz się ze mną kawy? – zapytał zdawkowo. – Właśnie się zaparzyła, kiedy zadzwoniłaś.

Zerknęła na niego podejrzliwie przez grube szkła okularów. Uznała, że jest po prostu miły. Nie była do tego przyzwyczajona.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Pomyślała, że rozświetliła się jak niebo w Dzień Niepodległości, a przecież zapytał tylko, czy ma ochotę na kawę!

Zeszli razem ze schodów. Przemknęło jej przez myśl, że za parę miesięcy mogą okazać się problemem, ale natychmiast ją od siebie odsunęła. Zajmie się terazniejszością. W ten sposób przebrnie przez siedem miesięcy, żyjąc z dnia na dzień, z godziny na cholerną godzinę, jeżeli będzie musiała.

Mieszkanie Jima mieściło się na parterze. W kuchni jakiś mężczyzna kroił ciasto. Podniósł wzrok, kiedy weszli.

– To jest Alfie Burns, mój partner – przedstawił go Jim. – Mary Malone, nasza nowa lokatorka.

– Witaj, Mary – powiedział Alfie, wyjmując trzeci kubek i nalewając kawy.

Mary pomyślała, że jest bardzo wysoki, bardzo chudy i bardzo przystojny.

Przyglądała mu się znad krawędzi kubka. Okulary jej zaparowały, zdjęła je i przetarła oczy dłonią.

– Hej! – zawołał Alfie. – Czy ktoś ci mówił, że masz piękne oczy? Nigdy nie widziałem tak głębokiego odcienia błękitu – westchnął teatralnie, po czym dodał.

– Powinnaś zafundować sobie szkła kontaktowe. Szkoda ukrywać tyle piękna za szkłem od butelki – roześmiał się, ale Mary wiedziała, że jest to dobroduszny śmiech i nie poczuła się urażona.

Zapytali, skąd jest, powiedziała, że z Oregonu, powiedziała, że jej matka właśnie zmarła, że musi przerwać studia na rok, ponieważ nie wiąże końca z końcem.

– Biedna mała – powiedział Jim ze współczuciem. – Słuchaj, w sprawie tej roboty w supermarkecie, kierownik jest moim dobrym znajomym. Powołaj się na mnie, powiedz, że tu mieszkasz, okay? Pomoże ci, jestem tego pewien.

Jim miał rację, jego nazwisko zdziało cuda i następnego dnia Mary została zatrudniona w dziale warzywnym. Wszystko szło gładko, nawet poranne mdłości ustały, choć starała się jeść jak najmniej, w nadziei, że dziecko nie urośnie, a wraz z nim jej brzuch. Czasem pracowała na poranną zmianę, czasem na popołudniową, ale z każdej wracała na opuchniętych, obolałych nogach.

Z trudem wspinała się na strych i trzymała stopy w misce z zimną wodą, dopóki ból nie minął. Potem szła do małej kuchenki, odgrzewała zupę z puszki, robiła kanapkę i wracała do pokoju, żeby czytać książki, które pożyczyła od Jima.

Czasem, kiedy mijała jego piętro, wystawiał głowę z kuchni albo z pokoju i pytał, czy ma ochotę na kawę i plotecki.

Ale to Alfie plotkował o ich przyjaciółkach, o przyjęciach, na które chodzili.

Lubiła go słuchać. Nie знаła ludzi, o których opowiadał, ale słuchając, miała wrażenie, że uczestniczy w ich życiu.

– Masz chłopaka, Mary? – zapytał Alfie któregoś wieczoru, parę miesięcy później. Pił piwo, ona i Jim – kawę.

– Och, nie! – zawołała znad swojego kubka.

– Ale nie jesteś lesbijką – kontynuował Alfie. Wyglądała na zaszokowaną.

– Oczywiście, że nie. Uśmiechnął się do niej.

– Mary Malone, jesteś chodzącą niewinnością. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Gapiała się na niego, zrozumiałwszy nagle, co chciał przez to powiedzieć. On i Jim byli homoseksualistami.

– Ja... mnie to nie... – wyjąkała. – Ja... Po prostu jeszcze nigdy nie spotkałam...

– Powiedz mi, Mary, jakim cudem ktoś tak niewinny, jak ty, wpędził się w takie kłopoty? – zapytał Alfie łagodnie.

Zalała ją fala gorąca. Zrozumiała, że wiedzą, i zrobiło jej się mdło ze wstydu.

Zwiesiła głowę, walcząc ze łzami.

– Byłaś u lekarza? – zapytał Alfie. W jego głosie nie było nawet śladu potępienia.

Potrząsnęła głową.

Popatrzyli na siebie. Jim uniósł brwi, Alfie westchnął z irytacją.

– Kotku, to nie katar, samo nie przejdzie. Musisz dbać o siebie, ustalić pewne rzeczy, podjąć decyzje.

Mary uniosła głowę i popatrzyła na nich, przerażona. Siedzieli naprzeciwko niej przy kuchennym stole, pełni niepokoju i troski.

– Ustalić? Co ustalić? – zapytała nerwowo.

Tym razem westchnął Jim; dziewczyna była z innej planety.

– Musisz ustalić, gdzie będziesz rodziła. Przecież nie tutaj?

Nigdy o tym nie pomyślała. Nie chciała przyznać sama przed sobą, że dziecko potwora przyjdzie kiedyś na świat. Będzie żyło, a ona będzie jego matką.

– Może chcesz nam o tym opowiedzieć? – zasugerował Alfie, ale widząc jej przerażone spojrzenie, wycofał się natychmiast. – Dobrze, już dobrze, nie musisz. Ale martwimy się o ciebie. Chcemy coś dla ciebie zrobić, zanim wyjedziemy.

– Zanim wyjedziecie? – powtórzyła i szczeka jej opadła.

– Postanowiliśmy z Jimem wystawić dom na sprzedaż, przenieść się na rajską wyspę na Pacyfiku. Nie możemy cię tak zostawić, nie wiedząc czy z tobą wszystko okay. Leżelibyśmy na plaży, martwiąc się, co się z tobą dzieje. Chcemy ci pomóc.

Ale musisz nam podać jakieś fakty.

– Na przykład, kiedy masz termin? – wtrącił Jim. Wziął Mary za rękę i powiedział. – No dalej, Mary. Wyduś to z siebie.

Trzymał ją za rękę, kiedy mówiła, że dziecko ma się urodzić za trzy miesiące, że nie wie, co robi, ponieważ nie jest w stanie o tym myśleć. Wie tylko, że chce oddać je do adopcji.

– Nie chcę go widzieć na oczy! – zawołała z pasją. Spojrzała na nich zalekniona, ale nie wydawali się zgorszeni.

– Zrobiłem małe rozpoznanie – powiedział Jim. – Jest taki dom na przedmieściach, gdzie opiekują się kobietami w stanie błogosławionym. Podobno bardzo sympatyczne miejsce, wielki stary dom pośród ogrodów. Nie jest luksusowy, ale dobrze wyposażony i spokojny. I jest za darmo.

– Przytułek dla niezamężnych matek – powiedziała Mary bezbarwnym tonem, uświadomiwszy sobie w końcu, w jakie wpakowała się tarapaty.

– Teraz to się nazywa inaczej – powiedział Jim żywo, nie pozwalając jej pogрузić się w rozpacz. – Bądź praktyczna, Mary. Zajmą się tobą, zaopiekują.

Urodzisz tam dziecko, a oni przeprowadzą adopcję. Innymi słowy, zdejmą ci

ciężar z ramion. Spójrz na to w ten sposób: za trzy, cztery miesiące będziesz mogła wrócić na uczelnię.

– Nadal mam stypendium – powiedziała i promyk słońca rozświetlił mroczną przyszłość.

– No pewnie! Tu masz numer telefonu, zadzwoń zaraz. My z Alfie'em pójdziemy się przejść kawaleczek, może kupimy butelkę wina. Wypijemy za naszą rajską wyspę i twoją przyszłość na uczelni. Zgoda?

Mary mogłaby go ucałować, ale nie śmiała. Poczekała aż wyjdą, wzięła głęboki oddech i wykręciła numer telefonu.

Odebrała kobieta o przyjemnym głosie i Mary wyjaśniła nerwowo, kim jest i w jakim znalazła się położeniu.

– Przyjdź jutro, dziecko, jeżeli możesz – powiedziała energicznie pani Rhodes.

– Mamy mało wolnych miejsc, ale chcielibyśmy cię przyjąć, jeżeli spełniasz warunki.

Ranier House leżał prawie za miastem, pośród łąk. Mary Mallory dotarła tam w deszczu i zdążyła przemoknąć na krótkim odcinku między parkingiem a przeszklonymi drzwiami.

Dom został zbudowany na przełomie wieków przez bogatego barona i pod względem architektonicznym był mieszanką drewna w stylu Tudorów i czerwonej cegły a la stan Waszyngton. Był ogromny, kwadratowy i posepny. Wewnątrz przypominał internat, drewniane podłogi, nagie, białe ściany, zniszczone meble i zapach stołówkowego jedzenia.

Kiedy czekała w holu, minęły ją dwie kobiety w zaawansowanej ciąży. Obejrzały ją od stóp do głów i poszły dalej, objęte ramionami. Pomyślała ze zgrozą, że za parę miesięcy ona też będzie tak wyglądać.

Wkrótce nadeszła pani Rhodes. Była niska, chuda i energiczna. Mary podała jej swój wiek, adres, miejsce pracy. Powiedziała o uczelni i o stypendium. I o matce. Pani Rhodes zapisała wszystko, po czym zapytała o nazwisko ojca dziecka.

Mary zacisnęła usta i przecząco potrząsnęła głową.

– Nie ma ojca – powiedziała posepnie.

– Moja droga, jeżeli dziecko ma być adoptowane, musimy poinformować o tym ojca – pani Rhodes popatrzyła na nią z irytacją. Wszystkie dziewczęta były takie same, nie chciały powiedzieć.

– Prędej je zabiję – powiedziała Mary spokojnym, bezbarwnym tonem. Pani Rhodes spojrzała na nią ostro. Sądząc po wyglądzie i tonie głosu dziewczyny, mieli do czynienia z poważnym przypadkiem. Przebiegła wzrokiem fakty z życiorysu Mary Mallory Malone. Niedawno zmarła matka... zaledwie osiemnaście lat, ciężarna i znerwicowana... bez ojca. Pomyślała, że lepiej jej pomóc.

– No dobrze, moja droga – powiedziała, starając się, żeby nie zabrzmiało to protekcjonalnie. Poniosła fiasko. – Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli sprowadzisz się pod koniec miesiąca. W ten sposób będziesz mogła przepracować okres wypowiedzenia w supermarkecie. Możesz dokładać na swoje utrzymanie, ale jeżeli nie masz pieniędzy, to nic nie szkodzi. Ranier Lodge jest instytucją charytatywną. Najważniejsze, że znajdziesz tu opiekę.

44.

Mallory zamknęła się w bezpiecznej kapsule: nie wybiegała myślą poza dzień jutrzejszy. Chciała jedynie mieszkać we własnym pokoju na poddaszu, od czasu do czasu wypić z Jimmem i Alfie’ m filiżankę kawy i zjeść sandwicza, regularnie co piątek odbierać wypłatę. Teraz to wszystko się kończyło. Jim i Alfie podjęli ostateczną decyzję, szybko sprzedali dom i wprost nie mogli się doczekać chwili wyjazdu. Najtrudniejsze w tym wszystkim było pożegnanie się z nimi.

W przeddzień wyjazdu urządzili uroczystą kolację pożegnalną. Mary sęczyła wino i słuchała, jak się wesoło przekomarzają. Z jej twarzy nie zniknął uśmiech, ale wewnątrz po prostu umierała. Byli tacy mili, traktowali ją jak równą sobie, przyjaźnili się z nią.

Kiedy przyjechała taksówka, aby zabrać ich na lotnisko, Jim wziął ją w objęcia, zmierzwił jej włosy i powiedział:

– Głowa do góry, Mary Malone! Dasz sobie radę, zobaczysz! Przyślemy ci pocztówkę.

Stała na schodach i machała ręką, dopóki samochód nie zniknął za rogiem. Potem ciężko powlokła się na górę i zaczęła pakować torbę. Nazajutrz przeniosła się do przytułku dla niezamężnych matek.

W jednym ze skrzydeł Rainary Lodge, jak nazywał się dom, znajdował się też żłobek. Często słyszała płacz niemowląt, ale nigdy nie zapragnęła ich obejrzeć.

W końcu siostra przełożona uparła się, żeby jej pokazać ten oddział i przeprowadziła ją przez niego, pokazując wszystko, co było do obejrzenia: dział położniczy, porodówkę, gdzie będzie rodzić, oddzielone od siebie zasłonami łóżka, w których spały dwie młode kobiety.

– Nie jest łatwo być świeżo upieczoną matką – ostrzegła siostra przełożona. – To bywa wyczerpujące.

– Nie dla mnie – odparła szybko Mary. – Moje dziecko od razu zostanie zaadoptowane.

– Obawiam się, że to może parę dni potrwać – powiedziała siostra i zmarszczyła brwi. – Musimy się przekonać, że dziecko jest zdrowe i że normalnie je. Potem musimy je odstawić od piersi. Zanim mu pozwolimy odejść, musimy się upewnić, że się dobrze rozwija. Mary stanęła jak wryta. Była przerażona.

– To niemożliwe... – jęknęła ogarnięta paniką. – Nie mogę karmić piersią. Nie mogę...

Pielęgniarka słyszała to już wiele razy.

– Zobaczymy... – powiedziała chłodno.

Podczas tych ostatnich tygodni oczekiwania, Mary, jak zwykle, starała się

zachować swoje sprawy dla siebie. Nie chciała rozmawiać z innymi dziewczętami, ponieważ pragnęła, gdy już opuści przytułek, pozostawić wszystko za sobą, jakby nic nigdy się nie zdarzyło. Nie widziała innego wyjścia.

Dni ciągnęły się w nieskończoność, chociaż personel domu wynajdywał dla nich zajęcia. Nawet te dziewczyny, które oddawały swoje dzieci do adopcji, musiały się uczyć, jak się obchodzić z niemowlętami, jak je kąpać i przewijać, jak sterylizować butelki, całe te bzdury, o których Mary nie chciała nawet myśleć.

Nauczono ją, jak będzie wyglądać poród, że prawdopodobnie potrwa długo, dziesięć, dwanaście godzin, może jeszcze dłużej, ponieważ pierwsze porody zawsze tak trwają. Powtarzała sobie, że nic ją to nie obchodzi, że chce jedynie mieć to ostatecznie za sobą.

Tego ranka, kiedy wzięto ją na porodówkę, dostała kartkę od Jima i Alfie'go. Był na niej kolorowy widoczek wyspy wśród palm. Jej przyjaciele napisali na pocztówce: Pozdrowienia z raj! I pamiętaj zawsze, że raj znajduje się tam, gdzie jest Twoje serce.

Wkrótce odeszły jej wody, a jakiś czas później rozpoczęły się skurcze.

Zaskoczyła ją ich gwałtowność, ale powiedziała sobie dzielnie, że wszystko jest w porządku, wszystko jest do zniesienia. Przyszła siostra położna i zbadała ją.

Oznajmiła, że niedługo pojawi się doktor i że trzyma się świetnie, ale sporo jeszcze przed nią. Mary rzuciła wzrokiem na zegar na ścianie. Była jedenasta przed południem.

O jedenastej wieczorem nadal leżała w porodówce na metalowym łóżku z podniesionymi bokami, które ratowały ją przed wypadnięciem, gdy miotała się, oszalała z bólu. Zagryzała wargi i rozkazywała sobie przetrzymać jeszcze tę jedną minutę, jeszcze tę jedną sekundę... Przetrzymać jeszcze to, a jutro będzie po wszystkim, jutro będzie wolna. Ból szarpnął nią, aż zabrakło jej tchu. Zwarła szczęki, nie pozwoliła sobie na najcichszy jęk.

– Wrzeszcz! Na miłość boską, dziewczyno, czemu nie krzyczysz?! – zawołała zaskoczona pielęgniarka. – Kiedy będziesz wrzeszczeć, jak nie teraz?!

Lecz Mary jeszcze mocniej zacisnęła zęby. Pod zamkniętymi powiekami pojawiła się twarz mężczyzny, który ją zgwałcił. Jego natarczywe, ciemne spojrzenie wwiercało się w jej oczy, gdy wiła się w morderczych skurczach. Pomyślała, że woli umrzeć, niż sprawić mu satysfakcję swoim krzykiem.

W końcu, kiedy była już pewna, że nie wytrzyma dłużej, około piątej nad ranem dostała epidural i nagle ból zniknął. Unosiła się w przyjemnej mgiełce gdzieś ponad łóżkiem. Potem ktoś przywołał ją do rzeczywistości, rozkazując:

– Przyj, Mary! No dalej, dziewczyno, załatw to! Przyj dalej, mocniej, mocniej... Nie poczuła, jak dziecko wyslizgnęło się z niej, ale usłyszała jego krzyk.

Zapra gnęła podnieść ręce i zatkać nimi uszy, ale nie mogła się ruszyć: pielęgniarki trzymały ją za ramiona, stopy miała przywiązane do łóżka, znalazła się w pułapce. Mogła tylko leżeć i myśleć z przerażeniem: Oto jego dziecko.

Narodził się potwór.

– Dziewczynka! – oznajmił lekarz, wręczając noworodka pielęgniarce do umycia.

– Nie chcę wiedzieć... – mruknęła Mary, pogrążona w obezwładniającym koszmarze.

Zaczęła płakać.

– Już dobrze... – powiedziała łagodnie pielęgniarka i otarła jej łzy. – Byłaś bardzo dzielna, Mary. Teraz możesz płakać.

Po chwili znalazła się bezpieczna w łóżku, wewnątrz wyznaczonego zasłonami sześcianu. Okno było szeroko otwarte i wschodzące właśnie słońce ciepło dotknęło jej twarzy. Poczula spokój i opanowanie. Było już po wszystkim.

– Mary! – usłyszała głos siostry. Otworzyła oczy.

– Oto twoje dziecko – powiedziała kobieta wyciągając ku niej różowe zawiniątko.

Złożyła je w zgięciu ramienia Mary. – Pora karmienia.

Całe ciało dziewczyny zeszywniało od doznanego szoku, gardło wyschło jak wypalone. Nie mogła się odezwać. Poczula drobny ciężar, spoczywający na jej ramieniu, ale nie mogła nań spojrzeć.

– Rozepnij koszulę – poradziła siostra.

– To potwór! – zachrypiała. – Potwór... Nie jestem w stanie...

– Ona nie jest potworem. Jest ślicznym niemowlęciem – zachęcała ją pielęgniarka. – Czeka, żebyś ją nakarmiła. Dalej, Mary! Rób to, co należy.

Mary oderwała wzrok od przełożonej, uniosła głowę i z niechęcią spojrzała na potwora, który za chwilę miał wyssać z niej pokarm. Przez długą chwilę przypatrywała się swojej córce, a potem znów opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Wraz z podmuchem wiatru przyplął do niej słodki zapach bzu z drzewa rosnącego tuż pod oknem. Zapach napełnił ją niespodziewanym, błogim uczuciem szczęścia.

Znowu spojrzała na dziecko, które spoczywało w jej ramionach. Oczy noworodka były dokładnie takie jak jej, wielkie, niebieskie i troszeczkę zamglone.

Dziewczynka miała okrągłą, różową buzię, słodkie, przypominające pączek róży usteczka i delikatny puszek jasnych włosów. W żadnym przypadku nie była potworem. Była śliczna, najśliczniejsza. I była jej.

Mary oparła się plecami o poduszki i objęła dziecko ramionami. W zamyśleniu wodziła palcem po złotym puszkę niemowlęcej główki. Otoczył ją znowu zapach bzu, ogrzało ją słońce, zrozumiała, że to, co czuje do tego maleńkiego, bezbronnego

niemowlaka, jest czystą miłością.

Nazajutrz oznajmiła, że rozmyśliła się i że nie może oddać dziecka do adopcji.

Siostra przełożona próbowała przemówić jej do rozsądku i pokazać, jak wielkie czekają ją trudności. Powiedziała, że zmarnuje szansę na ukończenie studiów, że mężczyźni nie żenią się z samotnymi matkami, że będzie musiała jednocześnie bardzo ciężko pracować i być matką. A ponadto na dziecko czekała już dobrze sytuowana rodzina, gotowa i stęskniona, z całą wyprawką. Dziecko, jako ich córka, będzie miało cudowne życie. Będzie miało prawdziwy dom, normalną rodzinę, pójdzie do dobrej szkoły, na dobry uniwersytet...

Mary uparła się i niczego nie przyjmowała do wiadomości. W końcu ustąpiono przed jej uporem i nawet znaleziono małą kawalerkę i pracę w sklepie.

Dzień, w którym Mary wzięła dziecko „do domu”, był drugim najszcześniejszym dniem w jej życiu. Miała wolny tydzień przed podjęciem pracy. Musiała znaleźć opiekunkę do dziecka. Mieszkanko było gorące w czerwcowym słońcu i śmierdziało stęchlizną, wkrótce jednak stało się przytulne, choć zalane nawałnicą butelek, pieluch i prześcieradeł, drobniotkich części niemowlęcej garderoby suszących się na wieszakach.

Nadała jej imię Angela. Córeczka była bowiem cudnym aniołkiem. Karmiła ją i kąpała, pchała ulicami do miejscowego parku przechodzony wózek, podarowany jej przez Ranier Lodge, ubierała ją jak laleczkę, w otrzymane za darmo, używane ciuszki. Niemowlę wpatrywało się w nią tymi ogromnymi, niebieskimi oczami, a Mary gruchała do niej najczulszymi słowami.

– Ty mój skarbie! Ty moje maleństwo! Moje śliczne! Kocham cię! Słowa dźwięczały w jej uszach, jakby wyrwane z obcego języka, ale teraz, gdy wiedziała czym jest miłość, znajdowała je łatwo.

Przed rozpoczęciem pracy musiała przestawić niemowlę z karmienia piersią na butelkę i zamęczała się, wypompowując z siebie mleko i sterylizując butelki, wykonując tysiące drobnych czynności, jakie trzeba wykonać przy niemowlęciu.

Kiedy nadszedł dzień, w którym miała zacząć pracę, zawiozła dziecko przez trzy ulice do domu opiekunki, wręczyła jej butelki z mlekiem, torbę z pieluszkami, i stertę innych drobiazgów. Pocałowała córeczkę na pożegnanie, powiedziała opiekunce, że ma nadzieję, że wszystko będzie dobrze i uciekła do sklepu i do pracy, żeby się nie załamać i nie rozplakać.

Cały dzień niepokoiła się o dziecko. Podczas przerwy na lunch zatelefonowała do opiekunki.

– Wszystko w porządku! – lakonicznie oznajmiła kobieta. – Zresztą w tym wieku one prawie bez przerwy śpią.

Być może dziecko spało całymi dniami, z całą pewnością jednak nie spało

nocami, tak samo zresztą jak Mary. Wydawało się jej, że gdy tylko, zmęczona, padała na łóżko i zamykała oczy, Angela zaczynała płakać. Mary próbowała ją karmić, próbowała kłaść ją obok siebie w łóżku, próbowała brać ją w ramiona i chodzić z nią w kółko po małym pokoju... Lecz Angela kaprysiła po nocy, za dnia zaś tylko opiekunka wychodziła dobrze na tym zwyczaju dziecka. Mary potykała się w sklepie, choć starała się mieć oczy otwarte i wszystkie klepki razem, po czym wracała do domu tylko po to, aby bezustannie krążyć z dzieckiem po mieszkaniu.

Minęło parę miesięcy. Popełniła kilka pomyłek i dostała ostrzeżenie od szefa, ale, kiedy ponownie walnęła głupstwo i wydała klientce z pięćdziesięciu dolarów zamiast z pięciu, facet się wściekł.

– Koniec, panno Malone! – rzekł. – Przykro mi, ale tak dłużej być nie może.

Uważam, że musi pani zadać sobie pytanie, co dalej ponieważ jest jasne, jak cholera, że w tym stanie nie może pani pracować.

– Czy to znaczy, że jestem zwolniona? – zapytała, bliska płaczu. Szef westchnął i dał jej jeszcze jedną szansę.

– Niech pani to sobie przemyśli i znajdzie jakieś rozwiązanie. Nie można być matką i pracować na pełnym etacie.

Lecz Mary wiedziała, że nie może być matką, jeśli nie będzie pracować w pełnym wymiarze godzin, ponieważ nie miała pieniędzy.

Nadszedł grudzień, gwiazdka była tuż, tuż, gdy zrozumiała, że dłużej tak nie pociągnie. Niemowlę płakało bez przerwy, a ona w poczuciu winy myślała, że to pewnie dlatego że jest nieszczęśliwe. Nie ma przecież normalnego domu, matki w pełnym wymiarze godzin, właściwej opieki i uwagi. Mogła dać dziecku jedynie miłość, ale to było łatwe. Każdy musiał je kochać.

Jej wynagrodzenie rozchodziło się na czynsz, opiekunkę, na najniezbędniejsze rzeczy dla dziecka, no i jedzenie. Nie zostawało jej nic, ani centa. Nie miała nawet za co kupić córeczce prezentu pod choinkę. Siedziała bezwładnie na krześle i przyglądała się, jak dziecko kręci główką z jednej strony na drugą. Nie miała siły, żeby je podnieść. Zawładnęło ją uczucie absolutnej rozpacz. Dotarła do końca drogi.

45.

– Dotrzymałam słowa – powiedziała szeptem Mal.

– Nigdy nie wróciłam do tego domu. Nigdy jej nie widziałam. Najgorsze były pierwsze lata. Nie potrafię nikomu wytłumaczyć, co to znaczy stracić w ten sposób dziecko, wiedzieć, że żyje, że jest tak blisko, że można go niemal dotknąć...

Ale jest ich córką. Potrzebowali jej tak samo, jak ona potrzebowała ich. Oddali jej swoje serca, swoją miłość, przyjęli ją do swego życia. Ale nikt nie zna prawdy o jej prawdziwym ojcu – spojrzała wyczekująco na Harry'ego, jakby czekając na jego aprobatę, i dodała: – Nie miałam wyboru. To był jedyny sposób na zapewnienie jej wolności.

Jej oczy stały się ciemne od narastającego w niej napięcia, wyglądały jak dwa szafiry w deszczu, jakby miały zaraz zalać się łzami. Harry zrozumiał, jak ciężką walkę ze sobą toczyła, dźwigając ciężar winy i rozpacz, nieustannie zastanawiając się, czy postąpiła słusznie. Wszystkie te lata przeżyła samotnie, pozbawiona miłości, płacąc za wszystko straszliwą cenę.

Objął ją ramionami, przytulił, ukołysał... Potem wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył się przy niej.

Mal nie mogła płakać; wyszłochała wszystkie łzy dawno temu, całe morze łez, do ostatniej kropli. Poczowała dotyk palców mężczyzny na zamkniętych powiekach, jego usta, delikatnie całujące jej długie rzęsy. Dotykiem rysował kontury jej twarzy, zarys policzków, wykroj drżących ust. Nie otwierała oczu. Nie mogła spojrzeć na niego. Nie potrafiłaby znieść wyrazu współczucia na jego twarzy.

Ostrożnie rozpiął jej bluzkę, zsunął jedwab z jej ramion. Dotykiem, lekkim jak oddech wiatru, zaznaczył wygięcie jej szyi, wzniesienie piersi pod satynową halką. Zdjął z niej haleczkę. Przesunął dłonią wzdłuż całego jej ciała. Pochylił nad nią głowę.

– Jesteś taka piękna! – wyszeptał jej do ucha. – Jesteś tak piękną kobietą, Mal...!

Szukał ustami jej warg, a gdy znalazł, pochwyił jej miękką dolną wargę i drażnił się, i kusił, i budził... Czułymi, słodkimi, najczulszymi pocałunkami okrył jej ciało.

Rozebrał się szybko i usiadł obok niej na łóżku. Ujął dłońmi jej ręce, przyciągnął ją do siebie.

– Otwórz oczy, Mal, kochanie! – powiedział gwałtownie. – Chcę, żebyś na mnie spojrzała. Otwórz oczy!

Nie chciała. Nie zniosłaby.

– Spójrz na mnie! – zażądał. – Chcę zająrzeć w twoje oczy. Trzymał obie jej ręce. Nie mogła nigdzie uciec. Powoli podniosła powieki.

Jego szczupłą, przystojną twarz zbliżała się i oddalała, zamazywała i wyrażała,

jego zmierzwione, ciemne włosy, silna, uparta szczeka... W oczach miał płomień i siłę.

– Spójrz mi w oczy, Mal! – nakazał, mocno ściskając jej ręce, bo nie chciał jej teraz stracić.

Uniosła głowę, dumnie wyprostowała szyję, wydeła usta, gotowa natychmiast powiedzieć mu, że nie potrzebuje współczucia. Chce jedynie sprawiedliwości. A potem spojrzała w jego cudowne, szare oczy i już nie mogła oderwać od nich wzroku. Zniewalały ją tak samo, jak jego ramiona, gdy ją kochał.

Wiedziała, że jego ciało jest twarde, piękne, że jego oczy coś ważnego do niej mówią. Jego energia ogarnęła jej ciało, wypełniła jej zmysły, choć on nie poruszył się, nie pocałował jej, nie próbował jej wziąć. Jego oczy rozkazywały jej, przyciągały ją do niego, aż poczuła, jak odprężają się jej mięśnie, jak traci cały swój ciężar, unosi się gdzieś, w nieznaną srebrzystoczną przestrzeń. Znała jedynie, widziała jego oczy, ich czułe spojrzenie.

– To jest miłość... – wyszeptał jej do ucha. – Dotykanie, odczuwanie, poznawanie swoich ciał i serc. Biorę cię do swoich myśli i do swojego serca.

Chcę, żebyś uczyniła to samo.

Westchnienie wyrwało się z jej piersi. Poczowała gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach. Mężczyzna pochylił się nad nią i znowu pieścił wargami jej usta.

– Czy odczuwasz to samo, Mal? Czy teraz to odczuwasz?

Całował łagodne wygięcie jej szyi, potem ramiona, wzniesienie piersi wokół sutek, płaskie sklepienie brzucha. Całował miękkie wnętrza ud, czułe miękkości między udami, potem powoli, centymetr po centymetrze wracał ustami w górę ciała, kazał jej czekać, czekać, aż krzyknęła z pragnienia.

Jego ciało było jak płomień, ale nie spieszył się, chcąc, aby zrozumiała, że ją kocha, że tak powinno wyglądać kochanie. Kobieta i mężczyzna w absolutnej wzajemnej harmonii, zjednoczeni sercami i ciałami.

Krzyknęła, kiedy wreszcie w nią wszedł, oplótła go ramionami i nogami, kołysała się razem z nim, czując pulsowanie ognia w nim, rozkosz i potęgę miłości, gdy razem osiągnęli szczyt uniesienia.

Lecz to nie było jeszcze wszystko. Pozostał w niej, nie wypuszczał jej z objęć, pieścił dłońmi jej wilgotne ciało, okrywał jej twarz pocałunkami, oddychał jej oddechem.

– Czy teraz to odczuwasz? Czy teraz wiesz, czym jest miłość? – wyszeptał.

– Och, Harry! – Leżała bez tchu, wstrząśnięta głębią swego przeżycia, zaskoczona radością, jaką znalazła w kochaniu. – Kocham cię, Harry!

Leżeli spleceni uściskiem, szczęśliwi, unosząc się we własnej, wysublimowanej srebrzystej przestrzeni. Nie istniały już żadne tajemnice. Po chwili mężczyzna

podniósł się, poszedł do kuchni i przygotował dziewczynie filiżankę jej ulubionej herbaty jeżynowej. Ostrożnie doniósł ją do nocnego stolika.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Powinienem ci podziękować – powiedział nieśmiało. – Nikt nie powinien przeżywać tego, co ty przeżyłaś. Nikt nie powinien być zmuszany do mówienia o tym. Ale muszę ci zadać jedno ważne pytanie. Nie musisz na nie odpowiedzieć, ale jeśli jesteś w głębi duszy pewna, że to ten sam człowiek, to muszę wiedzieć.

Wiedziała, o co pyta.

– Nazywa się Wil Ethan – powiedziała spokojnie. Westchnęła z ulgą. Miała to nareszcie za sobą.

– Będziemy potrzebowali twojej pomocy, jeżeli mamy go złapać, zanim znowu zabije – ostrzegł.

Tym razem nie wahała się. Wiedziała, że może mu ufać.

– Pomogę wam – zgodziła się. Westchnienie, które towarzyszyło tym słowom było prawie niedosłyszalne, ale Harry wiedział, ile ją ta zgoda kosztowała.

46.

Machina reklamowa pracowała na najwyższych obrotach: w swoim następnym programie Mal Malone miała przekazać sensacyjną wiadomość. Nie zdradzono tematu audycji, zapowiadano jedynie, że dotyczyć ona będzie spraw bardzo osobistych. I, w odróżnieniu od poprzednich, nagrywanych, programów, ten będzie transmitowany na żywo i bez widowni.

Pracownicy Malmar Production również nic nie wiedzieli o temacie audycji. Nawet Beth nie miała pojęcia.

– Jesteś pewna, że to ma sens? – niepokoiliła się.

Nadszedł wreszcie czwartek. Mal wyglądała jak z krzyża zdjęta: podkrążone z bezsenności oczy, nabuzowana nadmiarem kofeiny, napięta do ostateczności.

Krążyła po pustym studiu dźwiękowym jak kot w klatce, który szuka wyjścia.

Rzuciła okiem na Beth, ujrzała w jej oczach troskę.

– Wszystko będzie dobrze, Beth! Ja to muszę zrobić. Zaalarmowana dziwnym brzmieniem jej głosu, Beth chwyciła ją za ramię.

– Nie rób tego, Mal! Odwołaj program, jest jeszcze na to czas. Mamy dosyć już gotowych audycji, możemy nadać coś innego.

– Ja muszę...

Spacerowała po studiu, ślepa na wszystko. Przed oczami miała jedynie obrazy, które podsuwała jej własna pamięć.

Harry wpadł do gmachu telewizji na pół godziny przed rozpoczęciem transmisji.

Rozejrzał się po kipiącym życiem studiu i spostrzegł ją, siedzącą samotnie w półmroku, nie zwracającą najmniejszej uwagi na ostatnie, gorączkowe przygotowania. Miała zamknięte oczy, głowę odchyloną do tyłu, jakby wypoczywała.

Dostrzegł jednak jej mocno zaciśnięte dłonie i zrozumiał, że spokój nie był jej udziałem.

Podszedł do niej, położył ręce na jej ramionach, pochylił się i pocałował w policzek. Podniosła powieki i powiedziała z wdzięcznością:

– Och, Harry! Jak dobrze, że jesteś.

– Wszystko przygotowane – powiedział i usiadł obok niej. – Linie telefoniczne są nadzorowane, włącznie z twoim domowym telefonem. Policjant pilnuje twojego mieszkania.

– Nim minie dzisiejszy wieczór, morderca będzie wiedział, że został rozszyfrowany. Policja spodziewała się, że jakoś na to zareaguje, ale Harry nie zdradził się z tym przed Mal.

Spojrzał na nią z troską. Miał nadzieję, że uda jej się wytrzymać. Delikatnie pocałował ją w usta.

– Głowa do góry, Mal! – powiedział i wziął ją za rękę. – Niedługo będzie po wszystkim.

– Głowa do góry... – powtórzyła.

Czas na nią... Gorące strumienie światła zalały prostą dekorację z twardą kanapą, która nie dawała wypoczynku, niskim stołem z wazonem bzu i piwonii, zamówionych przez Mal. Dziennikarka miała na sobie prosty, niebieski sweter i spódnicę. Jasne włosy zczesła do tyłu, nie błyszczał na niej nawet okruch biżuterii. W niczym nie przypominała słynnej gwiazdy telewizyjnej, nieustępliwej reporterki, dociekliwej wywiadowczyni. Była zmęczona, bezbarwna, jakby wygasła swoje wewnętrzne światło.

Zajęła miejsce na kanapie, pozbierała notatki, jeszcze raz nerwowo je przejrzała, potem znów odłożyła. Rzuciła spojrzenie poza światła, w ciemność, na Harry'ego. Stał obok Beth. Podniósł obie ręce, pokazując jej skrzyżowane kciuki, jeszcze raz dodając jej sił. Reżyser zaczął odliczanie ostatnich sekund. Program poszedł na antenę.

– Dobry wieczór! – zaczęła Mal opanowanym głosem. Patrząc prosto w obiektyw kamery powiedziała: – Nasz dzisiejszy program jest inny niż zwykle. Na pewno pamiętacie audycję sprzed paru tygodni i rodziny młodych kobiet, które padły ofiarą bostońskiego mordercy. Ludzie ci zdobyli się na wystąpienie przed kamerami telewizyjnymi i podzielenie się z nami swoim żalem, swoimi najgłębszymi uczuciami. Ich upór w dążeniu do wymierzenia zabójcy sprawiedliwej kary wywołał wiele różnorodnych emocji, w was i we mnie.

Nigdy nikomu nie mówiłam, co mnie samą spotkało. Aż do ostatniego tygodnia, kiedy już dłużej nie potrafiłam tego znieść. Zaczęłam pogardzać sobą za utrzymywanie w tajemnicy swojego wstrętnego, małego sekretu, podczas gdy tamtym nieszczęśliwym kobietom nie dano nawet szansy o tym mówić. Dziś muszę podjąć wysiłek i przemówić w ich imieniu.

Jeden z moich przyjaciół powiedział: Ty żyjesz, one są martwe. Jaki sekret może być wart trzymania w tak głębokiej tajemnicy!?

Wzięła głęboki oddech.

– Ukrywałam to, że jestem ofiarą gwałtu. Że byłam ofiarą bliską śmierci. Chcę wam o tym opowiedzieć, abyście mieli pojęcie, co to znaczy być taką kobietą. Kimś, kto został brutalnie zgwałcony i niemal zamordowany. Chcę wam opowiedzieć o bólu i upokorzeniu, i o wstydzie, który powstrzymywał mnie aż do tej chwili przed wyjawieniem tej tajemnicy.

I o strachu. Ponieważ ten człowiek mi groził. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek o tym powiem, on znajdzie mnie i zabije.

Dumnie uniosła głowę.

– A więc, Williamie Ethanie, bo takie nazwisko mi wtedy podałeś, choć teraz wiem, że kłamałeś... Oto jestem i mówię Ameryce o tobie!

Kamera zrobiła najazd na mówiącą i zjrzała jej głęboko w oczy.

– Mówię o tobie, gwałcicielu i mordercy. Jestem bowiem przekonana, że jesteś tym samym mężczyzną, który zgwałcił, torturował i zamordował Mary Ann Latimer. I Rachel Kleinfeld. I Summer Young. I Suzie Walker.

Beth spojrzała na Harry'ego oczami rozszerzonymi z przerażenia.

– O mój Boże! – jęknęła. – Moja biedna Mal! Moja biedna, nieszczęśliwa Mal!

– Opowiem wam, co zrobił, jak to się stało – ciągnęła dziennikarka.

– Dowiedcie się, co to znaczy być na jego łasce.

Beth schwyciła Harry'ego za ramię, zacisnęła na nim dłonie. Łzy pociekły jej po policzkach, gdy przyjaciółka opowiadała przerażającą historię nocy sprzed wielu lat.

Mal skończyła, lecz jeszcze przez chwilę siedziała w milczeniu, z ramionami opuszczonymi ze zmęczenia i napięcia; była na granicy kompletnego wyczerpania.

Ścisnęła obie dłonie, wzięła się w garść. Musiała być silna i dokończyć sprawę.

Harry'emu zdawało się, że włączyła swe wewnętrzne światło, że znów stała się Mallory Malone, mądrą dziennikarką, piękną kobietą, wielką osobistością. Nie była już ofiarą. Była silną kobietą, ścigającą zabójcę, jak samonaprowadzająca się na cel rakietą.

– Dostarczyłam informacji, umożliwiając opracowanie tego nowego portretu pamięciowego – rzekła, najwyraźniej już panując nad sytuacją.

– Dokładnie tak wyglądał morderca, gdy był młodszy, kiedy go spotkałam.

Zdjęcie krótko ostrzyżonego, brodatego mężczyzny o przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu wypełniło ekran.

– A to jego prawdopodobny portret z teraźniejszości – na ekranie pojawiło się postarzałe oblicze tego samego mężczyzny. – Proszę was, jeśli znacie go, albo kogoś przypominającego wyglądem tego człowieka, zadzwońcie do nas.

A teraz mam wiadomość dla Williama Ethana, prawdopodobnie nie używającego już tego nazwiska. Wiem, że tam jesteś, słuchasz i patrzysz.

I chcę, żebyś od tego momentu wiedział, że Ameryka i jej obywatele są tam również, wysłuchujący i wypatrujący... właśnie ciebie.

Nie ma dla ciebie ratunku. Gdy zostaniesz schwytany, co wkrótce nastąpi, nie dane ci będzie więcej budzić się, aby radować się wolnością pięknego, letniego dnia, czy rześkiego, zimowego poranka. Nie będziesz już uczestniczyć w naszym wspólnym życiu. Zostaniesz pojmany jak bestia, zamknięty w więzieniu, za kratami, w klatce, jak zwierzę. Ponieważ jesteś zwierzęciem. Nigdy więcej nie odetchniesz świeżym, czystym powietrzem wolności, jak normalni, uczciwi ludzie. Ja osobiście mam nadzieję, że zgnijesz w piekle, które sam stworzyłeś.

Ze smutkiem spojrzała w obiektyw kamery i dorzuciła:

– Musiałam zapomnieć o sobie, o swoim strachu. Musiałam uwolnić się od niego i powiedzieć wam to wszystko, ponieważ musimy przerwać tę serię morderstw.

Babranie się w moich ohydnych wspomnieniach nie ma znaczenia. Chcemy przerwać kopanie nowych grobów.

Dziękuję wam, że zechcieliście wysłuchać mojej historii. Mam nadzieję, że mnie zrozumieliście i że pomożecie nam. Pamiętajcie o tych rodzicach, przypomnijcie sobie te młode kobiety. Proszę was, niech nikt z nas o nich nie zapomni.

Dobranoc. Dziękuję wam raz jeszcze.

W studio panowała absolutna cisza.

Mał spojrzała na notatki, z których nie skorzystała. Mówiła spontanicznie, bez planu, słowami, jakie dyktowało jej serce.

Podniosła się i wyszła z kręgu światła. Wyciągnęła ramiona, jakby chciała objąć wszystkich tu obecnych: kamerzystów, redaktorów, pracowników zaplecza...

– Dziękuję wam – powiedziała cicho – za dotrzymanie tajemnicy i za przetrzymanie tego wszystkiego, co wam zafundowałam w ciągu tego tygodnia.

Przez chwilę wpatrywali się w nią w milczeniu, potem, jakby uwolnieni z jakiegoś zaklęcia, zaczęli bić jej brawo. Beth podbiegła do niej. Objęła ją czule i zawołała przez łzy:

– Och, Mał! Tak mi przykro!

– Niepotrzebnie, Beth! – odpowiedziała łagodnie. – Już po wszystkim – rozglądała się za Harrym.

– Dziękuję pani! – powiedział i ujął jej dłonie. – Dziękuję ci. Spojrzała mu prosto w oczy.

– To ja tobie dziękuję, detektywie! – Dobrze wiedziała, co mówi. Telefony dzwoniły bez przerwy. Wszystkie linie były zajęte zanim doszła z Harrym do drzwi. Pojechali prosto do domu, jego palce ciągle obejmowały jej dłonie. Było jej z tym dobrze, jakby przenikała do niej jego siła. Opiekuńczo otoczył ją ramieniem, gdy wchodzili do mieszkania. Drzwi zatrzasnęły się za nimi, jakby odcinały ich od całego tego złego świata na zewnątrz.

W mieszkaniu było cicho, ogień płonął na kominku, świeciły się lampy, pachniały kwiaty. Każdy wolny kawałek pokryty był różami. Pomyślała, że Harry musiał dokonać rajdu po wszystkich kwiaciarniach Manhattanu. Nabrzmiiałe pąki bladego różu, gotowe lada chwila wybuchnąć w dorodne kwiaty, były wprost cudowne!

– Nazywają się Vivaldi – oznajmił Harry. – Nie mogłem znaleźć żadnej o nazwie Tajemnica, zresztą to już należy do przeszłości. Myślę że wiesz, co mam na myśli.

Jej uśmiech wart był wszystkich róż Nowego Jorku. Wziął jej dłoń i pocałował.

– Dobrze się pani spisała, pani Mary Mallory Malone. Jesteś najlepsza, jesteś super...

– Jestem jak wieża Eiffla – przerwała mu. – Czy, jak mówi piosenka, jak Muzeum Brytyjskie...

– Jesteś lepsza niż wszystkie cuda świata.

Wsunęła się w jego ramiona. Objęli się, jakby nigdy nie mieli zamiaru się puścić.

– Dziękuję ci... Dziękuję... Dziękuję... – mruzczał jej do ucha. – Wiem, jak ci było trudno. Nie, to nieprawda. Nie wiem tego do końca. Nigdy tego nie będę wiedział. Mogę ci tylko dziękować. Wraz z ogromną liczbą Amerykanów. Nie wiem, jak to zrobiłaś.

– Jak mogłam tego nie zrobić?! – zapytała zwyczajnie.

– Nie wiem, co ty o tym sądzisz – rzekł zmieniając temat, pragnąc, aby się zrelaksowała i zapomniała – ale ja ostatnie dni przeżyłem na kawie i tabliczkach snickersów. Pozwoliłem sobie zamówić co nieco do jedzenia. Na wszelki wypadek... – dodał.

Trzymając się za ręce poszli do kuchni. Harry pokazał dziewczynie przysmaki uszykowane na tacy.

– Miffie zatelefonowała do „Le Cirque” – powiedział. – Chodzi tam już od lat, a Sergio robi dla niej wszystko.

Otworzył butelkę drogiego szampana, nalał do kieliszków i powiedział, że od tego róże znowu zakwitną na jej policzkach.

– Jakby mi brakowało róż! – szepnęła i zdołała się uśmiechnąć.

– No, wreszcie! Dobra dziewczyna! – uradował się.

– Kobieta! – poprawiła go. Roześmieli się oboje.

Mał poczuła jakby życie nagle przestawiło się na normalność. Istniała tylko ona i Harry, sami w swoim własnym, małym świecie. Chciała, żeby tak pozostało na zawsze. Lecz nawet kiedy zajęli się kolacją, kiedy pili czerwone wino, nie opuszczała jej myśl, że Harry czeka, aż coś zacznie się dziać, choć widać było, jak stara się nie spoglądać na aparat telefoniczny. Wiedziała, że czeka na telefon od mordercy.

Początkowo audycja rozbawiła go. Podniecała go myśl, że w tej chwili wszyscy o nim mówią. Roześmiał się na widok swojego niezbyt udanego portretu pamięciowego.

Nie zestarzał się tak bardzo, jak oni myśleli, i wyglądał dziesięć lat młodziej.

Zupełnie nie trafili z włosami, a ponieważ w młodości nosił brodę, nie mieli pojęcia o zarysie jego szczęki. Całe szczęście! Zaniepokoił go jednak portret z lat młodości. To prawda, minęło od tego czasu wiele lat, ale gdzieś na dnie umysłu rodziło się w nim przekonanie, że ktoś go sobie przypomni.

Poszedł do kuchni, nalał sobie do szklanki wódki, potem podszedł do okna i ze

złością popatrzył na róże. Wiedział, że mszyce wysysają życie z jego starannie pielęgnowanych kwiatów. Złość na owady, na które miał tak niewiele wpływu, zamieniła się we wściekłość” na Mary Mallory. Zamknął powieki i natychmiast czerwone płatki zawirowały mu przed oczami. Zapragnął, aby była to jej krew. Zastanawiał się, ile czasu pozostało.

Schwycił kluczyki do volvo i pobiegł do garażu. W następnej chwili już pędził ulicami miasta. Osaczali go, ale on zdążył ją dopaść, tę tanią, zadufaną w sobie dziwkę. Zapragnął jej śmierci. Miał na to znakomity sposób.

Pogratulował sobie przezorności, która kazała mu zbierać informacje o losach Mary Mallory. Była jego pierwszą ofiarą, uszła z życiem i zawsze jej się obawiał.

Nie wyjechał poza granice stanu, jak oznajmił kelnerce w tamtej kafejce. Przez cały czas, kiedy Mary Mallory przebywała w Tacoma, on mieszkał w odległości jednego dnia jazdy, w Seattle. Wynajął tani samochód, żeby nie zwracać na siebie uwagi i śledził ją. Wiedział, że zaszła w ciążę, że mogło to być jego dziecko.

Nie spuszczał jej z oczu, wiedział, kiedy zniknęła, że dziecko znalazło się w Seattle, i pod czyją opieką. Prawdę mówiąc, wiedział o dziecku więcej niż sama Mary Mallory.

Szukał budki telefonicznej na rogu spokojnych ulic. Zdawał sobie sprawę, że jej telefon jest na podsłuchu, ale znał też tajniki policyjnej roboty. Jeżeli się pośpieszy, będzie bezpieczny.

Pływały godziny. Była pierwsza w nocy i nadal nawet najdrobniejsze pyknięcie nie budziło telefonu w mieszkaniu Mal.

– Powinnaś się położyć – zaproponował Harry, lecz ona potrząsnęła głową i oparła się o niego.

– Nie położę się bez ciebie – mruknęła sennym głosem. I wtedy zadzwieczał telefon.

47.

Odskoczyli od siebie. Zaszokowana Mal spojrzała na Harry'ego szeroko rozwartymi oczami. Telefon zacharczał jeszcze raz, rozbijając ciszę jak szklaną tafłę.

– Teraz lub nigdy, Mal! – powiedział z naciskiem Harry, wypuszczając ją z objęć.

Z lękiem popatrzyła na brzęczący aparat. Zwilżyła językiem nagle wyschłe wargi, a potem podeszła do aparatu.

– Halo? – wyszeptała.

– A więc, Mary Mallory – odezwał się w słuchawce męski głos – dałaś dziś wieczorem całkiem przekonujące przedstawienie.

Dreszcz przebiegł jej po plecach na dźwięk jego głosu, dreszcz jak trzęsienie ziemi, bo zachwiał fundamentami, na których zbudowała swoją osobowość. Nie mogła oddychać, nie mogła mówić, nie chciała niczego słuchać. Ale musiała jak najdłużej trzymać go przy telefonie.

– Zastanawiam się właśnie – powiedział – czy to nie najwyższy już czas, aby odwiedzić moją córkę.

Cichy okrzyk wydarł się z jej piersi. Harry przywarł do drugiej słuchawki. Głos mężczyzny był zduszony, pewnie czymś, czym zasłaniał sobie usta.

– Musi teraz być w tym samym wieku, co ty, gdy się spotkaliśmy – ciągnął mężczyzna. – Czyż to nie interesujący zbieg okoliczności?

– Wiesz co, Mary Mallory? – zachichotał. – Właśnie teraz jadę ją odwiedzić. Ale nie martw się, nie dowie się, kim jestem. Okazałem się zbyt mądry, jak na ciebie. Zbyt sprytny, jak na was wszystkich. Nie złapiecie mnie nigdy. Nigdy!

Kontrolował czas rozmowy na ekstrawaganckim, sportowym zegarku. Odłożył słuchawkę na kilka sekund przedtem, nim śledzący policjanci mogli go zlokalizować. Był wolny. Znowu!

Znakomity pomysł, pomyślał. Trafić dwa ptaki jednym strzałem! Dostarczy dziennikom żeru, jakiego jeszcze nigdy nie miały.

Telefon był już głuchy. Harry połączył się komórkowcem z ekipą, która próbowała zlokalizować dzwoniącego.

– Był zbyt szybki – mruknął przygnębiony do Mal. – Wiemy tylko, że dzwonił z Bostonu.

Siedziała skurczona w rogu kanapy. Harry pomyślał, że wygląda na kobietę, która stanęła na drodze drogowego walca.

– Dziewczyna jest w niebezpieczeństwie – powiedział. – Musisz nam ujawnić nazwisko jej rodziny, abyśmy mogli ją znaleźć.

– Nie chcę, żeby się o nim dowiedziała! – krzyknęła w panice.

– Obiecuję ci, że nigdy się nie dowie. Powiedz nam, póki nie jest za późno.

Powiedziała mu nazwisko, potem z konającym sercem wróciła na kanapę. Harry już telefonował do policji w Seattle i dopytywał o szczegóły. Rodzina należała do miejskich znakomitości, była znana ze swojej charytatywnej pracy. Mieli córkę i dwóch synów. Dziewczyna studiowała na drugim roku w Uniwersytecie Bostońskim.

Harry i Mal patrzyli na siebie skamieniali z przerażenia.

– O mój Boże! – zaszlochała Mal. – Mój Boże! Harry...! – zawołała. Ale on już rozmawiał z szefem policji w Bostonie.

Po dwóch minutach wyłączył telefon.

– Bierz palto! – zawołał.

Wzięła się w garść. Pobiegła do sypialni, porwała żakiet i torebkę. Harry stał już przy windzie.

– Dokąd jedziemy?

– Do Bostonu. Możemy złapać następny samolot, jeśli się pośpieszymy.

Samochód nowojorskiej policji już czekał przed budynkiem. Harry wepchnął Mal na tylne siedzenie i usiadł obok. Zawyla syrena.

Miał racje, udało im się zdążyć. Przez cały lot do Bostonu nie wypuszczał jej ręki ze swoich dłoni. Prawie nie rozmawiali ze sobą. Pomyślała ze smutkiem, że nic nie mieli do powiedzenia. Pozostało jej tylko modlić się za dziewczynę, która była jej córką.

Na lotnisku przywitał ich Rossetti.

– Nie uwierzysz, Prof, ale dzieciaka nie było w akademiku. Dziś wieczorem chciała pójść na koncert z przyjaciółmi, ale nie czuła się zbyt dobrze, więc wybrała się do lekarza. Jest teraz w Szpitalu Ogólnym Stanu Massachusetts z podejrzeniem zakażenia nerek. Postawiłem paru mundurowych policjantów przy jej pokoju i na korytarzu.

Spieszyli się, prawie biegli przez sale lotniska. Samochód czekał na nich przed dworcem. Wpakowali się do niego.

– Jak kazałeś, Profesorku – powiedział Rossetti – nie robimy wokół sprawy szumu. Ta mała nie wie, że morderca ma ją na muszce. Nie wie nic, z wyjątkiem tego, że jest chora.

Harry poczuł wdzięczność do losu, że przynajmniej ona jest bezpieczna.

Przypomniał sobie, bardzo boleśnie, odcisk buta od Gucciego na czole Suzie oraz to, że przynajmniej kilku lekarzy ze szpitala Massachusetts nosiło tego typu obuwie.

– Zatrzymasz się u mnie. Squeeze będzie cię pilnował. Ja muszę jechać do komisariatu.

W ciągu paru minut znaleźli się na Louisberg Square. Otworzył drzwi do mieszkania. Pies powitał ich szczekaniem. Harry rozejrzał się po mieszkaniu,

sprawdził okna i drzwi. Przez dłuższą chwilę kobieta i mężczyzna patrzyli sobie w oczy.

– Głowa do góry, Malone – powiedział Harry z wymuszonym uśmiechem. – Wszystko będzie dobrze.

I zniknął, zanim zdążyła mu odpowiedzieć.

Znalazszy się w komisariacie, usiadł przed komputerem i jeszcze raz przejrzał listę lekarzy w Bostonie i w okolicy. FBI dokładnie prześwietliło ich przeszłość i terażniejszość. Wszystkie życiorysy znajdowały się w bazie danych. Harry wiedział, gdzie i kiedy się urodzili, wiedział o wszystkich szkołach, do których uczęszczali, od matury do uniwersytetu, o wszystkich małżeństwach, urodzinach i śmierciach. Znał ich kwalifikacje lekarskie i nazwy miast, w których mieszkali, zanim przeprowadzili się do Bostonu. Znał ich adresy domowe i adresy szkół, do jakich chodziły ich dzieci. Znał przeszłość ich żon.

Pamięć przywołała mu przed oczy Suzie Walker. Słyszał bez przerwy jej głos powtarzający: „A co pan tu robi?”

Wiedział, że Suzie Walker blisko współpracowała z doktorem Wawnanem. Odszukał życiorys Waxmana i jeszcze raz prześledził historię jego życia.

Była dość zwyczajna. Aaron Waxman miał pięćdziesiąt sześć lat, żonaty ze swą miłością z czasów studenckich, mieszkał na przedmieściu, miał troje dzieci, jedno z nich studiowało medycynę. Pochodził z robotniczej rodziny w Chicago, nigdy nie uczestniczył w żadnych medycznych dyskusjach, znany był powszechnie jako dobry lekarz. Jeździł czarnym mercedesem, jego żona zaś białym suburbanem.

Harry zmarszczył brwi. Nie mógł znaleźć w życiu Waxmana ani jednej szczeliny, która mogłaby sygnalizować zboczenie. Prawie nie miał czasu: pracował długo, wolne chwile poświęcał rodzinie, a ponadto mocno się angażował w sprawy miejscowej gminy żydowskiej.

Detektyw, sfrustrowany, przeglądał nazwiska innych lekarzy, z którymi, jak rzekł Waxman, współpracowała Suzie. Cierpliwie przeanalizował całą listę. Wszyscy od dawna byli żonaci i mieli ustabilizowane życie rodzinne. Z wyjątkiem doktora Billa Blacke'a.

Harry jeszcze raz przestudiował informacje o Blacke'u. Miał czterdzieści osiem lat i, jak na tak stosunkowo młodego lekarza, zdążył zaliczyć wiele miejsc pracy, wędrując po całym kraju, od San Francisco przez Chicago i St. Louis do Bostonu. Miał znakomite opinie z dobrych akademii medycznych.

Od trzech lat jako lekarz sądowy był zatrudniony przez radę miejską Bostonu.

Informacje o jego życiu osobistym mówiły, że od siedmiu lat jest wdowcem, mieszka sam w mieszkaniu w Cambridge i jeździ szarym volvo.

Coś zaskoczyło w umyśle Harry'ego: przypomniał sobie volvo na szpitalnym

parkingu i wściekle szczekającego i warczącego Squeeze'a, który rwał się do samochodu. Przypomniawszy sobie nawet numer rejestracyjny i domyślił się, że wóz musi należeć do Blacke'a. Ale to nie mógł być Blake, zbyt blisko współpracował z policją i wszyscy go znali.

– Powiedz mi – z oporami zagadnął Rossettiego – co wiesz o Billym Blake'u.

– O Billym Blake'u? – Rossetti był zaskoczony. – Jest w porządku, zdaje mi się.

Choć trochę dziwny, no wiesz, ale to tylko takie osobiste odczucie. Chyba każdy facet, który zarabia na życie w ten sposób co on, jest dla mnie dziwny.

Harry wyobraził sobie zimny, wyłożony białymi kafelkami pokój prosektorium z huczącym klimatyzatorem i poświsztującego przez zęby doktora Blake, pochylonego z lancetem wymierzonym w nagie ciało Suzie Walker.

Coś w tym obrazie było nie w porządku, mówił mu głos wewnętrzny. Pod wpływem nagłego impulsu zatelefonował do szpitala w Seattle, gdzie – jak powiedziała mu Mal – pracował Wil Ethan jako stażysta i poprosił o informacje o doktorze Williamie lub Billu Blake. Po godzinie nadeszła odpowiedź. Doktor William E.

Blake pracował tam wówczas jako stażysta.

– William Ethan Blake! – zawołał triumfująco do Rossettiego. – To jest nasz facet!

Doktor Blake zaparkował volvo na zwykłym miejscu. Wszedł do szpitala i wpadł prosto na umundurowanego policjanta..

– Och, przepraszam pana! – Mundurowy cofnął się z szacunkiem i Blake odzyskał oddech.

– Co się dzieje? – zapytał policjanta, spoglądając nerwowo ponad jego ramieniem.

Policjant wiedział, że doktor Blake jest lekarzem sądowym, widywał go przy kilku śledztwach, nie miał więc powodu, aby mu nie ufać.

– Szef postawił posterunki przy wszystkich wejściach, panie doktorze – odpowiedział. – Trzeba chronić jakąś młodą pacjentkę.

– Studentkę? – Blake znał odpowiedź, zanim tamten otworzył usta.

– Tak jest, panie doktorze!

– Zdaje się, że to na żądanie detektywa Jordana, prawda? – zapytał spokojnie. – Współpracowaliśmy przy wielu sprawach. Mam nadzieję, że ta nie skończy się dla niego jeszcze jedną tragedią.

– Miejmy nadzieję, panie doktorze...

– Jordana tu nie ma? – rzucił jeszcze jedno pytanie, już całkowicie rozluźniony.

– Nie, proszę pana! Jest w komisariacie. Ale czekamy na niego.

– Zastanawiam się, czy jest z nim panna Malone.

– Przyleciała z Nowego Jorku, proszę pana. Parę godzin temu. Spokojnie, jak tylko to możliwe, przeszedł przez hol, bardziej już podniecony przez drzwi przeciwpożarowe, i prawie biegiem przez cały parking.

Usiadł w samochodzie i pomyślał, co robić dalej. Wiedział, że gra dobiega końca.

Zastanowił się, ile ma czasu, zanim go dopadną. Nie dbał o to. Jedyne, na czym mu zależało, to ta jędza, która go zrujnowała.

48.

Doktor Blake jechał powoli, wypatrując policyjnych wozów, wzdłuż Charles Street. Po chwili skręcił w Pinkey, wjechał w strefę z zakazem parkowania i zatrzymał się na rogu Lousiberg Square. Za szybą auta postawił tabliczkę z napisem Lekarz, Nagłe wezwanie.

Mógł z tego miejsca obserwować dom. Świeciło się tylko w jednym oknie. W mieszkaniu na parterze, zajmowanym przez Harry'ego Jordana. Gliniarz powiedział mu przed chwilą, że Harry jest w drodze do szpitala. A więc tutaj musi być ona, zupełnie sama.

Zdjął elegancki tweedowy żakiet i rzucił go na sąsiednie siedzenie.

Wściekłość zakipiała w nim na myśl, co zrobiła Mary Mallory. Zdradziła go, zniszczyła jego mistrzowski plan, zrujnowała jego precyzyjnie skonstruowane życie. Zadrżały mu ręce i musiał wsunąć je do kieszeni. Jego palce napotkały nóż w plastikowej pochwie i zacisnęły się na rękojeści.

Obserwował dom przez kilka minut, póki nie upewnił się, że w cieniu nie kryje się żaden policjant. Nikt nie wszedł ani nie wyszedł z budynku. Nikt nie kręcił się w pobliżu. Tylko z wielkiego, łukowego okna z lewej strony domu światło padało na chodnik. Ostrożnie zamknął drzwi auta i przeszedł przez ulicę. Zasłony w oknie były zasunięte. Sączyl się przez nie dźwięk Sade śpiewającej Cool Operator. Pomyślał, że wybrała sobie całkiem właściwe tło muzyczne, i uśmiechnął się ponuro.

Wszedł po niewysokich stopniach i zadzwonił, spoglądając ostrożnie przez ramię do tyłu, na oświetloną lampami ulicę. W mieszkaniach zaszczekał pies.

– Cicho, Squeeze! – powiedziała Mal i schwyciła psa za obrozę. Spojrzała zaniepokojona na drzwi, zastanawiając się, kto to może być. Dzwonek zadzwieczał po raz drugi. Squeeze wyrywał się, wściekle szczekając. Drżącym głosem zawołała:

Kto tam?

– Policja, proszę pani. Oficer Ford. Profesorek dzwonił do szefa i poprosił go, żeby przysłać kogoś do pilnowania pani. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, panno Malone, to chciałbym wejść na parę minut, sprawdzić tylne wejście i upewnić się, że nic pani nie zagraża.

Mal odetchnęła z ulgą. Wszystko musiało być w porządku, ponieważ policjant Ford nazwał Harry'ego Profesorkiem. Tylko koledzy wołali tak na niego.

Zamknęła wrywającego się Squeeze'a w sypialni. Pies wył z wściekłości.

Przebiegła korytarzem do frontowych drzwi i otworzyła je.

Natychmiast wcisnął stopę w szparę między drzwiami. Napał nimi na jej piersi, pchnął ją do tyłu, wdarł się i zatrzasnął drzwi za sobą. Zacisnął ramię wokół jej szyi, przyciągnął plecami do siebie, przycisnął dłonią jej usta. W sypialni nieprzerwanie

szczekał pies.

Kobieta walczyła co sprawiło mu przyjemność: cieszył się jej bezsilnością. Była to ta część programu, którą zawsze lubił najbardziej.

– A więc otworzyłaś swój wielki pysk, Mary Mallone – wyszeptał jej do ucha. – A przecież cię ostrzegałam, co się stanie, jeśli puścisz parę z gęby. Wszystko szło znakomicie, ja zostawiłem cię w spokoju, ty zostawiłaś mnie. Dzisiaj zniszczyłaś tę równowagę i wszystko zrujnowałaś! – skomlał jak uczeń, któremu zabrano zabawki. – Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem! – zawodził wyciągając jednocześnie nóż z kieszeni. Na ułamek sekundy osłabił uścisk. Mał z całych sił uderzyła do tyłu łokciem. Poczwała, że trafiła w coś miękkiego.

Usłyszała, jak próbuje złapać w płuca powietrze. Uderzyła go tuż pod mostkiem, w splot słoneczny, wrażliwe skupisko nerwów. Doktor zgiął się w pół z bólu i puścił ją.

Mał, krzycząc, szamotała się z drzwiami, pies darł się wniebogłosy. Zbrodniarz wpadł w panikę. Ktoś na pewno to usłyszy, przybiegnie... Rzucił się na nią całym ciałem. Złapał za nogi w kostkach i przewrócił na podłogę. Wiła się, wrywała...

Próbował sięgnąć po jej długie włosy. Pomylił się, do diabła, zapomniał... Jego ręka ześlizgnęła się po jej krótko ostrzyżonej głowie. Ponowił wysiłek. Wpił się palcami w jej czuprynę, udało się, odchylił jej głowę do tyłu, wbił kolano w plecy.

– Bądź cicho! – warknął.

Miała nóż na gardle, lecz mimo to nie przestawała się drzeć. Spocił się z wysiłku. Była inna niż tamte. Była silniejsza, niż się spodziewał. Przeciągnął nożem wzdłuż jej obojczyka, przez jej miękkie ciało.

Mał poczuła spływającą krew i zimną stal przy gardle. Nagle zdało się jej, jakby jakaś siła rzuciła ją w dawno miniony czas, w tę nie kończącą się noc, na opuszczoną drogę, po której włóczyły się kłęby mgły z samego piekła rodem, pojawiały się i znikwały, oplatały bezlistne, pokręcone drzewa. Jeszcze raz ujrzała ohydny obraz tego mężczyzny, półnagiego po tym, jak ją zgwałcił.

Przypomniała sobie tamten dotyk zimnej stali i jego chłód, z jakim prowadził nóż po jej szyi, sprawdzając jego ostrość...

A teraz czuła przenikliwe spojrzenie tych palących oczu, żądających, aby patrzyła na niego, aby go widziała, zanim zdecyduje się ją zabić. Musiała na niego spojrzeć! Napotkała jego wzrok.

Już wiedział, że ma ją w swojej mocy. Znow nad nią panował.

– No więc, Mary Mallory – powiedział odprężony, znow z siebie zadowolony. – Widzę, że nauczyłaś się tego i owego od czasu naszej ostatniej randki – wydał z siebie zasapany charkot, mający być śmiechem.

– Było z ciebie takie żalosne nic! Zaskakujące, że ty naprawdę myślałaś, że taki

mężczyzna, jak ja może się tobą zainteresować – zaśmiał się znowu.

– Tania kobieca próżność, moja Mary Mallory, przywiodła cię do upadku, nie ja!

Mał wpatrywała się w oczy, które prześladowały ją w nocnych koszmarach przez prawie dwadzieścia lat. Wświdrowywały się w jej źrenice, podobnie jak te słowa, przenikające w głąb mózgu, słowa o nędznej imitacji kobiety, jaką była, gdy ją spotkał, o tym, jak z góry się domyślił, że będzie łatwa, jak nią pogardzał.

Nienawiść rosła w niej jak gigantyczny kwiat. Czowała ostrze noża na szyi, ale nie czuła już strachu. Stała się niewrażliwa na jego złośliwości, uodporniona na tkwiące w nim zło.

Zamknęła oczy i modliła się o siłę, zmuszała się do przypomnienia sobie całego ogromu krzywd, jakie wyrządził jej ten człowiek, jak niemal zrujnował jej życie, ile męczarni jej zadał. Pomyślała o Racheli i o Mary Ann, o Summer Young i o Suzie. Na końcu o swojej nieznannej córce, która mogła stać się jego następną ofiarą. Zrozumiała, że musi go zabić.

Rozpierało go zadowolenie z samego siebie. Opowiadał jej, co z nią zrobi.

Zazwyczaj jego dziewczyny nie miały okazji go słuchać, na tym bowiem etapie były już nieprzytomne, z Mary Mallory było jednak inaczej. Chciał, żeby z najdrobniejszymi szczegółami usłyszała o tym, co ją czeka, o bólu, jaki jej zada, o piekle, jakie na nią czeka.

– Nie zapominaj, że jestem anatomopatologiem – szepnął. – Masz do czynienia z ekspertem. Z jedynym wyjątkiem: zazwyczaj rozkrawam ludzi po ich śmierci – zaśmiał się ze swego dowcipu. Opowiadał jej obrazowo, dokładnie, jaką jej część planuje wyciąć, jaką przekroi, jaką rozetnie...

Mał stała się głucha na jego słowa. Cała jej uwaga koncentrowała się tylko na zbieraniu siły, na przypomnieniu sobie chwytów, jakich nauczyła się na kursie samoobrony. Skądś, jakby z innego wymiaru, dochodziło ją szczekanie psa i odgłos pazurów drapiących drzwi od sypialni, to jednak nie była pora na rozpamiętywanie błędu, jaki popełniła, zamykając go tam. Śmierć zagląda jej w oczy! Och, Harry...! Harry, co bym dała za to, żeby jeszcze raz cię zobaczyć!

Blake spojrział na chwilę w stronę sypialni. Pies stawał się problemem. Sąsiedzi z pewnością go usłyszą i przylecą z interwencją albo zatelefonują na policję.

Musi zabrać stąd tę jędzę.

– Wstawaj, dziwko! – szarpnął ją za ramię.

To była jej jedyna szansa... Wywinęła się i wbiła mu rozczapierzone palce w oczy. Krzyknął z bólu i puścił ją. Kopnęła go, ale on schwycił jej stopę i przewrócił na podłogę. Wrzeszczała, drapała, waliła łokciami, kolanami, pięściami. Stary dywan perski podwinął mu się pod nogi i przewrócił go na podłogę. Na oślepieciał nożem, lecz tylko drasnął jej policzek. Mał nawet nie poczuła tego. Była jednym szalejącym

płomieniem nienawiści.

Nie walczyła już o życie. Walczyła teraz, aby go zabić.

Squeeze kolejny raz skoczył łapami na klamkę i zahaczył ją pazurem. Drzwi się w końcu otworzyły. Wskoczył na korytarz z głuchym charkotem wydobywającym się z piersi, z obnażonymi z wściekłości kłami.

Za późno! Blake zauważył go zbyt późno, gdy zwierzę w ostatnim skoku już nad nim wisiało. Potoczył się po podłodze od uderzenia, poczuł, jak kły zwierzęcia zagłębiają się w jego ramię.

Mał zerwała się na nogi. W ułamku sekundy przypomniała sobie, jak Harry przyrównywał swego psa do Houdiniego, zapewniał, że potrafi się wyrwać z każdego pomieszczenia, nie wyłączając sypialni. Lecz ona jeszcze nie skończyła... Musi go zabić... Zabić! Pobiegła do kuchni po nóż.

Pies zatopił kły w gardle mężczyzny. Blake krzyknął. Jego palce macały po dywanie, szukały, aż znalazły upuszczony nóż. Powiedział sobie, że jest mądrzejszy od psa, że jest mądrzejszy od nich wszystkich razem wziętych. I wbił nóż w pierś zwierzęcia.

Mał wróciła z rzeźnickim nożem Harry'ego. Usłyszała jęk Squeeze'a. Zobaczyła, jak odsuwa się od mordercy i chwieje. Nogi zaczęły mu się trząść, głowa opadała coraz niżej, w końcu, charcząc, osunął się na podłogę.

– Boże! – krzyknęła zrozpaczona. Dreszcze wstrząsały ciałem psa, krew plamiła jego białą, kudłatą sierść. Blake dźwignął się na nogi. Zalany był krwią. Mał dostrzegła jego szyję rozoraną z boku zębami zwierzęcia.

Przez nie kończącą się chwilę wpatrywali się w siebie.

Podniesiona do ciosu ręka kobiety trzymała nóż. Mogła teraz zabić. Mężczyzna był zdany na jej łaskę. Odwrócił się i, powłócząc nogami, dotarł do drzwi. Jeszcze raz spojrzął na nią oczami pełnymi nienawiści. Potem zniknął.

Nóż wysunął się z rąk kobiety i z brzękiem spadł na podłogę. Mał jęknęła i ścisnęła głowę dłońmi. Nie mogła tego zrobić, po prostu nie była w stanie tego zrobić. Gdyby zabiła, uległaby temu samemu złu, które zawładnęło nim. Podbiegła do drzwi, zatrasnęła je, zamknęła na klucz.

Łzy popłynęły jej z oczu, gdy spojrzała na Squeeze'a. Krew sączyła się z niego na piękny dywan. Ukłękła przy nim, dotknęła jego miękkiej sierści. Spojrzały na nią łagodne, jasnoniebieskie oczy. Pies dyszał krótkimi, płytkimi oddechami.

Podbiegła do telefonu, wybrała numer pogotowia policyjnego i zażądała natychmiastowej pomocy weterynarza. Powiedziała też, że był u niej doktor Blake i próbował ją zabić, lecz zamiast niej, prawie zabił psa. I że powinni poinformować detektywa Jordana, że zbrodniarz nadal grasuje.

Doktor Blake wiedział, że nie zostało mu wiele czasu na wykonanie tego, co musi

zrobić, lecz przecież obiecał to matce, a dotychczas zawsze dotrzymywał danych jej obietnic.

Dotarł do samochodu, owinał krwawiącą ranę kosztownym jedwabnym szalikiem, założył marynarkę i przyczesał włosy. Żadnych nerwów! Musi wyglądać normalnie, jak spokojny, zwyczajny obywatel w drodze do domu. Policja ma już na pewno numer rejestracyjny jego samochodu, ale będzie go szukać w jego pied-aterre w Cambridge. To jedyny jego adres, jaki znajdą w swoich papierach. Choć tamtejsza dozorczyńni może podać adres jego domu. Musi dojechać tam pierwszy.

Ruch na ulicach był niewielki, światła na skrzyżowaniach mu sprzyjały, samochodów policyjnych ani śladu. Wyglądało tak, jakby matka mu pomagała, pomyślał i uśmiechnął się. Krew przeciekała przez sweter, więc szczelniej otulił się kurtką. Próbował nie myśleć o bólu, lecz koncentrować się na prowadzeniu auta.

Wydawało mu się, że już w następnej sekundzie skręcał w wypieszoną ulicę swego przedmieścia. Nie czekały na niego żadne samochody policyjne z migającymi światłami. Znow poczuł się niezwykczony. Wjechał do garażu. Był w domu. W końcu pokonał ich wszystkich.

Zamknął dokładnie garaż i wszedł do domu. Dotarł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął z niej butelkę wódki. Nalał do szklanki, dodał lodu i długo pił. Czuł się jak w letargu, osłabiony, wstrząsany zimnymi dreszczami. Stracił wiele krwi. Był lekarzem i zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje, wiedział, że musi się śpieszyć. Wypił resztę wódki, a potem powoli, noga za nogą, stopień po stopniu powłókł się schodami na pierwsze piętro.

Przed drzwiami do specjalnego pokoju opadł na kolana. Ciężko dyszał. Z rany w szyi płynęła krew niczym nie pohamowanym strumieniem, plamiła wykładzinę.

Przestało go to obchodzić. Poszperał w kieszeni w poszukiwaniu klucza, potem zmarnował wiele czasu i sił, zanim umieścił go w zamku. Przekręcenie klucza wyczerpało go ostatecznie.

Pokój pograżony był w ciemnościach, tylko w wielkim akwarium, biegnącym wzdłuż jednej ze ścian, paliło się zielonkawe światelko. Na czworaka, na łokciach i kolanach, poprzez nieznośny ból doczołgał się do błyszczącego, szmaragdowego zbiornika. Woda szemrała łagodnie, kojąco, światelko przekształcało akwarium w jakiś dziwny, podwodny świat.

Wreszcie tu dotarł. Mimo tylu przeszkód! Dźwignął się na kolana, uniósł ręce w błagalnym geście.

– Wróciłem do domu, mamó! – powiedział. – Wróciłem do domu, jak ci obiecałem.

Kobieta, obracająca się powoli w przezroczystej szmaragdowej cieczy, nie mogła odpowiedzieć, ponieważ miała ciasno zaszyte usta. Nie mogła też go widzieć, bo

zaszyte były również jej powieki. Nie mogła go już nakarmić, bowiem jej sutki zostały odcięte. I była martwa od wielu lat.

Jej obfite ciało było w takim doskonałym stanie, jak tamtego dnia, kiedy je zabalsamował, a jej zaszyte usta zdawały się uśmiechać, jak nie uśmiechała się nigdy za życia.

Zawsze był pewien, że któregoś dnia potrafi przerwać jej szatańskie gadanie, raz na zawsze. Był to jeden z powodów, dla których postanowił zostać lekarzem. Lekarze mogą robić to, co innym ludziom nie uchodzi bezkarnie. Mają dostęp do trucizn, mogą rozstrzygać o przyczynach śmierci, podpisywać świadectwa zgonu, nie spowiadając się przed nikim. Kiedy usłyszał o patologii, poczuł się jakby ktoś obdarował go wymarzoną prezentem. Jako anatomopatolog będzie dokładnie wiedział, co zrobić z martwym ciałem.

Zabił ją w słoneczne, letnie popołudnie nad brzegiem małego, posepnego jeziora w stanie Waszyngton. Nie czuła się dobrze, więc zaproponował jej przejażdżkę na świeże powietrze. Nie czuła się dobrze, ponieważ od pewnego czasu karmił ją maleńkimi dawkami arszeniku, dodawanymi do soku pomarańczowego, na tyle małymi, że nie mogły jej zabić, na tyle silnymi, że zmuszały ją do uskarżania się na zdrowie przed sąsiadami.

Siedzieli na wysokim brzegu nad jeziorem. Słuchał jej odwiecznych pretensji pod swoim adresem.

– Bóg jeden wie, co z ciebie za doktor! – zrzędziła poirytowana. – Nie potrafisz wyleczyć nawet własnej matki! Jako dziecko byłeś do niczego, a teraz jesteś jeszcze gorszy. Nie jesteś nawet mężczyzną!

Nie musiał się długo namyślać. Odwrócił się, spojrzął na nią wzrokiem tak lodowatym, jak jego serce, i kantem dłoni uderzył ją w szyję. Jej wpatrzone w niego oczy rozszerzyły się, napełniły zdziwieniem i zatoneły w nieświadomości.

Wyciągnął ją z samochodu, rozerwał suknię i z głową nisko pochyloną, jak atakujący bokser, zaczął pięściami okładać jej ciało, cios za ciosem, wściekle, z całej siły. Usiadł na chwilę, żeby złapać oddech, potem padł na nią, gryzł ją i drapał. A potem ją gwałcił, rznął ją raz za razem, lecz nic się nie zdarzyło.

Miała rację. Był kompletnym zerem.

Wściekły i śmiertelnie upokorzony wziął skalpel i przeciął jej żyły w nadgarstku. Trysnęła z nich jasnoczerwona krew, i wtedy poczuł narastające w nim podniecenie. Złapał jej dragi nadgarstek i powiodł po nim nożem. Gdy konała, jego sperma mieszała się z jej krwią.

Trząsł się z rozkoszy, z całkowitego wyczerpania tym, co się zdarzyło. Teraz on posiadał władzę. Odtąd każdego wieczora dziękował jej z całego serca za ukazanie mu drogi.

Włożył jej ciało w specjalny worek, który zabrał z prosektorium, podciągnął zamek błyskawiczny i włożył do bagażnika jej własnego białego lincolna continentala. Włączył radio i przez całą drogę, szczęśliwy, nucił melodię nadawanego właśnie Koncertu Skrzypcowego Brahmsa.

Gdy już bezpieczny, znalazł się w garażu, gdy usłyszał metaliczne kliknięcie zamkniętych drzwi, podniósł klapę bagażnika, wyjął ciało i zaniósł je do kuchni.

Nie było żadnej krwi, żadnego paskudztwa, wszystko pozostało w worku. W garażu miał całe niezbędne wyposażenie: instrumenty chirurgiczne, płyny balsamujące, pojemniki. Przykrył podłogę plastikiem, nałożył gumowe rękawice i przystąpił do pracy.

Parę dni później poinformował tych niewielu przyjaciół, których miała, że umarła we śnie na wylew. Powiedział też, że zawsze pragnęła być kremowana i że nie będzie żadnej ceremonii żałobnej. Ci, którzy chcieliby w jakiś sposób złożyć hołd jej pamięci, mogą posłać czek na dowolnie wybraną fundację dobroczynną, wspomagającą dotkniętych zawałami i wylewami.

Po kilku tygodniach podzielił się z nimi wiadomością, że zaoferowano mu pracę w innym stanie, że wystawia dom na sprzedaż i że chciałby się z nimi pożegnać.

Potem wpakował jej zabalsamowane ciało wraz z resztą swoich rzeczy do bagażnika samochodu i odjechał do Chicago.

Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży jej domu kupił ładną posiadłość w Bllomington Hills. Po wprowadzeniu się oddał jej jeden z pokoi na własność, jak przedtem, i zbudował w nim akwarium, aby móc ją oglądać, gdy odczuje taką potrzebę.

Ogromną przyjemność sprawiło mu przyglądanie się, jak łagodnie obraca się w płynie konserwującym, uśmiecha się bezgłośnie do niego, gdy on opowiada jej o „swoich dziewczynach”.

Potem przeprowadził się do San Francisco, następnie do Los Angeles, do innych wielkich miast z uniwersytetami, gdzie było mnóstwo dziewcząt. W końcu trafił do Bostonu.

Ukląkł przed nią z pokornie złożonymi rękami. Krew nieprzerwanie sączyła się z rany na szyi i wsiąkała w elegancki sweter.

– Już skończyłem, mamó! – powiedział.

Położył się przy akwarium. Wyjął z kieszeni skrwawiony nóż i długo, starannie go wycierał. Podniósł do twarzy dłoń i przez chwilę im się przyglądał. Potem precyzyjnie, ciągle był przecież doskonałym anatomopatologiem, przeciągnął skalpelem po jednym nadgarstku, następnie po drugim. Podniósł skrwawione ręce do góry i pokazał jej.

– Zrobiłem to, mamó! – zajęczał. – Zrobiłem to...

Nogi ugięły mu się w kolanach i przewrócił się na podłogę. Leżał na plecach i patrzył, jak wycieka z niego własna krew, własne życie, zupełnie jak to życie, które tyle razy zabierał innym. Powoli, z najwyższym trudem zwrócił twarz ku matce. Chciał ją jeszcze raz zobaczyć. Nienawiść zabulgotała w nim jak krew.

– Suka! – powiedział.

Harry żałował, że nie jedzie jaguarem. Syrena forda wyła, auto rozpruwało tłok panujący na jezdniach, mknęło jak pocisk przez skrzyżowania, nie zwracając uwagi na czerwone światła, ciągle jednak zbyt wolno, zbyt wolno! Próbował odsunąć myśli o Mal na dno świadomości i skoncentrować całą energię na Blake'u.

Z Mal wszystko było dobrze. Zmuszał się, by nie myśleć, co zrobiłby z doktorem, gdyby ten ją zabił, ale wiedział, że złamałby niejedno prawo.

Opony forda zajęczały, gdy ostro skręcił w ładną, podmiejską ulicę. Za nim hałaśliwie prały wozy ekipy. Światła w oknach sypialni zapalały się, gdy zaskoczeni mieszkańcy wyskakiwali z łóżek, żeby zobaczyć, co się u nich dzieje.

Lecz dom doktora Billa Blake'a był ciemny i głuchy.

– To tutaj, Rossetti! – Harry pchnął drzwi auta i sięgnął pod pachę po rewolwer. Broń pasowała do dłoni jak rękawiczka, gładka lecz śmiercionośna.

Chowając się w mroku, z Rossettikiem tuż za plecami, zbliżył się do budynku.

Policjanci z drużyny specjalnej wysypali się z wozów i rozsypali w tyralierę, przyklęknięli, przyłożyli kolby karabinów do ramion, mierząc w okna i drzwi domu.

Zapaliły się reflektory, zalewając światłem piękną, starannie utrzymaną posiadłość Blake'a policjantów powstrzymujących rosnący tłumek sąsiadów.

Szczelniej owijając się szlafrokami, gapili się w zdziwieniu na dramat, jaki rozgrywał się na ich spokojnej, szacownej ulicy.

Barierki szybko zostały rozstawione wokół domu Blake'a, samochody patrolowe szykowały się do natychmiastowego pościgu. Harry nie wiedział, czy Blake jest w domu, nie mógł jednak ryzykować. Podniósł mikrofon do ust i powiedział:

– Doktorze Blake, jest pan otoczony. Niech pan otworzy frontowe drzwi i wyjdzie z podniesionymi rękami. Proszę posłuchać dla własnego dobra.

Panujące w domu milczenie stało się wprost dotykalne. Można było usłyszeć buczenie samolotu gdzieś wysoko w górze. Na czystym niebie błyszczały gwiazdy.

– Blake! To twoja ostatnia szansa! – powiedział Harry do mikrofonu. Snajperzy zajęli pozycje bliżej domu. Niektórzy celowali z dachu sąsiedniego budynku, kilku przeskoczyło płot z tyłu posiadłości doktora.

Milczenie kłuło w uszy. Harry spojrzał na Rossettiego. Partner wzruszył ramionami.

– Stawiam stówkę, że facet jest w środku.

– Bierzemy go – powiedział Rossetti.

Harry dał sygnał. Huknęły strzały, rozbijając okna na piętrze. Lecz ciągle nie było żadnej reakcji. Harry przestrzelił zamek u drzwi wejściowych, ten jednak nie puszczał.

– Zamki jak w fortecy! – mruknął Rossetti. Nie mógł się z nimi uporać. Kryjąc się pod ścianami, obiegli budynek dookoła. Rossetti wybił szybę i przytulił się do ściany. W domu panowała nadal tak idealna cisza, że Harry słyszał pulsowanie krwi w skroniach. Szybko wybił resztki szkła. Przeskoczyli parapet i znaleźli się w środku.

Światło latarki obudziło jakby surrealistyczną poświatę w kuchni. Drzwi lodówki były otwarte, na kuchennym blacie stała prawie pusta butelka wódki. Nawet z daleka Harry dostrzegł krwawe maźnięcia na białej glazurze. Spojrzał w dół, na ścieżkę krwi prowadzącą przez otwarte drzwi do holu. Skinieniem głowy dał znak Rossettiemu.

Snajperzy z drużyny specjalnej bezszelestnie weszli za nimi, rozplaszczyli się przy ścianach. Trzech z nich przykłęło z bronią wycelowaną w ciemność zgęstniałą u szczytu schodów.

Usta Harry'ego wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie, gdy przypomniał sobie ostatnie słowa Summer Young. Poczul mdłości, kiedy z dna pamięci wypłynął obraz Suzie Walker takiej, jak ją znaleźli, a potem doktora Blake'a, krojącego ją znów na stole w prosektorium, ze skalpelem uniesionym nad jej ciałem, nucącego wesołą melodyjkę. Pomyślał o tych okropnościach, jakich doznała Mal, i o tym, że dziewczyna nigdy się od nich nie uwolniła. Cholernie chciał dostać Blake'a w swoje łapy. Zadrżał na samą myśl o tym.

Pobiegł schodami, przeskakując po kilka stopni na raz. Rossetti ruszył za nim.

Na szczycie zatrzymali się, rozejrzeli. Hol na górze był pusty, wszystkie drzwi były zamknięte, wszystko pogrążone było w ciemnościach. Rossetti trącił Harry'ego i pokazał mu bladą, zielonkawą poświatę w szparze pod jednymi drzwiami.

Harry coś usłyszał. Pochylił się do przodu i do jego uszu dotarł wąty, bulgocący dźwięk. Coś, jakby basen, pomyślał ze zdziwieniem.

Dali znak snajperom, którzy natychmiast znaleźli się na piętrze. Harry z całych sił pchnął drzwi. Z gotową do strzału bronią wtargnęli do pokoju.

Detektyw rozłożonymi ramionami powstrzymał policjantów. Spoglądał na Blake'a, leżącego na plecach z wytrzeszczonymi oczami, w kałuży własnej krwi. Nie potrzeba było żadnego specjalisty, żeby stwierdzić, że zbrodniarz nie żyje.

– Co, do cholery... – krzyknął zaskoczony Rossetti, przyglądając się zza pleców Harry'ego niezwykłemu widokowi.

Harry oderwał wzrok od ciała na podłodze. Zobaczył zmalretowane ciało kobiety, które wolno, bardzo wolno krążyło w akwarium. Zrozumiał, że patrzy na chorobę, która toczyła duszę Williama Ethana Blake'a.

– Chryste! – zawołał wstrząśnięty Rossetti. – Czy my się nie znaleźliśmy

przypadkiem w środku jakiegoś pieprzonego filmu grozy?!

Policjanci stłoczyli się przy drzwiach, patrząc z niedowierzaniem na tłuste ciało pływające w zbiorniku.

– Okay, chłopcy! – odezwał się Harry. – Na dziś koniec przedstawienia!

Nagle wygasły w nim wszelkie emocje. Nie był w stanie zrozumieć, jak człowiek potrafi zrobić coś takiego, jak może z tym żyć przez tyle lat, w izolacji, w służbie zła.

– Wpuśćcie doktora – rozkazał, gdy zobaczył lekarza, torującego sobie drogę przez tłum policjantów. – Robota jak zwykle... – ponuro rzucił Rossettiemu.

Kolejny raz zaczynały się znajome, rutynowe czynności: fotograf policyjny, lekarz, chłopcy z laboratorium kryminalnego. Zwyczajne życie policjanta...

– Chyba będziecie musieli mi wybaczyć... – odezwał się do Rossettiego, już bardzo formalnie. – Muszę pojechać do Mal. Gdyby szef się dopytywał, powiedzcie, że wzięłem wolny dzień na załatwienie spraw osobistych. – Było mu w tej chwili wszystko jedno, co sobie szef pomyśli. Przekonawszy się, do czego zdolny był Blake, musiał na własne oczy upewnić się, że Mal nic się nie stało.

Rossetti pomyślał, że Harry wygląda na faceta kompletnie wykończonego.

– Summer Young miała rację – zawołał w ślad za odchodzącym detektywem. – Ten był największym skurwysynem z nich wszystkich. Ale może dziewczyna spoczywać teraz w pokoju, Profesorku. A także Suzie i wszystkie inne.

Przeżegnał się, wymawiając ich imiona, i pomodlił się, aby to była prawda.

49.

Mal siedziała na sofie pokrytej żółtym brokatem bibliotece Miffie. Ze ścian spoglądały na nią rodzinne portrety Peascottów. Pekinczyki o czarnych nosach tuliły się do niej, jak dwie ciepłe pufy. W fotelu naprzeciw niecierpliwie wierciła się, z trudem ukrywając ciekawość, pani domu, ubrana w złoty, jedwabny szlafrok chiński. Nalała gościowi kawy i podsunęła starannie przyrządzone maleńkie kanapeczki.

– Ogóreczek na białym, wędzonym łososiu – wyjaśniła i podsunęła jej talerz.

Mal wzięła z wdzięcznością kanapkę i uśmiechnęła się.

– Nie zechciałabyś się położyć? – zapytała z niepokojem Miffie. – Po tym wszystkim, co przeszłaś...

Nie dokończyła zdania. Wprost bała się nazwać przeżycia, które stały się udziałem Mal. To było zbyt straszne, zbyt przerażające... Dotknęło kogoś, kto stał zbyt blisko niej, aby mogła przyjmować to ze spokojem.

– Zaczekam na Harry'ego. Muszę mu powiedzieć o psie. Miffie pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Dobrze chociaż, że wiemy, że złapano tego straszego człowieka – powiedziała.

– Nie może już nikogo skrzywdzić.

Mal spróbowała kanapkę. Była świeża, zwyczajna i bardzo smaczna. Niespodziewanie poczuła głód i ugryzła jeszcze jeden kęs. Uśmiechnęła się.

– Mogłabym zjeść cały talerz.

Zjadła połowę kanapek, zanim pojawił się Harry. Wpadł do pokoju, zatrzymał się i utkwiał w niej wzrok. Jego oczy mówiły wszystko o tym, co do niej czuje. O trosce, strachu, uldze. O miłości.

Miała na sobie jedną z białych, bawełnianych koszul nocnych jego matki i żółty szlafrok. Opatrunek z gazy okrywał cięcie, biegnące od lewego oka do podbródka.

Harry podszedł do niej, położył dłoń na jej ramieniu.

– Jak się czujesz? – zapytał cichym głosem.

Zwróciła ku niemu twarz. Włosy miał w nieładzie, jakby milion razy przeczesywał je palcami. To, co wyczytała z jego oczu, sprawiło jej przyjemność.

– Teraz już dobrze – odpowiedziała.

– Już po wszystkim, Mal... Szatan z nim tańczy. Zabił się tak samo, jak zabijał innych. Właściwie nie mógłby zrobić nic lepszego.

– Sukinsyn... – westchnęła ciężko.

– Dowiedziałem się, jak zdobył numery telefonów. Przyszedł na komisariat i przyniósł raport. Rossetti przypomniał sobie, że na dziesięć minut zostawił faceta

samego w biurze, a kiedy wrócił, ten bawił się komputerem. Wyłgał się, tłumacząc, jak bardzo go to fascynuje, a Rossetti nie przywiązywał do tego większej wagi.

W milczeniu skinęła głową. Jasne, był cholernie mądry, tak mądry, że prawie przechytrzył ich wszystkich. Przez chwilę walczyła ze sobą, w końcu jednak przemogła się. Musiała zapytać:

– A co z moją... dziewczyną?

– Wszystko w porządku! Nie ma o niczym pojęcia. Nie wie nawet, że ma z tą sprawą cokolwiek wspólnego – domyślił się, o co jej chodzi i dodał:

– Nigdy się o nim nie dowie, Mal. Nikt o tym nie wie.

Mal zrozumiała, że dziewczyna nie jest już jej córką. Należy do tamtych ludzi, którzy przyjęli ją do siebie, do swoich serc, zapewnili jej dach nad głową, poprowadzili ją przez życie, pokochali. Dziewczyna nigdy się nie dowie o doktorze Williamie Blake'u, nigdy nie będzie musiała dźwigać przerażającego ciężaru tej wiedzy. Jest inteligentna, młoda, ładna. Jest szczęśliwa. I niech tak zostanie na zawsze.

– Jest wolna. Nareszcie! – powiedziała z westchnieniem.

– Jak i ty! – powiedział Harry. Podniósł jej dłoń do ust. Uśmiechnęła się do niego.

– Niewiele brakowało, abym wszystko zmarnował – mruknął Harry.

– Myślałem, że gdzie, jak gdzie, ale w moim mieszkaniu będziesz na pewno bezpieczna. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że Blake wie, gdzie mieszkam. A powinienem się domyślić, gdy zobaczyłem volvo, które wpadło mi w oczy, jak parkowało na Placu...

– Jestem tak wdzięczna Squeeze'owi! Wyrwał się z sypialni i uratował mnie.

Blake pchnął go nożem. Ostrze przeszło tuż koło serca. Pies stracił wiele krwi, ale operacja się udała. Wróci do zdrowia.

Harry ciężko usiadł obok niej. Obiema dłońmi ścisnął skronie.

– Boże! – westchnął. Tak niewiele brakowało, abym tej jednej nocy stracił dosłownie cały swój świat.

Mal opłótła palcami jego dłoń. Spojrzeli na siebie, jakby nie mogli uwierzyć, że jest już po wszystkim.

Miffie zachwyciła się ich widokiem. Stanowili taką wspaniałą parę! Miała ogromną nadzieję, że chłopak nie pozwoli, aby ta szansa wymknęła mu się z rąk.

– Może jeszcze kanapkę... – podsunęła im talerz.

50.

Było to parę tygodni po tamtej nocy. Lekki letni deszcz chłodził twarz Harry'ego, gdy zbliżał się do restauracji Ruby'ego. Squeeze włókł się za nim na smyczy, od czasu do czasu zatrzymując się w celu spełnienia podstawowego psiego obowiązku. Weterynarz podczas operacji zgolił sierść na jego klatce piersiowej.

Czerwieniła teraz na niej wielka blizna.

– Nie śpiesz się, staruszkule! – mruknął do niego Harry. Wiedział, że Squeeze zapracował sobie na każdą rozrywkę, jaką mogłoby sobie wymarzyć jego psie serce.

Musieli stanowić wyjątkowo dobraną parę: mężczyzna z pokiereszowaną głową, pies z blizną na piersi. – Niech tylko ktoś stanie nam na drodze...! Co staruszkule?!

Dzwonek nad drzwiami restauracji zadźwięczał donośnie. Harry otrząsnął deszcz ze skórzanej kurtki i rozejrzał się. W knajpie wszystko było po staremu. Zaparowane okna, odcinające wnętrze od wilgotnego, ciemnego dnia... Błękitne kłęby dymu, pętające się pod pożółkłym od nikotynowych oparów sufitem... Zapach dziesięcioleci smażonych steków, pieczonych na rożnie kurczaków, beczkowanego piwa, wielu gatunków kawy, nie najwyższej jakości papierosów...

Jak zwykle, lokal był pełen. Ani jednego wolnego stolika! Pochwycił spojrzenie Doris, krzątającej się za kontuarem, zajętej przygotowywaniem wielkich kawałków czekoladowego tortu z lodami waniliowymi.

– Za sekundę się tobą zajmę – powiedziała bezgłośnym szeptem. Obsłużyła klientów i podeszła do niego, wycierając ręce w fartuch.

– Czego...? – zagadnęła.

– Jak to „czego”? Czego chcesz?

– Wolnego stolika, do diabła!

– Zawsze musisz przychodzić w najgorszym czasie? – burknęła. A potem, kończąc słowną utarczkę, którą zawsze zaczynali rozmowę, dorzuciła:

– Gdyby twój dzielny pies nie potrzebował porządnego zarcia i wypoczynku, kazałabym ci czekać w kolejce – pogładziła po łbie psa, który zamachał ogonem i spojrzał na nią z oczekiwaniem. Kobieta westchnęła. – Psisko lubi, żeby mu dogadzać. Jak jego pan.

– Będzie ze mną Mal Malone – rzucił Harry. – Za piętnaście minut.

– Czemu od razu nie mówisz?! – Obrzuciła wzrokiem stoły i pomaszerowała do małej niszy w kącie lokalu, mierząc wzrokiem klientów, pochylonych nad pustymi filiżankami.

– No, co?! Skończyliście? – zaatakowała ich, ujmując się pod boki.

– Nie dociera do was, że goście czekają?!

Harry uśmiechnął się nieznacznie. Restauracja była zawsze taka sama. Doris,

dzięki Bogu, też. Dała tamtym pięć minut. Po następnych paru minutach posadziła Harry'ego przy stole. Jeszcze przetrzała blat wilgotną ściereczką i udekorowała go dwiema podkładkami w czerwoną kratę i metalowym pojemnikiem z białymi i czerwonymi serwetkami. Błyskawicznie rozłożyła nakrycia i zniknęła na dłuższą chwilę. Gdy wróciła, w ręce miała wazon z jedną stokrotką.

– Nic nie mogłam znaleźć. I tak powinieneś być zadowolony – mruknęła i z hałasem postawiła wazon na stole.

– Dzięki, Doris! Jesteś świetna! – powiedział Harry i nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Squeeze zaskomlał i jeszcze raz utkwiał w niej błagalne spojrzenie.

– Myślisz, że o tobie zapomniałam? – poszła za kontuar i po chwili wróciła do psa z miską pełną mięsa. – Dla ciebie, dzielny piesku, mam tylko to, co najlepsze. Jest najsłynniejszym psem w Bostonie – oznajmiła Harry'emu z dumą.

– Wiem o tym – uśmiechnął się detektyw. – A ja jestem najsłynniejszym gliną.

– I do tego największym zarozumialcem! – parsknęła. – Mam podać piwo, czy zainwestujesz w butelkę szampana dla panny Malone?

– Wystarczy piwo.

Cały czas zerkał ku drzwiom. Przypominał sobie ostatni raz, kiedy tak czekał na Mal. W tej samej niszy, w taki sam deszczowy dzień, zaledwie kilka tygodni temu.

Tylko cud mógł aż tak zmienić życie faceta dzięki przypadkowemu spotkaniu.

Przeczesał palcami zmierzwione włosy. Może powinien lepiej się ubrać z okazji tego spotkania, założyć marynarkę i koszulę... Bez krawata, żeby było jasne, że są granice największych wyrzeczeń!

Zadzwieczał dzwonek i w drzwiach stanęła ona. Przez chwilę rozglądała się po knajpie, lekko uniółszy brwi, jakby zastanawiając się, czego szuka w tej dziurze. Uśmiechnął się i ruszył ku niej. Malone nie zmieniła się.

– Cześć! – powitał ją i wyciągnął rękę.

– I tobie cześć! – uściśli sobie dłonie.

Nie mógł od niej oderwać wzroku. Miała na sobie niebieską roboczą koszulę, dzinsy i czarną, skórzaną kurtkę.

– Dziesiątka! – powiedział z uznaniem.

– Jeśli nie można kogoś zwyciężyć, trzeba z nim zawrzeć sojusz.

Ich oczy spotkały się. Zadymiona, ciasna knajpka wraz ze swymi klientami odsunęła się w cień, w niebyt.

– Nic ci już nie jest? – odezwał się po chwili. Dziewczyna potrząsnęła głową.

Krople deszczu, błyszcząc w świetle jak aureola cekinów, rozprysnęły się wokół jej chryzantemowozłotych włosów.

– Tędy, proszę pani! – wziął ją za rękę i poprowadził między stolikami do niszy.

– Nasz stolik! – przypomniała sobie.

– Doris podarowała ci stokrotkę – pokazał jej kwiat.

– Doris jest świetna – uśmiechnęła się.

– Sól naszej ziemi! – zgodził się z nią.

– Zawsze czułam, że przepadasz za kelnerkami – powiedziała i przypomniała sobie Jilly.

– I za telewizyjnymi reporterkami – dorzucił. Patrzył, jak drobnymi kroczkami, przeciska się do niszy. Przypomniał sobie, jak wyglądała w tamtej mgiełce sukienki, jaką miała na przyjęciu wydanym przez jego matkę.

Squeeze wylazł spod stołu, siadł na tylnych łapach i utkwiał w Mal pełen oddania wzrok.

– Cześć, Squeeze! – powiedziała i ujęła w dłonie jego łapę. – Jak się ma mój obrońca?

– Kochaj mnie, jak kochasz mego psa – zanucił Harry.

– Chciałbyś! – Uśmiechnęła się uwodzicielsko. Harry ciężko westchnął.

– Wiesz co, Malone? Ty się nigdy nie zmienisz.

Doris przepchnęła się do nich. Wytarła rękę w fartuch i podała ją dziennikarce.

– Cześć, Mal! Jak ci idzie?! – zawołała, promieniejąc z radości. – Czy ten sknera stawia ci dzisiaj szampana, czy jak zwykle...?

– Czy ja wiem? Pewnie jak zwykle... Jak ci się wiedzie, Doris?

– Nie mogę narzekać – Doris poprawiła włosy i spojrzała na nią gorejącym wzrokiem. – Muszę ci powiedzieć, że jesteś diabło odważną kobietą. Żeby się na to zdobyć...! Stanąc przed publicznością i powiedzieć to wszystko...! Tobie mamy do zawdzięczenia, że ten bostoński morderca został złapany. Jak ci mówiłam, my, baby, musimy sobie pomagać.

– Dziękuję ci, Doris! – Mal zarumieniła się, słysząc ten hymn pochwalny. Harry patrzył na nią zaskoczony, że ciągle była taka skromna. – Po prostu musiałam to zrobić – dokończyła.

Doris z uznaniem poklepała ją po ramieniu. Odchodząc zawołała przez ramię:

– Piwo ja stawiam. Patrzyli na siebie zachłannie.

– Wybierasz się do Vanessy na przyjęcie? – zapytał Harry.

– Jasne! – potrząsnęła głową. – Nie przegapię takiej okazji. Muszę przecież znowu z tobą zatańczyć.

Uśmiechnął się i przygładził dłonią włosy.

– Małą gorącą salsę? – wykonał rękami kilka energicznych tanecznych ruchów.

– Wprost nie mogę się doczekać! – roześmiała się. Wyglądała bardzo pociągająco.

– Widziałś, jaki medal przyznano Squeezowi? – zapytała Doris, dumna jakby to

był jej pies. Postawiła przed nimi kufle z piwem.

– Medal? – zdziwiła się Mal.

– Szef przyznał mu Psi Medal Za Odwagę. Prawdę mówiąc, Squeeze formalnie się nie kwalifikuje do odznaczenia, nie jest przecież psem policyjnym, ale wszyscy się zgodzili co do tego, że zasługuje na medal.

Squeeze znowu wyszedł spod stołu, spojrzał z uwielbieniem na Doris i podniósł przednią łapę.

– Musisz nauczyć się czegoś innego – westchnęła. – To zaczyna się robić monotonne.

Wróciła za kontuar.

– Zobaczysz za chwilę, czym to się skończy – szepnął Harry.

Nie musieli długo czekać. Po chwili wróciła z nową porcją mięsa. Harry parsknął z udawaną złością.

– Że niby pies przytyje, tak? No i co z tego? – zaatakowała go.

– Moim zdaniem zasłużył sobie na taki poczęstunek – poparła ją Mal.

– A poza tym ma z tego więcej przyjemności niż z medalu. Dziękuję ci, Doris.

– Mam zamówić za ciebie? – Harry zmienił temat.

– Oczywiście! Lubię niespodzianki – splotła ramiona na piersiach i czekała.

– Poprosimy cię o dwa steki z szynki, frytki i mnóstwo zieleniny – zamówił.

Spojrzał na Mal i dodał: – Jak mówi ta pani, jeśli nie można kogoś zwyciężyć, trzeba z nim zawrzeć sojusz.

Doris odeszła, aby przekazać zlecenie do kuchni. Mal zanurzyła usta w pianie piwa. Spojrzała przez stół na mężczyznę. Ciemne włosy zaczynały kryć bliznę na jego głowie. Granatowy cień zarostu przyciemnił jego policzki. Był tak blisko niej, że mogła dostrzec delikatne ciemniejsze plamki w źrenicach jego czystych, szarych oczu. W życiu nie widziała czegoś równie pięknego.

– No więc... Więc teraz, gdy tamto minęło, co będzie z nami? – zapytał spokojnie.

– Zdaje mi się, że słyszę nowego detektywa Jordana – uniosła brwi ze zdziwienia.

– To nadal stary Jordan, tylko że wrócił mu rozsądek – zdawało mu się, że dostrzega w niej wahanie. – Pani myśli, że będziemy się kłócić, pani Malone Mallory?

– Wolę, żebyś nazywał mnie Mal. Zrozpaczony wzniosł wzrok ku niebu.

– Jeśli tak sobie życzysz... Więc Mal... Czy my się teraz kłócimy?

– To ty się kłócisz!

– Byłem pewien, że to ty!

– Nie wątpię!

Patrzyli na siebie płonącymi oczami.

– Czy nie warto byłoby wspólnie pomyśleć o nadrobieniu... – zaczął mężczyzna.

Cień uśmiechu błąkał się w kąciakach jej ust.

– Powiedziałaś: wspólnie? To znaczy...?

– Oczywiście.

– Nie w pojedynkę...? Rozłożył ręce.

– Raczej we dwoje. Choć to trudna sprawa. Pogodzić nienormowany czas pracy gliny z godzinami twórczości telewizyjnego dostojnika... Ty w Nowym Jorku, ja w Bostonie...

Mal głęboko zaczerpnęła powietrza. Wiedziała: teraz lub nigdy!

– Dowiedz się, czy nie potrzebują nikogo do czytania prognozy pogody w bostońskiej telewizji – powiedziała.

Squeeze ciężko opadł na podłogę. Ułożył łeb na jej stopach i westchnął ze szczęścia.

Harry spojrział na niego, potem na Mal. Ich oczy spotkały się i w żaden sposób nie mogły się rozstać.